

**JAMES ELLROY**

Autor „Tajemnic Los Angeles”



**Aмерыkański  
spisek**



Jest rok 1958. Howard Hughes uchyla się od wezwań do sądu. Gdyby odkrył jakieś brudy klanu Kennedych, mógłby z tego wyjść cało.

Taką kartę przetargową ma nadzieję wypracować dla niego Pete Bondurant. Ten spec od brudnej roboty, były gli-niarz, nie zawaha się przed niczym.

Nawet gdy na drodze stanie mu dawny znajomy: Kemper Boyd. Jego to właśnie wyznaczył sam Edgar Hoover do infiltrowania Kennedych z ramienia FBI. Na wypadek, gdyby JFK „przejął” owalny gabinet...

A w tym czasie młody gorliwy prawnik, Robert Kennedy, mocno przejęty jest walką z mafią...

Taki jest początek tej historii.

A jej koniec przypadnie na pamiętny dzień 22 listopada 1963 roku.

W Dallas.

I wielu z jej bohaterów znajdzie się w tym miejscu.

To w tej powieści JAMES ELLROY – autor „TAJEMNIC LOS ANGELES”, nazywany Sultanem Brudów, najbardziej oryginalny twórca powieści kryminalnej naszych czasów – odebrał ostatnie złudzenia tym, którzy wierzyli w mit niewinnej Ameryki. To tu strąca z piedestału JFK. Prosto na bruk.



27 zł

ISBN 83-89064-00-6

C&T

JAMES  
ELLROY  
Amerykański  
spisek

Przekład:

VIOLETTA DOBOSZ

ANNA WOJTCZAK

C&T  
TORUŃ

Tytuł oryginału: AMERICAN TABLOID

Copyright © 1995 by James Ellroy

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2001

Copyright © for the Polish translation by Violetta Dobosz, Anna Wojtczak

Opracowanie graficzne:

SEBASTIAN OLSZEWSKI

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-00-6

Wydawnictwo „C&T ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel/fax (56) 652-90-17

Toruń 2001. Wydanie I, Ark, wyd. 28,5; ark, druk. 30,5.

Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne sp, z o.o.,

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

*Natowi Sobelowi*

*Ameryka nigdy nie była niewinna. Ciupciliśmy dziewice na tylnych siedzeniach samochodów bez żadnych wyrzutów sumienia. Nie da się przypisać naszego upadku żadnemu szczególnemu wydarzeniu ani zbiegowi okoliczności. Nie można stracić czegoś, czego nie miało się od urodzenia.*

*Nostalgia masowego rynku sprawia, że zaczyna się tęsknić za przeszłością, która nigdy nie istniała. Hagiografia uświęca hulaszczych polityków, a ich wykalkulowanym gestom dodaje doniosłego znaczenia. W toku naszej opowieści prawda o tym, co się wydarzyło, zlewa się ze spóźnionymi refleksjami. Tylko pozornie można między nimi wytyczyć prostą granicę.*

*Wielką trójzasadą Camelotu było: Dobrze wyglądać, Komuś dowalić, Kogoś przelecieć. Jack Kennedy był mitycznym głównym bohaterem szczególnie sprośnej części naszej historii. Wypowiadał się jak nuworysz i miał światową fryzurę. Był jak Bill Clinton, tyle że nie poddany ocenie coraz bardziej wszechobecnych mediów i bez paru waleczków tłuszczu.*

*Zabili go w najlepszym momencie dla zapewnienia mu świętości. Wokół płomienia jego wiecznej chwały wciąż krążą kłamstwa. Nadszedł czas na wyjęcie jego urny i rzucenie światła na kilku ludzi, którzy towarzyszyli Jackowi w drodze na szczyt i ułatwili mu upadek.*

*Byli twardymi gliniarzami, mistrzami szantażu i najemnikami. Zakładali podsłuchy i zabawiali się w gejowskich lokalach. Gdyby choć jedna sekunda z ich życia zбочzyła z kursu, historia Ameryki nie istniałaby w znanej nam wersji.*

*Nadszedł czas na odmitologizowanie tamtej ery i stworzenie nowego mitu o pucybcie i milionerze. Nadszedł czas na przyjęcie do wiadomości, że istnieli źli ludzie, którzy potajemnie zapłacili za zdefiniowanie swoich czasów.*

*Ta opowieść jest dla nich.*

# CZEŚĆ I

## SZANTAŻE

Listopad-grudzień 1958

1

Pete Bondurant

(Beverly Hills, 22 listopada 1958)

Zawsze dawał sobie w żyłę w świetle telewizora.

Paru meksyków wymachiwało giwerami. Dowódca podzegał ich i wyjmował sobie wszy z brody. Biało-czarne zdjęcia; dureń z CBS w panterce. Prezenter wiadomości mówił: „Kłątwa rzucona na Kubę — rebelianci Fidela Castro przeciwko regularnej armii Fulgencio Batisty”.

Howard Hughes odnalazł żyłę i wstrzyknął kodeinę. Pete obserwował z ukrycia — Hughes zostawił uchylone drzwi sypialni.

Narkotyki zaczęły działać. Twarz Wielkiego Howarda rozluźniła się. Na zewnątrz klekotały wózki obsługi hotelowej. Hughes wytarł szprycę i zmienił program. Miejsce wiadomości zajęła dobranocka z Howdy Doodym — jak to w Beverly Hills.

Pete wyszedł na patio — stąd widać było basen, dobre miejsce na podryw. Parszywa pogoda: żadnych gwiazdeczek w bikini.

Nerwowo spojrzął na zegarek. W południe miał do wykonania rozwodową chałturę — mąż pił samotnie w czasie lunchu, a potem dymał jakąś młodą cipę. Musi mieć *porządną* lampę błyskową: inaczej zdjęcia wychodzą zamazane, jakby się na nich pieprzyły pająki. Co do Hughesa, trzeba dowiedzieć się, kto

rozpowiadał o wezwaniach do sądu w sprawie antymonopolowego podziału TWA, i przekupić go, żeby opowiadał, iż Wielki Howard odleciał na Marsa.

Sprytny Howard ujął to następująco: „Nie zamierzam z nimi walczyć, Pete. Po prostu będę nieuchwytny i przez to podbiję ceny do poziomu, kiedy *sam* będę chciał sprzedać. Mam dość TWA, ale nie pozbędę się go za mniej niż pięćset milionów dolarów”. Powiedział to, wydymając wargi — Lord Fauntleroy, starzejący się ćpun.

Koło basenu kręciła się Ava Gardner. Pete pomachał jej; zbyła go chłodnym gestem. Kiedyś załatwił jej aborcję w zamian za weekend z Hughesem. Pete — człowiek renesansu: alfons, diler, płatny zabójca.

Hughes i on znają się baaardzo długo.

Czerwiec 1952. Los Angeles. Zastępca szeryfa hrabstwa Pete Bondurant — dowódca nocnego patrolu w okręgu San Dimas. Ta jedna gówniana noc: zgwałcona Murzynka, gablota pełna wrzeszczących pijaczków.

Wkurzył go tamten śmieć: „Znam cię, twardzielu. Zabijasz niewinne kobiety i własną...”

Zatłukł go gołymi pięściami.

Szeryf wyciszył to. Naoczny świadek doniósł do FBI. Agent z L.A., któremu przydzielono sprawę, nazwał tego śmiecia „ofiara nieprzestrzegania praw człowieka”.

Dobrało się do niego dwóch federalnych: Kemper Boyd i Ward J. Littell. Howard Hughes zobaczył w gazecie jego zdjęcie i wyczuł wielki potencjał. Wygłuszył sprawę i zaproponował mu pracę: płatny zabójca, alfons, dostawca narkotyków.

Howard ożenił się z Jean Peters i dał jej samej do dyspozycji willę obok swojej. A do obowiązków Pete'a dołożył rolę „podwórzowego burka”, dodając największą na świecie darmową budę: dom obok.

Sam o małżeństwie mówił: „Uważam, że to cudowna instytucja, Pete, ale wspólne mieszkanie jest stresujące. Wyjaśnij to od czasu do czasu Jean, dobrze? A jeśli poczuje się samotna, szepnij, że zawsze o niej myślę, nawet gdy jestem bardzo zajęty”.

Pete zapalił cygaro. Nadciągnęły chmury — plażowicze zadygotali. Zaterkotał interkom — Hughes wzywał.

Wszedł do sypialni. W telewizji leciał „Kapitan Kangur” przy mocno ściszym dźwięku.

Biało-czarne smugi światła — i Wielki Howard w głębokim cieniu.

— Sir?

— „Howard”, gdy jesteśmy sami. Wiesz przecież.

— Dzisiaj czuję się jak podwładny...



— Rozumiem, że masz ochotę pobrykać z tą swoją panną, Gail Hendee... Powiedz, czy dobrze się jej żyje w twojej wartowni?

— Owszem. Ona, tak jak ty, podejrzliwie podchodzi do wspólnego mieszkania i twierdzi, że dwadzieścia cztery pokoje dla dwóch osób upraszczają wiele spraw.

— Podobają mi się niezależne kobiety.

— Przecież wiem, że nie.

Hughes wyklepał poduszki.

— Masz rację. Ale podoba mi się *idea* niezależności kobiet, którą zawsze starałem się wykorzystać w moich filmach. I jestem pewien, że panna Hendee jest równie cudowną partnerką w wymuszaniu, jak i w łóżku. A jeśli chodzi o TWA...

Pete przysunął krzesło. — Ci, którym zależy na procesie, nie znajdą cię. Przekupiłem wszystkich pracowników tego hotelu i umieściłem pewnego aktora w twoim bungalowie dwie przecznice stąd. Wygląda i ubiera się jak ty, bez przerwy odwiedzają go panienki dla podtrzymania mitu, że wciąż sypiasz z kobietami. Sprawdzam wszystkich, którzy chcą się tu zatrudnić, żeby być pewnym, że Departament Sprawiedliwości nie wetknie nam kapusia. Wszyscy tutejsi kierownicy zmiany grają na giełdzie i co miesiąc dają im po dwadzieścia akcji Hughes Tool Company. Tak długo, jak zostaniesz tutaj, nie będziesz musiał pojawiać się w sądzie.

Hughes skubał szlafrok — lekko drżały mu ręce.

— Jesteś bardzo okrutnym człowiekiem.

— Nie, jestem *twoim* okrutnym człowiekiem i dlatego pozwalasz mi na odszczekiwanie.

— Jesteś „moim człowiekiem”, ale wciąż siedzi w tobie coś z tandetnego prywatnego detektywa.

— Dlatego, że mnie przytłaczasz. Dlatego, że ja też nie przepadam za wspólnym mieszkaniem.

— Pomimo tego, ile ci płacę?

— Nie, z *powodu* tego.

— Możesz jaśniej?

— Mogę. Ja mam dom w Holmby Hills, ale ty masz akt jego własności. Mam nowego pontiaka, ale ty masz na niego papiery. Mam...

— To nic nie znaczy.

— Howard, chcesz czegoś ode mnie. Powiedz, o co chodzi, i zrobię to. Hughes nacisnął guzik pilota i „Kapitan Kangur” zniknął z ekranu.

— Kupiłem magazyn *Cicho sza!*. Powody nabycia tego ordynarnego szmatławca były dwa. Po pierwsze, układałem się z J. Edgarem Hooverem i chcę, żeby nasza przyjaźń okrzepla. Obaj uwielbiamy typ hollywoodzkich plotek, których

dostarcza *Cicho sza!*, więc posiadanie tego magazynu może być przyjemnością, a jednocześnie przebiegłym politycznym posunięciem. Po drugie, chodzi o samą politykę. Szczerze mówiąc o to, bym mógł obsmarować polityków, których nie lubię; takich rozwiązanych playboyów, jak senator John Kennedy, który może wystartować w wyborach prezydenckich w sześćdziesiątym roku przeciw mojemu dobremu przyjacielowi Dickowi Nixonowi. Pewnie wiesz, że w latach dwudziestych rywalizowaliśmy z ojcem Kennedy'ego w interesach i tak naprawdę nienawidzę całej tej rodziny...

— Wiem — wtrącił Pete.

— A ja wiem, że pracowałeś dla *Cicho sza!* jako „weryfikator informacji”, dlatego zrozumiesz ten aspekt interesu. To coś w rodzaju szantażu, w sam raz dla ciebie...

Pete wyłamywał palce.

— „Weryfikacja informacji” polegała na tym, że radziłem: „Nie podawaj naszego pisma do sądu, bo zrobię ci krzywdę”. Jeśli chcesz, żebym pomagał ci w taki sposób, to nie ma sprawy.

— To dobrze. Od tego zaczniemy.

— Howard, powiedz krótko. Znam tam ludzi, wystarczy, że mi powiesz, kto odchodzi, a kto zostaje.

Hughes wzdrygnął się — ale tylko trochę.

— Recepcjonistka była Murzynką z łupieżem, więc ją wylałem. Ten pismak i tak zwany „tropiciel skandali” sam zrezygnował i chcę, żebyś znalazł mi nowego. Sol Maltzman zostaje. Wszystkie swoje artykuły wypuszcza pod pseudonimem, więc jestem skłonny go zostawić, mimo że jest komunistą z czarnej listy należącego do tyłu organizacji lewicowych, że...

— Ale kogoś tam musisz mieć. Sol robi dobrą robotę, a gdyby sprawy potoczyły się gorzej, może zastąpić go Gail — od paru lat pisuje trochę dla *Cicho sza!*. Od kwestii prawnych masz swojego Dicka Steisela, a do czarnej roboty mogę załatwić Freda Turentine'a. Znajdę ci też dobrego tropiciela skandali. Muszę tylko trochę poniuchać i popytać, to kwestia czasu.

— Ufam ci. Jak zwykle świetnie sobie poradzisz.

Pete wciąż wyłamywał palce. Bolały go stawy — niechybny znak, że będzie padać. Hughes spytał:

— Musisz to robić?

— To przez te moje ręce się spotkaliśmy, szefie. Po prostu daję ci znać, że wciąż są na miejscu.

Salon „budy podwórzowca” miał wymiary 25 na 24 metry. Ściany hallu były ze złościście nakrapianego marmuru. Dziewięć sypialni. Chłodnie. A dywany

Hughes kazał czyścić co miesiąc — czarnuch przeszedł po nich tylko raz. Kamery monitorujące, zamontowane na dachu i półpiętrze, filowały prosto na sypialnię pani Hughes.

Pete znalazł Gail w kuchni. Jej wspaniałe kształty i długie brązowe włosy wciąż na niego działały.

— Zazwyczaj słyszy się, jak ktoś wchodzi do domu, ale nasze drzwi wejściowe są pół kilometra stąd — powiedziała.

— Mieszkamy tu od roku, a ciebie wciąż się żarty trzymają.

— Do mieszkania w Taj Mahal człowiek długo się przyzwyczaja...

Pete usiadł okrakiem na krześle przy niej.

— Coś nerwowa jesteś.

Gail odsunęła od niego swoje krzesło.

— Hm... jak na szantażystkę przystało. Jak się nazywa dzisiejszy facet?

— Walter P. Kinnard. Ma czterdzieści siedem lat i zdradza żonę od zawsze. Ma też dzieci, za którymi szaleje, a żona mówi, że ugiąłby się pod groźbą pokazania tych zdjęć im właśnie. To pijacek, a podrywa zawsze w porze lunchu.

Gail przeżegnała się — trochę na żarty, trochę na poważnie.

— A gdzie?

— Spotkasz się z nim w Dale's Secret Harbor. Metę ma parę przecznic stąd, tam popycha swoją sekretarkę, ale ty nalegaj na pójście do Ambasadora. Jesteś w mieście na konferencji i masz elegancki pokój z barkiem.

Gail zadrżała. Poranne dreszcze — pewny znak, że płakała. Pete wcisnął jej klucz.

— Wynająłem sąsiedni pokój, więc możesz się zamknąć, żeby wyglądało to wiarygodnie. Naoliwiłem zamek w drzwiach łączących pokoje, tak że nie powinno być hałasu.

Gail zapaliła papierosa. Ręce jej nie drżały — dobry znak.

— Opowiedz mi o czymś innym. Czego chciał Howard Samotnik.

— Kupił *Cicho sza!*. Chce, żebym znalazł mu pismaka, żeby mógł położyć łapę na hollywoodzkich plotkach, do spółki z tym swoim kumplem J. Edgarem Hooverem. Chce obsmarowywać swych politycznych wrogów, jak tego twojego dawnego kochasia, Johna Kennedy'ego...

Gail uśmiechnęła się ciepło.

— Parę weekendów nie oznacza zaraz, że był moim kochasiem.

— Ten lubieżny uśmiech oznacza co innego...

— Kiedyś zabrał mnie samolotem do Acapulco. To przez ten jego gest w stylu Howarda Samotnika jesteś taki zazdrosny.

— Bo to było podczas jego miesiąca miodowego!

— I co z tego? Ożenił się z przyczyn politycznych, a te nie pomagają w łóżku. Na Boga, *taki* podglądacz i nie wie!

Pete odpiął nagle gnata i sprawdził magazynek — sam nie wiedział, czemu.

— Nie uważasz, że nasze życie jest dziwne? — rzuciła Gail.

Do centrum pojechali osobnymi wozami. Gail usiadła przy barze; Pete zajął pobliski stolik i zamówił drinka. Restauracja była zatłoczona — Dale's nieźle musiało zarabiać na lunchach: Pete dostał idealne miejsce — kiedyś zgasił papierosa na właścicielu.

Kręciło się tu mnóstwo kobiet: głównie personel biurowy. Gail wyróżniała się, i to bardzo, wręcz niesamowicie. Pete pożerał orzeszki — zapomniał o śniadaniu.

Kinnard spóźniał się. Bystre oko Pete'a prześwieciło salę. Obok telefonów stał Jack Whalen — czołowy bukmacher Los Angeles. Dwa stoliki dalej — szefowie Wydziału Policji Los Angeles. Szeptali: „Bondurant... Jasne, ten od Cressmeyerowej”.

Duch Ruth Mildred Cressmeyer siedział przy barze: smutna, podstarzała, trzęsąca się kobieta.

Pete wszedł na Ścieżkę Pamięci.

Koniec 1949. Miał dwie dobre fuchy: ochroniarz pokerowych graczy i aborcyjny naganiacz. Doktorem od skrobanek był jego młodszy brat, Frank.

Pete zaciągnął się do amerykańskich marines, żeby załapać się na zieloną kartę. Frank został z rodziną w Quebecu i poszedł do szkoły medycznej.

Pete przyjechał tu wcześniej, Frank po nim. „Nie paplaj po francusku, mów po angielsku. Pozbądź się akcentu i ruszaj na Amerykę...”

Frank dotarł do L.A. z żądzą wielkich pieniędzy. Zdał końcowe egzaminy i zawiesił szyld: aborcje i morfina na sprzedaż. Frank kochał aktoreczki i karty. Kochał zbirów. I kochał czwartkowego pokera u Mickeya Cohena.

Zaprzyjaźnił się ze złodziejem o nazwisku Huey Cressmeyer. Mama Hueya prowadziła pokątny gabinet ginekologiczny dla Murzynek. Dziewczyna Hueya zaszła w ciążę i poprosiła Franka i mamę o pomoc. A Hueyowi odbiło i zwinął pieniądze z czwartkowego pokera — Pete'a nie było akurat na służbie, złapał grype.

Mickey załatwił Pete'owi tę robotę. Dostał cynk: Huey ukrywa się w melinie w El Segundo. W domu należącem do Jacka Dragna. A Mickey nienawdził

Jacka Dragna. Podwoił więc cenę i kazał zabić wszystkich tam obecnych.

14 grudnia 1949 — pochmurno i zimno.

Pete oświetlił dziuplę koktajlem Mołotowa. Tylnymi drzwiami wybiegły cztery postacie w płomieniach. Pete zastrzelił je i zostawił, żeby spłonęły.

Według dokumentów byli to:

Hubert John Cressmeyer, lat 24

Ruth Mildred Cressmeyer, lat 56

Linda Jane Camrose, lat 20, w czwartym miesiącu ciąży

François Bondurant, lat 27, lekarz, imigrant z Kanady.

Oficjalnie sprawy nie wykryto. Ale zaczęły krążyć plotki.

Ktoś zadzwonił do jego ojca w Quebecu i doniósł o tym. Stary wykręcił do Pete'a i błagał, żeby zaprzeczył... Musiał się zająknąć albo jakoś inaczej wydać. Nazajutrz stary razem z żoną nawdychał się spalin.

Starucha przy barze wyglądała jak jakiś pieprzony sobowtór Ruth Mildred.

Czas włókł się. Postawił starej drinka. Walter P. Kinnard wszedł i usiadł obok Gail.

Zacząła się poezja.

Gail kiwnęła na barmana. Szybki Walter wołał gwizdnąć. Joe podskoczył z shakerem do martini — stały bywalec miał coś do powiedzenia.

Bezradna Gail szukała w torebce zapalek. Usłużny Walter już z uśmiechem podawał zapalniczkę. To nic, że tył jego kołnierzyka był obsypany łupieżem.

Gail uśmiechnęła się. Seksowny Walt również. Nosił białe skarpetki do trzyczęściowego garnituru w prążki.

Siedzieli gawędząc nad martini. Pete obserwował przedłózkową rozgrzewkę. Gail napiła się dla kurazu — była wyraźnie zdenerwowana. Dotknęła ramienia Waltera. Widać było jej poczucie winy — gdyby nie pieniądze, rzuciłaby to.

Pete przeszedł do Ambasadora, do swojego pokoju. Położenie było idealne: był oddzielony od pokoju Gail drzwiami. Założył film do aparatu i podłączył lampę błyskową. Naoliwił zawiasy drzwi łączących pokoje. Nastawił obiektyw na zbliżenia.

Minęło dziesięć minut. Nasłuchiwał odgłosów z sąsiedniego pokoju. Umówione hasło: „Cholera, gdzie te klucze?” Gail wypowiedziała trochę za głośno,

Pete przyłgnął do ściany. Usłyszał lament Samotnego Walta: żona i dzieci nie wiedzą, że mężczyzna ma pewne potrzeby. Pytanie Gail: To czemu ma aż

siedmioro dzieci? I odpowiedź Walta: Bo one trzymają żonę w domu, a to właściwe miejsce dla kobiety.

Głosy ucichły. Buty spadły na podłogę. Gail kopnęła wysokim obcasem w ścianę — to był jej sygnał „jeszcze trzy minuty”. Pete zaśmiał się — pokój za trzydzieści dolarów za noc ze ścianami cienkimi jak z papieru. Zgrzyt zamków błyskawicznych. Skrzyp sprężyn. Sekundy mijały — tik, tik, tik. Walter P. Kinnard zaczął stękać — Pete zerknął na zegarek: 14:44.

Począł do 15:00. Otworzył drzwi na oścież — naoliwione zawiasy nawet nie skrzypnęły.

Gail i Walter P. Kinnard pieprzyli się. W pozycji misjonarskiej, z głowami blisko siebie — dowód niewierności nadający się do sądu. Walt dogadzał sobie. Gail udawała ekstazę i gryzała skórki przy paznokciach.

Pete ustawił się do zbliżenia i zaczął robić zdjęcia.

Raz, dwa, trzy — flesz strzelał jak karabin maszynowy. Cały pokój zalał się blaskiem.

Walter zawył i próbował się skulić. Gail sturlała się z łóżka i pobiegła do łazienki. Został seksowny i goły jak święty turecki Walt: 165 cm wzrostu, 100 kg wagi, tłusty.

Pete upuścił aparat i złapał go za kark. Powoli i przyjaźnie rzekł:

— Twoja żona chce rozwodu. Chce osiemset dolarów miesięcznie, dom, tego dwuletniego buicka i opłaty ortodonta dla twojego syna Timmy'ego. Dasz jej wszystko, czego żąda, albo znajdę cię i zabiję.

Na ustach Kinnarda pojawiły się banieczki śliny. Pete podziwiał ich kolor: na wpół niebieskie (szok), na wpół czerwone (problemy z sercem).

Para pokryła drzwi od łazienki — Gail zawsze po takiej robocie brała szybki prysznic.

Pete upuścił Walta na podłogę. Jego ręka trzęsła się z wysiłku: sto kilo, nieźle. Kinnard zebrał ubranie i wytoczył się z pokoju. Pete widział, jak idzie korytarzem, próbując założyć spodnie.

Gail wyszła w chmurze pary. Jej „ja już tak nie mogę” nie było niczym nowym.

**W**alter P. Kinnard nie lubił się procesować. Wyniki Pete'a podskoczyły: dwadzieścia trzy żony, zero mężów. Pani Kinnard zapłaciła mu od razu pięć kawałków i obiecała dożywotnie 25% z alimentów.

Kolejne trzy dni: czas dla Howarda Hughesa.

Sprawa TWA nie dawała Wielkiemu Howardowi spokoju. Pete przyśpieszył działania. Zapłacił dziwkom, by powiedziały prasie, że Hughes ukrywa się w różnych miejscach. Bombardował zaangażowanych w proces telefonami: Hughes był w Bangkoku, Maracaibo, Seulu. W Biltmore umieścił drugiego

sobowtóra: wielce męskiego weterana filmów pornograficznych. Pops był prawdziwym ogierem — Pete wysłał do niego Barbarę Payton. Zachlana Babs naprawdę myślała, że ten stary dureń to Hughes. Rozповідаła na prawo i lewo, że Mały Howard urósł o piętnaście centymetrów.

J. Edgar Hoover z łatwością mógł przesunąć termin sprawy. Hughes odmówił prośbienia go o pomoc.

— Jeszcze nie teraz, Pete. Najpierw moja przyjaźń z panem Hooverem musi dojrzeć. Kluczem do tego może być *Cicho sza!*, ale najpierw znajdź mi nowego faceta od skandali. Wiesz, jak bardzo pan Hoover lubi ekscytujące wieści...

Pete puścił w obieg wiadomość, że: „Nowe *Cicho sza!* poszukuje tropiciela skandali. Zainteresowani — dzwonić do Pete'a B”. I ślęczał przy telefonie. A dzwoniли sami frajerzy. Pete mówił: „Daj mi jakiś smakowity kasek, to pogadamy”. Tamci przynudzali, że Pat Nixon właśnie urodziła dziecko Nat King Cole'a. Albo że Lawrence Welk dupczył męskie prostytutki. Eisenhower miał kolorowych przodków. Rin Tin Tin zrobił dziecko Lassie. A Jezus Chrystus prowadził murzyński burdel w Watts. Coraz gorzej. Pete policzył: dziewiętnastu chętnych — same zera. Wtedy zadzwonił telefon — dwudziestka na linii. Pete słyszał trzaski — prawdopodobnie międzymiastowa.

— Kto mówi?

— Pete? Tu Jimmy. HOFFA.

— Jimmy, co u ciebie?

— Zimno. Jak w całym Chicago. Dzwonię od kumpla, ale grzejnik mu nawalił. Jesteś pewien, że *twój* telefon nie jest na podsłuchu?

— Jestem. Freddy Turentine co miesiąc sprawdza wszystkie telefony pana Hughesa.

— To mogę mówić?

— Możesz.

Hoffa rozluźnił się. Pete trzymał słuchawkę na odległość ramienia i słyszał go baaardzo dobrze.

— Komisja McClellana siedzi na mnie jak muchy na gównie. Ten sprytny sukinsyn Bobby Kennedy przekonał pół kraju, że Teamsters są gorsi od cholerynych komuchów, szczuje mnie i moich ludzi wezwaniem do sądu, detektywi skaczą po całym moim związku jak...

— Jimmy...

— ...pchły po kundlu. Najpierw wykopał Dave'a Becka, a teraz chce *mnie*. Bobby Kennedy to wielka kupa psiego gówna. Buduję ośrodek wypoczynkowy

„Słoneczna Dolina” na Florydzie, a Bobby usiłuje wytropić, skąd są te trzy miliony, które wybulilem. Myśli, że wziąłem je z Centralnego Funduszu Emerytalnego...

— Jimmy...

— ...i myśli, że może wykorzystać mnie w wyborach swojego brata-dupka na prezydenta. Myśli, że James Riddle Hoffa jest pieprzonym politycznym reformatorem. Myśli, że się zegnę i nadstawię tyłka jak jakiś cholerny pedał. Myśli...

— Jimmy...

— ...że jestem jakimś pierdołą jak on i jego brat. Myśli, że im się ze mną uda jak z Dave'em Beckiem. I jakby tego było mało, mam jeszcze ten postój taksówek w Miami. Pracują tam nawiedzeni kubańscy uchodźcy i nic, tylko debatują o pieprzonym Castro kontra pieprzonemu Batiście, jak, jak te, no...

Hoffa dostał zadyszki. Pete spytał szybko:

— Czego chcesz?

Jimmy złapał trochę powietrza.

— Mam dla ciebie robotę w Miami.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy.

— Biorę — odrzekł Pete.

Zarezerwował sobie nocny lot. Na fałszywe nazwisko, pierwszą klasą w Hughes Aircraft. Wylądował o ósmej.

W Miami narastał upał. Taksówką dotarł do należącej do Teamsters wypożyczalni aut po nowego caddy eldo. Jimmy już zadziałał — nie musiał zostawiać depozytu ani dokumentów. Pod deską rozdzielczą była notatka: „Jedź na postój taksówek przy Flagler i 46 Płn-Wsch. Pogadaj z Fulo Machado”. I wskazówki, jak dojechać: wiaduktami do dróg zaznaczonych na mapce.

Pete ruszył. Krajobraz szybko zniknął. Domy robiły się coraz mniejsze. Białe kwartały przeszły w posiadanie białej nędzy, czarnych i meksyków. Flagler było ulicą tanich domów i marnych wystaw.

Biuro postoju taksówek było pokryte sztukaterią w tygrysie pręgi. Taksówki też pomalowano w ten wzór. Kubańcy w tygrysiach koszulkach obźerali się pączkami i popijali tanie wino. Szyld głosił: *Taxi-Tygrys. Se Habla Español*.

Pete zaparkował prosto przed wejściem. Faceci w tygrysiach podeszli do niego i zatrajkotali. Rozprostował swoje metr dziewięćdziesiąt pięć. Koszula wyszła mu ze spodni. Zobaczyli jego spluwę i odsunęli się.



Wszedł do dyspozytorni. Niezła tapeta: ściana od podłogi do sufitu wyklejona zdjęciami tygrysów. Jak w *National Geographic* — Pete prawie zaryczał.

Dyspozytor pomachał do niego. Jego twarz pokrywały blizny po nożu. Pete przysunął sobie krzesło. Brzydkogęby rzekł:

— Jestem Fulo Machado. Zrobiła mi to tajna policja Batisty, więc napatrz się i zaraz zapomnij, jasne?

— Nieźle mówisz po angielsku.

— Pracowałem w Nacional Hotel w Hawanie. Uczył mnie amerykański krupier. Okazało się, że był *maricón* i próbował mnie przekupić.

— Co mu zrobiłeś?

— Ten *maricón* miał chatę na świńskiej farmie pod Hawaną, sprowadzał tam młodych Kubańczyków, żeby ich korumpować. Znalazłem go tam z innym *maricón* i zaciukałem ich maczetą. Wymiotłem całą paszę z koryt i zostawiłem drzwi otwarte na oścież. To w *National Geographic* pisali, że głodne świny nie potrafią się oprzeć rozkładającym się zwłokom...

— Fulo, podobasz mi się — przyznał Pete.

— Poczekaj z tą oceną. Jestem impulsywny, kiedy mam do czynienia z wrogami Jezusa Chrystusa i Fidela Castro.

— Czy ktoś od Jimmy'ego zostawił dla mnie kopertę? — spytał Pete.

Fulo podał niechętnie. Pete rozdarł niecierpliwie. Jasne — krótka notka i zdjęcie. „Anton Gretzler, Hibiscus 114, Lake Weir, Floryda (niedaleko Słonecznej Doliny). OL4-8812”. Na fotce wysoki facet, tak gruby, że właściwie nie powinien żyć.

— Jimmy musi ci ufać — rzekł Pete.

— Owszem. Sponsorował moją zieloną kartę, więc wie, że będę lojalny.

— Co to za miejsce ta Słoneczna Dolina?

— Coś jak ogródki działkowe. Jimmy dużo ich sprzedaje członkom Teamsters.

— A na kim, według ciebie, więcej się dzisiaj wyciągnie: na Jezusie czy Castro? — spytał nagle Pete.

— Powiedziałbym, że fifty-fifty.

Pete zameldował się w Eden Rock i zadzwonił z automatu do Antona Gretzlera. Grubas zgodził się na spotkanie o trzeciej niedaleko Słonecznej Doliny.

Pete zdrzemnął się i wyjechał wcześniej. Słoneczna Dolina była paskudnym miejscem: trzy zaśmiecone drogi położone na mokradłach czterdzieści metrów od międzystanowej. I rzeczywiście były to ogródki działkowe — domy wielkości

pudełek od zapalek, tanie tynki. Granicę stanowiły mokradła — Pete widział aligatory wygrzewające się w słońcu. Było gorąco i wilgotno. Wściekły upał wysuszył zieleń.

Pete oparł się o samochód i przeciągnął. Autostradą przejeżdżała ciężarówka, z silnika parowało; facet siedzący obok kierowcy coś krzyczał. Pete odwrócił się, gdy frajerzy go mijali.

Lekki wiatr wzniewał tumany kurzu. Drogi dojazdowej nie było widać. Duży sedan skręcił z międzystanowej i jechał na oślep. Pete czekał. Samochód stanął. Wysiadł gruby Anton Gretzler. Pete podszedł do niego. Gretzler spytał:

— Pan Peterson?

— To ja. Pan Gretzler?

Gruby wyciągnął rękę. Pete zignorował go.

— Coś się stało? Mówił pan, że chce obejrzeć działki.

Pete poprowadził grubasa na polankę na mokradłach. Gretzler szybko załapał: tylko spokojnie. Oczy aligatorów wystawały z wody.

Pete rzekł: — Zobacz mój wózek. Czy wyglądam jak jakiś związkowy dupek, który chce kupić składany domek?

— No... nie.

— Nie uważasz więc, że robisz Jimmy'ego na szaro, pokazując mi te gówniane działki?

— No...

— Jimmy mówił mi, że ma tu ładne domki, które niedługo będą pod klucz. Masz zaczekać i je pokazać Teamstersom...

— No tak... Myślałem tylko, że...

— Jimmy mówi, że jesteś narwany i nie powinien z tobą pracować. Mówi, że rozgłaszasz, że pożyczył sobie pieniądze z Funduszu Emerytalnego Teamsters i trochę ich sprzeniewierzył. Mówi, że gadałeś o Funduszu, jakbyś był tu kimś.

Gretzler wzdrygnął się. Pete chwycił go za nadgarstek i ścisnął — kości trzasnęły i wyszły przez skórę. Gretzler próbował krzyknąć, ale zakrzutusił się.

— Czy komisja McClellana cię pozwała?

Gretzler, przerażony, przytaknął.

— Rozmawiałeś z Robertem Kennedym albo jego detektywami?

Gretzler pokręcił głową, bliski zrobienia ze strachu w portki.

Pete sprawdził autostradę. Żadnych aut, żadnych świadków.

— PROSZĘ — szepnęła Gretzler.

Resztki jego mózgu rozprysły się na autostradzie.

## 2

Kemper Boyd

(Filadelfia, 27 listopada 1958)

**S**amochód: jaguar XK-140, model sportowy, zielone skórzane obicia. Garaż: podziemny i cichy jak grobowiec. Robota: ukraść jaguara dla FBI i zrobić głupka, który zapłacił za tę robotę.

Mężczyzna włamał się po stronie kierowcy i uruchomił stacyjkę. Obicia pachniały bogactwem: prawdziwa skóra podnosiła „okazyjną” cenę niebotycznie. Podjechał do ulicy i zaczął, aż przejadą inne pojazdy. Przednia szyba zamglila się od zimnego powietrza.

Jego zleceniodawca stał na rogu. Walter Mitty. Był z tych, co przy robocie muszą stać jak najbliżej. Gdy mężczyzna wyrwał do przodu, samochód policyjny zajechał mu drogę. Mitty zobaczył, co się dzieje, i zwiął.

Gliniarze z bronią w rękach krzyczeli to, co zwykle przy kradzieżach samochodów:

— Wyjdź z wozu z rękami do góry! I na ziemię!

Posłuchał ich. Gliniarze mieli pełen rynsztunek: pałki, kajdanki, blokady. Zrewidowali go i rzucili na ziemię. Uderzył głową o tylny reflektor suki...

**C**ela wyglądała znajomo. Zdjął nogi z pryczy i ujawnił swoją tożsamość.

Kemper C. Boyd, agent specjalny FBI infiltrujący gangi kradnące auta. Nie żaden Bob Aiken, złodziej samochodowy działający na własną rękę. Lat czterdzieści dwa. Po Wydziale Prawa Yale. Siedemnasty rok w Biurze, rozwiedziony, córka w college'u. Od lat spec FBI od kradzieży samochodów.

Zlokalizował cele: poziom B w budynku Philly, u federalnych.

Walilo mu serce. Bolały kostki i nadgarstki. Spróbował ostatni raz.

Od lat zarabiam na gromadzeniu materiału dowodowego dotyczącego kradzieży samochodów. CZY TO PRZEZ WEWNĘTRZNE ZAMIESZANIE FBI?

Zobaczył puste cele po obu stronach korytarza. Na umywalce zauważył jakies papiery: kawałki gazet, z nagłówkami. „Złodziej samochodów ma zawał w

areszcie federalnym” i „...dziej samochodów kończy w celi u federalnych”. I tekst poniżej:

*Dzisiaj po południu policja filadelfijska przeprowadziła brawurowe aresztowanie na tyłach malowniczego Rittenhouse Square.*

*Korzystając z informacji anonimowego rozmówcy, sierżant Gerald P. Griffen wraz z czterema innymi policjantami ujął Roberta Henry'ego Aikena, lat 42, podczas próby kradzieży sportowego jaguara znacznej wartości. Aiken potulnie pozwolił się zaarrestować i...*

Ktoś zakaszlał i odezwał się: — Proszę pana?

Kemper spojrzał w górę. Jakiś urzędnik otworzył celę i przytrzymał drzwi.

— Może pan wyjść od tyłu. Czeka tam na pana samochód.

Kemper strzepnął ubranie i przyglądał włosy. Wyszedł wjazdem dla zaopatrzenia i zobaczył rządową limuzynę blokującą alejkę. *Jego* limuzynę. Gdy usiadł z tyłu, J. Edgar Hoover odezwał się:

— Witam, panie Boyd.

— Dobry wieczór, sir.

Zasunęła się przegroda między tylnymi siedzeniami a kabiną kierowcy. Szofer ruszył.

Hoover zakaszlał. — Pana zadanie infiltracyjne zakończyło się w dość niespodziewany sposób. Policja filadelfijska była cokolwiek ostra, ale są z tego znani, bo gdyby było inaczej, nie byłiby wiarygodni.

— Nauczyłem się zachowywać zgodnie z rolą w takich sytuacjach. Jestem pewien, że aresztowanie wyglądało wiarygodnie.

— Czy odgrywając tę rolę, mówił pan z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża?

— Nie, raczej przeciągłym ze Środkowego Zachodu. Nauczyłem się go, pracując w biurze w St. Louis; jakoś bardziej pasował do mojego wyglądu zewnętrznego.

— No tak, rozumiem. A tak między nami, nie chciałbym znowu odgadywać, w kogo to pan się wciela w podobnych kryminalnych scenkach. Chociażby ta sportowa kurtka, którą ma pan na sobie. Nie podobałaby mi się jako ubiór pracownika Biura, ale dla złodzieja samochodów z Filadelfii jest całkiem odpowiednia.

No, przejdź może do rzeczy, ty mały rządowy...

— Właściwie zawsze wyróżniał się pan ubiorem. Drogim. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się czasem, jak z pana pensją można mieć taką garderobę...

— Zapraszam do mojego mieszkania, sir. Zobacz pan, że szafa pęka w szwach.

— Tak myślałem. — Hoover zachichotał. — Chyba naprawdę nie widziałem pana dwa razy w tym samym garniturze. Jestem pewien, że kobiety, za którymi tak pan przepada, doceniają ten powiew elegancji.

— Też mam taką nadzieję, sir.

— Pan znosi moje złośliwości z godną podziwu cierpliwością, Boyd. Większość mężczyzn się buntuje. Z pana emanuje wyjątkowa elegancja, a jednocześnie szacunek dla mnie, co jest budujące. Wie pan, co to oznacza?

— Nie, sir, nie wiem.

— To oznacza, że podoba mi się pan i jestem skłonny wybaczyć panu te niedyskrecje, za które ukrzyżowałbym innych agentów. Jest pan człowiekiem niebezpiecznym i pozbawionym skrupułów, ale ma pan pewien nieodparty urok. Ta harmonia atrybutów przeważa nad pańskimi niemoralnymi skłonnościami i pozwala mi być z pana dumnym.

NIE PYTAJ „JAKIE NIEDYSKRECJE?” — ON CI ODPOWIE I W TEN SPO-SÓB DOŁOŻY.

— W pełni doceniam pański szacunek i odwzajemniam go.

— Nie włączył pan do swojej wzajemności „sympatii”, ale nie będę się cze-piał. A teraz do rzeczy. Miałbym dla pana dwa czekci, które zachwyciłyby pana bezgranicznie...

Hoover odchylił się do tyłu, jakby chciał powiedzieć: „No, poproś mnie o nie”. Kemper spytał:

— Tak?

Limuzyna przyspieszyła. Hoover rozprostował ręce i poprawił krawat.

— Niepokoją mnie ostatnie poczynania braci Kennedych. Bobby wydaje się nadużywać uprawnień Komisji McClellana do walki z przestępczością, żeby odwrócić uwagę Biura i przyspieszyć spełnienie prezydenckich aspiracji swojego brata. To mi się nie podoba. Byłem szefem biura, jeszcze nim Bobby się urodził. Jack Kennedy to zasuszony liberalny playboy z moralnymi zasadami psa znaczącego teren. Przed Komisją McClellana udaje walczącego z przestępczością, a samo istnienie tej komisji jest jak policzek w twarz Biura. Stary Joe Kennedy chce kupić synowi Biały Dom, a ja chcę posiąść informacje, które powstrzyma-łyby jeszcze bardziej demokratycznie wypaczone pomysły polityczne jego chłop-ców.

Kemper zrozumiał, że powinien się odezwać.

— Tak, proszę pana?

— Chcę, żeby infiltrował pan organizację Kennedych. Uprawnienia do wal-ki z przestępczością Komisji McClellana kończą się w przyszłym roku na wiosnę,

ale Bobby Kennedy ciągle jeszcze przyjmuje prawników-detektywów. Od tej chwili przechodzi pan na emeryturę. Formalnie będzie pan zatrudniony do lipca 1961, kiedy minie panu dwadzieścia lat służby w Biurze. Proszę przygotować przekonującą historyjkę o przejściu na emeryturę i zapewnić sobie posadę prawnika w Komisji McClellana. Wiem, że zarówno pan, jak i Jack Kennedy mieliście sporo wspólnego z asystentką senacką Sally Lefferts. Panna Lefferts ma rozwiązały język, więc młody Jack na pewno o panu słyszał. Jack jest w Komisji McClellana i uwielbia seksualne plotki oraz groźnych przyjaciół. Panie Boyd, pewien jestem, że będzie pan pasował do Kennedych. Jestem przekonany, że będzie to pożyteczne ćwiczenie przebiegłości, a także okazja, by dać upust bardziej rozwiązłym upodobaniom...

Kemper czuł się jak w stanie nieważkości. Limuzyna toczyła się bezszelestnie.

Hoover dodał: — Podoba mi się pańska reakcja. Teraz proszę odpocząć. Za godzinę będziemy w Waszyngtonie, przed pana domem.

Hoover dostarczył mu stosowne notatki — w skórzanym kołonotatniku ze stemplem „POUFNE”. Kemper zmieszał w karmelce mocno wytrawne martini i przysunąwszy sobie swój ulubiony fotel, zabrał się do czytania.

Zapiski sprowadzały się do jednej kwestii: Bobby Kennedy kontra Jimmy Hoffa.

Senator John McClellan przewodził Komisji Śledczej Senatu Stanów Zjednoczonych do ścigania przestępczości zorganizowanej, założonej w 1957 roku. Członkowie komisji: senatorowie Ives, Kennedy, McNamara, McCarthy, Ervin, Mundt, Goldwater. Ich główny doradca i szef detektywów: Robert F. Kennedy. Obecny personel: trzydziestu pięciu detektywów, pięćdziesięciu pięciu księgowych, dwadzieścia pięć stenografistek i urzędniczek. Aktualna siedziba: budynek Biur Senackich, segment 101.

Cele Komisji: ujawnić korupcyjne praktyki na rynku pracy; odsłonić sekretne powiązania związków zawodowych z przestępczością zorganizowaną. Metody Komisji: powoływanie świadków, analiza dokumentów, weryfikacja funduszy związkowych wykorzystywanych w działaniach przestępczych.

Faktyczny cel Komisji: Międzynarodowe Bractwo Teamsters, najsilniejszy związek zawodowy transportowców na świecie, podejrzewany o największą korupcję związkową. Jego przewodniczący: James Riddle Hoffa, lat 45. Człowiek na usługach mafii. Winny wymuszeń, łapówkarstwa na dużą skalę, pobić, podkładania bomb; do tego pokątne interesy zarządu, przepuszczanie funduszy związkowych na wielką skalę. Podejrzany o posiadanie w sprzeczności z

przepisami antymonopolowymi: firm przewozowych, komisów samochodowych, torów psich wyścigów, sieci wypożyczalni aut, postoju taksówek w Miami obsadzonego imigrantami z Kuby z bogatą przeszłością kryminalną.

Bliscy przyjaciele Hoffy: Sam Giancana, szef chicagowskiej mafii; Santo Trafficante jr, szef mafii w Tampa na Florydzie; Carlos Marcello, szef mafii nowoorleańskiej.

Jimmy Hoffa:

Który pożyczka miliony dolarów „przyjaciołom”, nielegalnie.

Który zarabia na procencie z kasyn prowadzonych przez gangi w Hawanie na Kubie.

Który nielegalnie przemyca gotówkę kubańskiemu bojownikowi Fulgencio Batiście *jak* i podburzającemu lud rebeliantowi Fidelowi Castro.

Który dobiera się do podlegającego Teamsters Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych, obfitego źródła gotówki przypisywanego Samowi Giancanie z mafii w Chicago — poprzez system oszukańczych pożyczek: gangsterzy i nieuczciwi przedsiębiorcy pożyczają duże sumy na niemożliwie wysoki procent, a niewypłacalność grozi torturami i wyrokami śmierci.

Kemper załapał, o co chodzi: Hoovera zżera zazdrość. Zawsze twierdził, że mafia nie istnieje — bo nie był w stanie jej oskarżyć. A teraz Bobby Kennedy ma czelność mieć odmienne zdanie...

Po kolei:

Początek 1957: Komisja bierze na cel przewodniczącego Teamsters, Dave'a Becka. Ten po serii przesłuchań łamie się przed niewzruszonym Bobbym Kennedym. Sąd Najwyższy w Seattle skazuje go za przywłaszczanie mienia i uchylanie się od płacenia podatków.

Wiosna 1957: Jimmy Hoffa przejmuje całkowitą kontrolę nad Teamsters.

Sierpień 1957: Hoffa ogłasza, że związek pozbył się gangsterskich wpływów — co jest wierutnym kłamstwem.

Wrzesień 1957: Hoffa na procesie w Detroit. Oskarżenie: zakładanie podsłuchów telefonicznych członkom Teamsters. Głosy sędziów rozkładają się po równo — Hoffa unika wyroku.

Październik 1957: Hoffa zostaje wybrany przewodniczącym Teamsters. Wszechobecna plotka głosi, że 70% delegatów zostało wybranych nielegalnie.

Lipiec 1958: Komisja zaczyna badać bezpośrednie związki między Teamsters a zorganizowaną przestępczością. Dokładne zbadanie sprawy: „Konklawe w Apalachin” z listopada poprzedniego roku. Pięćdziesięciu dziewięciu wysoko

postawionych gangsterów spotkało się wtedy w północnej części stanu Nowy Jork w domu ich „cywilnego” przyjaciela. Stanowy policjant *Edgar* Croswell sprawdza rejestracje samochodów. Od tego nalotu zwyczajowe powiedzonko pana Hoovera „mafii nie ma” przestaje mieć rację bytu.

Lipiec 1958: Bobby Kennedy dowodzi, że Hoffa rozwiązał problem strajków przez przekupienie zarządu — praktyka datowana od 1949.

Sierpień 1958: Hoffa staje przed Komisją. Bobby Kennedy przesłuchuje go — i łapie na niezliczonej ilości kłamstw.

Podsumowanie notatek:

Obecnie Komisja zajmuje się ośrodkiem wypoczynkowym Słoneczna Dolina nad jeziorem Weir na Florydzie, należącym do Jimmy'ego Hoffy. Bobby Kennedy przejrzał księgi finansowe Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych i odkrył, że na tę inwestycję poszły trzy miliony dolarów — dużo więcej niż zwykle na koszty takiej budowy. Teoria Kennedy'ego: Hoffa zgarnął przynajmniej milion dla siebie i sprzedawał swoim związkowym braciom tandetne domki z prefabrykatów i moczary z aligatorami.

Ergo: nieuczciwa sprzedaż ziemi.

I na koniec:

„Hoffa ma w Słonecznej Dolinie rzecznika: Antona Williama Gretzlera, lat 46, mieszkańca Florydy z trzema wyrokami za oszustwa. Gretzler miał wezwanie do sądu na 29 października 1958, ale tajemniczo zginął.”

Kemper sprawdził listę „współpracowników Hoffy”. Jedno nazwisko zabrzmiało znajomo:

Pete Bondurant, 195 cm wzrostu, 110 kg wagi, ur. 16.07.1920, Montreal, Kanada. Nie karany. Licencjonowany prywatny detektyw i były zastępca szeryfa hrabstwa Los Angeles.

Wielki Pete: szantażysta oraz zaufany zbir Howarda Hughesa. Kiedyś razem z Wardem Littellem przymknęli go — zakatował na śmierć aresztowanego. Komentarz Littella: „To chyba najbardziej przerażający i najbardziej kompetentny gliniarz naszej ery”.

Kemper nalał sobie świeżego drinka i pozwolił myślom dryfować. Nasuwały się podobieństwa: heroiczni arystokraci, których coś jednak łączyło.

On sam lubił kobiety i oszukiwał żonę przez cały czas trwania ich związku. Jack Kennedy też lubił kobiety — a przysięgę małżeńską traktował w specyficzny i wygodny dla siebie sposób. Bobby lubił żonę i dbał o to, by ciągle zachodziła w ciążę — plotki głosiły, że jej nie zdradza.

Kemper skończył Yale, bracia Kennedy Harvard. Niemoralnie bogaci irlandzcy katolicy; niemoralnie bogaci anglikanie z Tennessee, później podupadli. Oni mieli duże i fotogeniczne rodziny; jego rodzina była rozbita,



krewni pomarli. Pewnego dnia być może opowie Jackowi i Bobby'emu o tym, jak ojciec strzelił do siebie i umierał cały miesiąc.

Południowcy i Irlandczycy z Bostonu — jedni i drudzy mieli niepasujący do tego miejsca akcent. Będzie musiał mówić z naleciałością, której tak długo nie potrafił się pozbyć.

Zajrzał do garderoby. Zaczął zastanawiać się nad szczegółami.

Czarna wełna na rozmowę wstępną. Trzydziestka ósemka w kaburze, żeby zaimponować twardzielowi Bobby'emu. I żadnych spinek do mankietów z Yale — Bobby mógł nabyć proletariackich nawyków.

Garderoba była przepastna. Z boków wisiały fotografie w ramkach.

Katherine, jego była żona, była najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek żyła. Pokazali się światu razem na balu kotylionowym w Nashville — towarzystwo nazwało ich „usobieniem południowego wdzięku”. On ożenił się z nią dla seksu i pieniędzy jej ojca. Ona rozwiodła się z nim, kiedy fortuna Boydów przepadła, a Hoover przyjrzał się jego rocznikowi ze szkoły prawniczej i *osobiście* zaproponował pracę w FBI.

Katherine w listopadzie 1940: „Lepiej uważaj na tego upierdliwego perfekcjonistę, Kemper. Myślę, że on ma na ciebie ochotę...”

Nie wiedziała, że Hoovera podniecała tylko władza.

W ramce obok: jego córka Claire z Susan Littell i Helen Agee — trzy córki FBI, zawzięte jak diabli, żeby zrobić karierę prawniczą. Były najlepszymi przyjaciółkami rozdzielonymi przez studia w Tulane i Notre Dame. Helen była oszpecona — trzymał jej zdjęcia w szafie, żeby zapobiec współczującym uwagom.

Tom Agee siedział w swoim wozie przed burdelem, robiąc rutynową obławę na rabusiów bankowych. Właśnie opuściła go żona i nie mógł znaleźć opiekunki dla dziesięcioletniej Helen. Spała na tylnym siedzeniu, kiedy bandyci zaczęli strzelać. Zabili Toma. Poparzyli twarz Helen wylotami luf i zostawili ją, żeby umarła. Pomoc nadeszła sześć godzin później. Blizny na spalonych policzkach Helen zostały jej na całe życie.

Kemper odłożył wyjściowe ubranie. Wymyślił parę kłamstw i wykręcił numer Sally Lefferts. Telefon został odebrany po dwóch sygnałach.

— Halo? — odezwał się jej synek.

— Poprosz mamę. Powiedz, że dzwoni przyjaciel z biura.

— Dobrze... pszešana.

Sally wzięła słuchawkę. — Który to z senatorów niepokoi biedną, przepracowaną asystentkę?

— To ja, Kemper.

— Kemper, co ty wyprawiasz! Dzwonisz do mnie, gdy mąż jest w ogrodzie!

- Szszej. Dzwonię po referencje.
  - Co ty pleciesz? Czyżby pan Hoover wreszcie dowiedział się, jak postępujesz z kobietami, i pokazał ci drzwi?
  - Przeszedłem na emeryturę, Sally. Wykorzystałem swój limit wychodzenia cało z różnych opresji i trzy lata wcześniej przeszedłem na emeryturę.
  - O Boże, Kemper Pryk Boyd!
  - Wciąż widzisz się z Jackiem Kennedym, Sally?
  - Od czasu do czasu, serce moje, odkąd *ty* pokazałeś *mi* drzwi. Czyżbyś chciał mu coś sprzedać, a może...?
  - Zastanawiam się nad podjęciem pracy w Komisji McClellana.
- Sally aż pisnęła: — Cóż, myślę, że powinieneś! I myślę, że to ja powinnam położyć na biurku Roberta Kennedy'ego rekomendację i czekać na tuzin diabelnie długich róż „Południowa piękność” od ciebie. Za starania!
- Ty sama jesteś południowa piękność, Sally.
  - Za bardzo byłam kobieca jak na De Ridder w Luizjanie, to fakt!
- Kemper przesłał jej całusy i odłożył słuchawkę. Sally zacznie teraz rozpowiadać, że były złodziej samochodowy FBI szuka pracy. Opowie Bobby'emu, jak unieszkodliwił alarm korwety. Nie wspomni tych wozów, które rozwalił w drzazgi.

**Z**aczął działać nazajutrz. Poszedł prosto do budynku Biur Senackich i segmentu 101. Recepcjonistka wysłuchiwała go i wcisnęła interkom:

— Panie Kennedy, jest tu mężczyzna, który chce ubiegać się o posadę detektywa. Ma zaświadczenie o przejściu na emeryturę z FBI...

Za nią rozciągało się biuro — gabinety, sale konferencyjne i urzędnicze boksy. Pracownicy prawie stykali się łokciami — brzęczało tu jak w ulu.

Uśmiechnęła się. — Pan Kennedy przyjmie pana. Proszę skrócić w pierwszy korytarz za panem.

Kemper wkroczył do ula. Biuro wyglądało nieciekawie: byle jak ustawione biurka, kosze na śmieci na widoku i blaty pełne papierów.

— Pan Boyd?

Robert Kennedy wyszedł ze swojej przegrody. Miała standardowe wymiary, standardowe biurko i dwa krzesła. Standardowy uścisk dłoni — zbyt mocny, można się było tego spodziewać.

Kemper usiadł. Kennedy wskazał na wyrzucenie kabury.

Nie wiedziałem, że emerytowanym członkom FBI wolno nosić broń.

- Przez lata przybyło mi wrogów. Emerytura nie sprawi, że przestaną mnie nienawidzić.
  - Senaccy detektywi nie noszą przy sobie broni.
  - Jeśli pan mnie zatrudni, schowam ją do szuflady.
- Kennedy uśmiechnął się i pochylił nad biurkiem.
- Jest pan z Południa?
  - Z Nashville w Tennessee.
  - Sally Lefferts mówiła, że pracował pan w FBI przez piętnaście lat, czy tak?
  - Siedemnaście.
  - I dlaczego przeszedł pan na wcześniejszą emeryturę?
  - Przez ostatnie dziewięć lat infiltrowałem środowisko złodziei samochodowych i byłem w nim już za bardzo znany. Przepisy Biura zawierają klauzulę o wcześniejszej emeryturze dla agentów, którzy przez dłuższy czas pracowali w ryzykownych warunkach. Wykorzystałem to.
  - „Wykorzystałem”? Czy to te zadania, o których pan wspominał, aż tak pana wykończyły?
  - Wcześniej zgłosiłem się do programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. Pan Hoover odrzucił mnie, mimo iż dobrze wiedział, że chciałem zwalczać przestępczość zorganizowaną. Ale nie czułem się wykończony. Raczej sfrustrowany.
  - Kennedy odrzucił włosy z czoła. — I zrezygnował pan.
  - Czy to zarzut?
  - Nie, obserwacja. Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony. FBI to organizacja ludzi ściśle ze sobą powiązanych, lojalnych. Agenci nie przechodzą na emeryturę z powodu urażonej dumy.
  - Kemper tylko trochę podniósł głos.
  - Wielu agentów zdaje sobie sprawę, że to zorganizowana przestępczość, a nie lokalny komunizm, stanowi największe zagrożenie dla Ameryki. To, co odkryto w Apalachin, zmusiło pana Hoovera do stworzenia programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”, choć z pewnym oporem. Ten program tylko koordynuje śledztwa przeciw gangom, nie szuka niezbitych dowodów dla prokuratury federalnej, ale dobre i to. Chciałem być częścią tego właśnie...
  - Kennedy uśmiechnął się.
  - Rozumiem pańską frustrację i zgadzam się z tą krytyką priorytetów pana Hoovera. Jednak wciąż dziwi mnie, że pan odszedł.
  - Kemper uśmiechnął się.
  - Zanim „odszedłem”, miałem wgląd w poufne dokumenty pana Hoovera odnośnie Komisji McClellana. Jestem na bieżąco z pracą komisji aż do sprawy

Słonecznej Doliny i pańskiego zaginionego świadka Antona Gretzlera. „Odszedłem”, bo pan Hoover z uporem maniaka koncentruje pracę Biura na nieszkodliwych lewicowcach, podczas gdy Komisja McClellana ściga prawdziwych przestępców. „Odszedłem”, bo jeśli mam wybierać między maniakami, wolabym pracować dla pana.

Kennedy wyszczerzył zęby.

— Nasz mandat kończy się za pięć miesięcy. Będzie pan bez pracy.

— Mam emeryturę FBI, a pan przesłał tyle dowodów sądom miejskim, że będą błagać pańskich detektywów, by dalej dla nich pracowali.

Kennedy pacnął w stertę papierów.

— Ciężko tu pracujemy. Sprawy się zwykle wloką. Wysyłamy pozwy, szukamy pieniędzy i tocymy spory. Nie ryzykujemy życia, kradnąc sportowe samochody, nie marnujemy czasu na lunchy czy szybkie numerki w hotelu Willard. Rozrywka dla nas to opowieści o tym, jak bardzo nienawidzimy Jimmiego Hoffy i mafii!

Kemper wstał.

— Nienawidzę Hoffy i mafii tak, jak pan Hoover nienawidzi pana i pańskiego brata.

Bobby zaśmiał się. — Za kilka dni dam panu znać.

Kemper podszedł do gabinetu Sally Lefferts. Była 14:30 — Sally nie wyszła chyba do Willarda. Jej drzwi były otwarte. Sally, skulona przy biurku, gniotła chusteczkę — blisko niej siedział okrakiem na krześle jakiś mężczyzna.

— O, to ty, Kemper — zawołała.

Była zarumieniona. Na twarzy miała wypisane „Znowu mi się nie udało”.

— Jesteś zajęta? Mogę przyjść później.

Tamten odwrócił się razem z krzesłem. Kemper rzucił: — Dzień dobry, senatorze.

John Kennedy uśmiechnął się. Sally potarła oczy.

— Jack, to mój przyjaciel Kemper Boyd.

Uścisnęli sobie ręce.

Kennedy lekko się skłonił.

— Miło mi, panie Boyd.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Sally zmusiła się do uśmiechu. Miała rozmazany makijaż — płakała.

— I jak poszła ci rozmowa, Kemper?

— Chyba nieźle. Sally, muszę iść. Chciałem ci tylko podziękować za referencje.

Wymienili lekkie ukłony. Nikt nie patrzył nikomu w oczy. Kennedy podał Sally świeżą chusteczkę.

Kemper zszedł na dół i wyszedł z budynku. Rozpętała się burza — schował się pod pomnikiem, ale i tak trochę zmókł. Ten zbieg okoliczności z Kennedymi wyglądał dziwnie. Ledwie zostawił Bobby'ego, a już spotkał Jacka. Tak jakby coś popchnęło go w tym kierunku. Ciekawe...

Pan Hoover wspomniał o Sally — jakby to ona najbardziej łączyła go z Jackiem Kennedym. Wiedział, że on i Jack tak samo lubili kobiety. Przeczuwał, że odwiedzi Sally po rozmowie z Bobbym.

Pan Hoover *przeczuwał*, że bez zwłoki poprosi Sally o referencje. Wiedział, że Bobby potrzebuje detektywów i będzie chciał wykorzystać pierwszą okazję, jaka się trafi.

Pomyśl logicznie, Kemper...

Pan Hoover ma na podsłuchu Wzgórze Kapitolu. Wie, że zerwałś z Sally w jej gabinecie — żeby uniknąć publicznych scen. Uznał, że Jack Kennedy planuje zrobić to samo — i spróbował wmanewrować cię tak, żebyś był tego świadkiem. To wyglądało całkiem logicznie. Cały Hoover. Nie jest tak do końca przekonany, że uda ci się zawrzeć układ z Bobbym. Próbuje więc umieścić cię w symbiozie z Jackiem.

Deszcz dobrze na niego działał. Błyskawica oświetliła kopułę Kapitolu. Czuł się tak, jakby cały świat miał sam do niego przyjść.

Usłyszał za sobą skrzywienie butów. Od razu wiedział, kto to.

— Pan Boyd?

Odwrócił się. John Kennedy zapinał płaszcz przeciwdeszczowy.

— Senatorze.

— Mów mi Jack.

— Dobrze, Jack.

Kennedy zadygotał. — Do diabła, czemu tu stoimy?

— Możemy pobiec do baru Mayflower i przeczekać deszcz.

— Możemy. Myślę, że nawet powinniśmy. Wiesz, Sally mówiła mi o tobie. Powiedziała, że powinienem popracować nad moim akcentem, żeby go stracić, tak jak ty. Zdziwiłem się, kiedy cię usłyszałem.

Kemper zaczął mówić bez charakterystycznego przeciągania.

— Południowcy to najlepsze gliny. Niby pytasz o duperele, ludzie cię nie doceniają i zdradzają swoje sekrety. Sądziłem, że twój brat o tym nie wie, dlatego się nie zdradzałem. Ty jesteś w Komisji McClellana, więc myślałem, że powinienem się upodobnić.

Kennedy wybuchnął śmiechem.

— Nie wydam twojego sekretu.

— Dzięki. I nie martw się o Sally. Lubi mężczyzn tak, jak my lubimy kobiety, i szybko poradzi sobie ze złamanym sercem.

— Wiedziałem, że się domyślisz. Sally wyznała mi, że porzuciła ją w podobny sposób.

Kemper uśmiechnął się. — Zawsze można na chwilę wrócić. Sally lubi czasem spędzić popołudnie w dobrym hotelu.

— Będę o tym pamiętał. Człowiek z moimi aspiracjami musi być świadomy swoich powiązań.

Kemper przysunął się do „Jacka”. Prawie widział, jak pan Hoover szczerzy w uśmiechu zęby.

— Znam wiele kobiet, które wiedzą, jak zbyt mocno się nie wiązać.

Kennedy uśmiechnął się i wyszli na deszcz.

— Chodźmy więc na drinka i pogadajmy o tym. Mam wolną godzinę przed spotkaniem z żoną.

### 3

Ward J. Littell

(Chicago, 30 listopada 1958)

**R**obota na czarno — klasyczna dla FBI metoda ścigania komuchów. Littell otworzył zamek linijką. Ręce mu się pocily — włamania do mieszkań i domów zawsze są ryzykowne. Sąsiedzi mogą usłyszeć. Hałas na korytarzu zagłuszał kroki każdego nadchodzącego.

Zamknął za sobą drzwi. Zobaczył salon: liche meble, regały na książki, plakaty związków zawodowych. Typowe mieszkanie członka Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych — dokumenty są pewnie w kredensie. I były. Tak jak standardowe fotki na ścianach: posępne stare ujęcia „Uwolnić Rosenbergow”.

Żalosne.

Przez miesiące inwigilował Mortona Katzenbacha. Słyszał mnóstwo lewicowych wyzwisk. I wiedział jedno: Morty nie stanowił żadnego zagrożenia dla Ameryki. Komuchy spotykały się przy straganie z pączkami Morty'ego. Ich

„zdrada” polegała na karmieniu strajkujących robotników fabryki samochodów.

Littell wyjął swojego Minox i pstrykał „dokumentację”. Zużył trzy rolki filmu na listy składek — we wszystkich widniało 50 dolców miesięcznie. To była męcząca, gówniana robota. Automatycznie przypomniła mu się stara śpiewka. Masz czterdzieści pięć lat. Jesteś ekspertem od podsłuchów. Byłeś w jezuickim seminarium, masz dyplom ukończenia prawa, brakuje ci dwóch lat i dwóch miesięcy do emerytury. Masz grubą exżonę, której płacisz alimenty, i córkę w Notre Dame. Jeśli zdasz egzamin przed Illinois Bar i opuścisz FBI, twoje zarobki brutto przez parę lat spokojnie zrekompensują utraconą emeryturę.

Przejrzał dwie listy „wydatków politycznych”. Morty notował swoim okrągłym piśmem: *Zwykle, Czekoladowe, Z lukrem*.

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Otwarte drzwi miał na wyciągnięcie ręki.

Faye Katzenbach wtargnęła zakupy. Spozrzęła go i pokręciła głową, jakby zobaczyła najsmutniejszą rzecz pod słońcem.

— Więc teraz jesteście zwykłymi złodziejaskami?

Littell wybiegając potrącił lampę.

**W** biurze panował nocny spokój — zaledwie paru gliniarzy przeglądało doniesienia. Littell znalazł na swoim biurku notatkę.

*Dzwonił K. Boyd. Będzie w mieście w drodze na Florydę. Pump Room o 19:00?*

Kemper... no jasne!

Chick Leahy podszedł, machając płachtami papieru.

— Potrzebuję kompletną teczkę Katzenbacha ze zdjęciami — do jedenastego grudnia. Pan Tolson przyjeżdża na inspekcję i chce przyjrzeć się KPSZ.

— Załatwione.

— Świetnie. Z pełną dokumentacją?

— Z częścią. Pani Katzenbach złapała mnie, nim skończyłem.

— O Boże. Czy...?

— Nie, *nie* zadzwoniła do Wydziału Policji w Chicago, bo wiedziała, kim jestem i co robiłem. Panie Leahy, połowa komuchów na świecie zna termin „robo-ta na czarno”...

Leahy westchnął.

— Wyrzuc to z siebie, Ward. Mam zamiar ci odmówić, ale lepiej się poczujesz, jeśli to powiesz.

— No dobrze. Wołę zadania dotyczące mafii. Chciałbym dołączyć do programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”.

— Niestety — odrzekł Leahy. — Nasz grafik PS jest pełny. Oceniam, że jako agent specjalny najlepiej nadajesz się do indoktrynacji politycznej, a to też ważne zadania. Pan Hoover uważa, że komuniści są bardziej niebezpieczni niż mafia, i muszę przyznać, że się z nim zgadzam.

Patrzyli na siebie. Littell spasował — Leahy mógłby tak stać cały dzień.

Leahy wrócił do swojego biura. Littell zatrzasnął drzwi swojego i zabrał się za robotę. Kodeks cywilny musiał jednak poczekać — myśli powędrowały w stronę Kempera Boyda.

Koniec 1953: robią obławę na porywacza w L.A. Tamten wyjmując broń; *on* trzęsie się tak, że upuszcza swoją. Ci z Wydziału Policji Los Angeles śmieją się z niego. Kemper tak pisze raport, żeby *on* okazał się bohaterem.

Protestują przeciwko przyznaniu renty po Tomie Agee — pan Hoover chce ją dać puszczalskiej żonie Toma. Kemper przekonuje go, by pieniądze przekazać jego cudem uratowanej córce; Helen ma teraz przyzwoite zabezpieczenie.

Aresztują Wielkiego Pete'a Bonduranta. *On* popełnia gafę: podśmiewa się z Pete'a po francusku. Bondurant zrywa kajdanki i rzuca mu się do gardła. *On* ucieka. Wielki Pete wybuchając śmiechem. Kemper przekupuje Bonduranta, żeby milczał — za dodatkową porcję jedzenia w celi.

Kemper nigdy nie osądzał jego tchórzostwa. Mówił: „Obaj wstąpiliśmy do Biura, by uniknąć udziału w wojnie, więc kto kogo ma osądzać?” I Kemper nauczył go, jak się włamywać — niezłe antidotum na strach. Mówił: „Jesteś moim gliniarskim spowiednikiem. Odwzajemnię ci się i będę słuchał twojej spowiedzi, ale ponieważ moje tajemnice są gorsze niż twoje, zawsze ja na tym lepiej wyjdę...”

Littell zamknął książkę. Kodeks cywilny był śmiertelnie nudny.

**P**ump Room był zatłoczony. Od jeziora wiał wiatr — ludzie się chowali. Littell zarezerwował stolik z tyłu. *Maitre d'* przyjął zamówienie na drinki: dwa martini, bez dodatków. Restauracja była czarowna: tętniła kolorowymi kelnerami i barwnym tłumem.

Dotarli drinki. Littell zamówił je, żeby wznieść szybki toast. Boyd wkroczył przez hotelowe drzwi.

Littell zaśmiał się. — Nie mów, że tu mieszkasz.

— Mój samolot odlatuje przed drugą w nocy, potrzebuję kawałka miejsca, żeby rozprostować nogi. Witaj, Ward.



- Cześć, Kemper. To jakieś pożegnanie?
- Boyd podniósł szklaneczkę.
- Za moją córkę Claire, twoją córkę Susan i Helen Agee. Niech im się wiedzie na studiach i niech będą lepszymi prawnikami niż ich ojcowie.
- Zadzwieczęła szkło.
- Z których żaden nie praktykował prawa!
- Ty byłeś przecież urzędnikiem. I słyszałem, że pisałeś nakazy deportacji, które były rozpatrywane.
- Nie jesteśmy więc tacy ostatni. Szczególnie ty. Jak tu trafiłeś?
- Mój nowy pracodawca zarezerwował mi pokój w Midway, ale postanowiłem zaszaleć i pokryć różnicę z własnej kieszeni. A różnica między Skyliner Motel a Ambassador-East jest znacząca.
- Littell uśmiechnął się.
- Cóż to za nowy pracodawca? Pracujesz w jakimś biznesie?
- Nie, to coś lepszego. Powiem ci po paru drinkach, gdy już będziesz skłonny do bluźnierstw i rzucisz „kurwa, Jezu Chryste”.
- To rzucę od razu. Dajmy sobie spokój z towarzyskimi pogawędkami, więc powiem to „kurwa” teraz.
- Boyd sęczył martini.
- Za szybko. Ale mam nowiny z frontu krnąbrnych córek. To powinno cię pocieszyć.
- Niech zgadnę. Claire przenosi się z Tulane do Notre Dame.
- Nie. Helen kończy Tulane semestr wcześniej. Przyjęli ją na Wydział Prawa w Chicago i przeprowadza się tu w przyszłym miesiącu.
- Jezu Chryste!
- Wiedziałem, że się ucieszysz.
- Helen to odważna dziewczyna. Będzie cholernie dobrym prawnikiem.
- Zgadza się. I będzie cholernie dobrą żoną pod warunkiem, że nie damy nią pomiatać jakiemuś dupkowi w jej wieku.
- To musi być taki, co...
- Zaakceptuje jej blizny?
- Tak.
- Boyd mrugnął. — Uważaj, ona ma dwadzieścia jeden lat. Wiesz, jak byście we dwójkę rozzłościli Margaret...
- Littell dopił drinka.
- I moją córkę także. A propos, Susan mówi, że Margaret spędza weekendy z jakimś facetem w Charlevoix. Ale nie poślubi go, dopóki ma moją książeczkę czekową.

— Jesteś jej szatanem. Grzechem młodości, przez który zaszła w ciążę. A w kontekście religijnych pojęć, które tak lubisz, wasze małżeństwo było czyścem.

— Nie, to moja praca jest czyścem. Dzisiaj robiłem rewizję mieszkania komucha i sfotografowałem całą stronę książki rachunkowej poświęconej pączkom. Naprawdę nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam...

Dotarły świeże drinki. Kelner uklonił się — Kemper jakoś zawsze potrafił wzbudzić szacunek.

Littell dokończył: — Ale coś tam zobaczyłem między czekoladowymi i z polewą...

— Co?

— Ten Hoover nienawidzi lewicowców, bo ich filozofia opiera się na ludzkiej słabości, podczas gdy jego własna oparta jest na upierdliwej moralności, która nie uznaje takich rzeczy.

Boyd podniósł swoją szklaneczkę. — Nigdy mnie nie zawodziś.

— Kemper...

Wokół przemykali kelnerzy. Świece rzucały złoty blask. Wniesiono płonące lody — starsza kobieta aż zapiszczała.

— *Kemper...*

— Hoover chce, bym infiltrował Komisję McClellana. Nienawidzi Bobby'ego i Jacka Kennedych i boi się, że ich tatuś kupi niedługo Jackowi Biały Dom na parę lat. Teraz, żeby oswoić obu braci, udaję emeryta FBI, który ma wykonać jakieś bliżej nieokreślone zadanie. Pochodziłem wokół pracy detektywa komisji i dziś usłyszałem, że Bobby mnie zatrudni. Za parę godzin mam być w Miami, odszukać zaginionego świadka.

Littell wyjąkał: — Kurwa, Jezu Chryste.

Na co Boyd: — Nigdy mnie nie zawodziś.

— Jak rozumiem, bierzesz dwie pensje?

— Wiesz, że kocham pieniądze.

— Wiem, a braci lubisz?

— Lubię. Bobby to mały mściwy buldog, a Jack jest czarujący i nie tak mądry, jak mu się wydaje. Bobby jest silniejszy i tak jak ty nienawidzi zorganizowanej przestępczości.

Littell pokręcił głową. — Nie ma czegoś takiego, czego ty byś nienawidził.

— Nie mogę sobie na to pozwolić.

— Nigdy nie rozumiałem twojej lojalności.

— Powiedzmy, że nie da się jej zrozumieć.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.12.1958. Oficjalny stenogram FBI rozmowy telefonicznej: „Nagrane na życzenie dyrektora/Zaklasyfikowane jako tajne 1-A: tylko do wiadomości dyrektora”. Rozmawiają: dyrektor Hoover, agent specjalny Kemper Boyd.

JEH: Pan Boyd?

KB: Dzień dobry, sir.

JEH: Tak, to dobry dzień. Czy dzwoni pan z bezpiecznego aparatu?

KB: Tak, z automatu. Połączenie może być kiepskie, bo dzwonię z Miami.

JEH: Młodszy Brat dał już panu pracę?

KB: Młodszy Brat nie traci czasu.

JEH: Proszę zinterpretować fakt, że tak szybko pana zatrudnił. Jeśli to konieczne, z nazwiskami.

KB: Młodszy Brat na początku był podejrzliwy, ale myślę, że z czasem to się zmieni. Wpadłem na Starszego Brata w gabinecie Sally Lefferts i okoliczności zmusiły nas do prywatnej rozmowy. Poszliśmy na drinka i zaprzyjaźniliśmy się. Starszego Brata, jak wielu czarujących mężczyzn, łatwo oczarować. Dobrze nam poszło i jestem pewien, że szepnął słówko Młodszemu.

JEH: Proszę opisać te „okoliczności”, o których pan wspomniał.

KB: Odkryliśmy, że obaj interesujemy się skomplikowanymi i prowokującymi kobietami, i poszliśmy podyskutować o tym do baru Mayflower. Starszy Brat potwierdził, że zamierza startować w 1960, a Młodszy Brat rozpocznie kampanię, kiedy w kwietniu zakończy się mandat Komisji McClellana...

JEH: Proszę kontynuować.

KB: Rozmawialiśmy ze Starszym Bratem o polityce. Opisałem siebie jako dziwnego liberała, według standardów Biura, które Starszy Brat...

JEH: Nie ma pan politycznych przekonań, które wpływałyby na efektywność działania w takich sytuacjach jak ta. Proszę kontynuować.

KB: Starszy Brat uznał moje rzekome przekonania polityczne za interesujące i jakby się otworzył. Powiedział, że uważa nienawiść Młodszego Brata do pana H, za cokolwiek nieestosowną, choć usprawiedliwioną. Starszy Brat z ojcem namalował, żeby Młodszy Brat ustąpił i zaproponował panu H, jakiś układ w zamian za wybielenie jego organizacji, ale młodszy brat odmówił. Według mnie, to pan H, legalnie nic nie może zrobić. Starszy Brat zgadza się z tym, tak jak wielu detektywów Komisji. Myślę, że Młodszy Brat jest niesłychanie zaangażowany i kompetentny. Czuję, że może pokonać pana H., ale nie w

najbliższej przyszłości. Myślę, że potrzeba na to wielu lat i najprawdopodobniej wielu oskarżeń. To na pewno nie stanie się podczas trwania mandatu Komisji.

JEH: Sądzi pan, że Komisja przekaże pileczkę wielkim ławom przysięgłych w chwili skończenia się jej mandatu?

KB: Tak. Myślę, że bracia potrzebują lat, by czerpać jakieś polityczne zyski z pana H. Sądzę też, że gwałtowna reakcja mogłaby zablokować i ugodzić w Starszego Brata. Kandydaci Demokratów nie mogą sobie pozwolić na antyzwiązkowy wizerunek.

JEH: Pańskie wnioski brzmią zupełnie sensownie.

KB: Dziękuję, sir.

JEH: Czy Starszy Brat wymieniał moje nazwisko?

KB: Tak. Wie o pańskiej bogatej dokumentacji dotyczącej polityków i gwiazd filmowych, które uważa pan za wywrotowe, i obawia się, że ma pan akta także na jego temat. Podałem mu, że pańskie akta dotyczące jego rodziny liczą prawie tysiąc stron.

JEH: Dobrze. Straciłby pan swoją wiarygodność, gdyby nie był pan tak szczerzy. O czym jeszcze dyskutowaliście ze Starszym Bratem?

KB: Głównie o kobietach. Starszy Brat wspomniał, że wybiera się do Los Angeles 9 grudnia. Dałem mu numer telefonu pewnej rozwiązłej kobiety o nazwisku Darleen Shoftel i nalegałem, by do niej zadzwonił.

JEH: Myśli pan, że to zrobił?

KB: Nie, sir. Ale myślę, że to zrobi.

JEH: Proszę opisać swoje dotychczasowe obowiązki w Komisji.

KB: Poszukiwałem pozwanego świadka o nazwisku Anton Gretzler, tu na Florydzie. Młodszy Brat chciał, bym wręczył mu ponowne wezwanie. Jest pewien aspekt, o którym powinniśmy porozmawiać, bo to zniknięcie Gretzlera może wiązać się z pańskim przyjacielem...

JEH: Proszę kontynuować.

KB: Gretzler był partnerem pana H, w domniemanym oszustwie w Słonecznej Dolinie. On...

JEH: Powiedział pan „był”. Przypuszcza pan, że nie żyje?

KB: Jestem tego pewien.

JEH: Proszę kontynuować.

KB: Zniknął po południu 26 listopada. Powiedział sekretarce, że idzie na spotkanie z „ewentualnym kupcem” w Słonecznej Dolinie, i już nie wrócił. Policja z Lake Weir odkryła jego wóz na pobliskich mokradłach, ale nie znaleźli ciała. Poszukali świadków i natrafili na faceta, który przejeżdżał drogą międzystanową obok Doliny w tym samym czasie, co „ewentualny kupiec”. Powiedział, że widział mężczyznę parkującego na drodze dojazdowej. Ze ten

mężczyzna odwrócił twarz, kiedy go mijał, więc raczej go nie rozpozna. Ale go opisał. Metr dziewięćdziesiąt albo dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, „duży”, sto dwadzieścia kilo wagi. Ciemne włosy, 35-40 lat. Myślę, że to...

JEH: Pański stary kumpel Peter Bondurant. On jest wyjątkowo postawny i figuruje na liście znanych współpracowników pana H., którą panu dałem.

KB: Właśnie, sir. Sprawdziłem na lotnisku i w wypożyczalni aut w Los Angeles i Miami. Okazało się, że są rachunki na Hughes Aircraft — jestem pewien, że wystawił je Bondurant. Wiem, że 26 listopada był na Florydzie i raczej jestem pewny, że pan H, wynajął go, aby zabił Gretzlera. Wiem, że pan i Howard Hughes jesteście przyjaciółmi, więc pomyślałem, że najpierw powiem o tym panu, a później Młodszemu Bratu.

JEH: Absolutnie niech pan nie informuje o tym Młodszego Brata. Wynik pańskiego dochodzenia będzie następujący: Gretzler zaginął, prawdopodobnie nie żyje. Nie ma motywu, nie ma świadków. Pete Bondurant jest nieoceniony dla Howarda Hughesa, który z kolei jest wartościowym przyjacielem Biura. Pan Hughes nabył właśnie magazyn skandali, by móc rozpowszechniać polityczne informacje korzystne dla Biura, a ja nie chcę go drażnić. Rozumie pan?

KB: Tak, sir.

JEH: Chcę, żeby poleciał pan do Los Angeles z ramienia Biura i zaskoczył Pete'a Bonduranta podejrzeniami. Niech będzie panu dłużny. I wie, że może mu pan zaszkodzić. Gotowość do pokojowych negocjacji zachowajmy na potem. A kiedy pozwolą panu na to obowiązki wobec Komisji, niech pan wróci na Florydę i skończy to, co zostało do zrobienia w sprawie Gretzlera.

KB: Przenocuję tutaj i polecę do L.A, jutro wieczorem.

JEH: Dobrze. Kiedy będzie pan w Los Angeles, proszę założyć podsłuch w domu tej Darleen Shoftel. Jeśli Starszy Brat skontaktuje się z nią, chcę o tym wiedzieć.

KB: Ona się nie zgodzi, więc będę musiał załatwić to po cichu. Czy mogę wziąć ze sobą Warda Littella? On jest specem od podsłuchów.

JEH: Dobrze. To mi przypomniało, że Littell bardzo chciał kiedyś brać udział w programie „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. Myśli pan, że przeniesienie tam będzie właściwą nagrodą za tę robotę?

KB: Będzie zachwycony.

JEH: Dobrze, ale pozwoli pan, że ja go o tym poinformuję. Do widzenia, panie Boyd. Udzielam panu pochwały za dobrze wykonane zadanie.

KB: Dziękuję, sir. Do widzenia.

# 4

(Beverly Hills, 4 grudnia 1958)

Howard Hughes pokręcił korbą i materac na jego łóżku podniósł się.

— Nie masz pojęcia, jakie bezpłciowe były dwa ostatnie wydania. *Cicho sza!* jest teraz tygodnikiem, co zdecydowanie podnosi zapotrzebowanie na interesujące plotki. *Potrzebujemy nowego tropiciela skandali*. Ty jesteś od weryfikacji tekstów, Dick Steisel od strony prawnej, a Sol Maltzman od pisania kawałków, ale jesteśmy warci tylko tyle, ile nasze skandale, a nasze skandale są niewinne i śmiesznie nudne.

Pete rozciągnął się w fotelu i przekartkował ostatnie wydanie. Na okładce: „Robotnicy-imigranci przenoszą choroby weneryczne!”. Obok: „Pola Hollywood — niebo dla homo!”

— Popracuję nad tym. Szukamy przecież gościa z cholernie wyjątkowymi kwalifikacjami, a na to trzeba czasu.

— Znajdź go wreszcie — polecił Hughes. — I powiedz Solowi Maltzmanowi, że w nowym numerze ma być artykuł „Przeludnienie wśród czarnych powoduje epidemię gruźlicy”, na tytułowej.

— Czy nie posuwamy się za daleko?

— Fakty można nagiąć tak, żeby popierały każdą tezę.

— Powiem mu, szefie.

— Dobrze. A gdy będziesz wychodził...

— Mam kupić trochę towaru i strzykawek jednorazowych? *Tak jest!*

Hughes wzдрыgnął się i włączył telewizor. „Brygada śniadaniowa szeryfa Johna” opanowała sypialnię — wrzeszczące dzieciaki i rysunkowe myszy wielkości Lassie.

Pete ruszył na parking. O jego samochód, jak o swój, opierał się agent specjalny Pieprzony Kemper Boyd. Sześć lat starszy i ciągle przystojny. Ciemnoszary garnitur musiał kosztować co najmniej czterysta dolarów.

— Co jest?

Boyd splótł ramiona.

— Przyjacielska rada od pana Hoovera. Przejętego twoją dodatkową pracą dla Jimmy'ego Hoffy...

— O czym ty mówisz?

— Mam „wtyczkę” w Komisji McClellana. A oni rejestrują rozmowy z paru automatów koło domu Hoffy w Wirginii. Bo ten cieniem Hoffa gada na tematy służbowe z publicznych budek na żetony...

— Mów dalej. Na razie te gadki na żetony to bzdura, ale zobaczymy, dokąd cię to zaprowadzi.

Boyd mrugnął — skurwysyn o stalowych jajach.

— Po pierwsze: Hoffa dzwonił do ciebie dwa razy w zeszłym miesiącu. Po drugie: kupiłeś bilet powrotny z L.A, do Miami pod fałszywym nazwiskiem i na rachunek Hughes Aircraft. Po trzecie: wynajęłeś wóz w wypożyczalni należącej do Teamsters i *chyba* cię widziano, jak czekałeś na kogoś o nazwisku Anton Gretzler. Myślę, że Gretzler nie żyje, i to Hoffa wynajął cię, żebyś go załatwił.

Nigdy nie znajdują ciała: wrzucił Gretzlera w mokradła i patrzył, jak pożerają go aligatory.

— No to zaaresztuj mnie.

— Niestety. Pan Hoover nie lubi Bobby'ego Kennedy'ego i nie chce też martwić pana Hughesa. Woli żyć z tobą i Jimmym na wolności, i ja też muszę.

— Więc?

— Więc zrobmy coś miłego dla pana Hoovera.

— Podpowiedz co. Umieram z ciekawości.

Boyd uśmiechnął się.

— Naczelnym w *Cicho sza!* to komuch. Wiem, że pan Hughes lubi tanich pomocników, ale lepiej go szybko wylej.

Pete odparł bez wahania: — Zrobię to. A ty powiedz panu Hooverowi, że jestem patriotą i wiem, co znaczy słowo „przyjaźń”.

Boyd odszedł — bez skinienia, bez mrugnięcia zwolnił świadka. Dwa rzędy dalej wsiadł do niebieskiego fordka z nalepką Hertza na zderzaku.

Pieprzony Boyd odjechał, machając na pożegnanie.

A Pete pognął do hotelowego telefonu i wykręcił do informacji. Telefonistka podała mu numer do Hertza. Zadzwoił. Odebrała kobieta:

— Dzień dobry, wypożyczalnia samochodów Hertz.

— Dzień dobry, mówi oficer dyżurny Peterson z Wydziału Policji Los Angeles. Potrzebuję danych dotyczących klienta używającego jednego z waszych aut.

— Czy był jakiś wypadek?

— Nie, to rutynowa kontrola. Niebieski ford fairlaine, rocznik pięćdziesiąty szósty, rejestracja: V jak Victor, D jak Dorothy, H jak Henry, 4-9-0.

— Chwileczkę, oficerze.

Pete czekał. Po głowie tłukło mu się: Boyd i McClellan.

— Mam dane.

— Słucham.

— Samochód wypożyczył pan Kemper C. Boyd, w tej chwili mieszka w hotelu Miramar w Santa Monica. W umowie jest napisane, że rachunek ma być przesłany do Komisji Śledczej Senatu. Wystarczy to panu?

Pete odwiesił słuchawkę. W głowie grało mu stereo.

Dziwne: Boyd w samochodzie wynajętym przez Komisję... Dziwne, bo Hoover i Bobby Kennedy byli rywalami. Boyd jest człowiekiem FBI i gliną Komisji? — Hoover nigdy nie pozwoliłby mu pracować na lewo.

Boyd był sprytny w pracy — i dobry w udzielaniu ostrzeżeń.

Odpowiedni facet, żeby szpiegować Bobby'ego? — „Być może” a nawet „Tak”!

Sol Maltzman mieszkał w Silverlake — w ruderze nad wypożyczalnią garniturów. Pete zapukał. Sol otworzył, wkurzony — iksonogi dureń w bermudach i koszulce.

— Co jest, Bondurant? Jestem bardzo zajęty.

„Bą-diu-rą” — ten komuchowaty fiutek wymówił jego nazwisko z francuska.

Chata cuchnęła papierosami i kocim gównem. Z mebli obłaziła okleina, drewniana szafa przysłaniała pół okna.

*On ma całe stosy brudów Hollywoodu. To typ, który przechowuje skandale o dziwkach.*

— No, „Bą-diu-rą”, co jest?

Pete sięgnął po plik papierów pod lampą. Wycinki prasowe o Ike'u i Dicku Nixonie — tandeta.

— Odlóż to i mów, czego chcesz!

Pete złapał go za kark.

— Wylatujesz z *Cicho sza!*. Ale ja wiem, że masz trochę skandalików wartych wykorzystania. Jeśli wyjawisz je teraz, oszczędzisz mi fatygi i powiem panu Hughesowi, żeby wypłacił ci odprawę.

Sol wrywał mu się — cienki pedzio, skaczący mu do oczu. Pete puścił go. I walnął w kark, zostawiając wielki siniak.

— Założę się, że w tej szafie kisisz dobry towar.

— Nie! Tam nie ma nic, co by cię interesowało!

— To otwórz ją.

— Nie! Jest zamykana na szyfr, ale nie podam ci go!

Pete kopnął go w jaja. Maltzman zwałił się na podłogę, z trudem łapiąc powietrze. Pete oderwał mu kawałek koszulki i wepchnął w usta.

Zerknął na telewizor przy tapeczanie — taaak, dobry do zagłuszenia. Włączył go i podkreślił dźwięk do oporu. Na ekranie pojawiła się reklama, wrzaskliwe gównem o nowym buicku. Pete wyciągnął gnata i przestrelił zamek — drzazgi



rozprysły się wokół. Wypadły trzy teczki — na jakieś trzydzieści stron skandali.

Sol Maltzman jęczał przez szmatę w ustach. Pete skopał go do nieprzytomności i ściszył telewizor.

**M**iał trzy teczki i ssanie w żołądku. Na to drugie mógł być Stek De-Luxe u Mike'a Lymana. Skandali też spodziewał się De-Luxe: Sol nie trzymałby bezwartościowych informacji.

Pete zajął tylny stolik i zamówił żeberka z ziemniakami i cebulą. Położył teczki tak, aby łatwo je było czytać.

W pierwszej znajdowały się zwykle zdjęcia i pisane na maszynie notatki. Żadnych hollywoodzkich plotek; żadnej pożywki dla *Cicho sza!*

Na fotkach leżały wyciągi bankowe i zwrot podatku dochodowego. Nazwisko płatnika brzmiało znajomo: kumpel pana Hughesa, George Killebrew, jakiś sługus Dicka Spryčiui Nixona. Nazwisko na wyciągach brzmiało: „George Killington”. Konto w 1957 opiewało na 87 416,04 \$. A dochód George'a Killebrew wynosił 16 850 \$. Mała zmiana nazwiska — próba ucieczki przed wyższym progiem podatkowym...

Sol Maltzman napisał: „Pracownicy banku potwierdzają, że Killebrew przechowywał 87 000 \$ z wpłat gotówkowych po pięć, dziesięć tysięcy. Potwierdzają też, że numer identyfikacji podatkowej, jaki podał, był fałszywy. Wypłacił całość w gotówce, łącznie z sześcioma tysiącami odsetek, zamykając rachunek, nim bank wysłał standardowe powiadomienie o zysku z depozytu do federalnych władz podatkowych”.

Niezgłoszone dochody i niezadeklarowany przychód z lokaty. Bingo: przekręt podatkowy jak nic!

Pete w końcu zaskoczył: Komisja Białego Domu ds. Działalności Antyamerykańskiej (HUAC) olała Sola Maltzmana. Jej członkiem był Dick Nixon, a George Killebrew pracował dla niego.

Teczka numer dwa zawierała dużo zdjęć seksu oralnego. Strona dająca: nastolatek. Strona biorąca, zidentyfikowana przez Sola Maltzmana: „Doradca Komisji, Leonard Hosney, lat 43, zamieszkały w Grand Rapids w Michigan. Moja harówka dla *Cicho sza!* w końcu wynagrodzona przez wykidajkę z męskiego burdelu w Hermosa Beach. Zaproponował mi te zdjęcia i zapewnił, że chłopak jest szaraczkiem. W przyszłości gotów dostarczyć nowe fotki”.

Pete wypalił papierosa do końca. Zdjęcie detali było najlepsze.

Te teczki były zemstą Sola na Komisji. Swego rodzaju cholerną pokutą: Sol pisał odchylone na prawo paszkwile i chował to gównno, żeby się później zemścić.

W teczce numer trzy znalazł więcej zdjęć: ujęcia anulowanych czeków, depozytów i banknotów. Pete odsunął jedzenie — to będzie najlepszą przynętą.

Sol Maltzman pisał: „Polityczne implikacje faktu, że Howard Hughes pożyczyl w 1956 roku 200 000 \$ bratu Richarda Nixona, Donaldowi, są zdumiewające, zwłaszcza że Nixon ma być kandydatem na prezydenta z ramienia Republikanów w 1960. To oczywisty przypadek kupowania wpływów politycznych przez wyjątkowo bogatego przemysłowca. Może być drobiazgowo poparty wieloma przykładami polityki inicjowanej przez Nixona ewidentnie korzystnej dla Hughesa”.

Pete ponownie sprawdził zdjęcia. Dowody były solidne — i kompletne.

Jedzenie wystygło. I przepocił swoją wykrochmaloną koszulę.

Bo wiedza, którą posiadał, była jak eksplozja.

Ten dzień składał się z asów i ósemek — kart, którymi trudno grać, ale nie sposób je odłożyć. Mógł dalej trzymać się skandali Hughesa i Nixona. Mógł pozwolić Gail pracować w *Cicho sza!* — miała trochę praktyki, poza tym była zmęczona rozwodowymi szantażami.

Ludzie z HUAC byli wyjątkowo nadziani, a przekrety finansowe uchodziły im na sucho. Spotkanie z Kemperem Boydem sprawiło, że czujniki w głowie zaczęły mu migotać.

Ruszył do hotelu Miramar, by obserwować parking. Wóz Boyda stał z tyłu przy basenie. Sporo kobiet w kostiumach kąpielowych opalało się — warunki inwigilacji nie najgorsze.

Godziny mijały. Kobiety przychodziły i odchodziły. Aż nadciągnął zmierzch i widok nie był już tak dobry. Przez głowę przeleciało mu Miami — taksówki w tygrysie pasy i głodne aligatory. 18.00, 18.30, 19.00, 19.22: Boyd i Ward Pieprzony Littell obeszl basen. I wsiedli do wypożyczonego wozu Boyda. Wyjechali w stronę zjazdu do Wilshire.

Littell był Przestraszonym Palantem, a Boyd Opanowanym Palantem. Ścieżka Pamięci: federalni i on razem dzielący historię.

Włączył się do ruchu dwa auta za nimi. Jechali na wschód do Wilshire, Barington, potem na północ do Sunset. Pete zwolnił i przeskakiwał z pasa na pas — lubił takie akcje. Był w tym dobry. A Boyd był po uszy staroświecki — normalne. Od Sunset ciągnęli na wschód: Beverly Hills, Strip, Hollywood. W końcu Boyd skręcił na północ w Alta Vista i zaparkował — między przecznicami wśród podobnych domów.

Pete zjechał do krawężnika trzy domy dalej. Boyd i Littell wysiedli, pod latarnią. Założyli rękawiczki. Chwycili latarki. Littell otworzył bagażnik i sięgnął po skrzynkę z narzędziami.

Podeszli do otynkowanego na różowo domu, otworzyli zamek i weszli. Światło latarek skakało po szybach. Pete zawrócił i zapamiętał adres: Północna 1541. Musieli zakładać podsłuch.

Zabłysło światło w salonie. Skurczybyki robili to na żywo!

Pete sięgnął po notatnik z tylnego siedzenia. Przekartkował go.

Północna Alta Vista 1541 pasowało do: Darleen Shoftel, HO3-6811.

Taka robota zajmie im z godzinę — zdążyłby do niej zadzwonić. Na rogu dostrzegł budkę telefoniczną — mógł jednocześnie rozmawiać i obserwować dom.

Przeszedł się tam i zadzwonił do komisariatu hrabstwa. Odebrała Karen Hiltsher — od razu poznał jej głos.

— Biuro Danych, słucham.

— Karen, mówi Pete Bondurant.

— Poznałeś mnie?

— Taki głos zawsze. Słuchaj, mogłabyś kogoś dla mnie sprawdzić?

— Chyba tak, choć nie jesteś już zastępcą szeryfa i naprawdę nie powinienam.

— Dobra kumpela z ciebie.

— Tak, szczególnie po tym, jak ty...

— Chodzi o Darleen Shoftel — D-A-R-L-E-E-N, S-H-O-F-T-E-L. Ostatni znany adres: Północna Alta Vista 1541, Los Angeles. Sprawdź wszystko, co...

— Wiem, co mam robić, Pete. Poczekaj.

Czekał. W okolicy zapalały się inne światła — federalni mieli przykrywkę.

Karen wróciła na linię: — Darleen Shoftel, biała, urodzona 9 marca 1932. Nienotowana, jeśli chodzi o prawo federalne, ale jest w papierach West Hollywood Vice. Z datą 14 sierpnia 1958. Skargę na nią złożyło kierownictwo Dino's Lodge. Oskarżona o uprawianie prostytucji przy barze. Przesłuchana i zwolniona, śledczy opisał ją jako „dziewczynkę z klasą”.

— To wszystko?

— Chyba nieźle, jak na jedną rozmowę...

Pete rozłączył się. Zobaczył, że w domu gasną światła, i zerknął na zegarek.

Boyd i Littell wyszli. Szesnaście minut — światowy rekord w zakładaniu podsłuchu.

Odjechali. Pete oparł się o budkę i wyobraził sobie scenariusz.

Sol Maltzman dopinał swój własny plan, nieznanym federalnym. Boyd znalazł się w mieście, by ostrzec go, że wie o Gretzlerze, i okablować chatę call girl.

I nieźle mu nakłamał: *Mam „wtyczkę” w Komisji McClellana.*

Wiedział, że to Pete załatwił Gretzlera — świadka Komisji McClellana. I powiedział o tym Hooverowi. Na co Hoover: „To nie mój problem”.

Samochód Boyda: wystawiony na Komisję McClellana. Hoover: znany wróg Bobby'ego Kennedy'ego i mistrz podstępu. Boyd, gładki i wykształcony: naprawdę dobry do infiltracji.

Pytanie nr 1: Czy infiltracja łączy się z podsłuchami? Pytanie nr 2: Jeśli przełoży się to na pieniądze, kto *mnie* wypisze czek?

Może Jimmy Hoffa — główny cel Komisji McClellana. Fred Tarentine mógłby założyć podsłuch federalnym i słyszeć wszystko, co mówią.

Pete ujrzał \$\$\$ — trójkę w jednorękim bandycie.

**W**rócił do budy podwórzowego burka. Gail chodziła po tarasie — ognik papierosa kołysał się w górę i w dół, zgodnie z rytmem jej kroków.

Zaparkował i podszedł. Kopnął przepelnioną popielniczkę, rozrzucając niedopałki prosto na krzewy róż. Gail cofnęła się zaskoczona. Pete odezwał się miękkiem i niskim głosem:

— Długo tu siedzisz?

— Parę godzin. Sol dzwonił co dziesięć minut, błagając o oddanie papierów. Mówił, że ukradłeś mu kilka teczek i pobiełeś go.

— To były interesy.

— Był roztrzęsiony. Nie mogłam go słuchać.

Pete dotknął jej ramion. — Zimno tu. Chodźmy do środka.

— Nie. Nie chcę.

— Gail...

Odsunęła się. — Nie! Nie chcę wracać do tego okropnego, wielkiego domu!

Pete wyłamywał palce. — Zajmę się Solem. Już nie będzie cię niepokoił.

Gail zaśmiała się — przenikliwie, dziwnie i jeszcze jakos.

— To akurat wiem.

— O co ci chodzi?

— On nie żyje. Zadzwoiłam, żeby go uspokoić, i odebrał policjant. Powiedział, że Sol się zastrzelił.

Pete wzdrygnął się. Nie wiedział, co zrobić z rękami. Gail pobiegła do swojego samochodu. Z piskiem odjechała spod domu, prawie potrącając jakąś kobietę z wózkiem.

# 5

(Waszyngton, D.C., 7 grudnia 1958)

Ward bał się. Kemper wiedział dlaczego: o prywatnych spotkaniach pana Hoovera krążyły legendy. Czekali razem przed biurem. Ward siedział sztywno, wstrzymując oddech. Kemper wiedział, że Hoover spóźni się dokładnie dwadzieścia minut. Chciał, żeby Ward się denerwował. Wiedział, że *on sam* jest tu dla większego efektu.

Zdał już telefoniczny raport: robota u Shoftel przebiegła bez zakłóceń. W Los Angeles wyznaczono agenta, który miał monitorować podsłuch, a nagrania kierować do Littella w Chicago. Superspec od podsłuchu Ward miał wybierać najlepsze fragmenty i przysyłać je panu Hooverowi.

Nie spodziewano się Jacka w L.A, przed 9 grudnia. Darleen Shoftel odstawiła cztery numery w ciągu nocy – facet od podsłuchu podziwiał jej kondycję. W *L.A. Times* ukazała się krótka notatka o samobójstwie Sola Maltzmana. Hoover skwitował, że Pete Bondurant prawdopodobnie „wylał go” w zbyt ostry sposób.

Ward skrzyżował nogi i wyprostował krawat. Spokojnie: pan Hoover nienawidzi nerwusów. Wezwał nas tu, żeby cię nagrodzić – więc się wy-luzuj.

Wszedł Hoover. Kemper i Littell wstali.

– Dzień dobry panom.

– Dzień dobry, sir – odpowiedzieli unisono, bez żadnego echa.

– Obawiam się, że mamy mało czasu. Zaraz czeka mnie spotkanie z wiceprezydentem Nixonem.

– Bardzo się cieszę, że mogłem tu przyjść – rzekł Littell.

Kemper niemal się skrzywił: nie przerywaj własnymi komentarzami, nawet tak służalczyymi.

– Mój rozkład dnia zmusza mnie do zwięzłości. Panie Littell, doceniam to, co pan i Boyd zrobiliście w Los Angeles. W nagrodę przenoszę pana do chicagowskiego oddziału „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. Czynię to ku niezadowoleniu agenta specjalnego Leahy'ego, który uważa, że najlepiej radzi pan sobie z inwigilacją polityczną. Zdaję sobie sprawę, Littell, że uważa pan Partię Komunistyczną Stanów Zjednoczonych za organizację mało efektywną, jeśli nie dogorywającą. Uważam tę opinię za wysoce niedorzeczną i mam szczerą nadzieję, że popracuje pan nad tym. Jest pan moim osobistym współpracownikiem, ale ostrzegam, niech nie skusi pana niebezpieczne życie.

Nie sądzę, żeby radził sobie pan z nim tak dobrze jak Kemper Boyd.

## 6

(Waszyngton, D.C., 8 grudnia 1958)

Littell odwał papierkową robotę w szlafroku. Miał wyjątkowo radosnego kaca: świętowali przy Cordon Rouge i Glenlivecie. Efekt obrazowy: puste butelki i hotelowe wózki ze stosami nietkniętego jedzenia.

Kemper zachowywał się powściągliwie. On nie. „Zwiąźłość” Hoovera bolała; szampan i szkocka pozwoliły mu śmiać się z tego. Kawa i aspiryna niewiele pomogły na kaca. A z powodu śnieżycy zamknięto lotnisko — był uziemiony w pokoju hotelowym. Hoover przesłał kopie akt do przestudiowania.

TAJNE AKTA ODDZIAŁU „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” W CHICAGO: CZŁOWI PRZESTĘPCY, MIEJSCA, METODY DZIAŁANIA I ISTOTNE OBSERWACJE.

Było tego sześćdziesiąt obfitych w szczególności stron. Littell łyknął kolejne dwie aspiryny i podkreślał najważniejsze dane.

*Aktualny cel programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” (opisany w dyrektywie Biura nr 3401 z 19.12.1957) to gromadzenie informacji o przestępczości zorganizowanej. Na chwilę obecną, aż do otrzymania bezpośredniego polecenia o zastosowaniu materiałów, wszelkie zgromadzone dane są przechowywane wyłącznie do użytku w przyszłości. Program „PS” nie jest upoważniony do gromadzenia informacji i wykorzystywania ich w procesie zbierania materiału dowodowego dla prokuratury federalnej. Informacje kryminalne uzyskane dzięki metodom inwigilacji elektronicznej mogą być, według uznania regionalnej komendy, przesyłane do miejskich komisariatów i prokuratury.*

W skrócie: Hoover wie, że nie może zaskarżyć mafii i wygrać. Nie poświęci prestiżu Biura dla okazjonalnych wyroków.

*Oddziały „PS” mogą samodzielnie stosować metody inwigilacji elektronicznej. Taśmy i zapisy rozmów muszą być przechowywane i przesyłane do regionalnych komend na okresowe odprawy.*

Carte blanche na podsłuch — dobrze.

Oddział „PS” w Chicago zastosował penetrację elektroniczną (wyłącznie mikrofony miejscowe) w Zakładzie Krawieckim Celano przy North Michigan Avenue 620. Zarówno Biuro Prokuratora U.S. (Region Północne Illinois), jak i Wydział Szeryfa Hrabstwa Cook uważają to miejsce za nieformalną kwaterę wysoko postawionych chicagowskich gangsterów, ich zastępców i wybranych podwładnych. Na miejscu stworzono obszerny zbiór taśm i stenogramów.

Priorytetem agentów programu „PS” powinno być przekupywanie informatorów. Na dzisiaj (19.12.1957) nie dysponujemy żadnym informatorem posiadającym gruntowną wiedzę na temat Syndykatu Przystępczości Chicago. Uwaga: wszystkie transakcje obejmujące wymianę informacji za gwarantowane przez Biuro pieniądze muszą być najpierw zaakceptowane przez regionalną komendę.

W tłumaczeniu: ZNAJDŹ WŁASNEGO KAPUSIA.

Mandat programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” zezwala na zatrudnienie sześciu agentów i jednej stenografistki w jednym biurze regionalnym. Budżet roczny nie może przekraczać limitu ustalonego w dyrektywie Biura nr 3403 z 19.12.1957.

Tu następowały liczby i numery akt. Littell przeszedł do CZOŁOWYCH PRZESTĘPCÓW.

Sam Giancana, urodzony w 1908. Znany jako: „Mo”. „Momo”. „Mooney”. Giancana jest chicagowskim „Szefem szefów”. Jest następcą Ala Capone, Paula „Kelnera” Ricca i Anthony’ego „Joe Boksera” I „Wielkiego Tuńczyka” Accardo w dziedzinie hazardu, lichwy, gier liczbowych, automatów z produktami, prostytutce i oszustw na rynku pracy. Giancana był osobiście zaangażowany w liczne przypisywane mafii morderstwa. Nie przyjęto go do wojska podczas II wojny światowej, bo był „urodzonym psychopatą”. Giancana mieszka na przedmieściu Oak Park. Często jest widywany w towarzystwie swojego osobistego ochroniarza Dominica Michaela Montalvo, znanego jako „Konował Montrose”, urodzonego w 1919. Giancana jest bliskim współpracownikiem przewodniczącego Międzynarodowego Bractwa Teamsters Jameasa Riddle’a Hoffy. Krąży pogłoski, że miał prawo głosu przy rozdziale pożyczek z należącego do Teamsters Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych, wyjątkowo zamożnego i podejrzanego zarządzanego funduszu powierniczego związków zawodowych, przeprowadzającego wiele nielegalnych transakcji.

Gus Alex, rocznik 1916. (Liczne pseudonimy.) Alex jest byłym szefem gangsterów z North Side, obecnie działa jako „układacz” i łącznik stron pomiędzy chicagowską mafią a skorumpowanymi elementami Wydziału

Policji z Chicago i Biura Szeryfa Hrabstwa Cook. Jest bliskim współpracownikiem Murray'a Llewellyna Humphreya sa, znanego jako „Dymacz” i „Wielbłąd”, rocznik 1899. Humphreys jest „mężem stanu” chicagowskiej mafii. Przeszedł na częściową emeryturę, ale czasami konsultuje polityczne decyzje mafii.

John „Johnny” Rosselli, rocznik 1905. Rosselli jest bliskim współpracownikiem Sama Giancana i pracuje jako rzecznik będącego własnością mafii Hotelu Stardust i kasyna w Las Vegas. Mówi się o nim, że ma okazałe holdingi hoteli i kasyn w Hawanie na Kubie razem z kubańskimi magnatami hazardu Santo Trafficante juniorem i Carlosem Marcello, bossami mafii z Tampa na Florydzie i Nowego Orleanu w Luizjanie.

I kolejne listy znanych współpracowników i inwestycji. Zaskakujące: Giancana/Hoffa/Rosselli/Trafficante/Marcello i pozostali znali każdego znaczącego gangstera w każdym dużym mieście Stanów i posiadali prawnie uzasadnione udziały w firmach przewozowych, klubach nocnych, fabrykach, koniach wyścigowych, bankach, kinach, lunaparkach i ponad trzystu włoskich restauracjach. Ogólny stosunek oskarżeń do wyroków skazujących wynosił 308 do 14.

Littell przeleciał wzrokiem dodatek: POMNIEJSI PRZESTĘPCY. Szefowie nie będą donosić — ale mniejsze ryby mogą.

Jacob Rubinstein, rocznik 1911. Znany jako „Jack Ruby”. Prowadzi klub ze striptizem w Dallas, stan Teksas, i macza palce w drobnej lichwie. Krążą pogłoski, że co jakiś czas dostarcza mafijne pieniądze kubańskim politykom, łącznie z prezydentem Fulgencio Batista i liderem buntowników Fidelem Castro. Rubinstein/Ruby urodził się w Chicago i podtrzymuje ożywione kontakty z chicagowską mafią. Często tu przyjeżdża.

Herschel Meyer Ryskind, rocznik 1901. Znany jako „Hersh”. „Hesh”. „Heshie”. Jest byłym (z lat trzydziestych) członkiem „Purpurowego Gangu” z Detroit. Mieszka w Arizonie i Teksasie, ale utrzymuje silne związki z mafią chicagowską. Mówi się, że aktywnie uczestniczy w handlu heroiną na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej. Jest domniemanym przyjacielem Sama Giancana i Jamesa Riddle'a Hoffy. Rozstrzygał spory pracownicze dla chicagowskiej mafii.

„Domniemany”/”Mówi się, że”/”Podobno”. Kluczowe frazy wyrażające kluczową prawdę: informacje były niepewne i niejednoznaczne. Hoover naprawdę nie zwalczał mafii — „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” było jego odpowiedzią na Apalachin.

Lenny Sands, rocznik 1924. (Właściwie: Leonard Joseph Seidelwitz), znany jako „Żydek Lenny”. Uważany za maskotkę mafii. Formalnie zatrudniony w lokalu rozrywkowym. Często zabawia mafię i spotkania Teamsters hrabstwa



Cook. Sands podobno dostarcza czasami mafijne fundusze oficerom kubańskiej policji (część wysiłków mafii, aby utrzymać przyjazny polityczny klimat na Kubie) i dba o powodzenie hawańskich kasyn. Ma sieć automatów do sprzedaży i jest zatrudniony w półlegalnym lokalu mafii chicagowskiej „Vendo-King”. (Uwaga: Sands jest dobrze ustawioną, drugoplanową postacią przemysłu rozrywkowego Las Vegas i Los Angeles. Podobno dawał senatorowi Johnowi Kennedy'emu (D-Massachusetts) lekcje wymowy podczas jego kampanii do kongresu w 1946).

Mafijny komediant znalazł Jacka Kennedy'ego. A on założył podsłuch w mieszkaniu dziwki, żeby go przylapać.

Littell przerzucał kartki w tył i w przód: od POMNIEJSI PRZESTĘPCY do ISTOTNE OBSERWACJE.

Terytorium mafii chicagowskiej jest podzielone geograficznie. North Side, Near North Side, South Side, Loop, Lakefront oraz północne przedmieścia są nadzorowane przez pomniejszych szefów, którzy bezpośrednio podlegają Samowi Giancanie.

Mario Salvatore D'Onofrio, rocznik 1912. Znany jako „Szalony Sal”. Jest niezależnym lichwiarzem i bukmacherem. Pozwala mu się na działanie, bo płaci Samowi Giancanie spory haracz. D'Onofrio był skazany za morderstwo drugiego stopnia w 1951 i odsiedział pięcioletni wyrok w więzieniu stanowym Illinois w Joliet. Więzienny psychiatra opisał go jako „psychopatycznego sadystę niekontrolującego psychoseksualnego popędu do zadawania bólu”. Niedawno był podejrzany o torturowanie i morderstwo dwóch graczy w golfa z Klubu Boba O'Linka, którzy podobno byli mu winni pieniądze.

Rosnie liczba niezależnych lichwiarzy i bukmacherów. To skutek polityki Sama Giancany, który wymusza wysokoprocentowe haracze. Jeden z najstraszliwszych pomocników Giancany, Anthony „Lodołamacz Tony” Iannone (rocznik 1917), jest łącznikiem mafii z niezależnymi frakcjami bukmacherów i lichwiarzy. Uważa się, że to na Iannone'em spoczywa odpowiedzialność za okaleczenie i zamordowanie co najmniej dziewięciu mocno zadłużonych klientów lichwiarzy.

Nazwiska skakały przed oczami. Rozśmieszały go dziwaczne pseudonimy.

Tony „Mrówka” Spilotro, Felix „Phil z Milwaukee” Alderisio, Frank „Mocny Frank” Ferraro. Joe Amato, Joseph Cesar Di Varco, Jackie „Lokaj” Cerone.

Fundusz Emerytalny Stanów Środkowych należący do Teamsters pozostaje źródłem nieustannych spekulacji na temat przestrzegania prawa. Jak zaakceptowano pożyczkę z funduszu dla Sama Giancany? Kto zatwierdza

*procedurę udzielania pożyczek przestępcom, półlegalnym biznesmenom i naciągaczom szukającym kapitału?*

Jimmy „Turek” Torello, Louie „Sęp” Eboli.

*Dział Informacji Wydziału Policji w Miami uważa, że Sam Giancana jest cichym partnerem Taxi-Tygrys, należącej do Teamsters firmy taksówkowej prowadzonej przez kubańskich uchodźców podejrzanych o bogatą kryminalną przeszłość.*

Daniel „Osioł Dan” Versace, „Gruby Bob” Paolucci...

Zadzwoił telefon. Littell odszukał go po omacku — zmęczone oczy widziały podwójnie.

- Halo?
- Toja.
- Cześć, Kemper.
- Co porabiasz? Kiedy cię zostawiłem, byłeś zalany w trupa.

Littell zaśmiał się. — Czytam dokumenty „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. Jak na razie antymafijne działania pana Hoovera nie zrobiły na mnie większego wrażenia.

- Uważaj, co mówisz, mógł założyć podsłuch w twoim pokoju.
- Co za okrutny pomysł.
- Może, ale realny. Posłuchaj, Ward, wciąż pada i na pewno jutro nie wylecisz. Spotkajmy się w biurze Komisji. Bobby i ja będziemy wymuszać zeznania od pewnego świadka. To gość z Chicago i mógłbyś się czegoś nauczyć.
- Mogę się przewietrzyć. To w starym budynku Biur Senackich?
- Tak, segment 101. Pokój przesłuchań A. Jest tam galeria obserwacyjna, więc będziesz mógł patrzeć. I pamiętaj o moim alibi. Przeszedłem na emeryturę.
- Kemper, jesteś potwornym obłudnikiem. Aż żal...
- Nie zgub się w śnieżycy.

Miejsce było idealne: korytarz z lustrem weneckim i głośnikami w ścianach. W części A siedzieli oddzieleni przepierzeniem: bracia Kennedy, Kemper i jasnowłosa mężczyzna. Części B, C i D były puste. Galerię obserwacyjną miał dla siebie — śnieżycy musiała przestraszyć ludzi i zostali w domu.

Littell włączył głośnik. Zaskrzeczały głosy.

Mężczyźni siedzieli wokół biurka. Robert Kennedy zachowywał się jak gospodarz i obsługiwał magnetofon.

— Proszę się nie spieszyć, panie Kirpaski. Jesteśmy tu dla pana, jako ochotnika, do dyspozycji.

Blondyn odpowiedział: — Wystarczy „Roland”. Nikt nie zwraca się do mnie „panie Kirpaski”.

Kemper wyszczerzył w uśmiechu zęby.

— Każdy, kto chce wyrolować Jimmy'ego Hoffę, zasługuje na taką grzeczność.

Cwany Kemper — znów odświeżył swój południowy akcent. Roland Kirpaski rzekł: — To mile. Ale wiecie, Jimmy Hoffa to Jimmy Hoffa. Rozumiecie, to jak ze słoniami. On też nie zapomina.

Robert Kennedy położył dłonie na karku.

— Hoffa będzie miał w więzieniu mnóstwo czasu, żeby przypomnieć sobie wszystko, co go tam zawiodło.

Kirpaski odkasznął. — Chciałbym coś powiedzieć. I... hm... odczytać to, gdy będę zeznawał przed Komisją.

— Śmiało — zachęcił Kemper.

Kirpaski odchylił się do tyłu.

— Jestem związkowcem. *Należę do Teamsters*. I opowiem wam te wszystkie historie o Jimmym, jak robi to czy tamto; no wiecie, każe jednym przyciskać drugich — tych, którzy nie chcą współpracować, i tak dalej. Pewnie to wszystko nie jest legalne, ale mnie co innego w tym martwi... Ja chcę „wyrolować” Jimmy'ego tylko dlatego, że umiem dodać dwa do dwóch i słyszałem wystarczająco dużo o zawsonym Chicago Local 2109, żeby domyślić się, że pieprzony Jimmy Hoffa ubija na boku interesy z Zarządem, a to oznacza, że jest parchatym gównem, wybaczenie kuchenną łacinę. I chcę, żeby było zanotowane, że dlatego go kapuję...

John Kennedy roześmiał się. Littell przypomniał sobie robotę u Shoftel i skrzywił się.

Robert Kennedy powiedział: — Już zaprotokołowane, Roland. Nim zaczniesz zeznawać, będziesz mógł odczytać każde oświadczenie, jakie tylko zechcesz. I pamiętaj, że twoje zeznania włączymy do telewizyjnej debaty. Zobaczą cię miliony ludzi.

Kemper dodał: — Im więcej rozgłosu, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że Hoffa spróbuje odwetu.

Kirpaski odparł: — Jimmy nie zapomina. Jak słonie. Pamiętacie te gangsterские zdjęcia, które mi pokazywaliście? Tych facetów, z którymi widziałem Jimmy'ego?

Robert Kennedy sięgnął po kilka ujęć.

— Santo Trafficante junior i Carlos Marcello.

Kirpaski kiwnął głową.

— Zgadza się. Chcę, żeby było zapisane, że słyszałem o nich dobre rzeczy. Słyszałem, że zatrudniają tylko związkowców. Nikt z mafii nie powiedział mi

„Roland, jesteś głupim Polaczkiem z Południa”. Jak mówiłem, odwiedzali Hoffę w jego apartamencie w Drake, a gadali tylko o pogodzie, Kubańczykach i polityce na Kubie. Chcę, żebyście zapisali, że nie mam nic do cholernej mafii.

Kemper mrugnął w stronę lustra. — Pan Hoover też nie.

Littell zaśmiał się.

Kirpaski spytał: — Że co?

Robert Kennedy bębnił palcami po stole.

— Pan Boyd popisuje się teraz przed swoim kolegą. Roland, wróćmy do Miami i Słonecznej Doliny.

Kirpaski rzekł: — Proszę bardzo. O Jezuu, taki numer...

Kemper wstał i rozprostował nogi.

— Zaczynaj może bardziej szczegółowo.

Kirpaski westchnął.

— Byłem delegatem z Chicago na konwencji w zeszłym roku. Zatrzymaliśmy się w Deauville w Miami. Jeszcze przyjaźniłem się z Jimmym, bo nie odkryłem, że jest parszywym gnojem, który robi lewe interesy z...

Wtrącił się Robert Kennedy: — Wróć do tematu.

— Chodzi o to, że załatwiłem dla Jimmy'ego parę spraw. Poszedłem na postój Taxi-Tygrys po jakąś kasę, żeby Jimmy mógł zabrać paru gości z lokali w Miami na polowanie na rekiny z kałachami. Jimmy to lubi, jak jest na Florydzie. Zgarnąłem chyba ze trzy patyki. Postój taksówek wyglądał jak z Marsa. Z tymi porąbanymi Kubańczykami w tygrysiach koszulkach. I ich szefem, Fulo. On na parkingu sprzedawał wędkowane telewizory. A w Taxi-Tygrys używają tylko gotówki. Tak na mój rozum, to wygląda mi to na wielki przekręt podatkowy...

W głośniku zatrzeszczało — Littell pokręcił i poprawił głośność. John Kennedy wyglądał na znudzonego i zniecierpliwionego. Robert Kennedy gryzmołił w notatniku.

— Opowiedz nam jeszcze raz o Antonie Gretzlerze.

Kirpaski powiedział:

— Wszyscy pojechaliśmy polować na rekiny. Gretzler też. On i Jimmy gadałi bez końca, z dala od innych. Byłem w kabinie, bo mnie mdliło. Chyba myśleli, że są sami, bo rozmawiali o tych niezbyt legalnych sprawach... Chcę, żeby było zapisane, że wiecie to nie ode mnie, bo nie chcę konfliktu z Zarządem.

John Kennedy postukał w zegarek. Kemper spytał Kirpaskiego:

— O czym dokładnie rozmawiali?

— O Słonecznej Dolinie. Gretzler powiedział, że ma zrobioną ekspertyzę terenu i wynika z niej, że ziemia nie zamieni się w mokradła w przeciągu pięciu

lat, co zwalnia ich od kary, mówiąc prawniczym językiem. Jimmy na to, że mógłby namówić Fundusz Emerytalny na kupienie ziemi i prefabrykatów za trzy miliony i może im też trochę forsy spłynęłoby do kieszeni.

Robert Kennedy podskoczył. Jego krzesło upadło — lustro weneckie zalsniło.

— To bardzo mocne zeznanie! To ewidentne potwierdzenie zawiązania spisku w celu nielegalnej sprzedaży ziemi z zamiarem oszukania Funduszu Emerytalnego!

Kemper podniósł jego krzesło.

— W sądzie będzie to ważne tylko wtedy, jeśli Gretzler przyzna się albo popełni krzywoprzysięstwo i zaprzeczy. Bez Gretzlera mamy jedynie słowa Rolanda przeciwko Hoffie. Chodzi o wiarygodność — Roland ma dwa wyroki za jazdę po pijanemu, a Hoffa jest formalnie czysty.

Bobby zapalił papierosa. Zaś Kemper rzekł:

— Bob, Gretzler na pewno nie żyje. Jego samochód znaleziono na bagnach, a on sam zniknął. Długo go szukałem i nie znalazłem ani jednego powodu, dla którego mógłby żyć.

— Mógł upozorować własną śmierć, żeby uniknąć stawienia się przed Komisją.

— Myślę, że to niemożliwe.

Bobby usiadł okrakiem na krześle i złapał za oparcie.

— Może masz rację. Ale dalej mnie kusi, żeby wysłać cię na Florydę i uzyskać pewność...

Kirpaski przerwał im: — Jestem głodny.

Jack przewrócił oczami. Kemper mrugnął do niego.

Kirpaski westchnął: — Naprawdę jestem głodny.

Kemper sprawdził godzinę.

— Dokończmy to, Roland. Zrób to dla senatora. Powiedz nam, że Gretzler się upił i odstrzelił sobie twarz.

— Już to widzę. Ciągnij dalej, to zarobisz na kolację...

— Do cholery — rzucił gniewnie Bobby.

— Już się robi, już. To było po polowaniu. Gretzler był wkurzony, bo Jimmy wyśmiał go, że trzyma kałacha jak pierdoła. I wtedy Gretzler zaczął opowiadać, co mówią o Funduszu Emerytalnym. Że podobno fundusz ma dużo więcej pieniędzy, niż wiedzą ludzie, a nikt nie sprawdzi księgowości, bo jest lipna. Że jest i „prawdziwa” księgowość Teamsters, tylko że utajniona, z milionami dolarów na koncie. I te pieniądze są pożyczane na astronomiczny procent. Podobno jakiś emerytowany chicagowski gangster — wielki mózgowiec — zajmuje się „prawdziwą” dokumentacją i „prawdziwymi” pieniędzmi. Jeśli

znowu myślicie, że ktoś to potwierdzi, zapomnijcie — tylko ja to słyszałem z ust Gretzlera.

Bobby Kennedy odgarnął włosy do tyłu. I odezwał się teraz ciekawym głosem, jak podekscytowane dziecko.

— To nasza szansa, Jack. Najpierw zarekwirujemy te pierwsze księgi i sprawdzimy ich wypłacalność. Wytropimy pożyczone pieniądze, do których przyznaje się Teamsters, i spróbujemy wykryć istnienie ukrytego majątku Funduszu i te „prawdziwe” księgi...

Littell przyłgął do szyby. Czuł się jak w hipnozie — rozentuzjasmowany Bobby z rozwianym włosami. Jack Kennedy zakaszał.

— To byłoby niezłe. *Jeśli* wypracujesz wiarygodne zeznania odnośnie tych ksiąg, nim skończy się mandat Komisji.

Kirpaski wybuchnął entuzjazmem.

— Dobrze pan mówi. Senatorze, fajnie, że się pan do nas dołącza!

Jack Kennedy skurczył się, jakby urażony.

Bobby rzekł: — Moje dochodzenie będzie przekazywać dowody oddziałom. I połączymy wszystko, co wykopujemy.

Jack spytał: — Zdążymy?

Littell przetłumaczył to na: „Za późno, żeby pomogło to *mojej* karierze”.

Bracia odwrócili wzrok. Kemper oparł się między nimi o stół.

— Hoffa ma kwartał domów w Słonecznej Dolinie. Jest właśnie na miejscu, pokazuje teren potencjalnym klientom. Roland pojedzie tam się rozejrzeć. Jako zainteresowany, żeby nie wyglądało podejrzanie. Będzie dzwonił i zdawał raport z tego, co tam wykuka.

Kirpaski rzekł: — I może nawet „wykukam” tę kelnerkę, którą spotkałem, kiedy byłem na konwencji. Tylko nic przy żonie, że mam to w planie...

Jack wziął Kempera na bok. Littell usłyszał szept:

— Lecę do L.A., jak tylko pogoda pozwoli.

— Zadzwoń do Darleen Shofteł — na pewno będzie zachwycona, że może cię poznać.

Kirpaski przypomniał: — Jestem głodny.

Robert Kennedy spakował aktówkę.

— Chodź, Roland. Zjesz kolację z moją rodziną. Postaraj się tylko nie bluźnić przy dzieciach. One szybko się uczą.

Wyszli tylnymi drzwiami. Littell powiódł wzrokiem za znikającym Bobbym.

(Los Angeles, 9 grudnia 1958)

Darleen Shoftel udała skromny orgazm. Pewnie więcej dawała z siebie na pogaduszkach z koleżankami po fachu. Była znana z opowiadania o sławnych ludziach. Przyznała, że Franchot Tone lubi sado-macho. Nazwała Dicka Contino mistrzem minety. O Stevie Cochranie, aktorze klasy B, powiedziała, że jest „Panem Dużym”.

Telefon wciąż im przerywał. Albo klienci, albo inne dziwki i do tego mama z Vincennes, w Indiana. Darleen uwielbiała rozmawiać. Ale nie powiedziała jeszcze nic, co by mogło uzasadnić to, że dwóch federalnych zapluskwiło jej chałupę.

Podłączyli wszystko cztery dni temu. W domu przy North Alta Vista 1541 mikrofony poutykane były od sufitu do podłogi. Fred Turentine podłączył się do podsłuchu Boyda i Littella. Słyszał wszystko to, co FBI. Federalni siedzieli w wynajętym lokalu w sąsiedztwie; Fred miał *swój* podsłuch w furgonetce zaparkowanej w pobliżu, skąd do Pete'a na bieżąco trafiały kolejne taśmy.

A Pete poczuł pieniądze i zadzwonił do Jimmy'ego Hoffy — może trochę przedwcześnie. Usłyszał od niego:

— Ty masz zawsze nosa. Bądź w Miami w czwartek, to opowiesz, co masz. A jak nic, to weźmiemy chociaż łódź i zapolujemy na rekiny.

Czwartek był nazajutrz. Polowanie na rekiny było dla frajerów. A Freddy'emu płać całe dwie stówy dziennie — dużo jak na faceta pogrążonego w seksualnym galopie.

Zaczął się rozczulać nad swoją dolą stróżującego burka. Przypomniawszy sobie aluzje, jakie rzucał Hughesowi: wie, że pożyczył bratu Dicka Nixona trochę szmalu... Włączył kolejną taśmę. Gdy nacisnął *play*, Darleen wzdychała i jęczała. Sprężyny łóżka skrzypiały; coś jak głowa uderzyło w coś jak ściana. Wyobraź sobie: Darleen z dużym, tłustym prosiakiem w siodle.

Zadzwonił telefon. Pete złapał słuchawkę.

— Kto mówi?

— Fred. Podjeżdżaj szybko, mamy chyba żyłą złota!

Furgonetka była zawalona różnymi przyrządami. Pete wchodząc uderzył się w kolano. Ale Freddy był wesolutki. Miał rozpięty rozporek, jakby właśnie męczył ptaka. Powiedział:

— Od razu poznałem ten bostoński akcent i zadzwoniłem do ciebie zaraz po tym, jak zaczęli się pieprzyć. Posłuchaj na żywo.

Pete włożył słuchawki. Darleen Shoftel mówiła głośno i wyraźnie:

— ...jesteś większym bohaterem niż twój brat. Czytałam o tobie w *Time'ie*. Twój kuter torpedowy staranowali Japonce czy coś tam...

— Pływam lepiej od Bobby'ego, to fakt.

Trójka w jednorękim bandycie: stary znajomy Gail Hendee, Jack K.

Darleen: — Widziałam zdjęcie twojego brata w *Newsweeku*. Czy on nie ma coś koło czterech tysięcy dzieci?

Jack: — Co najmniej trzy setki, co chwila rodzi się nowe. Kiedy wchodzisz do jego domu, brodzisz po kostki w kupach. Moja żona uważa, że to wulgarne tak się rozmnażać.

Darleen: — „Rozmnażać się”! Dobrze.

Jack: — Bobby jest prawdziwym katolikiem. Ma dzieci i karze tych, których nienawidzi. Gdyby nie ten jego niezawodny instynkt, mógłby narobić kłopotu.

Pete przyciszył. Jack Kennedy opowiadał rozwlekłe, jak to po seksie:

— Ja nie jestem taki nienawistny jak Bobby. On jak nienawidzi, to jak furriat. A na punkcie Jimmy'ego Hoffy jest tak upośledzony, że w końcu swoje wygra. Byłem z nim wczoraj w Waszyngtonie. Wymuszał zeznania od faceta z Teamsters, który zawiódł się na Hoffie i teraz na niego donosi. Taki głupio odważny Polaczek, Roland jakiś tam z Chicago. I Bobby zabrał go do siebie na rodzinną kolację. Bo widzisz, kochana... hm...

— Darleen.

— No właśnie, Darleen. Widzisz, Darleen, Bobby jest większym bohaterem niż ja, bo umie się poświęcić i być hojny...

Przyrzędy błysnęły. Taśma przewinęła się. Trafili w dziesiątkę — Jimmy Hoffa SIĘ ZESRA, kiedy tego wysłucha.

Darleen: — Ale przecież ten twój kuter torpedowy musiał być klasa...

Jack: — Ty naprawdę umiesz człowieka słuchać, Arlene.

Fred aż się ŚLINIŁ. Jego piekielne oczy były wielkie jak dolarówki.

Pete zacisnął pięści.

— Ja sam to załatwię. Ty tu siedź i pilnuj dalej.

Freddy zmiękł. Pete uśmiechnął się — jego ręce zawsze budziły grozę.

**T**axi-Tygrys wyjechał po niego na lotnisko. Kierowca bez przerwy mówił o kubańskiej polityce: *El grande* Castro idzie do przodu! *El puto* Batista w odwrocie! W końcu dowiózł go na postój. Jimmy komenderował dzisiaj dyspozytornią — chłopaki pakowali kamizelki ratunkowe i kałachy. Przegonił ich na widok Pete'a.



— Jak się masz, Jimmy?

Hoffa wziął nabity gwoździem kij baseballowy.

— W porządku. Podoba ci się? Czasem rekiny podpływają blisko do łodzi i można im sprzedać parę boksów.

Pete otworzył swój sprzęt i podłączył do kontaktu. Od tapety w tygrysie pasy kręciło mu się w głowie.

— Fajne, ale przywiozłem coś lepszego.

— Mówiłeś chyba, że wyczujesz forszę. To musi oznaczać moje pieniądze na twoje kłopoty...

— To długa historia.

— Nie lubię historii, chyba że sam jestem jej bohaterem. A widzisz, że mam tyle roboty...

Pete położył mu rękę na ramieniu.

— Przycisnął mnie facet z FBI. Powiedział, że ma „wtyczkę” w Komisji McClellana. I wie, że załatwiłem Gretzlera i że Hoovera to nie obchodzi. Jimmy, znasz Hoovera? Zawsze zostawiał ciebie i firmę w spokoju.

Hoffa strząsnął jego rękę.

— I niby co? Myślisz, że mają dowody? O tym jest ta kasetka?

— Nie. Myślę, że federalni śledzą Bobby'ego Kennedy'ego i Komisję dla Hoovera, czy coś takiego, i myślę, że Hoover jest po naszej stronie. Pokręciłem się zaraz za tym gościem i jego partnerem. W jednej chacie w Hollywood założyli podsłuch, a mój człowiek, Fred Turentine, podłączył się do nich. A teraz posłuchaj...

Hoffa stukał stopą, jakby był znudzony. Strzepnął też tygrysie włókno z kosiuli. Pete nacisnął play. Taśma szumiała. Seksualne jęki i skrzywienie materaca stawały się coraz głośniejsze. Pete zmierzył czas. Senator John F. Kennedy: 2 minuty 40 sekund. Darleen Shoftel udawała orgazm.

I potem ten bostoński akcent: „Cholera, mój dysk...”

Darleen odparła: „Faaajnie było. Najlepiej jest krótko a milutko”.

Jimmy obracał w rękach kij baseballowy. Na ramionach miał gęsią skórę. Pete przewinął do najlepszej części.

Dwuminutowy Jack podniecał się:

„...faceta z Teamsters, który zawiódł się na Hoffie ...taki głupio odważny Polaczek, Roland jakiś tam z Chicago.”

Hoffa miał coraz więcej gęsiej skórki. Mocniej zacisnął dłonie na kijku.

„Ten Roland jakiś tam zgrywa cwaniaczka... Bobby zapuścił zęby w Hoffę. A jak Bobby zapuści w coś zęby, to już nie popuści.”

Hoffa cały był już w gęsiej skórcie. Hoffie zapłonęły oczy jak przerażonemu czarnuchowi. Hoffa ścisnął kij baseballowy. Pete cofnął się. Hoffa splunął — patrzcie na tego uzbrojonego napierdalacza z Louisville...

Krzesała zmieniły się w drewno do podpałki. Biurka straciły nogi. Listwy przypodłogowe wbiły się w ściany.

Pete odsunął się *jeszcze* bardziej. Świecący plastikowy Jezus przy drzwiach rozprysł się na osiem milionów kawałków. Fruwały papiery. Rykoszetem odbijały się odłamki drewna. Kierowcy na ulicy tylko patrzyli — Jimmy rozbił okno, odłamki szyby poleciały w ich stronę.

James Riddle Hoffa: podnoszący się z letargu z zemstą wudu w oczach. Kij uderzył we framugę. Jimmy gapił się na niego — i co teraz?

Pete objął go w niedźwiedzim uścisku. Oczy Jimmy'ego wywróciły się katonicznie. On sam prężył się i miotał. Pete ścisnął go mocno i mówił jak do dziecka.

— Mogę trzymać Freddy'ego na podsłuchu za dwie setki dziennie. Wcześniej czy później złapiemy coś, czym będziesz mógł udupić Kennedych. Mam też parę skandali politycznych. Też mogą nam się przydać któregoś dnia.

Hoffa spojrział półprzytomnie. Jego głos brzmiał piskliwie, jak po gazie rozwesalającym.

— Czego... chcesz?

— Hughesowi odbija. Myślałem, że w razie czego u ciebie znajdę lokum.

Hoffa uwolnił się z jego objęć — Pete prawie zakrzuszył się jego zapachem: pot zmieszany z wodą kolońską z przeceny. Wróciły mu rumieńce. Złapał oddech. Głos obniżył mu się o kilka oktaw.

— Dam ci 5% z taksówek. Ciągnij ten podsłuch w L.A, i pokazuj się tu co jakiś czas, żeby utrzymać Kubańczyków w ryzach. Nie próbuj namówić mnie na 10%, bo powiem „spieprzaj” i wyślę cię do L.A, autobusem.

Pete odparł tylko: — Stoi.

A Jimmy dodał: — Będzie robota w Słonecznej Dolinie. Jedziesz ze mną.

**W**zięli wóz z Taxi-Tygrys. Sprzęt do polowania na rekiny zawałił cały bagażnik: kije baseballowe, kałachy i olejek do opalania.

Prowadził Fulo Machado. Jimmy miał nowe ubranie. Pete zapomniał o zapasowych ciuchach — przyłgnął do niego smród Hoffy. Nikt nic nie mówił — posępność Jimmy'ego nie nastrojała do pogawędek. Mijali kolejno autobusy wypełnione półgłówkami z Teamsters jadącymi na dziwki.

Pete przeliczył w pamięci. Dwunastu kierowców pracujących non stop. Od Jimmy'ego Hoffy sponsorowane zielone karty — żeby mogli zostać w Ameryce. Dwunastu innych na czarno: złodzieje, łamistrajki, alfonsi. 5% z dochodu i może coś jeszcze na boku — ta fucha wyglądała obiecująco.

Fulo zjechał z autostrady. Pete zobaczył miejsce, gdzie załatwił Antona Gretzlera. Jechali za sznurem autobusów — pięć kilometrów od międzystanowej.

To filmowe reflektory dawały taki blask — jak na premierze w Grauman's Chinese. Wypicowana Słoneczna Dolina wyglądała niezłe: porządne domki wśród brukowanych uliczek.

Teamsters pili przy karcianych stolikach — co najmniej dwustu facetów wciśniętych w alejki między domkami. Żwirowy parking był zapchany samochodami i autobusami. Obok stał zestaw do grilla — różna obracały się i skwierczały.

Fulo zaparkował blisko centrum akcji. Jimmy powiedział: — Wy tu poczekaście.

Pete wyszedł i rozprostował kości. Hoffa wpatrzył się w tłum — było rojno i gwarno wokół.

Fulo podostrzył swoją maczetę kamieniem. Włożył ją do pochwy przytroczonej do tylnego siedzenia.

Pete patrzył, jak Jimmy obserwuje tłum. Popisywał się. Gawędził i częstował się mięsem z grilla. I kręcił się cały czas wokół pewnego wyglądającego na Polaczka blondyna.

Pete odpalał papierosa od papierosa. Fulo włączył radio w taksówce: jakaś hiszpańskojęzyczna audycja „Jezus was kocha”.

Parę autobusów odjechało na bok. I wjechały dwa pękate wozy z dziwkami — beznadziejne małe Kubanki pod opieką policjantów po służbie.

Jimmy agitował i zachęcał do zapisów na Słoneczną Dolinę. Kilku pijanych i rozjuszonych Teamsters wsiadło do aut i odjechało.

Blondyn też wsiadł do szewroleta i zakręcił tak ostro, jakby spieszył się na randkę.

Jimmy szybko wrócił — krótkie, grube nogi dudniły na podjeździe. Teraz było wiadomo, gdzie tamten gna: to był Roland Kirpaski.

Stanęli przed gablotą. Fulo wyjął broń. Frajer z radia prosił o dary. Król szos Fulo wiedział, o co chodzi. W sześć sekund przyspieszył do setki. Pete widział ciągle tylne światła szewroleta. Fulo strzelił w zbiornik paliwa. Wóz zjechał z drogi, staranował kilka drzew i stanął.

Fulo podjechał bliżej. Jego światła oślepiły Kirpaskiego — potykającego się na ścieżce wśród bagien.

Jimmy wysiadł i zaczął go gonić. Wymachiwał teraz maczetą Fulo.

Kirpaski drobił kroki i w końcu stanął, wystawiając obie dłonie w geście „pieprz się”. Hoffa zbliżył się, wymachując maczetą. Kirpaski upadł, młócąc jak cepami kikutami obu rąk. Jimmy dalej machał, trzymając maczetę oburącz — kawałki mięsa fruwały dokoła.

Pajac z radia nawijał. Kirpaski cały trząsał się w konwulsjach. Jimmy wytarł oczy z krwi i dalej machał.

## 8

(Miami, 11 grudnia 1958)

Kemper nazywał tę grę „Adwokatem diabła”. Pomagała mu zachować lojalność i wydobyć na światło dnia właściwe w danym momencie oblicze. Tym razem inspiracją była nieufność Bobby'ego Kennedy'ego. Raz wymknął mu się południowy akcent — Bobby od razu zauważył.

Kemper jechał przez South Miami. Grę zaczął od ustalenia, kto co wiedział.

Pan Hoover wiedział *wszystko*. „Emerytura” specjalnego agenta Boyda była upozorowana w papierach FBI: Jeśli Bobby będzie chciał, to znajdzie potwierdzenie.

I Claire wiedziała wszystko. Nigdy nie osądzała jego motywacji ani go nie zdradziła.

Ward Littell wiedział o nagonce na Kennedy'ch. Najprawdopodobniej nie pochwalał tego — zapisał Bobby'ego do walki z przestępczością wywarł na nim duże wrażenie. Ward był również partnerem od infiltracji znalezionym ad hoc, gdy potrzebny był podsłuch u Darleen Shoftel. Wstydział się tej roboty — ale wdzięczność za przeniesienie do „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” przeważała nad wyrzutami sumienia. Ward nie wiedział, że Pete Bondurant zabił Antona Gretzlera; nie wiedział też, że pan Hoover darował mu to morderstwo. Bondurant przerażał Warda — rozumiała reakcja na Wielkiego Pete'a i jego legendę. Ward absolutnie nie może dowiedzieć się o sprawie Bonduranta.

Bobby wiedział, że Kemper nagał Jackowi panienki — dostarczając mu numery telefonów szczególnie ponętnych dawnych flam.

Teraz pytania i odpowiedzi: ćwiczenie w zachowywaniu sceptycyzmu.

Kemper zahamował przed kobietą dźwigającą zakupy.

Jego gra toczyła się teraz w czasie teraźniejszym.

Bobby myśli, że badam poszlaki dotyczące Antona Gretzlera. Tak naprawdę ochraniam ulubionego bandytę Howarda Hughesa.

P.: Wydaje się, że chcesz wejść pomiędzy Kennedych...

O.: Na miłą wycieczkę ludzi sukcesu. Zbliżenie do Demokratów nie czyni mnie komunistą. Stary Joe Kennedy ma tyle samo racji co pan Hoover.

P.: Dość szybko „zbliżyłeś się” do Jacka...

O.: Gdyby okoliczności były inne, sam mógłbym być Jackiem.

Kemper sprawdził w notatniku.

Teraz do Taxi-Tygrys. A potem do Słonecznej Doliny odszukać świadka, który widział „wielkiego faceta” odwracającego twarz od drogi. Pokaże mu *stare* zdjęcia — mało podobne do Bonduranta. Podpowie, jakiej odpowiedzi oczekuje: nie tego człowieka widziałeś, prawda?

Przed nim kołysała się taksówka w tygrysie pasy. W dole ulicy zobaczył tygrysią budkę. Zahamował i zaparkował w poprzek drogi. Paru bywalców poczuło GLINĘ i rozpięchło się.

Wszedł do środka. Zaśmiał się — tapeta w tygrysie pasy pachniała świeżością. Czterech Kubańczyków w tygrysiach koszulkach wstało i otoczyło go. Koszulki mieli wysunięte na spodnie, żeby ukryć kabury u pasa.

Kemper wyjął zdjęcia. Tamci zacieśnili krąg. Jeden wyciągnął sztylet i ostrzem zaczął się skrobać po szyi. Pozostali śmiali się. Kemper spytał stojącego najbliżej:

— Widziałeś go?

Mężczyzna puścił fotkę w obieg. Każda twarz błysnęła rozpoznaniem i każdy rzekł: „Nie”. Kemper zabrał zdjęcie. Na chodniku zauważył białego mężczyznę oglądającego jego wóz.

Ten z nożem podszedł do niego z boku. Pozostali zachichotali. Nożownik zaczął obracać ostrzem tuż przed oczami gringo.

Kemper obezwładnił go chwytem judo. Podciął mu kolana kopnięciem. Facet upadł na twarz i wypuścił nóż. Kemper podniósł go. Tygrysie paski wycofały się *en masse*. Kemper stanął na ręce nożownika i wbił w nią ostrze.

Tamten krzyknął. Pozostali łapali powietrze i chichotali. Kemper wyszedł z lekkim ukłonem.

Pojechał do Słonecznej Doliny drogą 1-95. A za nim szary sedan. Kemper zmieniał pasy, zwalniał i przyspieszał — samochód pozostawał w niezmienionej odległości.

Kemper zjechał z autostrady. Główna ulica prowincjonalnego miasteczka biegła do niej prostopadle — cztery stacje benzynowe i kościół. Skręcił do Texaco i zaparkował.

Poszedł do toalety. Widział, że śledzący go samochód stoi przy dystrybutorach. Wysiadł z niego biały facet i rozejrzał się.

Kemper zamknął drzwi i wyciągnął broń. Było brudno i śmierdziało. Liczył sekundy, patrząc na zegarek. Przy pięćdziesiątej pierwszej usłyszał odgłos kroków.

Facet otworzył łokciem drzwi. Kemper wciągnął go do środka i przycisnął do ściany. Miał około czterdziestki, włosy koloru piasku, był szczupły. Kemper obszukał go od kostek w górę. Żadnej odznaki, żadnej broni, żadnych dokumentów.

Mężczyzna nawet nie mrugnął. Zignorował rewolwer wycelowany w twarz. W końcu rzekł:

— Nazywam się John Stanton. Jestem z agencji rządowej. Chcę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O Kubie — odparł Stanton.

## 9

(Chicago, 11 grudnia 1958)

Kandydaci na kapusiów w pracy: „Żydek Lenny” Sands zbiera forszę z szafgrajacych.

Littell śledził go. W ciągu godziny załatwił sześć barów w Hyde Park — Lenny pracował szybko. Zaglądał ludziom w karty i dawał nieproszone rady. Sypał kawałami. Pokazywał miniaturki Johnnie Walkera z czerwoną nalepką. Opowiadał o Come-San-Chin, chińskiej druciarze — i w siedem minut pakował monety do woreczków.

Łatwo było go śledzić. Lenny miał wyjątkowe notowania w „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”: facet od rozrywki/kubański komiwojażer/maskotka mafii.

Lenny podjechał do Tillerman's Lounge. Littell zaparkował i po trzydziestu sekundach ruszył za nim.

Lokal był przegrzany. W lustrze przy barze widział swój strój: wytartą kurtkę, robotnicze spodnie i buty. Nawet w takich ciuchach bardziej przypominał profesora college'u. Na ścianach wisiały insygnia Teamsters. Wyróżniała się oprawiona fotografia: Jimmy Hoffa i Frank Sinatra trzymający taaaką rybę.

Robotnicy kręcili się przy bufecie. A Lenny siedział przy bocznym stoliku z krępym mężczyzną wcinającym peklowaną wołowinę. Littell rozpoznał go: Jacob Rubinstein vel Jack Ruby.

Lenny wyjął swoje woreczki z monetami. Ruby wysunął walizkę. To znaczyło chyba transfer gotówki. Stoliki wokół nich też były zajęte.

Faceci przy barze pili lunch: żytnia i popitka piwem. Littell zamówił to samo — nikt się z niego nie podśmiewał. Barman podał i wziął pieniądze. Szybko łyknął swój posiłek — zupełnie jak bracia z Teamsters.

Spociał się od żytniej; od piwa dostał czkawki. To połączenie zbiło mu nerwy w kulkę.

Miał za sobą jedno spotkanie oddziału „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. Niefortunne — pan Hoover wprowadził go osobiście. Przyjaźnie zachował się tylko agent o nazwisku Court Meade; inni powitali go skinieniem głowy albo niedbale uściskami dłoni.

Miał też za sobą trzy dni w „PS” jako agent. Czyli trzy zmiany w stacji podsłuchowej w towarzystwie głosów chicagowskiej mafii.

Pojawił się znowu barman. Littell podniósł dwa palce — bracia z Teamsters tak samo prosili o dolewki.

Sands i Ruby wciąż rozmawiali. I wciąż przy stolikach bliżej nich nie było wolnych miejsc — nie mógł tam usiąść, żeby posłuchać.

Wypił i zapłacił. Żytnia uderzyła mu do głowy. Picie na służbie było naruszeniem przepisów FBI. Ale nie tak *do końca* — podobnie jak zapluskwanie chaty jakiejś dziwki, żeby przyłapać polityka.

Agentka pracującego nad Shoftel chyba pochłonęła ta robota — nie przysłał jeszcze żadnej taśmy. Nienawiść pana Hoovera do Kennedych wyglądała na ślepe szaleństwo. Bo Robert Kennedy przypominał raczej bohatera. Tamten szlachetny gest w stosunku do Rolanda Kirpaskiego wydawał się czysty i szczerzy.

Zwolnił się stolik. Littell przecisnął się przez tłum i zajął go. Lenny i Rubinstein/Ruby byli najwyżej krok od niego.

Akurat mówił Ruby, okruchy jedzenia spadały mu na koszulę.

— Heshie to zaraz myśli, że ma raka albo inną śmiertelną chorobę. Dla niego każdy pryszcz to złośliwy guz.

Lenny sięgnął po kanapkę.

— Ale klasę ma. Kiedy występowałem w Stardust Lounge w 1954, przychodził co wieczór. Heshie zawsze wolał wykonawców z małych lokali od tych z wielkich sal. W dużej sali w Dunes mogłoby występować Jezus Chrystus z apostołami, a Heshie siedziałby w jakiejś dziurze, słuchając mruczenia cienkiego italiano, „bo jego kuzyn do czegoś doszedł”.

Ruby dodał:

— I uwielbia francuza. Tylko tak sobie dogadza, bo mówi, że to dobre na prostatę. Twierdzi, że nie umoczył sznycla od czasu, kiedy jeszcze w latach trzydziestych był w Purples i jakaś siksa próbowała go zrobić w bachora. Przyznał się, że miał z dziesięć tysięcy minet! A w trakcie to lubi pooglądać „The Lawrence Welk Show”. Lata wokół niego dziewięciu doktorów (z powodu tych wszystkich chorób, na które ponoć choruje) i wszystkie pielęgniarki ciągną mu druta. Stąd wie, że to pomaga na prostatę...

„Heshie” to najprawdopodobniej Hershel Meyer Ryskind: „aktywnie uczestniczy w handlu heroiną na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej”.

Lenny powiedział:

— Sorry, Jack, za te monety, ale nie było kiedy iść do banku. To Sam tak mi to wyklarował. Powiedział, że robisz obchody i masz limitowany czas. Cieszę się, że znalazłeś chwilę, żebyśmy coś przegryźli, bo zawsze lubiłem patrzeć, jak się zajadasz.

Ruby wytarł się serwetką.

— Jak jest lepsze jedzenie, wyglądam jeszcze gorzej. W Big D jest bar z żarciem, za które życie bym oddał. Patrz, tylko trochę popryskalem koszulę, a w tamtej knajpie jest cała umazana...

— A te pieniądze to dla kogo?

— Dla Batisty i Brody. Santo i Sam asekurują się politycznie. Lecę do nich w przyszłym tygodniu.

Lenny odsunął talerz.

— Robię teraz nowy skecz, jak Castro trafia do Stanów i zaczyna robić za beatnika. Pali marihuanę i gada jak bambus.

— Masz wielki talent, Lenny. Zawsze to mówiłem.

— Mów tak dalej, Jack, może ktoś usłyszy.

Ruby wstał.

— No, nigdy nic nie wiadomo.

— To prawda, nigdy nie wiadomo... Szalom, Jack. Wiedz, że zawsze lubię popatrzeć, jak się zajadasz.

Ruby wyszedł ze swoją walizką. Żydek Lenny zapalił papierosa i wyrzucił oczy do Boga.

Speluny. Minety. Żytnia i piwo na lunch... Littell wrócił do samochodu lekko otumaniony.

Lenny wyszedł po dwudziestu minutach. Littell śledził go do północnej granicy Lake Shore Drive. Pył wodny z fal osiadł na przedniej szybie, huczący wiatr spieniał jezioro. Littell podkręcił ogrzewanie, zrobiło się aż za gorąco.



Po tej wódce czuł, jakby miał watę w ustach i trochę kręciło mu się w głowie. Droga obniżala się powoli, nieznacznie. Lenny zasygnalizował zjazd. Littell szybko zmienił pas i zwolnił za nim. Jechali w dół do Gold Coast — chyba za porządna okolica jak na klimaty Vendo-King.

Lenny skręcił na zachód w Rush Street. Littell zobaczył przed sobą szykowne koktajlbary z frontami z piaskowca i neony w stonowanych kolorach.

Lenny zaparkował i wszedł do Hernando's Hideaway. Littell przejechał wolno obok. Akurat uchyliły się drzwi. Zobaczył dwóch ściskających się mężczyzn — półsekundowa migawka.

Stanął i zmienił wytartą kurtkę na niebieski blezer. Spodnie i buty musiały zostać.

Wparował do środka. Było przytulnie i spokojnie, jak to po południu. Do tego stonowane dekoracje: lakierowane drewno i zielona skóra. Część bankietową oddzielono linką. Po przeciwnych stronach baru siedziały dwie pary: dwóch starszych mężczyzn, Lenny ze studenciakiem.

Littell usiadł między nimi. Barman nie zareagował.

Lenny opowiadał. Teraz końcówki wymawiał wyraźnie — bez pomruków i gwary jidysz.

— Larry, żebyś ty widział, jak ten porąbaniec je!

Podszedł barman. Littell zamówił:

— Żytnią i piwo.

Głowy odwróciły się w jego stronę.

Barman nalał. Littell wypił i zakaszał. Barman odezwał się:

— Suszy, co?

Littell sięgnął po portfel. Legitymacja wysunęła się i upadła na bar odznaką do góry. Złapał ją i rzucił trochę drobnych. Barman rzekł:

— Ma być to piwo?

**D**otarł do biura i wystukał raport. Połknął całą rolkę miętusów, żeby zabić swój wódczany oddech. O żytniej i gafie w Hernando's Hideaway nie wspomniał. Liczyło się sedno: Lenny Sands wyraźnie utrzymuje kontakty homoseksualne. W tajemnicy przed kumplami z mafii.

I jak dotąd go nie zauważył. Miał farta.

Court Meade zastukał w przepierzenie.

— Międzymiastowa, Ward. Jakiś Boyd z Miami na drugiej linii. Littell odebrał:

— Cześć, Kemper. Co robisz znowu na Florydzie?

— Haruję na przemian dla Bobby'ego i dla pana Hoovera, ale nie wygadaj się nigdzie.

— I masz jakieś wyniki?  
— Cóż, nachodzą mnie różne typy, świadkowie Bobby'ego ciągle znikają, istny cyrk. Ward...

— Potrzebujesz przysługi?  
— Nawet dwóch.

Littell odsunął krzesło.

— Mów.

Boyd powiedział:

— Helen przylatuje dzisiaj do Chicago. United, lot 84 z Nowego Orleanu do Midway. Ląduje o 17.10. Mógłbyś ją odebrać i zawieźć do hotelu?

— Jasne. I wezmę ją na obiad. Jezu, trochę późno mówisz, ale i tak super.

Boyd zaśmiał się.

— Jak to z Helen, naszym szalonym obieżyświatem... No dobrze, a pamiętasz tego Rolanda Kirpaskiego?

— Kemper, przecież widziałem go trzy dni temu!

— Racja. Właśnie teraz powinien być na Florydzie, ale jakoś nie mogę go znaleźć. Miał zadzwonić do Bobby'ego, zdać raport o planach Hoffy co do Słonecznej Doliny, i cisza. Wczoraj wieczorem wyszedł z hotelu i już nie wrócił.

— Chcesz, żebym poszedł do jego domu i pogadał z żoną?

— Gdybyś mógł. I jakbyś się czegoś dowiedział, zostaw zaszyfowaną wiadomość w Informacji w D.C. Wejdę tam sprawdzić, czy dzwoniłeś.

— A gdzie on mieszka?

— South Wabash 818. Pewnie używa sobie z jakąś panienką, ale nie zawadzi sprawdzić, czy nie ma go w domu. I Ward...

— Wiem. Pamiętam, dla kogo pracujesz, i zachowam to tylko dla siebie.

— Dzięki.

— Nie ma za co. A tak w ogóle, widziałem dziś faceta, który zmienia wcieleńia równie dobrze jak ty.

— Niemożliwe — odparł Boyd.

**M**ary Kirpaski wpuściła go do środka. Dom był przegrzany i zagracony. Littell zrzucił płaszcz. Kobieta prawie wepchnęła go do kuchni.

— Roland zawsze dzwoni do domu wieczorem. I mówił, że gdyby nie zadzwonił tym razem, mam skontaktować się z władzami i pokazać jego notes.

Littell poczuł kapustę i gotowane mięso.

— Ja nie jestem z Komisji McClellana, proszę pani. Tak naprawdę, to nie współpracowałem z pani mężem.

— Ale zna pan pana Boyda i pana Kennedy'ego...

— Znam Boyda. To on prosił mnie, żebym tu przyszedł.

Miała paznokcie obgryzione do krwi i krzywo położoną szminkę.

— Roland nie dzwonił wczoraj. Prowadził ten notatnik, gdzie zapisywał różne sprawy pana Hoffy, i nie wziął go do Waszyngtonu, bo najpierw chciał porozmawiać z panem Kennedym, a dopiero potem zeznawać.

— Co to za notatki?

— To lista telefonów pana Hoffy do Chicago, z datami i różnymi takimi. Roland mówił, że ukradł billingi jednemu z przyjaciół pana Hoffy, bo pan Hoffa bał się wykonywać międzymiastowe od siebie z hotelu, że go niby podsłuchiwali.

— Pani Kirpaski...

Wzięła ze stolika kołonoratnik.

— Roland wściekłby się, gdybym nie pokazała tego władzom.

Littell otworzył notes. Na pierwszej stronie widniały kolumny nazwisk i numerów telefonów. Mary Kirpaski podeszła bliżej.

— Roland dzwonił do spółek telefonicznych w różnych miastach i sprawdził, do kogo należały te numery. Podawał się za policjanta albo kogoś takiego.

Littell przerzucił kartki. Roland Kirpaski pisał czytelnie. Kilka nazwisk brzmiało znajomo: Sam Giancana, Carlos Marcello, Anthony Iannone, Santo Trafficante junior. Jedno było znajome i wiało grozą: Pete Bondurant, Mapleton Drive 949, Los Angeles.

Hoffa dzwonił do Wielkiego Pete'a trzykrotnie w ostatnim czasie: 25 listopada 1958, 1 grudnia 1958, 2 grudnia 1958.

Bondurant gołymi rękami zrywał kajdanki. I podobno zabijał ludzi za 10 000 \$ i koszt biletu lotniczego.

Mary Kirpaski przesuwiała w palcach paciorki różańca. Pachniała maścią na przeziębienie i papierosami.

— Mogę skorzystać z pani telefonu?

Wskazała na ścianę. Littell pociągnął sznur na drugi koniec kuchni. Zostawiła go samego. Usłyszał radio włączane w pokoju obok. Zadzwoił do międzymiastowej. Połączyli go z ochroną na lotnisku międzynarodowym w L.A. Odebrał facet.

— Sierżant Donaldson, w czym mogę pomóc?

— Mówi agent specjalny Littell, Chicago FBI. Potrzebne mi są informacje dotyczące pewnych rezerwacji.

— Tak. Słucham.

— Chodzi o linie, które latają z Los Angeles do Miami i z powrotem. O rezerwację na lot ósmego, dziewiątego lub dziesiątego grudnia, powrót w dowolnym dniu. Na nazwisko Peter Bondurant, B-O-N-D-U-R-A-N-T, albo na rachunek Hughes Tool Company lub Hughes Aircraft. Potrzebuję też opis wyglądu człowieka, który odbierał taki bilet albo wsiadał do samolotu.

— Proszę pana, to ostatnie to jak szukanie igły w stogu siana...

— Spokojnie. Podejrzany to biały mężczyzna pod czterdziestkę, metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, bardzo potężnie zbudowany. Jeśli ktoś go widział, to na pewno pamięta.

— Zanotowałem. Czy mam oddzwonić?

— Poczekam. Jeśli w ciągu dziesięciu minut pan nic nie znajdzie, podam swój numer.

— Zrozumiałem. Moment. Już się za to zabiorę.

Littell czekał. Wyobraził sobie ukrzyżowanego Wielkiego Pete'a Bonduranta. Nałożył się na to obraz kuchni: zagraconej, dusznej, z kalendarzem parafialnym, w którym zaznaczono święta...

Minęło osiem minut, gdy przerwał mu sierżant, podeksycytowany.

— Panie Littell?

— Tak.

— Mamy go. Nie myślałem, że się uda, ale mamy.

Littell wyjął notes. — Słucham.

— American Airlines, lot 104 z Los Angeles do Miami. Wylot wczoraj, 10 grudnia o 8.00, przylot 16.10. Rezerwacja na Thomasa Petersona na rachunek Hughes Aircraft. Kasjerka wydająca bilet pamiętała człowieka, którego pan opisał. Ma pan rację, nie sposób go zapomnieć...

— Czy jest rezerwacja na powrót?

— Tak, proszę pana. American, lot 55. Przylatuje do Los Angeles o 7.00 jutro rano.

Littellowi zakręciło się w głowie. Otworzył okno, żeby wpuścić trochę powietrza.

— Halo, jest pan tam...? — usłyszał po chwili.

Kiedy rozłączył się, wykręcił jeszcze na centralę.

— Centrala.

— Proszę Waszyngton, D.C., numer KL4-8801.

— Jedną chwilę.

Tyle to trwało. Znowu męski głos:

— Dział połączeń, agent specjalny Reynolds.

— Mówi agent specjalny Littell z Chicago. Chcę przesłać wiadomość do agenta Boyda w Miami.

- Czy on jest z biura w Miami?
- Nie, wykonuje zadanie w terenie. Proszę o przesłanie wiadomości do komendy w Miami, niech oni go tam znajdą. To naprawdę pilne...
- Zlecenie trochę nietypowe, ale dam radę. Jaka to wiadomość?

Littell mówił wolno:

— Mam pośredni i domniemany (te dwa słowa podkreślić) dowód na to, że J.H. wynajął naszego przerośniętego francuskiego kumpla, by wyeliminować świadka komisji R.K. Nasz kolega wylatuje z Miami dziś, American, lot 55. Zadzwoń do mnie do Chicago po szczegóły. Poinformuj natychmiast Roberta K. Podpisane W.J.L.

Agent powtórzył wiadomość. Littell słyszał, jak Mary Kirpaski chlipie przy kuchennych drzwiach.

**S**amolot Helen spóźniał się. Littell czekał w barku blisko bramki.

Sprawdził ponownie wykaz telefonicznych połączeń. Instynkt podpowiadał mu jedno: Pete Bondurant zabił Rolanda Kirpaskiego.

Kemper wspominał o martwym świadku nazwiskiem Gretzler. Gdyby dało się to powiązać z Bondurantem, miałby gotowe DWA oskarżenia o morderstwo.

Popijał czystą i piwo. Spoglądał w lustro z tyłu, żeby ocenić swój wygląd. Okulary i przeredzone włosy nie pasowały do roboczych ciuchów. Czysta grzała, piwo łaskotało.

Do stolika podeszło dwóch mężczyzn. Chwycili go i poderwali na nogi. Wzięli pod łokcie. Poprowadzili do osłoniętej budki telefonicznej. Szybka i pewna akcja — nikt z klientów baru nie zauważył.

Założyli mu ręce do tyłu, a z cienia wyszedł Chick Leahy i stanął przed nim. Littell czuł, jak uginają mu się kolana. Tamci podnieśli go, aż stanął na palcach. Leahy powiedział:

— Przechwyciliśmy twoją wiadomość dla Kempera Boyda. Mogłeś w ten sposób zniszczyć jego przykrywkę. Pan Hoover nie chce, żeby pomagać Robertowi Kennedy'emu, a Peter Bondurant jest cenionym współpracownikiem Howarda Hughesa, który jest bliskim przyjacielem pana Hoovera i Biura. Czy ty w ogóle wiesz, Littell, jak wyglądają *zaszyfrowane* wiadomości?

Littell zamrugał. Spadły mu okulary. Widział niewyraźnie. Leahy walnął go w klatkę.

— Nie pracujesz już w „PS” i wracasz do Czerwonej Drużyny. I dobrze ci radzę, siedź cicho.

Jeden z tamtych zabrał notatnik. Drugi rzucił:

— Śmierdzisz wódą.

I odeszli. Wszystko trwało trzydzieści sekund.

Bolały go ramiona. Okulary były porysowane i pogięte. Nie mógł głębiej odetchnąć ani się wyprostować.

Wrócił do stolika. Łyknął czystej i piwa i wygładził ubranie.

Okulary były mocno powyginane. Sprawdził w lustrze swój nowy image: najbardziej nieudolny robotnik na świecie.

Z głośnika huknęło: „Wylądował samolot linii United, lot 84 z Nowego Orleanu”. Littell dokończył drinka i wsunął do ust dwa miętusy. Ruszył do bramki i przepchnął się między pasażerami.

Helen zobaczyła go i upuściła torby. Jej uścisk niemal zwałił go z nóg. Ludzie musieli ich wymijać. Littell zawołał:

— Hejże, pozwól, że najpierw sobie na ciebie popatrzę!

Helen podniosła głowę. Jej włosy łaskotały go w podbródek — wyrosła.

— Wyglądasz cudownie.

— To róż numer cztery Maxa Factora. Świetnie kryje moje blizny.

— Jakie blizny?

— Bardzo śmieszne. A kim *ty* teraz jesteś, robolem?

— Byłem. Przez parę ostatnich dni.

— Susan mówiła, że pan Hoover w końcu pozwolił ci ścigać gangsterów.

Jakiś facet potknął się o bagaż Helen i spojrzął na nich. Littell rzekł:

— Chodźmy stąd, stawiam ci obiad.

Zjedli steki w Stockyard Inn. Helen gadała jak najęta i lekko się wstawiła czerwonym winem. Z cherlawego źrebięcia wyrosła na długonogą klaczkę o wyrazistej twarzy. Rzuciła palenie — stwierdziła, że to tylko pozornie dodaje finezji. Zawsze czesała włosy w kok, żeby było widać blizny. Teraz nosiła rozpuszczone, żeby zakryć je częściowo.

Kelner przechodził z wózkiem z deserami. Helen zamówiła ciastko orzechowe; Littell — brandy.

— Ward, pozwalasz, żebym cały czas ja mówiła...

— Czekam tylko, żeby potem podsumować.

— Co podsumować?

— Ciebie jako dwudziestojednolatkę.

Helen jęknęła.

— Zaczynam już odczuwać tę swoją pełnoletność.

— Chciałem tylko powiedzieć, że jesteś bardziej zrównoważona, ale nie kosztem swej spontaniczności. Kiedyś potykałaś się o słowa, gdy chciałaś coś wytłumaczyć, a teraz pomyślisz, nim coś powiesz.

— Teraz ludzie potykają się o mój bagaż, kiedy jestem podekscytowana spotkaniem z mężczyzną.

— Mężczyzną? Masz na myśli dwadzieścia cztery lata starszego od siebie przyjaciela, który widział, jak dorastałaś?

Dotknęła jego dłoni.

— Mam na myśli mężczyznę. W Tulane miałam zajęcia z profesorem, który mówił, że w stosunkach między starymi przyjaciółmi, studentami i profesorami wszystko się zmienia, więc coś znaczy ćwierć wieku?

— I mówisz, że on był dwadzieścia pięć lat starszy od ciebie?

Helen zaśmiała się.

— Dwadzieścia sześć. Próbował też umniejszać znaczenie pewnych spraw, żeby były mniej kłopotliwe.

— I mówisz, że miałaś z nim romans?

— Tak. I *mówię*, że nie było w tym nic zdrożnego ani żalosego, w przeciwieństwie do umawiania się z rówieśnikami, którzy myśleli, że będę łatwa przez te blizny.

Littell zawołał: — Jezu Chryste...

Helen wycelowała w niego widelcem.

— A teraz wiem, że jesteś zdenerwowany, bo przecież wciąż jest w tobie coś z jezuickiego seminarzysty i wzywasz imię naszego Zbawcy tylko wtedy, gdy zupełnie stracisz głowę.

Littell pociągnął brandy.

— Chciałem raczej powiedzieć: „Jezu Chryste, czy to ja z Kemperem zamknęliśmy ci drogę do mężczyzn w twoim wieku? Masz zamiar spędzić młodość na uganianiu się za starymi ramolami?”

— Gdybyś posłuchał naszych tekstów z Susan i Claire...

— A co, moja córka i jej najlepsze przyjaciółki klną jak szewcy?

— Nie, ale dyskutujemy o facetach w ogóle, a o tobie i Kemperze to już szczególnie, w razie gdyby was kiedyś uszy paliły.

— Rozumiem, że możecie mówić o Kemperze. Jest przystojny i niebezpieczny.

— Tak. Jest bohaterem. Ale to kobieciarz, nawet Claire o tym wie.

Helen ścisnęła mu dłonie. Czuł, jak puls mu przyspiesza. Przyszedł mu do głowy ten szalony „kurwa, Jezu Chryste” pomysł. Zdjął okulary.

— Nie jestem pewien, czy Kemper jest bohaterem. Myślę, że bohaterowie są szlachetni i wielce zapalczywi.

— To brzmi jak epigram.

— Bo to jest epigram. Senator John F. Kennedy kiedyś tak mówił.

— Jesteś pod jego wrażeniem? Czy to nie jest jakiś okropny liberal?

— Jestem pod wrażeniem jego brata Roberta, który jest prawdziwym bohaterem.

Helen uszczypnęła się.

— To bardzo dziwna rozmowa ze starym przyjacielem rodziny, który zna mnie, odkąd zginął mój ojciec...

Ten Pomysł — Jezu Chryste.

Głośno powiedział: — Będę twoim bohaterem.

Helen odrzekła: — Ale nie pozwolimy, żeby to było żalosne...

Odwiózł ją do hotelu i wniósł torby na górę. Helen pocałowała go na dobranoc w usta. Jego okulary wplątały się w jej włosy i spadły na podłogę.

Potem pognął z powrotem na Midway i złapał lot o 2.00 do Los Angeles. Stewardesa gapła się na jego bilet: powrotny lot miał godzinę po wylądowaniu.

Jedna brandy ululala go. Obudził się skacowany akurat w chwili lądowania. Miał w zapasie czternaście minut.

Lot 55 z Miami miał być o czasie, bramka numer dziewięć. Littell przypiął odznakę i dostał pozwolenie wejścia na pas. W głowie zaczęło mu łomotać od kaca. Bagażowi, mijając go, otaksowali go spojrzeniem. Wyglądał jak lump w średnim wieku, który spał w ubraniu.

Samolot z Miami wylądował. Załoga naziemna przysunęła schody dla pasażerów. Bondurant wyszedł przednim wejściem. Jimmy Hoffa posyłał swoich morderców pierwszą klasą. Littell podszedł do niego. Serce waliło mu jak młotem, a nogi miał miękkie. Głos mu drżał i łamał się.

— Któraś dnia cię dopadnę. Za Kirpaskiego i całą resztę.

## 10

(Los Angeles, 14 grudnia 1958)

Freddy zostawił wiadomość za wycieraczką: „Poszedłem na lunch. Zaczekaj nam mnie”. Pete wlaź na tył furgonetki. Freddy zainstalował klimatyzację: wentylator skierowany na michę z kostkami lodu. Taśma przesuwała się. Migotały lampki. Drżały igły wskaźników. Przypominało to kokpit taniej podroby statku kosmicznego.



Pete otworzył boczne okienko i wpuścił trochę powietrza. Przeszedł facet w typie federalnego — prawdopodobnie z personelu placówki podsłuchowej.

Powietrze zadrgało żarem Santa Ana. Pete wrzucił sobie w spodnie kostkę lodu i zaśmiał się fałsetem. Jego głos zabrzmiał dokładnie jak agenta specjalnego Warda J. Littella.

Littella, gdy wyskrzeczwał swoje ostrzeżenie. I cuchnął — wodą i potem. Miał gównno z pętelką, a nie dowód.

Mógł mu powiedzieć: To *ja* załatwiłem Antona Gretzlera, ale Kirpaskiego zabił Hoffa. Ja wypchałem mu gębę łuskami od naboju i zakleiłem. Na wysypisku puściliśmy Rolanda i jego samochód z dymem. Strzał z dubeltówki na grubą zwierzynę rozwalił mu łeb — nigdy nie potwierdzą jego tożsamości, nawet po analizie dentystycznej.

Littell nie wie, że to Jack-Papla zabił Rolanda Kirpaskiego. Federalny z punktu podsłuchowego może przesyłać mu taśmy, ale Littell i tak nie złoży do kupy całego scenariusza.

Freddy wszedł do furgonetki. Poprawił ustawienie urządzenia rejestrującego i zaczął wylewać z siebie gorycz.

— Ten federalny, co właśnie przeszedł, bez przerwy filuje na furgonetkę. Parkuję tutaj cholernie długo. Wystarczy, że zmierzy mnie tym pieprzonym licznikiem Geigera, i zorientuje się, że siedzę w tym samym gównie, co on. Nie mogę stawać gdzie indziej, bo gubię sygnał. Przydałby się jakiś lokal w pobliżu, żeby zainstalować mocniejszy sprzęt, taki co lepiej złapie podsłuch z chaty tej małej Shoftel. Pieprzony fedzio zajął ostatnią chatę, która tu blisko była do wynajęcia. A te dwie stowy dziennie, które ty i Jimmy mi płacicie, nijak nie pokrywają całego ryzyka, które tu ponoszę...

Pete wziął kostkę lodu i skruszył ją w rękę.

— Skończyłeś?

— Nie. Mam na dupie pieprzonego czyraka od spania na tej pieprzonej podłodze.

Pete wylał palce.

— Zrób sobie opatrunek.

— Potrzebuję *trochę* kasy. Za to ryzyko i na podrasowanie operacji. Skręć trochę szmalu, a zobaczysz, że i tobie to się opłaci...

— Pogadam z panem Hughesem i zobaczą, co da się zrobić.

**H**oward Hughes brał towar od czarnego transwestyty imieniem Peaches. Ale chata była pusta — pedał z sąsiedztwa powiedział, że Peaches poszedł na balangę sodomo. Pete musiał improwizować.

Pojechał do supermarketu, kupił torebkę płatków ryżowych z dołączoną kartonową policyjną odznaką-zabawką. Przypiął ją do koszuli. Zadzwoił do Karen Hiltsher w Biurze Danych i wyciągnął parę pierwszorzędnych informacji: kuchta baru Scrivner's Drive-in dorabiał na boku i może od niego uda mu się coś wyciągnąć. Opisała mu go: biały, kościsty, z bliznami po trądziku i faszystowskimi tatuażami.

Pete pojechał do Scrivner's. Drzwi kuchenne były otwarte: frajer stał nad głęboką patelnią i smażył frytki. W końcu dostrzegł go. Rzucił tylko, że ta odznaka to pic. I zerknął na zamrażarkę — pewny znak, że trzyma tam towar. Pete spytał:

— Jak chcesz się przekonać?

Frajer wyjął nóż. Pete kopnął go w jaja i włożył do tłuszczu rękę z kosą. Na sześć sekund — skok po prochy nie wymaga totalnej rozpiarduchy. Frajer wrzasnął. Zagłuszył go hałas z ulicy. Pete wepchnął mu do ust kanapkę, dla zakneblowania.

Zapas towaru leżał w zamrażarce obok lodów.

Kierownik hotelu podarował panu Hughesowi choinkę. Była kompletnie udekorowana — goniec zostawił ją przed bungalowem. Pete wniósł ją do środka i podłączył lampki. Zaczęły migotać. Hughes zerknął do kartonu po frytkach.

— Co tu masz? I po co przytaszczyłeś ten magnetofon?

Pete pogrzebał w kieszeniach i rozsypał trochę prochów pod choinką.

— Hej ho, hej ho, kurew sto. Gwiazdka dziesięć dni wcześniej! Kodeina, że ho, ho!

Hughes wyciągnął się na poduszkach.

— No... to mi się podoba. Ale czy nie miałeś sprawdzać kandydatów do *Cicho sza!*?

Pete wyciągnął wtyczkę od lampek i włączył magnetofon.

— Szefie, wciąż nienawidzisz senatora Johna F. Kennedy'ego?

— Oczywiście. Orznął mnie w interesach jeszcze w 1927 roku.

Pete zdejmował z ubrania sosnowe igły.

— Myślę, że będziemy mogli dobrać mu się do skóry w *Cicho sza!*, jeśli wydamy trochę pieniędzy na pewną operację.

— Mamy tyle pieniędzy, że mógłbym kupić całą Amerykę Północną, a jeśli nie przestaniesz mnie podchodzić, wyślę cię czółnem do Belgijskiego Konga!

Pete nacisnął *play*. Senator Jack i Darleen Shoftel kotłowali się w pościeli i jęczeli. Howard Hughes, śmiertelnie podniecony, aż ścisnął prześcieradło. Odgłosy stosunku przechodziły od *crescendo* do *diminuendo*. Aż Jack K, odezwał

się: „Cholera, mój dysk”. A Darleen odpowiedziała: „Faaajnie było. Najlepiej jest krótko a milutko”. Pete nacisnął *stop*. Howard cały się trząsł.

— Możemy to wydrukować w *Cicho sza!* przy zachowaniu pewnych środków ostrożności. Trzeba tylko odpowiednio to wpasować.

— Skąd ty... skąd to... masz?

— Ta dziewczyna to prostytutka. FBI założyło jej podsłuch, a Freddy Turrentine podłączył się do nich. Dlatego w druku to nie może wyglądać jak materiał z podsłuchu, żeby federalnym nie wydało się podejrzanym...

Howard skubał pościel.

— Dobrze, sfinansuję tę „operację”. Niech Gail Hendee opisz tę historię — coś w rodzaju: „Rozwiąży senator figluję z hollywoodzką dziwką”. Nowy numer wychodzi pojutrze, więc jeśli Gail napisze to dzisiaj i przed wieczorem dostarczy do redakcji, zdążymy. Niech zaraz siada do pisania. Rodzina Kennedych zignoruje coś takiego, ale gazety i agencje prasowe mogą przyjść i pytać o dalsze szczegóły. I dostaną je!

Wielki Howard promieniał radością niczym dziecko na Gwiazdkę. Pete z powrotem podłączył lampki na choince.

Gail trzeba było przekonać. Pete posadził ją na werandzie i zaczął słodką gadkę.

— Kennedy to palant. Zbalałmucił cię podczas swojego miodowego miesiąca, rzucił dwa tygodnie później i dał na pożegnanie jakieś gówniane norki.

Gail uśmiechnęła się. — Ale był miły. I nigdy nie czarował: „Skarbie, rozwiodę się dla ciebie”.

— Jak się ma starego wartego sto milionów dolarów, nie trzeba się bawić w takie rzeczy.

Gail westchnęła.

— Wygrałeś, jak zawsze. Wiesz, dlaczego nie nosiłam ostatnio tych nerek?

— Nie.

— Dałam je pani Walterowej P. Kinnard. Obciąłeś jej sporą część alimentów, więc pomyślałam, że przyda jej się jakieś pocieszenie.

Minęły 24 godziny.

Hughes odpalił trzydzieści kawalków. Pete zabrał piętnaście. Jeśli przez *Cicho sza!* podsłuch wyjdzie na jaw, będzie zabezpieczony finansowo.

Freddy kupił odbiornik dalekiego zasięgu i rozglądał się za domem.

Federalni wciąż zezowali na furgonetkę. Jack K, nie dzwonił ani nie przychodził. Freddy wywnioskował, że Darleen była dobra tylko na jeden raz.

Pete warował przy telefonie w „budzie dla psa”. Frajerzy przeszkadzali mu w snuciu marzeń na jawie. Zadzwońło dwóch potencjalnych pismaków: eksgliny rozmówane w hollywoodzkich plotkach. Oblali jego wymyślone ad hoc pytanie kwizowe: „Kto pieprzy Avę Gardner?”.

Wykonał też parę telefonów i zainstalował w Beverly Hilton nowego sobowtóra Hughesa. Poleciała go Karen Hiltsher: jej parszywy teść-moczymorda. Pops zażądał w tym czasie trzech panienek i wygód. Pete załatwił dla niego prezydencki apartament, thunderbirda i cheeseburgery na śniadanie, obiad i kolację.

Zadzwońił Jimmy Hoffa. Przyznał, że taki kawałek do *Cicho sza!* będzie niezły, ale chce WIĘCEJ. Pete nie podzielił się z nim wieścią, że Jack i Darleen to tylko jednorazowa dwuminutowa zabawa na materacu. Wciąż myślał o Miami. Postoju taksówek, barwnych latynosach, tropikalnym słońcu.

Miami pachniało przygodą. Miami pachniało forszą.

**W** dniu publikacji obudził się wcześniej. Gail nie było — unikała go ostatnio, jeżdżąc bez celu po plaży. Wyszedł na zewnątrz. Do skrzynki na listy wepchnięto świeżo wydrukowany egzemplarz — zgodnie z instrukcją.

Przejrzał tytuły na okładce. „Senacki kocur lubi pejce! Zapytaj kociaki z Los Angeles!”. Odszukał ilustrację: twarz JFK wpasowana w tułów kota z kreskówki, ogon owinięty wokół blondynki w bikini. Znalazł artykuł. Gail pisała pod pseudonimem „Wszystkowiedzący politykier”.

*Zakulisowe wieści z senatu USA głoszą, że daleko mu do bycia najbardziej frywolnym i demonicznym demokratą. Nie, to senator L.B. (Lubieżny Bawidamek?) Johnson przoduje w politycznych rankingach swego departamentu, a tuż za nim plasuje się George F. „Całuśny” Smathers z Florydy. Nie, senator John F Kennedy jest raczej lekko puchnącym kocurem, zdecydowanie gustującym w efektownych i radosnych kocicach, dla których jest tak bajecznie atrakcyjny!*

Pete przeleciał wzrokiem resztę. Gail rozegrała to na pół gwizdka — oszczerstwa nie były szczególnie podłe. John Kennedy strzela oczami do kobiet i „oczarowuje, oszalałami i omamia” je za pomocą „bizuterii, bransoletek i bawidełek” oraz „bogactwa i piękna Bostonu”. Żadnego walenia z grubej rury, żadnych aluzji do pieprzenia, żadnych żarcików o „dwuminutowym” Jacku.

Pyk, pyk, pyk — zaczęły się uruchamiać czujki w jego głowie...

W końcu pojechał do centrum, mijając powoli składy *Cicho sza!*. Wszystko wyglądało absolutnie normalnie.

Mężczyźni pchali wózki z powiązаныmi paczkami. Inni załadowywali je na palety. Z tyłu stała kolejka furgonów rozwożących gazety do kiosków.

Wszystko w porządku, ale:

W dole ulicy parkowały dwa nieoznakowane samochody policyjne. Podejrzanie wyglądał samochód z lodami — kierowca mówił do ręcznego mikrofonu.

Pete okrążył kwartał. Kapusie wyrastali jak grzyby po deszczu: cztery nieoznaczone auta przy krawężniku i dwa radiowozy za rogiem. Zrobił jeszcze jedno kółko. Gównno trafiło do wentylatora i rozprysło się na wszystkie strony.

Cztery jednostki na sygnale tłoczyły się przy rampie załadunkowej. Przybywało tajniaków. Kordon w niebieskich mundurach zaatakował magazyn hakami ładunkowymi. Furgonetka Wydziału Policji Los Angeles zablokowała ciężarówki zaopatrzenia. Magazynierzy upuścili paczki i podnieśli ręce do góry.

Pieprzony chaos godny szmatławca. Pieprzony kurewski Armagedon...

**P**ete pojechał do hotelu w Beverly Hills. Przed oczami jawił mu się Wielki Brzydki Obraz: ktoś zakapował sprawę Kennedych.

Zaparkował i pobiegł wzdłuż basenu. Przed bungalowem Hughesa zobaczył tłum. Gapili się w okno sypialni Wielkiego Howarda. Wyglądali jak jakieś cholerne hieny cmentarne. Podbiegł i przepchał się do przodu. Billy Eckstine trącił go łokciem.

— Popatrz no.

Okno było otwarte. Dwóch facetów podnosiło pana Hughesa — osaczając go Wielkim Werbalnym Żalem. Byli to Robert Kennedy i Joseph P. Kennedy senior. Hughes leżał zagrzebany w pościeli. Bobby wymachiwał strzykawką. Stary Joe wściekał się.

— ...Jesteś żalonym rozpustnikiem i narkomanem. Za moment wystawię cię na pokaz szerokiemu światu, a jeśli myślisz, że blefuję, proszę, patrz, otworzyłem okno, żeby twój hotelowi sąsiedzi mogli ujrzeć w skrócie to, czego dowiedzą się wszyscy, jeżeli kiedykolwiek pozwolisz, by twój plugawy szmatławiec napisał słowo o mojej rodzinie.

Hughes skurczył się. Jego głowa uderzyła o ścianę, aż jakiś obraz spadł z hukiem.

Kilku podglądaczy gwiazd dołączyło do show: Billy, Mickey Cohen, jakiś pedalski Myszkietier w czapce z mysimi uszami. Howard Hughes zaskowyczał. I przemówił:

— Proszę, nie róbcie mi krzywdy.

Pete pojechał do domu Shoftel. Wielki Paskudny Obraz stawał się coraz bardziej wyraźny: albo Gail doniosła, albo fedzie odkryli podsłuch.

Zatrzymał się za furgonetką Freddy'ego. On sam klęczał na chodniku przykuty do przedniego zderzaka.

Pete podbiegł. Freddy szarpał łańcuch i próbował wstać. Nadgarstek miał otarty do krwi. Zdarł kolana do żywego, szurając nimi po chodniku. Pete przyklęknął przed nim.

— Co się stało? Przestań się szarpać i patrz na mnie.

Freddy pokręcił nadgarstkiem. Pete uderzył go w policzek. Freddy odskoczył i spojrzał na Pete'a półprzymtomnie. Odezwwał się:

— Facet z punktu podsłuchowego przesłał stenogramy do federalnych w Chicago i powiedział, że był podczepiony do mojej furgonetki. Pete, na moje to coś tu śmierdzi. Jest jeden gość z FBI pracujący na własną rękę, któremu coś chyba nie wyszło i...

Pete przebiegł przez trawnik i rzucił się na ganek. Darleen Shoftel usunęła mu się spod nóg, złamała wysoki obcas i upadła na tyłek.

Wielki Paskudny Obraz Finałowy:

Na podłodze mikrofony pokryte kitem. Dwa zapluskwione telefony na bocznym stoliku. I agent specjalny Ward J. Littell w tanim granatowym garniturze.

To był pat. Nie załatwia się *impromptu* facetów z FBI.

Pete podszedł do niego. Powiedział: — To jakaś gówniana zasadzka, przecież nie byłbyś tu sam.

Littell po prostu stał. Okulary zjechały mu na czubek nosa.

— Dalej za mną latasz, żeby mnie wkurzyć... Następnym razem będzie tym ostatnim.

Littell przemówił, wyraźnie drżącym głosem: — Złożyłem to wszystko do kupy.

— No, słucham.

— Kemper Boyd wygadał się, że miał jakąś sprawę do załatwienia w hotelu Beverly Hills. Rozmawiał tam z tobą, ty nabrałeś podejrzeń i śledziłeś go. Wiedziałeś, jak zapluskwiliśmy ten dom i kazałeś swojemu kumplowi założyć dodatkowe kable. Senator Kennedy powiedział pannie Shoftel o zeznaniach Rolanda Kirpaskiego, ty to usłyszałeś i namówiłeś Jimmy'ego Hoffę, żeby dał ci tę sprawę.

Pijaczyna. Chudy jak fasola glina z wódczanym chuchem od 8.00 rano.

— Nie masz żadnego dowodu, a pana Hoovera to nie obchodzi.

— Masz rację. Nie mogę aresztować ciebie ani Turentine'a.

Pete uśmiechnął się.

— Założę się, że panu Hooverowi podobały się te taśmy. I założę się, że nie będzie zbyt zadowolony, że schrzaniłeś operację.

Littell uderzył go w twarz. I odezwał się:

— To za krew na rękach Johna Kennedy'ego.

Policzek był słaby. Większość kobiet robi to mocniej.

**W**iedział, że zostawi list. Znalazł go na łóżku obok jej kluczy do domu.

*Wiem, że domyśliłeś się, że przesłodziłam ten artykuł. Gdy wydawca się go nie uczepił, zdałam sobie sprawę, że to nie wystarczy, i zadzwoniłam do Bobby'ego Kennedy'ego. Powiedział, że prawdopodobnie będzie mógł pociągnąć za właściwe sznurki i wstrzymać wydanie. Jack jest może nieco gruboskórny, ale nie zasługuje na to, co dla niego zaplanowałeś. Już nie chcę z Tobą być. Proszę, nie próbuj mnie szukać.*

Zostawiła ubrania, które jej kupił. Pete wyrzucił je na ulicę i patrzył, jak przejeżdżają po nich samochody.

## 11

(Waszyngton, D.C., 18 grudnia 1958)

**J**eśli powiem, że jestem wściekły, słowo „wściekłość” nabierze nowej mocy. Jeśli powiem, że uważam wasze działania za skandaliczne, zmienię znaczenie „skandalu”.

Pan Hoover zrobił pauzę. Poduszka na krześle sprawiała, że górował nad dwoma wysokimi mężczyznami. Kemper spojrział na Littella. Siedzieli czerwoni naprzeciw biurka Hoovera. Littell wykrztusił:

— Rozumiem pańską postawę.

Hoover otarł usta chusteczką. — Nie wierzę wam. I zrozumienia czegoś nie cenię tak wysoko jak lojalności.

Littell dodał: — Sir, działałem impulsywnie, za co przepraszam.

— „Impulsywność” towarzyszyła pańskiej próbie skontaktowania się z panem Boydem i narzucania jemu i Robertowi Kennedy'emu absurdalnych podejrzeń dotyczących Bonduranta. „Obluda” i „zdrada” stanowiły bodziec dla pańskiego lotu do Los Angeles w celu uniemożliwienia oficjalnej akcji Biura.

— Podejrzałem Bonduranta o morderstwo. Uważałem, że to on podpiął podsłuch do aparatury założonej przeze mnie i pana Boyda, i miałem rację.

Hoover nie odpowiedział. Kemper wiedział, że pozwoli narastać ciszy.

Operacja nie powiodła się z dwóch powodów. Dziewczyna Bonduranta powiedziała Bobby'emu o paszkwilu; zabójstwo Kirpaskiego Ward wykombinował sam. W jego rozumowaniu było trochę racji: Pete był w Miami w tym samym czasie co Roland.

Hoover bawił się przyciskiem do papieru.

— Czy morderstwo jest przestępstwem federalnym, panie Littell?

— Nie, sir.

— Czy Robert Kennedy i Komisja McClellana są bezpośrednimi rywalami Biura?

— Nie sądzę, sir.

— W takim razie jest pan nieorientowanym i naiwnym człowiekiem, a pańskie ostatnie działania aż nadto tego dowodzą.

Littell siedział bez ruchu. Kemper widział, jak pulsują mu żyły na szyi. Hoover założył ręce.

— 16 stycznia 1961 minie dwadzieścia lat pańskiej pracy w Biurze. Wtedy przejdzie pan na emeryturę. Do tego czasu popracuje pan w biurze w Chicago. Aż do przejścia na emeryturę zostanie pan w Wydziale Inwigilacji Partii Komunistycznej Stanów Zjednoczonych.

Littell odpowiedział: — Tak jest.

Hoover wstał. Kemper zrobił to chwilę później, zgodnie z protokołem. Littell wstał zbyt wcześnie — jego krzesło zakolysało się.

— Swoją dalszą karierę i emeryturę zawdzięcza pan panu Boydowi, którego dar perswazji przekonał mnie. Oczekuję, że odwdzięczy się pan za moją wspinałomyślność obietnicą zachowania absolutnej dyskrecji w kwestii pana Boyda, Komisji McClellana i wtargnięcia do rodziny Kennedych. Czy obiecuje pan to, panie Littell?

— Tak jest, obiecuję.

Hoover wyszedł.

Kemper powiedział z przeciągłym akcentem: — No, już możesz odetchnąć, synu.



W barze Mayflower urządzano okolicznościowe bankiety. Kemper usadził Littella i rozluźnił go podwójną szkocką z lodem.

Nie tylko oni wpadli na pomysł schronienia się przed śniegiem — było tak tłoczno, że nie mieli szans na rozmowę. Ward zniósł ten wstrząs lepiej, niż można się było spodziewać.

Kemper spytał: — Żałujesz czegoś?

— Właściwie nie. Miałem zamiar przejść na emeryturę po dwudziestu latach, a „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” jest w najlepszym razie półśrodkiem.

— Usprawiedliwiasz się?

— Chyba nie. Poczułem... — urwał.

— Dokończ. Nie pozwól mi interpretować.

— No... poczułem... smak czegoś bardzo niebezpiecznego i przyjemnego.

— I spodobało ci się.

— Tak. Jakbym dotknął innego świata.

Kemper zamieszał swoje martini.

— Wiesz, dlaczego pan Hoover pozwolił ci pozostać w Biurze?

— Nie całkiem.

— Przekonałem go, że jesteś zmienny, irracjonalny i uzależniony od podejmowania ryzyka. Żdźbło prawdy w tym przekonało go, że lepiej, żebyś był w stodole i sikał na zewnątrz, niż był na zewnątrz i sikał do środka. Hoover chciał, żebyś pomógł mu cię zdołować, i gdyby tylko dał mi sygnał, osobiście bym cię skrytykował.

Littell uśmiechnął się. — Kemper, podchodzisz mnie. Zachowujesz się jak prawnik wyciągający zeznania ze świadka.

— Tak, a ty jesteś prowokującym świadkiem. A teraz pozwól, że cię o coś zapytam. Jak myślisz, jakie plany ma wobec ciebie Bondurant?

— Chce mnie zabić?

— Prawdopodobnie zaraz po twoim przejściu na emeryturę. Ward, on zamordował własnego brata. Jego rodzice popełnili samobójstwo, kiedy się o tym dowiedzieli. W tę plotkę o nim akurat wierzę.

— Jezu Chryste.

Littell był przerażony i taka reakcja była całkiem zrozumiała. Kemper nakłuł oliwkę w swoim kieliszku.

— Masz zamiar kontynuować to, co zacząłeś, bez wiedzy Biura?

— Tak. Mam szansę zdobyć dobrego informatora i...

— Jeszcze nie chcę znać szczegółów. Przekonaj mnie, że rozumiesz ryzyko płynące z samego Biura i spoza niego i że nie będziesz się głupio zachowywał.

Littell uśmiechnął się. Wyglądał niemal odważnie.

— Hoover ukrzyżowałby mnie. Gdyby mafia chicagowska wiedziała, że prowadzę śledztwo bez wiedzy Biura, torturowaliby mnie, a potem zabili. Kemper, chyba wiem, do czego zmierzasz.

— Powiedz.

— Myślisz na poważnie o pracy dla Roberta Kennedy'ego. Przypadł ci do gustu i szanujesz to, co robi. Masz zamiar zmienić bieg rzeczy i zacząć dostarczać Hooverowi minimum informacji i trochę nieprawdziwych wieści.

Lyndon Johnson tańczył przy tylnych stolikach walca z rudą kobietą. Już ją kiedyś widział — Jack powiedział, że mógłby go jej przedstawić.

— Masz rację, ale chcę pracować dla senatora. Bobby jest bardziej w *twoim* typie. Tak jak ty, jest katolikiem, a mafia to dla niego powód do życia.

— I będziesz karmił Hoovera takimi informacjami, jakie uznasz za stosowne.

— Tak.

— Nie będzie ci przeszkadzała związana z tym obłuda?

— Nie osądzaj mnie, Ward.

Littell zaśmiał się.

— Lubisz, jak cię osądzam. Podoba ci się, że ktoś prócz pana Hoovera zna się na twoich zagrywkach. *Więc ja* cię teraz ostrzegę. Uważaj na Kennedych.

Kemper podniósł szklankę.

— Będę. A ty powinieneś wiedzieć, że za dwa lata Jack może być wybrany na prezydenta. Jeśli tak się stanie, Bobby będzie miał *carte blanche* do walki z przestępczością zorganizowaną. A rządy Kennedy'ego mogą oznaczać dla nas obu wielkie możliwości.

Littell podniósł szklankę.

— Taki oportunistą jak ty dowie się o tym pierwszy.

— *Salud*. Czy mogę powiedzieć Bobby'emu, że będziesz dzielił się swoimi informacjami z Komisją? Anonimowo?

— Tak. I właśnie do mnie dotarło, że przejdę na emeryturę cztery dni przed objęciem urzędu przez nowego prezydenta. Gdyby to twój rozwiązał przyjaciel Jack miał się na nim znaleźć, mógłbyś wspomnieć o prawniku-gliniarzu szukającym pracy.

Kemper wyciągnął kopertę.

— Zawsze szybko się uczyłeś. I zapomniałeś, że Claire zna się na zagrywkach nas obu.

— Drwisz sobie, Kemper. Przeczytaj, co tam masz.

Kemper rozwinął kartkę z notesu.

— Cytuję: „Tato, nie uwierzysz, co Helen mi powiedziała, dzwoniąc o pierwszej w nocy. Siedzisz? Miała gorącą randkę z wujkiem Wardem. (ur. 8.03.1913. Helen — 29.10.1937) i pieścili się w jej pokoju. Poczekaj, aż się Susan dowie! Helen zawsze podrywała starszych facetów, ale to wygląda tak, jakby Królowna Śnieżka leciała na Walta Disneya! A ja zawsze myślałam, że ona ma ciebie na oku”. Koniec cytatu.

Littell wstał rumieniąc się.

— Umówiłem się z nią dzisiaj w moim hotelu. Powiedziałem jej, że mężczyźni lubią kobiety, które przyjeżdżają do nich z daleka. I dotychczas to ona za mną latała.

— Helen Agee to dziewczynka z college'u w przebraniu kierowcy tira. Pamiętaj o tym, kiedy sprawy się skomplikują.

Littell zaśmiał się i odszedł promieniejąc.

Miał dobrą sylwetkę, ale powinien wyrzucić te pogięte okulary. Idealiści nie zwracali uwagi na wygląd zewnętrzny. Ward zupełnie nie miał gustu.

Kemper zamówił drugie martini i obserwował tylne stoliki. Dochodziło do niego echo rozmów — kongresmani dyskutowali o Kubie. John Stanton nazwał Kubę potencjalnym głównym tematem zainteresowań Agencji. Powiedział mu: „Mógłbym dla was pracować”.

Wszedł Jack Kennedy. Ruda laska Lyndona Johnsona przekazała mu wiadomość na serwetce.

Jack dostrzegł Kempera i mrugnął.

# CZEŚĆ II

## SPISEK

Styczeń 1959 — Styczeń 1961

### 12

(Chicago, 1 stycznia 1959)

Niezidentyfikowany mężczyzna nr 1: „Przekupiony Brodacz. Wiem tylko, że Mo jest naprawdę mocno wnerwiony”.

Niezidentyfikowany mężczyzna nr 2: „Firma zawsze stawiała na Kubę. Santo T, jest, kurwa, najlepszym przyjacielem Batisty. Gadalem z Mo może z godzinę temu. Wyszedł po gazetę i wrócił, żeby obejrzeć pieprzony Puchar Rose w telewizorze. W gazecie napisali Szczęśliwego, kurwa, Nowego Roku i że Castro właśnie przejął Kubę, i nikt nie wie, czy on jest za Stanami, za Rosją czy za Marsjanami”.

Littell odchylił się i poprawił słuchawki. Czwarta po południu i padał śnieg, ale pogawędki w Zakładzie Krawieckim Celano to nie psuło. Był sam w punkcie podsłuchowym „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. Łamał zasady Biura i bezpośrednio rozkazy pana Hoovera.

Mężczyzna 1: „Santo i Sam zasuwają pewnie w kasynach na mieście. Zysk brutto ma wynieść pół miliona dziennie”.

Mężczyzna 2: „Mo mówił mi, że Santo dzwonił do niego krótko przed przewrotem. Te pieprzone Kubańczyki w Miami coś knują. Mo ma dołą z postoją, wiesz o tym?”.

M1: „Taa, z tych Taxi-Tygrys. W zeszłym roku pojechałem tam na konwencję Teamsters i jechałem jedną taryfą, potem przez pół roku wydłubywałem z tyłka pomarańczowo-brązowe właki”.

M2: „Połowa tych kubańskich fiutów jest za Brodaczem, a połowa za Batista. Santo mówił Samowi, że ci taryfciarze są popierdzieleni jak czarnuchy, gdy nie dostaną zasiłku”.

Śmiech uderzył w głośniki — trzeszczące i ustawione na maksa. Littell odłączył słuchawki i wyprostował się. Zostały mu jeszcze dwie godziny służby. Nie zebrał na razie nic olśniewającego — nie interesowali go kubańscy politycy. Podśluchiwał od dziesięciu dni i nie zdobył żadnych niezbitych dowodów.

Ubił interes z agentem specjalnym Courtem Meade'em — cichy układ dotyczący pracy. Kochanka Meade'a mieszkała w Rogers Park; niedaleko niej metę miało kilku przywódców komórek komunistycznych. Dogadali się, że się wymienia: ja biorę twoją robotę, ty — moją.

Spędzali symboliczną ilość czasu nad swoimi prawdziwymi obowiązkami i odwalali pisanie raportów. Meade śledził czerwonych i wysoko ubezpieczoną wdowę. On słuchał pogaduszek bandziorów.

Court był leniwy i bał się o emeryturę. Pracował w Biurze od dwudziestu siedmiu lat.

On był ostrożny. Zatrzymał dla siebie wiedzę o powiązaniach Kempera Boyda z Kennedymi. Wypełniał szczegółowe raporty Czerwonej Drużyny i fałszował podpis Meade'a na wszystkich notatkach służbowych „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”.

Zawsze obserwował, czy ulicą nie zbliża się jakiś agent. Zawsze ostrożnie wchodził i wychodził z punktu podsłuchowego. Taki plan mógł działać przez jakiś czas. Niepokoił go brak tego, czego szukał — musiał mieć informatora.

Przez dziesięć dni z rzędu śledził Lenny'ego Sandsa. Sands nie odwiedzał miejsc spotkań pedałów. Być może nie da się wykorzystać jego seksualnego skrzywienia — Sands mógłby zbagatelizować groźbę wykrycia.

Śnieg pokrył Michigan Avenue. Littell wpatrywał się w jedyne zdjęcie, jakie miał w portfelu. Była to zalaminowana fotka Helen. Fryzura uwidaczniała szramy.

Rozpląkała się, kiedy pierwszy raz całował jej blizny. Kemper nazwał ją „dziewczynką w przebraniu kierowcy tira”. Na Gwiazdkę dał jej breloczek w kształcie ciężarówki.

Claire Boyd wyjawiała Susan, że byli kochankami. Susan odpowiedziała: „Kiedy minie pierwszy szok, powiem tacie, co o tym myślę”. Ale jeszcze nie zadzwoniła.

Littell założył słuchawki. Usłyszał trzask drzwi zakładu krawieckiego.

Mężczyzna nr 1: „Sal, Sal D. Sal, ty widzisz tę pogodę? Nie wolałbyś być w Hawanie i grać w kości z Brodaczem?”

„Sal D.”: najprawdopodobniej Mario Salvatore D'Onofrio, znany jako „Szalony Sal”. Z danych „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”:

Niezależny lichwiarz i bukmacher. Skazany za morderstwo drugiego stopnia w 1951. Określany jako „psychopatyczny sadysta niekontrolujący psychoseksualnego popędu do zadawania bólu”.

Mężczyzna nr 2: „*Che se dice*, Salvatore? No mów, co tam u ciebie nowego i ciekawego?”

Sal: „Straciłem kupę kasy, stawiając na Coltów przed Giantami, i musiałem, kurwa, prosić Sama o pożyczkę”.

M1: „Sal, a ty masz jeszcze ten kościelny towar? Gdzie zabierasz grupy swoich makaroniarzy, do Tahoe i Vegas?”

Zakłócenie. Littell walnął we wzmacniacz i głośność poprawiła się.

Sal D.: „...i do Gardeny, i L.A. Zabieramy Sinatrę i Dino, a kasyna dają nam pokoje z dziwkami i jeszcze odpalają procent. To się nazywa wycieczka — wiecie: rozrywka, hazard i takie tam gówno. Zaraz, Lou, ty znasz Żydka Lenny'ego?”

Lou/M1: „Taa, Sands. Lenny Sands.”

M2: „Żydek-kowboj Lenny. Pieprzony nadworny błazen Sama G.”

Piskliwy dźwięk zagłuszył rozmowę. Littell puknął w konsolę i rozplątał kilka kabli.

Sal D.: „...Więc mówię: «Lenny, potrzebuję chłopaka, żeby ze mną podróżował. Chcę, żeby moi towarzysze byli podkrećeni i zadowoleni, tak żeby wydali więcej pieniędzy i napełnili mój portfel». A on na to: «Sal, nie pracuję na zamówienie, ale złap mnie 1 stycznia w North Side Elks. Robię tam dla Teamsters i jak nie znajdziesz...»”.

Igła zaczęła trzeszczeć. Littell wyciągnął wtyczkę i czuł, jak wzmacniacz stygnie.

Powiązanie D'Onofrio z Sandsem było interesujące. Sprawdził teczkę Sala D. Raport agenta napętniał grozą.

*D'Onofrio mieszka w South Side w enklawie włoskiej otoczonej kwartałami zamieszkanymi przez Murzynów. Większość jego dłużników i klientów lombardu tam mieszka. D'Onofrio zbiera długi na piechotę, zazwyczaj codziennie. Uważa się za kaganek oświaty tej społeczności. Wydział ds. Mafii Szeryfa Hrabstwa Cook sądzi, że odgrywa rolę „protektora” — np. chroniąc Amerykanów włoskiego pochodzenia przed murzyńskimi kryminalistami; ta rola oraz kolekcja broni i technik zastraszania pomaga mu podobno utrzymać bukmacherskie i lichwiarskie królestwo. Warto zauważyć, że D'Onofrio posądzano o udział w torturowaniu i morderstwie Maurice'a Theodora Wilkinsa (19 grudnia 1957), młodego Murzyna podejrzanego o włamanie się do kościoła w jego sąsiedztwie.*

Do teczki podłączono zdjęcie. Szalony Sal miał twarz usianą wrzodami i był brzydki jak gargulec.

Littell pojechał do South Side i okrążył lichwiarskie terytorium D'Onofrio. Dostrzegł go na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Prairie.

Szedł pieszo. Littell zaparkował na poboczu i ruszył za nim w odległości trzydziestu metrów. Szalony Sal wchodził na krótko do budynków mieszkalnych i wychodził, licząc pieniądze.

Wpisywał kolejne transakcje do książeczki. Nerwowo łapał się za nos i nosił podczas śnieżycy tenisówki. Littell trzymał się blisko niego. Wiatr zagłuszał jego kroki.

Szalony Sal zaglądał w okna. Wziął też pięć dolarów od gliniarza na obchodzie, który chciał postawić na Moore'a i Durrelle'a. Ulice były niemal wymarłe. Siedzenie przypominało ciągnącą się halucynację.

Któryś sklepikarz próbował oszukać Szalonego Sala. Wtedy ten wyjął z kieszeni przenośny zszywacz i przykuł mu ręce do lady.

W końcu wszedł do probostwa. Littell zatrzymał się na zewnątrz przy automacie i zadzwonił do Helen. Odebrała po drugim dzwonku.

— Halo?

— To ja, Helen.

— Co to za hałas?

— Wiatr. Dzwonię z budki.

— W taką pogodę jesteś na dworze?

— Tak. Uczysz się?

— Uczę się o czynach niedozwolonych i cieszę się, że mi przeszkodziłeś. Á propos, dzwoniła Susan.

— Cholera. I?

— I powiedziała, że jestem pełnoletnia, a ty jesteś wolny, biały i masz czterdzieści pięć lat. I dodała: „Poczekam i zobaczę, czy będziecie jeszcze razem, jak powiem mojej matce”. Ward, przyjdiesz dziś wieczorem?

Szalony Sal wyszedł i poślizgnął się na schodach probostwa. Ksiądz pomógł mu wstać i pomachał na pożegnanie. Littell zdjął rękawiczki i pochuchał w dłonie.

— Przyjdę późno. Szykuje się numer, który muszę obejrzeć.

— Jesteś tajemniczy. Zachowujesz się, jakby pan Hoover cały czas zaglądał ci przez ramię. Kemper to mówi *swojej* córce wszystko o pracy.

Littell zaśmiał się.

— Powinnaś przeanalizować to freudowskie przejęzyczenie, które właśnie popełniłaś.

Helen wykrzyknęła: — O Boże, masz rację!

Obok przeszedł murzyński chłopak. Szalony Sal ruszył za nim. Littell powiedział: — Muszę kończyć.

— Przyjdź później.

— Przyjdę.

Szalony Sal gonił chłopaka. Przeszkadzały mu śnieg i tenisówki.

Schody do Elks Hall były zatłoczone. Wejście dla kogoś nienależącego do Teamsters przedstawiało się nieciekawie: podejrzanie wyglądający osobnicy sprawdzali przy drzwiach dokumenty.

Mężczyźni wchodzili z torbami pełnymi butelek i sześciopakami piwa. Do płaszczy mieli przypięte plakietki związkowe — mniej więcej tych samych rozmiarów, co odznaki Biura.

Świeża fala uderzyła na schody. Littell trzymał swoją odznakę FBI i przepychał się do środka. Popłynął z tłumem. Blondynka w przepasce na biodrach i z ozdobionym pępkiem sprawdzała płaszcze i torby. Wzdłuż ścian foyer stały automaty do gry. Wygrywało się tutaj za każdym razem — Teamstersi zgarniali monety i wyli z radości.

Littell schował odznakę do kieszeni. Tłum pchnął go do dużej sali. Naprzeciw stolików do gry w karty znajdowała się odsłonięta estrada. Na każdym stoliku stały szklanki do whisky, papierowe kubki i lód.

Striptizerki rozdawały cygara. Za napiwek można je było pieścić do woli.

Littell usiadł przy samej scenie. Naga rudowłosa wyciągnęła ręce — zwitki banknotów wypychały jej skąpe majteczki.

Zgasły światła. Na estradę padły snopy z reflektorów. Littell szybko kupił szkocką z lodem. Do jego stolika dosiadło się trzech mężczyzn. Jacyś nieznajomi klepali go po plecach.

Na scenę wszedł Lenny Sands, skręcając sznur od mikrofonu à la Sinatra. Lenny naśladował też Sinatrę, jego grymasy i głos:

*Autem Teamsters na księżyc zabierz mnie, w tyłki zarządu ślady opon we-rzną się, bo mój związek robi szmal! Za Teamsters pójdę jak na bal!*

Publiczność gwizdała i wrzeszczała. Jakiś facet złapał striptizerkę i zmusił ją do lubieżnego tańca. Lenny Sands uklonił się.

— Dzięki, dzięki, dzięki! Witamy członków Rady Północnego Illinois Międzynarodowego Bractwa Teamsters!

Tłum zaczął bić brawo. Striptizerka przyniosła lód — jej biust znalazł się na twarzy Littella.

Lenny zawołał: — Gorąco tu!

Striptizerka wskoczyła na scenę i wrzuciła mu w spodnie kostki lodu. Publiczka zawyla; facet obok Littella wrzeszczał, plując bourbonem. Lenny robił



ekstacyczne miny, wytrząsając lód z nogawek spodni. Tłum pogwizdywał, wrzeszczał i walił w stoliki. Striptizerka schowała się za kurtynę. Lenny zaczął mówić z bostońskim akcentem — przypominało to głos Bobby'ego Kennedy'ego podniesiony do soprano.

— A teraz niech pan mnie słucha, panie Hoffa! Niech pan przestanie współpracować z tymi paskudnymi gangsterami i okropnymi kierowcami ciężarówek. Niech pan zacznie kapować wszystkich swoich kumpli, bo jak nie, to powiem mojemu tatusiowi!

Sala zakolysała się. Zaczęła szaleć. Podłoga trzęsła się od tupania.

— Panie Hoffa, pan jest złym, nic niewartym człowiekiem! Niech pan przestanie wciągać do związku szóstkę moich dzieci, bo powiem wszystko tatusiowi i starszemu bratu Jackowi! Niech pan będzie miły albo powiem tatusiowi, żeby spalił pana związek, a wszystkich okropnych kierowców ciężarówek zatrudnił jako służących w naszej siedzibie w Hyannis Port!

Sala ryczała. Littellowi było gorąco i szumiało mu w głowie. Lenny drobił nogami, pysznił się. Robił z Roberta F. Kennedy'ego nawiedzonego pedała.

— Panie Hoffa, niech pan w tej chwili przestanie wymuszać haracze!

— Panie Hoffa, niech pan przestanie krzyczeć, fryzura mnie się od tego psuje!

— Panie Hoffa, niech pan będzie MIIIIŁY!

Lenny wycisnął z sali, co się tylko dało. Wyżął wszystkich od piwnicy aż po dach.

— Panie Hoffa, pan jest taką lesbą!

— Panie Hoffa, niech pan przestanie mnie drapać — zniszczy pan moje nylony!

— Panie Hoffa, pańscy Teamsters są po prostu ZBYT seksowni! Komisja McClellana i ja jesteśmy przez nich tacy PODNIECENI!

Lenny pieprzył tak dalej. Littell, wypijając trzy drinki, zauważył coś: w ogóle nie wyśmiewał *Johna* Kennedy'ego. Kemper nazywał to dychotomią *Bobby/Jack*: jeśli jednego z nich lubiłeś, to nie cierpiełeś drugiego.

— Panie Hoffa, niech pan mi tu nie mydli oczu!

— Panie Hoffa, niech pan przestanie na mnie krzyczeć, bo przestanę zdradzać pańskiej żonie sekrety mojego uczesania!

W Elks Hall wrzało. Otwarte okna wpuszczały mroźne powietrze. Skończył się lód do drinków — striptizerki napełniały miski świeżym śniegiem.

Ludzie mafii skakali po stołach. Littell zauważył twarze znane mu z teczek.

Sam „Mo”/”Momo”/”Mooney” Giancana. „Lodołamacz” Tony Iannone, zastępca szefa mafii chicagowskiej. „Osioł” Dan Versace, „Gruby Bob” Paolucci, „Szalony Sal” D’Onofrio we własnej osobie.

Lenny skończył. Na scenie zaroilo się od kłaniających się striptizerek.

*Więc zabierz mnie do gwiazd za związkowy szmal! Jimmy Hoffa – tygrys nasz, Bobby to mały sral! Za Teamsters pójdę jak na bal!!!*

Walenie w stoły, oklaski, okrzyki, wycie, gwizdy, piski...

Littell wyszedł tylnym wyjściem i wciągnął powietrze. Pot na jego ciele zamarzał, nogi mu drżały, czuł w żołądku obiad w postaci whisky. Sprawdził drzwi. Po sali przemykał groteskowy wąż – striptizerki i Teamsters trzymający jedni drugim ręce na biodrach. Dołączył do nich i Szalony Sal – jego tenisówki trzeszczały i nasiąkały przyniesionym z zewnątrz topniejącym śniegiem.

Littell złapał oddech i wolno ruszył w stronę parkingu. Lenny Sands chłodził się przy swoim samochodzie, łapiąc w dłonie śnieg. Nagle wyrósł Szalony Sal i objął go. Lenny skrzywił twarz i uwolnił się.

Littell przykucnął za limuzyną. Ich głosy niosły się w jego stronę.

– Lenny, co mogę powiedzieć? Byłeś niesłychany.

– Z takimi organizacjami jest łatwo, Sal. Po prostu trzeba wiedzieć, co ich rusza.

– Lenny, tłum to tłum. Ci Teamsters to prości ludzie, tak jak moje chłopaki na wycieczkach. Dasz sobie spokój z polityką, a zaczniesz zalewać o sprawach makaroniarzy. Gwarantuję, kurwa, że z takimi numerami za każdym razem masz do dyspozycji pełną salę hien.

– Nie wiem, Sal. Może wkrótce będę miał numer w Vegas.

– Kurwa, Lenny, błagam cię. Wszyscy moi pieprzeni towarzysze podróży są dobrze znani z tego, że zostawiają kupę forsy w kasynach. Im więcej oni stracą, tym więcej my zyskamy.

– Nie wiem, Sal. Może będę miał okazję pracować dla Tony’ego Bennetta w Dunes.

– Lenny, proszę cię. Cały czas cię, kurwa, proszę jak jakiś pies.

Lenny zaśmiał się.

– Nim zaczniesz szczekać, zaproponuj 15%.

– Piętnaście?... Cholera... Jesteś jak Żyd, cholerny żydowski...

– No to dwadzieścia. Antysemitom sprzedają się za dobrą cenę.

– Pieprz się, Lenny. Powiedziałeś piętnaście.

– *Ty się pieprz, Sal. Zmieniłem zdanie.*

Napięta cisza. Littell wyobraził sobie, jak patrzą na siebie przeciągle.

– Okej, okej, okej. Niech będzie pieprzone dwadzieścia, ty cholerny żydowski bandyto.

— Sal, podobasz mi się. Tylko nie podawaj mi ręki, masz za tłuste łapy.

Trzasnęły drzwi samochodu. Littell zobaczył Szalonego Sala wyprowadzającego wóz i wyjeżdżającego slalomem na ulicę.

Wtedy Lenny włączył światła i uruchomił silnik. Przez szybę od strony kierowcy widać było dym papierosa.

Littell poszedł do swojego samochodu. Lenny parkował dwa rzędy od niego — będzie widział, jak wyjeżdża.

Lenny nie ruszał jednak. Pijacy zataczali się w świetle jego reflektorów i upadali na lodzie. Littell zeszkrobał lód z przedniej szyby. Samochód był zasypany śniegiem aż po zderzaki.

Lenny w końcu odjechał. Littell ruszył minutę później i jechał po jego śladach na mokrym śniegu. Prowadziły prosto do północnej granicy Lake Shore Drive. Littell dogonił go krótko przed zjazdem z głównej drogi. Lenny jechał nią dalej. Littell trzymał się za nim w odległości czterech długości samochodu.

To był powolny pościg — łańcuchy na oponach ślizgały się po pokrytej lodem powierzchni — dwa samochody i jedna opustoszała droga ekspresowa. Lenny minął zjazdy do Gold Coast. Littell włókł się za nim, trzymając się tylnych świateł. Żółwym tempem wyjechali poza granice Chicago. Telepali się przez Glencoe, Evanston i Wilmette.

Znaki drogowe zaczęły pokazywać ograniczenia obowiązujące w miasteczku Winnetka. Lenny skręcił w prawo i w ostatniej chwili zjechał z autostrady. Nie dałby rady pojechać za nim — wpadłby w poślizg albo uderzył w słupek. Zawrócił przy następnym zjeździe.

O 1.00 w nocy Winnetka było ciche i piękne — domy w stylu Tudorów i świeżo odśnieżone ulice. Kluczył ulicami i trafił na arterię handlową. Przed koktajl-barem Perry's Little Log Cabin parkował rząd samochodów. packard caribbean Lenny'ego stał tuż przy krawężniku.

Littell zaparkował i wszedł. Zahaczył głową o transparent ze srebrnym napisem: „Witaj roku 1959!”. Lokal był ciepły i przytulny, wystrój rustykalny: drewnopodobne ściany, drewniany bar, wygodne skóropodobne kanapy.

Klientelę stanowili wyłącznie mężczyźni. Przy barze nie było stołków. Dwóch facetów obściskało się na kanapie — Littell odwrócił wzrok. Patrzył prosto przed siebie. Czuł, że bombardują go spojrzenia. Zauważył budki telefoniczne blisko tylnego wyjścia — osłonięte i bezpieczne.

Poszedł do tyłu. Nikt się do niego nie zbliżył. Szelki kabury obcierały mu ramiona — cały wieczór pił się i denerwował. Usiadł w pierwszej budce. Otworzył drzwi i miał dobry widok na bar.

Był tam Lenny, popijał pernod. Kleił się do jakiegoś blondyna. Littell obserwował ich. Blondyn podał Lenny'emu jakąś kartkę z wiadomością i odszedł tanecznym krokiem. Z szafy grającej buchnęła składanka przebojów.

Z lokalu wychodziło po kilka par na raz. Ci z kanapy wstali z rozpiętymi roz-porkami. Barman obwieścił ostatnią kolejkę.

Lenny zamówił cointreau. Otworzyły się frontowe drzwi. Wszedł „Lodola-macz” Tony Iannone.

„Jeden z najbardziej przerażających zastępców Giancany” po chwili całował się już, „po francusku”, z barmanem. Zabójca na usługach mafii chicagowskiej, podejrzany o dziewięć morderstw z okaleczeniem ciała, ssał i gryzł ucho barma-na.

Littellowi zakręciło się w głowie. Zaszło mu w ustach. Czuł, że krew pulsuje mu w szaleńczym tempie. Tony/Lenny/Lenny/Tony — kto wie, kto tutaj naprawdę jest PEDALEM?

Tony zobaczył Lenny'ego. Lenny zobaczył Tony'ego. Lenny wybiegł tylnym wyjściem. Tony rzucił się w pościg. Littella zatkało. W budce nagle nie było czym oddychać.

Otworzył drzwi. Wyszedł na dwór. Uderzyło go zimne powietrze. Za barem znajdowała się ślepa uliczka. Na lewo, na tyłach przyległego budynku usłyszał hałas.

Tony wrzucił Lenny'ego w zaspę. Lenny gryzł i kopał. Tony wyjął dwa noże sprężynowe. Littell wyciągnął swoją spluwę, ale wypadła mu z rąk. Ostrzegawczy krzyk uwiązał mu w gardle. Lenny przygniótł kolanami Tony'ego. Tony rzucał się na boki. Lenny wałnął go w nos. Littell poślizgnął się na lodzie i przewrócił się. Miękki śnieg wygłuszył upadek. Dzielilo go od nich piętnaście metrów — nie mogli go widzieć ani słyszeć. Tony próbował krzyczeć. Lenny rozwalił mu nos i wepchnął w usta śnieg. Tony upuścił noże, chwycił je Lenny.

Nie mogli go widzieć. Na kolanach podpełzał po swoją broń.

Tony łapał śnieg. Lenny uderzał go trzymanymi oburącz nożami — w oczy, policzki, gardło. Littell czołgał się w kierunku broni. Lenny pognął przed siebie. Tony umierał, kaszląc krwawym śniegiem. Z dala słyhać było muzykę: spokoj-na ballada do ostatniej kolejki.

Nikt nie wychodził. Szafa grająca zagłuszyła cały ten...

Littell doczołgał się do Tony'ego. Zabrał mu wszystko: zegarek, portfel, klu-czyki. Zerknął na noże z odciskami palców wsunięte w ciało po rękojeści — tak, zrób to. Wyjął je. Wstał na nogi. Biegł uliczką, aż płuca odmówiły mu posłu-szeństwa.

(Miami, 3 stycznia 1959)

Pete zatrzymał się przy postoju taksówek. Na przedniej szybie rozbiło się mango.

Na ulicy nie było ani tygrysich aut, ani tygrysich palantów. Jacyś demonstranci snuli się chodnikiem, obarczeni torbami przejrzalnych owoców.

Jimmy zadzwonił wczoraj do L.A. Powiedział: „Zarób swoje pieprzone pięć procent. Podśluch Kennedych poszedł w cholerę, a ty wciąż jesteś mi coś winien. Moi Kubańczycy są wściekli, odkąd Castro przejął władzę. Jedź do Miami, wróć do swojej pieprzonej roboty i możesz zatrzymać swoje pieprzone pięć...”

Ktoś wrzasnął: „*Viva Fidel!*”. Ktoś inny: „*Castro, el grande puto comunista!*”. Dwa domy dalej wybuchła wojna na śmieci: dzieci rzucały wielkimi przejrzalymi granatami.

Pete zamknął samochód i wszedł do budynku. Typek z czerwoną szyją sam obsługiwał dyspozytornię. Pete spytał:

— Gdzie Fulo?

Frajer ją-ją-jąkał się.

— Problem w tym, że połowa chłopaków jest za Batistą, a połowa za Castro. Nie da się ich zmusić, żeby tak po prostu przyszli do pracy, kiedy trwa niezłe mordobicie, więc jestem tu sam.

— Pytałem, gdzie jest Fulo.

— Przy obsłudze dyspozytorni można się sporo nauczyć. Dzwonią ludzie i pytają, gdzie jest akcja i „Co powinienem zabrać?”. Lubię Kubańczyków, ale za bardzo są skłonni do nieprzemyślanych aktów przemocy.

Frajer był chudy jak kościotrup. Miał mocny teksański akcent i najgorsze zęby na świecie. Pete wyłamał palce.

— Może powiesz mi, gdzie jest Fulo.

— Fulo poszedł szukać akcji, chyba wziął swoją maczetę. A ty jesteś Pete Bondurant, a ja Chuck Rogers, jestem dobrym kumplem Jimmy'ego i paru chłopaków w Firmie i jestem *gorącym* przeciwnikiem światowej konspiracji komunistów.

Bomba ze śmieci zatrzęsała oknem. Dwa rzędy demonstrantów ustawiły się w szyku na zewnątrz.

Zadzwonił telefon. Rogers przełączył się. Pete starł pestki granatu z koszuli. Rogers zdjął słuchawki.

— To był Fulo. Powiedział, że jeśli Wielki Pete się zjawił, to ma do niego przyjść i podać mu rękę, nie pustą. To chyba na 49 Northwest 917. Trzecia przecznicza w lewo, potem druga w prawo.

Pete upuścił walizkę. Rogers spytał:

— To kogo lubisz, Brodacza czy Batistę?

**P**od podanym adresem znajdowała się rudera obłożona brzoskwiniowym tynkiem. Wjazd blokowała tygrysia taksówka z czterema przebitymi oponami.

Pete przeszedł po niej i zapukał. Fulo otworzył drzwi i opuścił łańcuch. Pete przecisnął się do środka. Od razu zauważył straty: dwóch *muerto* kubańców w papierowych spiczastych kapelusikach na podłodze salonu. Fulo przekreślił klucz.

— Świętowaliśmy, Pedro. A oni nazwali mojego ukochanego Fidela prawdziwym marksistą, co ja uznałem za obrazę.

Strzelił do nich z tyłu z odległości, z której nie sposób spudłować. Rany były małe i czyste — nie powinno być problemów z ich uprzątnięciem. Pete rzekł:

— No to świętujmy dalej.

**F**ulo starł ich zęby na proszek. Pete spalił odciski palców gorącą patelnią. Fulo zmiótł odpadki z podłogi i spuścił w toalecie. Pete przypieklł płamy na podłodze — test spektrograficzny niczego nie wykaże. Fulo zdjął zasłony i owinał nimi ciała. Rany postrzałowe zaschły — krew nie ciekła.

Pokazał się Chuck Rogers. Fulo twierdził, że jest kompetentny i godny zaufania. Wrzucili trupy do bagażnika jego samochodu.

Wtedy Pete spytał: — Kim jesteś?

Chuck odpowiedział:

— Geologiem, specjalistą od ropy naftowej. Jestem też licencjonowanym pilotem i zawodowym antykomunistą.

— A kto pokrywa koszty?

— Stany Zjednoczone Ameryki — odpowiedział Chuck.

**C**huck miał ochotę pojeździć po mieście. Pete podpisał się pod tym pomysłem — Miami uderzało mu do głowy tak, jak kiedyś L.A.

Jeździli. Fulo wyrzucił ciała na opuszczonym terenie przy moczarach. Pete odpałał papierosa od papierosa i podziwiał scenerię.

Podobały mu się wielkie białe domy i wielkie białe niebo — jakby całe Miami polano wybielaczem. Podobała mu się wolna przestrzeń między nowobogackimi dzielnicami a slumsami. Podobali mu się gówno warci policjanci snujący się po

ulicach — wyglądali, jakby chcieli urządzić piekło hałaśliwym czarnuchom.

Chuck powiedział nagle: — Ideologiczne przekonania Castro nie są jeszcze zdefiniowane. Jego niektóre wypowiedzi mogą być odebrane jako wyraźnie proamerykańskie, a inne jako prokomunistyczne. Moi przyjaciele w społeczności wywiadowczej pracują nad planem, jak go przerznąć w dupę, gdyby stał się komunistą.

Pojechali z powrotem na Flagler. Postoju pilnowali uzbrojeni mężczyźni — po służbie, wyglądający tłusto i lubieżnie. Chuck pomachał im.

— Jimmy dba o tutejszy kontyngent policyjny. Utrzymuje ten gabinet cień, a połowa policjantów w tym sektorze ma ciepłe tajne posadki i sympatyczne czeki.

Dzieciak wrzucił im za szybę ulotkę. Fulo przetłumaczył dziwaczne slogany — same komuchowate frazesy. W samochód uderzyły kamienie. Pete odezwał się:

— Odbija im. Ukryjmy gdzieś Fulo.

**R**ogers wynajął pokój w pensjonacie prowadzonym przez kubańców. Sprzęt radiowy i nienawistne ulotki pokrywały każdy wolny skrawek podłogi.

Fulo i Chuck relaksowali się przy piwie. Pete przeleciał wzrokiem nagłówki ulotek i nieźle się przy tym uśmieł. „Żydzi rządzą na Kremlu!”, „Fluoryzacja: spisek Watykanu?”, „Zbierają się czerwone chmury — opowieść pewnego patrioty”, „Dlaczego w rasie żółtej i czarnej panuje przeludnienie?”, „Sprawdzian proamerykański: jesteś czerwony czy czerwono-biało-niebieski?”.

Fulo odezwał się:

— Chuck, trochę tu ciasno.

Rogers bawił się krótkofalówką. Rozbrzmiała tyrada nienawiści: żydowscy bankierzy, terefere... Pete wcisnął jakieś przełączniki. Głosy zamilkły. Chuck uśmiechnął się.

— Polityki nie da się pojąć tak hop-siup. Nie możesz oczekiwać, że od razu zrozumiesz sytuację na świecie.

— Powiniennem przedstawić cię Howardowi Hughesowi. Jest tak samo szalony jak ty.

— Uważasz, że antykomunizm to szaleństwo?

— Myślę, że dobrze wpływa na interesy, a wszystko, co dobrze wpływa na interesy, jest dla mnie okej.

— To niezbyt oświecony pogląd.

— Myśl, co chcesz.

— Będę. I wiem, co ty myślisz. „Matko Święta, kim jest ten facet wraz ze mną współwinnym morderstwa pierwszego stopnia? Nasza krótka znajomość niewątpliwie dostarczyła nam paru niecodziennych przeżyć”.

Pete oparł się o okno. Zauważył migot koguta wozu policyjnego pół kwartału dalej.

— Pewnie jesteś kontraktowym pracownikiem CIA. Masz zbliżyć się do Kubańczyków na postoju, podczas gdy wszyscy inni czekają, aż Castro zacznie podskakiwać.

Fulo oburzył się:

— Fidel podskoczy, ale Stanom.

Chuck zaśmiał się.

— Najlepsi Amerykanie to imigranci. Chyba to wiesz, Pete, he? Jesteś przecież żabojadem?

Pete wyłamał kciuki. Rogers wzdrygnął się.

— Uwierz lepiej, że jestem stuprocentowym Amerykaninem, który wie, co służy interesom.

— No, no, spokojnie. Nigdy nie wątpiłem w twój patriotyzm.

Pete usłyszał szepty za drzwiami. Wymienili spojrzenia — Chuck i Fulo szybko załapali, o co chodzi. Pete usłyszał odgłos ładowanej broni: trzy długie i czyste dźwięki.

Schował swoją spluwę pod ulotkami. Fulo i Chuck podnieśli do góry ręce.

Tajniacy kopniakiem otworzyli drzwi. Wbiegli, wysoko trzymając karabiny. Pete upadł. Fulo i Chuck chcieli pograć ostro i dostali ciosy w głowę. Stracili przytomność.

Gliniarz powiedział: — Ten duży udaje.

Inny dodał: — Możemy to sprawdzić.

Uderzenia oprawionych w gumę kolb pistoletów były mocne. Pete zwinął język, żeby go sobie nie odgryźć.

**O**dzyskał przytomność skutą i związany. W plecy uwierało go oparcie krzesła; w mózgu słyszał walenie perkusji. Oślepiło go światło. Widział tylko jednym okiem — skrawki skóry dzieliły mu obraz na dwoje. Zobaczył trzech gliniarzy siedzących wokół przymocowanego do podłogi stołu. Za uszami słyszał grzmot bębnow. Wzdłuż kręgosłupa wybuchały mu bomby atomowe.

Pete rozprostował ramiona i przerwał łańcuch od kajdanków. Dwóch gliniarzy zagwizdało. Jeden zaklaskał. Kostki skuli mu *podwójnie* — nie mógł zrobić tego na bis.

Starszy gliniarz skrzyżował nogi.



— Dostaliśmy anonimową informację, panie Bondurant. Jeden z sąsiadów pana Machado widział pana Adolfo Herendona i pana Armando Cruz-Martina wchodzących do domu pana Machado, kilka godzin później usłyszał coś, co brzmiało jak strzały. Po jakimś czasie pan i pan Rogers przychodzicie oddzielnie. Wasza dwójka oraz pan Machado niesiecie dwa tłumoki owinięte w zasłony, a sąsiad widzi rejestrację wozu pana Rogersa.

Sprawdziliśmy ten samochód i znaleźliśmy coś, co wygląda na kawałki skóry. Bardzo chcielibyśmy usłyszeć pański komentarz w tej sprawie.

Pete umieścił swoją brew na miejscu.

— Oskarżcie mnie albo uwolnijcie. Wiecie, kim jestem, a ja wiem, kim wy jesteście.

— Wiemy, że znasz Jimmy'ego Hoffę. Wiemy, że jesteś kumplem pana Rogersa, pana Machado i paru innych taksówkarzy z Taxi-Tygrys.

Pete powtórzył:

— Oskarżcie mnie albo uwolnijcie.

Gliniarz bawił się papierosami i zapalkami. Gliniarz nr 2 pochylił się w jego stronę.

— Pewnie myślisz, że Jimmy Hoffa przekupił wszystkich policjantów w tym mieście, ale synu, jestem tu, żeby ci uświadomić, że wcale tak nie jest.

— Oskarżcie mnie albo uwolnijcie.

— Nadużywasz mojej cierpliwości, synu.

— Nie jestem twoim synem, ty wsiowa cioto.

— Chłopcze, za takie słowa można dostać w twarz.

— Jeśli mnie uderzysz, skoczę ci do oczu. Nie próbuj się o tym przekonać.

Gliniarz nr 3 spróbował delikatniej.

— No, no, panie Bondurant, wie pan, że możemy pana przetrzymać 72 godziny bez stawiania w stan oskarżenia. Wie pan, że prawdopodobnie przeszedł pan wstrząs mózgu i potrzebna jest pomoc lekarza. Czemu nie chce pan...

— Dajcie mi zadzwonić, a potem oskarżcie mnie albo zwolnijcie.

Starszy gliniarz założył ręce za głowę.

— Pozwoliliśmy zadzwonić twojemu kumplowi Rogersowi. Uraczył strażnika durną historyjką o tym, że ma powiązania z rządem, i zadzwonił do pana Stantona. A ty do kogo chcesz zadzwonić, do Jimmy'ego Hoffy? Myślisz, że wujek Jimmy wyciągnie ciebie, oskarżonego o podwójne zabójstwo, za kaucją i zaryzykuje złą prasę, której wcale nie potrzebuje?

Bomba atomowa wybuchła mu na karku. Pete prawie zemdłał.

Gliniarz nr 2 westchnął. — Chłopak jest za słaby, żeby współpracować. Dajmy mu trochę odpocząć.

Mdlał, budził się, znowu mdlał. Ból głowy zmniejszył się z bomby atomowej do nitrogliceryny. Czytał napisy na ścianach. Kręcił szyją, żeby nie stracić przytomności. Pobił rekord świata w powstrzymywaniu moczu. Rozważał sytuację.

Fulo złamał się albo się nie złamał. Chuck złamał się albo się nie złamał. Jimmy wyciągnie ich za kaucją albo pozwoli wpaść. Może prokurator okręgowy pójdzie po rozum do głowy: Kubańczyk mordujący Kubańczyka psuje statystykę.

Mógłby zadzwonić do pana Hughesa. Pan Hughes szturchnąłby pana Hoovera — to oznaczałoby zamknięcie tej pieprzonej sprawy.

Powiedział Hughesowi, że wyjeżdża na trzy dni. Hughes zgodził się, o nic nie pytając. Hughes zgodził się, bo szantaż Kennedych popsuł atmosferę. Joemu i Bobby'emu jaja skurczyły się do wielkości orzeszków ziemnych. No i Ward J. Littell uderzył go. To oznaczało wyrok śmierci dla tego fiuta.

Gail naprawdę odeszła. Fucha z Jackiem K, wzięła w łeb. Nienawiść Hoffy do Kennedy'ego skwierczała na gorącym tłuszczu. Hughes wciąż miał świra na punkcie plotek i pomówień i gorączkowo chciał znaleźć nowego pismaka do *Cicho sza!*...

Pete czytał ścienne bazgroły. Nagroda Akademii dla: „Policja z Miami ciągnie kasę z Dicka”.

Weszło dwóch mężczyzn i przysunęło sobie krzesła. Strażnik rozpiął mu kajdanki i szybko wyszedł. Pete wstał i przeciągnął się. Pokój przesłuchań chwiał się i kołysał. Młodszy mężczyzna rzekł:

— Jestem John Stanton, a to jest Guy Banister. Pan Banister jest emerytowanym członkiem FBI, był przez pewien czas pomocnikiem inspektora policji nowoorleańskiej.

Stanton był szczupły i miał włosy koloru piasku. Banister był potężny i rumiany od nadużywania alkoholu. Poczęstowali go papierosem. Jeden mach uśmierzył ból głowy.

— Słucham was.

Banister wyszczerzył zęby.

— Pamiętam te twoje problemy z prawami obywatelskimi. Zaaresztowali cię Kemper Boyd i Ward Littell, prawda?

— Wiesz, że tak.

— Pracowałem kiedyś w Chicago i zawsze uważałem, że Ward to ciepłe kluchy.

Stanton usiadł okrakiem na krześle.

— Ale Kemper Boyd to co innego. Wiesz, Pete, on chodził wokół postoju Taxi-Tygrys i pokazywał swoje zdjęcia. Jeden facet wyjął nóż i Boyd rozbroił go w dość spektakularny sposób...

— Bo Boyd ma klasę — przyznał Pete. — A ponieważ to zaczyna przypominać poszukiwanie talentów, mogę go zarekomendować do każdego zadania egzekwującego stosowanie prawa.

Stanton uśmiechnął się.

— Ciebie też można by zarekomendować.

Banister uśmiechnął się również.

— Jesteś licencjonowanym prywatnym detektywem. Jesteś byłym zastępcą szeryfa. Jesteś człowiekiem Howarda Hughesa, znasz Jimmy'ego Hoffę, Fulo Machado i Chucka Rogersa. Referencje pierwsza klasa.

Pete zgasił papierosa na ścianie.

— Jeśli chodzi o referencje, CIA ma całkiem nie najgorsze. To stamtąd jesteście, prawda?

Stanton wstał.

— Możesz odejść. Ani ty, ani Rogers i Machado nie będziecie oskarżeni.

— A wy będziecie w kontakcie?

— Niezupenie. Ale któregoś dnia mogę cię poprosić o przysługę. I oczywiście sowicie ci ją wynagrodzę.

## 14

(Nowy Jork, 5 stycznia 1959)

**A**partament był wspaniały. Joe Kennedy odkupił go od hotelu za gotówkę.

Setka ludzi wypełniła salon zaledwie w połowie. Całą szerokość okna wypełniał widok na Central Park w śnieżycy.

To Jack zaprosił go tutaj. Powiedział, że nie można nie przyjść na hulanekę jego ojca w Carlyle — poza tym Bobby chce z nim porozmawiać. Jack powiedział, że mogą tam być kobiety. I że może się pojawić ta ruda od Lyndona Johnsona.

Kemper patrzył na powstające i rozpadające się kółka towarzyskie. Przyjęcie kręciło się wszędzie dookoła. Stary Joe stał z córkami o końskiej urodzie. Peter

Lawford rządził grupką mężczyzn. Jack jadł krewetki i rozmawiał z Nelsonem Rockefellerem.

Lawford przepowiadał Kennedy'emu gabinet. Frank Sinatra był pewniakiem na stanowisko premiera w burdelu.

Bobby spóźnił się. Rudowłosa nie przyszła — Jack dałby mu sygnał, gdyby zobaczył ją pierwszy. Kemper sączył likier jajeczny. Jego marynarka od smokingu była luźna — kazał ją tak skroić, żeby ukrywała kaburę. Bobby surowo egzekwował zakaz noszenia broni — *jego* ludzie byli prawnikami, nie glinami.

On sam czuł się *podwójnym* gliniarzem — podwójnie zarabiającym i podwójnie zatrudnionym. Powiedział panu Hooverowi, że Anton Gretzler i Roland Kirpaski nie żyją, ale ich status „uznanych za nieżyjących” nie zniechęcił Bobby'ego Kennedy'ego. Bobby był zdecydowany ścigać Hoffę, Teamsters i mafię, nie zważając na mandat Komisji McClellana. Miejskie oddziały policji walczące z przestępczością zorganizowaną i śledczy wielkiej ławy przysięgłych uzbrojeni w dowody zebrane przez Komisję mogli stanąć na czele akcji „Dorwać Hoffę”. Bobby wkrótce zacznie przygotowywać grunt pod kampanię Jacka w roku 1960 — ale jego osobistym celem pozostanie Jimmy Hoffa.

Hoover żądał szczegółów śledztwa. Powiedział mu, że Bobby chce trafić na ślad tych „tajemniczych” trzech milionów dolarów, które sfinansowały rozwój Słonecznej Doliny — Bobby był przekonany, że Hoffa zgarnął pieniądze z samej górki i Słoneczna Dolina ma być przykrywką dla nielegalnego obrotu ziemią. Bobby instynktownie wierzył w istnienie oddzielnych, być może zaszyfrowanych ksiąg finansowych Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych Teamsters — ksiąg zawierających dziesiątki milionów dolarów w ukrytych aktywach, ksiąg, gdzie notowano pieniądze pożyczane gangsterom i nieuczciwym biznesmenom na gargantuiczny procent. Pokątna plotka głosiła, że funduszem zarządzał emerytowany chicagowski mafioso. Instynkt Bobby'ego mówił: dowody na to stanowiąby punkt zwrotny w akcji „Dorwać Hoffę”.

On sam dostawał teraz dwie pensje. Miał dwie listy klójących się ze sobą obowiązków. John Stanton dawał do zrozumienia, że też miałby dla niego ofertę — gdy ustabilizują się plany CIA dotyczące Kubańczyków. To dałoby mu trzecią pensję. I dochód wystarczający na utrzymanie własnego *pied-à-terre*.

Peter Lawford dorwał Leonarda Bernsteina. Burmistrz Wagner rozmawiał z Marią Callas.

Kelner napełnił kieliszek Kempera. Joe Kennedy przyprowadził starszego pana.

- Kemper, to Jules Schiffrin. Jules, Kemper Boyd. Powinniście porozmawiać. Obaj jesteście draniami już z daleka.
- Uścisnęli sobie ręce. Joe odszedł, żeby porozmawiać z Bennettem Cerfem.
- Jak się pan ma, panie Schiffrin?
- Dziękuję, dobrze. I wiem, że jestem draniem. Ale pan? Pan jest zbyt młody.
- Jestem rok młodszy od Jacka Kennedy'ego.
- A ja cztery lata młodszy od Joe, więc jakoś się dogadamy. Czy drań to pański zawód?
- Przeszedłem na emeryturę, byłem w FBI. Teraz pracuję dla Komisji McClellana.
- Jest pan byłym gliniarzem? Tak wczesnie emerytowanym?
- Kemper mrugnął.
- Zmęczyłem się kradzieżami samochodów pod patronatem FBI.
- Schiffrin puścił oko.
- Zmęczony, akurat. Nie mogło być tak źle, skoro stać pana było na kupowanie takich smokingów jak ten, który ma pan na sobie. Powinienem sprawić sobie taki sam.
- Kemper uśmiechnął się.
- Co pan porabia?
- Bardziej pasowałoby „Co porabiałem?”. Pracowałem jako konsultant finansowy i do spraw związków zawodowych. To eufemizmy, gdyby nie wiedział pan, o co chodzi. A czego *nie* robiłem, to nie miałem gromadki dzieci, którą mógłbym cieszyć się na starość. Takich dzieciactwów, jakie ma Joe. Proszę na nich spojrzeć.
- Kemper spytał: — Jest pan z Chicago?
- Schiffrin rozpromienił się.
- Skąd pan to wiedział?
- Studiowałem regionalne akcenty. Jestem w tym niezły.
- „Niezły” to mało powiedziane. A ta pańska śpiewna mowa, czy to z Alabamy?
- Z Tennessee.
- No no, ze stanu ochotników. Wielka szkoda, że nie ma tu mojego przyjaciela Heshie'ego. To urodzony w Detroit kryminalista, który od lat mieszka na Środkowym Zachodzie. Jego akcent olśniłby pana.
- Do foyer wszedł Bobby Schiffrin dostrzegł go i przewrócił oczami.
- Oto pański szef. Wybaczy pan słownictwo, ale nie uważa pan, że to duppek?
- Na swój sposób, owszem.

— Teraz pan używa eufemizmów. Pamiętam, jak raz wspominaliśmy z Joe, jak to trzydzieści lat temu ojebaliśmy Howarda Hughesa. Bobby zabronił nam się wyrażać, bo jego dzieci były w sąsiednim pokoju. Nie było mowy, żeby to usłyszały, ale...

Bobby dał mu znak. Kemper zauważył to i skinął głową.

— Przepraszam na chwilę.

— Niech pan idzie. Szef wzywa. Joe miał dziewięcioro dzieci, więc mógł się trafić jeden wypierdek.

Kemper odszedł. Bobby zaprowadził go prosto do szatni. Ocierali się o futra i czapki.

— Jack mówił, że chciałeś się ze mną zobaczyć.

— Tak. Chciałbym, żebyś zgromadził raporty i napisał podsumowanie wszystkiego, co Komisja zrobiła dotychczas, tak żebyśmy mogli wysłać standardowy raport do wszystkich wielkich ław przysięgłych, które będą przejmować od nas sprawy. Zdaję sobie sprawę, że robota papierkowa nie jest w twoim stylu, ale to konieczne.

— Zacznę jutro rano.

— Dobrze.

Kemper chrząknął.

— Bob, chciałbym, żebyś mi w czymś pomógł.

— Co takiego?

— Mam bliskiego przyjaciela. Jest agentem w biurze w Chicago. Nie mogę ci teraz powiedzieć, jak się nazywa, ale to bardzo zdolny i inteligentny człowiek.

Bobby strzepnął z płaszcza śnieg.

— Kemper, nie podchodź mnie. Wiem, że masz swoje sposoby na ludzi, ale proszę, przejdź do rzeczy.

— Chodzi o to, że wbrew jego woli przeniesiono go z programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. On nienawidzi pana Hoovera i jego podejścia „Nie ma mafii”. Chce prowadzić dla ciebie antymafijne dochodzenie. Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa i chce je podjąć. Na dodatek jest byłym jezuickim seminarzystą.

Bobby powiesił płaszczyk.

— Możemy mu ufać?

— Absolutnie.

— Nie będzie informatorem Hoovera?

Kemper roześmiał się.

— Nie sądzę.

Bobby spojrział na niego. Spojrział jak na zastraszanego świadka.

— W porządku. Ale chcę, żebyś powiedział temu człowiekowi, że ma nie robić nic nielegalnego. Nie chcę gorliwca zakładającego podsłuchy i robiącego Bóg wie co, ponieważ uważa, że ja go popieram.

— Powiem. A co mógłbyś mu...

— Powiedz mu, że interesuje mnie możliwość zbadania istnienia tajnej księgowości Funduszu Emerytalnego. Powiedz mu, że jeśli istnieje, prawdopodobnie zarządza nią chicagowska mafia. Niech nad tym popracuje i zobaczy, czy można dowiedzieć się czegoś o Hoffie.

Goście gromadzili się obok szatni. Jakaś kobieta ciągnęła po podłodze futro z norek. Dane Acheson prawie się o nie potknął.

Bobby skrzywił się. Kemper dostrzegł jego uciekający wzrok.

— Co się stało?

— Nic.

— Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś...?

— Nie. Jeśli mogę cię teraz przeprosić...

Kemper uśmiechnął się i wrócił na przyjęcie. Salon był zatłoczony — trudno było przejść.

Wszyscy oglądali się za kobietą z norkami. Znalazła kamerdynera do niesienia futra. Nalegała, żeby przymierzył je Leonard Bernstein. Szła przez tłum krokiem mambo i porwała drinka Joe Kennedy'ego. Joe wręczył jej małe pudełko, zapakowane jak prezent. Kobieta schowała je do torebki. Trzy siostry Kennedy odeszły w złych humorach. Peter Lawford natrętnie przyglądał się kobiecie. Bennett Cerf przemknął obok i zająrzył jej w dekolt. Vladimir Horowitz gestem przywołał ją do fortepianu.

Kemper zjechał prywatną windą do hallu. Skorzystał z telefonu i przekonał dziewczynę w centrali, żeby połączyła go bezpośrednio z Chicago.

Zrobiła to. Helen odebrała po drugim dzwonku.

— Halo?

— To ja, kochanie. Taki jeden, co kiedyś ci się podobał...

— Kemper! Co ty tam robisz z tym swoim słodziutkim południowym akcentem?

— Zajmuję się drobnym oszustwem.

— Cóż, ja zajmuję się szkołą prawniczą i poszukiwaniem mieszkania, a to *takie* trudne!

— O dobre rzeczy nigdy nie jest łatwo. Spytaj swojego chłopaka w średnim wieku, to ci powie.

Helen westchnęła.

— Ward miał ostatnio zmienne nastroje i był tajemniczy. Czy mógłbyś mu...?

Littell dostał się do telefonu. — Cześć, Kemper.

Helen przesłała jeszcze buziaki i odeszła od aparatu. Kemper odpowiedział:

— Cześć, synu.

— Cześć. Nie lubię być obcesowy, ale czy...?

— Tak.

— I?

— I Bobby zgodził się. Chce, żebyś pracował dla nas po cichu, i chce, żebyś pracował nad tropem, na który naprowadził nas Kirpaski, i żebyś spróbował dowiedzieć się, czy rzeczywiście istnieje tajna księgowość Funduszu Emerytalnego skrywająca miliardy dolarów.

— Dobrze. To... bardzo dobrze.

Kemper zniżył głos:

— Bobby powtórzył mi to, co sam ci mówiłem. Nie wystawiaj się na niepotrzebne ryzyko. Pamiętaj o tym. Bobby jest większym pedantem na punkcie zgodności z prawem niż ja, więc pamiętaj, żeby być ostrożnym, i pamiętaj, kogo masz szukać.

Littell odpowiedział:

— Będę ostrożny. Może pogadam z jednym gangsterem o pewnym zabójstwie. Myślę, że da się z niego zrobić informatora.

Kobieta z norkami przeszła przez hall. Kilku gości hotelowych poderwało się, żeby otworzyć jej drzwi.

— Ward, muszę kończyć.

— Niech cię Bóg błogosławi, Kemper. I powiedz panu Kennedy'emu, że go nie zawiodę.

Kemper odwiesił słuchawkę i wyszedł na zewnątrz. Na Siedemdziesiątej Szóstej wiał wiatr i przewracał kosze na śmieci ustawione przy krawężniku. Kobieta w norkach stała pod zadaszeniem hotelu. Odwijała prezent od Joe Kennedy'ego. Kemper stał kilka kroków od niej. Prezentem była diamentowa broszka zawinięta w rulonik tysiąc dolarowych banknotów.

Obok przechodził potykając się jakiś menel. Kobieta dała mu broszkę. Wiatr rozwiął rulonik i pokazał co najmniej pięćdziesiąt kawałków. Menel zachichotał i obejrzał broszkę. Kemper roześmiał się głośno.

Zatrzymała się taksówka. Kobieta w norkach pochyliła się i powiedziała:

— Piąta Aleja 881.

Kemper otworzył jej drzwiczki. Odezwała się:

— Czyż ci Kennedy nie są prostakami?

Miała nieruchome oczy w kolorze przejrzystej zieleni.



(Chicago, 6 stycznia 1959)

Zamek puścił już za pierwszym razem. Littell wyjął wytrych i zamknął za sobą drzwi. Światła przejeżdżających samochodów oświetlały okna. Salon był mały i wypełniony antykami oraz bibelotami w stylu art deco.

Oczy przywykły mu do ciemności. Z zewnątrz dochodziło światło — nie musiał ryzykować zapalania lamp. Mieszkanie Lenny'ego Sandsa było czyste i duszne — jak to w środku zimy.

„Lodołamacz” Tony nie żył od pięciu dni, a sprawcy nie znaleziono. Telewizja i gazety nie wspomniały o jednym fakcie: że zginął w miejscu spotkań gejów. Court Meade mówił, że zdecydował o tym Giancana: nie chciał, żeby Tony'ego obrażano jako homoseksualistę, sam też nie chciał w to uwierzyć. Meade zacytował parę tekstów z podsłuchu: „Wywiadowcy Sama wężą między znanymi ciotami”; „Mo powiedział, że zabójca Tony'ego będzie wykastrowany”. Giancana nie mógł uwierzyć w oczywisty fakt. Giancana uważał, że Tony wszedł do Perry's Little Log Cabin przez pomyłkę.

Littell wyjął lampę błyskowa i Minox. Aktualny rozkład dnia Lenny'ego przewidywał występy w Vendo-King aż do północy. Była 21.20 — miał czas.

Notes z adresami leżał pod telefonem w salonie. Littell przejrzał go i wynotował znane nazwiska. Lenny-artysta znał Rocka Hudsona i Carlosa Marcella. Lenny-z-Hollywood znał Gail Russell i Johniego Raya. Lenny-gangster znał Giancanę, Butcha Montrose'a i Rocco Malvasa.

Dziwne: jego mafijne adresy nie zgadzały się z tymi w aktach „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”.

Littell przerzucał strony. Uderzyło go parę nazwisk. Senator John Kennedy, Hyannis Port, Mass.; Spike Knobe, Gardenia 114, Mobile, Alabama; Laura Hughes, Piąta Aleja 881, Nowy Jork; Paul Bogaards, Fountain 1489, Milwaukee.

Zaczął fotografować strony w porządku alfabetycznym. Lampę błyskową trzymał w zębach i robił oddzielne zdjęcie każdej strony. Do „M” miał już trzydzieści dwie fotografie. Bolały go nogi od kucania. Lampa błyskowa wciąż wysuwała mu się z ust.

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Usłyszał skrzypienie drzwi — PÓLTOREJ GODZINY PRZED CZASEM.

Littell przyłgął do ściany przy drzwiach. Przypominał sobie wszystkie chwyt-y judo, jakich nauczył go Kemper.

Wszedł Lenny Sands. Littell chwycił go od tyłu i zamknął usta. Pamiętaj: „przyciśnij kciukiem tchawicę podejrzanego i przewróć go na plecy”.

Zrobił to tak czysto, jak Kemper. Lenny nie opierał się. Littell uwolnił jedną rękę i zatrzasnął kopniakiem drzwi.

Lenny nie krzyczał ani nie jęczał. Twarz miał wciśniętą w dywan. Littell zdjął rękę z jego tchawicy. Lenny odkaslnął i wymiotował. Littell klęczał obok. Wyciągnął swój rewolwer i odbezpieczył go.

— Jestem z FBI, Chicago. Zabijeś Tony'ego Iannone i jeśli nie będziesz ze mną współpracował, podkabluję cię Giancanie i chicagowskiej policji. Nie pytam o twoich przyjaciół. Interesuje mnie Fundusz Emerytalny Teamsters.

Lenny łapał oddech. Littell wstał i zapalił światło — pokój zalał się blaskiem. Obok kanapy zobaczył tackę z alkoholem. W kryształowych karafkach stały szkocka, bourbon i brandy. Lenny podciągnął kolana i objął je. Littell wepchnął broń do kabury i wyciągnął plastikową torebkę, i w środku były dwa zakrwawione noże.

Pokazał to Lenny'emu. Powiedział: — Zdjąłem z nich odciski i mam cztery próbki, które pasują do odcisków w twoich aktach.

To był blef. Uzyskał tylko niewyraźne smugi.

— Nie masz wyboru, Lenny. Wiesz, co Sam może ci zrobić.

Lenny spocił się. Littell nalał mu szkockiej.

Lenny pił, trzymając szklankę w obu dłoniach. Nie całkiem udawało mu się mówić głosem twardego faceta.

— Znam parę faktów dotyczących Funduszu. Wiem, że faceci z koneksjami i niektórzy biznesmeni ubiegają się o wysoko oprocentowane pożyczki i wcho-dzą na pewną drabinę pożyczek.

— Zgłaszają się do Sama Giancany?

— To jedna teoria.

— Rozwiń ją.

— Teoria mówi, że Giancana konsultuje z Jimmym Hoffą wszystkie poda-nia o pożyczki. Potem udzielają ich albo odmawiają.

— Czy istnieje podwójna księgowość Funduszu? Mam na myśli zaszyfro-wane księgi zawierające skrywane aktywa.

— Nie wiem.

Kemper zawsze mówił: **POSTRASZ KAPUSIA.**

Lenny wyciągnął się w fotelu. Lenny-schizofrenik wiedział, że twardzi żydo-wscy chłopcy nie pełzają po podłodze. Littell nalał sobie podwójną szkocką. Obyty Lenny rzucił:

— Rozgość się.

Littell schował noże do kieszeni.

— Sprawdziłem twój notes i zauważyłem, że adresy nie pasują do tych w aktach „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”.

— Jakie adresy?

— Adresy członków Kryminalnego Kartelu Chicago.

— Ach, *te* adresy.

— Dlaczego nie pasują?

Lenny odpowiedział:

— Bo to są pakamery. Tam chłopaki chodzą oszukiwać swoje żony. Do niektórych mam klucze, bo zostawiam tam rozliczenia szaf grających. Zbierałem właśnie utarg w tym cholernym pedalskim barze, kiedy ta pieprzona ciota Iannone do mnie podszedł.

Littell wychylił swojego drinka.

— *Widziałem*, jak zabijałeś Iannone'a. *Wiem*, dlaczego byłeś w Perry's Little Log Cabin i *dlatego* chodzisz do Hernando's Hideaway. *Wiem*, że prowadzisz podwójne życie, masz dwa głosy i dwa komplety Bóg wie czego. *Wiem*, że Iannone zaatakował cię, ponieważ nie chciał, żebyś wiedział, że on też.

Lenny ZGNIÓTŁ obiema rękoma swoją szklankę. Grubo rżnięty kryształ rozprysnął się. Whisky trysnęła. Zmieszała się z nią krew. Lenny nie krzyknął, nie wzdrygnął się, nie ruszył. Littell rzucił swoją szklankę na kanapę.

— *Wiem*, że zawarłeś układ z Salem D'Onofrio.

Brak odpowiedzi.

— Sal to rekin wśród lichwiarzy. Czy mógłby przekazywać zyski do Funduszu?

Brak odpowiedzi. Littell mówił dalej:

— No, pogadajmy. Nie wyjdę, dopóki nie powiesz mi tego, po co przyszedłem.

Lenny otarł z rąk krew.

— Nie wiem. Może tak, może nie. Skoro już mowa o rekinach, Sal to mała płotka.

— A co z Jackiem Rubym? Dorabia w Dallas jako adwokat.

— Jack to clown. Zna się na ludziach, ale to clown.

Littell zniżył głos.

— Czy chłopaki z Chicago wiedzą, że jesteś homoseksualistą?

Lenny chlipnął. Littell powiedział:

— Odpowiedz na pytanie i przyznaj się, kim jesteś.

Lenny zamknął oczy i pokręcił głową: nie, nie, nie.

— Odpowiedz mi teraz na inne pytanie. *Czy będziesz moim informatorem?*

Lenny zamknął oczy i pokiwał głową: tak, tak, tak.

— W papierach było napisane, że Iannone był żonaty.

Brak odpowiedzi.

— Lenny...

— Tak. Był żonaty.

— Też miał pakamerę?

— Musiał.

Littell zapiął płaszcz.

— Mógłbym nieźle ci dołożyć, Lenny. Brak odpowiedzi.

— Będę w kontakcie. Wiesz, co mnie interesuje, więc zajmij się tym.

Lenny zignorował go. Zaczął wydłubywać sobie z dłoni szkło.

Od ciała Iannone'a odczepił brelok z kluczami. Były cztery, a na wisiorku było napisane: „Zakład ślusarski Di Giorgio's, 947 Hudnut Drive, Evanston”. Dwa kluczyki były od samochodu i jeden prawdopodobnie od domu. Ten ostatni mógł być od dziupli.

Littell pojechał do Evanston. Dziwnym trafem miał szczęście: ślusarz mieszkał na tyłach swojego zakładu. Nieoczekiwany nalot FBI wystraszył go. Poznał klucze jako swoją robotę. Powiedział, że zakładał Iannone'emu wszystkie zamki — pod dwoma adresami. Kenilworth 2409 w Oak Park. Wolverton 84 w Evanston.

Iannone mieszkał w Oak Park — to wynikało z papierów. Adres w Evanston zdecydowanie wskazywał na dziuplę.

Ślusarz dał mu dokładne wskazówki. Littell trafił tam już po paru minutach. Było to mieszkanie przerobione z garażu na tyłach akademika Northern University. W sąsiedztwie panowały ciemności i śmiertelna cisza. Klucz pasował do zamka. Littell wszedł z przygotowaną bronią. Nikt tu nie mieszkał i pachniało stęchlizną.

Zapalił światło w obu pokojach. Przejrzał wszystkie szafki, szuflady, kąciki i zakamarki. Znalazł sztuczne członki, bicze, kolczatkę, ampułki azotanu skrobiowego, dwanaście słoików galaretki K-Y, torbę marihuany, nabijaną ćwiekami kurtkę motocyklową, obrzyn, dziewięć działek amfy, faszystowską opaskę, olejne obrazy przedstawiające męską sodomie i sześćdziesiąt dziewięć oraz zdjęcie „Lodołamacza” Tony'ego Iannone i chłopca z college'u, nagich i przytulonych do siebie.

Keper Boyd zawsze mówił: **CHROŃ SWOICH INFORMATORÓW.**

Littell zadzwonił do Zakładu Krawieckiego Celano. Odebrał mężczyzna:

— Tak? — niewątpliwie Butch Montrose.

Littell zmienił głos.

— Nie przejmuj się Tonym Iannone'em. Był pieprzoną ciotą. Jedź na Wolverton 84 w Evanston i sam zobacz.

— Zaraz, co ty gadasz?

Littell odłożył słuchawkę. Przypiął fotkę do ściany, żeby mógł ją zobaczyć cały świat.

## 16

(Los Angeles, 11 stycznia 1959)

Zbliżał się termin oddania numeru *Cicho sza!* do druku. Personel opijał się kawą wzmocnioną amfetaminą.

„Graficy” przygotowywali okładkę: „Paul Robeson — Czerwony Królewski Recydywista”. „Korespondent” przepisywał na maszynie: „Damski bokser Spade Cooley — czy ten wieśniak nie posunął się o krok za daleko?”. „Badacz” przeglądał ulotki, próbując połączyć murzyńską higienę z rakiem.

Pete się przyglądał. I nudził.

Przypomniiał sobie MIAMI. *Cicho sza!* było jak gigantyczny wyrastający z tyłka kaktus.

Sol Maltzman nie żył. Gail Hendee dawno odeszła. Nowy zespół *Cicho sza!* składał się z samych palantów. Howard Hughes miał obsesję na punkcie znalezienia nowego tropiciela skandali. Wszyscy kandydaci powiedzieli NIE. Wszyscy wiedzieli, że gliny w L.A. przechwyciły numer obsmarowujący Kennedych. *Cicho sza!* było teraz w środowisku brukowych dziennikarzy kolonią trędowatych.

Hughes łaknął brudów. Hughes potrzebował kurewskich pomówień, żeby mieć się czym dzielić z panem Hooverem. A to, czego Hughes POTRZEBOWAŁ, po prostu KUPOWAŁ.

Pete wkopał się w gównianą robotę. Jego kontakty z gliniarzami zapewniały tygodniowy ładunek beznadziejnych bzdur. „Spade Cooley, zalany mizogin!”

„Sal Mineo schwytany podczas nalotu na dziuplę z marihuaną!”, „Aresztowania bitników Hermosa Beach!”. Samo gówno.

W Miami było zupełnie inaczej. W Miami było dobrze. Miami było narkotykiem, na którego głód cierpiał teraz. Wyjechał stamtąd z lekkim wstrząsem mózgu — mogło być gorzej po tym, jak mu się oberwało. Jimmy Hoffa zadzwonił do niego, żeby zaprowadził porządek. Wyszedł z więzienia i zrobił to.

Na postoju brakowało szefa — policyjne naloty pogorszyły od niedzieli obroty sześciokrotnie. Zamieszki ucichły, ale w Taxi-Tygrys ciągle wrzały konflikty różnych frakcji. Miał do czynienia ze zwolennikami Batisty i Castro, ze zbirami o lewicowych i prawicowych poglądach, których trzeba było nauczyć podporządkowania się Zasadom Białego Człowieka.

Ustalił reguły. Żadnego picia i roznoszenia ulotek w pracy. Żadnych pistoleatów ani noży — broń zdawać u dyspozytora. Żadnego politycznego bratania się — rywalizujące frakcje zostały rozdzielone.

Jeden zwolennik Batisty spróbował złamać zasady. Pete pobił go prawie śmiertelnie.

Ustalił kolejne zasady. Żadnego dupczenia podczas pracy — dziwki zostawiać w domu. Żadnych kradzieży.

Nowym dziennym dyspozytorem został Chuck Rogers. Uważał, że to posunięcie polityczne. Rogers był bandziorem na kontrakcie w CIA. Drugi dyspozytor, Fulo Machado, również miał powiązania z CIA.

John Stanton był agentem CIA średniego szczebla — i nowym bywalcem postoju. Jednym ruchem ręki uciszył sprawę morderstwa popełnionego przez Fulo. Kumpel Stanton, Guy Banister, nienawidził Warda Littella. Banister i Stanton mieli świra na punkcie Kempera Boyda.

Właścicielem Taxi-Tygrys był Jimmy Hoffa. Miał również udziały w dwóch hawańskich kasynach. Littell i Boyd oskarżyli go o dwa morderstwa. Stanton i Banister prawdopodobnie nie wiedzieli o tym. Stanton uraczył go uszczypliwym: „Mogę poprosić cię któregoś dnia o przysługę”.

Sprawy zazębiały się idealnie. Czujniki w głowie zaczynały pulsować.

Pete zadzwonił do recepcjonistki.

— Donna, zamów mi prywatną międzymiastową. Chcę rozmawiać z człowiekiem o nazwisku Kemper Boyd w biurze Komisji McClellana w Waszyngtonie, D.C. Powiedz telefonistce, żeby spróbowała w budynku Biur Senackich, i jeśli się połączy, niech powie, że to ja dzwonię.

— Tak jest.

Pete odłożył słuchawkę i czekał. Wątpił, by udało mu się pogadać — Boyd pewnie jest gdzieś w terenie i konspiruje. Zaświeciła lampka interkomu. Pete podniósł słuchawkę.

- Boyd?
  - Przy telefonie. Zaskoczyłeś mnie.
  - Cóż, jestem ci coś winien, więc pomyślałem, że zadzwonię.
  - Mów.
  - Byłem w zeszłym tygodniu w Miami. Natknąłem się na facetów o nazwiskach John Stanton i Guy Banister. Wydawali się tobą zainteresowani...
  - Już rozmawiałem z panem Stantonem. Ale dzięki. Miło wiedzieć, że wciąż są zainteresowani.
  - Dałem ci dobre referencje.
  - Niezły z ciebie numer. Mogę coś dla ciebie zrobić?
  - Możesz mi znaleźć nowego tropiciela skandali.
- Boyd rozłączył się ze śmiechem na ustach.

## 17

(Miami, 13 stycznia 1959)

Komisja zarezerwowała mu pokój w Howard Johnson's. Kemper przeniósł się jednak do dwupokojowego apartamentu w Fontainebleau. Różnicę pokrył z własnej kieszeni. W końcu miał niedługo otrzymywać trzy pensje — nie była to wielka rozrzutność.

Bobby wysłał go z powrotem do Miami. Sam doprowadził do tej podróży — i obiecał wrócić z kluczowymi dowodami dotyczącymi Słonecznej Doliny. Nie powiedział Bobby'emu, że CIA próbuje go zwerbować.

Podróż była jak krótkie wakacje. Jeśli Stanton będzie w porządku, skontaktują się. Kemper wyniósł sobie krzesło na balkon. Ward Littell przysłał mu raport — musiał go jeszcze zredagować przed wysłaniem Bobby'emu.

Raport składał się z dwunastu stron maszynopisu. Ward dołączył pisany odręcznie wstęp.

*KB.,*

*Ponieważ jesteśmy partnerami w tym drobnym oszustwie, przesyłam Ci dokładny opis moich działań. Oczywiście zechcesz pewnie przemilczeć moje bardziej rażące nadużycia, biorąc pod uwagę warunek pana Kennedy'ego.*

*Zauważysz jednak, że zrobiłem znaczne postępy. I uwierz, biorąc pod uwagę wyjątkowe okoliczności, byłem bardzo ostrożny.*

Kemper przeczytał raport. „Wyjątkowe okoliczności” nie do końca wyjaśniały to, co czytał.

Littell był świadkiem homoseksualnego morderstwa. Ofiarą był zastępca szefa chicagowskiej mafii. Zabójcą — mafijny beniaminek o nazwisku Lenny Sands.

Sands był teraz kapusiem Littella. Sands współpracował niedawno z lichwiarzem i bukmacherem zwanym „Szalonym Salem” D'Onofrio. D'Onofrio organizował wycieczki hazardzistów do Las Vegas i Lake Tahoe — Sands miał towarzyszyć grupom jako „wykonawca programu rozrywkowego”. Sands miał klucze do gangsterskich „dziupli”. Littell zmusił go do zrobienia kopii i potajemnie odwiedził trzy z nich w poszukiwaniu dowodów. Littell obserwował i niczego nie ruszał: broni, narkotyków i 14 000 \$ w gotówce — schowanych w torbie golfowej w dziupli niejakiego Butcha Montrose'a.

Littell zlokalizował dziuplę Tony'ego Iannone'ea: garażowe mieszkanie zaśmiecone homoseksualnymi akcesoriami. Littell był zdecydowany ochronić swojego informatora przed potencjalnym odwetem. Sam zdradził adres dziupli członkom mafii i obserwował, czy posłuchali anonimowej informacji. Owszem: Sam Giancana i dwóch innych mężczyzn włamało się dwie godziny później. Niewątpliwie znaleźli homoseksualną kontrabandę Iannone'ea.

Zadziwiająca. Pełna symbolika Trójcy Warda Littella: szczęście, instynkt, naturalna odwaga.

Littell podsumował:

*Moim ostatecznym celem jest ułatwienie kredytobiorcy „na drabinie” dojścia do Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych Teamsters. Kredytobiorca ten będzie, w najlepszym przypadku, moim informatorem gotowym na kompromis. Lenny Sands (i potencjalnie „Szalony Sal” D'Onofrio) mogą okazać się cennymi współnikami w zdobyciu takiego informatora. Mój idealny kredytobiorca byłby przekupionym biznesmenem powiązany z przestępczością zorganizowaną, człowiekiem podatnym na zastraszenie fizyczne i groźby prokuratury federalnej. Taki informator pomógłby nam ustalić fakt istnienia podwójnej księgowości Funduszu Emerytalnego, zawierającej ukryte, przez to nielegalne, aktywa. Taka linia postępowania stawia Robertowi Kennedy'emu nieograniczone możliwości oskarżenia. Jeśli taka księgowość rzeczywiście istnieje, administratorzy ukrytych aktywów będą podlegali formalnemu oskarżeniu o kradzież na dużą skalę i przestępstwa podatkowe. Zgadzam się z panem Kennedy m : może to być sposób na połączenie Jimmy'ego Hoffy*



*i Teamsters z chicagowską mafią i na przełamanie ich zjednoczonych sił. Jeśli da się udowodnić finansowy spiszek na tak wielką i szerzącą się skalę, posypią się głowy.*

Plan był ambitny i niebotycznie ryzykowny. Kemper pomyślał od razu o możliwych błędach. Littell ujawnił seksualne skrzywienie „Lodołamacza” Tony’ego. Czy rozważył *wszystkie* możliwe konsekwencje?

Kemper zadzwonił na lotnisko w Miami i zmienił swój waszyngtoński lot na taki z międzylądowaniem w Chicago. Ten ruch wydawał się rozsądny: jeśli jego przecucie się potwierdzi, będzie musiał sprawić Wardowi niezłe lanie.

Nadciągnął zmierzch. Służba hotelowa przyniosła stałe zamówienie — punktualnie co do minuty.

Sączył Beefeatera i pogryzał wędzonego łososia. Aleja Collins mieniła się światłem; ostatnie promyki słońca padały na plażę. Kemper poczuł łagodny powiew. Przypomniawszy sobie chwilę z kobietą w norkach i pomyślał o tuzinie zdań, które mógł wypowiedzieć...

Zadzwonił dzwonek. Kemper przecesał włosy i otworzył drzwi. John Stanton powitał go:

— Dobry wieczór, panie Boyd.

Kemper zaprosił go do środka. Stanton obejrzał pokój i wyraził podziw.

— Robert Kennedy dobrze pana traktuje.

— Pański podziw jest nieszczerzy, panie Stanton.

— W takim razie będę szczerzy. Dorastał pan w bogatej rodzinie, którą pan stracił. Teraz zaadoptował pan sobie Kennedych. Jest pan w trakcie odzyskiwania swojego bogactwa w małych ratach. To naprawdę ładny pokój.

Kemper uśmiechnął się.

— Napije się pan martini?

— Martini smakuje, jakby było lżejsze od wody. Zawsze oceniałem hotele po ich liście win.

— Mogę posłać po jakieś.

— Nie będę siedział długo.

— Co pana trapi?

Stanton wskazał w stronę balkonu. — Kuba.

— Tyle sam wiem.

— Przypuszczamy, że Castro zwróci się w stronę komunistów. Ma przyjechać do Ameryki w kwietniu i zaoferować swoją przyjaźń, ale sądzymy, że będzie się źle zachowywał i zmusi nas do oficjalnej odmowy. Ma zamiar deportować kilku „niewygodnych politycznie” Kubańczyków, dostaną azyl na Florydzie. Musimy przeskolić tych mężczyzn i uformować opozycję przeciw Castro.

Pensja wynosi dwa tysiące miesięcznie gotówką plus możliwość kupowania akcji po obniżonych cenach w firmach popieranych przez Agencję. Taka jest oferta i ma pan moje osobiste zapewnienie, że praca w Agencji nie będzie kolidować z pozostałymi pańskimi powiązaniem.

— Powiązaniem? W liczbie mnogiej?

Stanton wyszedł na balkon. Kemper dołączył do niego.

— „Odszedł” pan „na emeryturę” dość pospiesznie. Był pan blisko pana Hoovera, który nienawidzi braci Kennedych i boi się ich. *Post hoc, propter ergo hoc*. We wtorek był pan agentem FBI, w środę potencjalnym alfonsem Jacka Kennedy'ego, w czwartek detektywem Komisji McClellana. Umiem logicznie myśleć...

— Jaka jest standardowa płaca kontraktowych pracowników CIA?

— 850 \$ miesięcznie.

— Ale moje „powiązania” czynią ze mnie wyjątkowy przypadek?

— Tak. Wiemy, że zaprzyjaźnia się pan z Kennedymi i uważamy, że w przyszłym roku Jack Kennedy może zostać wybrany na prezydenta. Jeśli problem Castro będzie trwał, będziemy potrzebować kogoś, kto pomoże nam wpływać na politykę kubańską.

— Jako lobbysta?

— Nie. Jako bardzo subtelny agent prowokator.

Kemper wyjrzał przez balkon. Nad Kubą skrzyły się światła.

— Zastanowię się nad pańską ofertą.

## 18

(Chicago, 14 stycznia 1959)

Littell wbiegł do kostnicy. Kemper zadzwonił do niego z lotniska i powiedział: ZARAZ MASZ TAM BYĆ. Dzwonił pół godziny temu. Powiedział tylko te cztery słowa i trzasnął słuchawką.

Z korytarza wychodziło się na rząd sal sekcyjnych. Wózki przykryte prześcieradłami blokowały korytarz. Littell przepychał się między nimi. Kemper stał przy przeciwległej ścianie obok rzędu łodówek. Littell wstrzymał oddech.

— Co jest, kurwa...?

Kemper podniósł pokrywę. Leżało tam ciało białego mężczyzny. Chłopaka torturowano i przypalano papierosami. Odciętego penisa wepchnięto mu w usta. Littell poznał go: nagi dzieciak z fotografii „Lodołamacza” Tony'ego.

Kemper złapał Littella za szyję i zmusił do pochylecia się.

— To przez ciebie, Ward. Powinieneś zniszczyć każdy dowód wskazujący na znanych partnerów Iannone'ea *zanim* powiedziałeś o nim mafii. Nieważne, czy był winny, czy nie, musieli kogoś zabić, więc zdecydowali się na chłopca z fotografii, którą *ty* im zostawiłeś.

Littell szarpnął się do tyłu. Poczł zapach żółci, krwi i środka dentystycznego. Kemper popchnął go do przodu.

— Pracujesz dla Bobby'ego Kennedy'ego, *ja* ci to załatwiłem, a pan Hoover zniszczy mnie, jeśli się o tym dowie. Masz cholerne szczęście, że zdecydowałem się sprawdzić spis zaginionych osób i lepiej, żebyś mnie przekonał, że znowu czegoś nie spieprzysz.

Littell zamknął oczy. Pocięły łzy. Kemper zbliżył jego policzek do twarzy nieżyjącego chłopaka.

— Spotkajmy się w mieszkaniu Lenny'ego Sandsa o dziesiątej. Uporządkujemy parę spraw.

**P**raca nie pomagała. Śledził komuchów i pisał z tego raporty. Trzęsły mu się ręce; ledwie mógł odczytać własne pismo.

Nie pomagała Helen. Zadzwoił do niej tylko po to, żeby usłyszeć jej głos. Od jej pogawędek o szkole prawniczej chciało mu się wyć.

Court Meade też nie pomagał. Spotkali się przy kawie i wymienili raporty. Court stwierdził, że wygląda parszywie. Dodał, że jego raporty są słabe — tak jakby nie spędzał zbyt dużo czasu w punkcie podsłuchowym.

Nie mógł powiedzieć: „Objam się, bo znalazłem kapusia”. Nie mógł powiedzieć: „Dałem dupy i zabiłem chłopaka”.

Trochę pomagał kościół. Zapalił świeczkę za zmarłego. Modlił się o kompetencję i odwagę. Umył się w łazience i przypomniał sobie, co mówił Lenny: dziś wieczorem Sal D, zbiera wycieczkowiczów w Saint Vibiana.

Pomógł przystanek w barze. Zupa z grzankami uspokoiła żołądek. Trzy życie z piwem oczyściły umysł.

**S**al i Lenny mieli salę ze sceną Saint Vib dla siebie. Słuchał ich tuzin widzów. Siedzieli przy zestawionych stołach do bingo blisko sceny. Wyglądali na pijaków i facetów, którzy biją żony.

Littell wałęsał się obok wyjścia ewakuacyjnego. Uchylił drzwi, żeby widzieć i słyszeć. Sal mówił:

— Wyjeżdżamy za dwa dni. Wielu moich bywalców nie mogło zwolnić się z pracy, więc obniżam cenę do 95, w tym cena biletu. Najpierw pojedziemy do Lake Tahoe, potem do Vegas i Gardeny. Pod L.A. Sinatra gra w Cal-Neva Lodge i będziecie mieć miejsca w pierwszym rzędzie. A teraz Lenny Sands, dawniej Lenny Sanducci, gwiazda Vegas sama w sobie, pokaże wam Sinatrę lepszego od samego Sinatry. Lenny! Do dzieła!

Lenny wydmuchiwał kółeczka dymu jak Sinatra. Faceci klaskali. Lenny strzepnął im nad głowami popiół z papierosa i popatrzył na nich.

— Nie klaszczcie, dopóki nie skończę! Co z was za pomocnicy Szczurzej Paczki?\* Dino, daj mi ze dwie blondynki! Sammy, skocz po skrzynkę ginu i dziesięć kartonów papierosów albo wydrapię ci oczy! Ruszaj, Sammy! Kiedy nasi związkowcy kiwną palcem, sam Sinatra też skacze!

\* Szczurza Paczka (Rat Pack) — przyjacielska klika piosenkarzy i aktorów wokół Sammy'ego Davisa jr, i Franka Sinatry. Należeli do niej m.in. Dean Martin i Tony Curtis.

Faceci rzęli ze śmiechu. Jakaś kobieta z miotłą przeszła obok nich, nie podnosząc wzroku. Lenny śpiewał.

*W wielką podróż z Salem zabierz mnie! Sal — nasz hazardu super as — urokiem swym tu zwabi cię. Więc drzyj, o drzyj, Las Vegas!*

Faceci bili brawo. Sal rzucił na stolik papierową torbę. Przepychali się i chwyтали gadzety. Littell zobaczył karty do pokera, notesy i breloczki z króliczkiem Playboya. Lenny złapał długopis w kształcie penisa.

— Który z was, wielkich kutasów, chce się pierwszy zapisać?

Ustawiła się kolejka. Littell czuł, jak żołądek mu się przewraca. Cofnął się na chodnik i zwymiotował. Żytnia i piwo spaliły mu gardło. Kucnął i otarł rzygowiny. Paru wycieczkowiczów przeszło obok, bawiąc się breloczkami. Kilku wyśmiało go. Littell oparł się o latarnię. Zobaczył Sala i Lenny'ego w wyjściu z sali.

Sal przyparł Lenny'ego do ściany i dźgał go w pierś. Mina Lenny'ego powiedziała: „okej”.

Drzwi były uchylone. Littell otworzył je na oścież. Kemper przeglądał notatnik z adresami Lenny'ego. Zapalił wszystkie światła w salonie.

— Śmiało, synu.

Littell zatrzaskał drzwi.

— Kto cię tu wpuścił?

— Nauczyłem cię wchodzić tam, gdzie chcesz, pamiętasz?

Littell pokręcił głową.

— Chcę, żeby mi ufał. Inny facet pojawiający się tak jak ty, może go przestraszyć.

Kemper odrzekł: — Bo trzeba go przestraszyć. Nie lekceważ go, bo jest ciotą.

— Widziałem, co zrobił Iannone'emu.

— Spanikował wtedy, Ward. Jeśli znów spanikuje, możemy i my oberwać. Dlatego dziś wieczorem wprowadzimy nowe zasady.

Littell usłyszał kroki za drzwiami. Nie było czasu na zgaszenie światel. Wszedł Lenny. Spojrzał na nich jak aktor wielkich scen.

— Kim on jest?

— To pan Boyd. Mój przyjaciel.

— A że byliście akurat w pobliżu, więc pomyśleliście, że włamiecie się i zadacie mi parę pytań.

— Nie ująłbym tego w ten sposób.

— *A w jaki?* Powiedziałeś, że zwykle pogadamy przez telefon i że zajmujesz się tym sam.

— Lenny...

Wtrącił się Kemper: — Mam pytanie.

Lenny włożył kciuki za pasek. — To niech je pan zadaje. I proszę poczęstować się drinkiem. Pan Littell zawsze to robi.

Kemper wyglądał na rozbawionego.

— Rzuciłem okiem na twój notatnik z adresami, Lenny.

— Nie dziwię się. Pan Littell też zawsze to robi.

— Znasz Jacka Kennedy'ego i wielu ludzi z Hollywood.

— Tak. Znam też pana i pana Littella, co dowodzi, że nie jestem wolny od kontaktów z pospółstwem.

— Kim jest ta kobieta, Laura Hughes? Zainteresował mnie jej adres — Piąta Aleja 881.

— Laurą interesuje się wielu mężczyzn.

— Trzęsiesz się, Lenny. Jakoś dziwnie się zachowujesz.

Littell rzucił: — O czym ty...

Kemper przerwał mu: — Czy jest pod trzydziestkę? Wysoka brunetka z piegami?

— Laura tak wygląda.

— Widziałem Joe Kennedy'ego dającego jej diamentową broszkę i co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wygląda na to, jakby z nią sypiał.

Lenny zaśmiał się. Jego uśmiech mówił: „Ech, ty tępaku”. Kemper poprosił: — Opowiedz mi o niej.

— Nie. Ona nie ma nic wspólnego z Funduszem Emerytalnym Teamsters ani z niczym nielegalnym.

— Lenny, uchylasz się od odpowiedzi. Nie zachowujesz się jak twardziel, który załatwił Tony'ego Iannone'a. Mówisz jak mała ciota o piskliwym głosie.

Lenny odezwał się barytonem: — Czy tak lepiej, panie Boyd?

— Zostaw swój talent do występów. Kim ona jest?

— Nie muszę wam tego mówić. Kemper uśmiechnął się.

— Jesteś homoseksualistą i mordercą. Nie masz żadnych praw. Jesteś federalnym informatorem i należysz do chicagowskiego FBI.

Littellowi zrobiło się słabo. Serce robiło mu dziwne numery. Kemper spytał znowu:

— *Kim ona jest?*

Lenny wypalił z grubej rury:

— FBI nie ma z tym nic wspólnego. Gdyby tak było, wszystko byłoby stenografowane i zapisywane. Robicie coś na boku. A ja nie powiem nic, co mogłoby zaszkodzić Johnowi Kennedy'emu.

Kemper wyjął fotkę z kostnicy i podał Lenny'emu. Littell zobaczył martwego chłopaka z wypchanymi ustami. Wzdrygnął się, ale zaraz zrobił minę twardziela.

— No i? To ma mnie przestraszyć?

— To zrobił Giancana, Lenny. Myślał, że ten facet zabił Tony'ego Iannone'a. Jedno nasze słowo i z tobą będzie to samo.

Littell chwycił fotkę.

— Zaczekajmy chwilę. Ty powiedziałaś już swoje...

Kemper wprowadził go do jadalni. Przycisnął go do szafy.

— Nie stawiaj mi się przy podejrzanym.

— Kemper...

— Uderz go.

— Kemper...

— *Uderz go.* Niech się ciebie boi.

Littell odpowiedział: — Nie mogę. Na miłość boską, nie rób mi tego.

— Uderz go albo zadzwonię do Giancany i powiem mu o wszystkim.

— Nie. Przestań... proszę.

Kemper dał mu mosiężny kastet. Zmusił do założenia go.

— Uderz go, Ward. Uderz go albo pozwolę, żeby Giancana go zabił.

Littell zadrżał. Kemper strzelił go w twarz.

Littell pokuśtykał do Lenny'ego i zachwiał się przed nim. Lenny posłał mu ten swój nedorzeczny uśmiech pseudo-twardziela. Littell zacisnął pięść i uderzył go. Lenny rąbnął w stół i upadł, wypluwając zęby. Kemper rzucił w niego poduszką z kanapy.

— Kim jest Laura Hughes? Mów ze szczegółami.

Littell upuścił kastet. Jego dłoń pulsowała i drętwiała.

— Pytałem, kim jest Laura Hughes.

Lenny przyciskał do siebie poduszkę. Wypluł kilka złotych koronek.

— Pytałem, kim jest Laura Hughes.

Lenny zakaszlał i chrząknął. Odetchnął głęboko: „trzeba mieć to za sobą”.

Powiedział:

— Jest córką Joe Kennedy'ego. Jej matką jest Gloria Swanson.

Littell zamknął oczy. Te pytania i odpowiedzi absolutnie nie...

Kemper rzucił: — Mów dalej.

— Co jeszcze? Jestem jedyną osobą spoza rodziny, która o tym wie. Kemper powtórzył: — Mów dalej.

Lenny ponownie wziął głęboki oddech. Miał wargę rozciętą aż do nozdrzy.

— Pan Kennedy utrzymuje Laurę. Laura go kocha i nienawidzi. Gloria Swanson nienawidzi pana Kennedy'ego, bo będąc producentem filmowym, oszukał ją na grube pieniądze. Wyparła się Laury wiele lat temu i to wszystko, co wiem.

Littell otworzył oczy. Lenny przysunął mały stolik i opadł na fotel. Kemper kręcił kastetem.

— Dlaczego nosi nazwisko Hughes?

— Przez Howarda Hughesa. Pan Kennedy nienawidzi go, więc Laura przybrała to nazwisko, żeby go denerwować.

Littell zamknął oczy. Zaczął widzieć rzeczy, których wcale widzieć nie chciał.

— Ward, zadaj panu Sandsowi teraz swoje pytanie.

Obraz znikł — Lenny z tym długopisem w kształcie penisa.

— Ward, otwórz oczy i spytaj pana Sandsa o...

Littell otworzył oczy i zdjął okulary. Pokój stał się niewyraźny i rozmazany.

— Widziałem, jak kłóciłeś się z Szalonym Salem przed kościołem. O co chodziło?

Lenny sprawdzał, ile zębów stracił.

— Chciałem odwołać program wycieczkowy.

— Dlaczego?

— Bo Sal jest jak trucizna. Taka sama jak wy.

Mówił z taką rezygnacją, jakby pogodził się z faktem bycia kapusiem.

— Ale on ci na to nie pozwolił?

— Nie. Powiedziałem mu, że będę dla niego pracował przez pół roku, chyba że...

Kemper kręcił kastetem.

- Chyba że co?
- Chyba że nie pociągnie tak długo.

Mówił spokojnie. Mówił jak aktor, który właśnie zdał sobie sprawę ze swojej roli.

- Dlaczego miałby nie pociągnąć?
- Bo jest zdegenerowanym hazardzistą. Bo jest winien Samowi G, dwanaście kawałków, a umowa przepada, jeśli ich nie odda.

Littell założył okulary.

- Chcę, żebyś pozostał przy Salu, a ja się zajmę jego długami.

Lenny wytarł usta poduszką. To jedno uderzenie przyprawiło mu niemal zajączą wargę.

Kemper odezwał się: — Odpowiedz panu Littellowi.

Lenny powiedział z gejowskim nalotem: — Och, tak jest, panie Littell.

Kemper wsunął kciuki za pasek.

— Nie mów nic Laurze Hughes. I nie mów nikomu o naszej umowie. Lenny wstał na iksowatych nogach.

- Nawet mi się nie śni. Kemper mrugnął.

— Masz klasę, synu. Znam pewien magazyn w L.A., który skorzystałby z twojej wiedzy.

Lenny złożył do kupy kawałki ust. Littell pomodlił się: „Proszę, niech dziś w nocy nic mi się nie śni”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.01.1959. Oficjalny stenogram rozmowy telefonicznej: „Nagrane na polecenie dyrektora”/”Klasyfikacja: Tajne 1-A: Tylko do wiadomości dyrektora.” Rozmawiają: dyrektor Hoover, agent specjalny Kemper Boyd.

JEH: Dzień dobry, panie Boyd.

KB: Dzień dobry, sir.

JEH: Mamy wspaniałe połączenie. Czy jest pan blisko?

KB: W restauracji na Northeast „I”.

JEH: Rozumiem. Niedaleko są biura Komisji, więc domniemywam, iż ciężko pan pracuje dla Młodszego Brata.

KB: Zgadza się, sir. Przynajmniej kosmetycznie.

JEH: Proszę powiedzieć, co się aktualnie dzieje.

KB: Przekonałem Młodszego Brata, żeby wysłał mnie do Miami. Powiedziałem mu, że mogę wyciągnąć zeznania od kilku świadków oszustw w Słonecznej Dolinie i rzeczywiście przywiozłem parę nieprowadzących do niczego dowodów.



JEH: Proszę kontynuować.

KB: Naprawdę chodziło mi o zdobycie informacji dla pana, dotyczących Gretzlera i Kirpaskiego. Ucieszy się pan wiedząc, że popytałem w Wydziałach Policji w Miami i Lake Weir i dowiedziałem się, iż obie sprawy są wciąż w działaniu otwartych. Uważam to za pośrednie potwierdzenie przypuszczenia, że oba zabójstwa pozostaną nierozwiązane.

JEH: Znakomicie. Teraz proszę o braciach.

KB: Pełnomocnictwo Komisji do walki z przestępczością wygasa za trzy miesiące. Dokumentacja procesowa jest teraz na etapie zestawiania. Będę przysyłał panu kopie każdego istotnego fragmentu notatek przekazywanych ławom przysięgłych. I nadal uważam, że Jimmy Hoffa jest w tej chwili w świetle prawa czysty.

JEH: Proszę kontynuować.

KB: Starszy Brat kontaktował się z liderami związkowymi współpracującymi z Partią Demokratyczną, żeby upewnić się, czy problem z Hoffą rozdmuchany przez Młodszego Brata nie przypiął mu łatki antyzwiązkowca. Myślę, że ogłosi swoją kandydaturę na początku stycznia przyszłego roku.

JEH: A pan wciąż jest pewien, że bracia nie podejrzewają Biura o zмовę w kwestii Darleen Shoftel?

KB: Jestem pewien. Dziewczyna Pete'a Bonduranta poinformowała Młodszego Brata o artykule w *Cicho sza!*, a Ward Littell ujawnił nasz podsłuch i drugi, Bonduranta, o którym ona nie wiedziała.

JEH: Słyszałem, że ojciec braci zmusił Howarda Hughesa do zmiany frontu.

KB: To prawda.

JEH: *Cicho sza!* było ostatnio dość nijakie. Ale te próbki, które pan Hughes mi przysyłał, były całkiem niezłe.

KB: Jestem w kontakcie z Pete'm Bondurantem i sądzę, że znalazłem mu człowieka powiązanego z Hollywood, z którego może zrobić dziennikarzynę.

JEH: Jeśli będę miał co czytać przed snem, będzie to znak, że powiodło się panu.

KB: Tak jest, sir.

JEH: Musimy podziękować Wardowi Littellowi za całą sprawę z Kennedymi.

KB: Przejeżdżałem przez Chicago i dwa dni temu widziałem się z Littellem.

JEH: Proszę kontynuować.

KB: Na początku myślałem, że wyrzucenie z „PS” może popchnąć go do antymafijnych działań na własną rękę, więc postanowiłem go sprawdzić.

JEH: I?

KB: Moje podejrzenia były bezpodstawne. Littell wydaje się cierpieć w milczeniu, pracując w Czerwonej Drużynie, a jedyna zmiana w jego zwyczajach, jaką zauważyłem, to romans z córką Toma Agee, Helen.

JEH: Romans o charakterze seksualnym?

KB: Tak, sir.

JEH: Ile dziewczyna ma lat?

KB: Dwadzieścia jeden, sir.

JEH: Chcę, żeby miał pan na niego oko.

KB: Tak jest, sir. A skoro z panem rozmawiam, czy mogę wspomnieć o innej sprawie?

JEH: Oczywiście.

KB: Chodzi o sytuację polityczną na Kubie.

JEH: Proszę kontynuować.

KB: Podczas mojej wizyty na Florydzie spotkałem uchodźców, zwolenników Batistę i Castro. Teraz najwyraźniej Castro przechodzi na komunizm. Dowiedziałem się, że ludzie niepopierający zmian politycznych będą wydaleny z Kuby i otrzymają azyl w Stanach, większość z nich osiedli się w Miami. Czy chciałby pan informacje na ten temat?

JEH: Czy ma pan jakieś źródło?

KB: Tak, sir.

JEH: Ale wolałby pan go nie zdradzać?

KB: Owszem.

JEH: Mam nadzieję, że panu to się opłaca...

KB: To dość skomplikowana sytuacja.

JEH: A pan jest skomplikowanym osobnikiem. Owszem, wszystkie informacje na temat kubańskiej imigracji są pożądane. Czy ma pan coś do dodania? Jestem umówiony.

KB: Jeszcze tylko jedno. Czy wiedział pan, że ojciec braci ma nieślubną córkę z Glorią Swanson?

JEH: Nie, nie wiedziałem. Czy to pewne?

KB: Absolutnie. Czy mam się tym zająć?

JEH: Tak. Ale proszę unikać komplikacji, które mogłyby przeszkodzić w pańskich działaniach.

KB: Tak jest.

JEH: Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Ma pan tendencję do adoptowania ludzi, na przykład tego moralnie chorego Warda Littella. Niech nie rozszerza pan tego

na Kennedych. Obawiam się, że ich siła uwodzenia przewyższa nawet pańską.

KB: Będę ostrożny.

JEH: Miłego dnia, panie Boyd.

KB: Miłego dnia, sir.

## 19

(Los Angeles, 18 stycznia 1959)

Dick Steisel powiedział: — Skoro pan Hughes jest w tak bliskich kontaktach z J. Edgarem Hooverem, to niech *on* odwoła wszystkich zamieszanych w ten przeklęty proces.

Pete zlustrował jego biuro. Zdjęcia wyglądały zabawnie — Hughes dzielił miejsce na ścianie z dyktatorami Ameryki Południowej i graczami Preston Epps.

— On nie poprosi Hoovera o przysługę. Uważa, że nie dość mu jeszcze włazł w dupę.

— Nie może w nieskończoność nie przyjmować wezwań do sądu. Po prostu powinien zbyć udziały w TWA, zarobić trzy czy cztery miliony i przejść do następnych podbojów.

Pete kołysał się na krześle, stopy położył na biurku Steisela.

— On to widzi inaczej.

— A jak ty to widzisz?

— To zależy, jak mi zapłaci.

— Co to oznacza w tym przypadku?

— Oznacza to, że zadzwonię do Central Casting, wezmę pół tuzina aktorów podobnych do pana Hughesa i wsadzę ich do limuzyn Hughes Aircraft. Powiem im, żeby porozbijali się trochę po nocnych klubach, sypnęli forszą i opowiedzieli o swoich planach podróży. Timbaktu, Nairobi — kto sprawdzi takie gówno? To nam da trochę czasu.

Głos Steisela przebił się przez skrzypienie biurka.

— Abstrahując od TWA, powinieneś wiedzieć, że większość artykułów *Ci-cho sza!*, które przysłałeś do weryfikacji, to zniesławienia. Oto przykład z kawałka dotyczącego Spade'a Cooleya. „Czy Ella Mae Cooley ma na piersiach

wypisane: «Nie do zdarcia»? Pewnie tak, skoro Spade pisze folkowe ballady o jej niebezpiecznie głębokim dekolcie! Ella Mae powiedziała chyba ostatnio Spade'owi, że zamierza przyłączyć się do sekty wolnej miłości! Spade odpowiedział ostrym biciem, a teraz Ella Mae może się poszczycić brutalnie posiniaczonym biustem!” Widzisz, Pete, to się kompletnie kupy nie trzyma, albo...

Steisel jęczał i brzęczał. Pete wyłączył się i zaczął śnić na jawie.

Wczoraj zadzwonił Kemper Boyd. Powiedział:

— Mam zamiary na pismaka do magazynu. Nazywa się Lenny Sands i zabawia turystów w Cal-Neva Lodge w Lake Tahoe. Porozmawiaj z nim — myślę, że będzie się idealnie nadawał do *Cicho sza!*. Tyle tylko, że się zadaje z Wardem Littellem i jak pewnie sam domyślisz się, ma związki z FBI. Powinieneś też wiedzieć, że Littell ma naocznego świadka sprawy Gretzlera. Pan Hoover kazał mu o tym zapomnieć, ale Littell to wolny ptak. Nie wspominaj Lenny'emu o Littellu.

Lenny Sands — brzmiało nieźle. Ale ten „naoczny świadek” to jakiś kit.

Pete odpowiedział: — Spotkam się z Sandsem. Ale porozmawiajmy poważnie o czymś jeszcze.

— O Kubie?

— Tak. Zaczynam myśleć, że to ciepła posadka dla nas, byłych stróżów prawa.

— Masz rację. Myślę, żeby w to wejść.

— Ja też. Howard Hughes doprowadza mnie do szału.

— To zrób coś dobrego. Zrób coś, co spodoba się Johnowi Stantonowi.

— Na przykład?

— Przejrzyj w Waszyngtonie papiery rządowe i prześlij mi parę kwiatków...

Steisel wyrwał go z marzeń na jawie.

— Powiedz tym studenciakom, żeby powrzucaли do artykułów słowa „domniemanie” i „przypuszczalne”, tak żeby tekst brzmiał bardziej hipotetycznie. Pete, czy ty mnie słyszysz?

Pete odparł:

— Dick, spotkamy się później. Mam coś do załatwienia.

**P**odjechał do budki i wykonał kilka telefonów. Zadzwonił do kumpla gliniarza, Mickeya Cohena, i Freda Otasha, „prywatnego łapsa gwiazd”. Powiedzieli, że mogą zerknąć w papiery i znaleźć parę „kwiatków”, szybko i bez rozgłosu.

Pete zadzwonił wtedy do Spade'a Cooleya. Powiedział:

— Zrezygnowałem z kolejnego artykułu o tobie.

Wdzięczny Spade rzekł:

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Potrzebuję sześciu dziewcząt z twojego zespołu. Niech przyjdą do Central Casting za godzinę.

— Nie ma sprawy.

W końcu zadzwonił do Central Casting i Hughes Aircraft. Obaj pracownicy nie kryli zadowolenia: sześciu sobowtórów Howarda Hughesa i sześć limuzyn będzie za godzinę czekało w Central.

Pete spotkał się z dziewczynami i porozdzielał wszystko: sześciu Howardów, sześć kobiet, sześć limuzyn. Howardowie dostali szczegółowe instrukcje: szaleć do świtu i rozpowiadać, że spadają do Rio!

Limuzyny nadjechały. Spade podrzucił Pete'a na lotnisko Burbank. Złapał samolot do Tahoe. Pilot zaczął lądowanie prosto nad Cal-Neva Lodge.

Pilnuj się, Lenny.

**W** kasynie liczyły się automaty, kości, ruletka, black jack, poker, i najgrubsze na świecie dywany. W hallu wisiała olbrzymia kartonowa podobizna Franka Sinatry.

Obok drzwi ktoś dorysował w ustach Franka kutasa.

Mała wycinanka z tektury przy barze głosiła: „Lenny Sands w Swingeroo Lounge!”

Ktoś zawołał: — Pete! Pete Francuz!

To musiał być ktoś z mafii — albo ktoś, kto lubił samobójstwa.

Pete rozejrzał się. Zobaczył Johnny'ego Rossellego machającego do niego zza stolika tuż przy barze. Podszedł. Siedziały tam same gwiazdy: Rosselli, Sam G., Heshie Ryskind, Carlos Marcello. Rosselli mrugnął.

— Francuz Pete, *che se dice?*

— Dobrze, Johnny. A ty?

— *Ça va*, Pete, *ça va*. Znasz tych chłopaków? Carlosa, Mo i Heshiego?

— Tylko ze słyszenia.

Uściski rąk. Pete stał — zgodnie z protokołem mafii.

Rosselli rzekł:

— Pete jest francuskojęzycznym Kanadyjczykiem, ale nie lubi, kiedy mu o tym przypominają.

— Każdy musi skądś pochodzić — stwierdził Giancana.

Marcello dodał:

— Oprócz mnie. Nie mam pieprzonej metryki. Mogłem urodzić się, kurwa, w pieprzonym Tunisie, Afryce Północnej albo Gwatemali. Moi rodzice byli

sycylijskimi imigrantami bez żadnych pieprzonych paszportów. Powinienem był ich spytać: „Hej, gdzie ja się urodziłem?”, jak jeszcze miałem okazję.

Ryskind odezwał się:

— Tak, za to ja jestem Żydem z wybredną prostatą. Moi starzy pochodzili z Rosji. I jeśli nie sądzisz, że w tym towarzystwie to kalectwo...

Przerwał mu Marcello: — Pete ostatnio pomagał Jimmy'emu w Miami. Wiesz, na postoju taksówek.

Rosselli powiedział: — I nie myśl, że tego nie doceniamy.

Po nim Giancana: — Na Kubie musi się pogorszyć, zanim się polepszy. Teraz pieprzony Brodacz „znacjonalizował” nasze cholerne kasyna. Trzyma Santo T, w areszcie, a to kosztuje nas setki tysięcy dziennie.

I Rosselli: — To tak, jakby Castro podłożył pod dupę każdego gościa w Ameryce bombę atomową.

Nikt nie powiedział: „Usiądź”.

Sam G, wskazał na przechodzącego lumpa liczącego piątki.

— To D'Onofrio przyprowadza tych meneli. Zasmradzają salę i nie wydają tyle, żeby mi to zrekompensować. Ja i Frank mamy na spółkę czterdzieści procent z Lodge. To sala pierwszej klasy, nie wczasy dla roboli.

Rosselli zaśmiał się.

— Ale twój koleś Lenny pracuje teraz dla Sala.

Giancana spojrział na lumpa i wykonał gest naciskania spustu.

— Ktoś musi dobrać się do dupy Szalonego Sala D'Onofrio. Bukmacherzy, którzy mają więcej długów niż dochodu, są jak pieprzeni komuniści ssący cycek opieki społecznej.

Rosselli sączył swojego drinka.

— No, Pete, co sprowadza cię do Cal-Neva?

— Chcę porozmawiać z Lennym o pracy. Pomyślałem, że nadawałby się na dziennikarza do *Cicho sza!*.

Sam G, przesunął w jego stronę kilka żetonów.

— No, Francuzie, przegraj tysiączek. Ale nie zabieraj Lenny'ego z Chicago, dobrze? Lubię mieć go w pobliżu.

Pete uśmiechnął się. „Chłopaki” też się uśmiechnęli. Łapiesz? Dali ci już tyle, na ile według nich zasługujesz.

Pete odszedł. Dostał się na koniec kolejki kłębiącej się przed wejściem do tańszej sali. Poruszał się z tłumem. W sali były tylko miejsca stojące: wszystkie stoliki zajęte, spóźnialscy podpierali ściany.

Lenny Sands stał na scenie, w tle grało pianino i perkusja. Facet przy klawiszach męczył jakiegoś bluesa. Lenny pacnął go po głowie mikrofonem.

— Lew, Lew, Lew. Kim my tu jesteście, zgrają pętaków? Co my gramy? „Mamo, daj arbuza, bo pobili ci lobuza”?

Publiczność rżała. Lenny rzucił:

— Lew, zagraj coś Frankie'ego.

Pianista Lew zagrał wstęp. Lenny zaśpiewał trochę jak Sinatra, a trochę pedalskim falsetem:

*Mam cię pod sobą, twój fiut głęboko w mojej dupie tkwi i hemoroidy drażni mi. Mam cię — uaa — pod sobą.*

Wycieczkowicze wyli. Lenny seplenił jeszcze bardziej:

*Rznię cię w łańcuchach, a ty do gwiazd dolecieć pozwól mi. Głęboko tak mój fiut w twej dupie tkwi...*

Frajerzy rżeli i wyli. Wszedł Peter Lawford i dołączył do akcji — włazidupek nr 1 Franka Sinatry.

Perkusista zagrał wstawkę. Lenny głąskał mikrofon trzymany w okolicy kroczka.

— Cudowni jesteście, uwielbiam was!

Publiczność szalała.

— Chcę, żebyście wiedzieli, że uganianie się za kobietami i uwodzenie pańienek to tylko zasłona dymna mojej nieposkromionej żądz do was, mężczyzn z krwi i kości; wy boskie *braciolas* z olbrzymimi *manicotti*, nie mogę się doczekać, by je przyprawić, otoczyć w panierce i umieścić głęboko w moim *tetrazini*!

Lawford był zgrzany jak po biegu. Wszyscy naokoło wiedzieli, że dałby się zabić, żeby wleźć w dupę Sinatrze. Wycieczkowicze ryczeli. Jacyś kłowni machali ich flagą.

— Kocham was, kocham was, kocham! Nie mogę się doczekać, kiedy w damskim przebraniu zaproszę was wszystkich na pidżama-party Szczurzej Paczki.

Lawford popędził w stronę sceny. Pete podstawił mu nogę. Zobaczyć upadek włazidupka — piękna to chwila.

Frank Sinatra pchał się do sali. Wycieczkowicze powariowali.

Sam G, zatrzymał go. I zaczął szeptać mu coś — miło, łagodnie i STANOWCZO.

Pete kapnął się, o co chodzi. Lenny jest w mafii. Lenny nie jest facetem, którego wystawia się na pośmiewisko. Sam uśmiechał się. Bo Samowi spodobał się show Lenny'ego.

Sinatra obrócił się na pięcie. Otoczyli go włazidupki.

Lenny wysepleniał:

— Frankie, wracaj! Peter, wstań z podłogi, boski prostaczk!

Lenny Sands był uroczym gnojkiem.

\*

Zostawił głównemu krupierowi od black jacka kartkę dla Sandsa. Lenny pokazał się w kawiarni punktualnie co do minuty.

— Dzięki, że przyszedłeś — odezwał się Pete.

Lenny usiadł.

— Twoja notka wspominała o pieniądzach. To zawsze przykuwa moją uwagę.

Kelnerka przyniosła kawę. Zadzwoniły też akurat gongi najwyższej stawki — przy wszystkich stolikach znajdowały się małe automaty do gry.

— Zarekomendował cię Kemper Boyd. Powiedział, że idealnie się nadajesz.

— Pracujesz dla niego?

— Nie. To tylko znajomy. Lenny potarł bliznę nad ustami.

— Na czym dokładnie polega ta praca?

— Będziesz dziennikarzem w *Cicho sza!*. Będziesz szukał skandalicznych historyjek i karmił nimi dziennikarzy.

— Więc będę kapusiem.

— W pewnym sensie. Będziesz węszył w L.A., Chicago i Newadzie i zdawał raport.

— Za ile?

— Patol miesięcznie, gotówką.

— Chodzi ci o skandale z życia gwiazd filmowych. Zależy ci na ludziach z rozrywki.

— Zgadza się. I na liberalnych politykach.

Lenny dołał sobie śmietanki do kawy.

— Z nimi nie mam nic wspólnego, nie licząc Kennedych. Bez Bobby'ego mogę się obejść, ale Jacka lubię.

— Ostro obszedłeś się z Sinatrą. A to przecież kumpel Jacka, prawda?

— Nagania Jackowi panienki i podlizuje się całej rodzinie. Peter Lawford ożenił się z jedną z siostr Jacka i jest lizydupą Franka. Jack uważa, że z Franka można się pośmiać i to wszystko, a ty tego ode mnie w ogóle nie słyszałeś.

Pete sączył kawę.

— Powiedz coś więcej.

— Nie, ty pytaj.

— Okej. Jestem na Sunset Street i chcę się przespać z jakąś aktoreczką. Co mam zrobić?



- Spotykasz się z Melem, parkingowym w Dino's Lodge. Za dychę daje ci adres dziupli w Havenhurst i Fountain.
  - Założmy, że chcę czarnulkę?
  - Idziesz do drive-in na rogu Washington i La Brea i rozmawiasz z kolorowymi kelnerkami.
  - Założmy, że chcę chłopaka?
- Lenny wzdrygnął się.
- Pete powiedział:
- Wiem, że nie cierpisz pedałów, ale odpowiedz.
  - Cholera, nie... poczekaj... portier w Largo ma męskie prostytutki.
  - Dobrze. A o co chodzi w seksualnym życiu Mickeya Cohena?
- Lenny uśmiechnął się.
- Łatwizna. Tak naprawdę nie dupczy panienek, ale lubi pokazywać się z pięknymi kobietami. Jego obecna niby-dziewczyna nazywa się Sandy Hashhagen. Czasami spotyka się z Candy Barr albo Liz Renay.
  - Kto załatwił Tony'ego Trombino i Tony'ego Brancate?
  - Albo Jimmy Frattiano, albo glina o nazwisku Dave Klein.
  - Kto ma najdłuższego kutasa w Hollywood?
  - Steve Cochran albo John Ireland.
  - Co sprawia frajdę Spade'owi Cooleyowi?
  - Amfetamina i bicie żony.
  - Z kim zdradzała Sinatrę Ava Gardner?
  - Z każdym.
  - Do kogo zgłosić się w sprawie szybkiej aborcji?
  - Do Freddy'ego Otasha.
  - Jayne Mansfield?
  - Nimfomanka.
  - Dick Contino?
  - Znany mineciarcz.
  - Gail Russell?
  - Zapija się na śmierć w melinie w zachodnim L.A.
  - Lex Barker?
  - Pies na suki ze skłonnością do lolitek.
  - Johnnie Ray?
  - Homo.
  - Art Pepper?
  - Ćpun.
  - Lizabeth Scott?
  - Lesba.

- Billy Eckstine?
- Dziwkarz.
- Tom Neal?
- Dogorywa w Palm Springs.
- Anita O'Day?
- Narkomanka.
- Cary Grant?
- Homo.
- Randolph Scott?
- Homo.
- Senator William F. Knowland?
- Pijak.
- Chief Parker?
- Pijak.
- Bing Crosby?
- Pijak i damski bokser.
- Sierżant John O'Grady?
- Facet z Wydziału Policji Los Angeles sprzedający dragi muzykom jazzo-  
wym.
- Desi Arnaz?
- Dziwkarz.
- Scott Brandy?
- Maszyna.
- Grace Kelly?
- Zimna dupa. Kiedyś ją przeleciałem prawie odmroziłem sobie fiuta.  
Pete zaśmiał się.
- Ja?
- Lenny wyszczerzył zęby.
- Król szantażu. Alfons. Morderca. A gdybyś nie wiedział, to jestem za  
mądry, żeby z tobą zadzierać.
- Pete rzekł:
- Masz tę pracę.
- Uścisnęli sobie ręce.
- W drzwiach pojawił się Szalony Sal D, wymachując dwiema filizankami, z  
których sypały się pięciocentówki.

(Waszyngton D.C., 20 stycznia 1959)

Ludzie z United Parcel zostawili trzy duże paczki. Kemper wniósł je do kuchni i otworzył. Bondurant opakował je w ceratę. Bondurant rozumiał, co znaczy „dobry towar”.

Bondurant przysłał mu dwa półautomaty, dwa ręczne granaty i dziewięć automatycznych czterdziestek piątek z tłumikami. I dołączył zwięzy, niepodpisany liścik: „Teraz ruch twój i Stantona”.

Automaty miały naładowane bębenki i instrukcję obsługi. Czterdziestka piątka idealnie pasowała mu do ręki. Kemper przypiął sobie jedną i pojechał na lotnisko. Złapał wahadłowy lot do Nowego Jorku o 13.00 i miał w zapasie trochę wolnego czasu.

Na Piątej Alei 881 wznosiła się forteca w stylu Tudorów. Kemper schylony minął portiera i nacisnął na domofonie „L. Hughes”. Odezwał się kobiecy głos.

— Druga winda po lewej. Zakupy można zostawić w hallu.

Wjechał windą na dwunaste piętro. Drzwi otwierały się prosto do hallu mieszkania, który miał rozmiary jego salonu. Kobieta od norek, ubrana w kraciasty szlafrok i klapki, opierała się o grecką kolumnę naturalnej wielkości. Miała związane włosy. Właśnie zaczynała się uśmiechać.

— Pamiętam pana z przyjęcia u Kennedych. Jack mówił, że jest pan jednym z policjantów Bobby'ego.

— Nazywam się Kemper Boyd, panno Hughes.

— Z Lexington w Kentucky?

— Blisko. Nashville, Tennessee.

Skrzyżowała ramiona.

— Usłyszał pan, jak podawałam taksówkarzowi adres, opisał mnie pan portierowi. On powiedział panu, jak się nazywam, i pan zadzwonił.

— Blisko.

— Widział pan, jak oddałam tę wulgarną diamentową broszkę. Każdy mężczyzna ubrany tak elegancko jak pan doceniłby taki gest.

— Tylko dobrze traktowana kobieta mogłaby się zdobyć na taki gest.

Pokręciła głową.

— To niezbyt wnikliwa uwaga.

Kemper podszedł blisko niej.

— To spróbujmy innej. Zrobiła to pani, bo wiedziała, że ma publiczność. To w stylu Kennedych i nie krytykuję pani za to.

Laura skubała szlafrok.

— Niech, pan nie robi się wobec nich arogancki. Niech pan nawet w ten sposób o nich nie mówi, bo w najmniej oczekiwanym momencie zwał pana z nóg.

— Widziała to pani?

— Tak.

— Czy to zdarzyło się pani?

— Nie.

— Bo nie można wyrzucić tego, czego się nie przyjęło?

Laura wyciągnęła papierośnicę.

— Zaczęłam palić, ponieważ paliła większość moich siostr. Miały takie papierośnice, więc pan Kennedy też mi taką dał.

— Pan Kennedy?

— Albo Joe. Albo wujek Joe.

Kemper uśmiechnął się.

— Mój ojciec załamał się i popełnił samobójstwo. W spadku zostawił mi dziewięćdziesiąt jeden dolarów i spluwę, którą się załatwił.

— Wujek Joe zostawi mi dużo więcej.

— To jaka jest aktualna pani pensja?

— Sto tysięcy dolarów rocznie plus wydatki.

— Czy urządziła pani to mieszkanie tak, żeby przypominało apartament Kennedych w Carlyle?

— Tak.

— Jest piękne. Czasem myślę, że mógłbym całe życie mieszkać w takich apartamentach.

Odsunęła się od niego. Odwróciła się na pięcie i znikła w hallu wielkości sali w muzeum.

Kemper czekał pięć minut. Mieszkanie było wielkie i ciche — nie mógł się zorientować w swoim położeniu. Poszedł w prawo i zgubił się. Trzy korytarze wiodły do tej samej spiżarni; krążył między czterema wejściami do jadalni, doszedł do skrzyżowania korytarza- biblioteki, *skrzydeł*...

Uliczny zgłęb postawił go na nogi. Usłyszał odgłos kroków na tarasie za fortepianem. Poszedł tam. Na tarasie zmieściłyby się co najmniej dwie jego kuchnie.

Laura opierała się o barierkę. Wietrzyk rozwiewał jej szlafrok.

Spytała:

— Czy Jack panu powiedział?

— Nie. Sam się domyśliłem.

— Kłamie pan. Wiedzą tylko Kennedy i jeden z moich przyjaciół w Chicago. Czy to pan Hoover panu powiedział? Bobby twierdzi, że on nie wie, ale nigdy mu nie wierzyłam.

Kemper pokręcił głową.

— Pan Hoover nie wie. Lenny Sands powiedział człowiekowi z FBI, który jest moim przyjacielem.

Laura zapaliła papierosa. Kemper osłonił dłonią zapalkę.

— Nigdy nie myślałam, że Lenny powie komukolwiek.

— Nie miał wielkiego wyboru. Jeśli to jakieś pociesze...

— Nie, nie chcę wiedzieć. Lenny zna złych ludzi, a źli ludzie robią rzeczy, o których nie chcę wiedzieć.

Kemper dotknął jej ramienia.

— Proszę nie mówić Lenny'emu, że mnie pani poznała.

— Czemu, panie Boyd?

— Bo ma niepokojąco dobre powiązania.

— Nie, nie rozumie pan. Pytam, czemu pan tu przyszedł?

— Widziałem panią na przyjęciu u Joe Kennedy'ego. Jestem pewien, że reszty pani się domyśla.

— To nie jest odpowiedź.

— Nie mógłbym spytać Jacka czy Bobby'ego o pani numer.

— Czemu nie?

— Żeby nie drażnić wujka Joe, a Bobby nie ufa mi całkowicie.

— Dlaczego?

— Bo mam niepokojąco dobre powiązania.

Laura zadrzała. Kemper okrył jej ramiona marynarką. Wskazała na jego kapturę.

— Bobby mówił, że ludzie McClellana nie noszą broni.

— Jestem po służbie.

— Myślał pan, że będę tak znudzona i leniwa, że wystarczy zadzwonić do drzwi, żeby mnie uwieść?

— Nie, myślałem, że najpierw zaproszę panią na obiad.

Laura zaśmiała się i zakaszła dymem.

— Czy Kemper to panieńskie nazwisko pańskiej matki?

— Tak.

— Żyje?

— Umarła w domu opieki w 1949.

— A co pan zrobił z tą spluwą, którą zostawił panu ojciec?

— Sprzedałem kumpłowi ze szkoły prawniczej.

— Nosi ją?

— Zginął w Iwo Jima.

Laura wrzuciła niedopałek do kubka po kawie.

- Znam tyle sierot.
- Ja też. Jest pani w pewnym sensie jedyna w...
- *Nie*. To nieprawda. Mówi pan to, żeby zarobić u mnie punkty
- Chyba nie.

Wsunęła ręce w jego marynarkę. Rękawy łopotwały na wietrze.

— Przekomarzanie się to jedno, panie Boyd, a prawda to drugie. Prawda jest taka, że mój tatuś-król-złodziei pieprzył moją mamusię-gwiazdę i zrobił jej dziecko. Moja mamusia-gwiazda już miała trzy aborcje i nie chciała ryzykować czwartej. Moja mamusia-gwiazda wyrzekła się mnie ale mój ojciec lubi raz w roku afiszować się mną przed swoją legalną rodziną. Chłopcy lubią mnie, bo jestem prowokująca, i myślą, że jestem świetna bo nie mogą mnie pieprzyć, ponieważ jestem ich przyrodnią siostrą. Dziewczyny mnie nienawidzą, bo jestem zaszyfowaną wiadomością od ich ojca że mężczyźni mogą się pieprzyć naokoło, a kobiety nie. Rozumie pan to panie Boyd? Mam rodzinę. Mój ojciec zapewnił mi szkoły z internatem i kilka college'ów. Mój ojciec utrzymuje mnie. Mój ojciec poinformował swoją rodzinę o moim istnieniu, kiedy Jack przyprowadził mnie do domu ze spotkania absolwentów Harvardu. Byłam nieświadomym pionkiem w dość podłej grze w którą weszłam, żeby zaznaczyć swoją obecność w rodzicie. Proszę sobie wyobrazić zdziwienie Jacka, kiedy ojciec powiedział: „Jack nie możesz się z nią pieprzyć, jest twoją przyrodnią siostrą”. Młodszy Bobby mający wtedy dwudziestkę i skłonności do kalwinizmu, usłyszał tę rozmowę i rozgłosił nowinę. Ojciec zorientował się, o cholera, już wiadomo, i zaprosił mnie żebym została na obiad. Dla pani Kennedy było to dość bolesne przeżycie. Nasz „niepokojąco dobrze powiązany” przyjaciel Lenny Sands uczył wtedy Jacka wymowy przed jego pierwszą kampanią wyborczą do kongresu i też był na obiedzie. Powstrzymał Rose od zrobienia sceny i odtąd dzieliliśmy tę tajemnicę. *Mam rodzinę*, panie Boyd. Mój ojciec jest zachłannym i bezlitosnym diabłem, który zniszczy każdego, kto źle spojrzy na te dzieci do których się przyznaje. Nienawidzę w nim wszystkiego oprócz pieniędzy które mi daje, i faktu, że prawdopodobnie unicestwiłby każdego kto chciałby mi zrobić krzywdę.

Słychać było długie i ostre dźwięki klaksonów. Laura wskazała na rząd taksówek.

— Czują tu jak sępy. Zawsze najbardziej hałasują, kiedy gram Rachmaninowa.

Kemper wyjął broń. Wycelował w szyld: „Postój tylko dla taksówek”. Oparł ramię o barierkę i strzelił. Dwa strzały zmiotły szyld ze słupka. Tłumik pyknął lekko — Pete był dobrym dostawcą.

Laura zakrztusiła się. Taksówkarze wyrażali im, przestraszeni i zdziwieni. Kemper powiedział: — Podobają mi się twoje włosy. Laura rozwiązała je. Zatańczyły na wietrze.

## Rozmawiali.

On opowiedział jej, jak znikła fortuna Boydów. Ona opowiedziała mu, jak wyleciała z Juilliard i nie udało jej się zostać osobą z towarzystwa. Powiedziała, że jest muzyczną dyletantką. On — że jest ambitnym gliną. Nagrała na własny koszt Szopena. A on wysyłał gwiazdkowe pocztówki złodziejom samochodów, których aresztował.

On powiedział, że uwielbia Jacka, ale nie znosi Bobby'ego. Ona nazwała Bobby'ego starym Beethovenem, a Jacka wygadany Mozartem. Powiedziała, że Lenny Sands jest jej jedynym prawdziwym przyjacielem, i nie wspomniała o jego zdradzie. On wyznał, że dzieli wszystkie sekrety ze swoją córką Claire.

Automatycznie włączył się adwokat diabła. Dokładnie wiedział, co powiedzieć, a co pominąć. Nazwał pana Hoovera mściwą starą ciotą. Sportretował siebie jako liberalnego pragmatyka podczepionego do gwiazdy Kennedych.

Ona wróciła do tematu sieroctwa. On opisał przyjaźń trzech córek. Susan Littell była piskliwa i szybko wydawała opinie. Helen Agee była odważna i impulsywna. Ze swoją Claire był zbyt blisko, żeby móc cokolwiek powiedzieć.

Opowiedział jej o swojej przyjaźni z Wardem. Powiedział, że zawsze chciał mieć młodszego brata — i Biuro mu takiego dało. Powiedział, że Ward uwielbia Bobby'ego. Ona na to, że Bobby wyczuł, iż wujek Joe jest złym człowiekiem, i ściga gangsterów, żeby odkupić grzechy ojca.

Wspomniał o bracie, którego stracił. Powiedział, że ta strata przyczyniła się do jego dziwnego stosunku do Warda.

Rozmawiali do upadłego. Laura zadzwoniła w końcu do obsługi i przysłano im kolację. Chateaubriand i wino, które upiło ją.

Nie mówili o tym.

Nie dziś — następnym razem.

## Laura zasnęła. Kemper chodził po mieszkaniu.

Po dwóch rundach nauczył się rozkładu. Laura mówiła, że służąca potrzebuje mapy. W jadalni mogła się stołować mała armia.

Zadzwonił do Wydziału Operacyjnego Agencji w Miami. John Stanton odebrał natychmiast.

- Tak?
  - Mówi Kemper Boyd. Dzwonię, bo chcę przyjąć waszą ofertę.
  - Bardzo mnie to cieszy. Będę w kontakcie, panie Boyd. Mamy sporo do omówienia.
  - W takim razie dobranoc.
  - Dobranoc.
- Kemper wrócił do salonu. Nie zasunął zasłon balkonowych — drapacze chmur za parkiem oświetlały Laureę.
- Patrzył, jak śpi.

## 21

(Chicago, 22 stycznia 1959)

Zapaszowe klucze z dziupli Lenny'ego przydały się do otwarcia drzwi. Littell uszkodził futrynę, tak żeby wyglądało to na włamanie. Ułamał przy tym ostrze scyzoryka. Nerwy sprawiały, że ciął zbyt mocno.

Próbne włamanie nauczyło go rozkładu mieszkania. Wiedział, gdzie wszystko jest.

Littell zamknął drzwi i poszedł prosto do torby golfowej. 14 000 \$ wciąż tkwiło w kieszonce na piłki

Założył rękawiczki. Siedem minut poświęcił na upozorowanie drobnej kradzieży. Odłączył stereo. Opróżnił szuflady i splądrował apteczkę. Zostawił telewizor, opiekacz i torbę golfową koło drzwi. Wyglądało to na klasyczny włam do épuińskiej meliny. Butch Montrose nie będzie niczego podejrzewał.

Kemper Boyd zawsze mówił: **CHROŃ SWOICH INFORMATORÓW.**

Schował pieniądze do kieszeni. Zaniósł łup do samochodu, zawiązał nad jeziorem i wyrzucił do brudnej wody.

Littell wrócił do domu późno. Helen spała po jego stronie łóżka. Jej część była zimna. Sen nie przychodził — przypominał sobie włamanie, żeby wychwytać błędy.

Usnął nad ranem. Śniło mu się, że dławi się sztucznym członkiem.



Obudził się późno. Helen zostawiła liścik.

*Szkoła wzywa. O której wróciłeś? Jak na (skonsternowanego) liberała z FBI, to gorliwy z Ciebie pogromca komunistów. Co komuniści robią o północy?*

*Buziaki, H.*

Littell wmusił w siebie kawę i grzanekę. Napisał list na zwykłym papierze.

*Panie D'Onofrio,*

*Sam Giancana podpisał na pana wyrok. Zostanie Pan zamordowany, jeśli nie spłaci pan 12 000 \$, które jest mu Pan winien. Mam propozycję, jak tego uniknąć. Spotkajmy się o 16.00 w Kollege Klub na Pięćdziesiątej Ósmej 1281 w Hyde Park.*

Littell włożył kartkę do koperty i dołączył pięćset dolarów. Lenny mówił, że wycieczka się skończyła — Sal powinien być już w domu.

Kemper Boyd zawsze mówił: PRZEKUP SWOJEGO INFORMATORA.

Littell zadzwonił do serwisu kurierskiego Speedy-King. Dyspozytor powiedział, że zaraz kogoś wyśle.

Szalony Sal był punktualny. Littell odsunął swoją wódkę i piwo. Mieli cały rząd stolików dla siebie. Studenciaki przy barze nie usłyszą ich. Sal usiadł naprzeciwko. Wałki tłuszczu wypychały mu koszulę nad paskiem. Powiedział:

— Co jest?

Littell wyciągnął broń i przycisnął mu do kolan. Krył go stół.

— Najpierw, co zrobiłeś z tymi pięcioma setkami?

Sal złapał się za nos.

— Postawiłem na Blackhawks przeciw Kanadyjczykom. O dziesiątej wieczorem te pięć setek będzie tysiącem.

— Jesteś winien Giancanie jeszcze jedenaście.

— Skąd ty to, kurwa, wiesz?

— Z wiarygodnego źródła.

— Masz na myśli jakichś kurewskich federalnych kapusiów. Jesteś fe-dziem, co? Za słodko wyglądasz, żeby być kim innym, a gdybyś był lokalnym gliną albo Szeryfem Hrabstwa Cook, już bym cię kupił i pieprzyłbym twoją żonę, i rznął w dupę twoich zasmarkanych synków, gdy ty gnąłbyś w pracy.

— Jesteś winien Giancanie dwanaście tysięcy, których nie masz. Ma zamiar cię zabić.

— Powiedz coś, o czym nie wiem.

— Zabiłeś kolorowego chłopaka o nazwisku Maurice Theodore Wilkins.

— To oskarżenie już jest nieświeże. To jakiś pieprzony kawalek, który wyjął z akt.

— Mam naocznego świadka.

Sal grzebał w uchu spinaczem.

— Masz gówna. Fedzie nie zajmują się zabójstwami czarnuchów. Ja słyszałem, że chłopaka załatwił jakiś obcy, co się zaczął na skok w probostwie, w piwnicy. Zdybał go tam, odczekał, kiedy klechy ruszą na dziwy, a potem zmusił chłopca, żeby zrobił mu minetę i pocałował go piłą łańcuchową. Było podobno dużo krwi, ale koleś poradził sobie z plamami za pomocą wina mszalnego.

Kemper Boyd zawsze mówił: NIGDY NIE OKAZUJ STRACHU ANI WSTRĘTU.

Littell położył na stole tysiąc dolarów.

— Jestem gotów spłacić twój dług. W dwóch albo trzech ratach, żeby Giancana niczego nie podejrzewał.

Sal zagarnął pieniądze.

— Wezmę je czy nie wezmę, to Mo i tak może mnie stuknąć, bo zazdrości mi wyglądu.

Littell wycelował broń.

— Odłóż pieniądze.

Sal zrobił to.

— Co dalej?

— Jesteś zainteresowany?

— A jeśli nie jestem?

— To Giancana cię załatwi. Rozpowiem, że to ty zabiłeś Tony'ego Iannon-e'a. Słyszałeś plotki — Tony'ego załatwiono przed gejowską knajpą. Sal, jesteś jak otwarta książka. Jezu, „mineta” i „rznąć w dupę”. To słownictwo zostało ci chyba z Joliet.

Sal chciwie zerkał na pieniądze. Śmierdział petami, potem i balsamem Aqua Velva.

— Jesteś lichwiarzem, Sal. To, o co poproszę, nie jest ci całkiem obce.

— N-n-no?

— Chcę dostać się do Funduszu Emerytalnego Teamsters. Chcę, żebyś pomógł mi popchnąć kogoś w górę ich drabiny. Znajdę typa z rodowodem,

szukającego kredytu, a ty pomożesz mi ustawić go z Samem i Funduszem. To takie proste. I na nikogo nie musisz kapować.

Sal przyglądał się pieniądzom. Pocił się. Littell dorzucił do kupki trzy tysiące. W końcu Sal powiedział:

- Okej.

Littell odrzekł: — Zabierz to i daj Giancanie. Nie baw się w hazard.

Sal pokazał mu środkowy palec.

— Daruj sobie ten wykład. I pamiętaj, że rznąłem twoją matkę, więc jestem twoim tatusiem.

Littell wstał i okręcił rewolwer. Szalony Sal dostał lufą w zęby.

Kemper Boyd zawsze mówił: ZASTRASZAJ SWOICH INFORMATORÓW.

Sal wypluł krew i złote plomby. Kilku smarkaczy przy barze przyglądało im się wybałuszonymi oczami. Littell zmroził ich wzrokiem.

## 22

(Miami, 4 lutego 1959)

Łódź spóźniała się. Amerykańscy celnicy tłoczyli się w porcie. Służba zdrowia rozbiła namiot na parkingu nieco dalej. Uchodźcy będą prześwietlani i poddani analizie krwi. Zakażeni zostaną skierowani do szpitala stanowego koło Pensacola.

Stanton sprawdził wykaz pasażerów. — Jeden z naszych wyspiarskich informatorów przekazał nam listę. Wszyscy deportowani to mężczyźni.

Fale uderzały o filary pomostu. Guy Banister pstryknął w wodę niedopałkiem papierosa.

— Co oznacza, że są kryminalistami. Castro pozbywa się zwykłych szumowin pod przykrywką „politycznej niezgodności”.

Budki przeznaczone do odprawy ciągnęły się wzdłuż nabrzeża. Funkcjonariusze Straży Granicznej U.S. przycupnęły za nimi. Dostali rozkaz: w razie kłopotów strzelać i zabijać.

Kemper stał tuż nad wodą. Fale rozbijały się o pomost i opryskiwały mu spodnie. Jego zadaniem było przesłuchanie Teofilio Paeza, byłego szefa ochrony United Fruit Company.

Dokumenty CIA tak definiowały UFC:

*Największa, najstarsza i przynosząca największe zyski amerykańska korporacja na Kubie. Największa na wyspie firma zatrudniająca niewykwalifikowanych i słabo wykwalifikowanych pracowników Cuban National. Dawny bastion kubańskiego antykomunizmu. Doradcy do spraw bezpieczeństwa Cuban National, pracujący dla kompanii, od dawna są bardzo skuteczni w rekrutowaniu antykomunistycznej młodzieży do infiltracji lewicowych grup pracowników i kubańskich instytucji edukacyjnych.*

Banister i Stanton obserwowali horyzont. Kemper wystawił się na podmuch wiatru i pozwolił rozwiewać sobie włosy. Od dziesięciu dni był agentem kontraktowym — dwie rozmowy w Langley, teraz to. Od dziesięciu dni był z Laurą — wahadłowe połączenie z La Guardia ułatwiało spotkania.

Związek z Laurą wydawał mu się słuszny. Szalała, kiedy jej dotykał. Mówiła cudowne rzeczy i grała Szopena *con brio*. Laura była z Kennedych. I z wielką werwą snuła opowieści o Kennedych.

Ukrywał je przed panem Hooverem. Była to prawie lojalność. Było to niemal wzruszające — i Hoover pewnie jakoś by się na to zgodził.

Potrzebował pana Hoovera. Wciąż zdawał mu telefoniczne raporty, ale ograniczał ich treść do wieści na temat Komisji McClellana. Wynajął apartament w hotelu St.Regis, niedaleko od mieszkania Laury. Miesięczny czynsz był zabójczy. Czuł we krwi Manhattan. Jego zsumowane pobory dawały pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rocznie — nigdy nie był bliżej prowadzenia życia, którego pragnął.

Bobby dawał mu nudną papierkową robotę dla Komisji. Jack sugerował, że jego rodzina może mieć dla niego pracę po uporaniu się z komunistami. Najbardziej prawdopodobnym stanowiskiem byłby szef do spraw bezpieczeństwa podczas kampanii. Jack lubił mieć go w pobliżu. Bobby wciąż mu nie ufał.

Bobby nie był tak otwarty i Ward Littell też o tym wiedział.

Rozmawiał z Wardem dwa razy w tygodniu. Ward zachwalał swojego nowego kapusia — bukmachera i króla lichwy o nazwisku Sal D'Onofrio. Ward Ostrożny przyznał, że zastraszył Szalonego Sala. Ward Wkurzony oznajmił, że Lenny Sands pracuje teraz dla Pete'a Bonduranta. Ward Wkurzony wiedział, że *to jego sprawka*.

Ward przysyłał mu raporty ze śledztwa. Kemper usuwał z nich elementy sprzeczne z prawem i przysyłał Bobby'emu Kennedy'emu. Bobby znał Littella tylko jako „Widmo”. Bobby modlił się za niego i dziwił się jego odwadze. Na szczęście odwaga ta była doprawiona ostrożnością. Na szczęście chłopak w kostnicy nauczył Warda paru rzeczy. Ward umiał się adaptować i chętnie słuchał.

Ward był kolejną sierotą — wychowaną w domach prowadzonych przez jezuitów. Ward miał instynkt. I wierzył, że istnieje „podwójna” księgowość Funduszu Emerytalnego.

Lenny Sands uważał, że księgami zarządzała starszyzna mafii. Słyszał, że gotówkę wypłacano ze zwrotów pożyczek, co dawało duże zyski. Littell mógł wysledzić *duże* pieniądze. To w zasadzie dałoby się ukryć przed Bobbym. Tak też robił: z raportów „Widma” wycinał każdą wzmiankę o Funduszu.

Littell był podatny na wpływy jak neofita. Wielkie Pytanie brzmiało: czy jego tajną robotę będzie można ukryć przed panem Hooverem?

Na wodzie pojawił się podskakujący ciemny punkt. Banister trzymał lornetkę.

— Nie wyglądają zbyt ciekawie. Na rufie łodzi grają w kości na pieniądze.

Do doku weszli celnicy. Mieli rewolwery, pałki i kajdanki. Stanton pokazał Kemperowi fotografię. — To jest Paez. Weźmiemy go od razu, tak żeby nie zgarnęli go celnicy.

Paez był wyjątkowo chudy. Banister powiedział:

— Widzę go. Stoi z przodu, pocięty i posiniaczony.

Stanton skrzywił się.

— Castro nienawidzi United Fruit. Nasza sekcja propagandy natknęła się na rozprawę na ich temat, jaką napisał dziewięć miesięcy temu. To była wczesna wskazówka, że zostanie komunistą.

Spienione fale przepchnęły barkę bliżej. Mężczyźni kopali się i przepychali, żeby jak najprędzej wysiąść. Kemper odbezpieczył broń.

— Gdzie ich odstawiamy?

Banister wskazał na północ.

— Agencja ma motel w Boynton Beach. Wymyślili historyjkę o dezynfekcji i wysiedlili wszystkich lokatorów. Zapakujemy ich po sześciu do pokoju i zobaczymy, kogo możemy wykorzystać.

Uchodźcy krzyczeli i wymachiwali małymi chorągiewkami. Teo Paez był gotów do biegu.

Szef celników krzyknął: — Na miejsca!

Łódź przybiła. Paez zeskoczył. Kemper i Stanton pochwycili go i uściskali. Wzięli go pod ręce i ruszyli biegiem. Banister osłaniał ich krzycząc:

— CIA! To nasz człowiek!

Strażnicy oddali strzały ostrzegawcze. Uchodźcy uchylili się i schowali. Celnicy chwycili barkę i przywiązali ją do brzegu.

Kemper poganiał Paeza przez tłum. Stanton pobiegł przodem i otworzył drzwi baraku odpraw.

Ktoś krzyknął: — W łodzi jest trup!

Wprowadzili swojego podopiecznego do środka. Banister zamknął drzwi. Paez upadł na podłogę i zaczął ją całować. Z kieszeni wypadły mu cygara. Banister podniósł jedno i powąchał je.

Stanton złapał oddech.

— Witamy w Ameryce, Paez. Słyszeliśmy o tobie wiele dobrego i bardzo cieszymy się, że jesteś tutaj.

Kemper otworzył okno. Niesiono tamte zwłoki — od stóp do głów posiekane nożami. Celnicy ustawiali emigrantów w kolejce — w sumie z pięćdziesięciu mężczyzn.

Banister postawił magnetofon na stole. Stanton spytał:

— Umarł wam ktoś na pokładzie?

Paez rozparł się na krześle.

— Nie. To była egzekucja polityczna. Domyślaliśmy się, że ten człowiek jest deportowany, żeby działać jako szpieg antyamerykański. Pod przymusem wyznał, że to prawda. Zachowaliśmy się właściwie.

Kemper usiadł.

— Świetnie mówisz po angielsku, Teo.

— Mówię wolno i zbyt formalnie, takiego języka sam się z trudem nauczyłem. Rdzenni Amerykanie mówią mi czasem, że zdarza mi się zabawnie przekręcać słowa.

Stanton przysunął sobie krzesło.

— Czy moglibyśmy teraz porozmawiać? Przygotowaliśmy ci ładne mieszkanie i pan Boyd za chwilę cię tam zawiezie.

Paez skłonił się.

— Jestem do waszej dyspozycji.

— Znakomicie. Nazywam się John Stanton. To są moi współpracownicy: Kemper Boyd i Guy Banister.

Paez uściśnął wszystkim dłonie. Banister schował do kieszeni resztę cygar i włączył magnetofon.

— Czy życzysz sobie czegoś, nim zaczniemy?

— Nie. Chciałbym, żeby moim pierwszym amerykańskim posiłkiem była kanapka w Wolfie's Delicatessen w Miami Beach.

Kemper uśmiechnął się. Banister wybuchnął śmiechem. Stanton spytał:

— Teo, czy Fidel Castro jest komunistą?

Paez skinął głową.

— Tak. Bez wątplenia tak. Jest komunistą w myśli i czynach. Moja dawna siatka studentów informatorów doniosła, że ostatnio w Hawanie późną nocą często lądowały samoloty wiozące rosyjskich dyplomatów. Mój przyjaciel

Wilfredo Olmos Delsol, który płynął ze mną łodzią, zapamiętał numery lotów.

Banister zapalił papierosa.

— Che Guevara od dawna jest czerwony.

— Tak. I brat Fidela, Raúl, też jest komunistyczną świnią. Co więcej, jest hipokrytą. Mój przyjaciel Tomás Obregón mówi, że Raúl sprzedaje skonfiskowaną heroinę bogatym narkomanom, głosząc w tym samym czasie komunistyczne slogany.

Kemper sprawdził listę pasażerów.

— Tomás Obregón płynął z tobą.

— Tak.

— Skąd ma informacje o kubańskim handlu narkotykami?

— Ponieważ, panie Boyd, sam był zamieszany w handel heroiną. Widzicie, moi współpasażerowie są w większości kryminalnymi szumowinami. Fidel chciał się ich pozbyć i wysłał ich do Ameryki z nadzieją, że będą uprawiać swoje zawody na waszym wybrzeżu. Nie zdawał sobie sprawy, że komunizm jest większym przestępstwem niż handel dragami, kradzież czy morderstwo, i nawet kryminaliści mogą czuć patriotyczny zapal reformowania ojczyzny.

Stanton kołysał się na krześle.

— Słyszeliśmy, że Castro przejął mafijne hotele i kasyna.

— To prawda. Fidel nazywa to „nacionalizacją”. Ukradł mafii kasyna i miliony dolarów. Tomás Obregón powiedział mi, że ten znany amerykański gangster Santo Trafficante jest obecnie w areszcie w Nacional Hotel.

Banister westchnął.

— Ten skurczybyk Castro sam pcha się na śmierć. Wpieprza się i do Stanów, i do mafii.

— Nie ma mafii, Guy. Przynajmniej pan Hoover zawsze tak twierdził.

— Kemper, nawet Bóg może się pomylić.

Wtedy odezwał się Stanton:

— Wystarczy. Teo, jaki status mają obywatele amerykańscy pozostający na terenie Kuby?

Paez podrapał się i przeciągnął.

— Fidel chce udawać człowieka. Hołubi wpływowych Amerykanów i pozwala im widzieć tylko to, co uważa za dobrą część rewolucji. Chce ich powoli wypuszczać do Ameryki, żeby naiwnie głosili komunistyczną propagandę. A w międzyczasie spalił wiele trzciny cukrowej na polach mojej ukochanej United Fruit, torturował i zabił wielu z moich studentów-informatorów pod pretekstem, że są szpiegami „*imperialisto y fascista*” La United.

Stanton spojrzął na zegarek.

— Guy, zabierz Teo na badania. Teo, idź z panem Banisterem. Pan Boyd za chwilę zawiezie cię do Miami.

Banister wyprowadził Teo. Kemper patrzył, jak idą do namiotu z rentgenem. Stanton zamknął drzwi.

— Kemper, zrób coś z tym ciałem. Ja pogadam z personelem, który to widział. I nie rozpowiadaj o gniazdku Guya, może się wkurzyć.

— Słyszałem. Plotki głoszą, że przez dziesięć minut był asystentem inspektora w policji nowoorleańskiej, po czym się upił i zaczął strzelać w zatłoczonej restauracji.

Stanton uśmiechnął się.

— A inne plotki głoszą, że ty w swoim czasie łapałeś dziennie kilka trefnych korwet.

— Tu mnie masz. Nawiasem mówiąc, co sądzisz o pukawkach sprezentowanych przez Pete'a Bonduranta?

— Byłem pod wrażeniem. Myślmy o złożeniu Pete'owi oferty, poruszę to następnym razem, kiedy będę rozmawiał z zastępcą dyrektora.

Kemper dodał: — Pete to przydatny człowiek. Umie utrzymywać porządek wśród awanturników.

— To prawda. Jimmy Hoffa wykorzystał to z dobrym skutkiem w Taxi-Tygrys. Mów dalej, Kemper. Mogę się założyć, że coś wykombinowałeś.

Kemper wyłączył magnetofon.

— John, wkrótce dowiesz się, że znaczący procent tych mężczyzn to nieobliczalni psychopaci. Twój pomysł indoktrynacji i wyszkolenia ich jako potencjalnych partyzantów gotowych ruszyć przeciwko Castro może się nie powieść. Jeśli ulokujesz ich z osiadłymi rodzinami kubańskich imigrantów i znajdziesz im pracę, tak jak to sobie założyłeś, wkrótce zobaczysz, że wracają do swoich kryminalnych korzeni, niech tylko minie pierwsze wrażenie.

— Sugerujesz, że powinniśmy ich dokładniej prześwietlić.

— Nie, sugeruję, że ja powinienem to zrobić. Sugeruję, że powinniśmy przedłużyć okres zatrzymania w motelu Agencji, i to ja powinienem decydować, kogo ostatecznie rekrutujemy.

Stanton zaśmiał się.

— Mogę spytać, jakie masz do tego kwalifikacje?

Kemper wyliczał na palcach.

— Przez dziewięć lat pracowałem jako tajniak. Znam przestępców i lubię ich. Infiltrowałem gangi złodziei samochodów, aresztowałem ich członków i współpracowałem z Biurem Prokuratora w przygotowaniu ich spraw dla prokuratury. Wiem, że są wśród nich, tacy, co czują potrzebę podporządkowania się



władzom. John, zbliżyłem się tak bardzo do niektórych bandytów, że nalegali, żebym tylko ja ich przesłuchiwał — ja, agent, który ich zdradził i zaaresztował.

Stanton zagwizdał, co było do niego niepodobne.

— Czy sugerujesz rozszerzenie swoich obowiązków i pozostanie z tymi ludźmi jako szkoleniowiec? Wydaje mi się to niemożliwe, biorąc pod uwagę twoje inne obowiązki.

Kemper uderzył w stół.

— *Ależ nie.* Proponuję do tej pracy Pete'a Bonduranta. Chodzi mi o to, że trzon tej grupy, odpowiednio indoktrynowany i nadzorowany, może być bardzo efektywny. Założmy, że problem Castro stanie się bardziej dokuczliwy. Myślę, że nawet na tym wczesnym etapie bezpiecznie jest przyjąć, że Agencja powinna mieć dużą grupę deportowanych i legalnych imigrantów, z których może wybierać. Niech pierwsza kadra będzie elitarna. To *nasza* sprawa, John. Zróbmy to jak najlepiej.

Stanton pocierał podbródek.

— Pan Dulles gotów był ubiegać się o zielone karty dla nich wszystkich. Będzie zadowolony, że tak szybko dokonaliśmy selekcji. Nienawidzi prosić o przysługi Urzędu Imigracyjnego.

Kemper zabrał rękę ze stołu.

— Nie deportuj ludzi, których nie wybierzemy. Banister zna paru Kubańczyków w Nowym Orleanie, prawda?

— Tak. Mieszka tam spora grupa zwolenników Batisty.

— Więc dajmy Guyowi ludzi, których odrzucimy. Niech znajdą pracę albo nie i niech sami złożą wnioski o stałe wize w Luizjanie.

— Jak myślisz, ilu ludzi spełni twoje oczekiwania?

— Nie mam pojęcia.

Stanton wyglądał na zapalonego.

— Pan Dulles zaaprobował kupno taniej ziemi na Florydzie na nasz wstępny obóz szkoleniowy. Myślę, że zdołam go przekonać, żeby utrzymywać tam naszą stałą kadre, małą i zorganizowaną, jeśli uważasz, że ludzie, których wybierzemy, będą mogli szkolić przyszłych przybyszów, zanim roześlemy ich do innych obozów, które na pewno powstaną.

Kemper pokiwał głową.

— Jednym z kryteriów oceny przydatności będzie więc umiejętność szkolenia ludzi. Gdzie jest ta ziemia?

— Na wybrzeżu, niedaleko miasteczka Blessington.

— Czy łatwo tam dostać się z Miami?

— Tak. A dlaczego?

— Myślałem o postoju Taxi-Tygrys jako centrum rekrutacji.

Stanton wyglądał na podnieconego i przejętego.

— Odkładając na bok gangsterskie konotacje, myślę, że można skorzystać z Taxi-Tygrys. Chuck Rogers już tam pracuje, więc mamy wtyczkę.

Kemper rzekł: — John... — bardzo przeciągle. Stantona ogarnęła ekstaza.

— Odpowiedź na wszystkie twoje sugestie brzmi „tak”, jeśli załatwimy zgodę zastępcy dyrektora. Brawo, Kemper. „Spełniasz moje oczekiwania” to za mało powiedziane.

Kemper wstał i skłonił się.

— Dzięki. Myślę, że Castro popamięta dzień, w którym wysłał tę łódź.

— Oby Bóg cię wysłuchał. A tak à propos, jak myślisz, co twój przyjaciel Jack powiedziałby o naszej małej łodzi wolności?

Kemper zaśmiał się.

— Jack spytałby: „A gdzie kobiety?”.

**P**aez gadał bez ustanku. Kemper otworzył okno, żeby mieć chwilę wytchnienia. Dojechali do Miami w godzinie szczytu. Paez wciąż trajkotał. Kemper pukał w deskę rozdzielczą i próbował odtworzyć w myślach rozmowę ze Stantonem.

— ...a pan Thomas Gordean był moim *patron* w La United. Kochał dziwki, dopóki miłość do bourbona I.W. Harper nie pozbawiła go wszystkiego. Większość kadry kierowniczej w La United odeszła, kiedy Castro przejął władzę, ale pan Gordean pozostał. Teraz pije jeszcze więcej. Ma kilka tysięcy udziałów w akcjach United Fruit i nie chce wyjechać. Przekupił milicjantów, żeby byli jego prywatnymi ochroniarzami, i sam zaczyna odchyłać się na lewo. Bardzo się boję, że pan Gordean zostanie komunistą tak jak Fidel, którego kiedyś kochałem. Boję się, że stanie się propagandowym pionkiem przez swoją ekscentryczność i...

— Udziały w akcjach.

— Ten Thomas Gordean...

Nagły błysk prawie go oslepił. Kemper niemal zjechał z drogi.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.02.1959. Raport dziennikarza *Cicho sza!*:

Lenny Sands do Pete'a Bonduranta.

Pete,

Oto historyjka, którą znalazłem. Mickey Cohen poluje na brudy. Ma dwóch frajerów (George Piscatelli i Sam Lo Cigno) pracujących chyba w charakterze seksualnych szantażystów. Dowiedziałem się tego od Dicka Contino w Chicago na pewnym koncercie akordeonowym. Mickey wpadł na ten pomysł, kiedy

przeczytał listy miłosne Lany Tuner do Johnny'ego Stompanato po tym, jak córka Lany olała Johnny'ego. Johnny rznął bogate wdowy i kazał to sfilmować jakimś kamerzyscie bez roboty. Mickey ma parę superfilmów. Powiedz panu Hughesowi, że przyśle je za trzy kawalki.

Pozdrawiam, Lenny

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.02.1959. Raport dziennikarza *Cicho sza!*:

Lenny Sands do Pete'a Bonduranta.

Pete,

Byłem w trasie z wycieczką Sala D'Onofrio. Oto kilka obserwacji:

1. Wszystkie kelnerki na nocnej zmianie w Dunes Hotel w Vegas to dziwki. Obsługiwały ekipę Służb Specjalnych prezydenta Eisenhowera w czasie, kiedy Ike przemawiał do Legislatury Stanu Newada. 2. Rock Hudson ciupcia *maitre d'* w restauracji Cal-Neva. 3. Lenny Bruce jest uzależniony od morfiny. Ludzie szeryfa z L.A, mają się zasadzić na niego, gdy znowu pojawi się w centrum Las Vegas. 4. Freddy Otash załatwił Jayne Mansfield aborcję. Tatusiem był czarny pomywacz z półmetrowym fiutem. Peter Lawford ma zdjęcia gościa głaszczącego się po ptaku. Kupiłem jedno od Freddy'ego O. Prześlę ci, żebyś przekazał panu Hughesowi. 5. Bing Crosby jest na odwyku w katolickim ośrodku dla uzależnionych księży i zakonnic w Palms 29. Odwiedził go tam kardynał Spellman. Poszli na imprezę i ubzdryngoleni pojechali do LA. Spellman wjechał w samochód wypełniony Kubańczykami i wysłał trzech do szpitala. Bing przekupił ich zdjęciami z autografami i paroma setkami dolarów. Spellman wrócił do Nowego Jorku z delirium tremens. Bing został w L.A, wystarczająco długo, żeby pobić swoją żonę, a potem wrócić na odwyk.

Pozdrawiam, Lenny

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.03.1959. Prywatny list:

J.Edgar Hoover do Howarda Hughesa.

Drogi Howardzie,

Pomyślałem, żeby napisać parę słów o tym, jak, moim zdaniem, poprawiło się *Cicho sza!*, odkąd pan Bondurant zatrudnił nowego dziennikarza. Oto człowiek, który świetnie spisywałby się jako agent FBI! Tak czekam na szczegółowe raporty, które mi przysyłasz! Gdybyś chciał przyspieszyć ich dostarczenie, powiedz panu Bondurantowi, żeby skontaktował się z agentem specjalnym Rice'em w biurze Los Angeles. Wielkie dzięki za amatorski film Stompanato

i fotkę wyjątkowo obdarzonego przez naturę Murzyna. Strzeżonego Pan Bóg strzeże: musisz poznać wroga, zanim go pokonasz.

Wszystkiego dobrego, Edgar

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.03.1959. Prywatny list:

Kemper Boyd do J. Edgara Hoovera.

Oznaczenie: ŚCIŚLE POUFNE.

Sir,

W nawiązaniu do naszej ostatniej rozmowy przekazuję najistotniejsze informacje dotyczące rodziny Kennedych dostarczone przez Laurę (Swanson) Hughes.

Zacieśniając naszą przyjaźń, zdobyłem w pewnym stopniu zaufanie panny Hughes. Moje relacje z Kennedymi czynią mnie wiarygodnym, a panna Hughes była pod wrażeniem faktu, że nie zdradziłem się ze znajomością jej rodzinnego sekretu ani przed Kennedymi, ani przed nikim innym.

Panna Hughes uwielbia rozmawiać o rodzinie, ale o Johnie, Robercie, Edwardzie, Rose i siostrach wyraża się obojętnie. Jej wzburzenie wywołuje tylko Joseph, p. Kennedy-senior — wspomina o jego powiązaniach z bostońskim gangsterem Raymondem L. S. Patriarca i emerytowanym chicagowskim „falszerzem-finansistą” o nazwisku Jules Schiffrin. Przepada za opowieściami o rywalizacji z Howardem Hughesem. (Panna Hughes na osiemnaste urodziny przyjęła nazwisko „Hughes” zamiast proponowanego przez Kennedych i Swanson „Johnson”, aby w jakiś sposób zdenerwować swojego ojca, jednego z najbardziej zatwardziałych przeciwników Howarda Hughesa).

Panna Hughes uważa, że związki Josepha P. Kennedy'ego z gangsterami są znacznie poważniejsze, niż mogłoby to sugerować stwierdzenie, że „przemyczał wódkę”, rzucane prasie w związku z jego sukcesami w imporcie szkockiej whisky przed prohibicją. Nie zna nazwisk konkretnych współników mafijnych ani nie przypomina sobie spraw, których była świadkiem albo o których słyszała z drugiej ręki, niemniej jednak jej opinia, że Joseph P. Kennedy ma „mocne powiązania mafijne”, pozostaje niezachwiana.

Będę kontynuował znajomość z panną Hughes i dostarczał Panu wszystkich istotnych informacji dotyczących rodziny Kennedych.

Z poważaniem, Kemper Boyd

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.04.1959. Raport podsumowujący:  
agent specjalny Ward J. Littell do Kempera Boyda. „Zredagować i przekazać  
Robertowi F. Kennedy'emu.”

Drogi Kemperze,

Sprawy toczą się w Chicago w szybkim tempie. Kontynuuję szpiegowanie lokalnych komunistów (to moje zwykłe zadania z Biura), chociaż teraz sprawiają wrażenie bardziej żalonych, a mniej niebezpiecznych. Przejdę teraz do tego, co naprawdę nas interesuje.

Sal D'Onofrio i Lenny Sands, nie wiedząc nawzajem o sobie, wciąż są moimi informatorami. Sal zapłacił oczywiście 12 000 \$, które był winien Samowi Giancanie; Giancana odpuścił mu. Najwyraźniej moja kradzież 14 000 \$ Butcha Montrose'a nie została skojarzona z 12 000 \$ Sala. Kazałem Salowi spłacić Giancanę w trzech ratach. Posłuchał. Moja początkowa agresja wobec Sala przynosi rezultaty: wygląda na to, że całkowicie go sobie podporządkowałem. Podczas zwyczajnej rozmowy powiedziałem mu, że byłem kiedyś w jezuickim seminarium. D'Onofrio, uważający się za „pobożnego katolika”, był pod wrażeniem i teraz traktuje mnie jak kogoś w rodzaju spowiednika. Przyznał się do sześciu morderstw z torturami i opisał mi je z makabrycznymi szczegółami. Abstrahując od koszmarów, jakie wywołały u mnie te opowieści, wydaje się, że Sal i ja nadajemy na podobnych falach. Powiedziałem mu, że byłbym wdzięczny, gdyby podczas naszej współpracy przestał mordować i tracić pieniądze na hazard; na razie stosuje się do tego. Sal dostarczył mi parę raczej cienkich informacji o mafii (nie wartych przekazywania Tobie ani panu Kennedy'emu), ale nie może mi pomóc w kontakcie z kimś szukającym kredytu, tak żeby dało się wejść w strukturę Funduszu Emerytalnego Teamsters. Tylko dlatego wybrałem go na swojego informatora, a on mnie zawiódł. Podejrzewam, że wykazanie istnienia „podwójnej księgowości” Funduszu będzie wiązało się z makabrycznie powolnym procesem.

Lenny Sands wciąż ma prawie tyle samo twarzy co ty. Jest dziennikarzem *Cicho sza!* (Boże, jaka to musi być okropna praca!), partnerem Sala w wycieczkach i trutniem chicagowskiej mafii. Twierdzi, że gorliwie pracuje nad gromadzeniem informacji dotyczących Funduszu Emerytalnego, i mówi, że wierzy w plotki o Samie Giancanie płacącym bonusy za podsuvanie kredytobiorców. Wierzy również, że istnieją „podwójne”, być może zaszyfrowane księgi finansowe wyszczególniające wpływy. Podsumowując, nie dowiedziałem się na razie niczego istotnego ani od Sandsa, ani od D'Onofrio.

Zmieniając temat, pan Hoover wydaje się unikać możliwości zaszkodzenia członkom mafii chicagowskiej. Court Meade podsłuchał przez pluskwy w

zakładzie krawieckim gadkę o skoku. Żołnierze mafii chicagowskiej Rocco Malvaso i Dewey Di Pasquale najwyraźniej zwinęli 80 000 \$ podczas (nie organizowanej przez mafie) wysoko obstawianej gry w kości w Kenilworth. Agenci „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” przekazali tę informację panu Hooverowi, który polecił nie przekazywać tego do dalszego śledztwa. Mój Boże, jakie ten człowiek ma priorytety!

Będę kończyć. A, jeszcze jedno: cały czas mnie zadziwiasz, Kemper. Boże, Ty człowiekiem CIA! Co będziesz robił dla Kennedych, kiedy skończy się robota w Komisji McClellana?

Bóg z Tobą WJL

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.04.1959. Prywatny list:

Kemper Boyd do J. Edgara Hoovera.

Oznaczenie: ŚCIŚLE POUFNE.

Szanowny Panie Dyrektorze,

Pomyślałem, że napiszę parę słów i uaktualnię informacje dotyczące Warda Littella. Littell i ja regularnie kontaktujemy się telefonicznie i jestem przekonany, że nie podejmuje na własną odpowiedzialność żadnych ukrytych ani otwartych akcji antymafijnych.

Wspominał Pan, że Littell był widziany niedaleko Zakładu Krawieckiego Celano i placówki podsłuchowej „PS”. Delikatnie wypytałem o to Littella i jestem zadowolony z uzyskanej odpowiedzi: umówił się z Courtem Meade'em na lunch.

Życie osobiste Littella wydaje się krążyć wokół romansu z Helen Agee. Związek ten oddalił go od córki Susan, która nie akceptuje tego układu. Helen utrzymuje bliskie kontakty z moją córką Claire, lecz teraz, kiedy chodzą do różnych college'ów, spotykają się rzadziej. Romans Littella z Agee polega chyba na spędzaniu trzech, czterech wspólnych wieczorów w domu. Mieszkają oddzielnie i wydaje mi się, że tak pozostanie. Będę uważał na Littella.

Z wyrazami szacunku, Kemper Boyd

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.04.1959. Prywatny list:

Kemper Boyd do Warda J. Littella.

Ward,

Stanowczo nalegam, byś trzymał się z daleka od Zakładu Krawieckiego Celano i placówki podsłuchowej i nie pokazywał się nigdzie z Courtem Meade'em. Myślę, że rozwiąłem pewne podejrzenia, których mógł nabrać pan

Hoover, ale nigdy dosyć ostrożności. Dobrze Ci radzę, przestań wymieniać się zadaniami z Meade'em. Natychmiast zniszcz ten list.

KB

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.05.1959. Raport podsumowujący:

Kemper Boyd do Johna Stantona.

Oznaczenie: TAJNE/DO RĄK WŁASNYCH.

John,

Oto bieżące informacje, o które prosiłeś w swoim ostatnim liście. Przepraszam za zwłokę, ale jak to określiłeś, pracuję „na kilku etatach”.

1. Owszem, wygasł mandat Komisji McClellana do walki z przestępczością. Nie, bracia Kennedy nie zaproponowali mi jeszcze stałej pracy. Myślę, że wkrótce to zrobią. Istnieją różne możliwości, jako że jestem zarówno prawnikiem, jak i gliną. Tak, rozmawiałem z Jackiem o Kubie. Nie zastanawiał się, jak można wykorzystać tę kwestię w kampanii w 1960. Jack jest nastawiony bardzo antykomunistycznie, mimo swojej reputacji liberała. Jestem optymistą.

2. Zamknąłem „przesłuchania” w motelu Boynton Beach. Dziś kończy się trzymiesięczny okres próbny zalecony przez zastępcę dyrektora Bissella, a jutro większość naszych ludzi będzie wysłana do Luizjany. Guy Banister ma siatkę legalnych emigrantów kubańskich, którzy ich przyjmą. Dostaną mieszkania, zatrudnienie i referencje, tak aby mogli ubiegać się o wizy. Guy wciągnie ich do własnego programu szkolenia i indoktrynacji.

Wybrałem czterech mężczyzn, którzy utworzą trzon naszej kadry w Blessington. Uważam, że są najlepsi z „Bananowej łodzi” z 4.2.1959. Ponieważ „pracuję na kilku etatach”, nie byłem obecny podczas większości okresu próbnego, ale kompetentni urzędnicy działali zgodnie z moimi wytycznymi indoktrynacyjno-psychologicznymi. Były one wyjątkowo rygorystyczne. Osobiście nadzorowałem testy detektorem kłamstw, aby wykryć obecność informatorów podległych Castro. U wszystkich pięćdziesięciu trzech wypadły negatywnie (myślę, że mężczyzna, którego zabito na łodzi, *był* kapusiem).

Potem nastąpiły przesłuchania. Jak podejrzewałem, wszyscy mieli bogatą przeszłość kryminalną. Ich przestępstwa obejmowały napady z bronią w rękę, włamania, podpalenia, gwałty, przemyt heroiny, morderstwa i różnorakie „przestępstwa polityczne”. Okazało się, że jeden facet jest zboczeńcem, który w Hawanie molestował i potem odciął głowy sześciu dzieciakom. Inny jest homoseksualnym alfonsiem znieprawionym przez pozostałych. Uznałem, że obaj są zbyt niepewni i wykluczyłem ich, zgodnie z wytycznymi zastępcy dyrektora.

Wszyscy byli poddani ostrym przesłuchaniom na granicy tortur. Większość zniosła to dzielnie. Wszyscy byli musztrowani i poniżani, jak na obozie kondycyjnym Piechoty Morskiej. Większość reagowała właściwie: byli wściekli, ale się nie buntowali. Czterej mężczyźni, których wybrałem, są inteligentni, zdolni do kontrolowanej przemocy, sprawni fizycznie, wygadani (nadawaliby się na rekrutujących w Miami), szanują przełożonych i są nastawieni proamerykańsko, antykomunistycznie i anti-Castro. Oto oni:

— TEOFILO PAEZ, ur. 6.08.1921. Były szef ochrony w United Fruit. Biegły posługuje się bronią i zna techniki przesłuchania. Były pletwonurek marynarki kubańskiej. Uczy się politycznej rekrutacji.

— TOMAS OBREGÓN, ur. 17.01.1930. Były partyzant Castro. Były hawański przemytnik narkotyków i uczestnik napadów na banki. Zna ju jitsu i tajniki produkcji materiałów wybuchowych.

— WILFREDO OLMOS DELSOL, ur. 9.04.1927. Kuzyn OBREGONA. Były bojownik lewicowy, który zmienił się w prawicowego neofitę, po tym, jak „znacjonalizowano” jego konto w banku. Były instruktor musztry w armii kubańskiej. Ekspert od broni małego kalibru.

— RAMON GUTIERREZ, ur. 24.10.1919. Pilot. Zrecznie pisze ulotki propagandowe. Specjalista od tortur w Tajnej Policji Batisty. Ekspert od tłumienia rebelii.

Urządziłem sobie wycieczkę po terenach przyległych do ziemi, którą Agencja kupiła z przeznaczeniem na obóz Blessington. Zamieszkuje tam głównie biała biedota, z której wielu należy do Ku-Klux-Klanu. Myślę, że trzeba nam charyzmatycznego białego człowieka, by zarządzał terenem, siejąc strach wśród miejscowych kmiotków, którym nie spodoba się pomysł kubańskich imigrantów w sąsiedztwie. Rekomenduję Pete'a Bonduranta. Sprawdziłem dotyczące go akta oddziałów Piechoty Morskiej z II wojny światowej i byłem pod wrażeniem: przeżył czternaście bezpośrednich starć na Saipan, dostał Krzyż Walecznych i awansował z szeregowca na kapitana. Stanowczo nalegam na zatrudnienie Bonduranta na kontrakt w Agencji.

To tyle. Gdybyś mnie potrzebował, będę w St.Regis w Nowym Jorku.

Twój KB

PS: Miałeś rację co do wycieczki Castro do USA. Nie chciał zatrzymać się w hotelu, który nie przyjmuje Murzynów, potem pojechał do Harlemu i wygłaszał antyamerykańskie oświadczenia. Jego zachowanie było burzające. Oddaję hołd twoim przecuciom: ten człowiek „sam prosił o śmierć”.



ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.05.1959. Notatka służbowa:

John Stanton do Kempera Boyda.

Kemper,

Zastępca dyrektora zgodził się na zatrudnienie Pete'a Bonduranta. Mam jednak pewne wątpliwości i chcę, żebyś wysłał go na próbne zadanie, zanim się z nim skontaktujemy. Zachowaj dyskrecję.

JS

## 23

(Chicago, 18 maja 1959)

**H**elen posmarowała grzanek masłem.

— Zaczyna mnie wkurzać zachowanie Susan. Odkąd dowiedziała się o nas, nie rozmawialiśmy więcej niż trzy, cztery razy.

Szalony Sal miał dzwonić. Littell odsunął śniadanie — w ogóle nie miał apetytu.

— Ja rozmawiałem z nią dokładnie dwa razy. Czasem myślę, że to czysta wymiana handlowa — zdobyłem dziewczynę, a straciłem córkę.

— Ta strata chyba cię zbytnio nie martwi.

— Susan *żywi się* urazą. Tak samo jak jej matka.

— A mnie Claire powiedziała, że Kemper ma romans z jakąś bogatą babką z Nowego Jorku, ale poskapała szczegółów.

Laura była w połowie Kennedy. Związek Kempera z Kennedymi był teraz kampanią na dwóch frontach.

— Ward, jesteś dziś jakiś nieobecny.

— To przez pracę. To ona mnie tak absorbuje.

— Nie jestem pewna.

Była prawie 9.00 — 7.00 w Gardenie. Sal był zagorzałym porannym hazardzistą.

Helen pomachała mu przed nosem serwetką.

— Kuku, Ward! Słuchasz mnie?

— Co mówisz? Co masz na myśli mówiąc: „nie jestem pewna”?

— Twoja praca w Czerwonej Drużynie nudzi cię i drażni. Zawsze opisywałeś ją z pogardą, ale od paru miesięcy po prostu cię pochłania.

- I?
  - I masz koszmary, i mamrociesz przez sen po łacinie.
  - I?
  - I chowasz się przede mną, kiedy jesteśmy w tym samym pokoju. Zaczynam zachowywać się, jakbyś miał 46 lat, a ja 21, i jakby istniały rzeczy, o których nie możesz mi powiedzieć, bo bym ich nie zrozumiała.
- Littell wziął ją za rękę. Helen wyrwała się i strąciła ze stołu stojak na serwetki.
- Kemper mówi Claire wszystko. Myślałam, że będziesz próbował go w tym naśladować.
  - Kemper jest ojcem Claire. Ja twoim nie jestem. Helen wstała i wzięła torebkę.
  - Pomyślę o tym po drodze do domu.
  - A twoje zajęcia o 9.30?
  - Ward, dziś sobota. Jesteś tak „zaabsorbowany pracą”, że nie wiesz, jaki mamy dzień tygodnia.

Sal zadzwonił o 9.35. Miał podniecony głos. Littell zagadał do niego po przyjacielsku. Sal lubił słodkie gadki.

- Jak wycieczka?
- Wycieczka jak wycieczka. Gardena jest dobra, bo leży blisko L.A., ale pieprzony Żydek Lenny wciąż urywa się, żeby szukać skandali dla *Cicho sza!* i spóźnia się na występy. Nie sądzisz, że powinienem poszatkować go jak tego faceta, który...
- Sal, nie spowiadaj się przez telefon.
- Wybacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłem.
- Przestań. Wiesz, co mnie interesuje, więc jeśli coś masz, to mów.
- Okej, okej. Byłem w Vegas i słyszałem gadkę Heshie'ego Ryskinda. Hesh mówił, że chłopaki boją się o front kubański. Powiedział, że firma zapłaciła Brodaczowi kupę szmalu w zamian za obietnicę, że pieprzone kasyna będą mogły działać, gdyby przejął ten pieprzony kraj. Ale teraz przeszedł do komunistów i pieprzone kasyna znacjonalizował. Hesh powiedział, że Brodacz uwięził Santo T, w Hawanie. Chłopaki już nie lubią Brodacza tak bardzo. Hesh twierdził, że Brodacz zachowuje się jak ciota podczas mongolskiej orgii. No wiesz, prędzej czy później ktoś go *naprawdę* przerznie.
- I? — spytał Littell.
- Zanim wyjechałem z Chicago, rozmawiałem przez telefon z Jackiem Rubym. Jack miał kłopoty z forszą, więc pożyczyłem mu trochę, żeby mógł opłacić ten jeden klub ze striptizem i kupić następną, Carousel czy coś takiego.

Jack zawsze oddaje z procentem, bo sam lichwi na boku w Dallas i...

— Sal, o coś ci chodzi. Mów, o co.

— No, no, no, myślałem, że gliny lubią, jak im się donosi.

— Sal...

— No, a teraz słuchaj. Jack potwierdził to, co mówił Heshie. Powiedział, że rozmawiał z Carlosem Marcellem i Johnnym Rossellim i obaj mówili, że Brodacz kosztuje ich siedemdziesiąt pięć tysięcy dziennie procentu bankowego z pieprzonego dochodu z kasyn. Pomyśl o tym, Padre. Pomyśl, co Kościół mógłby zrobić z siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami dziennie.

Littell westchnął. — Nie interesuje mnie Kuba. Czy Ruby powiedział ci coś o Funduszu Emerytalnym? Szalony Sal odparł: — No cóóóó...

— Sal, na miłość boską...

— Nieładnie, nieładnie, Padre. Teraz odmów dziesięć zdrowasiek i odpokutuj to. Jack powiedział mi, że skierował tego gościa z Texas Oil prosto do Sama G. W sprawie kredytu, może rok temu. No, to jest informacja pierwsza klasa, zasługuję na nagrodę, a potrzebuję trochę pieprzonej kasy, żeby pokryć stawki, bo bukmacherzy i lichwiarze bez grubej forsy często dostają w dupę, a do tego nie powinni donosić lalusiowatym federalnym sukinsynom takim jak ty.

Ruby — wedle akt „PS”: diler i drobny lichwiarz.

— Padre, padre, padre. Wybacz mi, bo grałem na pieniądzu. Wybacz mi, bo...

— Sal, spróbuję skołować ci trochę forsy. *Jeśli* znajdę chętnego na pożyczkę, którego mógłbyś przedstawić Giancanie. Mówię o bezpośrednim kontakcie, od ciebie do Sama.

— Padre... Jezu.

— Sal...

— Padre, rzniesz mnie tak mocno, że aż boli.

— Uratowałem ci życie, Sal. A to jest jedyny sposób, w jaki możesz jeszcze dostać ode mnie choćby dychę.

— Okej. Okej. Okej. Wybacz mi, Ojczy, bo nauczyłem się tych brudnych sztuczek od byłego kleryka i fedzia.

Littell odłożył słuchawkę.

**W** biurze panował spokój, jak to w weekend. Agent obsługujący linie telefoniczne zignorował go. Littell wyłudził dalekopis i przesłał prośbę o informacje do biura w Dallas.

Odpowiedź przyjdzie za co najmniej dziesięć minut. Zadzwoił do Midway, żeby dowiedzieć się o rozkład lotów — i miał szczęście.

Samolot Pan-Am odlatywał do Dallas o dziesiątej. Z powrotem w domu byłby krótko po północy.

Nadeszła odpowiedź: Jacob Rubinstein vel Jack Ruby, ur. 25.3.1911. Trzy razy aresztowany za wymuszenia — w 1947, 1949 i 1953 — i ani razu nie skazany. Podejrzewany o stręczycielstwo. Informator Wydziału Policji w Dallas. W 1956 wystąpiło przeciwko niemu Amerykańskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt. Był mocno podejrzany o seksualne molestowanie psów. Znany z okazjonalnego udzielania pożyczek biznesmenom i zdesperowanym przedsiębiorcom naftowym.

Littell podarł kartkę. Dla Jacka Ruby'ego warto było odbyć tę podróż.

**R**yk silnika i trzy szkockie ukołysały go do snu. Spowiedź Szalonego Sala szumiała mu w głowie jak składanka Hit Parade. Sal zmusił murzyńskiego chłopaka do błagania o życie. Sal udusił faceta, który wisiał mu pieniądze. Sal obciął głowy dwóm dzieciakom, które gwizdały na zakonnice. Sprawdził te przypadki. Wszystkie cztery figurowały jako „niewyjaśnione”. Wszystkie cztery ofiary zostały po śmierci zgwałcone przez odbyt.

Littell obudził się zlany potem. Stewardesa z własnej inicjatywy podała mu drinka.

**K**lub Carousel był tanim barem ze striptizem. Sztyld na froncie przedstawiał kształtne dziewczyny w bikini. Inny sztyld głosił „Otwarte od 18.00”.

Littell zaparkował za budynkiem i czekał. Wynajęty samochód śmierdział niedawnym seksem i pomadą do włosów. Przeszło kilku gliniarzy. Jeden pomachał. Littell stwierdził: myślą, że jesteś gliniarzem siedzącym w kieszeni u Jacka.

Ruby przyjechał o 17.15, sam. Pieprzył psy i był alfonsem. To musiało być obrzydliwe. Wsiadł i otworzył tylne drzwi. Littell podbiegł i zatrzymał go.

— FBI. Pokaż ręce — rzucił w klasycznym stylu Kempera Boyda.

Ruby patrzył sceptycznie. Nosił śmieszny okłapy kapelusza.

Littell nakazał: — Opróżnij kieszenie.

Ruby posłuchał. Na ziemię upadł zwitek gotówki, psie ciasteczka i trzydziestka ósemka. Ruby splunął.

— Dobrze wiem, jak wyglądają te wasze osobiste rewizje poza miastem. I wiem, jak postępować z gliniarzami w tanich granatowych garniturach, od których jedzie wódka. A teraz mów, co chcesz, i zostaw mnie, kurwa, w spokoju.

Littell podniósł psie ciastko.

— Zjedz to, Jack.

Ruby stanął na palcach jak bokser wagi lekkiej. Littell pokazał mu broń i kajdanki.

— Chcę, żebyś zjadł to psie ciasteczko.

— Posłuchaj ty...

— „Niech *pan* posłucha”.

— Niech *pan* słucha, za kogo ty się, kurwa... ?

Littell wcisnął mu ciastko do ust. Ruby przeżuł je, żeby się nie zakrztusić.

— Mam zamiar czegoś od ciebie zażądać, Jack. Jeśli się nie zgodzisz, będziesz miał na głowie Izbę Skarbową, agenci federalni będą co noc rewidować twoich klientów, a *Morning News* w Dallas ujawni twoje psie zbroczenie.

Ruby żuł. I pluł okruchami. Littell podciął mu kopniakiem nogi. Ruby upadł na kolana. Littell otworzył drzwi i wkopał go do środka. Ruby próbował wstać. Littell kopnął go i ten z powrotem upadł. Pomieszczenie miało wymiary trzy na trzy i było zavalone strojami striptizerek. Littell kopnął ich stos w twarz Ruby'ego. Rzucił mu na kolana świeże ciasteczka.

Ruby włożył je do ust. Dostał strasznej czkawki. Littell odezwał się:

— Odpowiedz na pytanie. *Czy kiedykolwiek wysyłałeś dłużników do lichwiarzy wyżej postawionych niż ty?*

Ruby pokiwał głową — tak, tak, tak, tak, tak.

— Sal D'Onofrio pożyczył ci pieniądze na kupno tego lokalu. Skiń głową, jeśli to prawda.

Ruby pokiwał głową. Stopy zaplątały mu się w brudne staniki.

— Sal bez mrugnięcia okiem zabija ludzi. Wiedziałaś o tym?

Ruby pokiwał głową. W pokoju obok zaczęły szczekać psy.

— Jack, on torturuje ludzi. Lubi zadawać ból.

Ruby uderzył głową o podłogę. Policzki miał wydęte jak tamten chłopiec w kostnicy.

— Sal przypalał kiedyś człowieka lutownicą. Jego żona nieoczekiwanie przyszła do domu. Sal wepchnął jej do ust szmatę nasączoną benzyną i podpalił. Mówił, że umierała ziejąc ogniem jak smok.

Ruby zsikał się w majtki. Littell zobaczył płamę na jego spodniach.

— Sal chce, żebyś wiedział o paru rzeczach. Po pierwsze, twój dług wobec niego uległ skasowaniu. Po drugie, jeśli nie będziesz ze mną współpracował albo doniesiesz na mnie Firmie czy któremuś z twoich kumpli gliniarzy, przyjedzie do Dallas, zgwałci cię i zabije. Rozumiesz?

Ruby pokiwał głową — tak, tak, tak. Z jego nozdrzy sypały się okruchy ciastka.

Kemper Boyd zawsze mówił: NIE ZŁAM SIĘ.

— Nie kontaktuj się z Salem. Nie wiesz, jak się nazywam. Nie mów o tym nikomu. Będziesz telefonował do mnie w każdy wtorek o 11.00 na numer budki w Chicago. Zadzwoń i podam ci numer. Rozumiesz?

Ruby pokiwał głową — tak, tak, tak. Psy jazgotały i drapały pazurami w drzwi jakiś metr od niego.

— Chcę, żebyś znalazł nadzianego kredytobiorcę dla Sala. Kogoś, kogo Sal może skierować do Giancany i Funduszu Emerytalnego. Skiń głową, jeśli zgadzasz się to zrobić, skiń dwa razy, jeśli rozumiesz całą sytuację.

Ruby skinął trzy razy. Littell wyszedł. Psy jazgotały złowieszczo.

**S**amolot powrotny wylądował o północy. Littell pojechał do domu, spięty i wyczerpany.

Samochód Helen stał przed wejściem. Nie będzie spała, będzie przejęta; będzie gorliwie dążyć do gody.

Pojechał do monopolowego i kupił ćwiartkę. Przyczepił się żebrak. Dał mu dolara — lump wyglądał żywcem jak Jack Ruby.

Była 1.00. Niedziela nad ranem. Może Court Meade pracuje na placówce podsłuchowej. Zadzwoił. Nikt nie odbierał. Jakiś facet z „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” odrabiał jego zmianę.

Kemper nalegał, żeby unikał placówki podsłuchowej. Ale może nie uznałby tej ostatniej wizyty za zbyt ryzykowną.

Littell pojechał i wszedł do środka. Przekaznik był odłączony; pokój świeżo sprzątnięty i wymyty. Notatka przyklejona do głównej konsoli wyjaśniała powód.

*Wiadomość:*

*Zakład Krawiecki Celano będzie odkazany od 17 do 20 maja. Wszystkie dyżury w tym czasie zostają odwołane.*

**L**ittell otworzył butelkę. Kilka łyków orzeźwiło go i sprawiło, że myśli rozbiegły się w tysiącu kierunków. Połączenia w mózgu zaiskrzyły. Sal potrzebował pieniędzy. Court Meade podniecał się kradzieżą forsy z gry w kości. Pan Hoover kazał zostawić tę sprawę.

Littell sprawdził stenogramy podsłuchów. Znalazł rozmowę o tej robocie, zapisaną w zeszłym miesiącu przez agenta specjalnego Russa Davisa.

*18.04.1959. 22.00. Sami w zakładzie krawieckim: Rocco Malvaso i Dewey „Kaczor” Di Pasquale. To, co brzmiało jak wygłaszane toasty, zagłuszone*

zostało przez młot pneumatyczny i hałas z budowy na alei Michigan. W ciągu dwóch minut obaj mężczyźni najwyraźniej skorzystali z toalety. Później zaczęli rozmawiać.

*Malvaso: Te salud, Kaczor.*

*Di Pasquale: Kwa, kwa. Dobrze, że, no wiesz, nie mogą tego zgłosić.*

*Malvaso: Gliny z Kenilworth chyba by się posrały. To zadupiasta dziura. Jeszcze się tam nie zdarzyło, żeby dwóch takich zajebistych chłopaków jak my zgarnęło osiemdziesiąt kawalców z gry w kości.*

*Di Pasquale: Kwa, kwa. Pamiętaj, że to niezrzeszone palanty i zasłużyli sobie na to. Jak nie jesteś powiązany z Momo, to jesteś kaczym gównem, i tyle! Kurna, a te nasze maski i zmienione głosy! Na dodatek te makaronowe fiuty nie wiedzą, że my robimy dla Momo. Czuję się jak Superkaczor. Chyba powinienem sprawić sobie kostium Superkaczora i założyć go, jak następnym razem zabiorę dzieciaki do Disneylandu.*

*Malvaso: Kwa, kurwa, kwa, ty lachociągu na kaczycach łapach. Ale strzelić to musiałeś, nie? Jakby żadna, kurwa, uciezka nie mogła się obyć bez strzałów.*

*(Uwaga: Policja w Kenilworth odnotowała niewyjaśnione strzały w przecznicy 2600 alei Westmoreland o 23.40, 16.04.1959.)*

*Di Pasquale: No no, kwa, kwa. Ale się udało. Zadekowaliśmy towar w milusim, bezpiecznym miejscu i...*

*Malvaso: I zbyt, kurwa, publicznym jak na mój gust.*

*Di Pasquale: Kwa, kwa. Dwa miechy czekania na działkę to nie tak długo. Donald musiał czekać pieprzone dwadzieścia lat, żeby bzyknąć Daisy, bo mu Disney nie pozwalał... Ty, a pamiętasz w zeszłym roku? Co zrobił Żydek Lenny na moim przyjęciu urodzinowym? Zrobił ten numer, jak Daisy obciąga dziobem Donaldowi.*

*Malvaso: Kwa, kwa, ty sukinsynie.*

*(Uwaga: hałas budowy zagłuszył resztę rozmowy. Odgłos trzaśnięcia drzwiami o 23.10)*

**L**ittell sprawdził akta „PS”. Malvaso i Di Pasquale mieszkali w Evanston.

Puścił taśmę z 18.04.1959 i porównał ją z napisanym na maszynie stenogramem. Russ Davis zapomniał o dołączeniu pożegnalnych rytuałów.

Kaczor zamruczał: „Chattanooga ciuch-ciuch”.

Malvaso zanucił: „Mam kluczyk do twego serca”.

„Zbyt publiczne miejsce”, „kluczyk” i „ciuch-ciuch”. I dwóch złodziei z przedmieścia czekających dwa miesiące na podział łupu.

Istniało czterdzieści kilka stacji kolejki *podmiejskiej*, z których można było dojechać do Chicago. I czterdzieści parę poczekalni ze schowkami bagażowymi. Schowki były wynajmowane na miesiąc. Tylko za gotówkę, żadnej księgowości, żadnych imiennych rachunków.

Dwóch złodziei. Dwa *oddzielne* zamki do schowka. Zamki były zmieniane co trzy miesiące — zgodnie z prawem Illinois. Tysiące zamków. Nieoznaczone klucze. Sześćdziesiąt dni do podziału tej doli — a minęły już trzydzieści trzy. Schowki były ze stali. Poczekalnie strzeżone przez całą dobę.

Littell myślał nad tym całe dwa dni. Oto, do czego doszedł:

Mógł ich śledzić. Ale kiedy wezmą pieniądze, nie będzie w stanie nic zrobić. I mógł śledzić tylko jednego na raz. Już i tak marne szanse malały wtedy dwukrotnie.

Tak czy inaczej, postanowił spróbować. Zdecydował się łąć wodę w raportach dla Czerwonej Drużyny i śledzić obu na zmianę przez tydzień.

Dzień pierwszy: śledzi Rocca Malvasa od 8.00 rano do północy. Rocco jeździ do swych licznych melin, sklepów związkowych i domu swojej dziewczyny w Glencoe. Nie zbliża się do stacji kolejowej.

Dzień drugi: śledzi Kaczora Deweya od 8.00 rano do północy. Dewey jeździ do licznych domów publicznych. Nie zbliża się do stacji kolejowej.

Dzień trzeci: śledzi Rocca Malvasa od 8.00 rano do północy. Rocco jedzie do Milwaukee i bije pistoletem krnąbrnych alfonsów. Nie zbliża się do stacji kolejowej.

Dzień czwarty: śledzi Kaczora Deweya od 8.00 rano do północy. Dewey zabawia się na przyjęciu urodzinowym Deweya juniora, przebrany za Kaczora Donalda. Nie zbliża się do stacji kolejowej.

Dzień piąty: śledzi Rocca Malvasa od 8.00 rano do północy. Rocco spędza czas z call girl w hotelu Blackhawk w Chicago. Nie zbliża się do stacji kolejowej.

Dzień szósty, 8.00 rano: śledzi Kaczora. 9.40: samochód Deweya nie zapala. Pani Kaczorowa odwozi go do stacji w Evanston. Dewey myszkuje w poczekalni. Wyraźnie ma na oku schowki.

Schowek nr 19 jest zaznaczony naklejką z Kaczorem Donaldem.

Littell prawie mdleje.

Noc szósta, siódma i ósma: obserwuje stację. Odkrywa, że strażnik ma przerwę na kawę o 3.10, nad ranem i idzie do całonocnego baru. Poczekalnia pozostaje niestrzeżona przez co najmniej osiemnaście minut.

Noc dziewiąta: uderza na stację uzbrojony w łom, lewarek, dłuto i drewniany młotek. Wyłamuje zamek do schowka nr 19 i kradnie cztery torby na zakupy wypełnione pieniędzmi.



W sumie jest tam 81 492 \$. Ma teraz fundusz dla informatorów. Banknoty są stare i mocno zużyte.

Na początek daje Szalonemu Salowi dziesięć tysięcy. Trafia też na tego lum-pa podobnego do Jacka Ruby'ego i daje mu pięć setek.

Kostnica hrabstwa Cook podaje mu nazwisko kochanka Tony'ego „Lodolamacza” — jakiś Bruce William Sifakis. Anonimowo wysłała rodzicom chłopaka dziesięć tysięcy.

Pięć tysięcy wrzuca do puszki dla biednych w Świętym Anatólu i zostaje, żeby się pomodlić.

Prosi o przebaczenie za swoją arogancję. Mówi Bogu, że zdobył poczucie własnej wartości wielkim kosztem innych. Mówi Bogu, że pokochał niebezpieczeństwo i teraz bardziej go ono ekscytuje niż przeraża.

## 24

(Hawana, 28 maja 1959)

Samolot zakończył kołowanie. Pete wyjął paszport i gruby zwitek banknotów dziesięciodolarowych. Paszport był kanadyjski i sfalszowany przez CIA. Na pas startowy wbiegli milicjanci. Kubańscy glińiarze szukali ulotek we wszystkich samolotach Key West.

Boyd zadzwonił dwa dni temu. Mówił, że Johnowi Stantonowi i Guyowi Bannisterowi podoba się rozmach działania Wielkiego Pete'a. Boyd właśnie podpisał kontrakt z Agencją. Powiedział też, że ma robotę idealnie skrojoną dla Wielkiego Pete'a, która mogłaby być również próbą generalną przed podjęciem pracy dla CIA. Powiedział:

— Poleć Key West do Hawany z kanadyjskim paszportem. Mów po angielsku z francuskim akcentem. Dowiedz się, gdzie przebywa Santo Trafficante i weź o niego list. List powinien być zaadresowany do Carlosa Marcella, Johnny'ego Rossellego, Sama Giancany i innych. Powinien mówić o tym, że Trafficante odradza jakikolwiek odwet mafii za znacjonalizowanie kasyn. Masz też namierzyć wystraszonego dyrektora United Fruit o nazwisku Thomas Gordean i przywieźć go ze sobą na przesłuchanie. Musisz działać szybko— Castro i Ike mają odwołać wszystkie loty z USA na Kubę.

Pete spytał: — Czemu ja?

Boyd odparł: — Bo dasz sobie radę. Bo postój taksówek dał ci niezłe pojęcie o Kubańczykach. Bo nie jesteś znanym człowiekiem mafii, którego akta może mieć tajna policja Castro.

Pete spytał: — Za ile?

Boyd odpowiedział: — Pięć tysięcy. Jeśli cię zatrzymają, ten sam kurier dyplomatyczny, który próbuje dostać Trafficante i innych Amerykanów, załatwi twoje uwolnienie. To tylko kwestia czasu, żeby Castro uwolnił wszystkich cudzoziemców.

Pete wahał się. Boyd powiedział:

— Osobiście ci obiecuję, że Ward Littell — bardzo niezrównoważony i niebezpieczny człowiek — nigdy cię nie dotknie. Tak naprawdę to ustawiłem cię z Lennym Sandsem, żeby zabezpieczyć was obu.

Pete roześmiał się.

Boyd dodał: — Jeśli dorwą cię kubańskie gliny, mów prawdę.

Otworzono drzwi. Pete włożył do paszportu banknot dziesięciodolarowy. Milicjanci weszli do samolotu. Nosili niedopasowane pasy na naboje i dziwaczne pistolety. Insygnia na przedzie koszul wyglądały jak wycięte z opakowań płatków śniadaniowych Kelloga.

Pete przepchał się w stronę kokpitu. Światła reflektorów padały na korytarz i okna. Oślepiiony, szedł wzdłuż przejścia.

Milicjant wyrwał mu paszport. Dziesięciodolarówka znikła. Milicjant uklonił się i wręczył mu piwo.

Pozostali pasażerowie wypełniali formularze. Frajerzy z milicji na próżno sprawdzali paszporty w poszukiwaniu łapówek. Dowódca oddziału kręcił głową. Jego podwładni konfiskowali portfele i torby. Jakiś mężczyzna zaprotestował i próbował zatrzymać swój portfel. Kubańczycy rozplaszczyli go na pasie startowym. Pocięli mu żyłkami spodnie i wyczyścili kieszenie. Pozostali pasażerowie już się nie buntowali. Dowódca grzebał w ich rzeczach.

Pete sączył piwo. Kilku milicjantów podeszło z wyciągniętymi rękami. Posmarował je: dychę na rękę. Przyjrzał się ich mundurom: znoszone khaki i epolety jak u kelnerów w chińskiej restauracji Graumana.

Niski Kubańczyk wymachiwał aparatem fotograficznym.

— Grasz w futbol, *hombre*? Hej, ty duży, grasz w futbol?

Ktoś podał piłkę. Pete złapał ją jedną ręką. W twarz błysnął mu flesz. Ale numer! Chcą, żeby pozował.

Ukucnął nisko i zamachnął się jak Johnny Unitas. Zniżył się, zablokował niewidzialnego liniowego i cisnął piłką znad głowy jak murzyński zawodnik, którego widział raz w telewizji.

Kubańczycy klaskali. Wznosili okrzyki. Trzaskały flesze. Potem ktoś wrzasnął:

— Hej, tam jest Robert Mitchum!

Wieśniacy rzucili się przez pas, wymachując notatnikami na autografy. Pete pobiegł do stojącej przy wyjściu z lotniska taksówki.

Poganiały go jakieś dzieciaki. Drzwi otwarte, *presto chango*.

Pete ominął wózek bagażowy i wcisnął się do starego szewroleta. Kierowca powiedział:

— Ty nie być Robert Mitchum.

**J**echali przez Hawanę. Ruch tamowały zwierzęta i uliczni oberwańcy. Nie przekraczali piętnastu kilometrów na godzinę.

O dziesiątej rano temperatura wynosiła 33° C. Połowa idiotów spacerujących po ulicy nosiła mundury polowe i brody w stylu Jezusa Chrystusa.

Mijali bielone budynki w hiszpańskim stylu. Na każdej fasadzie plakaty: Fidel Castro uśmiechnięty, Fidel Castro pokrzykujący, Fidel Castro wymachujący cygarem.

Pete wyjął zdjęcie, które dostał od Boyda.

— Znasz tego człowieka? Kierowca odpowiedział:

— *Sí*. To pan Santo Junior. Siedzi w areszcie w hotelu Nacional.

— Zawieź mnie tam.

Pancho zawrócił. Pete ujrzał przed sobą rząd hoteli — zniszczone drapacze chmur z widokiem na plażę. Światła odbijały się od wody. Blask zabarwił fale na turkusowo. Taksówka zatrzymała się przed Nacional. Otoczyli ich chłopcy hotelowi — błaźni w wytartych frakach. Pete dał kierowcy dychę — ten prawie się rozplakał.

Chłopcy wyciągali ręce. Pete dał im po dziesięć dolarów. Kordon zaprowadził go do kasyna.

Było tłoczno. Komuchy zabawiający się hazardem w stylu kapitalistów. Kru-pierzy nosili kabury. Palanci z policji obsługiwali black jacka. Klientela była w 100 % kubańska. Kozy chodziły luzem. Psy taplały się w automacie do gry wypełnionym wodą. Na podłodze obok jednoręcznych bandytów jakiś terier kopulował z ratlerkiem.

Pete złapał jednego chłopaka i wrzasnął mu do ucha: — Santo Trafficante. Znasz go?

Pojawiły się trzy dłonie. Poszły trzy dziesiątki. Ktoś wepchnął go do windy. Kuba Fidela Castro powinna zostać przemianowana na Raj Czarnuchów.

Winda jechała w górę. Milicjant otworzył drzwi kolbą.

Z kieszeni wystawały mu banknoty dolarowe. Pete dodał dziesiątkę. Kolba znikła *rapidemente*.

— Czy życzy pan sobie skorzystać z aresztu, señor? Opłata wynosi pięćdziesiąt dolarów dziennie.

— Co obejmuje?

— Pokój z telewizorem, delikatesowe jedzenie, hazard i kobiety. Widzi pan, posiadacze paszportów amerykańskich na Kubie są chwilowo zatrzymywani, a Hawana jest teraz niespokojna. Czemu nie miałby pan spędzić aresztu w luksusie?

Pete pokazał mu paszport.

— Jestem Kanadyjczykiem.

— Jasne. I pewnie w dodatku francuskojęzycznym.

Korytarz wypełniały parujące tace. Chłopcy hotelowi pchali wózki z koktajlami. Koza robiła kupę na dywan. Pete zaśmiał się.

— Niezły karczmarsz z tego waszego Castro.

— Tak. Nawet pan Santo Trafficante junior mówi, że w Ameryce nie ma czterogwiazdkowych więzień.

— Chciałbym się zobaczyć z panem Trafficante.

— W takim razie proszę za mną.

Pete potknął się. Zamroczone kubańskie panienki snuły się korytarzem. Strażnik wyliczał zalety aresztu. W apartamencie 2314 pokazywano pornole na ekranie z prześcieradła. W apartamencie 2319 była ruletka, kości i bakarat. Do apartamentu 2329 na zamówienie przychodziły nagie dziwki. W apartamencie 2333 można było obejrzeć na żywo lesbijski show. W apartamencie 2341 opiekano na rożnie świeżo urodzone prosięta. W apartamentach 2350 do 2390 mieściło się pole golfowe.

Minął ich kubański chłopiec z kijami do golfa. Milicjant stuknął obcasami przed 2394.

— Panie Santo, ma pan gościa!

Santo Trafficante junior otworzył drzwi. Miał około czterdziestki i był krępy. Nosił jedwabne bermudy i okulary. Strażnik wycofał się. Trafficante przemówił:

— Dwie rzeczy, których nie cierpię najbardziej, to komuniści i chaos.

— Panie Trafficante, jestem...

— Mam oczy. Nawet czworo oczu. Jesteś Pete Bondurant, który załatwia ludzi dla Jimmy'ego. Goryl, metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, co puka do moich drzwi i się płaszczy. Umiem dodać dwa do dwóch.

Pete wszedł do środka. Trafficante uśmiechnął się.

— Przyjechałeś, żeby zabrać mnie z powrotem.

— Nie.

— Przysłał cię Jimmy, prawda?

— Nie.

— Mo? Carlos? Jestem tak kurewsko znudzony, że bawię się w zgadywanki z dwumetrowym gorylem. O właśnie, jaka jest różnica między gorylem a czar-nuchem?

Pete spróbował: — Żadna?

Trafficante westchnął.

— Już to słyszałeś. Mój ojciec zabił raz faceta, który zepsuł mu puentę. Mo-że słyszałeś o moim ojcu?

— Santo Trafficante *Seniori*

— *Salud*, Francuzie. Jezu, tak mi się, kurwa, nudzi, że ucinam sobie pogawędkę z gorylem!

Thuszcz z prosięcia prysnął chyba w wentylator. Dziura była urządzona no-wocześnie i brzydko — dużo krzykliwych kolorów. Trafficante podrapał się po jajach.

— Więc kto cię przysłał?

— Facet z CIA o nazwisku Boyd.

— Jedyne gość z CIA, jakiego znam, to wieśniak nazwiskiem Chuck Ro-gers.

— Znam Rogersa.

Trafficante zamknął drzwi.

— Wiem, że go znasz. Znam całą historię o tobie i postoju taksówek, o to-bie, Fulo i Rogersie, wiem też o tobie wiele innych rzeczy, których wolałbyś nie ujawniać światu. A wiesz, *skąd* to wiem? Bo tutaj wszyscy lubią gadać. A jedyne, co nas wkurwia, to fakt, że nie możemy pogadać z nikim z zewnątrz.

Pete wyjrzał przez okno. Ocean mienił się turkusem daleko od brzegu.

— Boyd chce, żeby napisał pan do Carlosa Marcello, Sama Giancany i Jo-hnny'ego Rossellego. Ma pan napisać, że odradza jakikolwiek odwet na Castro za znacjonalizowanie kasyn. Agencja boi się chyba, że Firma zacznie się wtrącać i spieprzy ich plany dotyczące Kuby.

Trafficante chwycił notatnik i długopis. Pisał szybko i czytał starannie.

— Drogi Premierze Castro, ty komunistyczna szmato. Twoja rewolucja to kupa komunistycznego gówna. Zapłaciliśmy ci grubą forszę, żeby nasze kasyna mogły istnieć, a ty zabrałeś nasze pieniądze i przeleciałeś nas od tyłu, aż nam krew poszła. Jesteś większą kupą gówna niż ta ciota Bobby Kennedy i jego cio-towata Komisja McClellana. Obyś dostał syfilisu mózgu i fiuta, ty komunistycz-ny sukinsynie, za spieprzenie naszego pięknego hotelu Nacional.

Piłki golfowe odbijały się rykoszetem w korytarzu. Trafficante aż się wzdrygnął. Podał list Pete'owi. Ten przeczytał. Santo junior pisał ładnie i wyraźnie, bez błędów gramatycznych. Pete wsunął list do kieszeni.

— Dzięki, panie Trafficante.

— Bardzo, kurwa, proszę. Widzę, że zaskoczyła cię moja zdolność pisania i mówienia w tym samym czasie dwóch różnych rzeczy. Powiedz swojemu panu Boydowi, że ta obietnica będzie ważna przez rok, nie dłużej. Powiedz mu, że jeśli chodzi o Kubę, płyniemy w tym samym kierunku, więc jest w naszym interesie nie sikać sobie w twarz.

— Będzie wdzięczny.

— Wdzięczny, cholera. Gdybyś ty był wdzięczny, zabrałbyś mnie teraz ze sobą.

Pete spojrzął na zegarek.

— Mam tylko dwa kanadyjskie paszporty i mam przywieźć człowieka z United Fruit.

Trafficante wziął kij golfowy.

— To nie mogę narzekać. Forsa to forsa, a United Fruit wyciągnęły z Kuby więcej szmalu niż jakakolwiek inna firma.

— Wkrótce pan stąd wyjedzie. Pewien kurier pracuje nad wydostaniem wszystkich Amerykanów.

Trafficante zrobił minę „no, no”.

— Dobrze. Dam ci przewodnika. Obwiezie cię po mieście i zabierze ciebie i człowieka z United Fruit na lotnisko. Ograbi cię przed końcem kursu, ale to to samo co pomoc tych pieprzonych czerwonych przy władzy.

Krupier podał im wskazówki, jak dotrzeć do domu — tam, gdzie w zeszłym tygodniu Tom Gordean urządził wielkie ognisko. Przewodnik Jesús powiedział, że pan Tom spalił pole trzciny cukrowej, bo bardzo chciał zmienić swój wizerunek *fascisto*.

Jesús nosił panterkę i czapkę baseballową. Jeździł volkswagenem z karabinem maszynowym zamontowanym na dachu.

Wyjechali polnymi drogami poza Hawanę. Jesús prowadził jedną ręką i jednocześnie strzelał do drzew palmowych. Płonące pola trzciny cukrowej zabarwiały niebo na pomarańczowo i żółto — po odejściu Batisty na Kubie wielkie ogniska stały się bardzo modne.

Migały słupy telefoniczne. Każdy był ozdobiony twarzą Fidela Castro. Pete ujrzał w oddali światła domu — dwieście metrów albo trochę więcej. Jesús skręcił na polankę otoczoną palmowymi pniami. Jechał tak, jakby znał drogę. Nie zrobił żadnego gestu ani nie wymówił jednego pieprzonego słowa. Dziwnie to wyglądało. Tak jakby zostało *zaaranżowane*.

Jesús zahamował i wyłączył światła. Jak tylko stanęli, rozbłysła latarka. Na polance zapaliły się światła. Pete zobaczył cadillaca cabrio, sześciu Kubańczyków i zataczającego się białego faceta. Jesús powiedział:

— To jest señor Tom.

Kubańczycy wymachiwali obrzynami. Cadillac był zapchany bagażami i futrami z norek. Jesús wyskoczył i zatrajkotał do swoich ziomali. Pomachali do gringo w volkswagenie.

Norki sięgały drzwi. Z walizki wystawała waluta amerykańska. Pete kapnął się, wiedział już na bank.

Thomas Gordean machał. Machał butelką rumu Demerara. Wylewał z siebie prokomunistyczny słowotok. Połykał słowa. Był pijany prawie do nieprzytomności.

Pete zobaczył pochodnie gotowe do podpalenia. Puskę benzyny na pniu.

Gordean wciąż mamrotał. Wyciągał najbardziej zdarte komunistyczne slogany.

Jesús wmieszał się w Kubańczyków. Znów pomachali do gringo. Gordean zatonął się na maskę cadillaca. Pete prześlizgnął się w pobliże karabinu maszynowego. Kubańczycy odwrócili się i sięgnęli do pasów.

Pete wystrzelił. Jedna seria starczyła, żeby wszyscy upadli na ziemię. Hałas sprawił, że stado ptaków poderwało się z wrzaskiem do góry.

Gordean uderzył o ziemię i zwinął się w kłębek. Kula minęła go o włos.

Kubańczycy umierali kwicząc. Pete zrobił z nich miazgę. Zapach prochu i spalonych wnętrzości dawały odór nie do zniesienia. Pete połał trupy i volkswagena benzyną i podpałił. Skrzynia amunicji kalibru .50 eksplodowała.

Señor Tom Gordean leżał nieprzytomny. Pete wrzucił go na tylne siedzenie cadillaca. Norki tworzyły wygodne posłanie. Sprawdził bagaże. Zobaczył ogromną masę pieniędzy i papierów wartościowych.

Ich samolot odlatywał o świcie. Pete znalazł w schowku mapę samochodową i zaznaczył powrotną drogę do Hawany. Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Osmalone palmy wyznaczały mu drogę.

**D**ojechał na lotnisko przed pierwszym brzaskiem. Życzliwi milicjanci obścąpili El Señora Mitchuma.

Toma Gordeana obudziło szarpanie. Pete napił go rumem z colą, żeby był potulny. Kubańczycy przejęli forszę i futra — żadna niespodzianka.

Pete rozdawał autografy jako Robert Mitchum. Jakiś komunistyczny komisarz eskortował ich do samolotu.

Pilot stwierdził: — Pan nie jest Robertem Mitchumem.

Pete odrzekł: — Pieprzysz, Sherlocku.

Gordean odpadł. Pozostali pasażerowie gapili się na nich — śmierdzieli benzyną i wódką.

Samolot wylądował o 7.00 rano. Wyszedł po nich Kemper Boyd. Wręczył Pete'owi kopertę z pięcioma tysiącami dolarów. Był też jakby trochę zdenerwowany. Za to bardzo wyniosły. Powiedział:

— Dzięki, Pete. Nasz wóz zabierze cię do miasta razem z innymi ludźmi. Za parę dni zadzwonię do ciebie do L.A.

Dostał pięć kawalków. Boyd dostał Gordeana i walizkę pełną akcji. Gordean patrzył zdumiony. Boyd zupełnie nie wyglądał jak Boyd.

Pete wskoczył do czekającej gabloty. Widział, jak Boyd prowadzi Gordeana do magazynu. Opustoszałe lotnisko za miastem... Facet z CIA sam z tym pijakiem...

Myśli zaczęły przelatywać mu przez głowę z cholernie dużą prędkością.

## 25

(Key West, 29 maja 1959)

**M**agazyn miał wielkość pudełka zapalek. A musiał się tu zmieścić stół i dwa krzesła.

Kemper podchodził do Gordeana w aksamitnych rękawiczkach. Przesłuchanie ciągnęło się — delikwent miał delirium tremens.

— Czy pańska rodzina wie, że jest pan w posiadaniu akcji United Fruit?

— Jaka rodzina? Żeniłem się i rozwodziłem więcej razy niż Artie Shaw i Mickey Rooney. Mam kilku kuzynów w Seattle, ale wszystko, co wiedzą, to jak dojść do baru Woodhaven Country Club.

— Kto jeszcze na Kubie wie, że posiada pan te akcje?

— Moi ochroniarze. Ale w jednej chwili pijemy i przygotowujemy się do spalania paru imperialistycznych pól trzciny cukrowej, a w następnej ląduję na tylnym siedzeniu samochodu z tym pańskim kumplem za kółkiem. Przyznaję, że byłem w tangu, i nie bardzo wiem, co się dzieje. Czy ten pana kumpel nosi przy sobie karabin maszynowy?



— Nie sadzę.  
— A ten volkswagen?  
— Panie Gordean...  
— Panie Boyce, czy jak się pan nazywa, o co tu chodzi? Sadza mnie pan w tej ruderze i przeszukuje moją walizkę. Zadaje mi pan pytania. Myśli pan, że ponieważ jestem bogatym amerykańskim biznesmenem, to stoję po waszej stronie? Myśli pan, że nie wiem, jak wy, sukinsyny z CIA, sfalszowaliście wybory w Gwatemali? Miałem właśnie jechać na koktajl z premierem Castro, kiedy załatwił mnie pański kumpel. To *Fidel Castro* jest wyzwolicielem Kuby. Jest miłym człowiekiem i cudownie gra w koszykówkę.

Kemper położył przed nim formularze wydania papierów wartościowych. Były świetnie podrobione — zrobił je znajomy fałszerz.

— Proszę to podpisać, panie Gordean. To zwrot pieniędzy za pański bilet lotniczy.

Gordean podpisał trzy egzemplarze. Kemper poświadczył je notarialnie i opatrzył pieczęciami. Jego kumpel sfalszował również pieczętkę, bez dodatkowej opłaty. Gordean zaśmiał się.

— Człowiek CIA notariuszem. Co za kombinacja.

Kemper wyjął czterdziestkę piątkę i strzelił mu w głowę. Gordean spadł z krzesła. Krew połała się z jednego ucha. Kemper stanął mu na czaszce, żeby zatamować krwotok.

Coś zaszeleściło na zewnątrz. Kemper otworzył drzwi pistoletem. To był Pete Bondurant — z rękami w kieszeniach.

Uśmiechnęli się obaj. Pete narysował w powietrzu „50/50”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.06.1959. Raport podsumowujący:

Kemper Boyd do Johna Stantona.

Oznaczenie: TAJNE/DO RĄK WŁASNYCH.

John,

Zwlekąłem z napisaniem tego raportu z dwóch powodów. Po pierwsze, przed skontaktowaniem się z Tobą chciałem doprowadzić tę sknoconą sprawę do końca. Po drugie, opisuję tu misję, którą (szczerze mówiąc) sam schrzanilem.

Poprosiłeś mnie, żebym dyskretnie wysłał Pete'a Bonduranta na próbną akcję sprawdzającą przydatność jego zatrudnienia w Agencji. Zrobiłem to i posłałem go na Kubę, żeby wyciągnął jednego z bossów United Fruit nazwiskiem Thomas Gordean, którego Teofilio Paez określił jako „zmiennego” i „opowiadającego się za komunistami”. Bondurant odniósł sukces w pierwszej części zadania. Umieściliśmy pana Gordeana w motelu Rusty Scupper w Key West w celu przesłuchania i popełniliśmy błąd, zostawiając go samego. Gordean zabił się

przemycną czterdziestką piątką. Wezwałem policję Key West i Bonduranta i przesłuchałem ich. Koroner ustalił, że Gordean popełnił samobójstwo. Bondurant zeznał, że Gordean był alkoholikiem i przejawiał zachowania depresyjne. Sekcja zwłok wykazała znaczne uszkodzenie wątroby. Jego zwłoki zostały wysłane do dalekiego kuzyna w Seattle (Gordean nie miał bliskiej rodziny).

Gdybyś żądał weryfikacji, skontaktuj się, proszę, z kapitanem Hildrethem z policji Key West. Oczywiście przepraszam za tę porażkę. I zapewniam cię, że nic podobnego nie zdarzy się w przyszłości.

Z poważaniem, Kemper Boyd

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.06.1959. List prywatny:

John Stanton do Kempera Boyda.

Drogi Kemperze,

Oczywiście jestem wściekły. I oczywiście powinieneś być natychmiast poinformować mnie o swoim niepowodzeniu. Dzięki Bogu, że Gordean nie miał bliskiej rodziny, która mogłaby narobić Agencji kłopotu. Wygląda na to, że w pewnym sensie padłeś ofiarą okoliczności. Ostatecznie, jak sam mówiłeś, przede wszystkim jesteś prawnikiem i gliniarzem, nie szpiegiem.

Ucieszy cię wiadomość, że zastępca dyrektora Bissell niemal się przekonał do Twojego pomysłu stworzenia elitarniej kadry do prowadzenia obozu w Blessington. Obóz jest w trakcie budowy. Czterech rekrutów osobiście przez ciebie wybranych (Paez, Obregón, Delsol, Gutierrez) przechodzi dalsze szkolenie w Langley i radzą sobie nieźle. Jak już mówiłem, zastępca dyrektora zaakceptował zatrudnienie Pete'a Bonduranta do prowadzenia obozu. Było to oczywiście przed aferą z Gordeanem. W tej chwili chcę poczekać i zastanowić się nad Bondurantem.

Podsumowując, sprawa z Gordeanem nie podoba mi się, ale nadal podobasz mi się jako agent kontraktowy. Dopóki nie dostaniesz konkretnego polecenia, nie podejmuj żadnych samodzielnych akcji.

John Stanton

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.06.1959. Prywatny list:

Ward J. Littell do Kempera Boyda.

„Zredagować i przekazać Robertowi F. Kennedy'emu.”

Kemper,

Gromadzenie informacji antymafijnych idzie w szybkim tempie. Mam teraz kilka niezależnie zdobytych wskazówek, że rzeczywiście istnieje podwójna (prawdopodobnie zaszyfrowana) księgowość Funduszu Emerytalnego Teamsters. Lenny Sands wierzy w to. Sal D'Onofrio słyszał podobne plotki. Inne

źródła dostarczyły następujących pogłosek: emerytowany chicagowski człowiek mafii prowadzi księgowość; Sam Giancana decyduje o przyznawaniu pożyczek. Mimo że plotki te są tak powszechne, nie mam potwierdzenia. I oczywiście nie będę go miał, dopóki nie znajdę podstawionego kredytobiorcy i nie zdobędę bezpośredniego dojścia do Funduszu.

Zyskałem (18 maja) trzeciego informatora. On właśnie (właściciel klubu striptizowego w Dallas i lichwiarz) poszukuje kredytobiorcy, który zwróciłby się do Sala D'Onofrio, a następnie do Sama Giancany. Uważam, że właśnie ten człowiek będzie moim głównym kapusiem, bo już wcześniej kierował kredytobiorców do Giancany i Funduszu. Dzwoni na numer budki telefonicznej niedaleko mojego mieszkania w każdy wtorek rano. Kilka razy dałem mu pieniądze. Boi się mnie i szanuje jak należy. Podobnie jak Sal D'Onofrio, ma wieczne problemy finansowe. Wierze, że przedzej czy później dostarczy mi odpowiedniego pożyczkobiorcę.

Mam teraz własny fundusz dla informatorów. Pod koniec maja zabezpieczyłem 81 000 \$ pochodzących z niezgłoszonej na policję kradzieży. Z tego zapłaciłem Salowi D'Onofrio 32 000 \$, czym zacieśniłem nasze więzy. Dziwne, ale na początku myślałem, że najbardziej wartościowym informatorem będzie Lenny Sands, jednak zarówno Sal, jak i człowiek z Dallas, okazali się bardziej kompetentni (albo bardziej zdesperowani brakiem pieniędzy?). Winię za to Ciebie, Kemper. Poznanie Lenny'ego z Petem Bondurantem i wprowadzenie go do *Cicho sza!* zaszkodziło moim planom. Lenny wydaje się ostatnio odizolowany. Podróżuje z wycieczkami Sala, robi na czarno dla *Cicho sza!* i wydaje się, że zapomniał, co mi obiecał. Czy rozmawiał z Twoją przyjaciółką Hughes? Jestem tego ciekaw.

Zgodnie z Twoim zaleceniem unikam Courta Meade'a i placówki podsłuchowej. Court i ja formalnie zaniechaliśmy naszych wymian handlowych. Jestem ostrożny, ale nie mogę przestać marzyć. Moje największe marzenie? Administracja prezydencka Johna F. Kennedy'ego z Robertem Kennedym wypełniającym antymafijne wyborcze zobowiązania swojego brata. Boże, Kemper, czy nie byłby to raj? Powiedz panu Kennedy'emu, że modłę się za niego.

Twój WJL

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.07.1959. Prywatny list:

Kemper Boyd do Roberta F. Kennedy'ego.

Drogi Bobie,

Krótki list, żebyś wiedział, czym aktualnie zajmuje się Twój anonimowy współpracownik „Widmo z Chicago”.

Pracuje ciężko i mam nadzieję, że będziesz zadowolony, iż przynajmniej jedna istota ludzka nienawidzi przestępczości zorganizowanej tak bardzo jak ty. Pomimo że ciężko pracuje — zawsze w zgodzie z prawem, do czego go zobowiązałeś — nie osiągnął spektakularnych wyników, jeśli chodzi o znalezienie dowodu na istnienie podwójnej księgowości Funduszu. Mafia chicagowska to zamknięty krąg, a on nie był w stanie dotrzeć do informacji, na które liczył.

Idąc dalej. Czy Ty i Jack macie może zamiar zaproponować mi pracę po wygaśnięciu mandatu Komisji McClellana?

Twój Kemper

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.07.1959. Prywatny list:

Robert F. Kennedy do Kempera Boyda.

Drogi Kemperze,

Dzięki za list o Widmie. Dobrze wiedzieć, że były kleryk z FBI podziela mój antymafijny zapał, jednak największe wrażenie robi na mnie fakt, że on chyba niczego w zamian nie oczekuje. (Jezuici szkolą kleryków w umartwianiu się.) Ty za to chcesz wszystkiego. Cóż, owszem, Jack i ja mamy dla ciebie propozycję. (O szczegółach i pieniądzach porozmawiamy później.)

Chcemy, żebyś pozostał w naszej organizacji na dwóch stanowiskach. Pierwsze to koordynator pracy biurowej Komisji McClellana. Kończy się nasz mandat, ale tak jak Widmo, wciąż jestem pełen zapału. Kontynuujemy nasze działania antymafijne i te skierowane przeciw Hoffie. Bardzo pomógłbyś nam dopilnowując, żeby nasze dowody trafiły we właściwe ręce podczas śledztwa. Po drugiej: Jack w styczniu ogłosi swoją kandydaturę. Chce, żebyś zapewniał bezpieczeństwo w kampanii przed pierwszą turą i, miejmy nadzieję, w listopadzie. Co ty na to?

Bob

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 13.07.1959. Prywatny list:

Kemper Boyd do Roberta F. Kennedy'ego.

Drogi Bobie,

Zgadza się. W przeciwieństwie do Widma, ja chcę wszystkiego. Przygwoźdźmy Jimmy'ego Hoffę i wybierzmy Jacka na prezydenta.

Kemper

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.07.1959. Oficjalny stenogram FBI rozmowy telefonicznej: „Nagrane na życzenie dyrektora”/ „Zaklasyfikowane jako tajne 1-A:

tylko do wiadomości dyrektora”.

Rozmawiają: dyrektor Hoover, agent specjalny Kemper Boyd.

JEH: Dzień dobry, panie Boyd.

KB: Dzień dobry, sir.

JEH: Wspominał pan o dobrych nowinach.

KB: To wspaniałe nowiny, sir. Bracia zatrudnili mnie niemal na stałe.

JEH: W jakim charakterze?

KB: Mam nadzorować w Komisji McClellana zbieranie dowodów dla wielkich ław przysięgłych i agencji śledczych oraz zapewniać bezpieczeństwo podczas kampanii Starszego Brata.

JEH: Zatem Młodszy Brat pozostaje nieprzejednany w kwestii Hoffy.

KB: Prędzej czy później ukrzyżuje go.

JEH: Katolicy są znani z popadania w przesadę z koncepcją ukrzyżowania.

KB: Zgadza się, sir.

JEH: Kontynuujemy kwestię katolickich recydywistów. Czy pan Littell wciąż kroczy prostą ścieżką?

KB: Tak jest.

JEH: Agent specjalny Leahy przesłał mi jego raporty z Czerwonej Drużyny. Wygląda na to, że wykonuje niezłą pracę.

KB: Przestraszył go pan w zeszłym roku. Po prostu chce dotrzeć do emerytury. Jak już mówiłem, popija trochę i jest zaangażowany w romans z Helen Agee.

JEH: Niech pan pozwoli, że wykorzystam słowo „romans” do zmiany tematu. Jak rozwija się pański związek z panną Laurą Hughes?

KB: Nie nazywałbym tego związkiem.

JEH: Panie Boyd, rozmawia pan ze światowym artystą w dziedzinie podstępu. Mimo że jest pan w tym świetny, ja jestem lepszy. Pieprzy pan Laurę Hughes i jestem pewien, że pieprzyłyby pan wszystkie siostry Kennedy i samą starą Rose Kennedy, gdyby mogło to pana zbliżyć do Jacka. A zatem co panna Hughes ma do powiedzenia o rodzinie?

KB: Opowiada anegdotki tylko o ojcu. Jest dość złośliwa w stosunku do Joe i jego przyjaciół.

JEH: Proszę kontynuować.

KB: Najwyraźniej Joe i jego stary przyjaciel Jules Schiffrin w latach dwudziestych przemycali Kubańczyków przez granicę. Kiedy Joe wszedł w posiadanie RKO Studio, mężczyźni zatrudniali jako pomoc na budowie. Joe i Schiffrin wykorzystywali seksualnie kobiety — mieli je jako pomoc domową, połowę pensji zabierali na utrzymanie, później donosili na nie do straży granicznej i deportowali. Schiffrin zabrał wiele z nich do Chicago, gdzie otworzył burdel

obsługujący wyłącznie gangsterów i polityków. Laura mówi, że Joe potajemnie nakręcił film w burdelu. Jest o Długim Hueyu i dwóch kubańskich karlicach z olbrzymimi piersiami.

JEH: Panna Hughes opowiada niezłe anegdoty. Co mówi o braciach?

KB: Jest powściągliwa.

JEH: Tak jak pan.

KB: Przyznaję, lubię ich.

JEH: Myślę, że ustalił pan granice swojej zdrady. Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo jest pan zafascynowany tą rodziną.

KB: Potrafię rozdzielić różne sprawy.

JEH: Wiem, cenię pana za to. Przejdźmy do kubańskich imigrantów. Czy pamięta pan, jak wspominał o dostępie do informacji o kubańskim miejscu odosobnienia?

KB: Oczywiście, sir. Wkrótce prześlę szczegółowy raport.

JEH: Laura Hughes musi pana dużo kosztować.

KB: Słucham?

JEH: Niech pan nie będzie obłudny, Kemper. Jest oczywiste, że zatrudniło pana CIA. Trzy pensje, mistrzu.

KB: Potrafię rozgraniczyć pewne sprawy, sir.

JEH: Oczywiście, że tak, i jestem daleki od niszczenia tej granicy. Miłego dnia, panie Boyd.

KB: Miłego dnia, sir.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.08.1959. Raport dziennikarza *Cicho sza!*:

Lenny Sands do Pete'a Bonduranta.

Pete,

To dziwne, ale wydaje się, że każdy pedzio chce mi się dobrać do tyłka, co mnie tym bardziej zaskakuje, że ostatnio miałem parę przeciętnych raczej występów. Jak wiesz, pracowałem na wycieczce z Salem D'Onofrio. Byliśmy w Reno, Vegas, Tahoe, Gardenie i na paru statkach wycieczkowych na jeziorze Michigan (tych z kasynami). Mam ostatnio dookoła pedziów w bród, istna pedalska parada.

1) — Delores' Drive-In na Wilshire i La Ciénega w L.A, zatrudnia wszystkich kelnerów pracujących na czarno jako męskie prostytutki. Częsty klient: Adlai (Dupa?) Stevenson, dwukrotny kandydat na prezydenta z czerwonymi (różowymi?) odchyleniami, które prawdopodobnie nie spodobałyby się panu Hughesowi. 2) — Dave Garroway z telewizyjnego „Show dnia” dostał właśnie w dupę za zaczepianie młodych chłopców na Times Square w Nowym Jorku. Sprawę wyciszono, ale „Zniewolony Dave”, jak mówią na niego w homoseksualnych kręgach, był widziany w męskim burdelu niedaleko Vegas.

3) — Spotkałem w Tahoe starszego szeregowego oddziałów Marines, obecnie w rezerwie. Powiedział, że zna sierżanta artylerii prowadzącego w obozie Peddleton kółko obrabiające pedziów. Działa to tak: młodzi przystojni żołnierze włączają się po Silverlake i Sunset Strip i podrywają pedziów. Nie idą z nimi na numerki, tylko szantażują i każą sobie płacić. Zadzwońm do tego sierżanta artylerii i wysłałem mu stówkę. Sypnął nazwiskami znanych gejów, do których dobrało się jego Ciota-Komando. Spodoba ci się to: Walter Pidgeon dyma chłopców w luksusowym męskim burdelu w Los Feliz. Brytyjskie bożyszczce panienek Larry (Lala?) Olivier wziął ostatnio w Wilter Theatre prawo w swoje ręce, obmacując nimi funkcjonariusza żandarmerii wojskowej. Inni pędzie namierzeni przez Ciota-Komando to między innymi Danny Kaye, Liberace (to ci dopiero niespodzianka), Monty Clift i dyrygent Leonard Bernstein. No nie, chyba też zauważyłeś? Zaczynam pisać w stylu *Cicho sza!*. Na razie to by było na tyle.

Pozdrawiam, Lenny

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.08.1959. Notatka prywatna:

Kemper Boyd do Johna Stantona.

Oznaczenie: TAJNE/ DO RĄK WŁASNYCH.

John,

Kilka dalszych refleksji na temat Pete'a Bonduranta, postoju Taxi-Tygrys i naszej elitarniej kadry.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że powinniśmy zrobić z Taxi-Tygrys bazę naszych działań na Miami. Podałem tę myśl Fulo Machado (były zwolennik Castro, teraz zdecydowany jego przeciwnik), dyspozytorowi postoju i bliskiemu przyjacielowi agenta kontraktowego Chucka Rogersa. Machado podzielił mój entuzjazm. Zgodził się, żeby Rogers przejął postój jako dyspozytor-szef. Fulo dostał akceptację Jimmy'ego Hoffy, który z całej duszy preferuje na stanowiskach kierowniczych białych. Fulo rekrutuje teraz dla nas na konto postoju. Hoffa wie, że współpraca z Agencją to mądry interes. Widzi Kubę jako naszą wspólną sprawę — pogląd dość światły jak na takiego brutalnego i ograniczonego typu.

Chciałbym zaproponować Fulo Machado na piątego członka naszej kadry. Chciałbym również pozwolić Rogersowi zatrudnić Tomasa Obregóna, Wilfredo Olmosa Delsola, Teofilio Paeza i Ramona Gutiérreza na pełen etat jako kierowników. Mimo że budowa obozu jest prawie skończona, nie mamy kubańskich kandydatów do przeszkolenia. Dopóki nie przybędzie deportowanych, myślę, że nasi ludzie najlepiej się przydadzą, rekrutując wśród kubańskiej społeczności w Miami.

Co do Pete'a Bonduranta. To prawda, razem ze mną spieprzył sprawę Thomasa Gordeana. Ale Bondurant jest już zatrudniony przez Jimmy'ego Hoffę jako egzekutor na postojach. Postarał się również o list od Santo Trafficante, w którym ten osobiście prosi, żeby mafia nie brała odwetu za znacjonalizowanie kasyn w Hawanie. Bondurant przekazał ten list S. Giancanie, C. Marcellowi i J. Rossellemu. Wszyscy zgodzili się z argumentacją Trafficante. I znowu z Agencją dla dobra sprawy współpracują brutalni i krótkowzroczni ludzie.

Bondurant jest również faktycznym wydawcą magazynu skandali, który możemy wykorzystać jako organ kontrwywiadu. I wreszcie uważam, że jest najodpowiedniejszym na tej ziemi człowiekiem do prowadzenia obozu. Przypuszczam, że miejscowi szybko zorientują się, iż jemu nie można podskoczyć.

Co sądzisz o moich propozycjach?

Kemper Boyd

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.08.1959. Prywatny list:

John Stanton do Kempera Boyda.

Kemper,

Trafieś w 1000%. Tak, Machado może dołączyć do kadry. Tak, Rogers może zatrudnić Delsola, Obregóna, Paeza i Gutiérreza jako kierowców. Tak, niech rekrutują w Miami. Tak, niech Pete Bondurant prowadzi Blessington, ale niech nie rzuca pracy u Howarda Hughesa. Hughes może być wartościowym sojusznikiem, a my nie chcemy separować go od Agencji.

Dobra robota, Kemper. John

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.08.1959. Raport teleksowy:

Dział Informacji, Wydział Policji Los Angeles, do agenta specjalnego Warda J. Littella, FBI w Chicago. Przesłane jako „poczta prywatna” na domowy adres agenta specjalnego Littella.

Panie Littell,

W związku z pańskim telefonicznym pytaniem o ostatnie poczynania Salvatore D'Onofrio w Los Angeles, informuję, że:

Wyżej wymieniony znajdował się pod obserwacją jako znana figura świata przestępczego. Widziano go pożyczającego pieniądze od niezależnych lichwiarzy. Przesłuchania tych osobników wykazały, że podmiot obiecywał im „duże sumy gotówki” za kierowanie do niego „wysoko postawionych” kredytobiorców. Podmiot grał również sporo na torze wyścigowym Santa Anita. Oficerowie śledczy słyszeli, jak mówił dopiero co poznanemu człowiekowi: „Właśnie przepuściłem



połowę forsy, którą dostałem od mojego sponsora”.

Zaobserwowano, że podmiot zachowywał się dość niezwykle podczas wycieczki dla hazardzistów w kasynie Lucky Nugget w Gardenie. Jego współtowarzysz, Leonard Joseph Seidelwitz (znany jako Lenny Sands), również znana figura półświatka, był widywany w wielu lokalach rozrywkowych dla homoseksualistów. Warto zauważyć, że występy Seidelwita są coraz bardziej obsceniczne i coraz bardziej ośmieszające homoseksualistów.

Proszę dać mi znać, gdyby potrzebował Pan dalszych informacji.

Kapitan James E. Hamilton Dział Informacji, Wydział Policji Los Angeles

## 26

(Chicago, 23 sierpnia 1959)

Wzmacniacz sprawił, że słowa rozmowy docierały jak grzmot. Littell odbierał mafijne pogawędki. Połączył podsłuchem salon Szalonego Sala z garderobą jego sypialni. Dał na ściany za dużo mikrofonów i głosy dochodziły trochę za bardzo rozedrgane.

Garderoba była duszna i zagracona. Littell pocił się pod słuchawkami.

Rozmawiają: Szalony Sal i „producent filmowy” Sid Kabikoff. Sal poszedł w hazardowe tango. Littell skonfrontował z nim teleks z Wydziału Policji Los Angeles opisujący jego działania. Sal potwierdził, że przepuścił te pięćdziesiąt kawalków, które mu dał.

Sprawa okradzenia schowka na stacji pozostała nierozwiązana — Sal nie wiedział, skąd pochodziła gotówka. Zakład krawiecki wrzał plotkami na ten temat — ale Malvaso i Kaczor jeszcze nie wpadli na trop.

Zadzwoił też Jack Ruby. I oznajmił:

— Mam w końcu faceta dla Sala D. Kandydata do Funduszu Emerytalnego. Jego informatorzy byli w porządku — nie licząc Lenny'ego Sandsa.

Littell zdjął słuchawki. Mówił Kabikoff, a przez wzmacniacz słyhać go było za głośno:

„...a Heshie się chwali, że jego lista minet doszła do dwudziestu tysięcy.”

Szalony Sal: „Sid, żydku, nie przygnałeś tu chyba z pieprzonego Teksasu, żeby tylko o tym poplotkować!”

Kabikoff: „Masz rację, Sal. Przejeżdżałem przez Dallas i pogadałem sobie z Jackiem Rubym. Jack powiedział: «Spotkaj się z Salem, w Chicago. Sal to facet, z którym możesz pogadać w sprawie dużej pożyczki z Funduszu». Mówił jeszcze: «Sal to pośrednik. Ale umówi cię z Momo i tymi, co za nim stoją. Zna dojdzie do tych pieniędzy...».

Szalony Sal: „Mówisz «Momo», jakbyś był nie wiadomo kim”.

Kabikoff: „To tak samo, jak ty mówisz w jidysz. Każdy chce wierzyć, że ma kontakty. Każdy chce się znaleźć w tej sieci”.

Szalony Sal: „Tę sieć masz tutaj, ty tłusty bajglu”.

Kabikoff: „Sal, Sal”.

Szalony Sal: „«Sal, moja wielka braciolo», ty łososiowy kanciarzu. A teraz gadaj, o co tu chodzi, bo musi o coś chodzić. Przecież nie stukasz do drzwi Funduszu z okazji bar micwy swojego bachora”.

Kabikoff: „Chodzi o pornole, Sam. Prawie od roku kręcę w Meksyku pornole. T.J., Juarez, można tam tanio zatrudnić talenty”.

Szalony Sal: „Do rzeczy. Nie pieprz mi tu o swoich podróżach”.

Kabikoff: „Ejże, tworzę tylko klimat”.

Szalony Sal: „Jaki klimat, ty mameluku jeden?”.

Kabikoff: „Sal, Sal. Kręcę teraz pornosy. I nieźle mi idzie. Prawdę mówiąc, za parę dni kręcę nowy w Meksyku. Zatrudnię w nim parę striptizerek z klubu Jacka. Będzie odlotowy — Jack ma u siebie jedną ekstra cizię. Sal, Sal, nie patrz tak na mnie. Chodzi mi o coś takiego: Chcę robić legalne horrory i filmy akcji z obsadą z pornoli, księgować je po dwa w cenie jednego, a za resztę kosztów kręcić pornograficzne gówna. Sal, Sal, nie krzyw się tak. To żyła złota. Odpalę Samowi i Funduszowi 50% z moich zysków *plus* spłata i procent z kasyn. Sal, posłuchaj. Ten układ ma wypisane «żyła złota» zamiast tytułu na afiszu”.

Dwadzieścia sześć sekund ciszy.

Kabikoff: „Sal, przestań patrzeć na mnie bykiem i słuchaj. To interes to pewniak, a ja chcę go ubić z siecią. Wiesz, że w pewnym sensie już od dawna mam z Funduszem coś wspólnego? Widzisz, słyshałem, że Jules Schiffrin prowadzi im księgi. Kapujesz, te prawdziwe, o których ludzie z zewnątrz nie wiedzą. A ja znam Julesa od dawna, jeszcze z lat dwudziestych, kiedy handlował prochami, a z zysku finansował filmy RKO w czasach, gdy RKO miał Joe Kennedy pod sobą. Powiedz Samowi, niech pozdrowi ode mnie Julesa, okej? Żeby

mu tylko przypomnieć, że można mi ufać i że wciąż jestem w sieci”.

Littell postukał w słuchawki. Jezu, kurwa...

„Jules Schiffrin”/”Księgowy Funduszu”/”Prawdziwe księgi”.

Pot sączył mu się do słuchawek — głosy syczały niewyraźnie. Littell pisał to, co słyszał, na ścianie garderoby.

Kabikoff: „...leczę za parę dni z powrotem do Teksasu. Weź moją wizytówkę, Sal. Nie, weź dwie i daj jedną Momo. Wizytówki zawsze robią dobre wrażenie”.

Littell usłyszał pożegnania i trzaśnięcie drzwi. Zdjął słuchawki i wpatrywał się w zapiski na ścianie.

Wszedł Szalony Sal. Wałki tłuszczu trzęsły mu się pod koszulą.

— Jak mi poszło? Musiałem wcisnąć mu trochę gówna, bo nie uwierzyłby, że to naprawdę ja.

— Byłeś dobry. Teraz tylko nie szastaj forszą. Nie dostaniesz ode mnie ani centa, dopóki nie dobiore się do Funduszu.

— Co mam zrobić z Kabikoffem?

— Zadzwońię do ciebie w tygodniu i powiem, czy masz powiedzieć o nim Giancanie.

Sal czknął. — Kręć do L.A. Mam kolejną wycieczkę do Gardeny. Littell wpatrywał się w ścianę. Zapamiętał wszystko co do joty i przepisał do notatnika.

## 27

(Gardena, 25 sierpnia 1959)

Lenny wdzięcznył się i rozdawał całusy. Wycieczkowicze kupowali to — dalej Lenny, brawo.

Lenny nienawidził pedałów. Lenny pożerał pedałów tak, jak Godzilla pożarła Tokio. Lenny pożarł cały lokal Lucky Nugget.

Pete przyglądał się wszystkiemu. Lenny rzucał wicami — ciota Castro obmacuje ciotę Ike'a na Szczycie Pedałów!!!!

— Fidel! W tej chwili zabieraj brodę z mojego krocza! Fidel! Jakie ty masz duuuuże hawańskie cygaro!

Wycieczkowicze uwielbiali to. Uważali to za satyrę polityczną na wysokim poziomie. Ale Pete nudził się. Kiepskie wice i kiepskie piwo — Lucky Nugget to zadupie. Przysłał go tu Dick Steisel. Dick miał problem: ostatnie gówno Lenny'ego było zbyt wulgarne, żeby je wydrukować. Hughesowi i Hooverowi bardzo się spodobało, ale przypadkowo obrażeni homo mogliby zaszkodzić *Cicho sza!*.

— Fidel! Wznówmy kontakty dyplomatyczne! Fidel! Moje hemoroidy pieką mnie jak pole trzciny United Fruit!

Kemper Boyd uważał, że Lenny ma talent. Miał też pomysł: Wzniećmy skierowany przeciw Castro szum w *Cicho sza!*. Lenny mógł pisać takie rzeczy. Lenny kpił kiedyś z Batisty — znał teren i styl, a kubańscy komuniści nie mogli go poznać.

Lenny strzelał dowcipami. Pete śnił na jawie. TA CHWILA zaślśniła w technicolorze.

Martwy Tom Gordean. Uśmiechnięty Boyd. Walizka pełna akcji United Fruit. Ubili interes nad trupem. Wynajęli pokój w motelu, strzelili z pistoletu i ułożyli Gordeana w samobójczej pozie. Głupi gliniarze z Key West kupili tę szaradę.

Boyd sprzedał akcje. Wyszło po 131 000 \$ na głowę. Spotkali się w D.C., żeby podzielić pieniądze. Boyd wtedy powiedział:

— Mogę cię wciągnąć do kubańskich spraw, ale to pewnie będzie trwało parę miesięcy. Muszę jakoś wytłumaczyć, że schrzaniiliśmy zadanie z Gordeanem.

Pete odparł: — Powiedz coś więcej.

— Wracaj do L.A., do pracy w *Cicho sza!* i opiekuj się Howardem Hughesem. Sądzę, że możemy dorobić się na Kubie i naszych wspólnych kontaktach.

Wrócił i tak zrobił. Powiedział Hughesowi, że być może wkrótce zrobi sobie urlop. Hughes był wściekły. Udobruchał go zapasem kodeiny.

Ślinka mu ciekła na myśl o Kubie. Strasznie chciał tam trafić. Santo Trafficante wyostał się z wyspy miesiąc temu i powtarzał, że Castro powinien dostać w dupę za swoje Zbrodnie Przeciwko Zyskom z Kasyn.

Boyd mianował postój taksówek „potencjalną bazą wypadową”. Boyd miał też marzenie przyprawiające go o bicie serca: Jimmy Hoffa sprzedaje Taxi-Tygrys Agencji.

Chuck Rogers dzwonił do niego co tydzień. Mówił, że nie ma problemów z prowadzeniem postojów. Jimmy Hoffa przysyłał mu co miesiąc jego 5% — a on palcem nie kiwnął, żeby na nie zarobić.

Boyd namówił Rogersa na zatrudnienie jego Kubańczyków: Obregóna, Del-sola, Paeza i Gutiérreza. Chuck wylał sześciu *zwolenników* Castro — sukinsyny

odjechali rzucając śmiertelne groźby. Teraz Taxi-Tygrys było w 100% przeciwne Castro.

Lenny zakończył występ — numerem o Adlaiu Stevensonie, Królu Dupaińców. Pete wyszedł podczas owacji na stojąco.

Wycieczkowicze kochali swojego Lenny'ego. Lenny przeciskał się między nimi jak uwielbiana primadonna.

Pik, pik, pik — w głowie zapaliło mu się światełko. Wpadł na pomysł: śledźmy tego kurdupla.

Pojechali na północ, oddzieleni trzema samochodami. Packard Lenny'ego miał długą antenę — Pete kierował się za nią. Jechali Western Avenue prosto do L.A. Lenny skręcił na zachód w Wilshire i na północ w Doheny. Ruch zmniejszył się — Pete trzymał się z tyłu i trochę mu odpuścił.

Lenny skręcił na wschód w Santa Monica. Pete patrzył na bary dla pedałów — 4-Star, Klondike, kilka nowych. Była to swego rodzaju podróż sentymentalna — w czasach, gdy był szeryfem, znał wszystkie tutejsze meliny.

Lenny trzymał się krawężnika, jadąc wolniutko. Minął Tropics, Orchideę i Larry's Lasso Room.

Lenny, kurwa, nie obnoś się tak przesadnie i otwarcie z tą swoją nienawiścią.

Pete trzymał się w odległości dwóch samochodów. Lenny wjechał na parking za Nat's Nest.

Wielki Pete miał wzrok jak rentgen. Wielki Pete był jak Superman i Zielony Szerszeń. Okrążył kwartał i wjechał na parking. Samochód Lenny'ego stał zaparkowany przy tylnych drzwiach.

Pete napisał kartkę.

*Jak Ci się poszczęści, odeślij go potem. Spotkajmy się w Stan's Drive-In w Sunset & Highland. Będę czekał aż do zamknięcia baru.*

*Pete B.*

Wetknął kartkę za wycieraczkę Lenny'ego. Obok przeszedł pedał i omiół go wzrokiem od stóp do głów.

Pete zjadł w samochodzie. Zamówił dwa hamburgery z chilli, frytki i kawę. Kelnerki jeździły na wrotkach. Nosiły staniki i rajstopy w lamparcie cętki. Gail Hendee nazywała go podglądaczem. Zawsze go brało, kiedy kobiety przypadkiem przyłapały go, jak się na nie gapi. Te kelnerki nieźle wyglądały. Wożenie tac na wrotkach trzymało je w formie. Blondynka dźwigająca deser na gorąco nadawałaby się do szantażów.

Pete zamówił ciasto brzoskwińowe z bitą śmietaną. Przyniosła mu je blondynka. Wtedy też zobaczył, jak Lenny podchodzi do samochodu.

Otworzył drzwi po stronie pasażera i wślizgnął się.

Wyglądał na całkowicie opanowanego. Primadonna skurczyła się do rozmiarów muszki owocówki.

Pete zapalił papierosa.

— Powiedziałeś, że jesteś zbyt sprytny, żeby ze mną zadzierać. Czy to aktualne?

— Tak.

— Czy właśnie *to* mają na ciebie Kemper Boyd i Ward Littell?

— „To”? Tak, „to”.

— Nie wierzę w to, Lenny, i nie sądzę, żeby na dłuższą metę obchodziło to Sama Giancanę. Pewnie mógłbym w tej chwili do niego zadzwonić i powiedzieć: „Lenny Sands pieprzy się z chłopakami”. Przez chwilę by go to szokowało, a potem przyzwyczaiłby się. Gdyby Boyd i Littell próbowali blefować, myślę, że miałbyś tyle rozumu, żeby im odpyskować.

Lenny wzdrygnął się.

— Littell mówił, że powie Samowi i Glinom. Pete wrzucił niedopałek do szklanki z wodą.

— Nie wierzę. A teraz, widzisz tę brunetkę na wrotkach?

— Widzę.

— Chcę, żebyś powiedział mi, czym przycisnął cię Boyd i Littell, zanim ona dojedzie do tego niebieskiego szewroleta.

— A jeśli nie pamiętam?

— To wyobraź sobie, że wszystko, co o mnie słyszałeś, to prawda. Lenny uśmiechnął się znów jak primadonna.

— Zabiłem Tony'ego Iannone'a i Littell tym mnie zaszantażował. Pete zagwizdał.

— Jestem pod wrażeniem. Tony był twardzielem.

— Nie żartuj sobie, Pete. Powiedz, co masz zamiar z tym zrobić.

— Odpowiedź brzmi: „nic”. Żadne twoje gówniane sekrety nie pójdą w świat.

— Spróbuję w to uwierzyć.

— No to uwierz, że Littell i ja znamy się dość długo i nie lubię go. Z Boydem jakoś się dogadujemy, ale Littell to co innego. Nie mogę go przycisnąć, nie wkurzając przy tym Boyda, ale jeśli kiedykolwiek będzie dla ciebie zbyt ostry, daj mi znać.

Lenny nastroszył się.

— Nie potrzebuję protektora. Nie jestem tego rodzaju...

- Kelnerki jeździły zygzakami. Pete uchylił okno i wpuścił trochę powietrza.
- Masz referencje, Lenny. Co robisz w wolnym czasie, to twoja sprawa.
  - Bystry z ciebie facet.
  - Dzięki. A teraz może zechciałbyś mi powiedzieć, na kogo albo na co doniosłeś Littellowi?
  - Nie.
  - Tylko „nie”?
  - Chcę pracować dla ciebie. Powiedz swoje i wypuść mnie stąd już, okej?
- Pete zablokował drzwi pasażera.
- Żadnych pedalskich bzdur dla *Cicho sza!* od dzisiaj. Teraz piszesz tylko kawałki nastawione anty-Castro i antykomunistycznie. I chcę, żebyś pisał bezpośrednio dla magazynu. Dostarczę ci trochę informacji, a resztę gówna wymyślisz. Byłeś na Kubie i znasz poglądy pana Hughesa. Skorzystaj z tego.
  - To wszystko?
  - Chyba że masz ochotę na kawę i ciastko.

**L**enny Sands pieprzy facetów. Howard Hughes pożycza pieniądze bratu Dicka Nixona. Gówniane sekrety.

Wielki Pete potrzebował kobiety. Doświadczenie w wymuszaniu przy pomocy szantażu mile widziane, ale niekonieczne.

- T**elefon zadzwonił cholernie wcześniej. Pete sięgnął po słuchawkę.
- Tak?
  - Tu Kemper.
  - Kemper, cholera, wiesz, która godzina?
  - Zatrudniają cię, Pete. Stanton daje ci natychmiastowy kontrakt. Będziesz prowadził obóz w Blessington.
- Pete przetarł oczy.
- To oficjalnie, a między nami?
  - Będziemy ułatwiać współpracę między CIA a zorganizowaną przestępczością.

(Nowy Jork, 26 sierpnia 1959)

Joe Kennedy rozdawał spinki do krawatów z prezydencką pieczęcią. Apartament Carlyle nabrał fałszywie prezydenckiego blasku.

Bobby wyglądał na znudzonego. Jack był rozbawiony. Kemper wpiął spinkę.

Jack rzekł: — Dowiedziałem się, że Kemper jest złodziejem.

Bobby spytał: — Pamiętasz, że przyszliśmy tu, żeby omówić kampanię?

Kemper zdjął nitkę ze spodni. Miał na sobie jasny garnitur i białe półbuty. Joe powiedział, że wygląda jak lodziarz po pracy. Laurze podobało się to ubranie. Kupił je za pieniądze ze skradzionych akcji. Idealny strój na letni ślub. Joe powiedział:

— Te spinki dał mi Frank Delano Roosevelt. Trzymałem je, bo wiedziałem, że kiedyś będę gospodarzem takiego spotkania jak dzisiejsze.

Joe chciał, żeby było to wydarzenie. Lokaj ustawił przekąski na stoliku obok foteli. Bobby zdjął swój krawat.

— Moja książka będzie wydana w lutym, około miesiąca po deklaracji Jacka, w limitowanej edycji. Wydanie masowe wyjdzie w lipcu, akurat na konwencję. Mam nadzieję, że opiszę walkę z Hoffą we właściwych proporcjach. Nie chcemy, żeby powiązania Jacka z Komisją McClellana zaszkodziły mu w pracy.

Jack roześmiał się.

— Ta przeklęta książka zabiera ci cały czas. Powinieneś zatrudnić kogoś, kto by ci ją napisał. Ja tak zrobiłem i dostałem Nagrodę Pulitzera.

Joe posmarował kawiozem krakersa.

— Słyszałem, że Kemper chce, żeby usunąć jego nazwisko z tekstu. To niedobrze, bo mógłbyś zatytułować książkę *Lodziarz pośród nas*.

Kemper bawił się swoją spinką.

— Nienawidzi mnie milion złodziei samochodów, panie Kennedy. Wolalbym, żeby nie wiedzieli, czym się obecnie zajmuję.

— Kemper woli działać z ukrycia — wtrącił Jack.

Joe dodał:

— Tak, a Bobby mógłby się tego od niego nauczyć. Mówiłem to wcześniej tyście razy i powtórzę jeszcze z tysiąc. Ta nagonka na Jimmy'ego Hoffę i mafię to kupa gówna. Pewnego dnia będziesz potrzebował głosów tych ludzi w wyborach,



a teraz pogarszasz jeszcze sytuację, pisząc książkę o ściganiu ich przez tę przekłętą Komisję. Kemper nie odkrywa swoich kart, Bobby. Mógłbyś się tego od niego nauczyć. Bobby zachichotał.

— Ciesz się tą chwilą, Kemper. Tata raz na dziesięć lat staje po przeciwnej stronie niż jego dzieci.

Jack zapalił cygaro.

— Sinatra ma kumpli wśród tych gangsterów. Gdybyśmy ich potrzebowali, on może być pośrednikiem.

Bobby walnął w siedzenie.

— Frank Sinatra to tchórzliwa marionetka z półświatka, a ja nigdy nie będę wchodził w układy z gangsterami.

Jack przewrócił oczami. Kemper zrozumiał to jako sygnał do zagrania roli pośrednika.

— Myślę, że ta książka daje nam pewne możliwości. Sądzę, że możemy zdobyć trochę punktów, rozprawdzając ją wśród członków związku na zebraniach przedwyborczych. Podczas pracy w Komisji nawiązałem wiele kontaktów z osobami stojącymi na straży prawa i myślę, że podkreślając działania Jacka na rzecz zapobiegania przestępczości, możemy zawiązać koalicję z podającymi się za Republikanów adwokatami.

Jack wydmuchiwał kólecčka z dymu.

— To Bobby walczy z gangsterami, nie ja.

— Byłeś w Komisji — przypomniał Kemper.

Bobby uśmiechnął się.

— Sportretuję cię jak bohatera, Jack. Nie wspomnę, że ty i tata od początku dość łagodnie traktowaliście Hoffę.

Wszyscy się roześmiali. Bobby wziął pełną garść koreczków. Jack odchrząknął.

— Kemper, zaprosiliśmy cię na to spotkanie głównie po to, żeby porozmawiać o J. Edgarze Hooverze. Powinniśmy omówić sytuację teraz, bo wydają dziś wieczorem kolację w Pavillon i muszę się przygotować.

— Masz na myśli akta Hoovera, w których ma was wszystkich?

Jack skinął głową.

— Myślałem głównie o moim romansie z czasów wojny. Słyszałem, że Hoover jest przekonany, iż ta kobieta była faszystowskim szpiegiem.

— Chodzi ci o Inę Arvad?

— Tak.

Kemper wziął od Bobby'ego jeden koreczek.

— Owszem, pan Hoover ma to udokumentowane. Chwalił się już wiele lat temu. Mogę coś zaproponować i oczyścić atmosferę?

Joe potaknął. Jack i Bobby usiedli na brzegach foteli. Kemper pochylił się w ich stronę.

— Jestem pewien, że pan Hoover wie, iż pracowałem dla Komisji. Jestem przekonany, iż jest rozczarowany, że nie byłem z nim w kontakcie.

Pozwólcie mi odnowić znajomość i powiedzieć mu, że pracuję dla was. Zapewnię go, że Jack nie odwoła go ze stanowiska dyrektora FBI, jeśli zostanie wybrany na prezydenta.

Joe skinął głową. Jack i Bobby również.

— Myślę, że to sprytny a ostrożny ruch. Korzystając z tego, że mam głos, chciałbym poruszyć temat Kuby. Eisenhower i Nixon zdeklarowali się jako przeciwnicy Castro i myślę, że Jack powinien zapewnić sobie jakieś dowody na to, że również jest przeciw Fidelowi.

Joe bawił się swoją spinką do krawata.

— Wszyscy zaczynają nienawidzić Castro — zauważył. — Nie sądzę, żeby Kuba była aż tak istotnym tematem.

Jack rzucił: — Tato ma rację. Ale myślę, że mógłbym tam wysłać paru marines, gdyby mnie wybrali.

— *Kiedy* cię wybiorą — poprawił Joe.

— Zgadza się. Wyślę paru marines, żeby oswobodzili burdele. Kemper może poprowadzić oddziały. Ustanowię go hetmanem w Hawanie.

Joe mrugnął. — Nie zapomnij swojej buławy, Kemper.

— Nie zapomnę. A na poważnie, będę was informował o kubańskim froncie. Znam paru byłych członków FBI z dobrymi wtyczkami wśród przeciwników Castro.

Bobby odgarnął włosy z czoła.

— A propos FBI, jak tam Widmo?

— Jest wytrwały. Szuka księgowości Funduszu, ale nie robi zbyt dużych postępów.

— Zaczynam odnosić wrażenie, że jest żaloszny.

— Możesz mi wierzyć, że nie.

— Mogę się z nim spotkać?

— Nie, dopóki nie przejdzie na emeryturę. Boi się pana Hoovera.

Joe dodał: — Tak jak my wszyscy.

Parsknęli śmiechem.

**S**t.Regis przypominał Carlyle w trochę mniejszej skali. Apartament Kempera był trzy razy mniejszy niż Kennedych. Zatrzymał pokój w skromnym hotelu na Zachodniej 40 — Jack i Bobby tam się z nim kontaktowali.

Na zewnątrz było duszno i gorąco. W apartamencie miał 20° C.

Kemper napisał kartkę do pana Hoovera. Obwieścił mu: „Jest już pewne, że w przypadku wybrania na prezydenta, Jack Kennedy nie wyrzuci pana”. Potem zabawił się w „adwokata diabła” — jak zwykle po konferencji z Kennedyami.

Niedowiarkowie kwestionowali jego podróże. Niedowiarkowie kwestionowali jego skomplikowane powiązania. On sam zastawiał na siebie logiczne pułapki i znakomicie je rozwiązywał.

Dziś wieczorem spotkał się z Laurą — kolacja i recital w Carnegie Hall. Wyśmiewała styl pianisty i bez końca ćwiczyła jego popisowy kawalek. Była jak kwintesencja Kennedych: rywalizuj, ale nie pokazuj się publicznie, jeśli nie możesz wygrać. Laura była w połowie Kennedy i była kobietą — czuła ducha rywalizacji, ale nie musiała poddawać się wymaganiom rodziny. Jej przyrodnie siostry powychodziły za kobieciearzy i były im wierne; Laura miała romanse. Laura mówiła, że Joe Kennedy kocha swoje córki, ale w głębi ducha uważa je za prostacki.

Był z Laurą od siedmiu miesięcy. Kennedy nie mieli o tym pojęcia. Powie im, kiedy się formalnie zaręczą. Będą zszokowani, a potem odetchną. Darzyli go zaufaniem i wiedzieli, że potrafi rozgraniczać pewne sprawy.

Laura uwielbiała mężczyzn z jajami i sztukę. Była samotna — nie miała żadnych prawdziwych przyjaciół poza Lennym Sandsem. Była przykładem na wszechstronność kontaktów Kennedych: powiązany z mafią aktorzyzna uczy wymowy Jacka i przyjaźni się z jego przyrodnią siostrą. Taka przyjaźń stanowiła pewne ryzyko. Lenny mógł mówić Laurze o pewnych sprawach. Mógł opowiedzieć jej ohydne historie.

Laura nigdy nie wspominała o Lennym — mimo że to on doprowadził do ich spotkania. Prawdopodobnie rozmawiali przez telefon.

Lenny był impulsywny. Rozzłoszczony albo przestraszony, mógłby powiedzieć: „Pan Boyd kazał panu Littellowi mnie uderzyć. Pan Boyd i pan Littell to okropni szantażyści. Pan Boyd dał mi pracę w *Cicho sza!* — a to paskudne zajęcie”.

Najbardziej obawiał się Lenny'ego pod koniec kwietnia.

Przesłuchania w Boynton Beach ujawniły, że dwóch ludzi może stanowić zagrożenia dla bezpieczeństwa: człowiek molestujący dzieci i homoseksualny alfons. Wytyczne CIA brzmiały: zlikwidować. Zabrał ich na Everglades i zastrzelił. Alfons przeczuł, co się dzieje, i skamlał. Strzelił mu w usta, żeby uciszyć jęki. Powiedział potem Claire, że zabił z zimną krwią dwóch mężczyzn. Odpowiedziała mu antykomunistycznymi sloganami. Alfons przypominał mu Lenny'ego. Uruchoił „adwokata diabła”, z którego Kemper nie mógł się wyplątać.

Lenny mógł zniszczyć go w oczach Laury. Dalszy przymus mógł się na nim odbić — Lenny był impulsywny. Proste rozwiązanie nie istniało. Poskutkować mogło jedynie ograniczenie samotności Laury — będzie mniej skłonna do kontaktów z Lennym.

W połowie maja przywiózł z Tulane Claire i przedstawił je sobie. Claire była nią zachwycona — dziesięć lat starszą mądrą z wielkiego miasta. Zaczęła się przyjaźń — dziewczyny godzinami gadały przez telefon. Claire od czasu do czasu przyjeżdżała do Laury na weekend wypełniony koncertami i wycieczkami do muzeów.

Podróżował, żeby zarobić na swoje trzy pensje. Jego córka dotrzymywała towarzystwa jego przyszej narzeczonej.

Laura opowiedziała całą swoją historię Claire. Claire prowokowała do pełnej otwartości. Claire była wniebowzięta — jej tata może być kogoś dnia szwagrem prezydenta.

Na razie naganiał ewentualnemu przyszelemu prezydentowi kobiety. Jack wszedł w posiadanie jego czarnego notesu i w ciągu sześciu miesięcy przeleciał sto kobiet. Sally Lefferts nazwała go wręcz gwałcicielem. „Wciąga cię w róg i czaruje, aż nie masz siły. Przekonuje cię, że odmówienie mu równa się przyznaniu, że jesteś najmniej wartościową kobietą na świecie.” Zawartość czarnego notesu prawie się już wyczerpała. Pan Hoover mógłby mu kazać umówić Jacka z dziewczynami na usługach FBI. To było prawdopodobne. Gdyby kampania Jacka się powiodła, pan Hoover mógłby po prostu powiedzieć „ZRÓB TO”...

Zadzwoił telefon. Kemper podniósł po drugim dzwonku.

— Tak?

Międzymiasstowa.

— Kemper? Tu Chuck Rogers. Jestem na postoju, zdarzyło się coś, o czym powinieneś wiedzieć.

— Co?

— Zwolennicy Castro, których wylałem, przyjechali zeszłej nocy i ostrzelali postój. Mieliliśmy cholerne szczęście, że nikt nie został ranny. Fulo uważa, że mają gdzieś w pobliżu metę.

Kemper wyciągnął się na kanapie.

— Przyjadę za parę dni. Załatwimy to.

— Jak?

— Chcę przekonać Jimmy'ego, żeby sprzedał postój Agencji. Zobacysz. Jakoś się z nim dogadamy.

— Lepiej szybko się decydujcie. Lepiej nie tracić twarzy przed społecznością kubańską przez pozwalanie komuchom na strzelanie do nas.

— Jeszcze o nas usłyszą, Chuck. Nie będziesz rozczarowany.

Kemper otworzył własnym kluczem. Laura zostawiła otwarte drzwi na taras — Central Park migotał światłami koncertowymi.

To było aż za proste i za piękne. Widział kubańskie zdjęcia z rekoniesansu, które wręcz zawstydzaly. Było na nich widać budynki United Fruit podpalone nocą. Zdjęcia były po prostu fascynujące...

Coś go tknęło: *Sprawdź rachunki telefoniczne Laury.*

Przeszukał szuflady w jej gabinecie i znalazł. W ciągu ostatnich trzech miesięcy dzwoniła do Lenny'ego Sandsa jedenaście razy.

Coś mu powiedziało: *Pozbądź się wątpliwości.*

Najprawdopodobniej nic to nie oznaczało. Laura nigdy nie wspominała o Lennym ani nie zachowywała się podejrzanie.

Coś podszeptało: *Niech sama ci powie.*

Usiedli nad martini. Laura była opalona po długim dniu zakupów. Spytała: — Jak długo czekałeś? Kemper odpowiedział: — Około godziny.

— Dzwoniłam do St.Regis, ale facet w centrali powiedział, że już wyszedłeś.

— Chciałem się spacerować.

— W taki upał?

— Musiałem sprawdzić, czy nie ma do mnie wiadomości w innym hotelu.

— Mogłeś zadzwonić do recepcji i spytać.

— Lubię co jakiś czas się tam pokazać.

Laura zaśmiała się.

— Mój kochanek jest szpiegiem.

— Nie całkiem.

— Co pomyślałaby moja podróbka rodziny, gdyby dowiedzieli się, że masz apartament w St.Regis?

Kemper roześmiał się.

— Uważaliby, że próbuję ich naśladować, i zastanawialiby się, jak sobie mogą na to pozwolić.

— Sama się zastanawiałam. Twoje zarobki w FBI i pensja od rodziny nie są zbyt wysokie.

Kemper położył dłoń na jej kolanie.

— Poszczyściło mi się na giełdzie. Już ci mówiłem, Lauro, że jeśli jesteś ciekawa, to pytaj.

— Dobrze, będę. Nigdy wcześniej nie wspominałeś o spacerach, więc dlaczego poszedłeś się przejść w najgorętszy dzień w roku?

Kemper postarał się, by oczy zasnuły mu się mgłą.

— Myślałem o moim przyjacielu Wardzie i naszych spacerach nad jeziorem w Chicago. Ostatnio brakuje mi go i chyba pomylił mi się klimat Chicago z Manhattanem. Co się stało, jesteś smutna?

— Nic takiego.

Złapała przynętę. Jego gadka o Chicago i przyjacielu trafiła do niej.

— Akurat: „Nic takiego”. Lauro...

— Naprawdę nic się nie stało.

— Lauro...

Odsunęła się od niego.

— Kemper, *nic się nie stało*.

Kemper westchnął. Udawał, że jest zły i rozczarowany.

— To nieprawda. Chodzi o Lenny'ego Sandsa. Coś, co powiedziałem, przypomniało ci o nim.

Laura rozluźniła się. Wyraźnie kupiła jego gadkę.

— Nie powiedziałeś mi wszystkiego, gdy rozmawialiśmy o Lennym, a ja nie wspominałam o nim, żebyś się nie przejmował.

— Czy Lenny powiedział ci, że mnie zna?

— Tak, i wspominał, nie rzucając nazwiska, innego faceta z FBI. Nie podał żadnych szczegółów, ale domyśliłam się, że boi się was obu.

— Wyciągnęliśmy go z kłopotów. A on za to zapłacił. Chcesz wiedzieć jak?

— Nie. Nie chcę wiedzieć. Lenny żyje w paskudnym świecie... i... chodzi o to, że *ty* mieszkasz w apartamentach hotelowych i pracujesz dla mojej prawie rodziny i Bóg wie kogo. Po prostu chciałabym, żebyśmy byli wobec siebie bardziej otwarci.

Jej oczy przekonały go, żeby to zrobić. Było to śmiertelnie ryzykowne, niemal godne legendy. W końcu powiedział:

— Załóż tę zieloną sukienkę, którą ci dałem.

**P**avillon lśnił od jedwabiu, brokatów i blasku świec. Goście przyszli ubrani w najbardziej wyszukane stroje.

Kemper wsunął *maître d'* sto dolarów. Kelner zaprowadził ich do prywatnego pokoju rodziny.

Czas stanął w miejscu. Kemper ustawił się obok Laury i otworzył drzwi.

Joe i Bobby spojrzeli na nich i zastygli. Ava Gardner wolno postawiła na stole szklankę. Jack uśmiechnął się. Joe upuścił widelec. Jego suflet prysnął na boki. Ava Gardner miała sos czekoladowy na przedzie sukienki. Bobby wstał

i zacisnął pięści. Jack złapał go za pas i posadził na krześle. Roześmiał się. Powiedział coś w rodzaju: „Ten to ma jaja zamiast mózgu”.

Od Joe i Bobby'ego aż biła wściekłość.

Czas stanął w miejscu. Ava Gardner wyglądała jak rażona piorunem.

## 29

(Dallas, 27 sierpnia 1959)

Wynajął apartament w hotelu Adolphus. Sypialnia wychodziła na południową stronę Commerce Street i klub Carousel Jacka Ruby'ego.

Kemper Boyd zawsze mówił: NIE ŻAŁUJ PIENIĘDZY NA ZAKWATEROWANIE PODCZAS ŚLEDZTWA.

Littell obserwował drzwi wejściowe przez lornetkę. Była czwarta po południu i aż do szóstej nie przewidywano żadnych występów striptizerek. Sprawdził rezerwację lotu z Chicago do Dallas. Sid Kabikoff przyleciał tu wczoraj. Po drodze miał wynająć samochód. Celem jego podróży było McAllen w Teksasie — mała dziura na granicy z Meksykiem. Przyleciał tu, żeby nakręcić pornola. Powiedział Szalonemu Salowi, że robi ten film ze striptizerkami Jacka Ruby'ego.

Littell udawał chorego. Rozmawiał z Leahym kaszląc. Kupił bilet lotniczy na fałszywe nazwisko — Kemper Boyd zawsze mówił: NIE ZOSTAWIAJ PO SOBIE ŚLADÓW.

Kabikoff powiedział Szalonemu Salowi, że istnieje „prawdziwa” księgowość Funduszu. Mówił też, że trzymają Jules Schiffrin. I że Jules Schiffrin znał Joe Kennedy'ego. Musiała to być czysto służbowa znajomość. Joe Kennedy utrzymywał szerokie kontakty w interesach.

Littell obserwował drzwi. Rozboląła go już od tego głowa. Pod klubem Carousel formowała się grupa. Trzej mięśniacy i trzy tandetnie ubrane kobiety. I Sid Kabikoff we własnej osobie — tłusty i spocony.

Przywitali się i zapalili papierosy. Kabikoff, zaaferowany, wymachiwał rękami. Jack Ruby otworzył drzwi. Wybiegł z nich jamnik i zrobił kupę na chodniku. Ruby kopnął gównem do rynsztoka.

Grupa weszła do środka. Littell pomyślał o rekonesansie od strony tylnego wejścia.

Tylne drzwi, zamykane na haczyk, miały szparę między skrzydłem a futryną. Obok sali klubowej znajdowała się garderoba.

Przeszedł przez ulicę i przespacerował się po parkingu. Zobaczył tylko jeden samochód: forda rocznik 56 ze złożonym dachem.

Dowód rejestracyjny przyczepiono do deski rozdzielczej. Właścicielem był jakiś Jefferson Davis Tippit.

Psy ujadają. Ruby powinien nazwać klub „Psiarnią”. Littell podszedł do drzwi i podważył haczyk szczyrykiem.

Było ciemno. Smuga światła wpadała do garderoby. Na palcach podszedł do źródła blasku. Poczul zapach perfum i psich odchodów. Światło dochodziło zza uchylonych drzwi łączących przebieralnię z klubem. Usłyszał przeplatające się głosy. Rozpoznał Ruby'ego, Kabikoffa i człowieka z silnym teksańskim akcentem.

Spojrzał pod światło przymrużonymi oczami. Zobaczył Ruby'ego, Kabikoffa i umundurowanego gliniarza z Dallas — stali przy scenie dla striptizerek.

Littell wyciągnął szyję. Zobaczył więcej. Korytarz był zatłoczony. Dostrzegł cztery dziewczyny i czterech chłopaków, wszystkich zupełnie nagich. Odezwwał się Ruby:

— J.D., czyż oni nie są wspaniali?

Gliniarz odpowiedział: — W zasadzie pociągają mnie tylko kobiety, ale trudno zaprzeczyć.

Chłopcy wywołali u siebie erekcję. Dziewczyny wdychały i jęczały. Trzy jamniki gonili się po korytarzu. Kabikoff zachichotał.

— Jack, jesteś lepszym łowcą talentów niż wszyscy spece od castingów razem wzięci. Idealnie, Jack. Nie mam nic do zarzucenia tym ślicznotkom.

J.D. spytał: — Kiedy się spotkamy?

— Jutro po południu — odparł Kabikoff — powiedzmy o drugiej.

W kafejce w motelu Sagerbrush w McAllen i prosto stamtąd pojedziemy na plan. Co za casting! Wszystkie powinny przebiegać tak gładko!

Jeden chłopak miał na penisie tatuaż. Dwie dziewczyny nosiły blizny od noża i siniaki. Psy zaczęły się gryźć. Ruby wrzasnęła:

— Spokój, dzieciaki!

Littell zamówił kolację do pokoju — stek, sałatka Cezara i Glenlivet. Na rozrzutność pozwalały mu pieniądze z kradzieży — było to bardziej w stylu Kempera, niż jego własnym.



Trzy drinki wyostrzyły mu instynkt. Po czwartym nabrał pewności. Jeszcze jeden na dobranoc sprawił, że zadzwonił do Szalonego Sala w L.A. Sal marudził jak dziecko:

— Potrzebuję pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy.

Littell odpowiedział: — Spróbuję dać ci więcej.

Sal: — Postaraj się.

Littell: — Chcę, żebyś wysłał Kabikoffa po pożyczkę z Funduszu. Zadzwon do Giancany i umów was na spotkanie. Po trzydziestu sześciu godzinach zadzwon do Sida i potwierdź.

Sal zakrzuszył się. Wyraźnie się bał.

Littell dodał:

— Spróbuję dać ci więcej pieniędzy.

Sal zgodził się. Littell odłożył słuchawkę, zanim tamten znów zaczął jęczeć. Nie powiedział Salowi, że kradzionych pieniędzy było już tylko osiem tysięcy.

Littell zamówił budzenie na drugą w nocy. Modlił się długo — Bobby Kennedy miał liczną rodzinę.

**P**odróż trwała jedenaście godzin. Przyjechał do McAllen szesnaście minut przed czasem. Południowy Texas był gorący i wilgotny. Littell zjechał z autostrady i sprawdził, co ma na tylnym siedzeniu.

Czysty notes, dwanaście rolek taśmy klejącej i polaroid z obiektywem Rolliflexa dalekiego zasięgu. Miał czterdzieści rolek kolorowego filmu, maskę narciarską oraz przemyconą z FBI lampę błyskową. Kompletny przenośny zestaw do gromadzenia dowodów.

Ruszył dalej. Zauważył motel Sagerbrush: bungalowy wokół podwórka ustawiono w kształcie podkowy. Zjechał i zaparkował przed kafejką. Wrzucił luz i udawał, że majstruje coś przy klimatyzacji.

J.D. Tippit przyjechał o 14.06. Jego samochód był przeładowany: sześciu chłopaków z pornola i kamera sterująca z tyłu. Wszli do kafejki. Littell w tej samej chwili pstryknął zdjęcie. Aparat zawarczał. Po niecałej minucie trzymał w rękach wywołaną fotografię.

Zadziwiająca...

Kabikoff podjechał i zatrąbił. Littell sfotografował jego tylną tablicę rejestracyjną. Tippit i chłopcy wyszli z napojami w dłoniach. Wsiedli do samochodów i pojechali na południe. Littell policzył do dwudziestu i pojechał za nimi. Ruch był niewielki — nie minęło pięć minut i już byli przy granicy.

Strażnik machnął ręką, żeby przejechali. Littell zrobił kolejne zdjęcia sytuacyjne: dwa samochody łamiące prawo federalne.

Meksyk był zakurzonym przedłużeniem Teksasu. Mijali wsie z domami z blachy. Jakiś samochód wcisnął się za Tippita. Littell schował się za nim. Wjechali na krzaczaste wzgórze. Littell skoncentrował się na antenie samochodowej J.D. Droga była w połowie żwirowa, w połowie asfaltowa — żwir pryskał spod kół.

Kabikoff skręcił w prawo przy znaku: Domicilio de Estado Policia. „Siedziba Policji Państwowej” — łatwe do przetłumaczenia. Tippit trzymał się za Kabikoffem. Samochody otaczały tumany kurzu. Wspięły się zygzakiem po zboczu kamiennego wzgórza.

Littell pozostał na głównej drodze. Zobaczył kilka drzew w odległości pięćdziesięciu metrów od zbocza góry — zbita kępa sosen, zza której można było fotografować. Zaparkował z dala od drogi. Spakował sprzęt do worka marynarskiego i przykrył samochód gałęziami sosny i mchem.

Zza wzniesienia dobiegło go jakieś echo. „Plan zdjęciowy” musiał znajdować się tuż za wzgórzem. Ruszył śladem odgłosów. Taszczył worek ze sprzętem po prawie prostopadłym stoku.

Ze szczytu widać było zaśmieconą polanę. Jego punkt obserwacyjny był diabelnie dobry. „Siedziba”, gdzie miała odbyć się sesja, była rudera z blaszanym dachem. Obok parkowały samochody policji — szewrolety i stare hudsony hornety. Tippit dźwigał blaszane pudła z taśmą. Tłusty Sid przekupywał meksykańskich gliniarzy. „Aktorzy” taksowali wzrokiem zakute w kajdanki kobiety.

Littell kucał za krzakiem i rozłożył swój sprzęt. Teleobiektyw zapewnił mu dokładny widok. Zlustrował szeroko otwarte okna kwatery i materace wewnątrz. Zobaczył czarne koszule i opaski na ramionach gliniarzy. Policyjne wozy miały pokrowce ze wzorem skóry geparda. Kobiety nosiły więzienne kajdanki z identyfikatorami.

Tłum rozpieczętował się. Czarne koszule rozkuły kobiety. Kabikoff wciągnął aparaturę do budynku.

Littell zabrał się do pracy. Upał sprawiał, że ledwo trzymał się na kolanach. Dzięki obiektywowi mógł robić zbliżenia.

Pstrykał zdjęcia i patrzył, jak się wywołują. Układał je w równych rzędkach w worku.

Miał ujęcie dziewczyn rozciągniętych na materacach. Zrobił zdjęcie Sida Kabikoffa zmuszającego je do seksu lesbijskiego. Fotografował obsceniczne sceny. Fotografował sztuczne członki. Fotografował chłopaków biczących Meksykanki do krwi.

Polaroid wyrzucał kolejne zbliżenia.

Tłusty Sid, pochwycony na barwnych i błyszczących obrazkach, mógł być oskarżony o: zmuszanie do lubieżnego zachowania, naruszenie godności

osobistej, kręcenie pornografii w celu komercyjnym, złamanie dziewięciu praw federalnych.

Littell zużył czterdzieści rolek. Ziemia wokół niego była mokra od potu.

Miał fotografie Sida Kabikoffa udowadniające: białe niewolnictwo, złamanie prawa zabraniającego przewożenia przez granicę osób w celach nierzędu, współudział w porwaniu i stosowaniu przemocy seksualnej.

Pstryk! — przerwa na przekąskę — gliniarze smażą tortille na dachu samochodu policyjnego.

Pstryk! — więźniarka próbuje uciec. Pstryk! Pstryk! Pstryk! — dwaj gliniarze łapią ją i gwałcą.

Littell wrócił do swojego samochodu. Zaczął płakać już na granicy.

Włożył zdjęcia do notesu i uspokoił się modlitwą i ćwiartką czystej. Znalazł dobre miejsce: zakręt drogi dojazdowej, niecały kilometr na północ od granicy.

Droga była jednokierunkowa. Jedyny dojazd do międzystanowej. Dobrze oświetlona — można było prawie odczytać tablice rejestracyjne.

Littell czekał. Klimatyzacja ratowała go przed drzemką. Przyszła i minęła północ.

Powoli, zgodnie z przepisami, przejeżdżały kolejne samochody — straż graniczna wlepiała mandaty na całej drodze do McAllen. Omiały go ich światła.

Littell zaczął czytać tablice rejestracyjne. Od chłodu z klimatyzatora robiło mu się niedobrze.

Przejechał cadillac Kabikoffa...

Littell ruszył za nim. Postawił na dachu koguta i założył maskę. Kogut dawał jaskrawoczerwone światło. Littell włączył długie i syrenę.

Kabikoff zatrzymał się. Littell podszedł do jego drzwiczek.

Kabikoff wrzasnął — maska Warda była krwistoczerwona z białymi diablami rogami.

Littell pamiętał później, że mu groził.

Pamiętał też swoje ostatnie zdanie: POROZMAWIACIE Z GIANCANĄ NA PODSŁUCHU.

Pamiętał łyżkę do opon.

Pamiętał krew na desce rozdzielczej.

Pamiętał błaganie: „Boże, NIE POZWÓL MI GO ZABIĆ”.

(Miami, 29 sierpnia 1959)

**T**e komuchy sukinsyny ostrzelali mój postój! Najpierw Bobby Kennedy, a teraz te czerwone kubańskie dupki!

Głowy odwracały się w ich stronę — Jimmy Hoffa mówił głośno. Lunch z Jimmym wiązał się z pewnym ryzykiem — zazwyczaj mówiąc pluł jedzeniem i kawą. Pete'a bolała głowa. Rudera Taxi-Tygrys stała tuż przy jadłodajni — od tych cholernych tygrysich pasków bolały go oczy. Odwrócił się od okna.

— Jimmy, porozmawiajmy...

Hoffa przerwał mu:

— Przez Bobby'ego Kennedyego ściga mnie każdy gówniany sąd w Ameryce. Każdy cholerny prokurator chce zadrzeć z Jamesem Riddlem Hoffą.

Pete ziewnął. Lot z L.A. wykończył go. To Boyd kazał mu tu przyjechać. Boyd powiedział:

„Zawrzyj z postojem układ. Chcę, żeby w Miami było miejsce na wywiad i rekrutację. Spodziewamy się więcej bananowych łodzi. Kiedy obóz w Blessington się zapelni, będziemy potrzebować więcej takich miejsc dla naszych chłopaków”.

Kelnerka przyniosła świeżą kawę — Hoffa wypił już swoją. Pete odezwał się znowu:

— Jimmy, porozmawiajmy o interesach. Hoffa wrzucał do kawy śmietankę i cukier.

— Nie przyleciałeś tu przecież na kanapki z pieczoną wołowiną. Pete zapalił papierosa.

— Agencja chce wziąć w dzierżawę połowę postoju. I w Agencji, i w Firmie jest sporo gości, którym zaczyna zależeć na Kubie, i Agencja uważa, że postój byłby dobrym miejscem do rekrutacji. Do Miami będzie przyjeżdżać wielu uchodźców, co oznacza dobre interesy, jeśli postój będzie przeciwny Castro.

Hoffa beknął.

— Co oznacza to: „wziąć w dzierżawę”?

— Dostajesz co miesiąc 5 000 \$ w gotówce plus połowę dochodów brutto, plus zamrożenie podatków, tak na wszelki wypadek. Moje 5% pochodzi z zysków,

Chuck Rogers i Fulo wciąż prowadzą postój, ja będę regularnie przyjeżdżać, bo zaczynam pracę w Blessington. Jimmy'emu zabłyśły oczy! \$\$\$\$.

— Podoba mi się to. Ale Fulo mówił, że Kemper Boyd trzyma się blisko Kennedych, a *to* mi się w ogóle nie podoba.

Pete wzruszył ramionami.

— Fulo mówił prawdę.

— Czy Boyd mógłby uwolnić mnie od Bobby'ego?

— Powiedziałbym, że jest zbyt lojalny, żeby to zrobić. Z Boydem gorzkie smakuje słodko.

Hoffa starł plamę z krawata.

— Gorzka sprawa to ci komuniści, którzy ostrzelali mój postój. Słodkie jest to, że jeśli się nimi zajmiesz, będę skłonny przyjąć tę ofertę...

**P**ete zgromadził ekipę w dyspozytorni. Solidne chłopaki: Chuck, Fulo, człowiek Boyda Teo Paez. Przysunęli krzesła bliżej klimatyzatora. Chuck podał w koło butelkę. Fulo ostrzył o kamień maczetę.

— Rozumiem, że cała szóstka zdrajców zwolniła swoje mieszkania.

Słyszałem, że wprowadzili się do miejsca zwanego „bezpiecznym domem”.

To gdzieś w pobliżu i sądzę, że finansują to komuniści.

Chuck wytarł szyjkę butelki.

— Widziałem wczoraj Rolando Cruza obserwującego postój, więc chyba można powiedzieć, że jesteśmy śledzeni. Mój kumpel gliniarz dał mi ich numery rejestracyjne, więc jeśli powiesz, żeby ich śledzić, mogą nam pomóc.

Paez rzekł: — Śmierć zdrajcom.

Zerwał klimatyzator ze ściany. Buchnęła para.

Chuck powiedział:

— Rozumiem. Chcesz zapewnić im cel...

**P**ete zamknął postój — na oczach wszystkich. Fulo wezwał mechanika od klimatyzacji. Chuck przez radio wzywał kierowców, żeby *natychmiast* wracali do bazy.

Mechanik przyszedł i usunął zestaw ze ściany, kierowcy zostawiali swoje taksówki i szli do domu. Fulo powiesił na drzwiach kartkę: „Taxi-Tygrys chwilowo nieczynne”.

Teo, Chuck i Fulo ruszyli na połów. Jechali samochodami zaopatrzonymi w radio, pozbawionymi tygrysich pasów i emblematów Taxi-Tygrys. Pete wrócił do dyspozytorni. Wyłączył światła i zamknął okna. Było piekielnie gorąco.

Czterostronne połączenie działało: trzy samochody do Taxi-Tygrys. Fulo włączył się po Coral Gables; Chuck i Teo po Miami. Pete połączył się z nimi przez zestaw słuchawkowy z mikrofonem.

Było to zajęcie, od którego drętwiał tyłek. Chuck nadawał na falach radiowych długą tyradę o żydowsko-murzyńskim panteonie. Minęły trzy godziny. Co jakiś czas zgłaszały się samochody. Nie znaleźli żadnego zwolennika Castro.

Pete zdrzemnął się z założonymi słuchawkami. Ciężkie powietrze sprawiło, że zaczął chrapać. Krzyżujące się, niezrozumiałe rozmowy wywołały dwuminutowy koszmar.

Jego *standardowy* koszmar: atakująca japońska piechota i twarz Ruth Mildred Cressmeyer.

Drzemał przy szumie radia i dochodzących jakby z daleka głosach. Wydawało mu się, że słyszy Fulo:

— Wóz numer dwa do bazy, pilne, odbiór. Pete ocknął się i włączył mikrofon.

— Tak, Fulo.

Fulo włączył się. W tle słyhać było ruch uliczny.

— Widzę Rolando Cruza i Cesara Salcido. Zatrzymali się na stacji Texaco i napełnili benzyną dwie butelki po coca-coli. Szybko jadą w stronę postoju.

— Flagler czy Czterdziestą Szóstą?

— Czterdziestą Szóstą. Pete, myślę, że oni...

— *Mają zamiar podpalić taksówki.* Fulo, zostań za nimi i kiedy skręcą na parking, zagroź im drogę. *Żadnego strzelania, rozumiesz?*

— *Si, comprende.* 10-4, odbiór.

Pete zdjął słuchawki. Dojrzał nabijany gwoździami kij baseballowy Jimmy'ego na półce nad pulpitem. Chwycił go i wybiegł na parking. Niebo było smoliście czarne, a powietrze pachniało wilgocią.

Pete wykonał kijem kilka zamachów. Na Czterdziestej Szóstej widać było światła samochodu — nisko, jak w klasycznie podrasowanym kubańskim wozie.

Pete kucnął przy mercedesie w tygrysie pasy. Na postój wjechał wóz kubańców. Samochód Fulo wślizgnął się tuż za nim, bez świateł i na luzie.

Wysiadł Rolando Cruz. Trzymał w ręku koktajl Mołotowa i zapalki. Nie zauważył wozu Fulo.

Pete podszedł z tyłu. Fulo zapalił światła i podświetlił Cruza od tyłu.

Pete z całej siły zamachnął się kijem. Trafił Cruza w żebra. Cruz wrzasnął.

Fulo wysiadł z samochodu. Długimi światłami oślepił Cruza, plującego krwią. Cesar Salcido wygramolił się z samochodu kubańców, prawie posikał się ze strachu.

Pete machnął kijem. Koktajl Mołotowa uderzył o chodnik i NIE ROZBIŁ SIĘ. Fulo zaatakował Salcido. Wóz rzeźił na wysokim biegu — to dobrze maskowało hałasy.

Pete wyciągnął spluwę i strzelił Cruzowi w plecy.

Światła samochodu oświetlały część przedstawienia należąca do Fulo. Jak zakleja Salcido gębę. Jak otwiera bagażnik wozu. Jak potem, szybki niczym derwisz, odwijają szlauch.

Pete wrzucił Cruza do bagażnika. Fulo splukał jego bebechy do kratki ściekowej. Było ciemno. Ulicą Flagler przejeżdżali samochodami ludzie, nieświadomi tego, co się dzieje.

Pete chwycił za koktajl Mołotowa. Fulo zaparkował swojego szewroleta. Powtarzał półgłosem numery — Salcido prawdopodobnie zdradził adres mety.

Wozem kubańców był purpurowy metalik z wyścielanymi futrem siedzeniami — przybajerzona wiśniowa impala rocznik 58. Fulo usiadł za kierownicą, Pete z tyłu. Salcido próbował krzyczeć przez knebel.

Jechali ulicą Flagler. Fulo wykrzyknął adres: Pięćdziesiąta Trzecia Północno-zachodnia numer 1809. Pete nastawił radio na pełen regulator. Bobby Darin śpiewał „Dream Lover” tak głośno, że uszy pękały. Pete strzelił Salcido w tył głowy — eksplodujące zęby wyrwały z ust knebel.

Fulo jechał BARDZO, BARDZO POWOLI. Krew kapiała z deski rozdzielczej i siedzeń. Dusili się dymem z luf. Okna mieli zamknięte, żeby zapach nie wydostawał się na zewnątrz.

Fulo skręcał w lewo i prawo. Fulo grzecznie wrzucał kierunkowskazy. Jechali swoim karawanem do drogi na Coral Gables — BARDZO, BARDZO POWOLI.

Znaleźli opuszczoną przystań. Pomost sięgał trzydzieści metrów w głąb zatoki. Nikogo tam nie było. Nie było lumpów, kochanków, nocnych marków. Wyszli. Fulo wrzucił luz i przepchnął samochód do desek. Pete zapalił Mołotowa i wrzucił do środka.

Rzucili się do ucieczki.

Plomienie dosięgły zbiornika. Impala wybuchła. Deski błyskawicznie zajmowały się ogniem. Cała przystań była jedną kulą ognia. Fale były o brzeg.

Pete kaszlał, jakby chciał wypluć płuca. Połknął trochę prochu z pistoletu i krwi zabitego. Pomost zapadał się. Impala tonęła. Para wydobywała się spod wody przez dobrą minutę.

Fulo złapał oddech.

— Niedaleko mieszka Chuck. Mam klucz do jego pokoju i wiem, że ma sprzęt, którego możemy użyć.

Znaleźli rewolwery z tłumikami i kamizelki kuloodporne. Znaleźli taksówkę Chucka zaparkowaną przy krawężniku.

Chwycili broń i włożyli kamizelki. Pete założył w taksówce podsłuch.

Fulo jechał odrobinę zbyt szybko. Pete przez całą drogę myślał o starej Ruth Mildred.

Dom chylił się ku upadkowi. Drzwi wyglądały na antywłamaniowe. Wokół rosły palmy — jedyne w całym kwartale. W salonie paliły się światła. W oknach wisiały firanki. Widać było cienie.

Kucnęli przy ganku, tuż pod parapetem. Pete rozróżnił cztery cienie i cztery głosy. Widział czterech mężczyzn pijących na tapczanie TWARZAMI W STRO-  
NĘ OKNA.

Fulo wyglądał, jakby nad czymś intensywnie myślał. Sprawdzili kamizelki i broń — w sumie cztery rewolwery i dwadzieścia cztery magazynki. Pete odliczał. Wstali i strzelili na „trzy” — prosto w okno.

Trzasnęło rozbite szkło. Szczęk broni zagłuszyły krzyki. Okna już nie było. Firanki były zerwane. Teraz mieli *prawdziwy* cel — komuchowaci kubańcy pod spryskaną krwią ścianą.

Skunksy szukali jeszcze broni. Mieli kabury na szelkach i wokół bioder. Pete wszedł na parapet. Strzały trafiły w kamizelkę i zepchnęły go w dół. Wtedy Fulo zaatakował. Komuniści strzelali, gdzie popadło; strzelali na oślep i byli bliscy trafienia. Mieli pistolety wielkiego kalibru bez tłumików — cholernie głośnie.

Fulo przekoziółkował. Pete dotarł do kanapy i z bardzo bliskiej odległości opróżnił oba swoje rewolwery. Poczul uderzenia w głowę, szyję i klatkę piersiową i wziął głęboki wdech czegoś szarego i lepkiego...

Po podłodze potoczył się diamentowy pierścionek. Fulo złapał go i pocałował. Pete wytarł z oczu krew. Zobaczył obok telewizora stos kostek wielkości cegły owiniętych w folię. Wysypywał się z nich biały proszek. Wiedział, że to heroina.



(Miami, 30 sierpnia 1959)

Kemper siedział z gazetą przy basenie Eden Rock. Co kilka minut kelnerka przynosiła świeżą kawę.

*Herald* głosił wielkim drukiem: „Czterech zabitych w kubańskiej wojnie narkotykowej”. Artykuł nie wspominał o żadnych świadkach ani motywach. Podejrzane były „rywalizujące ze sobą kubańskie gangi”.

Kemper połączył wydarzenia. Trzy dni temu John Stanton przysłał mu raport. Stwierdził, że budżet na „Kubańskie żniwa” prezydenta Eisenhowera zszedł poniżej pożądanego poziomu. Stwierdził, że Raúl Castro finansuje propagandę w Miami z handlu heroiną. Stwierdził, że zlokalizowano punkt dilerski i metę wywiadu. Stwierdził, że do gangu heroinowego należało dwóch byłych pracowników Taxi-Tygrys: César Salcido i Rolando Cruz.

Kazał Pete'owi doprowadzić do końca sprawę dzierżawy postojów przez Agencję. Przypuszczał, że Jimmy Hoffa doprowadzi do zemsty na ludziach, którzy ostrzelali postój. Wiedział, że Pete ma dryg do zemsty.

Zjadł obiad z Johnem Stantonem. Przedyskutowali cały raport. John powiedział:

— Komuniści handlujący narkotykami to twarda konkurencja.

Później Ike kopsnie trochę kasy, ale na razie jest jak jest. Będzie więcej bananowych łodzi. Na Florydzie zaroi się od gorliwych przeciwników Castro. Gorący ideolodzy dołączą do Sprawy i będą wymagać czynu.

Fracje będą się pewnie mnożyć jak króliki. Obozowi w Blessington wciąż brakuje operatywności, a elitarna kadra jest ciągle niesprawdzona. Narkotykowa klika może zająć strategiczne punkty i uzurpować hegemonię finansową.

Kemper odparł:

— Komuchy handlujące heroiną są twardzi. Nie da się rywalizować z ludźmi, którzy posuwają się tak daleko.

Zmusił Stantoną, żeby sam *to* powiedział. Zmusił go, żeby powiedział:

— Chyba że sami posuniemy się jeszcze dalej.

Rozmawiali dwuznacznie. Abstrakcje traktowali jak fakty. Eufemistyczny język bronił się sam.

„Samofinansowanie”, „samostanowienie” i „kategoryzowanie”. „Potrzeba wiedzy” i „wykorzystanie ad hoc zasobów Agencji”. „Obracanie środkami

farmakologicznymi Agencji na bazie gotówkowej.” „Kamuflaż źródła towaru”.

Przy pomocy eliptycznej retoryki zgodzili się na układ. Stanton naprawdę uwierzył, że to on stworzył większą część planu.

Kemper przeleciał wzrokiem gazetę. Zauważył tytuł na czwartej stronie: „Makabryczne odkrycie nad jeziorem”. Podpalony szewrolet wpadł do wody z drewnianego pomostu. Znajdowali się w nim Rolando Cruz i Cesar Salcido. „Władze sądzą, że morderstwo Cruza i Salcido może mieć coś wspólnego z zabójstwem czterech innych Kubańczyków w Coral Gables minionej nocy.”

Kemper wrócił do pierwszej strony. Jeden akapit zwrócił jego uwagę. „Mimo że zabici przypuszczalnie handlowali heroiną, nie znaleziono przy nich żadnych narkotyków.”

Spiesz się, Pete. I bądź tak sprytny i dalekowzroczny, za jakiego cię uważam.

Pete pojawił się przed czasem, niosąc dużą papierową torbę. Nie patrzył na kobiety przy basenie ani nie kroczył ze swoją zwykłą buńczucznością. Kemper podsunął mu krzesło. Pete zobaczył na stole *Heralda* złożonego na nagłówku pierwszej strony. Kemper spytał:

— To twoja robota?

Pete położył na stole torbę.

— Moja i Fula.

— Obie sprawy?

— Zgadza się.

— Co masz w torbie?

— Siedem i pół kilo heroiny i pierścionek z diamentem.

Kemper wyłowił pierścionek. Kamienie w złotej oprawie wyglądały pięknie. Pete nalał sobie kawy i rzekł:

— Zatrzymaj go. Żeby konsekrować moje małżeństwo z Agencją.

— Dzięki. Może wkrótce się oświadczę.

— Mam nadzieję, że powie „tak”.

— A Hoffa?

— On powiedział „tak”. Postawił warunek, który, kurwa, spełniłem i jestem pewien, że już o tym wiesz.

Kemper trącił łokciem torbę.

— Mogłeś się nią zająć sam. Nic bym nie powiedział.

— Zaraz się za to biorę. A póki co, mam niezły ubaw z twojego nazewnictwa.

— To znaczy?

— Kategoryzowanie.

Kemper uśmiechnął się.

— To najdłuższe słowo, jakie słyszałem z twoich ust.

— Czytam książki, żeby nauczyć się angielskiego. Słownik Webstera przeczytałem co najmniej dziesięć razy.

— Jesteś ucieleśnieniem historii imigranta, który odniósł sukces.

— Pieprz się. Ale zanim to zrobisz, powiedz mi, jakie mam oficjalnie obowiązki w CIA.

Kemper obracał pierścioneł. Słońce lśniło w diamentach.

— Formalnie będziesz prowadził obóz w Blessington. Buduje się tam kilka dodatkowych budynków, będziesz to nadzorował. Twoje zadanie to przeszkolenie kubańskich uchodźców tak, by sabotowali na Kubie. Będziesz rozsyłał ich do innych miejsc szkoleniowych, na postój i do Miami, żeby mogli zarabiać.

Pete rzekł: — To brzmi zbyt legalnie.

Woda z basenu chlupnęła im pod stopy. Jego apartament na górze był niemal tak wielki jak Kennedy'ego.

— Boyd...

— Eisenhower dał Agencji ciche przyzwolenie na pozbycie się Castro. Mafia chce odzyskać kasyna. Nikt nie potrzebuje komunistycznej dyktatury w odległości dwustu kilometrów od wybrzeży Florydy.

— Powiedz coś, czego nie wiem.

— Ike przydzielił nam trochę za mało środków.

— Ciekawie się zaczyna.

Kemper dotknął torby. Wydobył się z niej obłoczek białego proszku.

— Mam plan na sfinansowanie naszej części Kubańskiej Sprawy. Jest oparty na Agencji i chyba powinien zadziałać.

— Mogę go sobie wyobrazić, ale chcę to usłyszeć od ciebie.

Kemper zniżył głos.

— Skontaktujemy się z Santo Trafficante. Skorzystamy z narkotykowych powiązań jego i mojej kadry, będziemy sprzedawać tę heroinę i każdą inną, jaka nam wpadnie w ręce. Agencja ma dostęp do makowej farmy w Meksyku. Możemy tam kupić świeżo przerobiony towar, Chuck Rogers nam go sprowadzi. Sfinansujemy Sprawę, damy procent Trafficante, a z pomocą naszych ludzi z Blessington małą część narkotyku wyślemy na Kubę. Rozdziela to naszym agentom na wyspie, tamci sprzedadzą, a za pieniądze kupią broń. Twoim konkretnym zadaniem będzie nadzorowanie mojej kadry i upewnienie się, że sprzedają tylko Murzynom. Dopilnujesz, żeby moi ludzie sami nie brali hery i żeby sami nie mieli z tego za wielkich zysków.

Pete spytał: — Jaki jest nasz procent?

Odpowiedź była do przewidzenia.

— Zero. Jeśli Trafficante zaaprobuje mój plan, dostaniemy coś znacznie słodsze.

— O czym nie masz zamiaru mi teraz powiedzieć.

— Dziś po południu mam spotkanie z Trafficante w Tampa. Dam ci znać, co powiedział.

— A tymczasem?

— Jeśli Trafficante się zgodzi, zaczniemy za tydzień lub dwa. W międzyczasie pojedziesz do Blessington i powiesz panu Hughesowi, że masz przedłużony urlop na Florydzie.

Pete uśmiechnął się.

— Będzie wściekły.

— Wiesz, jak sobie z tym poradzić.

— Jeśli będę pracował w Miami, kto poprowadzi obóz?

Kemper wyjął notes z adresami.

— Umów się z Guyem Banisterem w Nowym Orleanie. Powiedz mu, że potrzebujemy twardego białego faceta do prowadzenia obozu, takiego, który poradzi sobie z białą biedotą mieszkającą dokoła Blessington. Guy zna wszystkich prawicowych fanatyków nad zatoką. Powiedz mu, że potrzebujemy kogoś, kto będzie w miarę poczytalny i zechce przeprowadzić się na południe Florydy.

Pete zapisał numer Banistera na serwetce.

— Jesteś pewien, że to wszystko się uda?

— Tak. Módl się tylko, żeby Castro nie stał się zwolennikiem USA.

— Ciekawa myśl, jak na człowieka Kennedych.

— Jackowi spodobałaby się ta ironia. Pete wyłamywał palce.

— Jimmy uważa, że powinieneś kazać Jackowi przystopować Bobby'ego.

— Nigdy. Chcę widzieć, jak Jacka wybierają na prezydenta, i nie będę zadzierał z Kennedymi, żeby pomóc Hoffie. Potrafię...

— ...rozróżnić pewne kategorie spraw, wiem.

Kemper ścisnął pierścionek.

— Stanton chce, żebym pomógł wpłynąć na politykę Jacka wobec Kuby. Pete, naszym celem jest sprawienie, żeby problem kubański trwał.

Miejmy nadzieję, że także za rządów Kennedy'ego.

Pete wyłamywał kciuki.

— Jack ma ładną fryzurę, ale nie widzę go jako prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Kwalifikacje nie mają znaczenia. Ike'owi wystarczyło, że podbił Europę i wyglądał jak dobry wujek.

Pete przeciągnął się. Dół koszuli podniósł się tak, że było widać dwa rewolwery. — Cokolwiek się zdarzy, wchodzę w to. To zbyt duża sprawa, żeby rezygnować.

Jego wynajęty samochód miał na desce rozdzielczej małą figurkę Jezusa. Kemper wsunął pierścionek na jego głowę. Klimatyzacja popsuka się zaraz za Miami. Koncert z radia odwracał jego uwagę od upału. Jakiś wirtuoz grał Szopena. To przypominało mu scenę z Pavillonu.

Jack grał rolę rozjemcy i jakoś wszystkich uspokoił. Upór starego Joe szybko stopniał. Zostali na jednego niezręcznego drinka. Bobby był naburmuszony. Ava Gardner — speszona. Nie miała pojęcia, co oznacza ta scena. Joe przysłał mu następnego dnia liścik. Kończył się słowami: „Laura zasługuje na faceta z jajami”.

Laura powiedziała mu tamtej nocy, że go kocha. Zdecydował, że oświadczy się jej w Boże Narodzenie. Teraz mógł sobie pozwolić na Laurę. Miał trzy pensje i dwa hotelowe apartamenty, a w banku sześciocyfrowy rachunek.

A jeśli Trafficante się zgodzi...

Trafficante rozumiał abstrakcyjne pojęcia. „Samofinansowanie”, „samostanowienie” i „kategoryzowanie” rozbawiły go. „Obracanie środkami farmakologicznymi Agencji na bazie gotówkowej” przyprawilo go o wybuch śmiechu.

Nosił jedwabny garnitur. Jego biuro było wyposażone w nowoczesne jasne duńskie meble. Spodobał mu się plan Kempera. Natychmiast zrozumiał jego polityczne aluzje. Spotkanie przedłużyło się. Lokaj podał anyżówkę i makaron. Rozmowa potoczyła się w dziwnym kierunku. Trafficante skomentował mit Wielkiego Pete'a Bonduranta. Nie wspomniał o papierowej torbie u nóg Kempera. Lokaj podał kawę espresso i Courvoisier — dobry, stary rocznik. Kemper podkreślił ten moment ukłonem.

— To przesyłka od Raúla Castro, panie Trafficante. Pete i ja chcemy, żeby zachował pan to jako symbol naszej dobrej woli.

Trafficante podniósł torbę. Uśmiechnął się, czując ciężar, i pomacał palcami. Kemper podniósł swoją brandy.

— Jeśli Castro zostanie wyeliminowany poprzez nasze pośrednie albo bezpośrednie wysiłki, Pete i ja zapewniamy, że pańska współpraca będzie doceniona. Co ważne, spróbujemy przekonać nowego władcę Kuby, żeby pozwolił panu,

panu Giancanie, panu Marcellowi i panu Rossellemu zachować kontrolę nad kasynami i budować nowe.

— A jeśli odmówi?

— Zabijemy go.

— A co pan i Pete chcecie w zamian za waszą ciężką pracę?

— Jeśli Kuba będzie wyzwolona, chcemy na pół 5% dochodów z kasyn w Capri i hotelu Nacional.

— Przypuśćmy, że Kuba pozostanie komunistyczna...?

— Wtedy i my nic nie dostaniemy.

Trafficante skinął głową.

— Porozmawiam z chłopakami i oczywiście głosuję „za”.

## 32

(Chicago, 4 września 1959)

Littell słyszał tylko zakłócenia. Podsluch z domu do samochodu zawsze działał nie najlepiej. Sygnał słyhać było z pięćdziesięciu metrów. Sid Kabikoff dostał mikrofon przyklejony do klatki piersiowej.

Szalony Sal zaaranżował to spotkanie. Sam G, nalegał, żeby odbyło się w jego mieszkaniu — nie mieli innego wyjścia. Butch Montrose spotkał się z Sidem na przystanku i zaprowadził go tam, ale od podwórza.

Samochód był nagrany. Littell nie otwierał okien, żeby zapewnić dobrą słyszalność.

Kabikoff: „Ładne mieszkanie, Sam. Naprawdę, jak gustownie urządzone”.

Littell usłyszał skrzekliwy odgłos — jak pocieranie tkaniny o mikro, fon. Wyobraził sobie przyczynę. Sid drapie się po taśmie podtrzymującej podsluch. Pociera siniaki, których dorobił się w Teksasie.

Zmieniony głos Giancany. Littellowi zdawało się, że napomknął coś też o Szalonym Salu. Tego ranka on sam próbował znaleźć Sala. Jeździł po znanych sobie miejscach i nie mógł go zlokalizować.

Montrose: „Wiemy, że znałeś kiedyś Julesa Schiffrina. Wiemy, że znasz niektórych chłopaków, więc to tak, jakbyś był z miejsca zarekomendowany”.

Kabikoff: „To jak sieć. Jak już raz się w niej znalazłeś, to utkwisz na obre”.  
Obok przejeżdżały samochody. Klekotały szyby w oknach niedaleko mikrofonu.

Kabikoff: „Każdy w sieci wie, że jestem najlepszym facetem od porno na Zachodzie. Każdy wie, że Sid ma najlepsze cipy i chłopaków z kutasami do kolan”.

Giancana: „Czy to Sal kazał ci spytać nas o szczegóły dotyczące pożyczek z Funduszu?”

Kabikoff: „Tak”.

Montrose: „On sam ma jakieś problemy finansowe?”

Hałas z ulicy zakłócił sygnał. Littell zmierzył: na sześć sekund.

Montrose: „Wiem, że Sal jest w sieci, i wiem, że sieć to sieć, ale powiem wam tylko, że w styczniu okradziono moje miłosne gniazdko i straciłem, kurwa, czternaście kawałków ukryte tam w torbie golfowej”.

Giancana: „A w kwietniu pewnym naszym przyjaciółom rąbnięto osiemdziesiąt kawałków ze schowka na dworcu. I wiesz co, zaraz po tych numerach Sal na nowo zaczął wydawać pieniądze. Butch i ja złożyliśmy to do kupy, w zasadzie przez przypadek”.

Littellowi zakręciło się w głowie. Puls zaczął mu wariować.

Kabikoff: „Nie. Sal nie zrobiłby czegoś takiego. Nie... nie zrobiłby...”

Montrose: „Sieć to sieć, a Fundusz to Fundusz, ale to nie całkiem to samo. Jules Schiffrin robi dla Funduszu, ale to nie znaczy, że załatwi ci pożyczkę tylko dlatego, że kiedyś się znaliście”.

Giancana: „Mamy przecucie, że ktoś usiłuje złapać Jimmy'ego Hoffę i Fundusz przez fałszywy wniosek o pożyczkę. Rozmawialiśmy o tym z Salem, ale nic nam to nie rozjaśniło”.

Littell oddychał z trudem. Przed oczami latały mu kolorowe punkty.

Montrose: „No więc, czy ktoś próbował cię podejść? Na przykład fedzie albo ludzie Szeryfa Hrabstwa Cook?”

W mikrofonie zabrzmiały uderzenia. To musiał być przyspieszony puls Sida. Uderzenia zostały zagłuszone przez odgłosy kaptania — pot Sida blokował kanały mikrofonu.

Sygnał prychnął i znikł. Littell podkreślił głośność, ale nie uzyskał nic poza zakłóceniami. Otworzył okna i odliczył czterdzieści sześć sekund. Świeże powietrze oczyściło mu umysł.

*Nie może mnie zakapować. Za każdym razem, gdy rozmawialiśmy, miałem na sobie tę maskę...*

Kabikoff pokazał się na chodniku. Z tyłu koszuli zwisały mu kable. Wsiadł do samochodu i przejechał na czerwonym świetle.

Littell uruchomił silnik. Samochód nie chciał zapalić — podsłuch wyczerpał akumulator.

**W**iedział, co zastanie w domu Sala. Cztery żytne z piwem przygotowały go do włamania się i tego widoku.

Torturowali Sala w piwnicy. Rozebrali go i przywiązali do rury pod sufitem. Polewali go wodą z węża i przypalali przewodami elektrycznymi.

Sal nic nie powiedział. Giancana nie znał nazwiska Littell. Tłusty Sid nie znał jego nazwiska ani wyglądu.

Mogli wysłać Sida z powrotem do Teksasu. Gdzieś po drodze mogli go zabić albo nie. A zostawili kabel przytknięty do języka Sala. Napięcie spaliło mu twarz na czarno.

Littell zadzwonił do hotelu Tłustego Sida. Recepcjonista powiedział, że pan Kabikoff jest w pokoju — godzinę temu miał dwóch gości. Littell wtrącił szybko:

— Proszę nie dzwonić do jego pokoju.

Zatrzymał się na jeszcze dwie żytne z piwem i pojechał zobaczyć to na własne oczy.

Nie zamknęli drzwi na klucz. Zostawili Sida w przelewającej się wannie. Na wierzch wrzucili włączony telewizor. Woda wciąż bulgotała. Wstrząs elektryczny spalił Kabikoffowi włosy. Littell próbował się rozpłakać. Żytne z piwem za bardzo go znieczuliły.

Kemper Boyd zawsze mówił: NIE OGLĄDAJ SIĘ.

## 33

(Nowy Orlean, 20 września 1959)

**B**anister dostarczył akta i wyciągi z kartotek policyjnych. Pete zawęził grupę kandydatów do trzech osób. Jego hotelowy pokój był zawalony papierami. Zalewały go kartoteki personalne i raporty FBI — skrajnie prawicowe Południe w dokumentach.

Uzyskał sensacyjne informacje o pajacach z Ku-Klux-Klanu i neonazistach. Dowiedział się o istnieniu Prawicowej Partii Stanów Narodowych. Zdziwiła go lista płac FBI — połowa Klanu donosiła federalnym. Kapusie fedziów działali



gdzieś w terenie, zajęci linczem i kastrowaniem. A Hoover martwił się tylko o jakieś bzdurne defraudacje KKK.

Wentylator przesuwiał luźne kartki. Pete wyciągnął się na łóżku i wydmuchiwał kółka z dymu.

*Notatka dla Kempera Boyda:*

*Agencja powinna finansować KKK w Blessington. Obóz otoczyła biała biedota — wszyscy nienawidzą kubańców. Obecność Klanu pomogłaby utrzymać ich z dala.*

Pete przejrzał akta personalne. Zaufał instynktowi — jego potencjalni współpracownicy byli najmniej zdegenerowani ze wszystkich.

Owi potencjalni współpracownicy to:

Wielebny Wilton Tompkins Evans, były radiowy mesjasz. Pastor „Antykomunistycznej krucjaty radiowej”, cotygodniowej debaty na falach krótkich. Biegły mówiący po hiszpańsku; były spadochroniarz; trzy wyroki za gwałty. Ocena Banistera: „Zdolny i twardy, ale chyba zbyt antypapieski, żeby pracować z Kubańczykami. Będzie świetnym oficerem szkolącym i jestem pewien, że zgodzi się przenieść, bo może nadawać swój program z dowolnego miejsca. Bliski przyjaciel Chucka Rogersa”.

Douglas Frank Lockhart, informator FBI i człowiek Klanu. Były sierżant wojsk pancernych; były gliniarz z Dallas; były dostawca broni dla pravicowego dyktatora Rafaela Trujillo. Ocena Banistera: „Prawdopodobnie informator nr 1 Klanu na Południu i na swój sposób gorący zwolennik Klanu. Twardy i odważny, ale łatwo nim kierować i jest nieco niestały. Wydaje się, że nic nie ma przeciw Latynosom, szczególnie jeśli są antykomunistami”.

Henry Davis Hudspeth, numer 1 na Południu w dziedzinie wrogiej propagandy. Biegły mówi po hiszpańsku; świetnie zna jujitsu Hapkido. As myśliciów podczas drugiej wojny światowej — trzynastu zabitych nad Pacyfikiem. Ocena Banistera: „Lubię Hankę, ale może być uparty i agresywny bez powodu. Obecnie pracuje dla mnie jako łącznik między obozem dla uchodźców niedaleko jeziora Pontchartrain i lokalną komórką Klanu Dougie'ego Franka Lockharta. (Jestem właścicielem ziemi, na której znajdują się oba obiekty.) Hank to dobry facet, ale być może nieodpowiedni do drugiej bananowej łodzi”.

Wszyscy trzej znali się. I wszyscy trzej mieli plany na wieczór — Klan miał podłożyć ogień pod krzyż przy obozie Guya.

Pete spróbował się zdrzemnąć. Brakowało mu snu — ostatnie trzy tygodnie były gorączkowe i wyczerpujące.

Boyd załatwił mu trochę morfiny z zaprzyjaźnionego z CIA miejsca. Wtedy przyleciał do L.A, i dał ją panu Hughesowi. Pan Hughes docenił prezent.

I powiedział: „Wracaj do Miami z moimi najlepszymi życzeniami”.

Nie powiedział mu, że prowadzi teraz krucjatę przeciw czerwonym. Z 5% z kasyn — jeśli Kuba prehandluje czerwone za czerwono-biało-niebieskie.

Boyd sprzedał pomysł Trafficante. Marcello, Giancana i Rosselli zaakceptowali go. Boyd obliczył, że zarobią co najmniej piętnaście milionów na głowę rocznie.

Powiedział Lenny'emu, żeby zalał *Cicho sza!* propagandą przeciw Castro. Kazał mu olać seksualne ekscesy, które uwielbiali Hughes i Hoover. Kazał mu zmyślić parę skandali, żeby zatkać im usta.

L.A. przypominało obóz koncentracyjny. Floryda — obóz letni. Wrócił szybko do Miami. Boyd podpisał układ z meksykańską farmą narkotykową na dostarczanie towaru Kadrze. Chuck przesłał pierwsze siedem kilo do obróbki i przywiózł sześć razy więcej. Trafficante rozdał część jako premię dla Kadry.

Dał im obrzyny i magnum. Dał im kamizelki kuloodporne i prawie nowe gabloty. Fulo wybrał eldo rocznik 59. Chuck wziął słodkiego forda vicky. Delsol, Obregón, Paez i Gutierrez byli fanami szewroletów. Kubańczycy to Kubańczycy — ozdobili po swojemu fury od opon aż po dach.

Spotkał się z nimi i zapoznał się. Gutierrez był solidny i spokojny. Delsol był wyrachowany i sprytny. Jego kuzyn Obregón wydawał się ryzykantem z pogranicza — Boyd zaczynał myśleć, że byłby w stanie zachować się jak kamikadze.

Santo junior wyrzekł się narkotykowego biznesu w Miami. Kadra przejęła na wyłączność handel z Murzynami. Boyd poznał gusta wszystkich lokalnych ópunów. Kadra rozdawała końskie dawki za darmo. Chuck nazwał czarną dzielnicę Siódmym Niebem.

Przechodzili od filantropii do interesów. Jeździli i sprzedawali narkotyki z samochodów, w których na wierzchu leżała broń. Jakiś ópun próbował obrobić Ramona Gutiérreza. Teo Paez załatwił go...

Santo junior był jak na razie zadowolony. Ustanowił Pierwsze Przykazanie Kadry: Nie tykaj towaru. Pete stworzył Drugie: Jeśli skosztujesz wielkiej „H”, zabiję cię.

Miami było Rajem Przestępców. Blessington — jego Bramą z Perel. Obóz zajmował pięć i pół hektara. Mieściły się w nim dwa budynki koszar, magazyn broni, ambulatorium, plac musztry i lądowisko. Przystań dla ślizgacza była wciąż w budowie.

Ludzie prowadzący rekrutację pospieszyli się trochę i przysłali do obozu przyszłych uczestników szkolenia. Lokalnym ówkom nie podobały się kwatery

Kubańczyków na ich terenie. Pete zatrudnił kilku bezrobotnych członków Klanu do pracy na przystani. Ten ruch uspokoił ich na trochę — harowali razem z uchodźcami.

W obozie znajdowało się czternaście osób. Co dzień uciekali z Kuby nowi. Mięło powstać więcej obozów CIA — plan zakładał, że w połowie lat sześćdziesiątych ich liczba sięgnie czterdziestu paru.

Castro mógłby przetrwać — przynajmniej na tyle długo, żeby Boyd i Pete zdążyli się wzbogacić.

Krzyż płonął jasnym ogniem. Pete ujrzał odbłask z odległości prawie kilometra.

Od autostrady odchodziła polna droga. Drogę wskazywały napisy: „Czarnuchy won!” „KKK. — Biali, łączcie się!”.

Z wentylatora wypadały robaki. Pete załatwiał je packą. Zobaczył ogrodzenie z drutu kolczastego i odpoczywającą grupę ludzi Klanu. Nosili białe szaty i kaptury z fioletowym obrzeżem. Obok nich psy, pinczery, również w białych szatach.

Pete machnął przepustką Banistera. Zakapturzeni zrewidowali go i wpuścili do środka. Zaparkował obok kilku ciężarówek i poszedł się przejść. Krzyż oświetlał wydzieloną polankę w sosnowym lasku.

Kubańczycy zgromadzili się po jednej stronie. Biali tańczyli boogie-woogie po drugiej. Dzielił ich rząd przyczep.

Po jego lewej stronie Klan ubijał interesy, wymachiwał strzelbami, kupcy handlowali emblematami Klanu. Po prawej zobaczył replikę obozu Blessington.

Pete spacerował po stronie białych wieśniaków. Zakapturzeni deptali mu po piętach:

— Hej, facet, gdzie twoje prześcieradło?

Owady bzycały wokół krzyża. Odgłosy wystrzałów i trafień do celu przeplatały się ze sobą. Wilgotność była bliska 100%.

Nazistowskie opaski kosztowały 2,99 \$. Laleczki wudu w postaci rabinów — trzy za pięć doliców.

Pete szedł obok przyczep. Zobaczył opartą o stary odbiornik radiowy deskę z napisem: „WKKK — Antykomunistyczna Krucjata Wielebnego Evansa”.

Do tyczki przytwierdzony był głośnik. Płynęły z niego bełkotliwe dźwięki — czysto rasistowska paplanina.

Zajrzał w okno. Zobaczył dwadzieścia parę kotów, jak sikały, srały i kopulowały. Wysoki dureń wrzeszczał do mikrofonu. Kot drapał jakieś kable, jakby chciał się podsmażyć.

Pete zaczął kogoś, ale szedł dalej. Wszyscy biali nosili kaptury — nie mógł rozpoznać ani Hudspetha, ani Lockharta.

— Bondurant! Tutaj!

To był głos Guya Banistera, dobiegający z niższego poziomu. Z ziemi podniosła się gwałtownie kłapa. W otworze sterczało i obracało się ustrojstwo podobne do peryskopu. Guy załatwił sobie, kurwa, schron atomowy. Pete wszedł do środka. Banister zasunął pokrywę wjazdu.

Pomieszczenie miało cztery metry na cztery. Ściany pokrywały wycinki z *Playboya*. Guy miał tu tony wołowiny z fasolką Van Camps i litry bourbona. Banister schował peryskop.

— Bez prześcieradła rzuciłeś się w oczy.

Pete przeciągnął się. Głową uderzył w sufit.

— Słodko tu, Guy.

— Wiedziałem, że ci się spodoba.

— Kto za to płaci?

— Wszyscy.

— To znaczy?

— To znaczy, że ziemia jest moja, a Agencja postawiła budynki. Carlos Marcello ofiarował trzy tysiące na broń, a Sam Giancana wyłożył trochę pieniędzy na przekupienie policji stanowej. Ludzie z Klanu płacą za wejście i sprzedają swoje towary, a uchodźcy pracują cztery godziny dziennie jako ekipa drogową i odpalają połowę dla Sprawy.

Wentylator buczał na pełnych obrotach. Schron był lodowaty jak igloo. Pete zadygotał.

— Powiedziałeś, że Hudspeth i Lockhart tu będą.

— Hudspeth został aresztowany dziś rano za kradzież samochodu. To jego trzecie wykroczenie, więc nie ma kaucji. Ale Evans jest tutaj. To nie jest zły facet, jeśli trzymasz się z dala od religii.

Pete rzekł:

— To pewnie psychol. Boyd i ja nie chcemy, żeby pracowali dla nas psychopaci.

— Ale chętnie zatrudnicie lepiej prezentujących się świrów.

— Myśl, co chcesz. A jeśli przypadkiem masz na myśli Lockharta, chcę z nim pogadać kilka minut na osobności.

— Dlaczego?

— Każdy, kto tu paraduje w białej szacie, musi umieć mnie przekonać, że potrafi pewne sprawy kategoryzować.

Banister zaśmiał się.

— To długie słowo, jak na ciebie.

— Ludzie często mi to ostatnio mówią.

— To dlatego, że teraz, gdy jesteś w Agencji, masz do czynienia z większymi osobowościami.

— Takimi jak Evans?

— Punkt dla ciebie. Ale tak między nami, ten człowiek ma lepsze antykomunistyczne referencje niż ty.

— Komunizm kiepsko wpływa na interesy. Nie udawaj, że chodzi o coś więcej.

Banister zatknął kciuki za pasek. — Jeśli myślisz, że to, co mówisz, brzmi praktycznie, to się grubo mylisz.

— Tak?

Banister uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony.

— Akceptacja komunizmu jest równoznaczna z propagowaniem komunizmu. Twój dawny pogromca Ward Littell akceptuje komunizm, a z pewnego źródła w Chicago wiem, że pan Hoover tworzy jego prokomunistyczny portret, oparty bardziej na tym, czego nie zrobił, niż na tym, co zrobił. Tak więc widzisz, że bycie praktycznym i taka akceptacja mogą cię dobić, gdy wpadniesz w jakieś kłopoty.

Pete wyłamywał palce.

— Idź po Lockharta. Wiesz, czego chce Boyd, więc mu to wyjaśnisz. I od tej pory daruj sobie te wykłady.

Banister cofnął się. Banister miał już otworzyć usta.

— Migiem! — wrzasnął Pete.

Banister rzucił się do włazu z podwójną szybkością. Ogarnęła ich słodka cisza i zimne powietrze. Konserwy i alkohol wyglądały smakowicie. Tapeta na ścianach też — szczególnie panna Lipiec.

Powiedzmy, że Rosjanie zrzucą bombę atomową. Powiedzmy, że schronisz się tutaj. Dłuższe przebywanie w zamknięciu może sprawić, że kobiety ze ścian staną się prawdziwe...

Lockhart zsunął się włazem. Miał na sobie ubrudzone sadzą prześcieradło z pasem na broń i dwoma rewolwerami. Miał ryże włosy i piegi. Akcent zdradzał pochodzenie z głębi Missisipi.

— Z forszą wszystko w porządku i nie mam nic przeciwko przeprowadzce na Florydę. Ale ten zakaz linczu musi być zmieniony.

Pete uderzył go. Dougie Frank nie przewrócił się — piątka z plusem za równowagę.

— Człowieku, zabijałem przerośniętych białasów nie takimi ciosami!

Chuligańska brawura: trzy z minusem.

Pete uderzył go ponownie. Lockhart machnął prawym sierpowym — ale nie trafił.

Nerwy: piątka z plusem. Ostrożność: czwórka z minusem.

Lockhart wytarł krew z podbródka.

— Lubię Kubańczyków. Mógłbym nagiąć moją politykę rasową i przyjąć twoich chłopaków do mojej komórki.

Poczucie humoru: piątka z plusem. Lockhart wypluł ząb.

— Powiedz coś. Żebym wiedział, że jestem czymś więcej niż workiem treningowym.

Pete mrugnął.

— Pan Boyd i ja możemy postarać się dla ciebie o premię. A Agencja może ci dać twój własny Ku-Klux-Klan.

Lockhart wyciągnął rękę w geście uniżenia.

— Dzięki, szefie! Gdybyś był za Klanem jak prawdziwy biały człowiek, ucałowałbym brzeg twej szaty!

Pete kopnął go w jaja. Upadł, lecz nawet nie zajęczał. Złapał za broń, jednak nie strzelił.

Ogólnie rzecz biorąc — zdał.

## 34

(Nowy Jork, 29 września 1959)

Taksówka wlokła się do centrum. Kemper przeglądał papiery leżące na teczce. Wykres pokazywał podzielone na hrabstwa stany, w których miały się odbyć wybory wstępne. W kilku kolumnach widniały nazwiska znanych mu ludzi ze strzegących prawa instytucji. Odhaczał stany, w których większość stanowili zwolennicy Demokratów. Wykreślał te, uznawane za typowo republikańskie. Nudna robota. Joe powinien po prostu kupić Jackowi Biały Dom.

Samochody wlokły się. Taksówkarz trąbił. Kemper grał w „adwokata diabła” — trochę symulacji nigdy nie zaszkodzi.

Bobby kwestionował jego ciągłe wyjazdy na Florydę. Jego odpowiedź graniczyła z oburzeniem:

„Jestem odpowiedzialny za gromadzenie dowodów dla Komisji McClellana, prawda? Cóż, sprawa Słonecznej Doliny nie jest łatwym przypadkiem, a Floryda jest stanem, na którym Jack chce się skoncentrować w wyborach. Rozmawiałem

tam z kilkoma nielojalnymi członkami Teamsters.”

Taksówka mijiała slumsy. Pomyślał o Wardzie Littellu. Nie rozmawiali ani nie pisali do siebie od miesiąca. Zabójstwo D'Onofrio odbiło się szerokim echem w gazetach i pozostało nierozwiązane. Ward nie skomentował tego. Powinien się z nim skontaktować. Powinien dowiedzieć się, czy śmierć Szalonego Sala miała coś wspólnego z jego pracą dla Warda.

Kierowca zatrzymał się przy St.Regis. Kemper zapłacił mu i szybko ruszył do recepcji. Tamtejszy pracownik stał w wyczekującej pozie. Kemper zwrócił się do niego:

— Mógłby pan zadzwonić do mojego apartamentu i poprosić pannę Hughes, żeby zeszła na dół?

Recepcjonista założył słuchawki i wybrał numer na centralce. Kemper spojrział na zegarek — byli spóźnieni na kolację.

— Rozmawia przez telefon, panie Boyd.

Kemper uśmiechnął się.

— Pewnie z moją córką. Potrafią gadać godzinami.

— Panna Hughes rozmawia z mężczyzną.

Kemper złapał się na tym, że zaciska zęby.

— Czy mógłby pan dać mi słuchawki?

— Cóż...

Kemper dał mu dziesięć dolarów.

— Cóż...

Kemper doszedł do pięćdziesięciu. Recepcjonista przykrył pieniądze dłonią i dał mu słuchawki. Kemper założył je. Lenny Sands mówił piskliwym, drżącym głosem.

— ...to takie straszne, że nie żyje, pracował dla tego pijaka, jak ja. Jest ich dwóch: pijak i brutal, a teraz brutal chce, żebym pisał dla niego te nedorzeczne artykuły o Kubie. Nie mogę wymieniać nazwisk, ale Lauro, na Boga...

— Nie masz chyba na myśli mojego przyjaciela, Kempera Boyda?

— Jego się nie boję. Boję się brutala i pijaka. Nigdy nie wiadomo, co zrobi pijak, nie widziałem się z nim od śmierci Sala, co doprowadza mnie do szału...

To stanowiło zakłócenie w kategoryzacji. Trzeba było to opanować.

(Chicago, 1 października 1959)

Fale wyrzucały śmieci na brzeg. Pod stopami szeleściły papierowe kubki i programy rejsów wycieczkowych. Littell kopał je. Minał miejsce, gdzie wyrzucił torbę z włamaniami do Montrose'a. Wtedy też pływało tu pełno śmieci.

Było już trzech ludzi, za których mógł zapalić świeczki. Jack Ruby chyba był bezpieczny — co tydzień dzwonił do klubu Carousel, żeby usłyszeć jego głos.

Sal oparł się torturom. Sal nie powiedział „Littell” ani „Ruby”. Kabikoff znał go tylko jako gliniarza w masce. „Szalony Sal” i „Żydek Sid” — kiedyś śmieszyły go te pseudonimy. Bobby Kennedy podobno uwielbiał ksywki mafii.

Zaniedbywał raporty Widma. Zaniedbywał pracę w Czerwonej Drużynie. Powiedział Leahy'emu, że Bóg i Jezus Chrystus byli lewicowcami. Ograniczył spotkania z Helen do jednego wieczora w tygodniu. Przestał dzwonić do Lenny'ego Sandsa. Miał dwóch stałych towarzyszy: Old Overhalt i Pabst Blue Ribbon.

Zobaczył przemoczone czasopismo, a w nim zdjęcie Jacka Kennedy'ego z Jackie.

Kemper mówił, że senator łąknął krwi. I że Bobby dotrzymywał ślubnej przysięgi.

Thusty Sid twierdził, że ich tato znał Julesa Schiffrina. Schiffrin prowadził prawdziwą księgowość Funduszu Emerytalnego — alkohol nie dał mu zapomnieć tego jednego faktu.

Littell poszedł na skróty do Lake Shore Drive. Bolały go stopy, a w mankietach spodni zgrzytał piasek. Zmierzchało. Od kilku godzin szedł tak na południe. Nagle zorientował się. Zobaczył, że znajduje się trzy przecznice od prawdziwego celu.

Poszedł tam i zapukał do drzwi Lenny'ego Sandsa. Lenny otworzył i stanął w progu.

Littell powiedział:

— Koniec. Już cię o nic nie poproszę.

Lenny podszedł bliżej. Zaczął wrzeszczeć — słowa układały się w jeden ciąg. Littell usłyszał „głupi”, „beznadziejny” i „tchórz”. Patrzył Lenny'emu w oczy i stał tak, podczas gdy tamten wrzeszczał do utraty tchu.



(Chicago, 2 października 1959)

Kemper otworzył zamek swoją kartą Diners Club. Lenny nie nauczył się, że tylko sztaby trzymają z daleka bandyckich gliniarzy.

Littell nie nauczył się, że INFORMATORZY NIE ODCHODZĄ NA EMERYTURĘ. Kemper podglądał z ulicy uroczyste przejście Lenny'ego w stan spoczynku — i widział, jak Ward nasiąka jego obelgami niczym rasowy masochista.

Zamknął drzwi i stał tak w ciemności. Lenny wyszedł dziesięć minut wcześniej do supermarketu i powinien niedługo wrócić.

Laura nauczyła się nie rozmawiać na kłopotliwe tematy. Nigdy nie wspominała o rozmowie telefonicznej w St.Regis.

Kemper usłyszał odgłosy kroków i zgrzyt zamka. Przesunął się w kierunku wyłącznika światła i nałożył tłumik.

Lenny wszedł.

Kemper odezwał się:

— To wcale nie koniec, jak twierdził Littell.

Torba na zakupy upadła.

Brzęknęło szło.

— Nie będziesz już od tej pory rozmawiał z Laurą i Littellem. Będziesz pracował wyłącznie dla *Cicho sza!*, dla Pete'a. Dowiesz się wszystkiego, co tylko się da, o księgowości Funduszu Emerytalnego i zdasz raport wyłącznie mnie.

Lenny powiedział: — Nie.

Kemper nacisnął przycisk. Salon wypełnił się światłem — był przeładowany antykami i *très, très* zapuszczony.

Lenny mrugał oczami. Kemper odstrzelił nogi fotela. Roztrzaskał przy okazji chińską porcelanę i kryształ.

Strzelił w półkę na książki. Potem w kanapę w stylu Ludwika XIV, aż rozsyłała się w drzazgi. I w ręcznie malowaną szafę Chippendale'a.

Trociny i duszący dym unosiły się w powietrzu. Kemper wyjął nowy magazynek.

Lenny powiedział: — Tak.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 5.10.1959. Artykuł z magazynu *Cicho sza!* autorstwa Lenny'ego Sandsa, pseudonim „Niezrównany”.

RAKOTWÓRCZY CASTRO KOMUNIZMEM PARALIŻUJE KUBĘ, PODCZAS GDY HEROICZNI HERMANOS ŁAKNĄ OJCZYZNY!

Jest u władzy zaledwie od dziesięciu miesięcy, ale Wolny Świat już dobrze zna rzucającego sloganami, śmierdzącego cygarami Fidela Castro! Castro usunął wybranego demokratycznie antykomunistycznego premiera Kuby Fulgencio Batistę w Nowy Rok. Krzaczastobrody, napuszony bard bitników obiecywał reformę rolną, sprawiedliwość społeczną i kupę żarcia na każdym talerzu — typowe zapewnienia gładzącego o dobrobycie komunistycznego komisarza. Przejął bastion wolności 150 kilometrów od brzegów Stanów Zjednoczonych, oskubał kieszenie patriotycznych patriarchów, obrzydliwie „znacjonalizował” amerykańskie hotele-kasyna, spalił przyjaźnie nam pachnące pola United Fruit Company i krótko mówiąc, zbiegł z astronomiczną ilością chroniącego biedaków, powstrzymującego komunę amerykańskiego towaru eksportowego: z pieniędzy!!!

Tak, koty i kociaki, wszystko sprowadza się do zesłanych przez niebiosa ton pieniędzy — amerykańskich, oczywiście, tych bogato ozdobionych zielonych banknotów z portretami potężnych prezydentów, których cechą szczególną było potępienie dla szerzącego się komunizmu!!!

Punkt pierwszy: bard bitników oszukał zapracowanych chłopców hotelowych w dawniej szpanerskich hotelach Nacional i Capri w Hawanie, brzydko znacjonalizował ich napiwki i pospiesznie zmienił ich w pułk awanturniczych czerwonych żandarmów — bandytów wagi koguciej ze skrępowanymi nogami, którzy służą również jako niesamowicie skorumpowani krupierzy w znacjonalizowanych knajpach!

Punkt drugi: to obłąkane podpalanie pól trzcinowych! Ludzie z takim zapałem ochraniańi przez nastawioną na altruizm egalitarną ekonomię Ameryki są teraz skazanymi na opiekę społeczną, zagrożonymi biedą czerwonymi recydywistami żądającymi komunistycznego zadośćuczynienia!

Punkt trzeci: Raúl „Narząd” Castro hojnie zalał Florydę ogromną, odurzającą ilością demonicznie śmiertelnej „Wielkiej H”: heroiny! Chce stworzyć pokłute igłami legiony kubańskich imigrantów-niewolników: przerażających zombie szerzących rakotwórczą ewangelię Castro między napadami wywołanej heroiną ćpuńskiej euforii!

Punkt czwarty: rośnie liczba kubańskich uchodźców i rodowitych amerykańskich patriotów, którzy nie słuchają szalonego bitnika! W tej chwili werbują swoich zwolenników w Miami i na południu Florydy. Ci faceci to niewiarygodnie twarde tygrysy, które zasłużyły na swoje żółto-czarne — nie czerwone —

pasy siedząc przedtem w dżunglach przepelnionych i byle jak skleconych więźniów Castro. Co dzień coraz więcej mężczyzn takich jak oni przyplęwa do brzegów Ameryki i bardzo im zależy, by móc zaśpiewać: „Moim krajem jesteś ty”.

Piszący te słowa rozmawiał z Amerykaninem zwanym „Wielkim Pete'em”, zagorzałym antykomunistą, który obecnie szkoli partyzantów przeciwko Castro. „Wszystko sprowadza się do patriotyzmu”, mówi Wielki Pete. „Chcecie komunistycznej dyktatury 150 kilometrów od naszych brzegów czy nie? Ja nie chcę, więc dołączyłem do sprawy «Uwolnić Kubę». Chciałbym zachęcić do przyłączenia się do nas wszystkich kubańskich uchodźców i potomków Kubańczyków. Chodźcie z nami. Jeśli jesteście w Miami, popytajcie ludzi. Miejscowi Kubańczycy powiedzą nam, że działamy na poważnie.”

Punkt piąty: mając do czynienia z ludźmi takimi jak Wielki Pete, Castro powinien przemyśleć swoją karierę. Hej! Znam parę kafejek w L.A, na zachód od Venice, które zatrudniłyby byłego poetę bitników Fidela Castro. Hej, Fidel! Wchodzisz w to, ojczulku?

Pamiętajcie, drodzy czytelnicy, pierwszy raz przeczytaliście o tym tutaj: nieoficjalnie, w tajemnicy i bardzo Cicho sza!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.10.1959. Prywatny list:

J. Edgar Hoover do Howarda Hughesa.

Drogi Howardzie,

Bardzo podobał mi się artykuł „Niezrównanego” w wydaniu *Cicho sza!* z 5 października. Był oczywiście trochę naciągany, ale po odrzuceniu grafomańskiego wielosłowa pozostają polityczne treści.

Lenny Sands dostosował się do stylu *Cicho sza!*. Wydaje się obiecującym świeżo upieczonym propagandystą. Stwierdziłem, że dyskretnie założone podsłuchy dla Taxi-Tygrys okazały się miłym dodatkiem do tego, o czym już wiemy. Szczególnie podobały mi się wzniosłe poglądy naszego pragmatycznego przyjaciela Pierre'a Bonduranta.

Wracając do czasopisma, to bardzo pożyteczne wydanie.

Serdecznie pozdrawiam, Edgar

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.10.1959. Raport podsumowujący:

John Stanton do Kempera Boyda.

Oznaczenie: TAJNE/DO RĄK WŁASNYCH.

Drogi Kemperze,

Krótko o niektórych ostatnich decyzjach. Trudno Cię złapać, więc przesyłam przez kuriera.

Po pierwsze, nasi zwierzchnicy są teraz bardziej niż kiedykolwiek przekonani, że problem Castro będzie narastał. Mimo że prezydencki przydział funduszy nie był duży, mamy nadzieję, że opór Castro zmniejszy się wraz z zaciskaniem pasa przez Biały Dom. Parafrazując naszego przyjaciela „Niezrównanego”: „Nikt nie chce dyktatury komunistycznej sto pięćdziesiąt kilometrów od naszych brzegów”. (Chciałbym umieć tak pisać raporty, jak on skandalizujące artykuły.)

Pan Dulles, zastępca dyrektora Bissell i wybrani oficerowie — eksperci ds. Kuby — zaczynają planować inwazję na koniec 1960 lub początek 1961. Do tej pory Agencja przypuszczalnie będzie dysponować co najmniej dziesięcioma tysiącami dobrze wyszkolonych oddziałów mających bazy w USA, a opinia publiczna będzie po ich stronie. Ogólny plan polega na ataku amfibiami wspomaganymi przez siły lotnicze z baz nad Zatoką. Będę Cię informował w miarę rozwoju planów. A Ty informuj mnie o naszym przyjacielu Jacku. Jeśli te plany nie wejdą w życie do 20 stycznia 1961, jest możliwe, że to on będzie człowiekiem, który je zaaprobuje albo odrzuci.

Od naszej ostatniej rozmowy jedenaście „bananowych łodzi” dopłynęło do Florydy i Luizjany. Miejscowi oficerowie spisują imigrantów i rozsyłają ich do różnych obozów. Wielu z tych, którzy odmówili regularnej pomocy Agencji, będzie kierować się do Miami. Jestem ciekaw, czy nasza Kadra przechwyci kóregokolwiek z nich. Jak zapewne wiesz, Blessington jest gotowe na formalne przyjęcie oddziałów. Zaakceptowałem Douglasa Franka Lockharta na stanowisku prowadzącego obóz i myślę, że nadszedł czas na rotację naszej Kadry na osi Miami — Blessington. Wyślij tam natychmiast Pete'a Bonduranta i Chucka Rogersa, i niech Bondurant dostarczy mi raport na ten temat w ciągu sześciu tygodni.

Jeśli chodzi o „interesy” naszej Kadry w Miami i nasze pokrętne o nich rozmowy, przyznaję, że jestem zadowolony z rosnących dochodów i z porozumienia, które zawarłeś z przyjaznym Agencji źródłem w Meksyku. Spodziewam się, że kiedyś nasi zwierzchnicy zweryfikują te „interesy” i wykażą się zdrowym rozsądkiem, ale dopóki nienawiść do Castro nie osiągnie tego punktu, muszę nalegać na dyskrecję i kategoryzację różnych spraw. Nie chciałbym również, aby wyszło na jaw, że panowie S. Giancana i C. Marcello również przyczyniają się do Sprawy.

Bądźmy w kontakcie i spal ten list.

Wszystkiego dobrego, John

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.11.1959. Raport podsumowujący:

Kemper Boyd do Roberta F. Kennedy'ego.

Drogi Bobie,

Rozmawiałem z Jamesem Dowdem, przewodniczącym Sekcji ds. Przystępności Zorganizowanej w Departamencie Sprawiedliwości. (Znam go z czasów, kiedy pracował w Biurze Prokuratora.) Z grzeczności wysłałem mu kopie papierów dotyczących sprawy Hoffy, które przekazałem do wielkich ław przysięgłych. Teraz ta uprzejmość przynosi rezultaty.

Jak wiesz, Kongres zaakceptował projekt ustawy o związkach zawodowych Landruma-Griffina, więc teraz zdominowany przez Republikanów Departament Sprawiedliwości dostał wyraźne pozwolenie na „złapanie Hoffy”. Dowd wykorzystał detektywów i prawników w działach śledczych wielkich ław przysięgłych w Ohio, Luizjanie i Florydzie. Komisja Landruma-Griffina zrodziła się w zasadzie z Komisji McClellana; wszyscy o tym wiedzą. Dowd ujrzał światło w tunelu i postanowił skupić swoją energię na Słonecznej Dolinie. (Uważa, że dwóch zaginionych świadków – Gretzler i Kirpaski – dodają sprawie moralnego ciężaru.) 25 października 1959 asygnował sześciu mężczyznom do trzech wielkich ław przysięgłych w południowej Florydzie. Intensywnie szukają rozczarowanych członków Teamsters, którzy nabyli działki w Słonecznej Dolinie. Dowd uważa, że proces „dorwać Hoffę” zostanie, jak się tylko da, wyciszony, co do pewnego stopnia odpowiada naszym politycznym interesom.

Jestem głęboko przekonany, że nie chcemy, by nienawiść w stylu „dorwać Hoffę” przybrała zbyt partyzancka formę, zaś *chcemy*, żeby Jack wyróżnił się jako kandydat sprzeciwiający się związkowej korupcji. Dowd powiedział mi, że przewiduje, iż Hoffa przejedzie przez stany, gdzie mają się odbyć wybory wstępne, i otumani wyborców emocjami przeciw Kennedy'emu. Myślę, że to może nam się przydać. Mimo iż bardzo chce to ukryć, pod presją Hoffa zawsze wychodzi na psychopatycznego zbira. Chcemy, żeby Teamsters poparli kandydata Republikanów. Chcemy, żeby Richard Nixon wziął pieniądze Hoffy, a w wyborach unikał kwestii korupcji w związkach zawodowych. Skoro już o tym mowa, myślę, że konieczne będzie podwojenie przez Jacka wysiłków w celu zdobycia poparcia legalnych liderów związkowych i pokazania, że odróżnia ich od zwolenników Hoffy.

Koncentruję się teraz na wyborach wstępnych. Obraz Kennedy'ch walczących z przestępczością zrobił wrażenie na wielu z moich znajomych, zwykle popierających Republikanów. Pracuję w Wisconsin, New Hampshire i Zachodniej Wirginii. Twoje lokalne organizacje wyglądają sensownie, a ja mówię każdemu

wolontariuszowi, jakiego spotkam, żeby nie słuchał przedwyborczej paplaniny Hoffy.

Reszta później. Pisz swoją książkę; myślę, że przyda się podczas kampanii.  
Twój Kemper

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.11.1959. Notatka służbowa:

Robert F. Kennedy do Kempera Boyda.

Kemper,

Dzięki za list. Zaczynasz myśleć politycznie i sędzę, że Twoje obserwacje dotyczące Hoffy i Republikanów są dość wnikliwie. Cieszę się, że Departament Sprawiedliwości skoncentrował się na Słonecznej Dolinie, co zawsze uważałem za najważniejszą sprawę związaną z Hoffą.

Zawsze wierzyłem, że nielegalnie zdobywane pieniądze Funduszu Emerytalnego (te „widmowe” trzy miliony) finansują inwestycje Hoffy w Słonecznej Dolinie i że Hoffa zgarnął sporą część z nich dla siebie. Pewne tropy dotyczące Funduszu Emerytalnego i/lub śledztwo dotyczące możliwości istnienia jego „prawdziwej” księgowości bardzo by nam się teraz przydało. Co robi Widmo z Chicago? Zawsze opisywałeś tego anonimowego jezuickiego bojownika jako solidnego pracownika, ale nie dostałem od niego raportu już od miesięcy.

Bob

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.11.1959. List:

Kemper Boyd do Roberta F. Kennedy'ego.

Drogi Bobie,

Zgadzam się. Niewątpliwie moglibyśmy wykorzystać teraz kilka wątków Funduszu Emerytalnego. Widmo pracuje ciężko, ale wciąż natrafia na przeszkody. Pamiętaj, że jest obciążony obowiązkami agentem FBI. Jest wytrwały, ale jak już powiedziałem, praca idzie mu bardzo wolno.

Kemper

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.12.1959. Raport FBI:

agent specjalny szef okręgu Chicago Charles Leahy do J. Edgara Hoovera.

Oznaczenie: ŚCIŚLE TAJNE/TYLKO DO WGLĄDU DYREKTORA.

Szanowny Panie Dyrektorze,

Wedle Pańskiego życzenia agencji współpracowali z Biurem w Sioux City, obserwując przez cały czas agenta specjalnego Warda J. Littella od 15.09.1959. Nie widziano go w pobliżu Zakładu Krawieckiego Celano i najwyraźniej wycofał się

z ukrytych działań wymierzonych w przestępczość zorganizowaną. Nie widywano go z agentem specjalnym Kemperem Boydem, a podsłuch telefoniczny (założony 20.11.1959) wykazuje, że rozmawia tylko z Helen Agee i od czasu do czasu ze swoją byłą żoną Margaret. Nie telefonuje ani nie odbiera rozmów od swojej córki Susan, od 20.11.1959 nie kontaktował się z nim agent specjalny Kemper Boyd.

Praca Littella stale się pogarsza. Było to zauważalne jeszcze przed rozpoczęciem obserwacji. Zamiast śledzić członków Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych w Hyde Park i Rogers Park, często spożywa alkohol w barach lub odwiedza kościoły katolickie. Raporty Littella z pracy w Czerwonej Drużynie są miernej jakości. Ciągłe zmienia godziny swoich zajęć, a jego komentarze dotyczące członków Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych są wręcz godne pożałowania.

26.11.1959 agent specjalny W. R. Hinckle obserwował lidera komórki KPSZ Malcolm'a Chamalesa zaczepiającego Littella przed jego mieszkaniem. Chamales oskarżył Littella o stosowanie „podstępnych praktyk FBI” i prowokował do odpowiedzi. Littell zaprosił Chamalesa do baru. Agent specjalny Hinckle obserwował obu zaangażowanych w dyskusję polityczną i uważa, że zaprzyjaźnili się, a przynajmniej zostali kompanami od kieliszka.

Przyjazne FBI źródła na Uniwersytecie w Chicago zeznały, że agent specjalny Littell i Helen Agee byli widziani na kampusie podczas burzliwej kłótni. Ich związek wyraźnie przechodzi kryzys. Słyszano, jak panna Agee nalegała, żeby Littell poszukał pomocy w związku ze swoim problemem alkoholowym. 3.11.1959, agent specjalny J. S. Burtler obserwował Littella i pannę Agee zaangażowanych w dyskusję polityczną. Panna Agee wyrażała podziw dla wiceprezydenta Richarda Nixona. Littell nazywał pana Nixona „Fałszywym Dickiem” oraz „polującym na czerwonych kryptofaszystą finansowanym z pokątnych źródeł”.

W związku z powyższym coraz wyraźniej rysuje się portret ujawniający prokomunistyczne skłonności Littella. Myślę, że wywrotowe wypowiedzi, zakrawające na zdradę zaniedbywanie obowiązków w Czerwonej Drużynie i przyjaźń z Malcolm'em Chamalase'm będą kontynuowane i złożą się na obraz człowieka stanowiącego zagrożenie dla bezpieczeństwa.

Z wyrazami szacunku,  
Agent specjalny Charles Leahy  
Szef okręgu Chicago.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.12.1959. Raport terenowy:

Pete Bondurant do Kempera Boyda, „Przekazać Johnowi Stantonowi”.

Dopisek: KB — BĄDŹ OSTROŻNY PRZY PRZEKAZYWANIU TEGO DOKUMENTU

KB,

Przepraszam, że raport, o który prosił Stanton, przygotowałem tak późno. Nie lubię pisać, więc wykreśli, co będziesz chciał, i dopiero mu przekaz. Dopilnuj, żeby Stanton to zniszczył. Wiem, że uważa, iż Agencja zgodzi się ze wszystkim, co robimy, w 100%, ale to może potrwać.

1. Moi robotnicy z Klanu skończyli przystań dla ślizgacza. Blessington jest gotowe w 100%.

2. Dougie Frank Lockhart jest solidny. Ma wariackie pomysły, jak inni jego pokroju, ale taki po prostu jest i nie widzę w tym nic złego, dopóki nie przeszkadza mu to w pracy. Jego łącznik z FBI był wkurzony, że nie będzie donosił na kolegów z KKK w Luizjanie, ale uspokoił się słysząc, że to ty dowodzisz tą operacją. Myślę, że skontaktował się z Hooverem, który powiedział mu, że masz *carte blanche*. Jak na razie Lockhart zrobił dobrą robotę. Dostałem dla niego od Trafficante trochę \$, które zużył na stworzenie własnego Klanu poza Blessington. Rozdawał do podpisania deklaracje i wszyscy lokalni członkowie Klanu opuścili swoje komórki, przechodząc do Dougie'ego Franka. Powiedziałem mu, że nie życzysz sobie linczów, podkładania bomb pod kościoły czy pobić. Jest rozczarowany, ale jakoś się z tym pogodził. Lockhart zaakceptował Kubańczyków i powiedział swoim ludziom, żeby nie wzbudzali żadnych rasowych zamieszek wśród Kadry i szkolonych. Jak dotąd ludzie go słuchają.

3. Nasze interesy w Miami idą coraz lepiej. Przychód brutto z ostatniego miesiąca z jednego naszego przedsięwzięcia był o 14% wyższy niż najlepsze dochody organizacji Trafficante. Październikowy przychód brutto z drugiego przedsięwzięcia był o 9% wyższy od rekordu ST. Chuck Rogers twierdzi, że ludzie na farmie w Meksyku są solidni. Załatwił to jakoś z meksykańską policją, że może latać w jedną i w drugą stronę bez zapisywania tego w dziennikach pokładowych. Mamy teraz pas startowy w Blessington, więc Chuck może podróżować jeszcze bezpieczniej. Co tydzień wożę ST do Tampa gotówkę do podziału. Jest zadowolony z dochodów i regularnie daje Kadrze dodatkowe pieniądze. 15% daje bezpośrednio mnie, a 5% idzie na fundusz broni założony w Nowym Orleanie przez Guya Banistera. Jak dotąd Fulo, Chuck, Paez, Obregón, Delsol i Gutiérrez byli absolutnie uczciwi. Nie było żadnych braków w towarze czy gotówce.

4. Stanton chciał dostawać raporty dotyczące ludzi. Uważam, że dopóki ktoś nie ukradnie towaru albo pieniędzy lub nie podpadnie w pracy, wszyscy zasługują na piątki z plusem. Obregón jest trochę naiwny, jeśli chodzi o pływanie



ślizgaczem na Kubę, jego kuzyn Delsol jest nieco za cwany, ale jak dotąd nie było z nimi większych problemów. Ważne, że są zwolennikami USA, przeciwnikami Castro, są twardzi i nie okradają Trafficante. Moim zdaniem można im pozwolić na podniesienie opłat na postoju i relaks z udziałem wódki i dziwek. Nie należy im za bardzo skracać smyczy, bo będą się burzyć.

5. Jako rekrutujący są niezli. Mamy w Blessington 44 łóżka i wszystkie są zajęte. Chuck, Fulo, Lockhart i ja szkolimy ludzi w cyklach piętnastodniowych. Uczymy posługiwania się bronią, walki wręcz i technik sabotażowych, następnie przekazujemy ich do Miami ze skierowaniami do pracy. Szukają tam rekrutów i przesyłają swoich kandydatów do oficera o pseudonimie HK/Kuguar, który z kolei przesyła ich do jednego z obozów szkoleniowych (z aktualnie wolnymi miejscami). Jeśli nastąpi ta inwazja, o której mi mówiłeś, powinniśmy mieć nadmiar dobrze wyszkolonych żołnierzy, z których będziemy mogli wybierać.

6. Paez, Obregón, Delsol, Gutiérrez, Fulo i ja, wszyscy popłynęliśmy nocą ślizgaczem na Kubę. Zostawiliśmy towar naszym ludziom na wyspie i ostrzelaliśmy kilka patroli milicyjnych. Fulo i Gutiérrez poszli na zwiad i zobaczyli na wyspie śpiących milicjantów. Zabili całą trzydziestkę. Fulo oskalpował oficera dowodzącego i teraz skalp powiewa na antenie naszej łodzi patrolowej.

7. Tak jak chciałeś, dzielę czas między Blessington, nasze interesy w Miami i postój. Jimmy Hoffa jest trochę wkurzony, że skumplowałeś się z Kennedymi, ale jest zadowolony z umowy o dzierżawę, bo im więcej kubańskich imigrantów, tym więcej pieniędzy zarobi Taxi-Tygrys. Dzięki za towar dla H. H. Odkąd jestem na Florydzie, chyba tylko to sprawia, że wciąż mi płaci. Zrezygnowałbym, ale wiem, że chciałbyś utrzymywać z nim jakiś kontakt. Dzwonię do niego raz w tygodniu. H. H, mówi, że teraz opiekują się nim Mormoni. Pomagają mu unikać procesu o TWA i robią to, co ja kiedyś, wyłączając dostawy towaru. Myślę, że dopóki będę się tym zajmował, nie zniknę z jego listy płac.

8. Lenny Sands samodzielnie wydaje *Cicho sza!*. Myślę, że ten kubański kawałek był całkiem niezły i przyda się Sprawie.

To tyle. Nie lubię mieć wszystkiego na papierze, więc powiedz Stantonowi, żeby to zniszczył.

*Viva La Causa!*

PB

(Blessington, 24 grudnia 1959)

Lockhart wyciągnął nogi na desce rozdzielczej. W wypchanym watą kostiumie Świętego Mikołaja był mokry od potu.

— Nie pozwalacie mi podkładać bomb w kościołach ani zabijać czarnuchów. A co powiecie na wprowadzanie w życie Kodeksu Moralnego Ku-Klux-Klanu?

Pete podłapał żart — z Dougie'em Frankiem można było się pośmiać.

— A co to takiego?

— Cóż, dochodzą cię słuchy, że biała siostra Joe Wieśniaka robi słodkie oczy do Leroya z półmetrowym kutasem i przyłapujesz ich. Rozgrzewasz żelazną pieczęć KKK i naznaczasz Sally, bo się skundliła.

— A co z Leroyem?

— Pytasz, skąd wziął takiego ptaka i czy robią w tym rozmiarze, ale białe.

Pete roześmiał się. Dougie Frank wydmuchał nos przez okno.

— Mówię poważnie. Jestem Wielkim Magiem Królewskich Rycerzy Ku-Klux-Klanu na Florydzie Południowej, a jak dotąd nie zrobiłem nic, tylko wydałem trochę pieniędzy CIA i założyłem drużynę softballową dla tych twoich kryptobambusowych uchodźców.

Pete wyminął bezpańskiego psa. Ciężarówka podskoczyła na wyboju; owinięte w papier pakowy indyki w tyle wozu przesunęły się.

— Nie mów mi, że twój opiekun z FBI pozwalał ci na lincze.

— Nie pozwalał. Ale nie mówił też: „Dougie Frank, nie zabijaj czarnuchów, jak jesteś na liście płac Rządu Stanów Zjednoczonych”. Widzisz różnicę? Ty mówisz mi, że mam tego nie robić, i wcale nie żartujesz.

Pete zobaczył przed sobą rudery — dobre miejsce na zrzućenie ładunku indyków. Santo junior powiedział, żeby podlizać się miejscowym — miał spory zapas drobiu z jakiegoś napadu na ciężarówkę i stwierdził, że darmowe ptaszyska na Święta obudzą w ludziach dobrą wolę.

— Rób swoje. Jesteśmy zaangażowani w wielką sprawę, więc traktuj ją poważnie.

Lockhart odparł:

— Tak jest. Robię swoje i trzymam gębę na kłódkę, nie rozgaduję, że Chuck Rogers przywozi samolotem biały proszek na lądowisko Fortu Blessington. Ale powiem jedno: moi chłopcy potrzebują rozrywki.

Pete wszedł w zakręt. — Pogadam z Jimmym Hoffą. Może zabierze twoich chłopaków na polowanie na rekiny.

— Myślałem raczej o wprowadzaniu w życie Kodeksu Moralnego Paragraf Sześćdziesiąt Dziewięć.

— Co to jest?

— Jak przylapujesz braci Leroya, Tyrone'a i Rufusa, pukających do drzwi Sally.

— Co się wtedy robi?

— Tarza Sally w smole i pierzu.

— A co z Tyrone'em i Rufusem?

— Każesz im ściągnąć portki i sprawdzasz, czy to rodzinne.

Pete parsknął śmiechem. Dougie Frank podrapał się po śnieżnobiałej brodzie.

— Czemu to akurat ja musiałem się przebrać za Mikołaja?

— Nie znalazłem kostiumu w swoim rozmiarze.

— Mogłeś przebrać jednego ze swoich Kubańczyków.

— Daj spokój. Kubaniec Świętym Mikołajem?

— Ta robota mnie upokarza.

Pete zatrzymał się na zaśmieconym, brudnym podwórzu. Kilkoro kolorowych dzieciaków zobaczyło Mikołaja i szczęki im opadły. Dougie Frank wysiadł i zaczął wyrzucać indyki. Dzieciarnia podbiegła i zaczęła ciągnąć go za brodę.

**M**iejscowi biali dostali indyki. Miejscowi czarni też. Gliny z Blessington dostały indyki, wódę ze skoku na ciężarówkę. Uczestnicy szkolenia dostali kolację z indyka i prezerwatywy. Santo junior przysłał świąteczny prezent: autobus z Tampa pełen kurew. Czterdziestu czterech facetów pieprzyło się na czterdziestu czterech przyczach z czterdziestoma czterema dziwkami. Pete odesłał je o północy.

Na tyłach obozu Lockhart zapalił swój świąteczny krzyż. Pete poczuł chuć, by uderzyć na Kubę i zabić paru komuchów.

Zadzwoił do Fulo w Miami. Ten podłapał pomysł. Powiedział:

— Skołuję paru chłopaków i jedziemy.

Chuck Rogers przywiózł sporo prochów. Pete zatankował łądz. Zjawił się Lockhart z jakimś bimbrem. Pete i Chuck poczęstowali się. Nikt nie palił — mocna woda mogła się zająć. Siedzieli przy przystani. Światło reflektorów zalało cały obóz. Jeden z kursantów krzychał przez sen. Od krzyża odpadały żarzące się węgle. Pete'owi przypomniała się Gwiazdka w 1945: szeryf L.A. wpisał go na listę poszukujących pracy rezerwistów Piechoty Morskiej.

Wóz Fulo toczył się po pasie lądowiska. Chuck zgromadził przy urządzeniach cumowniczych karabiny i amunicję. Dougie Frank spytał:

- Mogę jechać?
- Jasne — odparł Pete.

Z szewroleta wysypali się Delsol, Obregón i Fulo. Szli z brzuchami wyдутymi od nadmiaru indyka i piwa. Dowlekli się do nabrzeża. Tomás Obregón był w ciemnych okularach — o drugiej nad ranem. W ciemnych okularach i długich rękawach — w bezwstydnie ciepłą noc.

Gdzieś za ogrodzeniem zaszczeakał pies. Chuck Rogers zaczął naśladować jego ujadanie. Wszyscy wymienili świąteczne pozdrowienia, klepiąc się po plecach.

Pete walnął Obregóna tak, że spadły mu okulary. Skurwiel miał zaćpane oczy — w świetle reflektora było je dokładnie widać. Obregón zamarł. Rogers złapał go za szyję. Nikt się nie odzywał. Nie było takiej potrzeby — cała akcja toczyła się *rápídamente*.

Obregón wił się. Fulo podciągnął mu rękawy. Ślady po igle biegły wzdłuż przedramion, czerwone i paskudne.

Wszyscy spojrzeli na Delsola — pieprzonego kuzyna Obregóna. Wszystko toczyło się samo: niech *on* to zrobi.

Chuck puścił Obregóna. Pete podał swój pistolet Delsolowi. Obregón, zatrząsł się i prawie wpadł do wody. Delsol strzelił mu sześć razy w klatkę piersiową. Wpadł do zatoki. Z ran wylotowych syknęła para.

Fulo zanurkował i zdjął mu skalp. Delsol odwrócił wzrok.

## 38

(Hyannis Port, 25 grudnia 1959)

Choinka sięgała sufitu. Sztuczne płatki śniegu pokrywały grubą warstwą , stos prezentów. Kemper sączył likier jajeczny. Jack odezwał się:

- Widzę, że święta psują ci humor.
- Niezupełnie.
- Moi rodzice przesadzili, z ilością dzieci, ale twoi mogli pomyśleć o jednym albo dwojce rodzeństwa dla ciebie.
- Miałem młodszego brata. Zginął w wypadku na polowaniu.

— Nie wiedziałem.

— Razem z ojcem polowaliśmy na jelenie niedaleko naszego letniego domu. Wciąż coś nam migało i strzelaliśmy w krzaki. Jednym z tych mignięć był Compton Wickwire Boyd, lat osiem. Miał na sobie jasnobrązową kurtkę i czapkę z białymi uszami. To było 19 października 1934.

Jack odwrócił wzrok.

— Kemper, przykro mi.

— Nie powinienem o tym wspominać. Mówiłeś, że chcesz porozmawiać, a ja za godzinę muszę jechać do Nowego Jorku. Zaś ta opowiadka zawsze odbiera chęć do rozmowy.

Mieszkanie było przegrzane. Jack odsunął krzesło od kominka.

— Spotykasz się z Laurą?

— Tak. Moja córka umówiła się na świąteczny obiad z przyjaciółkami w South Bend, potem jadą na narty. Dołączy do mnie i Laury w Nowym Jorku.

Pierścionek od Pete'a był wypolerowany i zapakowany. Zdecydował się oświadczyć dziś wieczorem.

— Ty i Laura przyprawiliście nas o niezły szok.

— Ale już się przyzwyczailiście?

— Myślę, że każdy z nas w innym stopniu, ale tak.

— Ale nie tym jesteś wyraźnie zdenerwowany...

— Za osiem dni ogłaszam swoją kandydaturę. Wciąż przychodzą mi do głowy jakieś przeszkody i zastanawiam się, jak sobie z nimi poradzić.

— Na przykład?

— Zachodnia Wirginia. Co odpowiem górnikowi, który powie: „Synku, słyszałem, że twój tatuś jest jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce i nie musiałeś przepracować w życiu nawet jednego dnia”.

Kemper uśmiechnął się.

— Powiesz: „To prawda.” A podstawiony przez nas w tłumie aktor o wyglądzie zniszczonego staruszka rzuci: „I nie masz czego żałować, synku”.

Jack ryknął śmiechem. Kemper skojarzył, że Giancana i Trafficante mieli spore wpływy w Zachodniej Wirginii.

— Znam tam paru ludzi, którzy mogliby ci pomóc.

— Narobisz mi u nich kupę długów i w ten sposób dopełni się dziedziczny przez pokolenia los skorumpowanego irlandzkiego polityka.

Kemper roześmiał się.

— Ale ty dalej się denerwujesz. A mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać i brzmiało to dość poważnie.

Jack przechylił się w fotelu na biegunach do tyłu i zdjął ze swetra sztuczny śnieg.

— Myśleliśmy o panu Hooverze. Zastanawialiśmy się, czy wie o rodzicach Laury.

„Adwokat diabła” włączył się automatycznie.

— Wie od lat. Wie, że spotykam się z Laurą i powiedział mi o jej rodzicach, zanim ona to zrobiła...

Do pokoju wpadły nagle dzieciaki Bobby'ego. Jack wyprowadził je i zamknął drzwi.

— Ten mały kurewski podglądacz.

Kemper zaczął improwizować.

— Wie również o wszystkich twoich rodzicielskich sprawkach i większości twoich romansów. Jack, jestem twoim najlepszym zabezpieczeniem przed Hooverem. Lubi mnie, ufa mi i chce jedynie utrzymać swoją pracę, jeśli zostaniesz wybrany.

Jack stał z podbródka okruchy cygara.

— Tato jest prawie pewien, że Hoover przysłał cię, żebyś nas szpiegował.

— Twój tato nie jest głupi.

— *Co?*

— Hoover złapał mnie na olewaniu śledztwa kradzieży samochodów i wysłał na wcześniejszą emeryturę. Sam zgłosiłem się do pracy w Komisji McClellana, a Hoover zaczął mieć mnie na oku. Dowiedział się, że spotykam się z Laurą i pytał o was. Nic mu nie powiedziałem, a Hoover wtedy: „Jesteś mi coś winien”.

Jack pokiwał głową. Jego spojrzenie mówiło: tak, kupuję to.

— Tato ma prywatnego detektywa, który śledzi cię na Manhattanie. Ten facet powiedział, że masz apartament w St.Regis.

Kemper mrugnął.

— Udziela mi się twój styl życia, Jack. Mam emeryturę, pensję, dywidendy z akcji i spotykam się z kosztowną kobietą.

— Sporo przebywasz na Florydzie...

— Hoover kazał mi szpiegować grupy zwolenników Castro. To jest to „coś”, co mu jestem winien.

— Dlatego tak ci zależy na kampanii na Kubie.

— Zgadza się. Uważam, że Castro jest dużym zagrożeniem, i myślę, że powinienś prowadzić wobec niego twardą politykę.

Jack zapalił cygaro. Wyraz jego twarzy mówił: Bogu dzięki, że już po wszystkim.

— Powiem tacie, że wszystko jest okej. Ale chcę, żebyś coś mu obiecał.

- Co takiego?
  - Że nie ożenisz się zbyt szybko z Laurą. Obawia się, że reporterzy mogliby zacząć węszyć.
- Kemper dał mu pierścionek.
- Weź to na przechowanie. Planowałem oświadczyć się Laurze dziś wieczorem, ale chyba będę musiał poczekać, aż cię wybierą. Jack wsunął pierścionek do kieszeni.
  - Dzięki. Czy to znaczy, że nie masz prezentu gwiazdkowego?
  - Znajdę coś w Nowym Jorku.
  - Pod choinką jest szmaragdowa broszka. Laurze dobrze w zielonym, a Jackie jeszcze o niej nie wie.

## 39

(South Bend, 25 grudnia 1959)

Littell wysiadł z pociągu i sprawdził, czy nikt go nie śledzi. Przyjazdy i odjazdy wyglądały normalnie — tylko szkolniaki z Notre Dame i zdenerwowani rodzice. Kilka cheerleaderek trzęsło się z zimna — dziewczyny z pomponami w krótkich spódniczkach w temperaturze minus dziesięciu stopni. Tłum rozpierzchł się. Żadni peronowi włóczędzy nie przyczepili się do niego. Krótko mówiąc: Widmo ma zwidy.

Złudzenia, że ktoś go śledzi, były prawdopodobnie skutkiem wódki. Stukoty słyszane na linii telefonicznej to pewnie wynik skołatanych nerwów.

Rozebrał oba swoje telefony. Nie znalazł żadnej aparatury podsłuchowej. Mafia nie potrafiła zakładać *zewnątrznych* podsłuchów — mogła to robić tylko policja. Ten facet obserwujący jego i Mala Chamalesa w zeszłym tygodniu — prawdopodobnie jakiś typek zdziwiony ich lewicującą rozmową.

Littell dotarł do baru dworcowego i obalił trzy żytynie z piwem. Musiał się wzmocnić przed świątecznym obiadem z Susan.

Zasypywali się uprzejmościami. Rozmowa nie wykraczała poza bezpieczne tematy. Susan zeszytniała, kiedy ją objął. Helen wysunęła się z jego objęć.

Claire coraz bardziej przypominała Kempera — zadziwiające podobieństwo.

Susan nigdy nie mówiła do niego po imieniu. Claire zwracała się: „Ward, kotku” — Helen powiedziała, że była na etapie fascynacji „Szczurzą paczką”. Susan paliła teraz jak jej matka — jednocześnie zaciągając się i strzepując popiół. Jej mieszkanie naśladowało gust Margaret: zbyt wiele porcelanowych bibelotów i ciężkich mebli.

Claire puszczała płyty Sinatry. Susan podała rozcieńczony likier jajeczny — Helen musiała wspomnieć, że jej ojciec za dużo pije.

Powiedział, że od miesiący nie miał wiadomości od Kempera. Claire uśmiechnęła się — знаła wszystkie sekrety swojego ojca. Susan podała obiad: bezpłciowa szynka Margaret i słodkie ziemniaki. Usiedli. Littell pochylił głowę i odmówił modlitwę:

— Ojcze Niebieski, prosimy Cię o błogosławieństwo dla nas i naszych nieobecnych przyjaciół. Poświęcam Ci dusze trzech niedawno zmarłych osób. Ich śmierć była spowodowana zuchwałymi, ale płynącymi z głębi serca wysiłkami zaprowadzenia sprawiedliwości. Proszę Cię o błogosławieństwo na ten święteczny dzień i cały nadchodzący rok.

Susan przewróciła oczami i odpowiedziała: — Amen.

Claire kroiliła mięso; Helen nalewała wino. Dziewczyny dostały po pełnym kieliszku. On kropelkę. Było to tanie Cabernet Sauvignon. Claire powiedziała:

— Mój tata oświadcza się dziś swojej kochance. Wypijmy za niego i moją nową supermamę, która jest tylko dziewięć i pół roku starsza ode mnie.

Littell prawie się zakrztusił. Kemper wspinający się po drabinie społecznej jako cichy szwagier Kennedy'ego...

— Claire, no co ty — wtrąciła Susan. — „Kochanka” i „super” w jednej wypowiedzi?

Claire wyszczerzyła zęby.

— Zapomniałaś wspomnieć o różnicy wieku. Jak mogłaś? Obie wiemy, że to cię najbardziej wkurza.

Helen wybuchła śmiechem. Susan odsunęła talerz i zapaliła papierosa. Littell nappełnił swój kieliszek. Claire poprosiła:

— Ward, kotku, oceń nas jako prawniczki.

Littell uśmiechnął się.

— To nietrudne. Susan będzie skazywać za wykroczenia, Helen bronić ludzi FBI, którzy zeszedli na złą drogę, a Claire znajdzie posadę w wielkiej firmie adwokackiej, żeby finansować drogę zachcianki ojca.

Helen i Claire zaśmiały się. Susan powiedziała:



— Nie życzę sobie takiego małostkowego oceniania.

Littell wziął łyk wina.

— Możesz dołączyć do Biura, Susie. Przechodzę na emeryturę za rok i trzy tygodnie, więc możesz zająć moje miejsce i dręczyć żalonych lewicowców dla pana Hoovera.

— Nie powiedziałabym, że komuniści są żałośni, ojcze. I nie sądzę, żebyś pijąc tak jak teraz, był w stanie utrzymać się z emerytury po dwudziestu latach pracy.

Claire wzdrygnęła się. Helen powiedziała:

— Susan, proszę.

Littell wziął butelkę.

— Może będę pracował dla Johna F. Kennedy'ego. Może zostanie wybrany na prezydenta. Jego brat nienawidzi przestępczości zorganizowanej bardziej niż komunistów, więc może to rodzinne.

Susan powiedziała:

— Nie wierzę, że do jednego worka wrzucasz pospolitych opryszków i system polityczny, który zniewolił połowę świata. Nie wierzę, że dajesz się oszukiwać głupiutkiemu liberalnemu politykowi, któremu ojciec zamierza kupić prezydenturę.

— Kemper Boyd go lubi.

— Wybacz, ojcze, i wybacz, Claire, ale Kemper Boyd czci pieniądze, a wszyscy wiemy, że John F. Kennedy ma ich mnóstwo.

Claire wybiegła z pokoju. Littell złapał wino.

— Komuniści nie kastrują niewinnych ludzi. Komuniści nie przyczepiają ludziom akumulatorów do genitaliów i nie traktują ich prądem. Komuniści nie wrzucają telewizorów do wanny i...

Helen też wybiegła. Susan powiedziała:

— Ojcze, niech cię szlag trafi za twoją słabość.

**W**ziął zwolnienie lekarskie i zaszł się w domu aż do Nowego Roku. Supermarkety A&P dostarczały jedzenie i alkohol.

Egzaminy końcowe w szkole prawniczej trzymały Helen z dala od niego. Rozmawiali przez telefon — były to głównie pogawędki o niczym i westchnienia. Słyszał trzaski na linii i przypisywał je skołatany nerwom. Kemper nie dzwonił ani nie pisał. Ignorował go.

Przeczytał książkę Bobby'ego Kennedy'ego o wojnach z Hoffą. Ta historia wstrząsnęła nim. Kemper Boyd nie pojawił się w tekście. Obejrzał w telewizji Puchar Rose i Puchar Cotton. Wspominał w myślach „Lodołamacza” Tony'ego Iannone'a — zabitego dokładnie rok temu.

Cztery żytynie wprawiły go w euforię. Fantazjował o odwadze: chęci dobrania się do Julesa Schiffrina i księgowości Funduszu. Więcej alkoholu zabiło to uczucie. Dobrać się znaczyło poświęcić czyjeś życie. Jego odwaga była naprawdę niewiarygodną słabością oscylującą w stronę pompatyczności.

Oglądał Johna Kennedy'ego ogłaszającego swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich. Senacką salę wypełniali jego zwolennicy. Kamery pokazały pikietę na zewnątrz. Teamsters śpiewali: „Hej, hej, je, je, je, Kennedy mówi związkom NIE!”.

Przy tym akompaniamencie reporter mówił:

— Sąd Najwyższy na Florydzie skrupulatnie bada sprawę przewodniczącego Teamsters Jamesa R. Hoffy. Jest on podejrzany o nielegalną sprzedaż ziemi w związku z rozbudową Słonecznej Doliny.

Krótkie ujęcie ukazało Hoffę śmiejącego się na tle Doliny.

Littell zestawił z tym obrazkiem słowa:

Pete, zabijesz dla mnie kilku ludzi, dobra?

Ojcze, niech cię szlag trafi za twoją słabość.

## 40

(Tampa, 1 lutego 1960)

**M**ówił Jack Ruby:

— Jestem zdesperowany. Ten nieszczęsny Sal D, był mi winien w chwili śmierci kupę forsy, urząd skarbowy dobiera mi się do wiesz czego o spłatę zaległości, których nigdy nie miałem. W klubie mam roboty po pachy, Sam już się na mnie wypiął, a wiesz, że jestem wielkim zwolennikiem Kubańskiej Sprawy. Razem z kumplem przywieźliśmy laski, żeby zabawiły chłopaków w Blessington, co było wyłącznie gestem dobrej woli z mojej strony i nie miało nic wspólnego z moją obecną prośbą.

Santo junior siedział przy swoim biurku. Ruby stał przed nim. Z kanapy zwiślały bezwładnie trzy tłuste owczarki niemieckie.

Pete patrzył na płaszczącego się Ruby'ego. Biuro śmierdziało: Santo pozwalał swoim psom wszędzie włązić.

Ruby dodał:

— Jestem zdesperowany. Stoję tutaj przed tobą jak grzesznik przed arcykapłanem.

Trafficante odpowiedział:

— Nie ma mowy. Przywiozłeś dziewczyny, kiedy byłem uwięzany w Hawanie, ale to nie stanowi równowartości dziesięciu kawalków. Dam ci tysiąc z własnej kieszeni i nic poza tym.

Ruby wyciągnął rękę. Santo podał mu odwinęte z rolki banknoty. Pete wstał i otworzył drzwi. Ruby wyszedł, ściskając pieniądze. Santo spryskał wodą kolońską miejsce, w którym stał.

— Chodzą plotki, że ten człowiek ma dziwne upodobania seksualne. Mógłby zarazić cię chorobami, przy których rak to nic. A teraz powiedz mi coś miłego, bo nie lubię zaczynać dnia od użerania się z żebrakami.

Pete powiedział:

— W grudniu i styczniu dochód wzrósł o 2%. Myślę, że Wilfredo Delsol pogodził się ze śmiercią swojego kuzyna, i nie sądzę, żeby kiedykolwiek oszukiwał Kadre. Nikt nas nie okrada i wierzę, że sprawa Obregóna będzie dobrą nauką dla wszystkich...

— Ale ktoś coś pieprzy, bo inaczej nie prosiłbyś mnie o spotkanie.

— Fulo stręczy dziwki. Zmusza je do numerów za pięć dolców i czekoladki. Obraca tymi pieniędzmi, ale i tak myślę, że to kiepski interes.

Trafficante odpowiedział: — Każ mu przestać.

Pete usiadł na brzegu kanapy. Tutenchamon zawarzał ostrzegawczo.

— Lockhart i jego kumple z Klanu stworzyli klub towarzyski niedaleko obozu i rozmawiają tam o linczach. Na dodatek Lockhart zna J.D., gliniarza z Dallas, który przyjechał tu z Rubym. Chuck Rogers chce zabrać J.D. do swojego samolotu i rozrzucić trochę propagandowych ulotek. Mówi o zasypaniu Południowej Florydy.

Trafficante uderzył w bibularz leżący na biurku.

— Skończ z tymi głupotami.

— Dobrze.

— Nie musiałeś pytać o takie pozwolenie...

— Kemper uważa, że wszystkie sprawy dyscyplinarne powinny wychodzić od ciebie. Chce, żeby ludzie myśleli, że jesteśmy przeciw zarządowi.

— Kemper to subtelny gość.

Pete pogłaskał Króla Faruka i Króla Artura. Cholerny Tutenchamon patrzył na niego spode łba.

— Bardzo subtelny.

— Castro zmienił moje kasyna w chlewy. Pozwala kozom srać na dywany, które wybierała moja żona.

— Zapłaci za to — zapewnił Pete.

Wrócił do Miami. Postój był pełen ludzi: Lockhart, Fulo i cała cholerna Kadra. Oprócz Chucka Rogersa — zrzucił z samolotu swoje bomby nienawiści.

Pete zamknął postój i wyłożył Prawo. Nazwał je Deklaracją Zależności Kadry i Nową Poprawką do Zasad KKK.

Żadnego sutenerstwa, kradzieży, oszustwa, włamań, wymuszeń, napadów. Żadnych linczów. Żadnych napaści na czarnuchów. Żadnego podkładania bomb pod kościoły. Żadnego rasistowskiego gówna pod adresem Kubańczyków.

Specjalne przykazanie dla Klanu w Blessington: Kochać wszystkich Kubańczyków. Zostawić ich w spokoju. Dołożyć każdemu, kto zadziera z waszymi nowymi kubańskimi braćmi.

Lockhart nazwał to polecenie quasiludobójczym. Pete wyłamał palce. Lockhart zamilkł. Ludzie rozeszli się.

Jack Ruby chodził i błagał o podwiezienie — zatkał mu się gaźnik, a trzeba było zawieźć dziewczyny do Blessington.

Pete zgodził się. Dziewczyny miały na sobie skąpe spódniczki i skórzane gorsety — mogło być gorzej. Ruby usiadł z przodu. J.D. Tippit i striptizerki zajęły tył ciężarówki. Zbierały się deszczowe chmury — gdyby rozpętała się burza, mieliby przepieprzone.

Pete pojechał dwupasmówką na południe. Włączył radio, żeby Ruby siedział cicho. Chuck Rogers nadleciał nie wiadomo skąd i na wysokości drzew zrzucił ulotki. Dziewczyny śmiały się. Chuck zrzucił „Sześciopak”; J.D. złapał go. Nienawistne ulotki odleciały — Pete też chwycił jedną w powietrzu.

„Sześć przyczyn, dla których Jezus był zwolennikiem Klanu”. Ulotka nr 1 nadawała ton: bo komuchy fluoryzowały Morze Czerwone.

Ruby obserwował sceneryę. Tippit i dziewczyny złapali piwo. Chuck porzucił swoją trasę i zasypał ulotkami murzyński kościół. Sygnał radiowy zanikł. Ruby zaczął smęcić.

— Santo nie ma najlepszej pamięci. Daje mi jedną dziesiątą tego, o co prosiłem, bo z jego pamięcią jest coś nie w porządku. On nie rozumie, przez co przeszedłem, żeby sprowadzić tamte dziewczyny do Hawany.

Pewnie, że Brodacz dał mu popalić. Ale nie przyssał mu się wtedy do dupy żaden szalony fedzio z Chicago...

Pete przyspieszył. — Co za fedzio z Chicago?

— Nie znam nazwiska. Spotkałem go tylko raz i to przelotnie, za co chwala Allahowi.

— Opisz go.

— Jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, czterdzieści sześć albo siedem lat. Okulary, rzadkie siwe włosy i moim zdaniem to pijak, bo gdy się z nim spotkałem, cuchnął whisky.

Droga schodziła w dół. Pete nacisnął na hamulec i silnik prawie zgasł.

— Opowiedz mi, jak się do ciebie przyssał.

— Dlaczego? Daj mi jeden dobry powód, dla którego powinienem się tym z tobą dzielić.

— Dam ci tysiąc dolarów, jeśli opowiesz mi tę historię. Jeśli mi się spodoba, dam ci jeszcze cztery.

Ruby liczył na palcach — od jednego do pięciu chyba z dziesięć razy. Pete wystukiwał rytm melodyjki palcami na kierownicy. W tempie: 1-2-3-4-5. Ruby liczył półgłosem: 1-2-3-4-5, 1-2-3-4-5. Pete pokazał pięć palców. Ruby policzył je na głos.

— Pięć tysięcy, jeśli ci się spodoba?

— Zgadza się, Jack. A tysiąc, jeśli nie.

— Opowiadając ci to, bardzo dużo ryzykuję.

— To nie opowiadaj.

Ruby złapał za swój łańcuszek z żydowską gwiazdą. Pete położył na desce rozdzielczej pięć palców. Ruby pocałował gwiazdę i nabrał duuużo powietrza.

— W maju zeszłego roku ten szalony fedzio dorwał mnie w Dallas.

Groził mi, czym się da na tym Bożym świecie, i uwierzyłem mu, bo wiem, że to szalony i zacięty goj, który nie ma nic do stracenia. Wie, że lichwie w Dallas i Chicago, i wie, że wysyłałem ludzi szukających wysokich pożyczek do Sama Giancany. To na tym tak mu zależy. Chce śledzić pieniądze, które są pożyczane z Funduszu Emerytalnego Teamsters.

Cały Littell — odważny i głupi.

— Miałem dzwonić do niego co tydzień z automatu w Chicago. Dawał mi parę dolców, kiedy mówiłem, że brakuje mi kasy. Miałem opowiadać mu o moim znajomym facecie od filmów, Sidzie Kabikoffie, który był zainteresowany spotkaniem z rekinem finansowym Salem D'Onofrio, który z kolei miał doprowadzić go do Momo i Funduszu. Co było potem, nie wiem. Ale czytałem w gazetach, że i Kabikoff, i D'Onofrio zostali zamordowani, jak to się mówi „w wyniku tortur”, i że oba przypadki są nierozwiązane. Nie jestem Einsteinem, ale „tortury” w Chicago oznaczają Sama G. Wiem też, że Sam nie ma pojęcia, iż byłem w to wplątany, inaczej odwiedziłby mnie. I nie trzeba być Einsteinem, żeby zauważyć, że ten szalony fedzio był tego wszystkiego przyczyną.

Littell pracował niezgodnie z prawem. Littell był najlepszym przyjacielem Boyda. A Lenny Sands pracował z Littellem i D'Onofrio.

Ruby wyskubał z ubrania psią sierść.

— Czy jest to warte pięć tysięcy?

Droga była kręta. Pete przejechał cholernie blisko aligatora.

— Czy ten fedzio dzwonił do ciebie od śmierci Sala D, i Kabikoffa?

— Nie, chwała niech będzie Allachowi. A co z moimi pięcioma...?

— Dostaniesz. I zapłacę ci jeszcze trzy tysiące, jeśli zadzwoni do ciebie znowu, a ty mi o tym opowiesz. A jak będziesz mi dalej pomagał, dostaniesz znowu pięć.

Ruby był bliski apopleksji.

— Dlaczego? Dlaczego, kurwa, tak ci na tym zależy? Pete uśmiechnął się.

— Niech to zostanie między nami, jasne?

— Chcesz tajemnicy, to jej dotrzymam. Jestem znany z tego, że wiem, jak trzymać gębę na kłódkę.

Pete wyciągnął magnum i kierował kolanami. Ruby uśmiechnął się — oho, cóż to takiego? Pete otworzył magazynek, wysypał pięć naboji i zostawił ostatni. Ruby uśmiechnął się — oho, no, tego już za wiele.

Pete strzelił mu w głowę. Szansa pięć do jednego: iglica trafiła na pustą komorę. Ruby zrobił się biały jak szaty Klanu. Pete powiedział:

— Popytaj wokół. Posłuchaj, co ludzie o mnie mówią.

**D**ojechali do Blessington o zmierzchu. Ruby i Tippit przygotowali swój show. Pete zadzwonił na lotnisko Midway i podał się za oficera policji. Urzędnik potwierdził słowa Ruby'ego: Ward J. Littell poleciał do Dallas i wrócił stamtąd 18 maja ubiegłego roku. Odłożył słuchawkę i zadzwonił do hotelu Eden Rock. Dziewczyna w recepcji oznajmiła, że Kemper Boyd „wyszedł na cały dzień”.

Pete zostawił mu wiadomość: „22.00, Luau Lounge — pilne”.

**B**oyd przyjął to spokojnie. Śmiertelnie znudzonym głosem powiedział:

— Wiem, że Ward zajmuje się Funduszem.

Pete wydmuchiwał kóleczka z dymu. Wkurzał go ton Boyda — jechał sto dwadzieścia kilometrów, żeby zobaczyć jego pieprzone znudzenie.

— Nie bardzo cię to ruszyło.

— Jestem już trochę zmęczony Littellem, ale nie sądzę, żeby było się czym martwić. Nie miałbyś ochoty ujawnić swojego źródła?

— Nie. On nie zna nazwiska Littella i nieżle go nastraszyłem.

Malutka świeczka rzucała blask na ich stolik. W jej dziwnym świetle Boyd pojawiał się i znikał.

— Przecież ciebie to chyba nie dotyczy, Pete.

— Ale dotyczy Jimmy'ego Hoffy. A on jest jakoś związany z naszą kubańską sprawą i z tym pieprzonym Funduszem Emerytalnym.

Boyd bębnił palcami po stole.

— Littell świruje na punkcie chicagowskiej mafii i Funduszu. To nie dotyczy twojej kubańskiej roboty i nie sądzę, że powinniśmy ostrzegać Jimmy'ego. Nie chcę też, żebyś wspominał o tym Lenny'emu Sandsowi.

Nie lubi o tym rozmawiać, a ty nie musisz go martwić.

Cały Boyd: wytyczne prosto z mostu.

— Nie musimy ostrzegać Jimmy'ego, ale powiem to głośno i wyraźnie: Jimmy wynajął mnie, żebym załatwił Antona Gretzlera, i nie chcę, żeby Littell mnie spalił. Już się dowiedział, że ja to zrobiłem, a jest na tyle szalony, że może to rozgłosić, donieść panu Hooverowi albo komuś innemu.

Boyd obracał mieszadelko od martini.

— Załatwiłeś też Rolanda Kirpaskiego.

— Nie. Jimmy sam go załatwił.

Boyd zagwizdał — *très, très* zdawkowo. Pete spojrzał mu w twarz.

— Dałeś Littellowi za dużo luzu. Pozwalałeś mu na rzeczy, na które nie powinienś pozwalać.

— Obaj straciliśmy braci, Pete. Tak to sobie możesz wytłumaczyć.

Nie mogli się dogadać. Boyd mówił czasem w dziwacznych klimatach.

Pete odchylił się.

— Pilnujesz Littella? Na jak krótkiej smyczy go trzymasz?

— Nie kontaktowałem się z nim od miesiący. Zdystansowałem się od niego i pana Hoovera.

— Dlaczego?

— Instynkt.

— Instynkt przetrwania?

— Bardziej potrzeba bezpieczeństwa. Odsuwasz się od pewnych ludzi, a w tym samym czasie zbliżasz do innych.

— Takich jak Kennedy.

— Tak.

Pete zaśmiał się. — Odkąd Jack rozpoczął kampanię, prawie cię nie widuję.

— Aż do wyborów nie będziesz mnie w ogóle widział. Stanton wie, że nie mogę teraz dzielić czasu.

— *Pewnie*, że wie. Zatrudnił cię, żeby zbliżyć się do Kennedych.

— Nie będzie tego żałował.

— Ja nie żałuję. To oznacza, że sam mam prowadzić Kadre.

— Dasz radę?

— A czy ptaki potrafią fruwać?

— Pewnie, że tak.

Pete wziął łyk piwa. Piana dawno opadła — zapomniał, że je zamówił.

— Powiedziałeś „do wyborów”, jakbyś uważał, że nasza robota potrwa aż do listopada.

— Jestem przekonany, że tak będzie. Jack prowadzi w New Hampshire i Wisconsin i jeśli wygra w Zachodniej Wirginii, myślę, że da radę wszędzie.

— Mam nadzieję, że jest przeciwnikiem Castro.

— Owszem. Nie gada o tym tyle co Richard Nixon, ale w końcu Dick od dawna nalatuje na czerwonych.

— Prezydent Jack. Jezu Chryste.

Boyd skinął na kelnera. Na stoliku pojawiło się nowe martini.

— To uwodziciel, Pete. Oczaruje ten kraj jak kobietę. Kiedy Ameryka zobaczy, że może wybierać tylko między Jackiem a skrzywionym starym Dickiem Nixonem, jak myślisz, kogo będzie wołała?

Pete wznosił piwo.

— *Viva La Causa. Viva Jack* i jego cholerny dysk.

Stuknęli się szklankami. Boyd powiedział:

— Jack poprze Sprawę. A jeśli dojdzie do inwazji, chcemy, żeby stało się to za jego administracji.

Pete zapalił papierosa.

— Tym akurat się nie przejmuję. Poza Littellem jest jeszcze tylko jedno zmartwienie.

— Uważasz, że Agencja w końcu dowie się o interesach naszej Kadry.

— Zgadza się.

— Chcę, żeby się dowiedzieli. Mam zamiar powiedzieć im jeszcze przed wyborami. To nieuniknione, ale zanim się dowiedzą, moje powiązania z Kennedymi będą tak cenne, że nie będą mogli mnie zwolnić. Kadra zdobędzie do tej pory zbyt wielu dobrych ludzi i zarobi zbyt wiele pieniędzy, a jeśli chodzi o moralność, to jak się ma sprzedawanie heroiny Murzynom do nielegalnej inwazji na wyspę?

Cały Boyd: „samofinansowanie”, „samostanowienie”...

— I nie martw się o Littella. Stara się zdobyć dowody dla Bobby'ego Kennedy'ego, ale mam wgląd we wszystkie informacje, jakich mu dostarcza, i nie pozwolę, żeby zaszkodził tobie albo Jimmy'emu w związku z zabiciem Kirsaskiego czy czymkolwiek innym łączącym się z tobą albo Sprawą. Jednak prędzej czy później Bobby *dostanie* Hoffę i nie chcę się w to mieszać.

Pete czuł, że kręci mu się w głowie.



— Nie zamierzam się spierać. Ale mam teraz dojście do Littella i jeśli uważasz, że trzeba go nastraszyć, zrobię to.

— Ja znowu nie zamierzam spierać się w *tej* sprawie. Rób, co musisz, tylko go nie zabijaj.

Uścisnęli sobie ręce. Boyd powiedział:

— *Les gens que l'on comprend — ce sont eux que l'on domine.*

*En français, Pierre, souviens-toi:* Ci, których rozumiemy, to ci, nad którymi panujemy.

## 41

(Nowy Jork/Hyannis Port/New Hampshire/Wisconsin/  
/Illinois/Zachodnia Wirginia, 2-5 kwietnia 1960)

**W** Boże Narodzenie upewnił się. Każdy dzień dostarczał kolejnych dowodów.

Jack przechował pierścionek dla Laury. Kemper wziął szmaragdową broszkę Jackie. Nie mógł jednak uruchomić wozu — szofer Kennedych miał go sprawdzić. A Kemper przechadzał się po posiadłości i stał się świadkiem przemiany Jacka.

Stał samotnie na plaży. Pełnym głosem wygłaszał swoją mowę. Kemper stanął poza zasięgiem jego wzroku i patrzył. Jack zmienił się z wysokiego w bardzo wysokiego mężczyznę. Mniej rżał, a bardziej huczał. Jego wyraziste gesty dodawały czegoś, czego zawsze mu wcześniej brakowało. Jack śmiał się. Jack pochylał głowę w geście słuchania. Jack po mistrzowsku podsumowywał sytuację w Rosji, prawa obywatelskie, podbój kosmosu, Kubę, katolicyzm, swoją młodość i Richarda Nixona jako dwuznacznego, nic nierobiącego reakcjonistę niezdolnego poprowadzić największe państwo świata w niebezpieczne czasy. Wyglądał bohatercko. Potrzeba chwili usunęła z niego całe chłopięctwo. Zawsze potrafił nad sobą zapanować. Czekał na moment, gdy będzie mógł pokazać to światu.

Jack wiedział, że wygra. Kemper wiedział, że stanie się uosobieniem wspałałości dzięki tkwiącej w jego postaci sile tajemnicy. Ta nowa wolność sprawi, że ludzie go pokochają.

Laurze bardzo spodobała się broszka.

Jack wygrał w New Hampshire i Wisconsin.

Jimmy Hoffa odwiedził oba stany. Mobilizował Teamsters i głądził na ogólnokrajowym kanale telewizyjnym. Jimmy zdradzał swoje szaleństwo za każdym razem, gdy otwierał usta.

Kemper organizował odpór. Pikiety zwolenników Jacka pobiły się z pikietami Teamsters. Zwolennicy Jacka lepiej krzyczeli i rozlepiali plakaty.

Książka Bobby'ego weszła na listę bestsellerów. Kemper rozdawał darmowe egzemplarze w salach związkowych. Powszechna opinia po niecałych czterech miesiącach kampanii: Jimmy Hoffa to zero. Jack był zabójczo przystojny. Hoffa nadęty i zawsze zirytowany. Wszystkie pamflety wymierzone w Kennedy'ego i tak obracały się przeciwko niemu z adnotacją: „Śledztwo w sprawie nielegalnej sprzedaży ziemi trwa”.

Ludzie kochali Jacka. Chcieli go dotykać. Kemper pozwalał im podchodzić niebezpiecznie blisko. Pozwalał zbliżać się fotografom. Chciał, żeby rozbawienie Jacka wydawało się ludziom promieniejącą miłością.

W Nebrasce nie było opozycji. W Zachodniej Wirginii prawybory miały się odbyć za sześć dni — Jack bez wysiłku powinien pokonać Huberta Humphreya.

Frank Sinatra podbijał wyborców z prowincji. Aktor komediowy ze „Szczerzej Paczki” skomponował od ręki Hymn Jacka. Komercyjne rozgłośnie radiowe puszczały go na okrągło.

Laura nazywała Sinatrę małym członkiem z wielkim głosem. Powodzenie Jacka doprowadzało ją do wściekłości. Była krewną i wyrzutkiem. Kemper Boyd był obcym, który uzyskał status domownika.

Co dzień dzwonił do niej z trasy. Laura uważała, że robi to pro forma. Wiedział, że Laura tęskni za Lennym Sandsem. Nie wiedziała, że zmusił go do zerwania kontaktów. Lenny zmienił swój numer w Chicago — Laura nie mogła do niego zadzwonić. Kemper sprawdzał rachunki telefoniczne i upewnił się, że do niej nie telefonował.

Bobby przypomniał sobie „trenera głosu”, Lenny'ego. Niektórzy ze sztabu uważali, że warto odnowić znajomość i zaprosili go do New Hampshire. Jack „przedstawił” Lenny'ego Kemperowi. Lenny zachował się właściwie i nie zdradził ani grama nienawiści czy strachu. Zaczął pracować nad doprowadzeniem głosu Jacka do szczytowej formy. Bobby umieścił go na liście płac w Wisconsin — jako przynętę dla tłumów. Lenny gromadził ludzi za niską cenę — Bobby był zachwycony.

Claire spędzała większość weekendów z Laurą. Mówiła, że przyrodnia siostra Jacka to zagorzała wielbicielka Nixona.

Tak jak pan Hoover.

Rozmawiali obaj w połowie lutego. To Hoover zadzwonił. I zaczął fałszywym tonem: „Dawno się nie widzieliśmy!”

Kemper poinformował go o swych nowych obowiązkach i szczegółowo opowiedział o dawnych podejrzeniach Joe Kennedy'ego. Hoover odparł:

— Stworzę dokumentację uzasadniającą pańskie działania. Będzie wyglądało, jakbym to ja był odpowiedzialny za wszystkie pana wyjazdy na Florydę. Będzie pan asem Biura do spraw monitorowania grup zwolenników Castro.

Kemper podał mu najważniejsze daty wyjazdów na Florydę. Hoover przesłał mu wtedy fałszywe plany podróży do zapamiętania. W ogóle nie wspominał o kampanii. Kemper wiedział, że przeczuwa zwycięstwo Kennedy'ego. Nie wspominał o Jacku i kobietach. Nie sugerował podsłuchiwania prostytutek. Nie nalegał na uzyskanie odpowiedzi, dlatego Kemper Boyd tak się od niego oddalił.

Kemper nie miał ochoty inicjować kolejnego seksualnego szantażu. Choć w obliczu jednego swego chlebodawcy chciał pozostać lojalny.

Sutenerskie szantaże? — nie. Sutenerskie usługi? — oczywiście. Co noc załatwiał Jackowi inną dziewczynę. Dzwonił do lokalnego oddziału policji po referencje i rewidował każdą, z którą pieprzył się Jack.

Dziewczyny kochały Jacka. Podobnie jak Ward J. Littell.

Nie rozmawiali od sześciu miesięcy. Ward pokazał się na wielkim spotkaniu wyborczym w Milwaukee — dawne Widmo z Chicago wyglądało jak Widmo Przedśmiertne. Był słaby i zaniedbany. Nie przypominał w żaden sposób dzielnego agenta. Nie chciał rozmawiać ani o mafii, ani o strategii Funduszu Emerytalnego. Nie chciał rozmawiać o zabójstwie D'Onofrio. Powiedział, że zaniedbuje zadania Czerwonej Drużyny. I że zaprzyjaźnił się z lewicowcem, którego śledził.

Podniecała go kampania Jacka. Chodził do pracy ze znaczkiem Kennedy'ego w klapie i zrobił scenę, gdy Leahy kazał mu przestać. Antymafijna kruczata Littella stanęła w martwym punkcie. Pan Hoover nie mógł się teraz do nich przyczepić — spisek Boyd/Littell już nie istniał. Kemper powiedział Bobby'emu, że Widmo wciąż szuka. A Bobby na to:

— Nie zawracaj mi głowy bzdurami.

Littell miał przejść na emeryturę za osiem miesięcy. W pijackich marzeniach widział się zatrudnionego u Kennedy'ego.

Ward kochał Jacka. New Hampshire kochało Jacka. Wisconsin kochało Jacka. Zachodnia Wirginia wciąż nie mogła się zdecydować. Hrabstwo Greenbrier było ważne dla wyborów i totalnie zdominowane przez mafię.

Postanowił nie prosić „chłopaków” o pomoc. Po co uzależniać Jacka od ludzi, których nienawidził Bobby?

Ameryka kochała Jacka. Sinatra wyraził to najlepiej:  
„Magia Jacka rzuciła na mnie czar!”

## 42

(Blessington/Miami, 2-5 kwietnia 1960)

Prześladowały go słowa o „straconych braciach”. Pete nie mógł ich zapomnieć. Kiedy John Stanton wizytował obóz w połowie marca, wypytał go o rodzinę Kempera Boyda. Stanton odpowiedział, że CIA zbadalo jego pochodzenie. Sporo punktów zarobił historią o wypadku na polowaniu i tym, że nie pozwalał, by na jego życie wpływały takie wydarzenia.

Boyd mówił po francusku. Boyd ożywiał wielkie słowa. Boyd przewracał cały jego świat...

Trzy ostatnie miesiące: „samostanowienie” — prosto ze słownika Webstera. Na karcie kontrolnej czasu pracy Kempera wyraźnie było napisane KENNEDY. Na karcie Pete'a — KUBA.

Fulo przestał stręczyć dziwki. Lockhart dostosował się do Nowego Kodeksu Klanu. W Blessington odbyło się sześć dwutygodniowych cykli szkoleniowych — w sumie 746 mężczyzn. Uczyli się obsługiwania broni, judo, kierowania ślizgaczem i robienia demolki. Chuck Rogers karmił ich proamerykańską doktryną.

Kadra wciąż rekrutowała ludzi w Miami. Zapisywali się kąpani w gorącej wodzie Kubańczycy. Agencja posiadała teraz sześćdziesiąt baz. W Gwatemali założyli odosobnioną „szkołę podyplomową”, w pełni wyposażoną w sprzęt wojskowy.

Ike poluzował napięcia finansowe. Zaakceptował plany inwazji imigrantów. To była duża polityczna zmiana — trzy spiski dorwania Fidela spaliły na panewce i zmusiły Langley do zmiany myślenia.

Snajperzy nie mogli bardziej się zbliżyć. Adiutanci palili wybuchowe cygara przeznaczone dla Brodacza. W Langley doszli do wniosku, pieprzyć to, zaatakujmy Kubę. Może w przyszłym roku. Może za rządów Jacka.

Boyd uważał, że Jack zaakceptuje plan. Boyd był kurewsko przekonujący. Santo junior puścił w obieg, że Kemper Boyd ma posłuch u Kennedy'ego.

Mafia dołożyła się do kampanii Jacka — cicho i anonimowo. Kilka sowitych darowizn. Jimmy Hoffa nie wiedział. Jack nie wiedział — i nie miał się dowiedzieć, dopóki nie nadeszłyby najlepsza chwila na obwołanie go dłużnikiem. Sam G, powiedział, że może kupić mu Illinois. Lenny Sands twierdził, że Sam wydał fortunę w Wisconsin. Podobnie w Zachodniej Wirginii — mafijne pieniądze sprawiły, że stan stanął za Jackiem.

Pete spytał Lenny'ego, czy Boyd wie o tych wszystkich przekrętach. Lenny odpowiedział, że nie wie. Pete na to: „Niech tak zostanie. Kemperowi nie podobałoby się, że zadłużają Jacka”.

Boyd wzbudzał zaufanie. Trafficante kochał go. Santo wystawił kapelusz na Kubańską Sprawę — Giancana, Rosselli i Marcello wrzucili do niego hojne datki. Było to klasyczne trzymanie spraw w oddzielnych przegródkach, kategoryzowanie.

Góra CIA zgadzała się na te prezenty. Dowiedzieli się o narkotykowym interesie Kadry, zanim Kemper ich poinformował. Nie protestowali. Uważali, że łatwo będzie wszystkiemu zaprzeczyć, i kazali Johnowi Stantonowi kontynuować. Poprosili też Stantona, żeby nie chwalił się tą wiedzą przed ludźmi niebędącymi personelem CIA. Takimi jak policjanci. Jak moralizujący politycy.

Stantonowi ulżyło. Kemper był rozbawiony. Powiedział, że ta sprawa ilustruje dychotomię Jack/Bobby: handel narkotykami jako problem wywołujący podziały moralne. Starszy Brat skrzywiłby się i próbował ignorować ten związek. Młodszy zawarłby przymierze z Bogiem i zlikwidował wszystkie kontakty mafii z CIA. Starszy Brat był światowcem, jak jego ojciec. Młodszy Brat był pretensjonalny, tak jak trzeźwy Ward Littell.

Bobby miał pieniądze swojego ojca i tajne skrytki swojego brata. Littell miał wódkę i religię. Jack Ruby miał pięć tysięcy pensji psa tropiącego — gdyby Littell jeszcze raz zjawiał się w jego życiu, Wielki Pete wiedziałby o tym.

Boyd zakazał mu zabijać Littella. Boyd podpisał się pod świrem Littella — Funduszem Emerytalnym — co oznaczało przynajmniej nikłą szansę dorwania się do dużych pieniędzy.

Littell kochał Jacka.

Tak jak Darleen Shoftel. Tak jak Gail Hendee. Jak on sam.

Hej, Jack, pieprzyłś moją byłą dziewczynę. Nie szkodzi, Kemper Boyd mówi, że jesteś rasowo czysty.

Sprzedaję dla ciebie herę. Zarabiam forszę dla człowieka nazwiskiem Banister, który łączy CIEBIE z żydowsko-papieskim spiskiem, żeby zerznąć Amerykę od tyłu. Podobałby ci się Fort Blessington, Jack. To sanatorium mafii — „chłopaکی” przyjeżdżają tu, żeby zobaczyć artystyczne występy wymierzone przeciwko

Castro. Santo junior kupił motel za miastem. Przenocowałby cię za darmo — jeśli utopisz swojego młodszego brata w bagnach Everglades. Wpada tu Sam G. Odwiedza nas Carlos Marcello. Johnny Rosselli przywozi Dicka Contino z jego akordeonem. Pokazuje się Lenny Sands — jego zboczone żarty z Fidela przewracają budę do góry nogami. Dochody z hery były wysokie. Morale Kadry jeszcze wyższe. Ramón Gutiérrez kolekcjonował skalpy. Heshie Ryskind założył fundusz nagród za zdobyte głowy.

Lenny Sands służył skandalom: Brodacz jako chłopiec do bicia dla brukowców. Panu Hughesowi podobały się strony polityczne, ale wołał widzieć w *Cicho sza!* więcej seksu bez ogródek. Pete dzwonił do niego raz w tygodniu. Ten skurczybyk gadał jak najęty. Sprawa TWA wciąż się ciągnęła. Dick Steisel trzymał w zapasie sobowtórów Hughesa. Hughes wierzył, że Murzyni przenoszą raka i chciał przywrócenia niewolnictwa.

Mormońscy szaleńcy, mający obsesję na punkcie czystości, dotrzymywali Wielkiemu Howardowi towarzystwa. Wciąż dezynfekowali mu dom — aerozol o mocy bomby atomowej czynił cuda. Załogą dowodził éwok nazwiskiem Duane Spurgeon. Na każdą klamkę, której mógł dotknąć czarnuch, naciągał nawilżane specjalnym środkiem prezerwatywy.

Hughes miał też nowego świra: cotygodniowe transfuzje krwi. Dostawał wyłącznie czystą mormońską krew — kupowaną w banku krwi niedaleko Salt Lake City.

Hughes zawsze mówił: — Dzięki za herę.

Pete zawsze odpowiadał: — Dziękuj Agencji.

Hughes ciągle mu płacił. Wciąż go utrzymywał. Dostawał 5% z Taxi-Tygrys i wynagrodzenie agenta kontraktowego. Kiedyś uprawiał sutenerstwo i szantaż. Teraz spluwą torował sobie drogę do historii.

Jimmy Hoffa co kilka dni wpadał na postój. Jego standardowym *modus operandi* było wściekanie się na kierowców niemówiących po angielsku. Dyspozytornię obsługiwał teraz Wilfredo Delsol — załatwienie kuzyna zgasiło w nim apetyt na przemoc. Wilfredo rozumiał po angielsku. Mówił, że Jimmy wkurza się na Kubańczyków, ale nie na długo. Komukolwiek dostał się pierwszy „opierdol”, temu ulżyło. Przy tym nie udało mu się jeszcze wykrzyknąć zdania nie kończącego się na „Kennedy”.

Pete widział Jacka i Jimmy'ego w debacie telewizyjnej. Kennedy oczarował przeciwnika tak, że ten zaniemówił. Hoffa miał na sobie białe skarpetki i krawat poplamiony jajkiem.

Śluchaj i pamiętaj — umiem odróżnić zwycięzców od przegranych.

Czasem nie mógł spać. Ten cholernie wielki zamęt był jak bomba wodorowa w głowie...

(Greenbrier, 8 maja 1960)

Przed mównicą gniotły się tłumy. Zwolennicy Jacka i pikietujący Teamsters — sami twardziele. Główne przejście było zablokowane samochodami. Tłum czekający na wiec wyborczy ciągnął się przez trzy przecznice: co najmniej sześć tysięcy ludzi stłoczonych ramię przy ramieniu. Jazgot i szum był wielki. Transparenty sięgały trzech metrów.

Jack miał przemawiać pierwszy. Humphrey przegrał ustawiony rzut monetą i był ostatni. Jack, jako urodzony władca, pokonał Huberta trzy do jednego — tak wyglądała kampania w Zachodniej Wirginii w skrócie.

Teamsters dęli w bycze rogi. Jacyś wieśniacy trzymali papierowy transparent: Jack z kłami i w papieskim birecie. Kemper zakrywał uszy dłońmi — ryk tłumu sprawiał ból. Kamienie podarły transparent — zapłacił jakimś dzieciakom, żeby przycupnęły w ukryciu i porzuciły. Czekano na Jacka. Złe nagłośnienie i inwektywy Hoffy mogły zagłuszyć jego mowę. Niewielka strata — ludzie i tak będą go *widzieć*. Tłum rozpierzchnie się, kiedy pojawi się Humphrey — w wybranych knajpach w mieście będzie można dostać alkohol za darmo.

To był alkohol Kempera Boyda. Dawny kumpel porwał ciężarówkę z towarem i sprzedał mu zawartość.

Ulica była zatłoczona. Chodniki również. Peter Lawford wciskał spinki do krawata grupie zakonnicy. Kemper wmieszał się w tłum i patrzył na trybuny. Dostrzegł też dwie niepasujące do tego miejsca twarze: Lenny'ego Sandsa i klasycznego mafioso, stojących kilka metrów od siebie. Gangster pokazał Lenny'emu kciuk w górze. Lenny odpowiedział dwoma.

Lenny'ego *nie było* na liście płac kampanii. Lenny nie miał tu żadnych *oficjalnych* obowiązków.

Gangster odwrócił się w prawo. Lenny przepchnął się w lewo i ruszył pełnym kubłów na śmieci zaułkiem. Kemper poszedł za nim. Ludzkie łokcie i kolana nie pozwalały mu poruszać się zbyt szybko. Dzieciaki zajęły niemal cały chodnik. Lenny znalazł się nagle w połowie długości uliczki, wtłoczony między dwóch policjantów.

Poziom hałasu tłumu wyrównał się. Kemper kucnął za śmietnikiem i podsłuchiwał.

Lenny rozwinął rolkę banknotów. Gliniarz wyszarpnął kilka. Jego kumpel powiedział:

— Za dwie stówy możemy zatrzymać autobus Humphreya i przyprowadzić tu trochę ludzi, żeby go wykrzyczeli.

Lenny odparł:

— Zróbcie tak. To pomysł pana G., więc nie wspominajcie o tym nikomu związanemu z kampanią.

Gliniarze chwycili cały zwitek i zaczęli się przeciskać uliczką. Lenny oparł się o ścianę i zapalił papierosa.

Kemper podszedł do niego. Strojnis-Lenny spytał:

— Co jest?

— Opowiedz mi o tym.

— O czym?

— Uzupełnij luki.

— Co tu uzupełniać? Obaj jesteśmy ludźmi Kennedy'ego.

Lenny umiał manewrować. Lenny swoim luzem przewyższał największego luzaka na świecie.

— Giancana wyłożył też pieniądze w Wisconsin. Mam rację? Nie pracowałbyś tak ciężko za to, co dał ci Bobby.

Lenny wzruszył ramionami.

— Sam i Hesh Ryskind.

— Kto im kazał? Ty?

— Moje rady nie mierzą aż tak wysoko. Wiesz o tym.

— Gadaj, Lenny. Udajesz niewiniątko i zaczyna mnie to denerwować.

Lenny zgasił papierosa na ścianie.

— Sinatra przechwalał się swoim wpływem na Jacka. Mówił, że Jack jako prezydent będzie zupełnie inny niż Jack z Komisji McClellana, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

— A Giancana w to wszystko uwierzył?

— Nie. Myślę, że zrobiłeś Frankowi wielką pieprzoną przysługę. Wszyscy są pod wrażeniem tego, co robisz na kubańskim froncie, więc wymyślili, że jeśli ty lubisz Jacka, to nie może on być taki zły.

Kemper uśmiechnął się.

— Nie chcę, żeby Bobby i Jack się o tym dowiedzieli.

— Nikt tego nie chce.

— Dopóki długi nie przypomną o sobie?

— Sam nie wierzy w błahe przypomnienia. A na wypadek, gdybyś *ty* chciał *mi* o czymś przypomnieć, powiem ci od razu. Nie wiem nic o Funduszu Emerytalnym.

Kemper usłyszał kroki. Z lewej i z prawej widział Teamsters — kucali z łańcuchami po obu stronach alei. Czekali na Lenny'ego. Małego Lenny'ego, Żydka Lenny'ego, Lenny'ego — poplecznika Kennedy'ego... Lenny nie widział ich.



Gnojek Lenny zbyt był przejęty swoją rolą luzaka-twardziela.

Kemper powiedział: — Będę w kontakcie.

Lenny odparł: — Do zobaczenia w piekle.

Kemper wycofał się ku ciasnemu wyjściu z zaułka i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Usłyszał krzyki, brzęk łańcuchów i uderzenia — typowe zamieszki klasy pracującej.

Lenny nie krzyknął ani nie jęknął. Kemper zmierzył czas — bili go minutę i sześć sekund.

## 44

(Chicago, 10 maja 1960)

Praca doprowadzała Littella do schizofrenii. Musiał zadowolić Biuro i własne sumienie. Chick Leahy nienawdził Mała Chamalesa. Komisja do spraw Działalności Antyamerykańskiej odkryła powiązania Mała z szesnastoma grupami komunistów. Szefem Leahy'ego w FBI był były szef agentów z Chicago, Guy Banister.

Banister nienawdził Mała. Kartoteka Mała w Czerwonej Drużynie liczyła osiemdziesiąt stron. Littell lubił Mała. Często chodzili na kawę. Mał lata 1946-1948 spędził w Lewisburgu — Banister napisał wtedy o nim w raporcie, że prowadzi działania antyrządowe i namówił prokuratora na oskarżenie go.

Leahy zadzwonił tego ranka. Powiedział: „Chcę, żebyś inwigilował Mała Chamalesa, Ward. Chcę, żebyś był na każdym zebraniu, na którym on jest, i wyłapywał podżegające wzmianki, które możemy wykorzystać”.

Littell zmieszał żytnią z wodą sodową. Była 17.40 — miał czas na pracę do ogólnokrajowych wiadomości. Zapełniał swoje raporty bezużytecznymi szczegółami. Pomiął tyradę Mała przeciw działalności Biura. Zakończył niegroźnymi uwagami:

*Przemówienie wiadomego członka Socjalistycznej Partii Pracy było mdle i wypełnione niejasnymi i niegroźnymi sloganami o zdecydowanie lewicowej, acz nieszkodliwej naturze. Jego komentarze w czasie przeznaczonym na*

*pytania zebranych nie były w najmniejszej mierze podlegające ani prowokujące.*

Mał nazywał pana Hoovera „pedziowatym faszystą w oficerkach i tyrolskich porciętach na szelkach”. Podlegające? — Niezbyt.

Littell włączył telewizor. Ekran wypełniał John Kennedy — właśnie wygrał prawybory w Zachodniej Wirginii. Zadzwoił domofon. Littell przycisnął klawisz otwarcia drzwi.

Wszedł Lenny Sands. Twarz pokrywały mu strupy, sińce i szwy. Bandaż utrzymywał mu nos na miejscu. Lenny kołysał się na nogach. Zmuszał się do uśmiechu. Celował palcami w telewizor.

— Cześć, Jack, ty pyszna sztuko irlandzkiej pieczeni jagnięcej!

Littell wstał. Lenny, wyraźnie osłabiony, oparł się o regał.

— Ward, wyglądasz świetnie! Te wytarte spodnie od J. C. Penneya i ta tania biała koszula tak do CIEBIE pasują!

Kennedy mówił o prawach obywatelskich; Littell wyłączył telewizor. Lenny pomachał na pożegnanie:

— Dzięki, Jack, mój potencjalny szwagrze w najlepszym z możliwych światów, gdybym lubił dziewczyny, a ty miałbyś odwagę uznać za swoją siostrę moją drogą przyjaciółkę Laurę, którą wspaniały i okrutny pan Boyd wykreślił z mojego życia.

Littell przysunął się do niego. — Lenny...

— Nie próbuj, kurwa, do mnie podchodzić ani mnie dotykać, ani uśmiezczać moim kosztem swojego żalosego poczucia winy, ani w jakikolwiek inny sposób zakłócać mojej jazdy na kodeinie, bo nie powiem ani słowa o moich kontaktach z Funduszem Emerytalnym, ty żalose na miastko policjanta.

Littell podparł się ręką o fotel. Palce przeszły mu przez tkaninę obicia. Zaczął kołysać się na nogach, tak jak Lenny. Regał chwiał się. Lenny bujał się na obcasach — naćpany i pijany.

— Jules Schiffrin trzyma księgi rachunkowe gdzieś w Lake Geneva. Ma tam posiadłość i przechowuje dokumenty w sejfach albo skrytkach w okolicznych bankach. Wiem, bo występowałem tam i słyszałem, jak Jules rozmawiał z Johnnym Rossellim. Nie pytaj o szczegóły, bo nie znam żadnych, a od myślenia boli mnie głowa.

Ramię ześlizgnęło się. Fotel się przewrócił. Littell wpadł na szafkę z telewizorem.

— Czemu mi to mówisz?

— Bo jesteś malutkim zerem lepszym od pana Bestii i pana Boyda, a moim zdaniem pan Boyd chce informacji tylko ze względu na potencjalny zysk, poza tym dostałem bicie za pewną robotę dla pana Sama...

- Lenny...
- ...a pan Sam powiedział, że zmusiłby za to kogoś ważnego do pełzania, ale poprosiłem, żeby tego nie...
- Lenny...
- ...a Jules Schiffrin był z nim i rozmawiali o kimś zwanym w latach dwudziestych „Irlandzkim Joe”, jak zmuszał te dziewczyny z filmu do...
- Lenny, przestań...
- ...a to było tak okropne, że łyknąłem trochę prochów i oto jestem, i jeśli będę miał szczęście, to rano niczego nie będę pamiętał.
- Littell podszedł bliżej. Lenny uderzył go w twarz; drapał, bił i kopał.
- Regał upadł. Lenny potknął się i wypadł przez drzwi. Książki prawnicze uderzyły o podłogę. Oprawiona fotografia Helen Agee roztrzaskała się na kawałki.

Littell pojechał do Lake Geneva. Na miejscu był o północy, zatrzymał się w motelu przy międzystanowej. Zapłacił z góry gotówką i podał fałszywe nazwisko.

W książce telefonicznej w pokoju figurował Jules Schiffrin. Jego adres oznaczono jako „drugą strefę pocztową”. Littell sprawdził na planie i zaznaczył: zalesiona posiadłość nad jeziorem.

Pojechał tam i zaparkował z dala od drogi. Popatrzył przez lornetkę. Zobaczył kamienny dom i wokół co najmniej pięć hektarów. Zastłaniały go drzewa. Nie było muru ani płotu. Nie było lamp. Dom od drogi dzieliło dwieście metrów. Na frontowych oknach widać było alarm.

Nie było budki strażnika ani bramy. Prawdopodobnie policja stanowa Wisconsin nieoficjalnie pilnowała posiadłości.

Lenny powiedział „w sejfach albo skrytkach bankowych”. Lenny powiedział: „pan Boyd”/”informacje”/”potencjalny zysk”. Lenny był naćpany, ale przytomny. Jego wywód o panu Boydzie był łatwy do rozszyfrowania. Kemper śledził Fundusz niezależnie od niego.

Littell wrócił do motelu. Sprawdził w książce telefonicznej i znalazł dziewięć miejscowych banków. Dyskretne zachowanie mogłoby zatuszować brak uprawnień. Kemper Boyd zawsze podkreślał wagę śmiałości i dyskrecji. Sam szantażował Lenny'ego. W ogóle go to nie zszokowało.

Spał do dziesiątej. Sprawdził na mapie, że do wszystkich banków mógł dojść pieszo. Pierwsi czterej kierownicy współpracowali. Odpowiadali bezpośrednio: pan Schiffrin nie wynajmuje u nas skrytki. Następni dwaj kręcili głowami. Odpowiadali też bezpośrednio: nie dysponujemy schowkami depozytowymi. Kierownik numer siedem chciał zobaczyć nakaz. Nic nie szkodzi: i tak nie

zareagował na nazwisko Schiffrin. W banku numer osiem i dziewięć: żadnych schowków na miejscu.

W pobliżu znajdowało się kilka dużych miast. W promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów leżały dwa tuziny miasteczek. Dostęp do schowków był marzeniem ściętej głowy.

„Sejfy” natomiast oznaczały położenie na terenie posiadłości. Przedsiębiorstwa montujące alarmy dysponują planami — i nie udostępniają ich bez nakazu sądowego.

Lenny miał występy na miejscu. Mógł osobiście widzieć schowek lub schowki. Lenny był teraz zbyt wybuchowy, żeby do niego podejść. Ale...

Jack Ruby był prawdopodobnie znajomym Schiffrina. Jack Ruby był przekupny i przystępny. Littell znalazł budkę telefoniczną. Centrala międzymiastowa połączyła go z Dallas.

Ruby odebrał po trzecim dzwonku.

— Tu klub Carousel, gdzie pieniądze wydasz na same przyjemności...

— To ja, Jack. Twój przyjaciel z Chicago.

— Kurwa... tylko tego wrzoda na dupie mi potrzeba...

Mówił tak, jakby był otumaniony, speszony i jednocześnie wkurzony.

— Jak dobrze znasz Julesa Schiffrina, Jack?

— Przeciętnie. Bo co? Bo co? Bo co?

— Chcę, żebyś przyleciał do Wisconsin i zawadził pod jakimś pretekstem o jego dom w Lake Geneva. Chcę znać rozkład chaty i oddam ci oszczędności całego życia, jeśli to zrobisz.

— Kurwa. Ale z ciebie wrzód...

— Cztery tysiące dolarów, Jack.

— Kurwa. Ale z ciebie wrzód...

Ujadanie psów zagłuszyło Ruby'ego.

## 45

(Blessington, 12 maja 1960)

**W**iem, jak się musiał czuć Jezus. Ci cholerni faraoni rośli w siłę na jego popularności tak, jak ci cholerni bracia Kennedy rosną na mojej — stwierdził Jimmy Hoffa.

— Przypomnij sobie dobrze historię — wtrącił Heshie Ryskind. — To Juliusz Cezar załatwił Jezusa.

Santo junior rzekł: — Z Joe Kennedym da się pogadać. To Bobby jest złym nasieniem. Joe wytłumaczy Jackowi co trzeba, jeśli uda mu się wygrać.

Johnny Rosselli: — J. Edgar Hoover nienawidzi Bobby'ego. I wie, że nie można walczyć z mafią i wygrać. Jeśli wybiorą Jacka, wezmą górę rozsądniejsze głowy niż tego fiutka Bobby'ego.

„Chłopaki” rozwalili się na leżakach przy przystani ślizgacza. Pete nalewał im drinki i pozwalał się wygadać.

Hoffa ciągnął: — Cholerny Jezus zmieniał ryby w chleb, a to jedyna rzecz, której nie próbowałem. Wydałem sześćset kawalców na wybory wstępne, zakupiłem każdego gliniarza, radnego, doradcę, burmistrza, pieprzonego przysięgłego, senatora, prokuratora okręgowego i skurwysyna prokuratorowskiego śledczego. Jestem jak Jezus próbujący przejść przez Morze Czerwone, a dochodzący tylko do jakiegoś motelu na plaży.

— Jimmy, spokojnie — rzucił Ryskind. — Załatw sobie jakąś minetkę i zrelaksuj się. Mam parę sprawdzonych telefonów do miejscowych dziewczyn, które znają się na robocie i będą uszczęśliwione, mogąc zadowolić takiego sławnego gościa jak ty.

— Jeśli wybiorą Jacka, Bobby pójdzie za ciosem — mówił Rosselli. — Założę się, że będzie startował w wyborach gubernatora Massachusetts, a Raymond Patriarca i bostońskie chłopaki będą go mieli na głowie.

— Do tego nie dojdzie — stwierdził Santo junior. — Stary Joe i Raymond za długo się znają. A jak przyjdzie co do czego, to Joe ustanawia prawo — nie Jack ani Bobby.

Hoffa: — Mnie martwi raczej to, co ustanowią wielkie ławy przysięgłych. Mój prawnik twierdzi, że mało prawdopodobne, żeby sprawa Słonecznej Doliny poszła po mojej myśli, co oznacza wyrok przed końcem roku. Więc nie mówcie o Joe Kennedym jak o Jezusie przekazującym Bogu Dziesięć Przykazań na pieprzonej Górze Wezuwiusz.

— Santo dobrze mówił — orzekł Ryskind.

— To była góra Ararat, Jimmy. Wezuwiusz jest, kurwa, w Parku Yellowstone — poprawił Rosselli.

Hoffa powiedział: — Wy, chłopaki, nie znacie Jacka Kennedy'ego. Skurwiel Kemper Boyd przekonał was, że to gorliwy przeciwnik Castro, a naprawdę jest różowym, satysfakcjonującym komunistów, kochającym czarnuchów pedałem zgrywającym psa na dziwki.

Fale uderzyły o nabrzeże. Z odległości pięćdziesięciu metrów dochodziły rytmiczne dźwięki — Lockhart ćwiczył z oddziałami musztrę.

— Poszedłbym na minetkę — rzucił Ryskind. Rosselli spytał: — Jak tam twój wynik, Hesh?

— Coś koło siedemnastu tysięcy.

Santo junior rzekł: — Nie pieprz. Ja mówię, że co najwyżej osiem tysięcy. Jeszcze trochę, a byłbyś zbyt zajęty, żeby zarabiać pieniądze.

Zadzwoił telefon. Pete odchylił leżak do tyłu i chwycił słuchawkę.

— Bondurant.

— Fajnie, że to ty, ale czy żołnierze nie mówią dzień dobry?

Jack Ruby, kurwa, nie do podrobienia. Pete zakrył słuchawkę dłonią.

— O co chodzi? Mówiłem ci, żebyś dzwonił tylko w ważnych sprawach.

— Chodzi o tego szalonego fedzia. Zadzwoił do mnie wczoraj, a ja go zwodziłem.

— *Czego chciał?*

— Zaproponował mi cztery patyki za wycieczkę do Lake Geneva w zasrany Wisconsin i wybadanie rozkładu domu Julesa Schiffrina. Zdaje się, że to ma coś wspólnego z Funduszem Emerytalnym.

— Powiedz mu, że to zrobisz. Umów się z nim w jakimś cichym miejscu za czterdzieści osiem godzin i oddzwoń.

Ruby przelknął ślinę i zająknął się. Pete rozłączył się i wyłamał palec. Pieprzony telefon znowu zadzwonił. Pete złapał słuchawkę.

— Jack, co ty robisz?

Jakiś mężczyzna powiedział:

— To nie Jack. To niejaki pan Giancana poszukujący niejakiego pana Hoffy, który podobnie jest tam z tobą.

Pete pomachał słuchawką.

— Do ciebie, Jimmy. To Mo.

Hoffa beknął. — Włącz głośnik. Sam i ja nie mamy nic do ukrycia przed pozostałymi chłopakami.

Pete nacisnął klawisz. Hoffa ryknął prosto do mikrofonu:

— Tak, Sam.

Głośnik zahuczał:

— Twój ludzie z Zachodniej Wirginii pobili mojego chłopaka, Lenny'ego Sandsa, Jimmy. Nie pozwalaj więcej na coś takiego, bo będziesz musiał publicznie przeproszać. Radzę ci zostawić politykę w spokoju i skupić się na tym, jak nie trafić znów do pudła.

Giancana trzasnął słuchawką. Cała przystań zatrzęsła się od tego dźwięku. Heshie, Johnny i Santo patrzyli na siebie z minami niewiniątek. Hoffa miotał przekleństwami. Ptaki poderwały się z drzew i zakryły niebo.

(Lake Geneva, 14 maja 1960)

Droga rozdzielała dwa ogrodzone pastwiska. Chmury zakrywały księżyc — prawie nic nie było widać. Littell zahamował i włożył pieniądze do papierowej torby po zakupach. Była 22.06 — Ruby spóźnił się.

Littell wyłączył światła. Przewiało chmury. Księżyc oświetlił dużą sylwetkę zbliżającą się do samochodu.

Przednia szyba nagle eksplodowała. Deska rozdzielcza upadła mu na kolana. Stalowa belka zmiażdżyła kierownicę i wyrwała dźwignię biegów. Jakieś ręce rzuciły go na maskę. Szkło przeorało mu policzki i utknęło w ustach. Ręce wrzuciły go do rowu. Podniosły go i powiesiły na ogrodzeniu z drutu kolczastego.

Zwisał tak, a stalowe kolce dziurawiły mu ubranie i trzymały w pionie.

Potwór wyrwał mu kaburę. Potwór uderzył go raz i jeszcze raz, i jeszcze. Ogrodzenie trzęsło się. Metal wbijał mu się w plecy aż do kości. Kaszlał krwią, kawałkami szkła i częściami maski szewroleta. Poczul benzynę. Samochód eksplodował. Gorący podmuch osmalił mu włosy.

Ogrodzenie osunęło się na ziemię. Spojrzał w górę i zobaczył zapalające się chmury.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.05.1960. Notatka służbowa FBI:

agent specjalny z Milwaukee John Campion do dyrektora J. Edgara Hoovera.

Szanowny Panie Dyrektorze,

Nasze dochodzenie w sprawie napadu ze skutkiem prawie śmiertelnym na agenta specjalnego Warda Littella posuwa się do przodu bardzo mozolnie, głównie ze względu na poważny stan agenta specjalnego Littella i brak współpracy z jego strony.

Agenci z biur w Milwaukee i Chicago szukali w Lake Geneva naocznych świadków zdarzenia oraz świadków obecności Littella w tej okolicy, ale bez rezultatu. Agent specjalny z Chicago Leahy poinformował mnie, że Littell był pod obserwacją w związku z kwestiami dotyczącymi wewnętrznego bezpieczeństwa Biura i że dwukrotnie (10 i 14 maja) agenci go śledzący stracili go z oczu na drogach wiodących na północ do granicy z Wisconsin. Charakter poczynąń Littella w Lake Geneva pozostaje jak dotąd nieznan.

Szczegóły dotyczące śledztwa:

1) Napad miał miejsce na wiejskiej drodze dojazdowej 6 km na południowy wschód od Lake Geneva.

2) Ślady w błocie niedaleko szczątków samochodu Littella wskazują, że napastnik zatarł odciski swoich opon, uniemożliwiając identyfikację.

3) Samochód Littella został obłany łatwopalną mieszkanką z rodzaju tych używanych przy produkcji wojskowych substancji wybuchowych. Takie mieszanki spalają się bardzo szybko i nie powodują ryzyka zajęcia ogniem obszaru wokół celu. Napastnik niewątpliwie miał wojskowe doświadczenie i/lub dostęp do wojskowego zaopatrzenia.

4) Analiza wykazała obecność spalonych dolarów amerykańskich pokrytych fragmentami papierowej torby. Zsumowany ciężar szczątków wskazuje na to, że Littell miał przy sobie dużą ilość pieniędzy w torbie po zakupach.

5) Littell został uratowany przez okolicznych farmerów (był zaczepiony o ogrodzenie z drutu kolczastego). Zabrano go do szpitala w Overlander niedaleko Lake Geneva i opatrzono dużą ilość ran ciętych i szarpanych na pośladkach, złamane żebra, liczne stłuczenia, złamany nos, złamany obojczyk, krwotoki wewnętrzne i rany twarzy spowodowane kontaktem ze stłuczonym szkłem. Littell wypisał się ze szpitala czternaście godzin później i zamówił taksówkę do Chicago. Siedzący go chicagowscy agenci widzieli, jak wchodził do swojego mieszkania. Upadł przy wejściu, a agenci odwieźli go do szpitala Świętej Katarzyny.

6) Littell przebywa w szpitalu. Jego stan jest określany jako dobry i za tydzień prawdopodobnie zostanie wypisany. Lekarz prowadzący powiedział agentom, że blizny na twarzy i pośladkach pozostaną i że będzie do siebie dochodził bardzo powoli.

7) Agenci wielokrotnie pytali Littella o trzy rzeczy: jego obecność w Lake Geneva, pieniądze w spalonej torbie i wrogów, którzy chcieliby go tak pobić. Littell utrzymywał, że w Lake Geneva szukał domu, do którego przeniósłby się na emeryturze, i zaprzeczył, jakoby miał wtedy jakiegokolwiek pieniądze. Oświadczył, że nie ma wrogów i uważa, że napastnik pomylił go z kimś innym. Zapytany o członków Partii Komunistycznej Stanów Zjednoczonych, którzy mogliby mścić się na nim za pracę w Czerwonej Drużynie, Littell odparł: „Żartujesz? Ci komuniści to miłe chłopaki”.

8) Agenci domyślili się, że Littell był w Lake Geneva co najmniej dwa razy. Jego nazwisko nie pojawiało się w żadnym hotelu ani motelu, więc uznaliśmy, że meldował się pod fałszywym nazwiskiem albo zatrzymywał u znajomych. Odpowiedź Littella — że spał w samochodzie — nie wypadła przekonująco.



Dochodzenie trwa. Czekam na dalsze polecenia.

Z poważaniem

John Campion

Agent specjalny, Biuro w Milwaukee

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.06.1960. Notatka służbowa FBI:

agent specjalny Charles Leahy, szef okręgu Chicago do dyrektora J. Edgara Hoovera.

Szanowny Panie Dyrektorze,

Oto informacje dotyczące agenta specjalnego Warda J. Littella.

Agent specjalny Littell powrócił do służby w zmniejszonym wymiarze obowiązków. Wyznaczono go do zbadania federalnych raportów dotyczących deportacji we współpracy z Biurem Prokuratora Generalnego, w którym to zadaniu wykorzysta umiejętność analizowania pism urzędowych, jaką nabył w szkole prawniczej. Nie chce rozmawiać o napadzie z innymi agentami, zaś my, jak zapewne doniósł Panu agent specjalny Campion, szukamy świadków jego pobytu w Lake Geneva. Helen Agée powiedziała agentom, że Littell nie rozmawiał z nią o napadzie. Osobiście przesłuchałem agenta specjalnego Courta Meade'a, jego jedynego przyjaciela w chicagowskim biurze, i sporządziłem następujący raport:

A) Meade stwierdza, że pod koniec 1958 i na początku 1959 roku, wkrótce po usunięciu go z programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”, Littell „wałęsał” się w pobliżu stanowiska podsłuchowego programu i wyrażał zainteresowanie pracą oddziału. Jego zainteresowanie minęło i Meade uważa, że jest wysoce nieprawdopodobne, by Littell sam zaangażował się w działania antymafijne. Meade zadrwił wręcz z przypuszczenia, że za napad mogła być odpowiedzialna mafia chicagowska albo że lewicowcy śledzeni przez Littella szukali zemsty za jego pracę w Czerwonej Drużynie. Meade uważa, że przyczyną napadu był pociąg Littella do młodych kobiet, czego dowodem jest trwający romans z Helen Agee. Meade powiedział barwnie: „Jedź z powrotem do Wisconsin i poszukaj idealistycznie nastawionych dziewcząt i ich okropnych braci, którym nie podobają się spotkania siostrzyczek z czterdziestosiedmioletnim pijaczną”. Myślę, że ta teoria jest prawdopodobna.

B) Lista aresztowań dokonanych przez Littella od roku 1950 została sprawdzona pod kątem ewentualnej zemsty. Stworzono spis dwunastu mężczyzn i wszyscy mieli alibi. Pamiętam aresztowanie w 1952 niejakiego Pierre'a „Pete'a” Bonduranta i jego drwiny z Littella podczas zatrzymania. Agenci sprawdzili miejsce pobytu Bonduranta podczas napadu i potwierdzili, że przebywał na Florydzie.

Postawa Littella coraz bardziej nabiera cech prokomunistycznych. Littell zostaje oddanym przyjacielem wywrotowca Mala Chamalesa; podsłuch wykazał dotychczas dziewięć rozmów telefonicznych Littella z Chamalesem, we wszystkich z nich Littell wyrażał swoje lewicowe sympatie i potępienie dla „polowania na czarownice” prowadzonego przez FBI. 10 maja zadzwoniłem do Littella i kazałem mu zacząć śledzić Mala Chamalesa. Pięć minut po tym telefonie Littell zadzwonił do Chamalesa i ostrzegł go. Chamales był tego popołudnia na zebraniu Socjalistycznej Partii Pracy. Byli tam Littell i zaufany informator Biura (nie wiedzieli o sobie). Informator zaprezentował mi potem stenogram wywrotowych i ostrzych uwag Chamalesa kierowanych wtedy przeciwko Biuru i panu Hooverowi. W raporcie z 10 maja Littell określa owe wypowiedzi jako niegroźne. Raport był pełen innych kłamstw i odstępstw od prawdy.

Szanowny Panie Dyrektorze, uważam, że nadszedł czas, aby oskarżyć Littella zarówno o brak współpracy w sprawie napadu, jak i o jego niedawne wywrotowe działania. Proszę o rychłą odpowiedź. Wydaje się, iż sprawa wymaga natychmiastowej reakcji.

Z poważaniem Charles Leahy

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.06.1960. Notatka służbowa FBI: dyrektor J. Edgar Hoover do agenta specjalnego Charlesa Leahy'ego w Chicago.

Panie Leahy,

W sprawie Warda Littella na razie nic nie robić. Proszę przywrócić go do obowiązków związanych z KPSZ, zaprzestać śledzenia i informować mnie na bieżąco o dochodzeniu w sprawie napadu.

JEH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.07.1960. Oficjalny stenogram FBI rozmowy telefonicznej:

„Nagrane na polecenie dyrektora

Zaklasyfikowane jako tajne 1-A: tylko do wiadomości dyrektora.”

Rozmawiają: dyrektor Hoover, agent specjalny Kemper Boyd.

KB: Dobry wieczór, sir.

JEH: Kemper, jestem na ciebie wściekły. Unikasz mnie od pewnego czasu.

KB: Nie nazwałbym tak tego, sir.

JEH: Oczywiście, że nie. Nazwałbyś to inaczej, żeby zminimalizować mój gniew. Pytanie brzmi: czy skontaktowałeś się ze mną, gdybym ja nie skontaktował się z tobą?

KB: Tak, sir, zrobiłbym to.

JEH: Przed czy po koronacji króla Jacka Pierwszego?

KB: Nie byłbym taki pewien jego koronacji, sir.

JEH: Czy ma większość?

KB: Prawie. Myślę, że nominują go po pierwszym tajnym głosowaniu.

JEH: I myślisz, że wygra.

KB: Tak, jestem tego niemal pewien.

JEH: Nie mogę się spierać. Relacje między Starszym Bratem i Ameryką przejawiają wszelkie oznaki bezmyślnego romansu.

KB: On ma zamiar pana zatrzymać.

JEH: Oczywiście, że tak. Każdy prezydent od czasów Calvina Coolidge'a tak robił. Nie powinienes mnie tak unikać wiedząc, że księżę Jack będzie przy władzy najwyżej osiem lat, podczas gdy ja zostanę na tym stanowisku raczej do końca tysiąclecia.

KB: Będę o tym pamiętał.

JEH: Dobrze ci radzę. Powinienes również wiedzieć, że moje zainteresowanie Starszym Bratem ma na celu coś więcej niż tylko chęć utrzymania stanowiska. W przeciwieństwie do ciebie mam altruistyczne zainteresowania, takie jak wewnętrzne bezpieczeństwo naszego kraju. W przeciwieństwie do ciebie nie kieruje mną jedynie instynkt samozachowawczy czy wzrost dochodów. W przeciwieństwie do ciebie nie uważam umiejętności udawania za swój największy talent.

KB: Tak jest, sir.

JEH: Pozwól mi zinterpretować twoją niechęć do kontaktu ze mną. Czy obawiałeś się, że poproszę cię, byś przedstawił Starszemu Bratu kobiety zaprzyjaźnione z Biurem?

KB: I tak i nie, sir.

JEH: To znaczy?

KB: To znaczy, że Młodszy Brat nie ufa mi całkowicie. To znaczy, że plan kampanii wstępnej był napięty i starczało mi tylko czasu, żeby zdobywać lokalne cali girls. To znaczy, że może zdołalbym umieścić Starszego Brata w pokoju hotelowym naszpikowanym podsłuchem, ale Młodszy Brat od lat stoi na straży prawa i mógłby wiedzieć, że taki podsłuch istnieje.

JEH: Rozmowa z tobą zawsze kończy się tym samym.

KB: To znaczy?

JEH: To znaczy, że nie wiem, czy kłamiesz, czy nie, i nie wiem, czy mnie to obchodzi.

KB: Dziękuję, sir.

JEH: Proszę. To był fatalny komplement, ale przynajmniej szczerzy. A teraz jedziesz na konwencję do Los Angeles?

KB: Wyjeżdżam jutro. Zatrzymam się w centrum w hotelu Statler.

JEH: Skontaktujemy się z tobą. Król Jack nie będzie narzekał na brak damskiego towarzystwa, gdyby już znudziły mu się wyrazy uznania.

KB: Towarzystwa zaopatrzonego w elektronikę?

JEH: Nie, po prostu dobrych słuchaczek. Porozmawiamy o ich doborze podczas jesiennej kampanii, o ile Młodszy Brat powierzy ci plany podróży.

KB: Tak jest, sir.

JEH: Kto napadł na Warda Littella?

KB: Nie mam pewności.

JEH: Rozmawiałeś z nim?

KB: Helen Agee dzwoniła i powiedziała mi o pobiciu. Wykręciłem do Warda do szpitala, ale nie chciał mi powiedzieć, kto to był.

JEH: Przychodzi mi do głowy Pete Bondurant. Jest zaangażowany w twoje kubańskie eskapady, prawda?

KB: Tak.

JEH: Tak, i co poza tym?

KB: I rozmawiamy o interesach Agencji.

JEH: Biuro w Chicago usatysfakcjonowało alibi Bonduranta. Zapewnił mu je notowany handlarz narkotyków, wielokrotnie skazywany na Kuby za gwałty, ale jak powiedział kiedyś Al Capone, alibi to alibi.

KB: Tak jest, sir. I jak pan sam raz powiedział, walka z komunizmem brata nas czasem z dziwnymi osobnikami.

JEH: Do widzenia, Kemper. Mam wielką nadzieję, że nasza następna rozmowa odbędzie się z twojej inicjatywy.

KB: Do widzenia, sir.

## 47

(Los Angeles, 13 lipca 1960)

Recepcjonista wręczył mu pozłacany klucz.

— Mamy błędy w rezerwacji, proszę pana. Pański pokój został omyłkowo przekazany komuś innemu, ale damy panu apartament w cenie zwykłego pokoju.

Przyjezdni rozpychali się przy kontuarze. Kemper powiedział:

— Dziękuję. Z takimi pomyłkami trzeba się pogodzić...

Recepcjonista przekładał papiery.

— Czy mogę zadać panu pytanie?

— Niech zgadnę. Skoro mój pokój jest opłacany z kampanii Kennedy'ego, dlaczego zatrzymuję się tutaj zamiast w Biltmore z resztą ekipy?

— Tak, proszę pana. O to mi chodziło.

Kemper mrugnął. — Jestem szpiegiem.

Recepcjonista zaśmiał się. Jacyś delegaci zamachali, żeby zwrócić na siebie uwagę. Kemper przycisnął się obok nich i wjechał windą na dwunaste piętro. Dostał prezydencki apartament: podwójne drzwi, złożone zamki, same antyki. Wszedł do środka. Przypomniawszy sobie umówione spotkania i sprawdził północny i północno-wschodni widok. Dwie sypialnie, trzy telewizory i trzy telefony. Darmowy szampan w cynowym wiadrze z lodem, z pieczęcią prezydenta USA.

Od razu odkrył „pomyłkę”: J. Edgar Hoover w akcji. Chce cię zastraszyć. Mówi: „Mam cię”. Wyśmiewa twoje zafascynowanie Kennedym i zamiłowanie do apartamentów hotelowych. *Potrzuje informacje o ewentualnym podsłuchu.*

Kemper włączył telewizor w salonie. Popłynęły komentarze z konwencji. Włączył pozostałe odbiorniki — i podkręcił głoś do oporu. Dokładnie przeszukał apartament. Znalazł mikrofony w pięciu lampach stołowych i ruchome fragmenty ściany za łazienkowymi lustrami. Dwie kolejne pluskwy odkrył w boazerii salonu. Drobną perforacja służyła jako kanał przewodzący dźwięki — nieprofesjonalista nigdy by tego nie zauważył. Sprawdził telefony. We wszystkich założono podsłuch.

Kemper zaczął myśleć tak jak Hoover. Kilka dni temu rozmawialiśmy o podsłuchu stacjonarnym. Wie, że nie chce otoczyć Jacka kobietami „zaprzyjaźnionymi z biurem”. Mówił, że uważa wybór Jacka za nieunikniony. Mógł kłamać. Mógł szukać dowodów cudzołóstwa Jacka, żeby pomóc swojemu dobremu przyjacielowi Dickowi Nixonowi. Wie, że przejrzyś na wylot tę „omyłkową rezerwację”. Myśli, że poufne rozmowy telefoniczne będziesz odbywał z budek. Myśli, że ograniczysz swoje rozmowy w apartamencie albo zniszczysz pluskwy w poczuciu urażonej dumy. Wie, że Littell nauczył cię podstaw zakładania podsłuchów. Nie wie, że Littell pokazał ci parę sztuczek. Wie, że odkryjesz *główny podsłuch*. Myśli, że nie zauważysz zaplecza — tego, czym chce ci dolożyć.

Kemper wyłączył telewizory. Zaczął udawać napad szału: „Hoover, niech cię szlag!” i jeszcze gorsze inwektywy. Wyrwał pluskwy. Ponownie przeszukał apartament — jeszcze dokładniej. Znalazł kolejne podsłuchy telefoniczne. Zauważył

mikrofony w dwóch materacach i trzech poduszkach na krzesłach.

Zszedł do holu i wynajął pokój 808 na fałszywe nazwisko. Zadzwoił do ekipy Johna Stantona i podał swój pseudonim i numer pokoju.

Pete był w L.A., na spotkaniu z Howardem Hughesem. Zadzwoił do jego psiej budy i zostawił wiadomość człowiekowi sprzątającemu basen.

Miał teraz wolne. Bobby będzie go potrzebował dopiero o 17.00. Poszedł do sklepu z narzędziami. Kupił nożyce do drutu, kombinerki, śrubokręt krzyżakowy, trzy rolki papieru ściernego i dwa małe magnesy. Wrócił do Statlera i zabrał się do pracy. Zdjął obudowy telefonów. Przełączył kable. Wygłuszył dzwonki włókniną z poduszki. Zdjął izolację z ołowianych kabli — głosy dzwoniących z wszystkich zapluskwionych telefonów będą się nagrywać niewyraźnie. Starannie rozłożył części dla łatwiejszego złożenia z powrotem. A potem zamówił dzin i wędzonego lososia.

**T**elefony zaczęły dzwonić. Jego system działał bezbłędnie. Ledwo słyszał mówiących. Trzaski na linii zagłuszały wszystko — podśluch łapałby tylko jego głos.

Zadzwoili z Wydziału Policji Los Angeles. Zgodnie z planem: senator Kennedy pojedzie na konwencję w eskorcie motocyklistów. Potem zadzwoił Bobby. Czy mógłby wziąć parę taksówek i po wszystkim przewieźć ekipę z powrotem do Biltmore? Kemper wykręcił do radio taxi i przekazał prośbę Bobby'ego. Musiał mocno wyteżać słuch, żeby zrozumieć dyspozytora.

Na Wilshire Boulevard rozlegały się klaksony. Kemper spojrział na zegarek i w okno. Przejechała kawalkada samochodów z transparentami. „Protestanci głosują na Kennedy'ego”. Co do minuty — opłacone z góry: pięćdziesiąt dolarów za samochód.

Kemper włączył telewizory i spacerował między nimi. Historia jawiła się na nich wyraźnie w czerni i bieli. CBS nazwała Jacka faworytem pierwszego tajnego głosowania. ABC błyskało krótkimi ujęciami — właśnie pokazała się wielka sylwetka Stevensona. NBC pokazało afektowaną Eleonorę Roosevelt: „Senator Kennedy jest po prostu za młody!”.

ABC robiło szum wokół Jackie Kennedy. NBC pokazało Franka Sinatrę witającego się z delegatami. Frankie był próżny — Jack mówił, że pomalował sprayem łysy placek na głowie, żeby się tak nie świecił w telewizji.

Kemper chodził i zmieniał kanały. Znajdował późny popołudniowy miszmasz. Analizy konwencji i mecz baseballa. Wywiady z konwencji i film z Marylin Monroe. Sceny z konwencji, kadry z konwencji, skróty z konwencji. Zobaczył parę ładnych ujęć apartamentu sztabu Jacka. Zobaczył Teda Sorensena,

Kenny'ego O'Donnella i Pierre'a Salingera. Salingera i O'Donnella spotkał tylko raz. Jack pokazał mu też tylko Sorensena — „facet, który napisał dla mnie *Sylwetki odważnych*”.

To była klasyczna definicja „kategoryzowania” czyli trzymania spraw w oddzielnych przegródkach. Jack i Bobby znali go — ale poza nimi praktycznie nikt. Był po prostu glińiarzem, który załatwia sprawy i dostarcza Jackowi kobiety.

Kemper zsunął telewizory razem. Stworzył galerię obrazów: Jack w zbliżeniach i półzbliżeniach. Zgasił światła i przyciszył dźwięk. Miał trzy obrazy i jeden głos. Wiatr rozwiewał Jackowi włosy. Pete mówił, że włosy to jego główny atrybut.

Pete nie chciał rozmawiać o napadzie na Littella. Wolał zejść z tego tematu, żeby porozmawiać o pieniądzach. Zadzwoił do Kempera, kiedy Littell był jeszcze w szpitalu. Od razu przeszedł do rzeczy.

— Masz fioła na punkcie księgowości Funduszu tak samo jak Littell.

Napuszczasz go, żeby szukał, a to znaczy, że sam możesz na tym zarobić.

Chodzi mi o to, że po wyborach *obaj* weźmiemy się za Littella. Obojętnie, jakie to będą pieniądze, podzielimy się zyskiem.

Pete pozbawił Warda mężności. Pete napędził mu „strachu”, tak jak wcześniej mówił.

Kemper zadzwonił do Littella do szpitala. Ward „skategoryzował” go.

— Nie ufam ci w tej sprawie, Kemper. Możesz dowiedzieć się szczegółów z Biura, ale ja nie powiem ci KTO ani DLACZEGO.

GDZIE brzmiało: Lake Geneva w Wisconsin. Miejsce musiało mieć coś wspólnego z Funduszem Emerytalnym. „Nie ufam ci w tej sprawie” mogło oznaczać tylko jedno: Lenny Sands naopowiadał Littellowi bzdur.

Pete wiedział, co to kategoryzacja. Ward i Lenny również. John Stanton twierdził, że to CIA ukuło to pojęcie. John zadzwonił do niego do D.C, w połowie kwietnia. Powiedział, że Langley właśnie postawiło ścianę działową.

— Odcinają nas, Kemper. Wiedzą o interesach naszej Kadry i akceptują to, ale nie dadzą nam ani centa. Dostajemy pensje personelu Blessington, ale właściwe interesy Kadry zostały wyklęte.

To oznaczało brak kryptonimów CIA. Brak akronimów CIA. Brak szyfrowanych nazwisk, inicjałów i sekretnych znaków typowych dla żargonu śledczego. Kadra była dokładnie skategoryzowana.

Kemper zmieniał kanały przy wyłączonym dźwięku. Uchwycił wspaniały moment: Jack i Marilyn Monroe na sąsiadujących ekranach. Roześmiał się. Postanowił wystawić Hoovera na pośmiewisko.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer prognozy pogody. Usłyszał monotonne buczenie — ledwo słyszalne. Odezwał się:

— Kenny? Cześć, tu Kemper Boyd.

Odczekał cztery sekundy. — Nie, muszę rozmawiać z senatorem.

Odczekał czternaście sekund.

Powiedział: — Jak się masz, Jack? — wesoło i wyraźnie.

Począł pięć sekund na wymyśloną odpowiedź.

Rzekł: — Tak, wszystko jest omówione z eskortą.

Dwadzieścia dwie sekundy. — Tak. Dobrze. Wiem, że jesteś zajęty.

Osiem sekund. — Tak. Powiedz Bobby'emu, że ochrona jest na miejscu.

Dwanaście sekund. — Dobrze, dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy chcesz się z kimś przespać, bo jeśli tak, to oczekuję telefonów od kilku dziewcząt, które bardzo chciałyby się z tobą spotkać.

Dwadzieścia cztery sekundy. — Nie wierzę.

Dziewięć sekund. — Lawford ci to załatwił?

Osiem sekund. — Nie żartuj, Jack. *Marylin Monroe?*

Osiem sekund. — Uwierzę ci, jeśli powiesz mi teraz, żebym nie przysyłał swoich dziewcząt.

Sześć sekund. — Jezu Chryste.

Osiem sekund. — Będą rozczarowane, ale obiecuję im następny raz.

Osiem sekund. — Dobrze. Naturalnie, będę oczekiwał szczegółów. Dobrze. Do widzenia, Jack.

Kemper odłożył słuchawkę. Jack i Marylin na ekranach zderzyli się głowami.

Właśnie stworzył Raj dla Podśluchiaczy i Podglądaczy. Hoover spuścił się w spodnie, a może nawet da początek zwariowanej legendzie.

## 48

(Beverly Hills, 14 lipca 1960)

Wyoming wybrało „Kiepskodyskiego” Jacka. Delegaci powariowali. Hughes zmniejszył głośność i wyciągnął się na poduszkach.

— Jest nominowany. Ale do prezydentury jeszcze daleka droga.



Pete odpowiedział: — Tak jest, sir.

— Umyślnie zachowujesz się jak tępak. „Tak jest, sir” brzmi niewłaściwie, a twoje rozwalanie się na krześle dowodzi braku szacunku.

Zamigotała reklama: Yeakel Oldsmobile, wybór wyborców! — To może: „Tak jest, sir, Jack ma ładną fryzurę, ale Nixon, który jest pana człowiekiem, zmiażdży go w wyborach”.

Hughes: — Tak już lepiej, ale wyczułem odrobinę impertynencji. Pete wyłamywał kciuki.

— Przyleciałem, bo uznałeś, że musisz się ze mną zobaczyć. Przywiozłem ci trzymiesięczny zapas prochów. Mówiłeś, że chcesz porozmawiać ze mną o strategii unikań, wezwań do sądu, ale tylko pleciesz bzdury o Kennedych.

Hughes odpowiedział: — Teraz już przesadzasz z bezczelnością. Pete westchnął.

— Więc zawołaj swoich mormonów, żeby mnie stąd wyrzucili. Zawołaj Duane'a Spurgeona, niech załatwi ci dragi, łamiąc, kurwa, sześć milionów praw stanowych i federalnych.

Hughes wzdrygnął się. Przewody od kroplówki napięły się; butelka z krwią zachybotwała. Wampir Howard: przyjmujący transfuzję, żeby zapewnić sobie długowieczność bez zarazków.

— Pete, jesteś bardzo okrutnym człowiekiem.

— Nie. Już ci mówiłem, że jestem *twoim* bardzo okrutnym człowiekiem.

— Oczy ci się zmniejszyły i więcej w nich okrucieństwa. Dziwnie na mnie patrzysz.

— Czekam, aż zapuścisz mi zęby w szyję. Parę rzeczy już widziałem, ale ten numer z Drakulą warto zobaczyć.

Skurwiel Howard *uśmiechnął się*.

— Nie jest to bardziej niezwykle niż twoja walka z Fidelem Castro. Pete też się uśmiechnął.

— Chciałeś porozmawiać o czymś ważnym?

Znowu migawki z konwencji. Zwolennicy Kiepskodyskiego Jacka gwizdali i mdleli.

— Chcę, żebyś przejrzał plan unikania wezwań sądowych, który stworzyli moi mormońscy współpracownicy. Wymyślili coś genialnego...

— Mogliśmy pogadać o tym przez telefon. Wstrzymujesz robotę nad papierami TWA od 1957 roku i nie sądzę, żeby Departament Sprawiedliwości jeszcze to obchodziło.

— Niech i tak będzie, ale mam teraz szczególne powody, żeby nie pozbywać się TWA, aż nie nadejdzie optymalny moment.

Pete westchnął. Odpowiedział: — Słucham.

Hughes popukał w kropłówkę. Butelka z krwią była prawie pusta.

— Kiedy w końcu pozbędę się tych akcji, chcę kupić hotele-kasyna w Las Vegas. Chcę gromadzić wielkie, niewykrywalne zyski w gotówce i oddychać zdrowym, pustynnym powietrzem bez zarazków. Moi mormońscy współpracownicy będą zarządzać hotelami, bym miał pewność, że czarni, którzy mogliby zatruć środowisko, będą grzecznie, lecz stanowczo zniechęceni do ich odwiedzania. Stworzę bazę przepływu gotówki, która pozwoli mi lokować pieniądze w różnych dziedzinach przemysłu obronnego bez płacenia podatków. Będę...

Pete wyłączył się. Hughes tryskał liczbami: miliony, miliardy, biliony. W telewizji Jack K, wołał: „Głosujcie na mnie!”.

Pete dumał. Littell śledzący Fundusz Emerytalny w Lake Geneva. I Jules Schiffrin — poważany senior mafii chicagowskiej. Jules *może* mieć księgi rachunkowe schowane u siebie. Hughes odezwał się:

— Pete, nie słuchasz mnie. Przestań patrzeć na tego zniewieściałego polityka i zwróć uwagę na mnie.

Pete wyłączył telewizor. Jack Fryzura zniknął. Hughes zakaszłał.

— Już lepiej. Patrzyłeś na tego chłopaka prawie z podziwem.

— To przez jego włosy, szefie. Zastanawiałem się, jak on to robi, że tak mu stoja.

— Masz ograniczoną pamięć. A ja mam ograniczoną odporność na ironiczne odpowiedzi.

— Tak?

— Tak. Mógłbyś sobie przypomnieć, że dwa lata temu dałem ci trzydzieści tysięcy dolarów, żebyś skompromitował go z jakąś prostytutką.

— Pamiętam.

— To nie jest pełna odpowiedź.

— Pełna odpowiedź brzmi: „Wszystko się zmienia”. I nie sądzisz chyba, że Ameryka będzie pchać się w ramiona Dickowi Nixonowi, kiedy może zawrzeć miłą znajomość z Jackiem?

Hughes usiadł. Łóżko zatrzęsło się; stojak od kropłówki zadygotał.

— *Richard Nixon jest mój.*

Pete rzekł:

— Wiem. I jestem pewien, że jest naprawdę wdzięczny za pożyczkę, której udzieliłeś jego bratu.

Drakula dostał drgawek. Drakula zakrztusił się własną krwią. Drakula wystękał kilka słów.

— Za-za-zapomniałem, że o tym wiesz.

— Taki zajęty człowiek jak ty nie może pamiętać o wszystkim.

Drakula sięgnął po nową strzykawkę.

— Dick Nixon to dobry człowiek, a cała rodzina Kennedych jest przegniła do cna. Joe Kennedy obraca gangsterskimi pieniędzmi od lat dwudziestych i wiem na pewno, że niesławny Raymond L. S. Patriarca zawdzięcza mu każdą koszulę.

Pożyczkę Nixona miał udokumentowaną. Mógł powiadomić o tym Boyda i starać się przypodobać Jackowi. Powiedział:

- Tak jak ja tobie. Hughes rozpromienił się.
- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz.

## 49

(Chicago, 15 lipca 1960)

Littell oglądał swoją nową twarz. Łagodną linię szczęk przebudowali mu drutem i kawałkami kości. W słabym podbródku zrobili dołek. Nos, którego zawsze nienawidził, spłaszczyli i zrobili na nim garb.

Helen powiedziała, że wygląda groźnie. Dodała, że jej blizny są teraz niczym przy jego.

Littell odsunął się od lustra. Zmieniające się światło pozwoliło mu dostrzec inne szczegóły. Kulał. Szczeka mu się nie domykała. W szpitalu przytył dziesięć kilo.

Pete Bondurant był chirurgiem plastycznym. Dał mu nową, śmiałą twarz. Jego psychika sprzed czasów Widma nie dorastała do niej. Bał się ruszyć na Julesa Schiffrina. Bał się konfrontacji z Kemperem. Bał się rozmawiać przez telefon — jego uszy wylapywały stuknięcia na linii.

Stuknięcia mogły być spowodowane złym zdrutowaniem szczęki. Mogły być zakłóceniami.

Zostało mu sześć miesięcy do emerytury. Mal Chamales mówił, że partia potrzebuje prawników.

Po sąsiedzku ryknął telewizor. Przemówienie Johna Kennedy'ego zagłuszyły oklaski.

Biuro nie kontynuowało śledztwa w sprawie napadu. Hoover miał świadomość, że Ward może zaszkodzić pracy Boyda dla Kennedy'ego.

Littell podszedł do lustra. Blizny nad brwiami zmarszczyły się. Nie mógł oderwać od nich wzroku.

## 50

(Miami/Blessington, 16 lipca — 12 października 1960)

Pete uczcił czterdzieste urodziny, płynąc ślizgaczem na Kubę. Dowodził nalotem na posterunek milicji i zdobył szesnaście skalpów.

Ramón Gutiérrez zaprojektował maskotkę Kadry: pitbul z pyskiem aligatora i zębami jak żyłki. Jego dziewczyna zrobiła z nią naszywki na rękawy. Wydrukowali też wizytówki z poczwara. Z pyska bestii wydobywało się „UWOLNIĆ KUBĘ!”. Carlos Marcello nosił przy sobie jedną. Sam G, też. Santo junior wręczał tuziny przyjaciółom i współpracownikom. Bestia była żądna krwi. Bestia była żądna brody Fidela na kiju.

W Blessington odbywały się cykliczne szkolenia. Plan inwazji wymagał nowego sprzętu. Dougie Frank Lockhart nabył łódź desantową i z każdym poborem „najeżdżał” na Alabamę. Wybrzeże Zatoki symulowało Kubę. Szkoleni nepadali na plażę i śmiertelnie straszili wczasowiczów.

Dougie Frank prowadził szkolenia w pełnym wymiarze godzin. Pete w zmniejszonym. Chuck, Fulo i Wilfredo Delsol prowadzili postój.

Pete przewodził najazdom ślizgaczem na Kubę. Brali w nich udział wszyscy — oprócz Delsola. Zabójstwo Obregóna odebrało mu część brawury. Pete nie osądzał go — strata w mgnieniu oka bliskiego krewnego to nic przyjemnego.

Wszyscy sprzedawali prochy. Kadra dostarczała towar wyłącznie czarnym épunom. Policja w Miami akceptowała to bez zastrzeżeń. Zyski Narkobrygady służyły jako zabezpieczenie na wypadek braku poparcia z góry.

Pod koniec sierpnia banda miejscowych kmiotków usiłowała wejść na ich teren. Jeden frajer strzelił i zabił zastępcę szeryfa hrabstwa Dade. Pete znalazł faceta — ukrywał się z siedemdziesięcioma kawalkami i skrzynką Wild Turkey. Załatwił go maczetą Fulo, a pieniądze oddał wdowie.

Dochody rosły. System procentowy działał gładko — tłuste sumki wędrowały do Blessington i Guya Banistera. Lenny Sands prowadził wojnę propagandową

w *Cicho sza!*. Co tydzień ukazywała się grafomańska proza skierowana przeciwko Brodaczowi.

Drakula dzwonił co tydzień. I pieprzył to samo, jakby mu się płyta zacięła: „Chcę kupić Las Vegas i uwolnić je od zarazków!”. Był na wpół obłąkany — a przytomny tylko wtedy, gdy rozmowa schodziła na pieniądze.

Boyd dzwonił co dwa tygodnie. Boyd był szefem ochrony i głównym alfonsem Kiepskodyskiego Jacka. Pan Hoover wciąż ścigał go telefonami. A Kemper wciąż go unikał. Hoover chciał, żeby podstawił Jackowi jakąś panienkę z podsłuchem w tyłku. Boyd nazywał to gonitwą: umykać przed Tym Człowiekiem, dopóki Jack nie zostanie Tym Człowiekiem.

Hoover założył podsłuch w apartamencie hotelowym Boyda. Kemper dostarczył mu pikantnych, ale nieprawdziwych informacji: Jack K, bzyka Marilyn Monroe! Hoover kupił tę błagę. Agent z L.A. powiedział Boydowi, że Monroe jest teraz pod ścisłą obserwacją: podsłuch i sześciu agentów non stop. Agenci byli jednak w kropce. Jack Fryzura i MM nie kontaktowali się ze sobą.

Pete śmiał się jak głupi. Drakula potwierdził plotkę: Marilyn i Jack byli sensacją mediów!!!

Boyd mówił, że sprawdza wszystkie dziewczyny Jacka. Mówił, że Kennedy i Nixon idą łeb w łeb. Pete nie powiedział: „*Ĵam* coś na niego. Mogę SPRZEDAĆ to Jimmy'emu Hoffie; mogę DAĆ tobie, żebyś obsmarował Nixona”. Jimmy był współnikiem, kumplem. Boyd partnerem. Kto bardziej sprzyjał Sprawie — Jack czy Nixon? Podstępny Dick był gorącym przeciwnikiem Brodacza. Jack dużo gadał, ale był daleki od fanatyzmu. John Stanton nazywał Nixona „Panem Inwazją”. Kemper mówił, że Jack da zielone światło wszelkim planom napaści.

Kluczową sprawą dla Boyda była KATEGORYZACJA.

Ike i Dick wiedzieli, że Agencja i mafia miały powiązania z Kubą. Bracia Kennedy nie wiedzieli — i dowiedzą się lub nie, jeśli Jack dostanie się do Białego Domu. Kto zadecyduje, czy to wyjawić? — Kemper Cathart Boyd we własnej osobie. Czynniki decydujące: wpływ, bądź jego brak, moralisty Bobby'ego na Starszego Brata.

Bobby mógłby przeciąć wszystkie więzy mafii z CIA. Bobby mógłby uciąć układ Boyda z Bondurantem w sprawie kasyn.

Jack czy Dick — wystarczy jeden telefon.

Mądre posunięcie: nie obsmarować polującego od zawsze na czerwonych Nixona. Nie tak mądre, ale za to rozkoszne: oczernić go i ustawić Jacka w Białym Domu.

Głosuj na Boyda. Głosuj na Bestię. Głosuj na brodę Fidela Castro na kiju.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 13.10.1960. Notatka służbowa FBI:

agent specjalny Charles Leahy do dyrektora J. Edgara Hoovera.

Oznaczenie: TAJNE/TYLKO DO WIADOMOŚCI DYREKTORA.

Szanowny Panie Dyrektorze,

Uwłaczający prokomunistyczny portret Warda J. Littella jest już gotowy. Niżej notatka służbowa zastępuje wszystkie poprzednie raporty dotyczące Littella i zawiera wyszczególnienie załączonych dokumentów dowodowych. Krótkie przypomnienie niedawnych wydarzeń:

1. Skontaktowano się z Claire Boyd (córką agenta specjalnego Kempera C. Boyda i wieloletnią przyjaciółką rodziny Littella). Zgodziła się nie mówić ojcu o tej rozmowie. Panna Boyd przyznała, że podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia agent specjalny Littell wyrażał się pogardliwie o Biurze, panu Hooverze i wychwalał Amerykańską Partię Komunistyczną.

2. Nie ma postępu w śledztwie w sprawie napadu na Littella. Wciąż nie wiemy, co robił w Lake Geneva w Wisconsin.

3. Kochanka agenta specjalnego Littella, Helen Agee, była pod ścisłą obserwacją przez dwa tygodnie ostatniego miesiąca. O jej polityczne zapatrywania spytano wielu profesorów z Wydziału Prawa Uniwersytetu w Chicago. Mamy cztery potwierdzone raporty, że panna Agee również krytykowała Biuro. Pewien profesor (informator biura w Chicago # 179) zeznał, że panna Agee oskarżała FBI o niemożność rozwiązania „prostego przypadku napadu w Wisconsin” i nazwała Biuro „Amerykańskim gestapo, które zabiło jej ojca, a z kochanka zrobiło kalekę”. (Rektor Uniwersytetu ma zamiar unieważnić stypendium naukowe panny Agee ze względu na złamanie przyrzeczenia lojalności, które podpisują wszyscy przyszli studenci szkoły prawniczej.)

Podsumowując:

Uważam, że nadszedł czas, by zamknąć sprawę agenta specjalnego Littella. Oczekuję na dalsze polecenia.

Z poważaniem,

Agent specjalny Charles Leahy

Szef okręgu Chicago.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 15.10.1960. Notatka służbowa FBI:

dyrektor J. Edgar Hoover do agenta specjalnego Charlesa Leahy'ego.

Panie Leahy,

Proszę nie zamykać sprawy agenta specjalnego Littella, chyba że zadecyduje inaczej.

JEH

(Chicago, 16 października 1960)

**M**iał okropnego kaca. Koszmary doprowadzały go do schizofrenii — każdy facet w barze wyglądał jak gliniarz. Littell mieszał kawę. Trzęsły mu się ręce. Mal Chamales bawił się słodką bułką i trząsał się prawie tak samo.

— Mal, do czegoś zmierzasz.

— Nie mam pewnie prawa prosić cię o przysługę...

— Jeśli ta prośba ma związek z FBI, powinieneś wiedzieć, że przechodzę na emeryturę dokładnie za trzy miesiące.

Mal zaśmiał się.

— Jak już mówiłem, partia zawsze potrzebuje prawników.

— Najpierw musiałbym zdać egzamin przed radą adwokacką Illinois. Albo przenieść się do D.C, i praktykować prawo federalne.

— Nie mówisz jak zwolennik lewicy.

— Ani apologeta Biura. Mal...

— Chcę podjąć pracę nauczyciela. Mówi się, że Stanowa Komisja Edukacji weryfikuje czarną listę. Chcę się zabezpieczyć i myślałem, że mógłbyś tak sporządzić swoje raporty, żeby pokazać, że opuściłem partię.

Wysoki mężczyzna przy barze wyglądał znajomo. Mężczyzna przed wejściem również.

— Ward...

— Jasne, Mal. Napiszę to w następnym raporcie. Napiszę, że opuściłeś partię, żeby pracować na rzecz kampanii Nixona.

Mal powstrzymywał łzy. Prawie przewrócił stół rzucając mu się na szyję. Littell powiedział:

— Spadaj. Nie lubię publicznie ścisnąć się z komunistami.

**B**ar znajdował się naprzeciwko jego mieszkania. Littell zajął miejsce przy oknie i zabijał czas, sumując nalepki na zderzakach. Przy krawężniku parkowały dwa samochody z naklejkami Nixona. Zobaczył taką samą na szybie wozu face-ta, od którego wynajmował mieszkanie.

Ulicą śmigały samochody. Littell liczył: sześć Nixonów i trzech Kennedych. Kelnerka dołała mu kawy. Dodał dwa łyki z piersiówki. Aktualne wyniki badania sympatii wyborczych: Nixon zdobywa Chicago!

Słońce oświetliło okno. Cudowne odbicie: jego nowa twarz i nowa postrzępiona fryzura.

Helen wbiegła na schody jego domu. Wyglądała na udreżoną — bez makijażu, bez płaszcza, w bluzce niepasującej do spódnicy. Zauważyła jego samochód. Podniosła głowę i zobaczyła go w oknie. Ruszyła biegiem. Aż z torby wyfrunęły kartki z notesu. Littell podszedł do drzwi. Helen *pchnęła* je obiema rękoma. Próbował ją złapać. Wyciągnęła mu z kabury pistolet i uderzyła go nim.

Biła go po klatce piersiowej. Biła po ramionach. Próbowała odciągnąć spust, nie zwalniając zabezpieczenia. Biła go nieskładnymi dziewczęcymi ruchami — zbyt szybko, żeby przestać. Po policzkach spływał jej tusz. Z torby wysypały się książki. Krzyczała nieskładnie: „bez stypendium”, „przysięga lojalności”, „FBI” i „PRZEZ CIEBIE”.

Głowy zwracały się w ich stronę. Dwaj mężczyźni przy kontuarze wyciągnęli *swoje* pistolety. Helen przestała go bić. Powiedziała:

— Niech cię diabli, to przez CIEBIE. Wiem to.

**P**ojechał do biura. Zastawił samochód Leahy'ego i wbiegł do kwatery. Drzwi Leahy'ego były zamknięte. Court Meade zauważył go i odwrócił się. Obok przeszło dwóch mężczyzn w koszulkach i szelkach na broń. Littell pamiętał ich: telefoniarze naprawiający linię obok jego domu.

Drzwi Leahy'ego otworzyły się gwałtownie. Jakiś facet wystawił głowę. Littell pamiętał go: był wczoraj na poczcie. Drzwi zamknęły się. Szczyły się przez nie głosy: „Littell”, „ta Agee”...

Kopniakiem wyrwał drzwi z zawiasów. Zobaczył scenę jak z opowieści Chamalesa. Czterech faszystów w szarych flanelach podczas konferencji. Czterech pravicowych pasożytów, wykorzystujących...

Littell odezwał się: — Pamiętajcie, co wiem. Pamiętajcie, jak mogę zaszkodzić Biuru.

**K**upił nożyce do drutu, maskę do spawania, okulary ochronne, nóż do szkła, gumowe rękawice, pistolet maszynowy, sto sztuk nabojów, pudełko dynamitu przemysłowego, trzysta metrów izolacji akustycznej, młotek, gwoździe i dwa duże worki marynarskie.

Zostawił swój samochód w garażu. Wypożyczył forda victorię rocznik 57 — z fałszywym dowodem rejestracyjnym z Cointelpro. Kupił trzy litry szkockiej — wystarczy, żeby rzucić picie. Pojechał na południe do Sioux City w Iowa. Oddał samochód i złapał pociąg na północ do Milwaukee.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.07.1960. Poufna notatka służbowa: John Stanton do Kempera Boyda.



Kemper,

Dostałem niepokojący telefon od Guya Banistera i pomyślałem, że przekażę tę wiadomość Tobie. Trudno Cię teraz złapać, więc mam nadzieję, że dostaniesz ją w rozsądnym terminie.

Guy ma przyjaciół w Miami, którzy są w dobrych stosunkach z dowódcą Działu Informacji Wydziału Policji w Miami. Dział prowadził luźną obserwację podejrzanych zwolenników Castro i rutynowe kontrole tożsamości wszystkich latynoskich mężczyzn. Nasz człowiek Wilfredo Olmos Delsol dwukrotnie był widziany z Gasparem Ramónem Blanco, lat 37, znanym prokomunistycznym członkiem Komitetu Porozumienia z Kuba, frontem propagandowym finansowanym przez Raúla Castro. Martwi mnie to głównie ze względu na sprawę PB związaną z kuzynem Delsola, Tómasem Obregómem. Czy PB już to sprawdził? Nasze procedury kategoryzacji wykluczają mój osobisty kontakt z nim.

Wszystkiego dobrego, John.

## 52

(Miami, 20 października 1960)

Pilot zapowiedział opóźnienie. Kemper spojrział na zegarek — czas wyznaczony przez Pete'a właśnie minął.

Pete złapał go tego ranka w Omaha. Powiedział:

— Mam coś dla ciebie, coś, co warto *zobaczyć*.

Obiecał, że przerwa w podróży potrwa nie dłużej niż dwadzieścia minut. Dodał:

— Wsadzę cię w następny samolot do Jacka.

W dole migotało Miami. W Omaha miał bardzo ważną robotę — opóźnioną przez to sześciogodzinne zejście z trasy. Koniec wyścigu był zbyt blisko, żeby go lekceważyć. Nixon *mógł* mieć nieznaczną przewagę, a zostało tylko osiemnaście dni.

Zadzzwonił do Laury z sali odlotów. Czepiała się jego powiązań z Kennedymi. Claire wciąż powtarzała, że Laurze zależało na zwycięstwie Nixona.

Claire powiedziała, że ludzie FBI przesłuchiwali ją w zeszłym miesiącu. Jedynym tematem były działania Warda Littella. Agenci zastraszyli ją. Ostrzegali, żeby nie wspominała o przesłuchaniu ojcu. Claire złamała daną obietnicę i opowiedziała mu trzy dni temu. Natychmiast zadzwonił do Warda.

Jego telefon dzwonił i dzwonił. Słysząc było odległy pogłos podsłuchu.

Wykręcił do Courta Meade'a, żeby sprawdzić miejsce pobytu Warda. Meade powiedział, że Ward wyważył drzwi gabinetu szefa i zniknął.

Claire zadzwoniła do niego do Omaha wczoraj wieczorem. Powiedziała, że Biuro unieważniło stypendium Helen w szkole prawniczej.

Pan Hoover przestał do niego dzwonić dwa dni temu. Wszystko się jakoś ze sobą splatało. Kampania zmuszała go do ciągłego działania i nie miał kiedy się bać.

Silny wiatr utrudnił lądowanie. Samolot kołował. Kemper spojrzął przez okno. Zobaczył Pete'a stojącego z ekipą naziemną. Mężczyźni trzymali w rękach zwitki banknotów i uśmiechali się do dużego faceta z pieniędzmi. Podjechały schody. Kemper przepchnął się przez tłum do drzwi. Drugi pilot otworzył je. Pete czekał już — z wozem bagażowym na pasie startowym, tuż pod nimi. Kemper zbiegał po trzy stopnie na raz. Pete złapał go i wrzasnął:

— Samolot się spóźnił! Mamy pół godziny!

Kemper wskoczył do wozu. Pete dołączył do niego. Zepchnęli bagaż i pojechali do budki konserwatora. Bagażowy stał przy drzwiach. Pete wsunął mu dwadzieścia dolarów. Na ławie leżał obrus. Na nim: gin, wermut, szklanka i sześć kartek papieru. Pete rzucił:

— Czytaj.

Kemper przeleciał wzrokiem pierwszą stronę. Dostał gęziej skórki. Howard Hughes pożyczył młodszemu bratu Dicka Nixona 200 000 \$. Dowodziły tego kopie czeków, notatek księgowych i wyciągów bankowych. Ktoś zebrał szczegółową dokumentację: Nixon podporządkowywał prawodawstwo rządowym kontraktom Hughesa.

Kemper zrobił sobie drinka. Trzęsły mu się ręce. Porozlewał alkohol po całym stole. Spojrzął na Pete'a.

— Nie prosisz o pieniądze...

— Gdybym chciał pieniędzy, zadzwoniłbym do Jimmy'ego.

— Powiem Jackowi, że ma w Miami przyjaciela.

— Powiedz mu, żeby pozwolił nam najechać Kubę, i będziemy kwita. Martini było cudownie wytrawne. Budka dozorczy błyszczała jak Carlyle.

— Miej oko na Wilfreda Delsola. Może cię to rozczarować, ale myślę, że coś kręci.

Pete powiedział:

— Zadzwoń do Bobby'ego. Chcę usłyszeć, jak ten mały skurwysyn zostaje moim dłużnikiem.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.10.1960. Nagłówek z *Cleveland Plain Dealer*.

**WSTRZAŚ W KAMPANII:  
HUGHES POŻYCZA PIENIĄDZE NIXONOWI**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.10.1960. Tytuł w *Chicago Tribune*:

KENNEDY ATAKUJE „SPISEK” NIXONA I HUGHESA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.10.1960. Nagłówek i tytuł w *Los Angeles Herald-Express*

**NIXON ZAPRZECZA OSKARŻENIOM  
O HANDLOWANIE WPLYWAMI**

ZAMIESZANIE Z POŻYCZKĄ NIXONA OBNIŻA NOTOWANIA WICEPREZYDENTA W SONDAŻACH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.10.1960. Tytuł w *New York Journal-American*:  
NIXON NAZYWA AFERĘ POŻYCZKOWĄ „BURZĄ W SZKLANCE WODY”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.10.1960. Nagłówek w *San Francisco Chronicle*:

**BRAT NIXONA NAZYWA POŻYCZKĘ HUGHESA  
„NIEPOLITYCZNĄ”**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.10.1960. Podtytuł w *Kansas City Star*: KENNEDY ATAKUJE NIXONA ZA POŻYCZKĘ OD HUGHESA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.11.1960. Nagłówek w *Boston Globe*:

**SONDAŻ PRZEDWYBORCZY:  
GORĄCZKOWY WYŚCIG DO PREZYDENTURY!**

(Lake Geneva, 5 listopada 1960)

Littell sprawdził listę. Okulary ochronne, zatyczki do uszu, nożyce do drutu, nóż do szkła — są. Taśma magnetyczna, rękawice, pistolet maszynowy, amunicja — są. Dynamit odporny na wodę — jest. Izolacja akustyczna, młotek, gwoździe — są.

Wytrzeć każdą powierzchnię, na której zostają ślady, w motelowym pokoju — zrobione. Zostawić opłatę za pokój na szafce nocnej — zrobione. Unikać jakiegokolwiek kontaktów z innymi mieszkańcami motelu — zrobione.

Sprawdzał listę ostrożności przygotowywaną od trzech tygodni.

Co dwa dni zmieniać motele — zygżakiem przez południowe Wisconsin.

Cały czas nosić sztuczną brodę i wąsy.

W nieregularnych odstępach czasu zmieniać samochody w wypożyczalniach. W międzyczasie jeździć autobusami. Odstawiać w/w samochody w odległych miejscach: Des Moines, Minneapolis i Green Bay.

Wypożyczać samochody na fałszywe nazwisko.

Płacić gotówką.

Nie parkować w pobliżu moteli, w których się zatrzymasz.

Nie dzwonić z motelowych telefonów. Przed opuszczeniem pokoju zetrzeć odciski palców z każdej powierzchni.

Stosować taktykę unikania ogonów. Zmniejszyć spożycie alkoholu: sześć głębszych co wieczór, żeby nie stracić mocnych nerwów.

Żadnych ogonów nie zauważono.

Obserwować samotnych mężczyzn i zwrócić uwagę na ich reakcje: nie odkryto typowych zachowań gliniarskich ani mafijnych. Większość mężczyzn odczuwała dyskomfort: teraz, ty chłopie, wyglądałeś na twardziela.

Spenetrowałeś posiadłość Julesa Schiffrina. Zauważyłeś, że nie ma stałej pomocy domowej ani strażnika nocnego.

Poznałeś zwyczaje Schiffrina. W sobotni wieczór kolacja i karty w Badger Glen Country Club. Później spotkanie z niejaką Glendą Rae Mattson. Julesa Schiffrina nie było w domu od 19.05 w sobotę do 2.00 w niedzielę. Jego posiadłość co dwie godziny patrolowała policja, pospiesznie objeżdżając ją dookoła.

Zdobyłeś plany rozmieszczenia sejfów i alarmu. Przeprowadziłeś siedemnaście rozmów, żeby je dostać. Podawałeś się za porucznika policji z Milwaukee i poparłeś to podrobionymi dokumentami od fałszerza, którego aresztowałeś wiele lat temu. Wszystkie rozmowy przeprowadzałeś w przebraniu.

Dwa stalowe sejfy były zainstalowane na terenie posiadłości. Każdy ważył pięćdziesiąt kilo. Nauczyłeś się na pamięć ich dokładnej lokalizacji.

Ostateczne sprawdzenie:

Nowy pokój motelowy koło Beloit — bezpiecznie wynajęty.

Artykuł prasowy o kolekcji sztuki Schiffrina — wycięty, żeby zostawić go na miejscu przestępstwa.

Littell odetchnął głęboko i wziął trzy łyki. Prawie się uspokoił. Sprawdził swoją twarz w lustrze łazienki. Ostatnie spojrzenie dla kurazu...

**N**iskie chmury zasnuły księżyc. Littell pojechał do punktu odległego o niecały kilometr od celu. Była 23.47. Miał na wszystko dwie godziny i trzynaście minut. Minał go samochód policji stanowej i skręcił na wschód. Punktualnie: standardowa kontrola o 23.45. Littell zjechał z pobocza. Gruba warstwa błota przyległa do opon. Włączył światła i slalomem ruszył w dół.

Stok łagodniał. Zabezpieczył tylne koła, żeby zatrzeć ślady.

Polanę z rzadka porastały drzewa — z drogi nikt nie zobaczy samochodu. Zgasił światła i wziął worek marynarski. Na zboczu wzgórza w linii prostej na zachodzie widział światła domu — nikły ognik wskazujący mu kierunek. Poszedł w tę stronę. Stosy liści zasypywały ślady jego stóp. Blask światel zwiększał się co kilka sekund.

Dotarł do drogi przylegającej do parkingu. Eldorado brougham Schiffrina tam nie stało. Podbiegł do okna biblioteki i kucnął. Lampa wewnątrz rzucała mgliste światło, przy którym dało się pracować. Wyjął narzędzia i odciął dwa kable przytwierdzone do studzienki ściekowej. Reflektor na dworze zamrugął. Zobaczył taśmę alarmu okalającą szybę okienną — między dwiema grubymi tafelami szkła. Ocenił obwód. Wyciął paski taśmy magnetycznej do przykrycia go. Przylepił je do zewnętrznej szyby dopasowując prawie idealnie.

Bolały go nogi. Zimny pot kłuł w zacięcia po goleniu.

Przejechał magnesem po taśmie. Nożem do szkła nakreślił na szybie kółko. Szkło było GRUBE — potrzebował obu rąk i ciężaru ciała, żeby naciąć rowek.

Alarm nie zadziałał. Światła nie włączyły się. Żłobił więc swoje koło dalej. Nie zawyły syreny; nikt nie przybiegł.

Paliły go ręce. Nóż stępił się. Pot zamarzył i Littell zaczął się trząść. Zewnętrzna tafla pękła. Założył rękawice i wysilił się jeszcze bardziej. MINĘŁO DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ MINUT.

Naciskając łokciami, wypchnął wewnętrzną szybę. Kopnął pozostałe szkło i zrobił otwór do wczolgnięcia się. Wcisnął się do środka. Otwór był ciasny — odłamki szkła kaleczyły go do krwi.

Biblioteka była wyłożona dębina i umeblowana zielonymi skórzanymi fotelami. Na ścianach wisiały dzieła sztuki: jeden Matisse, jeden Cezanne, jeden van Gogh. Lampy stojące dawały wystarczająco światła, żeby można było pracować.

Ułożył narzędzia. Znalazł sejfy: we wnęce pod boazerią, pół metra od siebie. Pokrył każdy centymetr ścian potrójną warstwą okładziny głuszącej. Wbił zwykłe gwoździe w lakierowane na wysoki połysk drewno. Zaznaczył miejsca skrywające sejfy. Założył okulary ochronne, a do uszu włożył zatyczki. Ustawił pistolet maszynowy i zaczął strzelać.

Jedna seria, druga seria — ogłuszająca eksplozja. Trzecia seria, czwarta — odrywają się kawałki boazerii. Littell przeładował broń i strzelał, przeładował i strzelał, przeładował i strzelał. Fragmenty drewna siekły mu twarz. Dym z lufy doprowadzał do mdłości. Widoczność była zerowa: lepka masa oblepiła mu okulary.

Littell przeładował broń i strzelał, przeładował i strzelał, przeładował i strzelał. Czterdzieści kilka serii zniszczyło ścianę i sufit. Drewno i gips odpadały. Meble z pietra runęły na dół i rozbiły się. Oba sejfy wypadły ze ścian.

Littell potykał się o gruz — Boże, pozwól mi odetchnąć.

Wymiotował drzazgami i szkocką. Kaszlał dymem i czarną flegmą. Przekopał się przez stosy drewna i załadował sejfy do worka.

MINĘŁY SIEDEMDZIESIĄT DWIE MINUTY.

Biblioteka aż po jadalnię stanowiła ruinę. Czterdzieści kilka serii zrzuciło na ziemię dzieła sztuki. Cézanne pozostał nienaruszony. Matisse miał lekko zniszczoną ramię. Van Gogh był przeszyty kulami i nic niewart.

Littell upuścił wycinek z gazety. Kawalkami zasłon przymocował worek do pleców. Wziął obrazy i wybiegł przez frontowe drzwi.

Świeże powietrze orzeźwiło go. Wdychał je i biegł. Ślizgał się na liściach i obijał o drzewa. Pęcherz nie wytrzymał — jeszcze nigdy tak dobrze się nie czuł. Potykał się, zgięty wpół — sto kilo stali pchało go do ziemi. Upadł. Jego ciało było jak guma — nie mógł wstać ani dźwignąć worka. Przez resztę drogi czołgał się i ciągnął go za sobą.

Załadował bagaże do samochodu i slalomem ruszył do drogi dojazdowej, przez cały czas łapczywie wciągając powietrze.

Zobaczył swoją twarz w lusterku wstecznym. Do głowy przyszło mu słowo „bohater”.

Jechał zygzakami na północ i północny zachód. Znalazł wybrane uprzednio miejsce detonacji: polana w lesie niedaleko Prairie du Chien. Oświetlił ją trzema reflektorami. Spalił obrazy i rozsypał popiół. Zagiął końce sześciu lasek dynamitu i podłożył pod sejfy. Rozciągnął zapalniki na sto metrów i zapalił zapalną.

Sejfy wybuchły. Drzwiczki doleciały aż do drzew. Podmuchał rozrzucał stopy nadpalonych banknotów. Littell segregował je. Eksplozja zniszczyła co najmniej sto tysięcy dolarów.

Ocalały:

Trzy duże księgi owinięte w folię.

Littell zakopał szczątki pieniędzy i wrzucił sejfy do płynącego obok ścieku. Pojechał do motelu, przestrzegając po drodze wszystkich ograniczeń prędkości.

Trzy księgi. Każda po dwieście stron. Na każdej stronie typowe dla księgowości rubryki. Duże sumy wypisane od lewej do prawej.

Littell rozłożył książki na łóżku.

Pierwsze wrażenie: te kwoty przekraczały wszystkie możliwe sumy miesięcznych lub rocznych wpływów Funduszu Emerytalnego. Dwie księgi oprawione w brązową skórę były zaszyfrowane. Zbitki cyfr i liter w lewej skrajnej kolumnie z grubsza odpowiadały długością nazwiskom.

A zatem:

AH795/WZ458YX =

Pięcioliterowe imię i siedmioliterowe nazwisko. CHYBA.

Księga oprawiona w czarną skórę nie była zaszyfrowana. Zawierała podobne finansowe rejestry — oraz dwu- i trzyliterowe zbitki w lewej skrajnej kolumnie. Te zbitki *mogły* być inicjałami kredytobiorców lub kredytodawców. Czarna księga była podzielona na pionowe kolumny oznaczone słowami: „Pożyczka %” i „Transfer #”. Littell odłożył ją.

Drugie wrażenie: niełatwo będzie złamać szyfr.

Wrócił do brązowych ksiąg. Śledził symbole nazwisk i liczb i obserwował przyrost gotówki poziomo. Pomnożone sumy mówiły mu, że procent spłaty w Funduszu Emerytalnym to lichwiarskie 50%. Zauważył powtarzające się litery — w sekwencjach cztero- i sześciocyfrowych — najprawdopodobniej daty zaszyfrowane w łatwy sposób. Ato 1, B to 2 — coś mówiło mu, że to właśnie takie proste.

Zestawił litery z cyframi i DOSZEDŁ DO WNIOSKU:

Dochody z pożyczek funduszu sięgały trzydzieści lat wstecz. Litery i cyfry rosły od lewej do prawej — aż do początku 1960 roku. Przeciętna suma pożyczki wynosiła 1.6 miliona dolarów. Z odsetkami: 2.4 miliona. Najniższa pożyczka wynosiła 425 000 \$. Najwyższa — 8.6 miliona. Liczby rosły od lewej do prawej. Mnożenie i dzielenie w prawej skrajnej kolumnie — jakieś dziwne wyliczanie procentów.

WNIOSEK:

Te dziwne liczby były zyskiem z inwestowania pożyczek, naliczonym ponad kwotę spłaty.

Ból oczu zmusił go do przerwy. Trzy łyki szkockiej dodały sił. Doznał burzy mózgu:

*Poszukaj pieniędzy Hoffy ze Słonecznej Doliny.*

Śledził kolumny z ołówkiem w ręku. Zaznaczył okres od połowy 1956 do połowy 1957 roku i dziesięć symboli, które mogłyby oznaczać „Jimmy Hoffa”.

Znalazł 1.2 i 1.8 — prawdopodobnie „tajemnicze” trzy miliony Bobby'ego Kennedy'ego. Znalazł też pięć symboli: szóstki i piątki w krzyżujących się z tą kolumną wierszach.

5.6.5 = James Riddle Hoffa.

Hoffa wyśmiewał zarzuty dotyczące Słonecznej Doliny. Był w pełni zabezpieczony, a jego matactwa dobrze ukryte.

Littell przejrzał księgi i wyłowił dziwne sumy. Coraz więcej było zer — Fundusz obracał miliardami. Liczby dwoiły mu się w oczach. Wziął szkło powiększające. Jeszcze raz przejrzał księgi. Powtarzały się identyczne liczby — po cztery cyfry w kwadratowych nawiasach.

[1408] — wciąż i wciąż.

Littell strona po stronie obejrzał brązowe księgi. Znalazł dwadzieścia jeden razy [1408] — z tego dwa blisko Tajemniczych Trzech Milionów. Szybko dodał: pożyczono lub otrzymano czterdzieści dziewięć milionów dolarów. Pan 1408 był tak czy inaczej nadziany.

Sprawdził pierwszą kolumnę czarnej księgi. Lista była ułożona alfabetycznie i zapisana starannym charakterem Julesa Schiffrina.

Była 9.00 rano. Badał księgi od pięciu godzin. Zaciekawiała go kolumna „Pożyczka%”. Zobaczył „B-E” na dole wykresu — szyfr cyfrowo-literowy sprowadzał to do 25%.

WNIOSEK:

Inicjały oznaczały kredytobiorców Funduszu — *splacających ze słonym*, ale nie lichwiarskim procentem.

Sprawdził kolumnę „Transfer #”. Wszystkie zbitki były jednakowe: inicjały i sześć cyfr, nic więcej.



WNIOSEK:

Litery oznaczały nazwy banków — oddane pieniądze gangsterów już po wypraniu. Wszystkie akronimy miały w nazwie O — prawdopodobnie skrót od „oddział”.

Littell przepisał litery do notesu. BOAOBH — Bank of America, Oddział Beverly Hills. HSALOMB — Home Savings & Loan, Oddział Miami Beach. Zgadzało się. *Mógł rozszyfrować znane nazwy banków z każdej zbitki liter.*

Przeszedł do kolumn oznaczonych 1408. Tam zobaczył: JPK, SR/SFNOB/811512404. SFN oznaczało Security-First National. OB mogło oznaczać oddział w Buffalo, oddział w Bostonie albo oddziały w innych miastach zaczynających się na B. SR prawdopodobnie oznaczało „senior”. Po co dodatkowe oznaczenie?

Nad JPK, SR: JPK [1693] BOAOD. Ten człowiek był grubą rybą jak 1408: pożyczył Funduszowi marne 6.4 miliona.

*Dodane SR ma po prostu odróżnić kredytodawcę od kogoś innego z takimi samymi inicjałami.*

JPK, SR 11408] SFNOB/811512404. Jakiś obrzydliwie bogaty...

Zaraz. Stop.

JPK, SR. Joseph P. Kennedy, senior. OB — oddział w Bostonie.

Sierpień 1959 — rozmowa Sida Kabikoffa z Szalonym Salem:

„Znam Julesa od dawna. Jeszcze z lat dwudziestych, kiedy HANDLOWAŁ PROCHAMI, A Z ZYSKU FINANSOWAŁ filmy RKO w czasach, gdy RKO miał Joe Kennedy pod sobą.”

*Stop. Zadzwoń. Podaj się za kutasa z Biura i niech to potwierdzą albo zaprzeczą.*

Littell wykręcił o. Cały sływał potem. Odezwała się telefonistka:

- Jaki numer pan sobie życzy?
- Poproszę Security-First National Bank w Bostonie, Massachussets.
- Proszę chwilę poczekać. Sprawdzę numer i połączę pana.

Littell czekał. Adrenalina uderzyła mu do głowy: miał zawroty i wypieki.

Odezwał się mężczyzna:

- Security-First National, słucham.
- Mówi agent specjalny Johnson z FBI. Poproszę z kierownikiem.
- Proszę czekać, łączę.

Littell słyszał stukot na linii. Mężczyzna odezwał się:

- Mówi Carmody, w czym mogę pomóc?
- Mówi agent specjalny Johnson z FBI. Mam tu przed sobą numer konta w waszym banku i muszę wiedzieć, do kogo należy.

— Czy to *urzędowa* prośba? Jest niedziela, a ja nadzoruję tylko comiesięczną inwentaryzację...

— Urzędowa. Mogę dostarczyć nakaz, ale nie chciałbym narażać pana na osobiste wezwanie.

— Rozumiem. No cóż... chyba... Littell odezwał się stanowczo.

— Ten numer to 811512404. Mężczyzna westchnął.

— Cóż, hm, 404 sugeruje, że to konto depozytowe, więc jeśli interesuje pana saldo, to obawiam się, że...

— Ile schowków jest obecnie wynajmowanych na ten rachunek?

— Cóż, znam to konto ze względu na jego rozmiar. Widzi pan...

— *Ile schowkowi*

— Cały skarbiec, w tej chwili dziewięćdziesiąt.

— Czy cenne przedmioty mogą być przekazywane z zewnątrz bezpośrednio do skarbcza?

— Oczywiście. Mogą być umieszczane w skrytkach przez osoby trzecie mające dostęp do hasła posiadacza konta.

Dziewięćdziesiąt schowków. Miliony w GOTOWCE wypranej przez mafię...

— Do kogo należy to konto?

— Cóż...

— Czy mam dostarczyć nakaz?

— Cóż, ja...

Littell prawie wykrzyczał: — *Czy posiadaczem konta jest Joseph P. Kennedy senior?*

— Cóż... hm... tak.

— Ojciec senatora?

— Tak, ojciec...

Słuchawka wyślizgnęła mu się z ręki. Littell kopnął ją.

Czarna księga. Pan 1408, obracający milionami lichwiarz.

Wrócił do cyfr i sprawdzał. Sprawdzał każdą liczbę po trzy razy, aż wzrok mu się zamglił. Tak: Joe Kennedy pożyczył Funduszowi pieniądze na Słoneczną Dolinę. Tak: Fundusz pożyczył pieniądze Jamesowi Riddle'owi Hoffie.

W Słonecznej Dolinie popełniono przestępstwo nielegalnej sprzedaży ziemi. Słoneczna Dolina stała się przyczyną dwóch morderstw popełnionych przez Pete'a Bonduranta, którego ofiarami padli Anton Gretzler i Roland Kirpaski.

Littell śledził 1408. Widział niekończące się pozycje — i żadnego końcowego podsumowania. Joe wypłacał tylko odsetki. Podstawowe sumy pożyczek pozostawały w obiegu w Funduszu.

I rosły.

Prane, dobrze zakamuflowane, ukryte przed podatkami i w ciągłym ruchu — wypłacane opryszkom związkowym, handlarzom narkotyków, lichwiarzom i powiązanym z mafią faszystowskim dyktatorom. Zaszyfrowane księgi zawierały szczegóły. Mógł złamać szyfr i dowiedzieć się, gdzie dokładnie popłynęły pieniądze.

To moja tajemnica, Bobby — nigdy nie pozwolę, żebyś znieawidził własnego ojca.

Littell przekroczył limit o osiem drinków. Odpłynął, wykrzykując liczby.

## 54

(Hyannis Port, 8 listopada 1960)

Jack dostał o milion głosów więcej i prowadził w Kolegium Elektorskim. Nixon deptał mu po piętach — na Środkowym Zachodzie mogły powstać problemy.

Kemper oglądał trzy telewizory na raz i zonglował czterema telefonami. Jego pokój w motelu był jedną wielką wtyczką — Służby Specjalne zażądały wielu linii wchodzących i wychodzących.

Czerwony telefon był jego linią prywatną. Dwa białe łączyły go bezpośrednio z posiadłością Kennedych. Niebieski łączył Służby Specjalne z prawie-prezydentem-elektem.

Była 23.35. CBS nazwało Illinois trudnym stanem. NBC krzychało: „Napięta sytuacja!”. ABC twierdziło, że Jack powinien wygrać z 51% głosów.

Kemper wyjrzał przez okno. Ludzie ze Służb Specjalnych kręcili się na dole — obstawili cały kompleks motelowy.

Biały telefon nr 2 zadzwonił. Bobby się skarżył. Jakiś dziennikarz wskoczył o tycze do ich posiadłości. A na głównym trawniku panoszył się samochód z transparentami Nixona.

Kemper wezwał dwóch gliniarzy i wysłał ich tam. Kazał im gonić wszystkich intruzów i konfiskować podejrzone auta.

Potem zadzwonił czerwony telefon. Santo junior z nowinkami od mafii. Oznajmił, że Illinois wygląda ryzykownie. Wyznał, że Sam G, włożył trochę wysiłku w to, by pomóc Jackowi.

Lenny Sands był w terenie i napełniał urny wyborcze. Miał setkę pomocników. Jack powinien pobić hrabstwo Cook i wygrać, choć z zapasem tak cieniutkim jak łonowy włos zakonniczy.

Kemper odłożył słuchawkę. Czerwony telefon zadzwonił ponownie. Pete z innymi plotkami z drugiej ręki. Powiedział, że pan Hoover dzwonił do pana Hughesa. Pan Hughes mówił Pete'owi, że Marylin Monroe jest trochę niewyżyta. Fedzie założyli jej podsłuch. Przez ostatnie dwa tygodnie grzmociła się z prezydentem radiowym Allanem Freedem, Billym Eckstinem, Freddyem Otashem, treserem Rin Tin Tina, Jonem Hallem, swoim konserwatorem basenu, dwoma dostawcami pizzy, gospodarzem talk show Tomem Dugganem i mężem własnej pokojówki — ale nie z senatorem Johnem F. Kennedym.

Kemper roześmiał się i odłożył słuchawkę. CBS nazwało wyścig „zbyt wyrównanym, żeby go oceniać”. ABC podzieliło tę opinię.

Biały telefon nr 1 zadzwonił. Kemper odebrał:

— Bob?

— To ja. Dzwonię, żeby powiedzieć, że prowadzimy w wyborach, a Illinois i Michigan powinny przesądzić sprawę. Pomogła sprawa pożyczki Hughesa, Kemper. Twoje „anonimowe źródło” powinno wiedzieć, że miało to wpływ.

— Nie słyszę, byś tryskał radością.

— Nie uwierzę w to, dopóki wszystko się nie skończy. I właśnie umarł przyjaciel taty. Był od niego młodszy, więc ciężko mi z tym.

— Ktoś, kogo znam?

— Jules Schiffrin. Chyba poznałeś go parę lat temu. Miał atak serca, w Wisconsin. Przyszedł do domu, zobaczył, że go okradziono, i po prostu się przekreślił. Przyjaciel taty z Lake Geneva zadzwonił i...

— Lake Geneva?

— Tak. To na północ od Chicago. Kemper...

*Miejsce napadu na Littella. Schiffrin: związany z Chicago gangster.*

— Kemper...

— Przepraszam, ktoś mi przeszkodził.

— Chciałem ci coś powiedzieć...

— O Laurze?

— Skąd wiedziałeś?

— Wahasz się tylko wtedy, gdy chodzi o Laurę.

Bobby odchrząknął.

— Zadzwoń do niej. Powiedz, że bylibyśmy wdzięczni, gdyby przez jakiś czas nie kontaktowała się z rodziną. Jestem pewien, że zrozumie.

Court Meade powiedział, że Littell zniknął. To zbieg okoliczności, ale...

— Kemper, słuchasz mnie?

— Tak.

— Zadzwoń do Laury. Bądź miły, ale stanowczy.

— Dobrze.

Bobby odłożył słuchawkę. Kemper zadzwonił z czerwonego telefonu: Chicago, BL8-4908. Połączył się. Usłyszał dwa sygnały i dwa słabutkie odgłosy pod-słuchu. Potem odezwał się Littell:

— Halo?

Kemper zakrył słuchawkę.

Littell dodał: — Czy to ty, Boyd? Czy wracasz do mojego życia, bo się boisz, czy myślisz, że mam coś, czego potrzebujesz?

Kemper rozłączył się.

Ward J. Littell — kurwa, Jezu Chryste.

## 55

(Miami, 9 listopada 1960)

**G**uy Banister skrzeczał przez międzymiastową. Pete czuł, że zaraz rozboli go ucho.

— Jesteśmy świadkami rodzącej się nowej papieskiej hegemonii. On kocha czarnuchów i Żydów i odkąd został kongresmenem, łagodnie obchodzi się z komunizmem. Nie wierzę, że wygrał. Nie wierzę, że Amerykanie kupili jego gów...

— Do rzeczy, Guy. Mówiłeś, że J.D. Tippit coś ma.

Banister zaciął się.

— Zapomniałem, po co zadzwoniłem. I zapomniałem, że ty obchodzisz się łagodnie z Kennedym.

Pete powiedział: — Podoba mi się jego fryzura. Staje mi na jego widok.

Banister chciał znowu jęczeć. Pete przerwał mu.

- Kurwa, jest ósma rano. Mam na linii zamówienia na taksówki i trzech chorych kierowców. Mów, czego chcesz.
- Chcę, żeby Dick Nixon zażądał ponownego przeliczenia głosów.
- Guy...
- Już dobrze. Boyd miał ci powiedzieć, żebyś pogadał z Wilfredem Delsolem.
- Powiedział.
- Rozmawiałeś z nim?
- Nie. Byłem zajęty.
- Tippit słyszał, że Delsol był widziany z chłopakami Castro. Uważamy, że powinien to wyjaśnić.
- Pogadam z nim.
- Zrób to. I postaraj się rozwinąć w sobie trochę politycznego zmysłu. Pete zaśmiał się.
- Jack jest biały. A do tego staje mi, jak tylko pomyślę o jego włosach.

Pete pojechał do chaty Wilfreda i zapukał do drzwi. Delsol otworzył w bieleńcu. Miał przekrwione oczy. Był wychudzony. Wyglądał na zbyt zaspianego, by móc ustać prosto.

Trząsł się i drapał po jajach. Strzepnął z włosów pajęczynę i szybko załapał, o co chodzi.

- Ktoś ci powiedział o mnie coś złego.
- Mów dalej.
- Odwiedzasz ludzi tylko wtedy, gdy chcesz ich nastraszyć.
- Zgadza się. Albo kiedy chcę, żeby coś wyjaśnili.
- Więc pytaj.
- Widziano cię, jak rozmawiałeś ze zwolennikami Castro.
- To prawda.
- Więc?
- Więc słyszeli, jak zginął mój kuzyn Tomás. Myśleli, że mogą mnie namówić do zdrady Kadry.
- I?
- I powiedziałem im, że z nienawiścią myślę o tym, co się stało z Tomásem, ale z większą nienawiścią myślę o Castro.

Pete oparł się o drzwi.

- Nie lubisz rejsów ślizgaczem...
- Po co zabijając jakichś tam milicjantów.
- Przypuśćmy, że zostaniesz wyznaczony do grupy inwazyjnej?
- Wtedy pójdę.

— Przypuśćmy, że powiem ci, żebyś załatwił jednego z ludzi, z którymi rozmawiałeś.

— Powiedziałbym, że Gaspar Blanco mieszka dwie przecznice stąd.

Pete rzekł: — To zabij go.

Pete jechał przez czarną część miasta — dla zabicia czasu. W radiu puszczała wyłącznie wiadomości wyborcze. Nixon przegrał. *Frau* Nixon wygłosiła wyrazy ubolewania. Jack podziękował swojej ekipie i obwieścił, że *Frau* Kennedy jest w ciąży.

Murzyńscy épuni zgromadzili się przy stanowisku pucybuta. Fulo i Ramón podjechali, żeby ich obsłużyć. Chuck wymieniał paczki na podpisane pokaźne czek. Jack mówił o polityce Nowych Rubieży. Fulo rzucił pucybutowi sporą paczkę hery.

Włączyły się lokalne wiadomości. Strzały przed sklepem w Coral Gables! Policja zidentyfikowała ofiarę jako Gaspara Ramona Blanco! Pete uśmiechnął się. 8 listopada 1960 to niezapomniany dzień.

Po lunchu zatrzymał się w Taxi-Tygrys. Teo Paez handlował na parkingu: telewizory za jedyne dwadzieścia dolców. Telewizory były podłączone do akumulatora. Jack K, promieniał na dwóch tuzinach ekranów.

Pete zmieszał się z potencjalnymi klientami. Jimmy Hoffa wyłonił się z tłumu, spocony mimo miłego chłodu.

— Cześć, Jimmy.

— Nie pysznij się tak. Wiem, że ty i Boyd chcieliście, żeby wygrał ten pizdoliz.

— Nie martw się. On będzie trzymał krótko młodszego brata.

— Jakby to był mój jedyny problem.

— O co ci chodzi?

— O śmierć Julesa Schiffrina. Włamano się do jego domu w Lake Geneva po jakieś gówniane obrazy i, kurwa, zniknęły bezcenne dokumenty. Jules miał atak serca, a nasza kapucha leży teraz prawdopodobnie w piwnicy włamywacza.

LITTELL. W 100% szalony. Pete zaczął się śmiać. Hoffa spytał: — Co cię, kurwa, śmieszy? Pete ryczał.

Hoffa: — Przestań, ty cholerny żabojebcu.

Pete nie mógł. Hoffa wyciągnął pistolet i przestrelił sześć telewizorów z Jackiem Fryzurą na ekranie.

## 56

(Washington, D.C., 13 listopada 1960)

Listonosz przyniósł specjalną przesyłkę. Miała stempel Chicago i przysłano ją bez podania adresu zwrotnego. Kemper otworzył kopertę. Pojedyncza kartka była starannie zapisana na maszynie.

*Mam księgi. Są zabezpieczone na wypadek mojej śmierci albo zniknięcia na tuzin sposobów. Przekażę je tylko Robertowi Kennedy'emu, jeśli w ciągu trzech miesięcy zatrudni mnie w administracji Kennedy'ego. Księgi są w bezpiecznym miejscu. Razem z nimi jest 83-stronicowy opis Twoich kontaktów z Komisją McClellana i Kennedymi. Zniszczę go tylko wtedy, gdy dostanę zatrudnienie w administracji Kennedy'ego. Wciąż czuję do Ciebie sympatię i jestem wdzięczny za to, czego mnie nauczyleś. Czasami zachowywałeś się dziwnie altruistycznie i ryzykowałeś ujawnienie swoich licznych dwuznacznych kontaktów, aby pomóc mi dojść do czegoś, co muszę nedorzecznie nazwać męskością. Mimo to muszę stwierdzić, że nie ufam Twoim zamiarom dotyczącym ksiąg. Wciąż uważam Cię za przyjaciela, ale w ogóle Ci nie wierzę.*

Kemper nagryzmolił notkę do Pete'a Bonduranta.

*Zapomnij o księgowości Teamsters. Littell ubiegł nas i zaczynam przeklinać dzień, w którym nauczylem go paru rzeczy. Dyskretnie dowiadywałem się w policji stanowej Wisconsin, ale oni tam są całkiem zakręceny. Przy następnej rozmowie dołączę szczegóły. Myślę, że będziesz pod dużym wrażeniem. Dość już nerwów i jęków. Usuńmy wreszcie Fidela Castro.*

## 57

(Chicago, 8 grudnia 1960)

Wiatr kołysał samochodem. Littell podkręcił ogrzewanie i cofnął fotel, żeby się wyciągnąć. Jego obserwacja była czysto pozorną. Mógł sam do nich dołączyć — Mał miałby radochę.



Mieli imprezę z okazji weryfikacji „czarnej listy”. Chicagowski Wydział Edukacji zatrudnił Mala Chamalesa jako nauczyciela matematyki w szkole specjalnej.

Goście podchodzili ciągle do domu. Littell rozpoznał lewicowców z ważącą pół tony kartoteką w Czerwonej Drużynie. Kilku pomachało do niego-

Mal zaproponował, że może przyśle żonę z kawą i ciastkami.

Znudzony zerkał na dom. Mal włączył lampki na choince — drzewko na gan-ku migotało na żółto i niebiesko. Poczekaj do 21.30. Opisze tę zabawę jako typowy przedświąteczny wieczór. Leahy pro forma zaakceptuje jego ocenę — patowa sytuacja, jaka się między nimi wytworzyła, wykluczała bezpośrednią konfrontację.

Nie pytali go o epizod z wyważeniem drzwi kopniakiem i napad w Lake Geneva. Miał trzydzieści dziewięć dni do przejścia na emeryturę. Polityka Biura polegająca na unikaniu konfrontacji pomoże mu przeczekać do odejścia do cywila.

Złożył księgi Funduszu w skarbcu w Duluth. W domu miał dwa tuziny tekstów o kryptografii. Od siedemnastu dni obywał się bez grama alkoholu.

W każdej chwili mógł wysłać księgi Bobby'emu. Mógł wymazać nazwisko Joe Kennedy'ego kilkoma pociągnięciami ołówka.

Zwiedle liście opadały na przednią szybę. Littell wysiadł z samochodu i rozprostował nogi. Wtedy zobaczył mężczyzn biegnących po podjeździe Mala. Usłyszał brzęk metalu oznajmiający ładowanie pistoletów maszynowych. Potem kroki za sobą.

Jakieś ręce rzuciły go na maskę i zerwały pas z bronią.

W twarz wpiła mu się ostra chromowa krawędź. Zobaczył Chicka Leahy'ego i Courta Meade'a kopiących w drzwi Mala Chamalesa.

Otoczyli go rośli mężczyźni w garniturach i płaszczach. Spadły mu okulary. Wszystko stało się rozmazane. I upiorne. Jakieś ręce pchnęły go w stronę ulicy.

Jakieś ręce założyły mu kajdanki.

Zatrzymała się ciemnoniebieska limuzyna. Ręce wrzuciły go do środka. Pchnęły go tak, że znalazł się twarzą w twarz z J. Edgarem Hooverem. Inne ręce zakleily mu usta taśmą.

Limuzyna ruszyła.

Hoover przemówił:

— Mal Chamales jest aresztowany za działalność wywrotową i propagowanie przewrotu politycznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Twoja służba w FBI kończy się z dniem dzisiejszym, twoja emerytura zostaje cofnięta. Twój

szczegółowy portret sympatyka komunizmu został wysłany do Departamentu Sprawiedliwości, stowarzyszeń adwokackich wszystkich pięćdziesięciu stanów i dziekanów wszystkich szkół prawniczych na kontynencie. Jeśli podasz do publicznej wiadomości informacje dotyczące tajnej działalności Kempera Boyda, gwarantuję, że twoja córka Susan i Helen Agee nigdy nie będą praktykować prawa, i gwarantuję, że interesujący zbieg okoliczności dotyczący twojej trzytygodniowej nieobecności i zniszczenia posiadłości Julesa Schiffrina w Lake Geneva zostanie wspomniany kluczowym postaciom przestępczości zorganizowanej. Byś mógł dać upust swoim lewicowym sympatiom i rozdzierającej serce miłości wobec finansowo i moralnie pokrzywdzonych, będziesz teraz pozostawiony w miejscu, w którym twoje skłonności do abnegacji, samobiczowania i lewicowe poglądy zostaną w pełni docenione. Zatrzymać samochód.

Limuzyna zwolniła.

Ręce rozkuły go. Ręce wypchnęły go z samochodu i wrzuciły do rynsztoka w South Side.

Kolorowi włóczędzy przechodzili obok i oglądali go.

I co, białasie?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.12.1960. List prywatny:

Kemper Boyd do desygnowanego na stanowisko prokuratora generalnego Roberta F. Kennedy'ego.

Drogi Bobie,

Przede wszystkim gratuluję. Będziesz znakomitym prokuratorem generalnym i mogę doradzić Jimmy'emu Hoffie i paru innym, żeby zaprzestali swojej działalności.

A skoro już o tym mowa, do rzeczy. Celem tego listu jest zarekomendowanie Ci byłego agenta specjalnego Warda J. Littella do grona doradców Departamentu Sprawiedliwości. Littell (Widmo z Chicago, który pracował dla nas tajnie od początku 1959 roku) jest absolwentem Szkoły Prawniczej Notre Dame, ma licencję federalnej palestry. Uważany jest za specjalistę od Przepisów Federalnych dot. Deportacji i ma doświadczenie w pracy antymafijnej i wymierzonej przeciwko Teamsters.

Zdaję sobie sprawę, że Littell, jako jeszcze anonimowa postać, nie kontaktował się z Tobą przez pewien czas, ale mam nadzieję, że nie zmniejszy to Twojego entuzjazmu dla jego pracy. Jest znakomitym prawnikiem i z pełnym poświęceniem walczy ze zbrodnią.

Twój Kemper

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.12.1960. List prywatny:

Robert F. Kennedy do Kempera Boyda.

Drogi Kemperze,

Jeśli chodzi o Warda Littella, moja odpowiedź to stanowcze „nie”. Otrzymałem raport od pana Hoovera, który mimo iż może nieco jednostronnie, przekonująco maluje portret Littella jako alkoholika o lewicowych skłonnościach. Pan Hoover dołącza również dowody na to, że Littell otrzymywał łapówki od mafii chicagowskiej. To w moich oczach neguje wiarygodność jego działań antymafijnych i skierowanych przeciw Teamsters.

Zdaję sobie sprawę, że Littell jest twoim przyjacielem i że ciężko dla nas kiedyś pracował. Jednak szczerze mówiąc, nie możemy sobie pozwolić na najlżejszą skazę na naszych nowych pracownikach. Uważajmy sprawę Littella za zamkniętą. Kwestia Twojego zatrudnienia w administracji Kennedy'ego pozostaje otwarta i myślę, że będziesz zadowolony z tego, co ustaliliśmy wraz z Prezydentem-elektem.

Wszystkiego dobrego, Bob

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.01.1961. List prywatny:

J. Edgar Hoover do Kempera Boyda.

Drogi Kemperze,

Potrójne gratulacje.

Po pierwsze, Twoja niedawna taktyka uniku okazała się wyjątkowo efektywna. Po drugie, Twoja wzmianka o Marylin Monroe zajmowała mnie przez pewien czas. Wykreowałeś mit! Z odrobiną szczęścia trafi do tego, co *Cicho sza!* nazywa „Panteonem Podglądaczy”! Po trzecie, gratuluję zatrudnienia na stanowisku terenowego doradcy Departamentu Sprawiedliwości. Moje kontakty mówią mi, że będziesz się koncentrował na łamaniu praw wyborczych na południu. Genialne! Teraz będziesz mógł bronić Murzynów skłaniających się ku lewicy z taką samą gorliwością, z jaką przygarniałeś prawicowych Kubańczyków!

Myślę, że odnalazłeś swoje powołanie. Trudno byłoby znaleźć bardziej odpowiednią posadę dla człowieka o tak elastycznej moralności.

Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli okazję współpracować.

Jak zwykle, JEH

(Nowy Jork, 20 stycznia 1961)

Plakała. Strumienie łez rozmazały jej makijaż. Kemper wszedł do foyer. Laura otuliła się szlafrokiem i odsunęła się od niego. Wyciągnął bukiecik.

— Jadę na inaugurację. Wrócę za parę dni.

Zignorowała kwiaty.

— Tak myślałam. Nie sądziłam, że chcesz tym frakiem zrobić wrażenie na mnie.

— Lauro...

— Nie zaprosili mnie. Ale moich sąsiadów, owszem. Dali na kampanię Jacka dziesięć tysięcy dolarów.

Spływał jej tusz. Twarz miała wymęczoną.

— Wrócę za kilka dni. Wtedy pogadamy.

Laura wskazała na toaletkę.

— Leży tam czek na trzy miliony dolarów. Jest mój, jeśli nigdy więcej nie skontaktuję się z rodziną.

— Możesz go podrzeć.

— Zrobiłbyś to?

— Nie umiem odpowiedzieć na takie pytanie.

Palce miała żółte od tytoniu. Wszędzie stały przepelnione popielniczki.

Laura spytała:

— Oni czy ja? Kemper odpowiedział:

— Oni.

# CZEŚĆ III

## ZATOKA ŚWIŃ

Luty-Listopad 1961

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 7.02.1961. Notatka służbowa:

Kemper Boyd do Johna Stantona.

Oznaczenie: POUFNE/DO RĄK WŁASNYCH

John,

Subtelnie naciskałem Młodszego Brata i paru asystentów w Białym Domu, żeby udzielili mi informacji, i przykro mi donieść, że prezydent ma ambiwalentny stosunek do naszych planów inwazji. Ryzyko związane z naszym zamysłem najwyraźniej nie pozwala mu podjąć decyzji. To oczywiste, że nie chce na początku pełnienia swojej funkcji mieć do czynienia z tak napiętą sytuacją.

Prezydent i prokurator generalny Kennedy zostali wprowadzeni w okoliczności sprawy przez dyrektora Dullesa i zastępcę dyrektora Bissella. Młodszy Brat uczestniczy w wielu prezydenckich spotkaniach na wysokim szczeblu; oczywiste jest, że staje się on głównym doradcą prezydenta we wszystkich istotnych kwestiach. Obsesją Młodszego Brata pozostaje (ku konsternacji niektórych naszych przyjaciół) przestępczość zorganizowana, natomiast wydaje się, że nie interesują go sprawy Kuby. Moje kontakty mówią mi, że prezydent nie uzmysłowił mu „gotowego” charakteru naszych planów inwazji.

Obóz w Blessington jest w gotowości przedinwazyjnej. Zawieszono cykle treningowe dla rekrutów, na dzień 30.01.1961 wszystkie czterdzieści cztery łóżka były zajęte przez oddziały, które już ukończyły szkolenie i zostały wezwane z innych obozów; są to ludzie specjalnie wyćwiczeni w taktyce wojennej w amfi-biach. Tworzą oni teraz Siły Inwazyjne Blessington. Pete Bondurant i Douglas Frank Lockhart trenują z nimi codziennie manewry i oceniają bardzo wysoko ich morale.

Odwiedziłem Blessington w zeszłym tygodniu, aby sprawdzić gotowość przed inspekcją pana Bissella zaplanowaną na 10 lutego. Z radością mogę zawiadomić, że Pete i Lockhart osiągnęli wysoki poziom.

Łodzie desantowe cumują w zakamuflowanych zatoczkach zbudowanych przez ludzi z Klanu Lockharta. Chuck Rogers zorganizował Ramónowi Gutiérrzewi kurs latania — jest to część planu Bonduranta polegającego na tym, żeby Gutiérrrez odegrał rolę dezertera z armii Castro i przyleciał w dniu inwazji do Blessington ze sfalszowanymi fotografiami ukazującymi okrucieństwo dyktatury, które mogą przeciec do prasy jako prawdziwe. Broń i amunicja są zinwentaryzowane. Niecały kilometr od Blessington przygotowuje się miejsca noclegowe dla oddziałów wspomagających siły obozu. Powinny być gotowe 16 lutego.

Mam teraz trochę wolnego czasu, który spędzam na Florydzie głównie dlatego, że bracia wierzą w kłamstwo sprzed ponad roku: pan Hoover rzekomo zmusił mnie do szpiegowania grup przeciwników Castro w okolicach Miami. Moje obecne zajęcie w Departamencie Sprawiedliwości (dochodzenie w sprawie Murzynów, którym odmówiono praw wyborczych) powinno mnie skierować na pewien czas na Południe. Specjalnie prosiłem o to zadanie ze względu na niewielką odległość od Miami i Blessington. Moje południowe pochodzenie przekonało Młodszego Brata i pozwoliło mi wybrać sobie okręgi docelowe. Wybrałem rejon Anniston w Alabamie. Codziennie lata stamtąd osiem samolotów do Miami, dzięki czemu zmiana miejsca pracy będzie polegała na półtoragodzinnym locie. Gdybyś mnie potrzebował, zadzwoń do moich służb w D.C, albo kontaktuj się bezpośrednio w motelu Wigwam pod Anniston. (Nie mów, co o tym sądzisz: wiem, że to nijak się ma do moich przyzwyczajęń.)

Pozwól mi ponownie podkreślić, że stanowczo nie należy wspominać Młodszemu Bratu o powiązaniach Agencji z mafią. Byłem tak samo zdumiony i zaniepokojony jak nasi sycylijscy współpracownicy, gdy Starszy Brat asygnował go na stanowisko prokuratora generalnego. Jego antymafijny zapał trwa, a nawet się nasila, a nie chcemy przecież, żeby dowiedział się, iż panowie CM., S.G, i J.R, darowali pieniądze na Sprawę...

To tyle. Do zobaczenia w Blessington 10 lutego.

KB

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.02.1961. Notatka służbowa:

John Stanton do Kempera Boyda.

Oznaczenie: POUFNE/DO RĄK WŁASNYCH.

Kemper,

Otrzymałem Twoją notatkę. Sprawy wydają się toczyć świetnie, chociaż wolałbym, żeby Starszy Brat wreszcie się zdecydował. Opracowałem kilka poprawek

do naszego podstawowego planu inwazji. Czy możesz powiedzieć mi, co o tym sądzisz, podczas inspekcji?

1. Wyzaczyłem Pete'a Bonduranta i Chucka Rogersa do koordynowania bezpieczeństwa lokalnego w Blessington oraz komunikacji między Blessington a bazami w Nikaragui i Gwatemali. Rogers może przemieszczać się między tymi miejscami, zaś Pete będzie szczególnie efektywny jako negocjator.

2. Teo Paez przyprowadził nowego rekruta: Néstora Javiera Chasco, ur. 12.04.1923. Teo poznał go w Hawanie, kiedy prowadził grupę informatorów dla United Fruit. Chasco infiltrował wiele lewicowych grup, raz udaremnił próbę zabójstwa człowieka z kadry kierowniczej UF.

Kiedy Castro przejął władzę, Chasco infiltrował handel heroiną prowadzony na wyspie przez Raúla Castro i przekazywał prochy rebeliantom, którzy oczywiście sprzedawali je, a pieniądze przeznaczali na broń. Chasco jest doświadczonym handlarzem narkotyków, ekspertem od prowadzenia przesłuchań i strzelcem wyborowym wyszkolonym w armii kubańskiej, wynajmowanym przez prezydenta Batistę przywódcą Ameryki Południowej. Teo mówi, że Chasco zabił co najmniej czternastu lewicowych rebeliantów w latach 1951-1958.

Chasco, utrzymujący się z handlu marihuaną, uciekł z Kuby ślizgaczem w zeszłym miesiącu. W Miami skontaktował się z Paezem i poprosił go o pracę dla Sprawy. Teo przedstawił go Pete'owi Bondurantowi i później opisał to spotkanie jako „miłość od pierwszego wejrzenia”.

Nie można Cię było znaleźć, więc Pete skontaktował się ze mną i zarekomendował Néstora Chasco do zatrudnienia od zaraz w Blessington i w Kadrze. Spotkałem się z Chasco i zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Natychmiast go zatrudniłem, a Pete przedstawił go pozostałym członkom Kadry. Paez powiedział, że spotkanie przebiegło w przyjacielskiej atmosferze. Chasco uczy się prowadzić interesy Kadry i jest drugim instruktorem musztry. Będzie kursował między Blessington, Miami i naszymi bazami w Gwatemali i Nikaragui — oficer odpowiedzialny za tę sprawę przejeżdżający przez Blessington zauważył jego umiejętności szkoleniowe i wystosował bezpośrednią prośbę do pana Bissella, by ten jak najszybciej zatrudnił go jako swego oficjalnego pracownika.

Poznasz Chasco podczas inspekcji. Myślę, że także będziesz pod wrażeniem.

3. Gdy już nastąpi inwazja, chcę, żebyś patrolował razem z Chasco obszar działania Kadry. Nasze wyspiarskie źródła spodziewają się, że na Kubę przecieknie coś z planów inwazji, a ja chcę mieć pewność, że lokalne grupy zwolenników Castro nie będą próbowały w nas uderzyć, kiedy będą przekonani, że

koncentrujemy się wyłącznie na strategii ataku. Nie powinieneś mieć trudności z wyrwaniem się. Do Miami z Anniston łatwo dotrzeć i możesz powiedzieć Młodszemu Bratu, że pan H, przysłała Cię, żebyś monitorował działalność zwoleńników Castro.

Kończąc kłopotliwą prośbą:

Carlos M, dał Guyowi Banisterowi dotatkowe 300 000 \$ na broń. To wielki przyjaciel Sprawy, a boi się (myślę, że słusznie) Młodszego Brata. Czy mógłbyś dowiedzieć się, co Bobby szykuje na Carlosa?

Z góry dziękuję. Do zobaczenia jutro w Blessington.

John

## 59

(Blessington, 10 lutego 1961)

Na lewo patrz, na prawo patrz. Prezentuj broń, załaduj broń — pokażcie nam, co potraficie.

Plac do musztry błyszczał. Rekruci poruszali się jak maszyny — każdy zwrot, każdy pad był idealnie zsynchronizowany. Lockhart wydawał komendy. Néstor Chasco trzymał flagi. Gwiazdzisty sztandar i Potwór Pit; bul trzepotały na wietrze.

Pete przeprowadził inspekcji. Richard Bissell i John Stanton szli za nim — przeciętniacy w znoszonych wełnianych garniturach.

Rekruci mieli na sobie wykrochmalone plamiaki i chromowe hełmy. Fulo, Paez, Delsol i Gutiérrez stali z boku w miejscu dla obserwatorów. Boyd przyglądał się im z przystani. Nie chciał, żeby znali go szeregowi rekruci.

Pete sprawdzał broń i oddawał. Bissell poklepywał po ramionach i uśmiechał się. Stanton zaciskał szczękę — wiedział, że to tylko propagandowa zagrywka.

Lockhart wrzasnął:

— Na ramię broń! Na wprost patrz!

Czterdzieści cztery karabiny poszły w górę. Chasco pomaszzerował dziesięć kroków w przód i stanął. Zasalutował. Wyciągnął flagi na długość ramienia.



Lockhart wrzasnął:

— Spoczniej!

Mężczyźni stawali na spoczniej jeden po drugim — efekt domina. Bissell gapił się. Stanton bił brawo. Boyd obserwował Chasco. Stanton opisał tego małego gnojka, jakby był Jezusem Chrystusem pozbawionym miłosierdzia. Chasco jadł tarantule i pił mocz pantery. Chasco zabijał czerwonych od Rangoon po Rio. Chasco odkaszlnął i splunął na chodnik.

— Mam przyjemność być z wami w Ameryce. Mam zaszczyt walczyć z tyranem Fidelem Castro i przedstawić wam *señora* Richarda Bissella.

Donośne skandowanie — czu-czu-czu-czu — na pięćdziesiąt mocnych głosów. Bissell podniósł dłoń, by uciszyć hałas.

— Señor Chasco ma rację. Fidel Castro jest morderczym tyranem, którego trzeba sprowadzić na ziemię. Jestem tu, by wam powiedzieć, że zrobimy to najprawdopodobniej w niedalekiej przyszłości.

CZU-CZU-CZU-CZU-CZU-CZU... Bissell przemawiał w stylu Kennedy'ego.

— Wasze morale jest wysokie. To doskonale. Na Kubie też są ludzie z bardzo wysokim morale, są ich pewnie ze trzy albo i cztery brygady.

Mówię o Kubańczykach czekających na was, aż wylądujecie i pokażecie im drogę do salonu Fidela Castro.

CZU-CZU-CZU-CZU-CZU...

— Wy i wielu innych będziecie brali udział w inwazji i przejęciu władzy w waszej ojczyźnie. Dołączycie do przeciwników Castro żyjących na wyspie i obalicie Fidela. Mamy prawie szesnaście oddziałów stacjonujących w Gwatemali, Nikaragui i wzdłuż wybrzeża Zatoki, gotowych do inwazji. Jesteście wśród nich. Jesteście jednostką specjalną, która weźmie udział w akcji. Będziecie wspierani dodatkowo przez B-26 i eskortowani do ojczyzny łodziami sił specjalnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Wygracie. I spędzicie Boże Narodzenie z bliskimi w wyzwolonej Kubie.

Pete dał znak. Czterdziestu czterech mężczyzn zasalutowało bronią, a Bissell zaniemówił z wrażenia.

**S** Stanton wydał lunch w motelu Breakers. Lista gości zawierała tylko Białych Panów: Pete'a, Bissella, Boyda, Chucka Rogersa. Właścicielem lokalu był Santo junior. Jadali tu i popijali ludzie z Blessington. Kafajka serwowała makaroniar-skie jedzenie — typowa zadupiaста speluna.

Siedzieli przy okrągłym stole. Bissell zdominował rozmowę — nikt nie był w stanie wtrącić ani słowa. Pete siedział obok Boyda i grzebał w talerzu z makaronem. Chuck podawał piwa.

Boyd podsunął Pete'owi liścik.

*Podoba mi się Chasco. Wygląda, jakby mówił: „Nie lekceważcie mnie tylko dlatego, że jestem mały”, a to kojarzy mi się z W. J. Littellem. Czy możemy go wysłać, żeby załatwił Fidela?*

Pete nabazgrolił na swojej serwetce.

*Niech załatwi Fidela & WJL. Jimmy boi się i jest wkurzony, bo znikła księgowość jego Funduszu, a tylko my wiemy, kto za tym stoi. Może coś z tym zrobimy?*

Boyd napisał NIE na swoim menu. Pete roześmiał się głośno. Bissell obraził się.

— Czy powiedziałem coś zabawnego, panie Bondurant?

— Nie, sir.

— Też tak myślę. Mówiłem, że prezydent Kennedy był kilkakrotnie pytany o datę inwazji, ale wciąż nie potrafi jej wyznaczyć, a to wcale nie jest dla mnie śmieszne.

Pete nalał sobie piwa. Stanton powiedział:

— Pan Dulles twierdzi, że prezydent jest „ostrożnym entuzjastą”.

Bissell uśmiechnął się.

— Naszą tajną bronią jest pan Boyd. Kennedy ufa mu i myślę, że gdyby zaszła taka konieczność, mógłby się przyznać do swojej potajemnej służby w Agencji i otwarcie powiedzieć o naszej inwazji.

Pete skamieniał: Boyd bliski zdemaskowania. Stanton wtrącił się:

— Pan Bissell żartuje, Kemper.

— Wiem. I wiem, że zdaje sobie sprawę, jak złożone stały się nasze powiązania.

Bissell owijał serwetkę wokół palca.

— Owszem, panie Boyd. I świadom jestem tego, jak hojni dla Sprawy byli panowie Hoffa, Marcello oraz kilku innych włoskich gentlemanów, jak i tego, że ma pan pewien wpływ na obóz Kennedy'ego. Jako główny łącznik prezydenta ze sprawą Kuby, wiem również, że Fidel Castro i komunizm są dużo gorsi od mafii, chociaż nie śmiałybym prosić pana o wstawienie się za moimi przyjaciółmi, ponieważ to mogłoby kosztować pana wiarygodność w oczach świętych dla pana Kennedy'ego.

Stanton upuścił łyżkę. Pete zrobił długi i powolny wydech. Boyd uśmiechnął się szeroko jak palant.

— Cieszę się, że pan tak uważa, panie Bissell. Gdyby pan mnie o to poprosił, musiałbym odpowiedzieć, żeby się pan poszedł pieprzyć.

(Waszyngton, D.C., 6 marca 1961)

Co wieczór wypijał trzy głębsze — ani więcej, ani mniej. Przerzucił się z whisky na czysty gin. Pałący smak rekompensował nikłą ilością. Trzy kieliszki podjudzały jego nienawiść. Cztery i więcej puszczały ją luzem zupełnie. Trzy kieliszki mówiły: dla niektórych uosabiasz zagrożenie. Cztery i więcej: jesteś ohydny i kaleki.

Zawsze pił przed lustrem w przedpokoju. Lustro było spękane i porysowane — nowe mieszkanie urządzone najtaniej, jak się dało.

Littell pił szybko, raz, dwa, trzy. Szmerek w głowie sprawiał, że zaczynał ze sobą dyskutować.

Za dwa dni skończysz czterdzieści osiem lat. Helen odeszła. J. Edgar Hoover dał ci wpięprz — najpierw ty jemu, a potem on tobie z nawiązką. Ryzykowałeś życie za nic. Robert F. Kennedy cię olał. Poszedłeś dla niego do piekła i z powrotem, a on cię olał. Próbowaleś skontaktować się z Bobbym osobiście. Jego sługi wyrzucili cię za drzwi. Czterokrotnie do niego pisałeś. Bez odpowiedzi.

Kemper starał się załatwić ci pracę w Departamencie Sprawiedliwości. Bobby się nie zgodził — człowiek rzekomo nienawidzący Hoovera płaszczy się przed nim. Hoover postawił sprawę jasno: żadna firma ani szkoła prawnicza cię nie zatrudni.

Kemper wie, że masz księgi Funduszu. Jego strach będzie teraz twoim gwarantem.

Pojechałeś do jezuickiego klasztoru w Milwaukee. Gazety opisały twoją kradzież: **TAJEMNICZY WŁODZIEJ DZIEŁ SZTUKI ZRÓWNUJE Z ZIEMIĄ PO-SIADŁOŚĆ W LAKE GENEVA!** Wykonywałeś różne drobne prace dla przełożonego zakonu i sam narzuciłeś sobie milczenie. Wypociłeś gorzałę. Nabrałeś mięśni. Studiowałeś zaszyfrowane teksty. Modlitwa wypowiedziała ci, kogo nienawidzić, a komu wybaczyć.

W chicagowskiej *Tribune* przeczytałeś nekrolog Courta Meade'a: zmarł na atak serca. Objechałeś stare śmiecie. Sierocińce, w których wyrosłeś, wciąż wypuszczały na świat jezuickie roboty.

Wolno ci pracować w D.C. Hoover pozostawił ci furtkę — na własnym podwórku. Przeprowadzka przywróciła cię do życia. Firmy prawnicze w Waszyngtonie szukające pracowników były zszokowane twoją komunistyczną przeszłością.

W sukurs przyszedł Kemper. Wciąż był życzliwy swoim koleżkom, złodziejom samochodów. Ci zaś często stawali przed sądem federalnym i zawsze potrzebowali taniego adwokata. Dawali ci od czasu do czasu robotę — wystarczało na mieszkanie i trzy kielonki co wieczór.

Kemper dzwonił, żeby pogadać. Nigdy nie wspominał o księgach Funduszu. Nie możesz nienawidzić człowieka na tak wysokim szczeblu. Nie możesz nienawidzić człowieka tak odpornego na nienawiść. Dawał ci wspaniałe prezenty. Kompensowały jego zdrady.

Kemper określił swoją pracę związaną z prawami obywatelskimi jako „poruszająca”. Był to „szlachetny obowiązek”, dzięki któremu Kennedy tanim kosztem mogli obnosić się ze swoją łaskawością.

Nienawidzisz tego masowego uwodzenia sfinansowanego przez Joe Kennedy'ego. Twój przybrani rodzice kupowali ci na gwiazdkę jedną tanią zabawkę. Joe za skazone pieniądze kupił swoim synom cały świat.

Modlitwa nauczyła cię nienawidzić fałszu. Modlitwa pozwalała ci widzieć głębiej. Modlitwa demaskowała obłudę. Oglądasz twarz prezydenta i widzisz go na wylot. Oglądasz Jimmy'ego Hoffę balansującego z oskarżeniami dotyczącymi Słonecznej Doliny — dziennikarz cytuje niewystarczające dowody.

Znasz liczby mogące odwrócić tę niesprawiedliwość. Znasz liczby mogące postawić uwodzicieli-Kennedy'ch w stan oskarżenia. Możesz złamać szyfr Funduszu. Możesz pokazać światu Złodziejskiego Barona i jego syna Rozwiązłego Führera.

Littell wyjął swoje zaszyfrowane księgi. Trzy maluchy co wieczór nauczyły go: jesteś w dołku, ale możesz zrobić wszystko.

## 61

(Waszyngton, D.C., 14 marca 1961)

Przemawiał Bobby. Czternastu prawników podsunęło bliżej krzesła, kładąc notatniki i popielniczki na kolanach.

W sali odpraw wiało. Kemper oparł się o tylną ścianę z płaszczem zarzuconym na ramiona. Prokurator generalny grzmiał — nie musiał podchodzić bliżej. Miał trochę wolnego; burza opóźniła lot do Alabamy.

Bobby mówił: — Wiecie, dlaczego was wezwałem, i wiecie, co jest waszym podstawowym zadaniem. Od inauguracji byłem uwiązany przez biurokrację i nie mogłem zająć się aktami pewnych spraw, więc zdecydowałem, że pozwolę wam to zrobić samodzielnie. Zostaliście powołani do walki z przestępczością zorganizowaną i wiecie, co do was należy. I niech mnie diabli, nie możemy dłużej zwlekać.

Mężczyźni wyjęli pióra i ołówki. Bobby usiadł okrakiem na krześle naprzeciw nich.

— Mamy własnych prawników i detektywów, a dobry prawnik jest również sprawnym detektywem. Mamy agentów FBI, z których pomocy możemy w razie potrzeby skorzystać, jeśli zdołam przekonać pana Hoovera, żeby zmienił trochę swoje priorytety. On wciąż uważa, że lokalni komuniści są groźniejsi niż przestępczość zorganizowana, i sądzę, że to właśnie brak współpracy FBI będzie naszą główną przeszkodą do pokonania.

Mężczyźni roześmiali się. Były gliniarz Komisji McClellana rzucił:

— Pokonamy ją.

Bobby rozluźnił krawat.

— Pokonamy. A terenowy doradca Kemper Boyd, który szpieguje teraz spod ściany, będzie zwalczał praktyki rasowej dyskryminacji na południu. Nie będę prosił pana Boyda o dołączenie do nas, bo czajenie się z tyłu sali jest bardzo w jego stylu.

Kemper pomachał.

— Jestem przecież szpiegiem.

Bobby odmachął mu.

— Prezydent zawsze tak uważał.

Kemper zaśmiał się. Bobby prawie go teraz lubił — rozstrzygnęło zerwanie z Laurą. Claire i Laura wciąż się przyjaźniły — był na bieżąco z tym, co działo się w Nowym Jorku.

Bobby powiedział:

— Dość wygłupów. Komisja McClellana dostarczyła nam listę, na początku której widnieją nazwiska Jimmy'ego Hoffy, Sama Giancany, Johnny'ego Rossellego i Carlosa Marcello. Chcę, żeby wyciągnięto ich akta z Urzędu Skarbowego, chcę również, żeby poszukać jakichkolwiek wzmianek o nich w aktach śledczych wydziałów policji w Chicago, Nowym Jorku, Miami, Cleveland i Tampa. Chcę też, żebyście pisali raporty, na podstawie których będziemy mogli ich pozwać i prześwietlić.

Odezwał się jakiś mężczyzna:

— A co konkretnie z Hoffą? Ma wyrok w zawieszeniu w sprawie Słonecznej Doliny, ale muszą być również jakieś inne zarzuty...

Bobby podwinął rękawy.

— Wyrok w zawieszeniu oznacza wyrok skazujący następnym razem. Stra-  
ciłem nadzieję na wyśledzenie Tajemniczych Trzech Milionów i zaczynam my-  
śleć, że tak zwana „prawdziwa” księgowość Funduszu Emerytalnego jest wytwo-  
rem czyjejś wyobraźni. Uważam, że powinniśmy powołać wielkie ławy przysię-  
głych i zalać je materiałem dowodowym dotyczącym Huffy. A skoro już o tym  
mowa, chcę ustanowić prawo federalne nakazujące wszystkim miejskim wy-  
działom policji uzyskiwanie nakazów Departamentu Sprawiedliwości na zakła-  
danie podsłuchu, tak żebyśmy mieli dostęp do każdej taśmy w całym kraju.

Mężczyźni bili brawo. Były członek komisji McClellana z radości boksował  
powietrze. Bobby wstał.

— Znalazłem stary nakaz deportacji Carlosa Marcello. Urodził się w Tuni-  
sie, w Afryce Północnej, jego rodzice byli Włochami, ale ma fałszywą metrykę  
urodzenia wydaną w Gwatemali. Chcę go jak najszybciej deportować do Gwa-  
temali.

Kemper trochę się spocił...

## 62

(Prowincja w Meksyku, 22 marca 1961)

Pola makowe sięgały aż po horyzont. Wydzielające narkotyk rośliny zaj-  
mowały dolinę o powierzchni połowy Rhode Island. Więźniowie zbierali ma-  
kówki. Meksykańscy gliniarze ugniatali je i zajmowali się dalszą obróbką.

Heshie Ryskind oprowadzał wycieczkę. Pete i Chuck Rogers szli za nim i po-  
zwalali mu odgrywać rolę mistrza ceremonii.

— Ta farma od lat zaopatruje mnie i Santo. Produkują morfinę również dla  
Agencji, ponieważ Agencja zawsze wspierała prawicowych rebeliantów, którzy  
mogli zostać postrzeleni, ranni i zawsze potrzebowali morfiny. Większość zom-  
bie, którzy tu pracują, nie odchodzi stąd po zakończeniu wyroku, bo do szczę-  
ścia trzeba im tylko trawy i kawałka tortilli. Szkoda, że ja nie mam takich pro-  
stych potrzeb. Szkoda, że muszę utrzymywać dziewięciu lekarzy na podorzędziu,  
bo taki ze mnie pierdolony hipochondryk, i szkoda, że dałem się ponieść hucpie  
— dla was, gojów, to to samo, co arogancja — i próbowałem pobić rekord świata

w minetach, ponieważ doszedłem chyba do punktu, kiedy ssanie robi mojej prostacie więcej szkody niż pożytku. I panienki nie lecą już na mnie tak, jak kiedyś. Muszę teraz podróżować z niezłym psem na dupy, żeby w ogóle coś zadziałać. Ostatnio Dick Contino robi to dla mnie. Ja organizuję mu występy, a on załatwia mi tyle ssania, ile tylko mogę znieść.

Zaszło słońce. Pojechali dalej rykszami prowadzonymi przez więźniów. Pete powiedział:

— Potrzebujemy pięć kilo dla Kadry. Będę mógł tu przyjechać dopiero po inwazji.

Chuck zaśmiał się.

— O ile — i kiedy — pozwoli ci na to twój Jack.

Pete ścisnął makówkę — wyciekło białe świństwo.

— I chcę zapasu czystej morfiny dla lekarzy w Blessington. Przyjmijmy, że to na razie nasza ostatnia wizyta.

Heshie rozparł się w swojej rykszy. Kierowca nosił przepaskę na biodrach i czapkę baseballową Dodgersów.

— Wszystko da się zrobić. To znacznie prostsze niż załatwianie minetek dla sześćdziesięciu ludzi na jakimś zjeździe Teamsters.

Chuck wycisnął makówkę na zacięciu od golenia.

— Szczeka trochę mi drętwieje. Fajne wrażenie, ale nie zmarnowałbym dla niego życia.

Pete roześmiał się. Heshie powiedział:

— Jestem zmęczony. Wrócę i załaduję wasz towar, a potem się zdrzemnę.

Chuck podskakiwał w swojej rykszy. Kierowca wyglądał jak pieprzony Quasimodo. Pete stanął na palcach. Widok rozciągał się daleeeeko. Ze sto rzędów. Z dwudziestu niewolników w każdym. Tania siła robocza: miejsce do spania, ryż i fasola nie kosztowały wiele. Chuck i Heshie odjechali — szalony wyścig narkotykowych ryksz.

Boyd mówił, że pan Hoover wyznaje maksymę: walka z komunizmem brata nas czasem z dziwnymi osobnikami.

**Z** Meksyku poleciełi do Gwatemali. Ich Piper Deuce leciał ociężale — Chuck za dużo załadował. Broń, ulotki, heroina, morfina, tortille, tequila, zapasowe buty wojskowe, laleczki wudu Martina Luthera, stare wydania *Cicho sza!* i pięć setek kopii raportu Guya Banistera, zwiniętego z FBI w L.A., stwierdzającego, że pan Hoover, pomimo iż wiedział, że prezydent John F. Kennedy nie ma nic wspólnego z Marylin Monroe, intensywnie ją śledził i odnotował, że przez ostatnie sześć tygodni panna Monroe pieprzyła się z Louistem Prima, dwoma

żołnierzami Piechoty Morskiej na przepustce, Spade'em Cooleyem, Franchotem Tone'em, Yvesem Montandem, Stanem Kentonem, Davidem Seville'em z „David Seville i Wiewiórki”, czterema dostawcami pizzy, bokserem wagi koguciej Walecznym Haradą i discjockeyem z mało znanej stacji R&B. Chuck nazywał to „podstawowym zaopatrzeniem”.

Pete próbował drzemać. Choroba lokomocyjna nie pozwalała mu usnąć. Obóz szkoleniowy ukazał się zza chmur, dokładnie według rozkładu. Był ogroo-omny. Z lotu ptaka wyglądał jak dziesięć baz Blessington. Chuck zmniejszył prędkość i zaczął schodzić w dół. Pete zwymiotował przez okno tuż przed pasem startowym.

Wyładowali. Pete napił się tequili, żeby odświeżyć oddech. Kubańscy rekruci rzucili się do luku bagażowego i wyładowywali broń.

Nadszedł oficer z formularzami zaopatrzenia. Pete wysiadł i wypełnił je: broń, gorzała R&R, *Cicho sza!* i propaganda skierowana przeciw Brodaczowi. Facet powiedział:

- Możecie zjeść teraz albo poczekać na pana Boyda i pana Stantona.
- Chciałbym się trochę przejść. Nigdy tu nie byłem. Chuck odlał się na pas startowy. Pete spytał:
  - Jakież wieści o dacie wypadu? Facet pokręcił głową.
  - Kennedy zwleka. Pan Bissell uważa, że będziemy mieć szczęście, jak zdążymy przed latem.
  - Jack podejmie decyzję. Zobacz, że to zbyt słodki interes, żeby się wahać.

Pete chodził po obozie przypominającym Disneyland dla zabójców. Sześciuset Kubańczyków. Pięćdziesięciu białych szkoleniowców. Dwanaście baraków, plac musztry, dwie strzelnice, lądowisko, mesa i tunel do symulacji wojny chemicznej. Trzy przystanie dla sprzętu pływającego półtora kilometra na południe wzdłuż brzegu Zatoki. Pięćdziesiąt amfibii wyposażonych w karabiny maszynowe kaliber 50. Skład amunicji. Szpital polowy. Katolicka kaplica z dwujęzycznym kapłanem.

Pete spacerował. Dawni absolwenci Blessington machali mu na powitanie. Oficerowie pokazywali ciekawostki. Néstor Chasco i jego techniki zabijania. Warsztaty indoktrynacji antykomunistycznej. Potoki rynsztokowych przekleństw mające zwiększyć posłuszeństwo oddziałów. Zapas amfetaminy korpusu — dodający odwagi przed inwazją. Akcja na terenie otoczonym drutem kolczastym — grupa dupków latających na LSD. Niektórzy krzyczeli. Niektórzy płakali. Niektórzy uśmiechali się szeroko, jakby LSD było ich błogosławieństwem.



Oficer powiedział, że to pomysł Johna Stantona — zalejmy Kubę tym głównym jeszcze przed inwazją.

Langley podpisało się pod tym pomysłem. Langley ujęło to ładniej — spowodujmy masowe halucynacje i wystawmy Ponowne Przyjście Chrystusa!, Langley znalazło aktorów gotowych na samobójstwo. Langley ustawiło ich tak, żeby przed czasem najechali na Kubę i nasycili ją prochami. Pete ryknął śmiechem.

Oficer powiedział: — To nie jest śmieszne. Jeden naćpany ćwok walił konia, aż wykorkował.

Pete spacerował. Wszystko błyszczało.

Nauka posługiwania się bagnetem. Wypucowane dżipy. Ksiądz wyglądający jak pijaczyna, udzielający na zewnątrz komunii.

Z głośników rozległ się sygnał obwieszczający posiłek. Była 17.00 i nawet nie zmierzchało — wojskowi jadali kolację wcześniej. Pete przeszedł do messy. Dwie trzecie powierzchni zajmował stół bilardowy i bar z alkoholem. Weszli Boyd i Stanton. Jakiś wielki skurczybyk zablokował przejście — niezłe wyglądał we francuskim kombinezonie spadochroniarza.

Kemper zawołał: — *Entrez, Laurent.*

Miał odstające uszy i był potężny. Chodził dumnym imperialistycznym krokiem żabojada. Pete uklonił się.

— *Salut, capitaine.*

Boyd uśmiechnął się.

— Laurent Guéry, Pete Bondurant.

Żabojad stuknął obcasami.

— *Monsieur Bondurant. C'est un grand plaisir de faire votre connaissance. On dit que vous êtes un grand patriote.*

Pete przypomniał sobie dialekt z Quebecu.

— *Tout le plaisir est à moi, capitaine. Mais je suis beaucoup plus profiteur que patriote.*

Żabojad roześmiał się. Stanton powiedział:

— Kemper, przetłumacz. Zaczynam czuć się jak prostak.

— Niewiele tracisz.

— To znaczy, że Pete po prostu chce być kulturalny wobec jednego z dwóch na świecie dwumetrowych Francuzów?

Żabojad wzruszył ramionami, nie rozumiejąc.

— *Quoi? Quoi? Quoi?*

Pete mrugnął.

— *Vous êtes quoi donc, capitaine? Etes-vous un „prawicowy szaleniec”?*

*Etes-vous un „najemnik złotodajnego kubańskiego interesu”?*

Żabojad znów wzruszył ramionami. — *Quoi? Quoi? Quoi?*

Boyd odprowadził Pete'a do wyjścia. Kubańczycy podchodzili po dokładki.

— Pete, bądź miły. On jest z Agencji.

— W jakim, kurwa, charakterze?

— Zabija ludzi.

— To powiedz mu, żeby trzasnął Fidela i nauczył się angielskiego. Powiedz mu, żeby zrobił coś, czym mi zaimponuje, bo jak na razie jest dla mnie zwykłym francuskim dupkiem.

Boyd zaśmiał się. — W zeszłym tygodniu zabił w Kongo człowieka nazwiskiem Lumumba.

— I co z tego?

— Zabił kilku niegrzecznych Algierczyków. Pete zapalił papierosa.

— Więc powiedz Jackowi, żeby go wysłał do Hawany. I poślij za nim Néstora. Powiedz Jackowi, że wisi mi za numer z Nixonem i Hughesem, a moim zdaniem, historia nie idzie do przodu zbyt szybko. Powiedz mu, żeby wyznaczył datę, albo sam pojedź na Kubę i osobiście załatwiew Fidela.

Boyd odpowiedział:

— Cierpliwości. Jack wciąż przyzwyczajają się do bycia u władzy, a atak na kraj rządzony przez komunistów to duże wyzwanie. Dulles i Bissell pilnują go i jestem przekonany, że wkrótce powie „tak”.

Pete kopnął leżącą w przejściu puszkę. Boyd wyjął spluwę i strzelił. Puszka poleciała przez cały plac musztry. Ludzie z kolejki po żarcie bili brawo. Echo sprawiło, że niektórzy zatkali sobie uszy. Pete kopnął łuski.

— Ty pogadaj z Jackiem. Powiedz, że inwazja dobrze wpłynie na interesy.

Boyd okręcał rewolwer na palcu.

— Nie mogę otwarcie popierać inwazji, bo wyjdzie na jaw, że pracuję dla Agencji. I tak mam diabelne szczęście, że FBI dało mi pretekst do wyjazdów na Florydę.

— Ta robota z prawami obywatelskimi musi być słodka. Bawisz się tym i lecisz sobie do Miami, kiedy czarnuchy zaczną cię wkurzać.

— To nie tak.

— Nie?

— Nie. Lubię tych Murzynów, z którymi pracuję, tak samo jak ty lubisz naszych Kubańczyków. A ich skargi bywają bardzo uzasadnione.

Pete wyrzucił papierosa. — Mów, co chcesz. *A ja* ci powiem, że za bardzo ludziom odpuszczasz.

— Chodzi ci o to, że nie przejmuję się nimi zbyt...  
...

- Nie. Chodzi mi o to, że akceptujesz ich słabe strony, a dla mnie to protekcjonalna poza bogatego dzieciaka, którą podłapałeś od Kennedych.
- Boyd założył nowy magazynek i zamknął komorę.
- To cecha Jacka, ale nie Bobby'ego. Bobby to prawdziwy krytyk i potrafi nienawidzić.
- Nienawidzi naszych niektórych dość bliskich przyjaciół.
- Owszem. I zaczyna nienawidzić Carlosa Marcello bardziej, niż bym chciał.
- Mówiłeś o tym Carlosowi?
- Jeszcze nie. Ale jeśli tak dalej pójdzie, to poproszę cię, żebyś pomógł mu wykaraskać się z tarapatów.
- Pete wyłamał palec.
- A ja się zgodzę, o nic nie pytając. Teraz *ty* zgódź się na coś. Boyd wycelował w kupę śmieci w odległości dwudziestu metrów.
- Nie, nie możesz zabić Warda Littella.
- Dlaczego?
- Ma schowane księgi rachunkowe.
- Więc będę go torturował, aż wydobędę informacje, a potem go zabiję.
- Nie da rady.
- Dlaczego?
- Boyd odstrzelił głowę grzechotnikowi.
- Kemper, spytałem dlaczego?
- Bo umarłby tylko po to, żeby udowodnić, że potrafi dochować tajemnicy.

## 63

(Waszyngton, D.C., 26 marca 1961)

**N**a wizytówkach było napisane:

*Ward J. Littell*

*Doradca prawny*

*Licencja palestry federalnej*

*OL6-4809*

Bez adresu — nie chciał, żeby klienci wiedzieli, gdzie pracuje. Papier nie był błyszczący, zwyczajna czcionka — na nic więcej nie mógł sobie pozwolić.

Chodził po holu trzeciego piętra. Skazani brali od niego wizytówki i patrzyli jak na szaleńca. Adwokacina. Prawnik w średnim wieku na równi pochyłej.

Sąd Federalny robił świetny interes. Sześć wydziałów i cała paleta spraw — wszyscy przestępcy kwalifikowali się na potencjalnych klientów. Littell rozdawał wizytówki. Jakiś facet rzucił w niego petem.

Nagle pojawił się Kemper Boyd. Przystojniak Kemper — tak zadbany, że aż błyszczał.

- Mogę ci postawić drinka?
- Już nie piję tak jak kiedyś.
- To może lunch?
- Chętnie.

**R**estauracja Hay-Adams mieściła się naprzeciwko Białego Domu. Kemper wciąż wyglądał przez okno.

— ...moja praca polega na zbieraniu zeznań i składaniu ich w Sądzie Federalnym. Próbujemy upewnić się, że Murzyni, którym wcześniej odmówiono prawa wyborczego, nie zostali wyłączeni na podstawie nielegalnie nakładanych podatków wyborczych albo obowiązkowego testu z umiejętności czytania, który z założenia mieli oblać.

Littell uśmiechnął się.

— I jestem pewien, że Kennedy ustanowią odpowiednie prawo, żeby tylko każdy Murzyn w Alabamie rejestrował się jako Demokrat. Trzeba zwracać na takie rzeczy uwagę we wczesnym stadium budowania dynastii.

Kemper zaśmiał się.

— Prezydencka polityka praw obywatelskich nie jest jedynie tak cynicznym wymysłem.

— A twoje zastosowanie tej polityki?

— Też nie. Zawsze uważałem odbieranie praw za nierozsądne i daremne.

— I lubisz tych ludzi?

— Tak.

— Znowu mówisz z południowym akcentem.

— To rozbraja tych, z którymi mam do czynienia. Doceniają fakt, że biały facet z akcentem południowca jest po ich stronie. Uśmiechasz się, Ward. O co chodzi?

Littell napił się kawy.

- Skojarzyłem, że z Alabamy jest dość blisko na Florydę.
- Zawsze byłeś inteligentny.
- Czy prokurator generalny wie, że dorabiasz na czarno? — Nie. Ale naprawdę mam powód, żeby jeździć na Florydę.
- Niech zgadnę. Pan Hoover dostarcza ci pretekstu, a Bobby, mimo iż stara się sprawiać wrażenie, że go nienawidzi, nigdy nie zrobi *niczego*, co by go zdenerwowało.

Kemper ruchem dłoni odprawił kelnera.

- Ward, przesadzasz z nienawiścią.
- Nie mam nic do pana Hoover a. Nie można nienawidzić kogoś, kto robi dokładnie to, czego od niego oczekują.
- Ale Bobby...

Littell zaczął szeptać.

- Wiesz, co dla niego ryzykowałem. I co dostałem w zamian. I nie mogę znieść, że Kennedy chcą udawać lepszych, niż są w rzeczywistości.

Kemper powiedział: — Masz księgi.

Podciągnął mankiety i widać było solidnego złotego Rolexa. Littell wskazał na Biały Dom.

- Tak, mam. I są zabezpieczone na tuzin sposobów. Wypełniałem po pijanemu formularze u dwunastu różnych prawników i nawet nie pamiętam ich wszystkich.

Kemper założył ręce.

- Zabezpieczone w ten sposób, że w razie twojej śmierci albo zniknięcia o moich powiązaniach z Kennedymi zostanie poinformowany Departament Sprawiedliwości?

- Nie. O twoich powiązaniach i astronomicznie lukratywnych kontaktach Josepha P. Kennedy'ego z mafią dowiedzą się wszystkie oddziały do spraw zwalczania przestępczości zorganizowanej w całym kraju i wszyscy członkowie Senatu.

Kemper powiedział: — Brawo.

Littell rzucił: — Dziękuję.

Kelner postawił na ich stoliku telefon. Kemper położył obok teczkę.

- Jesteś splukany, Ward?
- Prawie.
- Nie powiedziałaś złego słowa o moim ostatnim zachowaniu.
- Nic by mi z tego nie przyszło.
- Co w tej chwili sądzisz o przestępczości zorganizowanej?
- Jestem dość wyrozumiały.

Kemper postukał w teczkę.

— Tu są dmuchnięte akta Urzędu Imigracyjnego. A ty jesteś najlepszym na świecie prawnikiem od deportacji.

Mankiety Littella były brudne i postrzępione. Kemper nosił porządne złote spinki.

— Na początek dziesięć tysięcy dolarów, Ward. Jestem pewien, że mogę ci to powierzyć.

— *Za co?* Za wydanie ci tych ksiąg?

— Zapomnij o księgach. Proszę tylko, żebyś nie wydał ich komu innemu.

— Kemper, o czym ty mówisz...

— Twoim klientem będzie Carlos Marcello. Bobby Kennedy chce go deportować.

Telefon zadzwonił. Littell upuścił filiżankę. Kemper powiedział:

— To Carlos. Bądź miłutki, Ward. On lubi, jak mu się nadszkuje.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.04.1961. Dosłowny stenogram FBI rozmowy telefonicznej:

„ZANOTOWANO NA POLECENIE DYREKTORA”/”DO WIADOMOŚCI DYREKTORA”.

Rozmawiają: dyrektor J. Edgar Hoover, prokurator generalny Robert F. Kennedy.

RFK: Mówi Bob Kennedy, panie Hoover. Mam nadzieję, że poświęci mi pan parę minut.

JEH: Oczywiście.

RFK: Chciałbym przedyskutować kilka punktów protokołu.

JEH: Tak.

RFK: Na początek przepływ informacji. Wysłałem panu dyrektywę z prośbą o kopie wszystkich raportów podsumowujących dostarczanych przez pańskie oddziały „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”. Dyrektywa ma datę 17 lutego. A ja do dziś otrzymałem tylko jedno takie sprawozdanie...

JEH: Potrzeba czasu, żeby wprowadzić dyrektywy w życie.

RFK: Sześć tygodni to *masa* czasu.

JEH: Myśli pan, że to niepotrzebna zwłoka. Nie zgadzam się.

RFK: Czy przyspieszy pan wprowadzanie tych dyrektyw?

JEH: Oczywiście. A czy może mi pan przypomnieć, dlaczego pan je wydał?

RFK: Chcę mieć dostęp do wszystkich informacji, do których ma dostęp Biuro, i dzielić się nimi z ławami przysięgłych, które mam nadzieję powołać.

JEH: Może pan działać nieroztropnie. Wyjawienie informacji pochodzących wyłącznie ze źródeł „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” może narazić informatorów i punkty inwigilacji.

RFK: Wszystkie te informacje będą oceniane pod względem bezpieczeństwa.

JEH: Tego nie powinno się powierzać osobom spoza FBI.

RFK: Stanowczo się nie zgadzam. Będzie pan musiał podzielić się ze mną swoimi informacjami, panie Hoover. Samo ich gromadzenie nie rzuci przestępczości zorganizowanej na kolana.

JEH: Mandat „PS” nie przewiduje dzielenia się informacjami w celu ułatwienia pracy wielkim ławom przysięgłych.

RFK: Więc zmienimy to.

JEH: Uważam to za pochopne i nieprzemyślane działanie.

RFK: Niech pan uważa, co chce. Niech pan też uważa, że zmieniłem mandat „PS”.

JEH: Pozwoli pan, że przypomnę o pewnym fakcie: nie może pan oskarżyć mafii i wygrać.

RFK: Pozwoli pan, że przypomnę, iż przez wiele lat negocjował pan istnienie mafii. Chciałbym też przypomnieć, że FBI jest jedynie kółkiem zębatym w maszynie Departamentu Sprawiedliwości. Chciałbym przypomnieć, że ustala polityki Departamentu Sprawiedliwości. Chciałbym przypomnieć, że prezydent i ja uważamy 99% lewicowych grup regularnie monitorowanych przez FBI za nieszkodliwe, żeby nie powiedzieć dogorywające i żalodne, w porównaniu z przestępczością zorganizowaną.

JEH: Pragnę oświadczyć, że uważam te inwektywy za nieprzemyślane i z punktu widzenia historii nielogiczne.

RFK: Bardzo proszę.

JEH: Czy jeszcze coś równie obraźliwego chciałby pan dodać?

RFK: Tak. Powinien pan wiedzieć, że mam zamiar ustanowić prawo dotyczące rozliczania się z podsłuchu. Chcę, by Departament Sprawiedliwości był informowany o każdym przypadku założenia podsłuchu przez policję miejską w całym kraju.

JEH: Wielu uznałoby, że jest to niepotrzebne mieszanie się w sprawy federalne i obraza praw stanowych.

RFK: Prawa stanowe były zasłoną dymną do ukrycia wszystkiego: od segregacji rasowej do przestarzałych ustaw aborcyjnych.

JEH: Nie zgadzam się.

RFK: Rozumiem. I chciałbym, aby pan wiedział, że od dnia dzisiejszego ma pan informować mnie o każdej operacji podsłuchowej, w jaką angażuje się FBI.

JEH: Tak jest.

RFK: Chcę, żeby pan osobiście zadzwonił do Nowego Orleanu w sprawie wyznaczenia czterech agentów do aresztowania Carlosa Marcello. Chcę, żeby zostało to wykonane w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Proszę powiedzieć tamtejszemu, szefowi okręgu, że deportuję Marcello do Gwatemali. Proszę mu przekazać, że Straż Graniczna skontaktuje się z nim w celu uzgodnienia szczegółów.

JEH: Tak jest.

RFK: Zrozumiano?

JEH: Tak jest.

RFK: Miłego dnia, panie Hoover.

JEH: Miłego dnia.

## 64

(Nowy Orlean, 4 kwietnia 1961)

Spóźnił się — o moment. Czterech mężczyzn wlokło Carlosa Marcello do samochodu federalnych. Tuż pod jego domem — a pani Carlos histeryzowała na ganku.

Pete zatrzymał się na ulicy i obserwował wydarzenia. Jego misja ratownicza spóźniła się o pół godziny. Marcello był ubrany w bermudy i klapki plażowe. Wyglądał jak zubożały Il Duce w łachmanach.

Boyd spieszył sprawę.

Powiedział: — Bobby chce deportować Carlosa.

Powiedział: — Ty i Chuck pojedziecie do Nowego Orleanu i zgarniecie go.

Powiedział: — Nie dzwońcie i nie ostrzegajcie go — po prostu tam pojedźcie.

Boyd mówił, że papierkowa robota zabierze sporo czasu. I to Boyd spieszył kalkulację.

Fedzie odjechali. *Frau* Carlos stała na ganku, załamując ręce w geście rozpaczy. Pete ruszył za samochodem federalnych. Wmieszali się w poranny ruch. Obserwował antenę federalnych i omal nie wjechał na tylny zderzak purpurowego lincolna.



Chuck był na lotnisku Moisant, odpalał Pipera. Federalni jechali w tamtą stronę. Deportują Carlosa komercyjnym lotem albo przy pomocy Straży Granicznej. Do Gwatemali — a tam kochają CIĄ.

Samochód federalnych jechał ulicami na wschód. Pete zobaczył przed sobą most — przed nim dwie budki i dwa płatne pasma przez rzekę. Oba były zagrożone barierkami. Wzdłuż krawędzi mostu biegly wąskie chodniki dla przechodniów.

Przed budkami tłoczyły się samochody — go najmniej dwadzieścia przed każdą. Pete zmienił szybko pas i wsunął się przed wóz federalnych. Zauważył wąski przesmyk między lewą budką a barierkami. Nacisnął na gaz. Poprzeczka barierki urwała lusterko zewnętrzne. Rozległy się klaksony. Inkasent wyjrzał tylko za nim. Pete PRZECISNAŁ się między budkami i wjechał na most sześćdziesiątką. Samochód federalnych został w tyle, ze zgaszonym silnikiem.

Szybko dojechał do Moisant. Jego wynajęty samochód był brudny, poobijany i porysowany. Zostawił go na podziemnym parkingu. Przekupił bagażowego, żeby udzielił mu informacji o lotach.

Czarterowe loty do Gwatemali? Nie, proszę pana, nie dzisiaj. Biuro Straży Granicznej? Obok okienka Texas-Trans.

Pete podszedł tam i schował się za gazetą. Drzwi otwierały się i zamykały. Wchodzili mężczyźni w kajdankach. Wychodzili inni z dokumentami. Ci na zewnątrz stali i, komentowali.

Jakiś facet powiedział: — Słyszałem, że zabrali go w krótkich gatkach.

Inny: — Ten pilot naprawdę nienawidzi makaroniarzy.

Jeszcze inny: — Wylatują o 8.30.

Pete pobiegł do hangaru dla prywatnych samolotów. Chuck opierał się o dziób Pipera, zaczytany w propagandowym magazynie. Pete złapał oddech.

— Mają Carlosa. Musimy wylądować w Gwatemala City przed nimi i zobaczymy, co da się zrobić.

Chuck odpowiedział:

— To jest, cholera, obcy kraj. Mieliśmy zawieźć go tylko do Blessington. Paliwa wystarczy nam ledwo do...

— Lećmy. Zadzwoimy do paru osób i coś wymyślimy.

Chuck dostał pozwolenie na start i lądowanie. Pete zadzwonił do Guya Barnistera i wyjaśnił sytuację. Guy odpowiedział, że zadzwoni do Johna Stantona i spróbuje coś przedsięwziąć. Miał krótkofalówkę w Lake Pontchartrain i mógł łączyć się na częstotliwości Chucka.

Wystartowali o 8.16. Chuck założył słuchawki i ściągał informacje z lotniska.

Samolot Straży Granicznej wyleciał sporo później. Przewidywany czas przylotu do Gwatemali zakładał czterdziestominutowe opóźnienie. Chuck leciał niewysoko i nie zdejmował słuchawek.

Pete z czystej nudy przeglądał ulotki propagandowe. Tytuły były po oczach. Najlepszy: „KKK: Krucjata Krzyżowania Komunistów!”. Znalazł też stosik magazynów pod siedzeniem. Na wierzchu blond seksbomba z kolczykami w kształcie swastyki.

Wielki Pete potrzebuje takiej kobiety. Doświadczenie w szantażu mile widziane, ale niekonieczne.

Zaświeciły kontrolki na tablicy rozdzielczej. Chuck ściągnął wiadomość z bazy i zanotował ją w książce pokładowej.

*Straż graniczna zabawiła się kosztem Carlosa. Połączyli się przez radio ze swoją kwaterą mówiąc, że nie mają na pokładzie ubikacji, a Carlos nie chce sikać do puszki. (Myślą, że ma bardzo małego).*

Pete roześmiał się. Sam wysikał się do kubka i wylał do zatoki z wysokości dwóch tysięcy metrów.

Czas włókł się. Chuck przyjął i nagryzmołił wiadomość z Pontchartrain.

*Skontaktowali się z JS. JS pociągnął za sznurki i dotarł do gwatemalskich kontaktów. Dostaliśmy pozwolenie na lądowanie bez odprawy paszportowej i jeśli przejmujemy CM, mamy umieścić go w hotelu G. C. Hilton pod nazwiskiem Jose Garda. JS mówi, że KB musi zadzwonić dziś wieczorem do prawnika w Waszyngtonie D. C, pod numer OL6-4809.*

Pete schował wiadomość do kieszeni. Środek nasenny uderzył mu do głowy: dobranoć, słodki księżę.

**O**budził go skurcz w nodze. Widać było dżunglę i długi, czarny pas startowy. Chuck wylądował i wyłączył silniki. Jacyś kolorowi rozwijali czerwony dywan. Był trochę wystrzępiony, ale co to szkodzi.

Komitet powitalny wyglądał jak grupka pravicowych lizydupków. Agencja już raz uratowała tyłek Gwatemali — zainscenizowany zamach stanu usunął paru czerwonych.

Pete wyskoczył i rozprostował nogi. Chuck i miejscowi trajkotali po hiszpańsku z prędkością karabinu maszynowego.

Byli w zadupiaстей Gwatemali — i to dużo wcześniej!

Rozmowa stawała się coraz głośniejsza. Pete czuł, że pękają mu uszy. Mieli czterdzieści sześć minut, żeby coś wymyślić. Poszedł do odprawy celnej. W głowie miał obraz Carlosa Marcello, który musi się załatwić. Łazienka sąsiadowała

z odprawą paszportową. Pete zajął tam. Miała dwa i pół na dwa i pół metra. Tylne okno miało cienką szybę. Widać było kilka pasów startowych i rząd rozklekotanych dwupłatowców.

Carlos był potężny. Chuck chudy jak szczapa. On sam był wielki. Chuck wszedł i rozpiął spodnie przed pisuarem.

— Niezły zamęt. Nie wiem, czy to dobra, czy zła wiadomość.

— O czym ty mówisz?

— Straż Graniczna ma wylądować za siedemnaście minut. Mają tu zatan-kować i lecieć na lotnisko sto kilometrów stąd. To *stamtąd* celnicy imigracyjni mają zabrać Carlosa. Przewidywany czas przylotu dotyczy *tamtego* pieprzonego lotni...

— Ile mamy pieniędzy w samolocie?

— Szesnaście tysięcy. Santo mówił, żeby zostawić je Banisterowi.

Pete pokręcił głową.

— Przekupimy nimi facetów z Urzędu Celnego. Zasypimy ich forszą tak, żeby podjęli ryzyko. Potrzebujemy tylko samochodu z kierowcą tu, pod tym oknem, a ty musisz przepchnąć przez nie Carlosa.

Chuck odpowiedział: — Czaję.

Pete rzekł:

— Jeśli nie będzie musiał się odlać, to utkniemy w gównie.

Miejscowi kupili plan. Chuck dał im łapówki sięgające dwu tysięcy na głowę. Powiedzieli, że przetrzymają Straż Graniczną, podczas gdy Carlos Marcello uda się na najdłuższe na świecie szczanie.

Pete obluzował szybę. Chuck ustawił Pipera dwa hangary dalej. Miejscowi dostarczyli im merca z 1949 roku. Razem z kierowcą — muskularnym osiłkiem nazwiskiem Luis. Pete ustawił merca pod samym oknem. Chuck siedział na sedesie z *Cicho sza!* z zeszłego tygodnia.

Wylądował samolot. Załoga wybiegła napełniać baki. Pete kucał za stanowiskiem odprawy celnej i obserwował. Latynosi znów rozwinęli czerwony dywan. Mały facecik zamiatał z niego brud. Dwóch pajaców ze Straży Granicznej wysiadło z samolotu. Pilot odezwał się:

— Puście go. Gdzie tu może uciec?

Carlos wygramolił się z samolotu. Pobiegł do ubikacji, ściskając kolana w ciasnych spodenkach. Luis uruchomił silnik. Pete usłyszał trzaśnięcie drzwi od łazienki. Carlos wrzasnął:

— ROGERS, CO TY, KURWA...?

Szyba wypadła. Carlos Marcello przecisnął się — i wyszedł na wolność z gołym tyłkiem.

Jazda do Hiltona zajęła im godzinę. Marcello bez przerwy obrażał Bobby'ego Kennedy'ego. Po angielsku. Po włosku. W dialekcie sycylijskim. W kałuńskim z Nowego Orleanu — nieźle jak na makaroniarza.

Luis podjechał pod sklep z męską odzieżą. Chuck wziął rozmiary Marcella i kupił mu jakieś ubranie. Carlos przebrał się w samochodzie. Zadrapania od okiennej ramy zakrwawiły mu koszulę.

Kierownik hotelu czekał na nich przed wejściem gospodarczym. Wjechali windą bagażową do apartamentu na najwyższym piętrze. Kierownik otworzył drzwi. Jedno jego spojrzenie powiedziało im, że Stanton *zadziałał*. Były tu trzy sypialnie, trzy łazienki i pokój rekreacyjny zastawiony automatami do gry. Salon był ogromny — Kemper Boyd byłby zachwycony. W pełni zaopatrzone barrek. Zimny bufet. W kopcercie obok tacy z serami leżało dwadzieścia tysięcy i list.

*Peter & Chuck,*

*Zalóżę się, że udało się Wam przejść pana Marcella. Opiekujcie się nim dobrze. Jest ważnym zwolennikiem Sprawy.*

*JS*

Marcello złapał za pieniądze. Kierownik skłonił się z szacunkiem. Pete odprowadził go do drzwi i wsunął banknot. Studolarowy.

Marcello pożerał salami i kanapki. Chuck nalał sobie wielką Krwawą Mary. Pete krokami mierzył apartament. Długi na czterdzieści dwa metry — nieźle! Chuck zwinął się na łóżku z magazynem propagandowym. Marcello powiedział:

— Naprawdę musiałem się odlać. Kiedy tak długo wstrzymujesz, w końcu zaczyna cię to porządnie wkurzać.

Pete wziął piwo i parę krakersów.

— Stanton znalazł ci prawnika w D.C. Powinieneś do niego zadzwonić...

— Już z nim rozmawiałem. Mam najlepszych żydowskich adwokatów, których można kupić za pieniądze, a teraz jeszcze tego.

— Powinieneś do niego zadzwonić i wreszcie to załatwić.

— Ty do niego zadzwoni. I nie odkładaj słuchawki, bo mogę potrzebować tłumacza. Prawnicy używają języka, który nie zawsze od razu rozumiem.

Pete wziął aparat ze stolika do kawy. Telefonistka hotelowa połączyła rozmowę. Marcello wziął słuchawkę. Z oddali dobiegały sygnały międzymiastowej. Odezwął się mężczyzna: — Halo?

Marcello rzucił: — Kto mówi? Czy jesteś facetem, z którym rozmawiałem w Hay-Adams?

— Tak, mówi Ward Littell. Czy to pan Marcello?

Pete prawie się ZESRAŁ...

Carlos zapadł się w fotel.

— Zgadłeś. I dzwoni z Gwatemala City, gdzie nie ma ochoty się znajdować. Jeśli chcesz zyskać moją uwagę, powiedz coś złego o człowieku, który mnie tu umieścił.

Pete zaciskał zęby. Zakrył usta, żeby nie słyszeli, jak głośno oddycha. Littell powiedział:

— Nienawidzę tego człowieka. Raz mnie skrzywdził i jest niewiele rzeczy, których nie zrobiłbym, żeby mu zaszkodzić.

Carlos zachichotał — dziwnie piskliwie jak na człowieka mówiącego barytonem.

— Masz moją uwagę. A teraz przestań lizać mnie po dupie jak poprzednio i powiedz coś, co przekona mnie, że jesteś dobry w tym, co robisz.

Littell odchrząknął.

— Specjalizuję się w pisaniu odwołań od nakazów deportacji. Byłem agentem FBI przez prawie dwadzieścia lat. Jestem dobrym przyjacielem Kempera Boyda i chociaż nie podoba mi się jego podziw dla Kennedych, to jestem przekonany, że jego poświęcenie dla Sprawy kubańskiej jest szczerze. On chce, żeby pan bezpiecznie i legalnie wrócił do swoich bliskich, a ja mam tego dopilnować.

Pete czuł, że mu słabo. BOYD, TY PIEPRZONY...

Marcello zjadał słone paluszki.

— Kemper mówił, że jesteś wart dziesięć patoli. Jeśli działasz tak samo mądrze, jak mówisz, dziesięć kawalków dostaniesz na początek.

Littell zaczął się płaszczyc.

— To zaszczyt pracować dla pana. Kemper przeprosza za niedogodności. Dostał wiadomość o akcji chwilę wcześniej i nie sądził, że podejmą działania tak szybko.

Marcello podrapał się po szyi słonym paluszkiem.

— Kemper zawsze doprowadza sprawy do końca. Nie mam żadnych zastrzeżeń, które nie mogą poczekać, aż ujrzę osobiście jego piękną twarz. Kennedy przekonał 49.8% amerykańskich wyborców, łącznie z paroma moimi przyjaciółmi, więc nie mam mu za złe tego podziwu, o ile nie będzie wpięprzał się z nim w moje życie.

Littell odpowiedział:

— Będzie mu miło to słyszeć. Powinien pan również wiedzieć, że piszę odwołanie, które będzie rozpatrywane przez trzyosobowy skład sędziów federalnych. Wezwę pańskiego prawnika do Nowego Jorku i zaczniemy opracowywać długodystansową strategię.

Marcello zrzucił buty.

— Zrób to. Zadzwoń do mojej żony i powiedz jej, że wszystko w porządku, i zrób wszystko, co trzeba, żeby mnie stąd, kurwa, wydostać.

— Tak jest. Przywiozę panu parę dokumentów do podpisania. Może mnie pan oczekiwać w przeciagu siedemdziesięciu dwóch godzin.

Marcello powiedział: — Chcę wrócić do domu.

Pete odłożył słuchawkę. Uszy mu dymiły, jakby był jakimś pieprzonym Kazorem Donaldem.

**Z**abijali czas. Dzięki rozległości apartamentu mogli to robić każdy na swój sposób. Chuck oglądał kubańską telewizję. Król Carlos dzwonił do swoich sług przez międzymiastową. Pete wymyślał dziewięćdziesiąt dziewięć sposobów na zabicie Warda Littella.

Zadzwoił John Stanton. Pete uraczył go opowieścią o porwaniu z kibla. Stanton zapewnił, że Agencja pokryje ich wydatki na łapówki. Pete oznajmił, że Boyd załatwił Carlosowi prawnika.

Stanton odrzekł: — Słyszałem, że jest niezły.

Pete prawie powiedział: „Teraz nie mogę go zabić”.

BOYD, TY SKURWIELU.

Stanton mówił, że sprawy są w toku. Dziesięć kawałków kupi Carlosowi wizę czasową. Minister spraw zagranicznych Gwatemali miał publicznie stwierdzić:

*Pan Marcello urodził się w Gwatemali. Jego metryka jest legalna. Prokurator generalny Kennedy myli się. Nie ma żadnych niejasności odnośnie pochodzenia pana Marcella.*

*Pan Marcello przeniósł się do Ameryki — legalnie. Niestety, nie mamy żadnych dowodów, żeby to potwierdzić. Ciężar zdobycia dowodu spada teraz jednak na pana Kennedy'ego.*

Stanton powiedział, że minister nienawidzi Jacka K. Powiedział, że Jack spał z jego żoną i obiema córkami.

Pete odpowiedział: — Jack spał też z moją byłą dziewczyną.

Stanton na to: — No, no, i mimo to pomogłeś go wybrać! — Potem dodał: — Niech Chuck da ministrowi łapówkę. Atak przy okazji, Jack wciąż zwleka z datą inwazji.

Pete odłożył słuchawkę i wyjrzał przez okno.

Gwatemala City o zmierzchu — jak szczurza dupa.

**W**szyscy wcześniej poszli spać. Pete obudził się niewyspany — koszmar sprawił, że przewracał się z boku na bok, z trudem łapiąc oddech. Chucka nie było — rozdawał łapówki. Carlos palił cygaro.

Pete odsunął zasłony w salonie. Na parterze dostrzegł zamieszanie. Sznur ciężarówek przy krawężniku. Mężczyźni z aparatami fotograficznymi. Kable ciągnące się do hallu. Gestykujący ludzie. Wielka filmowa kamera celująca prosto w nich. Pete wykrztusił:

— Jesteśmy spaleni.

Carlos upuścił cygaro i podbiegł do okna.

Pete mówił dalej:

— Obóz Agencji znajduje się o godzinę lotu stąd. Jeśli znajdziemy Chucka i odlecimy, to uda nam się uciec.

Carlos spojrział w dół. Zobaczył awanturę na dole. Wypchnął wózek z jedzeniem przez okno i patrzył, jak spada z osiemnastego piętra.

## 65

(Gwatemala, 8 kwietnia 1961)

Od pasa startowego buchało gorąco. Jak od rozgrzanego pieca — Kemper powinien był go ostrzec, żeby ubrał się lekko. Ostrzegł go tylko, że będzie tu Bondurant. Wykrał Marcella z Gwatemala City trzy dni temu i umieścił w hotelu na koszt CIA. Kemper dodał postscriptum: Pete wie, że masz księgi Funduszu.

Littell wysiadł z samolotu. Kręciło mu się w głowie. Gruchot, którym leciał tu z Houston, pamiętał czasy drugiej wojny światowej. Śmigła męły gorące powietrze. Obóz był duży i zakurzony — pojedyncze dziwaczne budynki pośród dzungli na polanie z czerwonej gliny.

Podjechał dżip. Kierowca zasalutował.

— Pan Littell?

— Tak.

— Przyjechałem po pana. Pańscy przyjaciele czekają.

Littell wszedł. W tylnym lusterku zobaczył swoją nową twarz. W Houston wychylił trzy maluchy. *Poranna* porcja, która miała mu pomóc stanąć na wysokości zadania. Kierowca ruszył. Obok maszerowały w ścisłym szyku oddziały; słychać było równy krok.

Dojechali do ustawionych w kwadracie koszar. Kierowca zatrzymał się przed niewielkim budynkiem. Littell wziął walizkę i wszedł do środka. Pokój był

klimatyzowany. Bondurant i Carlos Marcello stali przy stole bilardowym.

Pete mrugnął. Littell odmrugnął mu. Wykrzywił przy tym całą twarz. Pete wylaamywał palce — jego znak firmowy. Marcello odezwał się:

— Co wy, pedały jesteście, że tak do siebie mrugacie?

Littell postawił walizkę. Skrzypnęły zatraski. Przez niespodziankę, którą ze sobą przywiózł, walizka pękała w szwach.

— Jak się pan miewa, panie Marcello?

— Tracę pieniądze. Pete i moi przyjaciele z Agencji traktują mnie z dnia na dzień coraz lepiej, więc co dzień obiecuję większe darowizny na Sprawę. Myślę, że świr prowadzący ten hotel zdziera ze mnie dwadzieścia pięć kawalków dziennie.

Pete nasmarował kredą kij bilardowy. Marcello włożył ręce do kieszeni. Kemper ostrzegł go: ten człowiek nie podaje ręki.

— Kilka godzin temu rozmawiałem z prawnikami w Nowym Jorku. Chcą wiedzieć, czy życzy pan sobie czegoś.

Marcello uśmiechnął się.

— Życzę sobie pocałować moją żonę w policzek i przespać się z moją kochanką. Zjeść kaczkę Rochambeau w Galatoire's, a żadne z tych życzeń tutaj się nie spełni.

Bondurant oparł się o stół, przeważając go. Littell postawił na drugim końcu walizkę i zablokował go. Marcello zachichotał.

— Wyczuwam dawne porachunki.

Pete zapalił papierosa. Littell musiał wdychać dym.

— Mam dla pana dużo papierów do przejrzania. Musimy spędzić razem trochę czasu i opracować szczegółową historię pańskiej emigracji, tak żeby pan Wasserman mógł ją wykorzystać w swoim odwołaniu od deportacji. Kilku bardzo wpływowych ludzi chce, żeby pan był repatriowany, i będę pracował również z nimi. Zdaję sobie sprawę, że taka niespodziewana podróż musi być wyczerpująca, więc Kemper Boyd i ja chcemy, żeby Chuck Rogers za kilka dni przewiózł pana z powrotem do Luizjany i ukrył tam pana.

Marcello szybko uderzył w bilę. Był zręczny i zwinny. Pete spytał:

— Co się stało z twoją twarzą, Ward?

Littell otworzył walizkę. Pete wziął do ręki czarną bilę i zgniótł ją gołymi rękami. Drewno trzasnęło i rozpadło się w drzazgi. Wtedy przemówił Marcello:

— Nie jestem pewien, czy to mi się podoba.

Littell wyciągnął księgi Funduszu. Krótka modlitwa uspokoiła mu nerwy.



— Jestem pewien, że wiecie, iż w listopadzie zeszłego roku włamano się do posiadłości Julesa Schiffrina w Lake Geneva. Ukradziono kilka obrazów, jak również parę ksiąg zawierających domniemaną rachunkowość Funduszu Emerytalnego Teamsters. Złodziej był informatorem agenta chicagowskiego oddziału „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” nazwiskiem Court Meade i dał je Meade'owi, kiedy zorientował się, że obrazy są zbyt znane, by je sprzedać. Meade umarł w styczniu na atak serca, a księgi zostawił mnie. Powiedział, bym nie pokazywał ich nikomu i moim zdaniem miał zamiar sprzedać je komuś z organizacji Giancany. Kilka stron wyrwano, ale poza tym myślę, że są nietknięte. Przywozłem je panu, bo wiem, jak bliskie stosunki łączą pana z panem Hoffą i Teamsters.

Marcello siedział z rozdziawioną gębą. Pete złamał na pół kij bilardowy.

W Houston wyrwał czternaście stron. Wszystkie wzmianki o Kennedych miał bezpiecznie ukryte.

Marcello podał mu rękę. Littell pocałował wielki diamentowy pierścień.

## 66

(Anniston, 11 kwietnia 1961)

Raporty z komisji wyborczych i spisy wyborców. Testy na analfabetyzm i zeznania świadków. Cztery wyłożone korkiem ściany obwieszane papierami — historia represji spisana na maszynie. Pokój był mały i ciemny. Motel Wigwam w niczym nie przypominał St.Regis. Kemper pracował nad raportem o niedopuszczaniu do wyborów. Podstawę tworzył jeden test na analfabetyzm i jedno zeznanie świadka.

Delmar Herbert Bowen, czarny mężczyzna urodzony 14.06.1919 w Anniston w Alabamie. Był piśmienny i sam mówił o sobie, że jest „zagorzałym czytelnikiem”. 15.06.1961 pan Bowen próbował zarejestrować się w komisji wyborczej. Urzędnik spytał: „Chłopie, umiesz czytać i pisać?”. Pan Bowen udowodnił, że potrafi. Urzędnik zadawał mu pytania o wysokim stopniu trudności. Pan Bowen nie odpowiedział na nie. Panu Bowenowi odmówiono prawa do głosowania.

Kemper zakwestionował test sprawdzający umiejętność czytania i pisania. Ustalił, że urzędnik w Anniston sfabrykował wyniki. Twierdził, że pan Bowen nie potrafi napisać poprawnie „pies” ani „kot”. Pan Bowen nie wiedział też, że stosunek seksualny podczas ciąży wywołuje przedwczesny poród.

Kemper spiął strony. Praca nudziła go. Prawa obywatelskie nie były dla niego wystarczającym wyzwaniem. Jego wyzwaniem była dyplomacja z bronią w ręku.

Wczoraj poszedł na lunch do części dla kolorowych — tak dla jaj. Ktoś zawołał za nim „wielbiciel czarnuchów”. Powalił go chwytem judo.

Przez drzwi słyszał w nocy strzały. Jakiś kolorowy powiedział mu, że Klan spalił krzyż parę przecznic dalej.

Kemper dokończył raport dotyczący Bowena. Zrobił to na chybcika — za trzy godziny miał się spotkać z Johnem Stantonem w Miami.

Rozmowy telefoniczne przeszkadzały mu cały ranek i zepsuły plan dnia. Bobby zadzwonił w sprawie bieżących raportów; Littell ze swoją ostatnią bombą. Ward dostarczył księgi Funduszu Carlosowi Marcello. Pete Bondurant obserwowował tę transakcję. Marcello wydawał się wierzyć w historyjkę Warda. Ward dodał:

— Kemper, zrobiłem kopie. A depozyt wciąż jest aktualny. Byłbym wdzięczny, gdybyś zasugerował *Le Grand Pierre*, żeby mnie nie zabijał.

Natychmiast zadzwonił do Pete'a. Powiedział:

— Nie zabijaj Littella ani nie mów Carlosowi, że jego historyjka jest gównem warta.

Pete odpowiedział:

— Zaufaj mojemu rozumowi. Gram w to tak samo długo jak ty.

Littell przechytrzył ich. Nie była to wielka strata — księgi i tak nigdy nie gwarantowały zarobku.

Kemper naoliwił swoją czterdziestkę piątkę. Bobby wiedział, że nosi broń, i wyśmiewał to jako pozerstwo. Miał ją na Inauguracji. Znalazł Bobby'ego podczas parady i powiedział, że skończył z Laurą. Jacka spotkał na przyjęciu w Białym Domu. Pierwszy raz zwrócił się do niego „panie prezydencie”. Pierwsze zadanie, jakie usłyszał od prezydenta: „Znajdź mi na dziś wieczór jakieś dziewczyny”.

Kemper znalazł dwie studentki z Georgetown. Prezydent Jack powiedział, żeby poczekały. Kemper umieścił je w pokojach gościnnych Białego Domu.

Jack złapał go na ziewaniu i przemywaniu twarzy zimną wodą. Była 3.00 rano, a gala inauguracyjna miała trwać aż do świtu. Jack zaproponował „coś, co postawi nas na nogi”. Poszli do Gabinetu Ovalnego i zobaczyli lekarza

przygotowującego ampułki i strzykawki. Prezydent podwinął rękaw. Lekarz zrobił mu zastrzyk. John F. Kennedy wyglądał, jakby przeżywał orgazm. Wtedy Kemper podwinął rękaw. Lekarz zrobił zastrzyk. W ciele wybuchła mu rakietą. Jazda trwała dwadzieścia cztery godziny. Czas i miejsce były jak najbardziej odpowiednie.

Sukces Jacka stał się jego sukcesem. Ta prosta prawda musiała być wyartykułowana. Czas i miejsce należały do Kempera Catharta Boyda. W tym aspekcie nie było różnicy między nim a Jackiem.

Poderwał jakąś dawną flamę Jacka i kochał się z nią w Willardzie. Opisywał Tę Chwilę senatorom i taksówkarzom. Judy Garland uczyła go tańczyć twista. Jazda skończyła się i pozostawiła po sobie ochotę na więcej. Wiedział, że „więcej” zbecześci Tę Chwilę.

Zadzwoił telefon. Kemper odstawił torbę i odebrał.

— Mówi Boyd.

— Tu Bob, Kemper. Jest ze mną prezydent.

— Czy mam powtórzyć to, co rano mówiłem tobie?

— Nie. Chcemy, żebyś pomógł nam w pewnym problemie...

— Dotyczącym?

— Kuby. Zdaję sobie sprawę, że tylko nieformalnie orientujesz się, o co chodzi, ale mimo to uważam, że najlepiej się do tego nadajesz.

— Do czego? O czym wy mówicie?

Bobby odparł z rozdrażnieniem:

— O projekcie inwazji, o którym mogłeś słyszeć albo nie. Richard Bissell właśnie wpadł do mojego biura i powiedział, że CIA łamie sobie na tym zęby, a ich Kubańczycy są, delikatnie mówiąc, niespokojni. Wybrali już miejsce inwazji. Nazywa się Playa Girón albo Zatoka Świń.

To było coś NOWEGO. Stanton nie mówił mu, że Langley wybrało miejsce. Kemper udał zdziwienie.

— Nie wiem, jak mogę wam pomóc. Wiecie, że nie znam nikogo w CIA.

Odezwał się Jack:

— Bobby nie wiedział, że sprawy zaszły tak daleko, Kemper. Allan Dulles zdał nam sprawozdanie, nim przejąłem urząd, ale nie rozmawialiśmy o tym. Moi doradcy nie są zgodni.

Kemper założył kaburę. Bobby powiedział:

— Potrzebujemy niezależnej oceny gotowości uchodźców.

Kemper zaśmiał się.

— Bo jeśli inwazja się nie powiedzie i okaże się, że popieraliście tak zwanych „buntowników”, będziecie mieli spieprzoną opinię w świecie.

Bobby powiedział: — Dokładnie tak.

Jack rzekł:

— Do rzeczy. Powinienem był zapoznać z tym Bobby'ego kilka tygodni temu, ale jest tak diabelnie zajęty ściganiem gangsterów. Kemper...

— Tak, panie prezydencie.

— Wahałem się z wyznaczeniem daty, a Bissell naciskał. Wiem, że pracowałeś przeciw Castro dla pana Hoovera, więc przynajmniej...

— Coś niecoś wiem o Kubie, choćby z punktu widzenia grup zwolenników Castro.

Bobby złapał przynętę.

— Zawsze miałeś coś w rodzaju obsesji na punkcie Kuby, więc jedź na Florydę i zrób z tym coś pożytecznego. Odwiedź obozy szkoleniowe CIA i pokręć się po Miami. Oddzwon do nas i powiedz, czy ta operacja ma szansę powodzenia, i zrób to w miarę szybko.

Kemper odpowiedział: — Wyjeżdżam natychmiast. Odezwę się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

**J**ohn Stanton prawie umarł ze śmiechu. Kemper już miał dzwonić po kardiologa. Siedzieli na prywatnym tarasie Stantona. Langley dało mu teraz możliwość zamieszkania w Fontainebleau — zamilowanie do życia w hotelowych apartamentach było zaraźliwe. Od Collins Avenue powiała lekka bryza. Kempera bolało gardło — powtarzał rozmowę telefoniczną naśladując Jacka.

— John...

Stanton złapał oddech.

— Przepraszam, ale nigdy nie przypuszczałem, że prezydencka niezdolność do podejmowania decyzji może być tak diabelnie zabawna.

— Jak myślisz, co powinienem mu powiedzieć?

— Może: „Inwazja zagwarantuje ci drugą kadencję”.

Kemper roześmiał się. — Mam trochę wolnego czasu w Miami. Jakieś propozycje?

— Tak, dwie.

— No to mów. I powiedz, czemu chciałeś się ze mną spotkać, mimo iż wiedziałeś, że jestem uziemiony w Alabamie.

Stanton nalał małą szkocką z wodą. — Ta praca z prawami obywatelskimi musi być stresująca.

— Nie tak bardzo.

— Myślę, że nadanie czarnym prawa wyborczego to nie do końca błogosławieństwo. Przecież nimi łatwo daje się kierować.

— Powiedziałbym, że są trochę mniej podatni niż nasi Kubańczycy. I zdecydowanie mniej skłonni do popełniania przestępstw.

Stanton uśmiechnął się.

— Przestań. Nie zaczynaj znów mnie rozśmieszać.

Kemper położył nogi na balustradzie.

— Myślę, że przydałoby ci się trochę śmiechu. Langley ci nie popuszczać pijesz o pierwszej po południu.

Stanton kiwnął głową.

— To prawda. Wszyscy, od pana Dullesa poczynając, chcieliby, żeby inwazja zaczęła się gdzieś w przeciągu pięciu minut, i ja nie jestem wyjątkiem. A odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie, chcę, żebyś następne czterdzieści osiem godzin spędził opracowując realnie brzmiące informacje dla prezydenta na temat stanu gotowości oddziałów. Chcę też, żebyś sprawdził teren Kadry z Fulo i Néstorem Chasco. Miami jest naszym najlepszym źródłem pozyskiwania informacji, chcę, żebyś ocenił, jak bardzo rozniosły się wśród społeczności kubańskiej plotki o inwazji.

Kemper zmieszał dżin z tonikiem.

— Zabiorę się za to od razu. Czy było coś jeszcze?

— Tak. Agencja chce ustanowić kubański „rząd na obczyźnie”, który podczas inwazji ma urzędować w Blessington. To kosmetyczna sprawa, ale musimy mieć przynajmniej namiastkę wybranych kompromisowo władz gotowych do objęcia urzędu, jeśli usuniemy Castro, powiedzmy trzy, cztery dni przed atakiem.

— I chcecie znać moją opinię, kto się nadaje?

— Zgadza się. Wiem, że nie jesteś zbyt dobrze zorientowany w poglądach uchodźców, ale myślałem, że słyszałeś coś od Kadry.

Kemper udawał głębokie zamyślenie. Spokojnie, daj mu poczekać... Stanton zamachał rękami.

— No już, nie kazałem ci wpadać w trans.

Kemper ocknął się — popatrzył bystro i pewnie.

— Potrzebujemy prawicowców gotowych na pracę z Santo i naszymi pozostałymi przyjaciółmi z mafii. Potrzebujemy przywódcy, który umie utrzymać porządek, a najlepszą drogą do przywrócenia stabilizacji kubańskiej gospodarce jest otwarcie kasyn i ich praca na pełnych obrotach. Jeśli Kuba pozostanie niestabilna albo czerwoni znowu przejmą władzę, musimy mieć możliwość zwrócenia się do mafii o pomoc finansową.

Stanton objął dłońmi kolano.

— Oczekiwałem od Kempera Boyda, reformatora praw obywatelskich, czegoś bardziej odkrywczego. I jestem pewien, że wiesz, iż dotacje naszych włoskich przyjaciół stanowią mały procent w stosunku do naszego legalnego budżetu.

Kemper wzruszył ramionami.

— Wyplacalność Kuby zależy od amerykańskiej turystyki. Mafia może pomóc ją nakręcić. United Fruit nie ma już na Kubie, a tylko przekupny prawicowiec może chcieć zdenacjonalizować ich holdingi.

— Mów dalej. Już prawie mnie przekonałeś — powiedział Stanton.

Kemper wstał.

— Carlos jest w obozie w Gwatemali razem z moim przyjacielem prawnikiem. Chuck za parę dni ma go przywieźć do Luizjany i ukryć, a słyszałem, że jest coraz większym zwolennikiem uchodźców. Zakładam, że inwazja *rzeczywiście* się powiedzie, ale na Kubie przez jakiś czas będzie panował chaos. Kogokolwiek postawimy u władzy, będzie podlegał wnikliwej publicznej obserwacji, co oznacza też, że będzie musiał publicznie rozliczać się ze swoich działań. Obaj wiemy, że Agencja również będzie obserwowana, co znacznie ograniczy nasze możliwości zaprzeczania istnieniu wszelkich ukrytych działań. Będziemy więc potrzebować Kadry i prawdopodobnie jeszcze pół tuzina grup tak bezlitosnych i niezależnych jak Kadra, *i będziemy potrzebować prywatnych funduszy, by je finansować*. Nasz nowy przywódca będzie potrzebował tajnej policji, a mafia mu ją zapewni, i jeśli zawaha się w swoim poparciu dla USA, zwyczajnie go zlikwiduje.

Stanton wstał. Oczy błyszczały mu, jakby miał gorączkę.

— Nie mam ostatecznego głosu, ale przekonałeś mnie. Twoja gadka nie była tak kwiecista jak inauguracyjne przemówienie twojego kumpla, ale znacznie lepsza politycznie.

I UMOTYWOWANA CHEĆCIĄ ZYSKU...

Kemper odpowiedział:

— Dziękuję. To zaszczyt być porównanym do Johna F. Kennedy'ego.

Fulo prowadził samochód. Néstor mówił. Kemper obserwował. Objężdżali teren Kadry nieregularnymi ósemkami. Widać było slumsy i niedokończone domy. Néstor powiedział:

— Wyślijcie mnie z powrotem na Kubę. Zastrzelę Fidela z dachu. Będę Simonem Bolivarem swojego kraju.

Szewrolet Fulo był załadowany narkotykami. Z plastikowych torebek wysypywał się proszek i osiadał na siedzeniach. Néstor ciągnął:

— Wyślijcie mnie na Kubę jako boksera. Zatłukę Fidela ciosami godnymi Kida Gavilana.

Śledziły ich błędne oczy — miejscowi ćpuni znali ten samochód. Lumpy podchodziły blisko, licząc na to, że coś im skapnie — Fulo znany był z hojnej ręki. Nazywał to Nowym Planem Marshalla — mówił, że jego prezenty sprzyjają pomsłuszeństwu.

Kemper obserwował. Néstor zatrzymywał się w umówionych punktach i sprzedawał paczki. Fulo ochraniał wszystkie transakcje strzelbą.

Kemper obserwował. Fulo zauważył pod Lucky Time Liquors pokątną transakcję, *poza Kadrą*. Néstor ostrzelał potencjalnych klientów solą. Ci rozplynęli się w gnieniu oka. Sól przechodziła przez ubranie i kłuła skórę jak oset.

Kemper obserwował. Néstor znowu powiedział:

— Wyślijcie mnie na Kubę jako nurka. Zabiję Fidela podwodnym harpunem.

Włóczędzy wystający na rogach czepiali się thunderbirda. Klejarze wdychali klej. Na trawnikach przed połową domów stały rozsypujące się gruchoty.

Kemper obserwował. Kierowcy Taxi-Tygrys łączyli się przez radio. Fulo jechał od Darktown do Poquito Habana.

Twarze zmieniły się z czarnych na brązowe. Barwy ulicy przeszły w bardziej pastelowe. Pastelowe fronty kościołów. Pastelowe fronty klubów tanecznych i winiarni. Mężczyźni w luźnych pastelowych koszulach.

Fulo prowadził. Néstor mówił. Kemper obserwował.

Minęli parking, gdzie grano w kości. Minęli ulicznego oratora. Minęli dwóch smarkaczy okładających pięściami rozdającego ulotki zwolennika Castro.

Kemper obserwował. Fulo mknął wzdłuż Flagler i wypytywał prostytutki za pieniądze. Jedna dziewczyna powiedziała, że Castro to pedał. Druga, że Castro ma trzydziestocentymetrowego *chorizo*. Wszystkie chciały wiedzieć jedno: kiedy nastąpi wielka inwazja? Jedna dziewczyna powiedziała, że słyszała w Blessington plotkę. Chyba w przyszłym tygodniu, co nie? Inna powiedziała, że Guantanamo zostanie zbombardowane. Jeszcze inna, że tamta nie ma racji — to ma być Playa Girón. Kolejna twierdziła, że wkrótce w Hawanie zjawia się latające spodki.

Fulo prowadził. Néstor wypytywał Kubańczyków przechadzających się po Flagler. Wszyscy słyszeli plotki o inwazji. Wszyscy z upodobaniem się nimi dzielili.

Kemper zamknął oczy i słuchał. Z zapomnianego hiszpańskiego rozumiał rzeczowniki. Hawana, Playa Girón, Baracoa, Oriente, Playa Girón, Guantánamo. I wiedział jedno: *Ludzie o tym mówią*.

Rekruci na przepustce mówili. Wspierający ich ludzie z Agencji mówili. Były to insynuacje, bzdury, pobożne życzenia i przypadkowa prawda — było tyle spekulacji na temat miejsc, że przez przypadek można było trafić.

Rozmowy potwierdzały, że są przecieki. Fulo nie wyglądał na zmartwionego. Néstor wzruszył ramionami. Kemper zaklasyfikował je jako „łatwe do opanowania”.

Jechali bocznymi ulicami. Fulo podsłuchiwał wezwania taksówek. Néstor omawiał różne sposoby na torturowanie Fidela Castro. Kemper wyglądał przez okno i zapamiętywał widok.

Kubańskie dziewczyny przesyłały im całusy. Radio w samochodzie grało mambo. Włóczędzy na ulicach zajadali moczone w piwie melony. Fulo wyłączył rozmowę.

— To Wilfredo. Mówi, że Don Juan wie coś o większej ilości narkotyków i być może powinniśmy się z nim zobaczyć.

**D**on Juan Pimentel kaszłał jak gruźlik. Jego pokój dzienny był zawalony przerobionymi lalkami Barbie i Kena. Stali w drzwiach. Don Juan pachniał mentolową maścią. Fulo odezwał się:

— Możesz mówić przed panem Boydem. Jest wielkim przyjacielem naszej Sprawy.

Néstor podniósł gołą Barbie. Lalka nosiła perukę Jackie Kennedy i miała owłosienie łonowe. Don Juan zakaszał.

— Dwadzieścia pięć dolarów za tę opowieść, a pięćdziesiąt za opowieść i adres.

Néstor upuścił lalkę i przeżegnał się. Fulo wręczył Don Juanowi dwie dwudziestki i dziesiątkę. Ten wcisnął pieniądze do kieszeni spodenek.

— Adres brzmi Balustrol 4980 — wyrecytował. — Mieszka tam czterech faciów z kubańskiego wywiadu. Cholernie się boją, że wasza inwazja się powiedzie i że ich zaopatrzenie z wyspy będzie, jak to nazywacie, odcięte. Mają w tym domu bardzo duży zapas pojedynczych dawek pakowanych na sprzedaż, dla zarobienia szybkich pieniędzy, aby, jak mawiacie, sfinansować odpór dla waszego oporu. Mają ponad pół kilo heroiny gotowej do sprzedaży w małych działkach tam, gdzie, jak mawiacie, można to zrobić z największym zyskiem.

Kemper uśmiechnął się.

— Czy dom jest strzeżony?

— Nie wiem.

— Komu sprzedaliby towar?

— Na pewno nie Kubańczykom. Pewnie Murzynom i białej biedocie. Kemper trącił łokciem Fulo.

— Czy pan Pimentel jest wiarygodnym informatorem?

— Myślę, że tak.

— Czy jest zdecydowanym przeciwnikiem Castro?



- Myślę, że tak.
- Zaufałbyś mu, że nie zdradzi nas w żadnych okolicznościach?
- Cóż... trudno mi to...

Don Juan splunął na podłogę. — Jest pan tchórzem, skoro nie kieruje pan tych pytań bezpośrednio do mnie.

Kemper powalił go chwytem judo. Don Juan rąbnął w regał z lalkami i upadł ciężko dysząc. Néstor rzucił mu poduszkę na twarz. Kemper wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę i strzelił. Tłumik zdusił hałas. Dokoła kłębiło się pozlepiane krwią pierze. Néstor i Fulo wyglądali na zszokowanych.

- Wyjaśnij to później — powiedział Kemper.

REBELIANCI RATUJĄ KUBĘ!  
 KOMUCHY Z ZEMSTY ROZPROWADZAJĄ TRUJĄCE PROCHY!  
 HEROINOWY HOLOCAUST! DILER CASTRO TRIUMFUJE!  
 DYKTATORZE DESPERACIE — WON!  
 ROŚNIE LICZBA ZGONÓW SPOWODOWANYCH NARKOTYKAMI!

Kemper przepisał nagłówki na kartę dyspozytora. W Taxi-Tygrys dokoła niego wrzało — nadchodziła nocna zmiana. Napisał też wiadomość z wyjaśnieniem.

*PB,*

*Niech Lenny Sands napisze artykuły do Cicho sza! pod załączonymi tytułami. Powiedz mu, żeby się pospieszył i sprawdzał gazety w Miami w następnym tygodniu pod kątem dalszych szczegółów. Jeśli trzeba, niech do mnie dzwoni. Oczywiście wiąże się to z inwazją i czuję, że jesteśmy bliscy daty jej rozpoczęcia. Nie mogę jeszcze ujawnić szczegółów mojego planu, ale myślę, że będzie to coś, co Ci się spodoba. Gdyby Lenny nie był pewien, o co mi chodzi, powiedz mu, żeby pozmieniał nagłówki w stylu Cicho sza!.*

*Wiem, że jesteś gdzieś w Nikaragui albo Gwatemali, i mam nadzieję, że ta przesyłka do Ciebie dotrze. Spróbuj myśleć o WJL jak o współpracowniku. Pokojowa koegzystencja nie zawsze oznacza ugodę.*

*KB*

Kemper zaadresował kopertę: C.ROGERS/NAJBLIŻSZYM LOTEM/ /PILNE. Fulo i Néstor minęli go, zdezorientowani — nie wyjaśnił im, dlaczego zabił Don Juana.

Santo junior miał młodego rekina o imieniu Batista. Pojechali do Tampa i wrzucili Don Juana do jego basenu.

Kemper przeniósł telefon do toalety. Trzy razy przeciwiczył swoją gadkę, łącznie z pauzami i przerywnikami. Zadzwoił do sekretarki Bobby'ego. Kazał

jej włączyć magnetofon. Rzuciła się, żeby go poszukać. Kupiła jego doskonale udawany pośpiech.

Chwalił. Wyrażał uznanie. Doceniał morale uchodźców i gotowość do walki. CIA miało świetny plan. Inwazja była perfekcyjnie zabezpieczona. Rozwodził się nad tym jak świeżo nawrócony sceptyk. Dorzucił retorykę Nowej Rubieży. Jego akcent z Tennessee rozbrzmiewał prawomyślnością. Sekretarka powiedziała, że natychmiast dostarczy taśmę Bobby'emu. Grłos jej się trząsał.

Kemper odłożył słuchawkę i wyszedł na parking. Teo Paez minął go i wsunął mu wiadomość.

*Dzwonił W. Littell. Mówi, że z CM wszystko w porządku. Prawnik CM z N. J, mówi, że agenci Dep. Spraw, szukają CM w Luizjanie. W. Littell twierdzi, że CM powinien przez jakiś czas zostać w obozie w Gwat, albo przynajmniej poza krajem.*

Ward Littell znów pnie się w górę — zadziwiające.

Powiał lekki wiatr. Kemper oparł się o pomalowaną w tygrysie pasy maskę samochodu i spojrział w niebo. Księżyc stał nisko. Batista miał białe, błyszczące zęby tego samego koloru.

Kemper odpłynął. Ocknął się, słysząc skandowanie: RUSZAMY RUSZAMY RUSZAMY RUSZAMY RUSZAMY — jedno słowo i nic poza tym. Krzyki były bliskie ekstazy. Dyspozytornia aż huczała od echa.

Wyznaczono datę inwazji. To musiało być to.

Santo nakarmił Batistę stekami i pieczonymi kurczakami. Powierzchnię ogromnego basenu pokrywał tłuszcz. Rekin odgryzł głowę Don Juana. Néstor i Fulo odwrócili się. On nie. Zabijanie zaczęło mu się podobać bardziej niż po-winno.

## 67

(Prowincja Nikaragui, 17 kwietnia 1961)

ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE!

Sześciuset chłopca skandowało. Okolica drżała od ich słów.

Mężczyźni wskoczyli do ciężarówek. Samochody stały zderzak w zderzak, skierowane w stronę portu.

ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE!

Pete patrzył. John Stanton tak samo. Patrolowali teren dżipem i obserwowali, jak wszystkie przygotowania zmierzają do wymarszu. Gotowość w porcie: jeden okręt pozbawiony emblematów USA. Na pokładzie: łódź desantowa, moździerze, granatniki, strzelby, karabiny maszynowe, radiostacja, apteczka, środki przeciw moskitom, mapy, amunicja i sześćset opakowań środków broniących przed chorobami wenerycznymi — Langley przewidywało skutek uboczny zwycięstwa w postaci masowych gwałtów.

Gotowi: sześciuset naładowanych amfetaminą kubańskich buntowników. Gotowość na pasie startowym: szesnaście bombowców B-26, mających rozgromić siły powietrzne Castro. Zamalowane na czarno emblematy USA — ta akcja była *non-imperialisto*.

ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE!

Skrót nazwy zatoki określał de facto cel agresji. John Stanton kazał im tak skandować od rana — twierdził, że takie powtarzanie buduje odwagę. Pete łyknął amfę i popił kawą. Już to widział, czuł dotykiem i węchem...

Samoloty unieszkodliwią siły powietrzne Castro. Z sześciu różnych portów wypłyną okręty. Drugi nalot załatwi siły zbrojne *en masse*. Chaos spowoduje liczne dezercje.

Bojownicy o wolność docierają na plażę. Maszerują. Zabijają. Stosują broń chemiczną. Łączą się z dysydentami na wyspie i przejmują Kubę — osłabioną wcześniej przez narkotyki i propagandę.

Czekali, aż Jack K, pozwoli na pierwszy nalot. Wszystkie rozkazy miały pochodzić od Fryzury.

ŚWINIE! ŚWINIE!

Pete i Stanton patrolowali teren dżipem. Na desce rozdzielczej mieli zainstalowaną krótkofalówkę — łatwiej było się komunikować. Mieli bezpośrednie połączenia z Gwatemalą, Taxi-Tygrys i Blessington. Nie mogli łączyć się z Białym Domem — jedyny kanał był kontrolowany przez Langley

Nadszedł rozkaz: wysłać sześć samolotów. Pete czuł, że mięknie mu rura. Facet w radio mówił, że Jack chce działać naprawdę ostrożnie. Sześć maszyn z planowanych szesnastu to cholernie duża redukcja.

Objeżdżali obóz. Pete odpałał papierosa od papierosa. Stanton przygryzał medalik ze świętym Krzysztofem.

Boyd przysłał mu trzy dni temu wiadomość — jakieś szyfrowane polecenia związane z *Cicho sza!* dla Lenny'ego. Przekazał mu to. Lenny obiecał, że napisze szybko. Lenny zawsze dostarczał na czas. A Ward Littell zawsze zdumiewał.

Księgi Teamsters były super. To, jak Littell lizał dupę Carlosowi, było jeszcze lepsze. Boyd ulokował ich w obozie w Gwatemali. Marcello dostał prywatną linię i kierował swoim biznesem na odległość. Carlos lubił świeże owoce morza. I lubił wydawać duże przyjęcia. Littell co dzień zamawiał pięćset homarów z Maine. Carlos zmienił doskonałych żołnierzy w śliniących się obzartuchów. W swoich wyrobników — partyzanci glancowali buty i biegali dla niego na posyłki.

Boyd prowadził sprawę Marcelła. I wydał Pete'owi jedno proste polecenie: ZOSTAW LITTELLA W SPOKOJU.

Zawieszenie broni między Bondurantem a Littellem było wymuszone przez Boyda i *tymczasowe*.

Pete odpalał papierosa od papierosa. Fajki i prochy pobudzały go nadmiernie. Ręce robiły rzeczy, których im nie kazał.

Wciąż jeździli. Stanton przepocił ubranie na wylot.

ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE!

Zaparkowali przy porcie i patrzyli na wlewające się na okręty oddziały. Sześciuset mężczyzn wskoczyło na nie w zaledwie dwie minuty.

Odezwała się krótkofalówka. Igła wskaźnika zatrzymała się na częstotliwości Blessington. Stanton założył słuchawki. Pete zapalił milionowego tego dnia papierosa. Okręt z załogą kołysał się na wodzie. Gruby Kubańczyk wymiotował przy sterze.

Stanton odezwał się po chwili:

— Nasz rząd na uchodźstwie już działa, a Bissell wreszcie zaakceptował tych skrajnych prawicowców, których mu poleciłem. To dobrze, za to ta komedia z fałszywym dezertorem, którą przygotowaliśmy, obróciła się przeciwko nam. Gutierrez posadził samolot w Blessington, ale reporterzy, których wezwał Dougie Lockhart, rozpoznali Ramona i zaczęli go wygwizdywać. To nic wielkiego, ale nie powinniśmy schrzaniać takich spraw.

Pete skinął głową. Czuł zapach wymiocin, brudnej wody i sześciuset naoliwionych karabinów.

Stanton zdjął słuchawki. Jego święty Krzysztof był już tak pogryziony, że stracił blask.

Wciąż jeździli. Gówno warta nadpobudliwość po amfetaminie, której jedynym skutkiem było marnowanie paliwa.

Jack, proszę: przyślij więcej samolotów. Rozkaż odpłynąć łodziom.

Pete'a swędziało tylek. Stanton nawijał bez końca o swoich dzieciach. Godziny wlokły się jak lata. Pete robił w myślach spisy, żeby nie słyszeć Stantona. Lista mężczyzn, których zabił. Kobiet, z którymi sypiał. Najlepszych hamburgerów w

L.A, i Miami. Co robiliby, gdyby nigdy nie wyjechał z Quebecu. Co robiliby, gdyby nigdy nie spotkał Kempera Boyda.

Stanton obsługiwał radio. Napływały raporty. Usłyszeli, że nalot spalił na panewce. Bombowce namierzyły mniej niż 10% sił powietrznych Fidela Castro. Kiepskodyski Jack z bólem serca przyjął tę wiadomość. Zareagował jak ostatni fiut: przerwać nalot.

Włączył się Chuck Rogers. Powiedział, że Marcello i Littell są wciąż w Gwatemali. Uraczył ich najnowszą plotką: FBI przeczesало Nowy Orlean, bo ktoś rzekomo widział tam Carlosa! To była robota Boyda. Stwierdził, że mylne telefony odwrócą uwagę Bobby'ego i pomogą ukryć ślady Marcelła.

Chuck wyłączył się. Stanton zdjął słuchawki, ale nasłuchiwał, czy jeszcze ktoś się nie odezwie.

Sekundy wlokły się jak wieki. Minuty jak pieprzone tysiąclecia.

Pete drapał się po jajach. Pete palił bez przerwy. Pete strzelał do palm, żeby w ogóle *strzelać*.

Stanton zapowiedział rozmowę.

— To Lockhart. Mówi, że nasz rząd na uchodźstwie jest bliski buntu.

Potrzebują cię w Blessington, Rogers leci z Gwatemali, żeby cię zabrać.

**Z**boczyli nad wybrzeże kubańskie. Chuck powiedział, że to nie przedłuży czasu przelotu. Pete krzychał:

— Leć nisko!

Chuck obniżył lot. Z wysokości siedmiuset metrów, w odległości niecałego kilometra Pete widział płomień. Zeszli poniżej poziomu radaru i lecieli nad plażą. Pete wystawił przez okno lornetkę. Zobaczył rozbite samoloty — kubańskie i powstańcze. Zobaczył tłące się pnie palm i samochody strażackie zaparkowane na piasku. Syreny alarmu przeciwlotniczego wyły z całej mocy. U wejścia do portu niebo oświetlały reflektory. Tuż nad linią przypiływu zbudowano stanowiska ogniowe — w pełni wyposażone i otoczone workami z piaskiem.

W porcie tłoczyli się żołnierze. Mali frajerzy z automatami.

Byli dwanaście kilometrów na południe od Playa Girón. *Ten* odcinek plaży był przygotowany. Jeśli Zatoka Świń jest *tak samo* ufortyfikowana, cała inwazja będzie gównem warta.

Pete usłyszał wystrzały. A potem lekkie *puk-puk-puk*. Chuck załapał — strzelają *w nas*. Przekręcił Pipera brzuchem do góry. Pete zawisł głową w dół. Uderzył o sufit. Pas unieruchomił go. Chuck leciał do góry nogami całą drogę aż do wód USA.

Zmierzchało. Blessington lśniło wielowatowymi lampami. Pete łyknął dwie tabletki przeciwwymiotne. Widział wsiowych gapiów i wózki z lodami przed główną bramą.

Chuck osiadł na pasie startowym i zatrzymał samolot. Pete wyskoczył z zawrotami głowy — amfetamina i wredne mdłości zawsze szły ze sobą w parze.

Na środku placu musztry stał barak. Otaczał go potrójnie spleciony drut kolczasty. W oddali słychać było niesynchronizowane okrzyki — zupełnie inne niż ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE!

Pete przeciągnął się i rozluźnił przykurczone mięśnie. Podbiegł do niego Lockhart.

— Cholera, chodź i uspokój tych kubańców!

Pete spytał: — Co się stało?

— Kennedy gra na zwłokę. Dick Bissell mówi, że chce wygrać, ale nie chce iść na całość i wziąć na siebie winy, jeśli inwazja się nie uda. Przygotowałem moją starą łódź, ale ten papieski kutas z Białego Domu nie...

Pete uderzył go w twarz. Gnojek zachwiał się, ale stanął prosto.

— Spytałem, *co się stało?*

Lockhart wytarł nos i zachichotał.

— Moi chłopcy z Klanu sprzedali chłopakom z rządu tymczasowego trochę bimbru i zaczęli dyskutować o polityce z partyzantami. Zebrałem paru ludzi i odizolowałem najgłośniejszych szumiących drutem kolczastym, ale to nie zmienia faktu, że mamy tu sześćdziesięciu sfrustrowanych i pijanych krewkich Kubańczyków rzucających się na siebie jak jadowite węże, podczas gdy powinni koncentrować się na aktualnym problemie, czyli na walce z komunistyczną dyktaturą.

— Mają broń?

— Nie, sir. Magazyn broni jest zamknięty i strzeżony.

Pete sięgnął do kokpitu. Tuż nad deską rozdzielczą: kij baseballowy Chucka i skrzynka z narzędziami. Wziął wszystko. Wyjął nóż do metalu i zatknął kij za pasek.

Lockhart spytał: — Co pan robi?

Chuck powiedział: — Ja chyba wiem.

Pete wskazał na pompy.

— Podłączcie węże i puśćcie wodę dokładnie za pięć minut.

Lockhart zaprotestował:

— To zburzy cały barak.

— O to mi chodzi.

Zamknięci Kubańczycy śmiali się i wrzeszczeli. Lockhart rzucił się sprintem do pompy. Pete podbiegł do ogrodzenia i zaczął ciąć. Chuck owinął dłonie

kurtką i odsunął część drutu. Pete przeczołgał się. Podbiegł do budynku nisko na nogach.

Jedno machnięcie kijem wyważyło drzwi. Nikt nie zauważył jego wtargnięcia. Chłopaki z rządu na uchodźstwie byli zajęci. Siłowali się na rękę, grali w karty i prześcigali się w picciu bimbbru. Na podłodze odbywał się wyścig młodych aligatorów. Dokoła zgraja kibiców. Na kocach zapiski zakładów. Na pryczach kubki bimbbru.

Pete zamachnął się kijem. Przydały się treningi w młodości. Parł naprzód. Walił w twarze i żebra. Chłopaki z rządu na uchodźstwie próbowali mu oddać — czasem poczuł gdzieś jakąś pięść.

Kij strzaskał prycze. Strzaskał sztuczną szczękę jakiegoś grubasa. Aligatory uciekły na zewnątrz. Chłopaki z rządu zrozumieli: nie sprzeciwiać się temu wielkiemu białemu szaleńcowi.

Pete szedł przez barak. Kubańczycy odsuwali się od niego. Doszedł do tylnych drzwi i rozpruł je od podłogi do sufitu. Pięć uderzeń lewą ręką, pięć prawą — istny Mickey Mantle. Mistrz świata wśród pałkarzy.

Ściany chwiały się. Dach chygotał. Fundamenty drżały. Kubańczycy wybiegali wrzeszcząc: „Trzęsienie ziemi! Trzęsienie ziemi!”. Ruszyły sikawki. Ciśnienie zmiotło ogrodzenie. Siła wody zdarła dach. Pete oberwał strumieniem i otrząsnął się. Barak rozpadł się w drzazgi.

Rząd na uchodźstwie: ucieka, potyka się, cały w wodzie.

Zróbmy to w stylu *Cicho sza!*:

**RAŻENI STRUMIENIAMI WODY LATYNOSI DRŻĄ! OTUMANIONY BIM-BREM BASTION TAŃCZY BOOGIE-WOOGIE!**

Sikawki wyłączyły się. Pete zaczął się śmiać. Przemoczeni mężczyźni trzęśli się. Śmiech Pete'a był zaraźliwy i po chwili ryczeli już wszyscy. Plac wyglądał jak śmietnik wytwórni prefabrykatów. Śmiech, jak lokomotywa, nabrał idealnego rytmu. Rozbrzmiało skandowanie:

**ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE!**

**L**ockhart rozdawał koce. Pete cucił ludzi Kool-Aidem.

Weszli na łódź o północy. 256 uchodźców — rozgrzanych do czerwoności pragnieniem przejęcia ojczyzny. Ładowali broń, sprzęt i lekarstwa. Radio nadało: Blessington do Langley i wszystkich komend w portach wyjściowych.

Popłynęły dalsze słowa: Jack Fryzura mówi, że nie będzie drugiego nalotu.

Nikt nie policzył ofiar pierwszego. Nikt nie napisał raportu o fortyfikacjach na nabrzeżu. Nie wspomniano o liczbie zabitych w pierwszym ataku ani o stanowiskach ogniowych na plaży. Pete wiedział, dlaczego. W Langley wiedzą, że

teraz albo nigdy. Po co informować oddziały, że siedzimy w gównie?

Pete łyknął bimbru, żeby złagodzić skutki uboczne amfy. Usnął na pryczy wśród dziwnych halucynacji.

**J**apońce. Saipan 1943 — w panoramicznym technicolorze. Otoczyli go. Zabił ich, zabijał i zabijał. Krzyczał ostrzegawczo. Nikt nie rozumiał jego francuskiego z Quebecu.

Zabici Japonce ożywali. Znowu zabijał ich gołymi rękami. Zamieniali się w zmarłe kobiety — klony Ruth Mildred Cressmeyer.

Chuck obudził go o świcie. Powiedział:

— Kennedy prawie się zgodził. Wszystkie oddziały są na łodziach już od godziny.

**C**zas oczekiwania dłużył się. Ich krótkofalówka przestawała działać. Transmisje z łodzi nadchodziły przeinaczone. Z baz docierały tylko jakieś pełne zakłóceń bzdury. Chuck nie potrafił tego naprawić. Pete próbował bezpośredniego kontaktu telefonicznego — dzwonił do Taxi-Tygrys i Langley. Sygnał był wciąż zajęty. Chuck podejrzewał, że zwolennicy Fidela zakłócają łączność.

Lockhart znał na pamięć numer Sztabu Agencji w Miami. Boyd nazywał to „Centrum do spraw inwazji” — chłopaki z Kadry nigdy tam nie dotarli.

Pete wybrał numer. Sygnał zajęty zabrzmiał wyjątkowo głośno. Chuck odkrył źródło dźwięku: nielegalnie rozciągnięte kable przeładowane rozmowami.

Siedzieli wokół baraków. Radio wyrzucało z siebie charczące dźwięki. Czas płynął powoli. Sekundy dłużyły się jak lata. Minuty jak wieczność Układu Słonecznego. Pete odpalał jednego papierosa od drugiego. Dougie Frank i Chuck wyżebrali od niego całą paczkę.

Facet z Klanu polewał wodą Pipera. Pete i Chuck popatrzyli na siebie długo i przeciągle.

Dougie Frank wszedł na ich częstotliwość.

— Mogę z wami?

**M**anewry samolotu, mające zmylić wroga, zwały ich na kupę. Dotarli do Zatoki Świń w ścisku i brudzie.

Zobaczyli okręt rozciągnięty na rafie. Zobaczyli martwych ludzi wypływających z dziury w kadłubie. Zobaczyli rekiny pożerające ludzkie szczątki dwadzieścia metrów od brzegu.



Chuck zakręcił i przeleciał jeszcze raz. Pete wałnął w kontrolki. Dodatkowy pasażer sprawił, że siedzieli ściśnięci.

Zobaczyli kóź desantową na plaży. Zobaczyli żywych ludzi wspinających się po trupach. Zobaczyli ciała rozciągnięte na przestrzeni stu metrów w jaskrawo-czerwonej płytkiej wodzie.

Najeźdźcy wciąż napływali. Miotacze ognia dosięgały ich w chwili, gdy docierali do falochronu. Smażyli się i gotowali żywcem.

Pięćdziesięciu kilku skrupowanych powstańców leżało twarzami w dół na piasku. Jakiś komuch z piłą spalinową przebiegł im po plecach. Pete widział ciągnięte po ciałach ostrze. Pete widział lejącą się krew. Pete widział toczące się do wody głowy.

Plomienie prawie dosięgły samolotu — o mały włos. Chuck zdjął słuchawki.

— Odebrałem informację! Kennedy mówi: „Nie uderzać drugi raz”. I nie wysła żadnych oddziałów amerykańskich na pomoc naszym chłopcom!

Pete wycelował swoje magnum przez okno. Plomień wytrącił mu je z rąk. Rekiny kłębiły się w wodzie. Spasiony komuch wymachiwał odpiłowaną głową.

## 68

(Prowincja w Gwatemali, 18 kwietnia 1961)

Ich pokój sąsiadował z pomieszczeniem radiostacji. Doniesienia o inwazji przenikały nieproszone przez ściany. Marcello próbował usnąć. Littell usiłował czytać o prawie deportacyjnym.

Kennedy odmówił wydania rozkazu powtórnego nalotu. Powstańcy zostali schwytani i wymordowani na plaży.

Oddziały rezerwy wykrzykiwały: ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE! ŚWINIE!. Było je słychać w całym kwartale baraków.

Prawicowy obłęd — trochę ogłupiający. Trochę pocieszający — zauważalny wzrost pogardy dla Johna F. Kennedy'ego.

Littell patrzył, jak Marcello przewraca się z boku na bok. Zajmował wspólny pokój z mafiosem — trochę zaskakujące.

Farsa trwała. Carlos przejrzał kolumny liczb i rozpoznał własne transakcje. Jego wdzięczność natychmiast wzrosła. Miał coraz większe długi. Zawdzięczał swoje bezpieczeństwo bylemu pogromcy przestępców z FBI.

Rano zadzwonił Guy Banister. Powiedział, że dowiedział się z bezpośrednio źródła: Bobby Kennedy wie, że Carlos ukrywa się w Gwatemali. I zastosował nacisk dyplomatyczny. Premier Gwatemali płaszczył się przed nim. Carlos będzie deportowany — „ale nie natychmiast”. Banister kiedyś nazywał Littella ciotą. Teraz przez telefon mówił prawie z szacunkiem.

Marcello zaczął chrapać. Zwiślał z żołnierskiej pryczy w jedwabnej piżamie z monogramem.

Littell usłyszał obok krzyki i odgłosy uderzeń. Wyobraził sobie mężczyzn walących w deski i kopiących przedmioty.

„To kłeska”/”Ten tchórzliwy gnojek”/”Nie wyśle samolotów ani okrętów, żeby zbombardowały plażę”.

Littell wyszedł. Żołnierze skandowali coś nowego.

**KENNEDY NIE MÓW NIE! POZWÓL NAM RUSZYĆ TAM!**

Krążyli po kwartale. Pili dżin i wódkę. Łykali pigułki i kopali aptekarskie słoje, jakby to były piłki. Kwatery oficerów zostały splądrowane. Drzwi apteki staro na miazgę.

**KENNEDY NIE MÓW NIE! POZWÓL NAM RUSZYĆ TAM!**

Littell wszedł do środka i sięgnął po telefon. Dwanaście cyfr połączyło go z Taxi-Tygrys. Odezwał się męski głos:

— *Si?* Tu postój.

— Szukam Kempera Boyda. Powiedz mu, że dzwoni Ward Littell.

— *Si.* Jedną chwilę.

Littell rozpiął koszulę — było okropnie wilgotno. Carlos mamrotał coś przez sen.

Odezwał się Kemper: — Co jest, Ward?

— A co u ciebie? Zdenerwowany jesteś.

— W całej kubańskiej dzielnicy trwają zamieszki, a inwazja nie idzie tak, jak powinna. Ward, o co...?

— Słyszałem, że rząd Gwatemali szuka Carlosa. Bobby Kennedy wie, że on tu jest, i myślę, że powinniśmy się gdzieś przenieść.

— Zróbcie tak. Wynajmij mieszkanie poza Gwatemala City i zadzwoń do mnie na ten numer. Powiem Chuckowi Rogersowi, żeby po was przyleciał i gdzieś was zawiózł. Ward, nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń, jak...

Połączenie zostało przerwane. Nadwężone kable — trochę irytujące. Trochę zabawne — Kemper C. Boyd trochę zdenerwowany.

Littell wyszedł. Wykrzykujący żołnierze byli znacznie bardziej niż *trochę* wkurzeni.

KENNEDY JEST FIUT! BOI SIĘ FIDELA CASTRO!

## 69

(Miami, 18 kwietnia 1961)

Kemper mieszał narkotyki. Néstor mieszał truciznę. Pracowali przy dwóch zsuniętych razem biurkach. Mieli dyspozytornię dla siebie. Fulo zamknął Taxi-Tygrys o 18.00 i dał kierowcom wyraźne polecenie: jechać na miejsca zamieszek i kastrować zwolenników Fidela.

Kemper i Néstor pracowali. Ich linia produkcyjna złotych strzałów poruszała się wolno. Mieszali strychninę z białym proszkiem podobnym do heroiny. Pakowali w pojedyncze plastikowe woreczki.

Mieli włączone radio. Płynęły z niego okrutne doniesienia o liczbie zabitych.

*Cicho sza!* poszło wczoraj do druku. Lenny zadzwonił do niego po szczegóły. Artykuł opisywał oszałamiające zwycięstwo w Zatoce Świń.

Jack *wciąż* mógł przeforsować zwycięstwo. Przedawkowania zniesławiają Castro, WÓZ ALBO PRZEWÓZ.

Włamali się do meliny dwa dni wcześniej — mały zwiad bez żadnego ryzyka. Znaleźli dwieście torebek z herą upchniętych za kaloryferem. Don Juan Pimentel dał im dokładne wskazówki. Jego śmierć wyeliminowała zeznania świadka.

Néstor przygotował działkę. Kemper naciągnął strzykawkę i zrobił próbę. Wydostała się mleczna ciecz. Néstor powiedział:

— Wygląda podobnie. Myślę, że *negritos*, którzy to kupią, dadzą się wpuścić w maliny.

— Chodźmy do tamtej meliny. Musimy zrobić podmianę jeszcze dziś.

— Tak. I musimy się modlić, żeby prezydent Kennedy zaczął działać odważniej.

Burza wpełchnęła zamieszki do budynków. Samochody policyjne stały przed połową klubów nocnych na Flagler i poza nią.

Podjechali do budki telefonicznej. Néstor wybrał numer meliny i długo słuchał wolnego sygnału. Dom stał dwie przecznice dalej. Pokręcili się wokół. Była to ulica kubańskiej klasy średniej — domki z niewielkimi ogródkami od frontu i zabawkami na trawniku.

Melina była budynkiem w hiszpańskim stylu. Stała cicha i ciemna, jak to późno w nocy. Żadnych lamp. Żadnych samochodów na podjeździe. Żadnego odbłasku telewizora z salonu.

Kemper zaparkował przy krawężniku. Drzwi nie otworzyły się, nikt nie odchylił zasłon. Néstor sprawdził walizkę.

— Tylnymi drzwiami?

— Nie chcę znowu ryzykować. Ostatnim razem zamek prawie się rozleciał.

— Więc jak masz zamiar wejść?

Kemper założył rękawiczki.

— W kuchennych drzwiach wbudowano wejście dla psa. Wczołgasz się do środka i przekręcisz klamkę.

— Wejście dla psa oznacza, że jest i pies.

— Ostatnim razem nie było.

— To jeszcze nic nie znaczy.

— Fulo i Teo obserwowali to miejsce. Są pewni, że nie ma psa.

Néstor naciągnął rękawiczki.

— No to chodźmy.

Weszli po podjeździe. Kemper rozglądał się co kilka sekund. Niskie burzowe chmury zapewniały im dodatkową osłonę. Wejście było idealne dla dużych psów i małych mężczyzn. Néstor schylił się i wpełzł do środka.

Kemper dopasowywał rękawiczki. Néstor otworzył drzwi od wewnątrz. Zamknęli się. Zdjęli buty. Przeszli przez kuchnię i podeszli do grzejnika. Zrobili trzy kroki w przód i cztery w prawo — Kemper ostatnim razem dokładnie wymierzył odległości.

Néstor trzymał latarkę. Kemper odsunął panel. Torebki leżały identycznie jak poprzednio. Néstor przeliczył je. Kemper otworzył walizkę i wyjął polaroid. Néstor powiedział:

— Dokładnie dwie setki.

Kemper zrobił z bliska zdjęcie. Czekali. Z aparatu wysunęła się odbitka. Kemper przylepił ją do ściany i oświetlił latarką. Néstor podmieniał torebki. Odwzorowywał sposób ułożenia łącznie z drobnymi zagięciami.

Pot kapął im aż na podłogę. Kemper wytarł ją do sucha. Néstor powiedział:

— Zadzwonimy do Pete'a i dowiedzmy się, jak się sprawy mają.

Kemper odrzekł:

— I tak nic nie możemy zrobić.

Jack, proszę...

Ustalili, że będą obserwować dom z samochodu do świtu. Tutejsi mieszkańcy parkowali na ulicy — impala Néstora nie będzie rzucała się w oczy. Położyli oparcia foteli i obserwowali budynek. Kemper wyobrażał sobie, w jaki sposób Jack może zachować twarz.

Proszę, przyjdź do domu i weź towar. *Proszę, sprzedaj go szybko, żeby nasza propaganda prasowa okazała się prawdą.*

Néstor przysnął. Kemper wyobrażał sobie bohaterów z Zatoki Świń. Jakiś samochód zatrzymał się na podjeździe. Trzaśnięcie drzwi obudziło Néstora.

Kemper zakrył mu usta.

— Cśśś. Tylko patrz.

Dwóch mężczyzn podeszło do domu. Zapalili światło na zewnątrz. Weszli. Kemper poznał ich. Byli zwolennikami Castro i agitatorami, posądzanymi o maczanie palców w narkobiznesie. Néstor wskazał na samochód.

— Nie zgasili silnika.

Kemper obserwował drzwi. Mężczyźni zamknęli je na klucz, kiedy już wyszli z dużą aktówką. Néstor otworzył okno. Kemper usłyszał hiszpański. Néstor tłumaczył:

— Jadą do klubu sprzedać towar.

Mężczyźni wsiedli do samochodu. Zapalili światło. Kemper zobaczył ich twarze tak dokładnie, jak w dzień. Kierowca otworzył teczkę. Pasażer rozwinął jedną działkę i wciągnął nosem.

Skrzywił się. Dostał skurczów. I konwulsji...

ZABRAĆ TO Z POWROTEM. NIE SPRZEDADZĄ TEGO TERAZ...

Kemper wysiadł z samochodu i pobięł podjazdem. Wyciągnął pistolet i mierzył w samochód. Facet, który przedawkował, konwulsyjnym kopnięciem wybił przednią szybę. Kemper wycelował w kierowcę. Jego kompan rzucił się i znalazł się na linii strzału. Kierowca wyciągnął pistolet i wypalił. Kemper strzelił prosto w niego. Néstor podbiegł z bronią — dwa strzały rozbiły boczne okno i uszkodziły część dachu.

Kemper dostał. Rykoszety pozbawiły twarzy mężczyznę w konwulsjach. Néstor strzelił kierowcy w plecy, a ten upadł na kierownicę.

Zawył klakson — AAA-OOO-AAA, AAA-OOO-AAA — GŁOŚNO, BARDZO GŁOŚNO.

Kemper strzelił kierowcy w twarz. Stłukł mu okulary i porwał perukę. Klakson dalej wył. Néstor odstrzelił kierownicę. Przeklęty klakson rozbrzmiewał JESZCZE GŁOŚNIEJ.

Kemper widział, że obojczyk sterczy mu przez koszulę. Zataczał się na podjeździe, ocierając z oczu czyjąś krew. Néstor wziął go na plecy i zaniósł do samochodu.

Kemper słyszał dźwięk klaksonu. Widział gapiów na chodniku. Widział kubańskich włóczęgów przy samochodzie śmierci — plądrujących aktówkę. Kemper krzyczał. Néstor podłożył mu pod nos prawdziwą herę.

Zakrztusił się i kichnął. Serce zaczęło mu bić szybciej. Wykaszłał sporo ciemnoczerwonej krwi.

Néstor ostrzelał samochód. Gapie rozbiegli się, szukając kryjówek. Ta dziwna kość opadała pod tak dziwnie prostym kątem...

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.04.1961. Nagłówek w *Des Moines Register*:  
**POWIĄZANIA USA Z NIEUDANYM ZAMACHEM STANU**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.04.1961. Nagłówek w *Los Angeles Herald-Express*:

**PRZYWÓDCY ŚWIATOWI GANIĄ  
„BEZPRAWNĄ INTERWENCJĘ”**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.04.1961. Nagłówek w *Dallas Morning News*:

**KENNEDY WYKLETY ZA  
„NIEPRZEMYŚLANĄ PROWOKACJĘ”**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.04.1961. Nagłówek i podtytuł w *San Francisco Chronicle*:

**FIASKO W ZATOCE ŚWIŃ  
POTEPIONE PRZEZ SOJUSZNIKÓW USA  
CASTRO TRIUMFUJE. LICZBA ZABITYCH REBELIANTÓW ROŚNIE**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.04.1961. Nagłówek i podtytuł w *Chicago Tribune*:

**KENNEDY BRONI DZIAŁAŃ W ZATOCE ŚWIŃ  
PRESTIŻ PREZYDENTA MALEJE W OPINII ŚWIATOWEJ**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.04.1961. Nagłówek i podtytuł w *Cleveland Plain Dealer*:

**CIA OBWINIANA ZA PORAZKĘ W ZATOCE ŚWIŃ  
PRZYWÓDCY UCHODźCÓW OBWINIAJĄ  
„TCHÓRZOSTWO KENNEDY'EGO”**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.04.1961. Nagłówek i podtytuł w *Miami Herald*:

**KENNEDY: „KOLEJNY NALOT MÓGŁ WYWOŁAĆ  
TRZECIĄ WOJNĘ ŚWIATOWĄ”  
SPOŁECZNOŚĆ UCHODźCÓW ODDAJE CZEŚĆ  
POLEGŁYM I POJMANYM BOHATEROM**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.04.1961. Nagłówek i podtytuł w *New York Journal-American* :

**KENNEDY BRONI DZIAŁAŃ W ZATOCE ŚWIŃ  
CZERWONI PRZYWÓDCY POTĘPIAJĄ „IMPERIALISTYCZNĄ AGRESJĘ”**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.04.1961. Artykuł z magazynu *Cicho sza!* napisany przez Lenny'ego Sandsa pod pseudonimem Niezrównany Politykier.

**TCHÓRZLIWY KASTRAT CASTRO USUNIĘTY!  
WYCOFUJĄCY SIĘ CZERWONI BIORĄ ODWET TRUTKĄ NA SZCZURY!**

Jego pełne nienawiści czerwone panowanie trwało dwa zgniłe lata. Wykrzyczymy to głośno, dumnie i bez ogródek: Fidel Castro, krzaczastobrody bard bitników i notoryczny oszust, został w zeszłym tygodniu ostatecznie i dramatycznie zdetronizowany przez bohaterską grupę stęsknionych za krajem bojowników, przepelnionych goryczą z powodu gwałtu dokonanego przez czerwonych recydywistów na ich narodzie!

Nazwijcie to D-Day 1961, moi mili. Nazwijcie Zatokę Świń Karaibską Kartaginą, Playa Girón — Patriotycznym Partenonem. Powiedzcie, że Castro jest osłabiony i ogolony — mówią, że zgolił brodę, żeby nie zostać rozpoznany przez żądających zadośćuczynienia!

Fidel Castro: upadły Samson 1961! Jego deliryczne Dalile: bogobojni, czerwono-biało-niebiescy kubańscy mściciele-bohaterowie!

Castro i jego mordercze i wrogie machinacje: kategorycznie zakończone, miażdżąco pokonane raz na zawsze. Jednak złośliwe a niezręczne knowania Potwora wciąż dramatycznie dręczą Miami!!!!

Punkt pierwszy: Fidel Castro marzy o obfitości gotówki — forsy, dzięki której ucieknie i z której będzie mógł później radośnie finansować swoje matactwa!

Punkt drugi: Fidel Castro krwio pijczo krytykuje amerykański egalitaryzm i obecną politykę rasową, wyrzucając amerykańskiemu przywódcom, że przez lata zaniedbywali obywateli murzyńskich.

Punkt trzeci: jak wcześniej stwierdzono, Fidel Castro i jego wywrotowy brat Raúl sprzedają śmiertelnie zanieczyszczoną heroinę w Miami.

Punkt czwarty: ponieważ Zatoka Świń była dla Castro jego Waterloo, ten kłamliwy kundel wysłał swoich podłych zauszników, żeby zaminowali murzyńską dzielnicę Miami heroiną zaprawioną trutką na szczury! Wielu ciemnoskórych narkomanów wstrzyknęło sobie ten koszmarny komunistyczny koktajl i umarło potępieńczo okrutną śmiercią!

Punkt piąty: ten numer został niezwłocznie wysłany do druku, aby czytelnicy *Cicho sza!* nie pozostali z gryzącą tęsknotą za naszymi niesamowitymi frazesami o Playa Girón. W związku z tym nie możemy wymienić nazwisk wspomnianych Murzynów ani zaofiarować szczegółów ich śmierci. Te informacje pojawią się w kolejnych wydaniach razem z naszym dodatkiem: „Wyniki rozgrywek w Republice Bananowej: Kto jest czerwony, a kto uziemiony?”.

Adios, drodzy czytelnicy — i obyśmy mogli się spotkać i wypić za wolną Kubę w okaleczonej, lecz wyzwolonej Hawanie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.05.1961. Prywatny list:

J. Edgar Hoover do Howarda Hughesa.

Drogi Howardzie,

Nie zwracasz sobie chyba ostatnio głowy *Cicho sza!*. Jeśli obejrzysz wydanie z 24 kwietnia, zobaczysz, że poszło do druku co najmniej przedwcześnie i, co gorsza, na skutek ignorancji albo i kryminalnych zamiarów.

Czy pan L. Sands posiada może fałszywe informacje o przyszłych wydarzeniach, które nie sposób przewidzieć? Jego artykuł wspomina o znacznej ilości przedawkowań heroiny wśród Murzynów w Miami, a moje kontakty z tamtejszą policją o niczym takim nie wspominają.

Aczkolwiek dziewięcioro kubańskich nastolatków zmarło na skutek wstrzyknięcia zatrutej heroiny. Moje kontakty doniosły, że 18 kwietnia dwóch młodych Kubańczyków ukradło aktówkę zawierającą sporą ilość toksycznej heroiny z samochodu zamieszanego w niewyjaśnioną strzelaninę, w której zginęło dwóch ich rodaków.

Mój informator wspominał o dziwnie proroczym (jeśli nie historycznie niepoprawnym) artykule z *Cicho sza!*. Powiedziałem mu, że najwyraźniej był to po prostu zbieg okoliczności, i chyba to wyjaśnienie go zadowoliło. Radzę nakazać panu Sandsovi, aby szybko napisał sprostowanie. *Cicho sza!* nie powinno publikować science fiction, chyba że będzie to leżeć w naszym interesie.

Wszystkiego dobrego, Edgar



ZAŁĄCZNIK DO AKT- .8.05.1961. Ramka w *Miami Herald*:

PREZYDENT ZWOŁUJE SPOTKANIE NA WYSOKIM SZCZEBLU W CELU OCENY PORAŻKI W ZATOCE ŚWIŃ

Nazywając nieudaną inwazję kubańskich uchodźców w Zatoce Świń „gorzką lekcją”, prezydent Kennedy oświadczył dzisiaj, że ma zamiar wyciągnąć z niej wnioski.

Prezydent oznajmił na nieoficjalnym spotkaniu z dziennikarzami, że powołał grupę analityków, która ma zgłębić przyczyny, dla których inwazja w Zatoce Świń zakończyła się porażką, oraz ocenić politykę stosunków USA z Kubą w świetle tego, co nazwał „katastrofalnie kłopotliwym epizodem”. Grupa ta przesłucha ludzi, którzy ocalili w Zatoce Świń, personel Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz rzeczników licznych organizacji skupiających przeciwników Castro, które mnożą się na Florydzie. W skład grupy analityków wejdzie admirał Arleigh Burke i generał Maxwell Taylor. Przewodniczącym zostanie prokurator generalny Robert F. Kennedy.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.05.1961. Prywatny list:

Robert F. Kennedy do Kempera Boyda.

Drogi Kemperze,

Nie cierpię zajmować rannego człowieka pracą, ale wiem, że jesteś silny, wracasz szybko do zdrowia i nie możesz się doczekać powrotu do obowiązków w Departamencie Sprawiedliwości. Okropnie się czuję, wiedząc, że naraziłem Cię na takie niebezpieczeństwo, więc dzięki Bogu, że masz się lepiej.

Mam dla Ciebie następne zadanie, które lokalizacją pasuje do Twojej pracy w Anniston i okazjonalnych wyjazdów do Miami dla pana Hoovera. Prezydent powołał grupę do zbadania bałaganu w Zatoce Świń i kubańskiej kwestii w ogóle. Będziemy spotykać się z władzami CIA, oficerami odpowiedzialnymi za akcje, z ocalałymi z Zatoki Świń oraz reprezentantami wielu organizacji uchodźców sponsorowanych (lub nie) przez CIA. Jestem przewodniczącym tej grupy i chcę, żebyś był moim łącznikiem z kontyngentem CIA w Miami i jej kubańskimi oddziałami.

Myślę, że nadajesz się do tej pracy, mimo iż Twoja ocena gotowości do inwazji okazała się błędna. Powinieneś wiedzieć, że ani prezydent, ani ja nie winimy Cię za niepowodzenie inwazji. Na tym etapie oceny sędzę, że winić powinniśmy nadgorliwych ludzi z CIA, niechlujne zabezpieczenie i zwyczajnie błędną kalkulację stopnia niezadowolenia na Kubie.

Wypocznij dobrze w Miami. Prezydent przesyła Ci najlepsze życzenia i obaj uważamy, że to ironia losu sprawiła, iż czterdziestopięcioletni mężczyzna, który

przez całe życie stawał czoło niebezpieczeństwu, został zraniony zabłąkaną kulą wystrzeloną przez nieznanego napastnika podczas zamieszek.

Wracaj do zdrowia i zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu.

Bob

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.05.1961. Identyczne notatki służbowe:

Dyrektor FBI J. Edgar Hoover do szefów okręgów w Nowym Jorku, Los Angeles, Miami, Bostonie, Dallas, Tampa, Chicago i Cleveland.

Wszystkie oznaczone: TAJNE A-1 / ZNISZCZYĆ PO PRZECZYTANIU.

Szanowny Panie...

Pańskie nazwisko zostało usunięte z niniejszej korespondencji ze względów bezpieczeństwa. Proszę traktować tę notatkę jako ściśle tajną i zwrócić się do mnie osobiście po spełnieniu następujących poleceń.

Proszę nakazać swoim najbardziej zaufanym agentom programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”, aby zwiększyli wysiłki w zakładaniu podsłuchów w znanych miejscach spotkań grup przestępczości zorganizowanej. Proszę traktować to priorytetowo. Nie zgłaszać informacji dotyczących tej operacji w istniejących kanałach Departamentu Sprawiedliwości. Przekazywać raporty ustne i pisemne wyłącznie mnie. Traktować tę operację jako samodzielną i niezleconą przez Departament Sprawiedliwości.

JEH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.05.1961. Reportaż w *Orlando Sentinel*:

### **NIEZWYKŁA ODYSEJA CARLOSA MARCELLO**

Nikt chyba nie wie, gdzie urodził się ten człowiek. Panuje przekonanie, że (domniemany) boss mafii Carlos Marcello urodził się albo w Tunisie w Północnej Afryce, albo gdzieś w Gwatemali. Najwcześniejsze wspomnienia Marcella nie wskazują na żadne z tych miejsc. Pamięta swoją przybraną ojczyznę, Stany Zjednoczone Ameryki, kraj, z którego Robert F. Kennedy deportował go 4 kwietnia bieżącego roku.

Carlos Marcello: człowiek bez ojczyzny.

Jak powiedział nam Marcello, samolot amerykańskiej Straży Granicznej wywiózł go z Nowego Orleanu i pozostawił niedaleko Gwatemala City w Gwatemali. Mówił, że uciekł im z lotniska i ukrywał się w „różnych dziurach” z towarzyszącym mu prawnikiem, gorączkowo próbującym legalnie wysłać go do domu i imperium, z którego miał rocznie (domniemane) trzy miliony dolarów zysku. W międzyczasie Robert F. Kennedy korzystał z anonimowych informacji, które lokowały (domniemanego) bossa mafii w różnych miejscach Luizjany.

Informacje te nie potwierdziły się. Kennedy zdał sobie sprawę, że od chwili „śmiałej ucieczki” Marcello ukrywa się w Gwatemali, korzystając z protekcji tamtejszego rządu.

Kennedy zastosował nacisk dyplomatyczny. Premier Gwatemali ugiął się i nakazał policji wszczęcie poszukiwań Marcella. (Domniemany) sułtan mafii i jego prawnik zostali znalezieni w wynajętym mieszkaniu niedaleko Gwatemala City. Obu natychmiast deportowano do Salwadoru.

Tam chodzili obaj od wsi do wsi, jedli w zapyziałych spelunkach i spali w rudkach. Prawnik próbował skontaktować się z podwładnym Marcella, pilotem, który mógłby przewieźć ich do lepszej kryjówki. Ten był nieosiągalny, więc Marcello i jego adwokat, obawiając się kolejnej deportacji, szli dalej.

Robert F. Kennedy i prawnicy z Departamentu Sprawiedliwości przygotowali dokumenty. Prawnik Marcella pisał odwołania i telefonował do zespołu prawników (domniemanego) mafijnego paszy w Nowym Jorku. Pilot Marcella pojawił się znikąd i (według poufnego źródła reportera) przewiózł swoich towarzyszy z Salwadoru do Matamaros w Meksyku, lecąc na wysokości drzew, żeby uniknąć wykrycia radarem.

Stamtąd Marcello i prawnik dotarli pieszo do granicy. (Domniemany) maharadza mafijny zgłosił się do Centrum Zatrzymań Straży Granicznej w McAllen w Teksasie, przekonany, że apelacje trzech sędziów pozwolą mu zwolnić się za kaucją i pozostać w Ameryce.

Przekonania te okazały się prawdą. Marcello wyszedł w zeszłym tygodniu z sądu jako wolny człowiek — aczkolwiek człowiek nawiedzany nieprzyjemnym wspomnieniem bezdomności.

Departament Sprawiedliwości oficjalnie oświadczył dziennikarzom, że sprawa deportacji Marcella może ciągnąć się przez lata. Spytany o ewentualny kompromis, prokurator generalny Kennedy odpowiedział: „Jest możliwy, o ile Marcello zgodzi się pozostawić swój amerykański majątek i przenieść się do Rosji albo Mozambiku”.

Odyseja Carlosa Marcello trwa...

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.05.1961. Prywatny list:

Kemper Boyd do Johna Stantona.

John,

Dziękuję za gin i wędzonego łososia. Szpitalne jedzenie nijak się do nich nie umywa, więc jestem naprawdę wdzięczny.

Jestem w Anniston od 12 maja. Młodszy Brat nie uznaje rekonwalescencji, więc śledzę bojowników o wolność i zbieram materiał dla jego Kubańskiej Grupy Analitycznej. (Możemy podziękować N. Chasco za to, że umieścił mnie w

szpitalu bez powiadamiania policji. Néstor świetnie przekupuje dwujęzycznych lekarzy.)

Praca dla Grupy Analitycznej nie daje mi spokoju. Byłem zaangażowany w Sprawę od momentu jej narodzin, a jedno słowo szepnięte Młodszemu Bratu zniszczy mnie w oczach ich obu, zdyskredytuje jako prawnika i nie pozwoli dostać żadnej pracy w policji ani agencjach wywiadowczych. Powinieneś wiedzieć, że umyślnie szukam uchodźców, których wcześniej nie spotkałem i którzy nie wiedzą, iż pracuję również dla Agencji. Redaguję ich zeznania w taki sposób, żeby pokazać plany inwazji Agencji w jak najlepszym świetle. Jak wiesz, Starszy Brat stał się zagorzałym przeciwnikiem Agencji. Młodszy Brat podziela jego niechęć, ale wyraża również prawdziwy entuzjazm dla Sprawy. To mnie pociesza, ale muszę ponownie podkreślić absolutną konieczność tuszowania wszelkich więzów między mafią, uchodźcami i Agencją, co teraz staje się bardziej kłopotliwe.

Mam zamiar wycofać się z kontraktu dla Agencji i skoncentrować się wyłącznie na swych dwóch zadaniach dla Departamentu Sprawiedliwości. Czuję, że mogę najlepiej służyć Agencji, pracując jako bezpośredni łącznik między nią a Młodszym Bratem. Ponieważ kwestia kubańska podlega wnikliwej analizie politycznej, im bliżej pozostają twórców tej analizy, tym lepiej mogę służyć Agencji i Sprawie.

Interesy naszej Kadry wciąż przynoszą duże dochody. Ufam, że dzięki zdolnościom Fullo i Néstora tak pozostanie. Santo mówi, że nasi włoscy współpracownicy będą wpłacać znaczne darowizny. Playa Girón dała wszystkim przedsmak tego, co mogłoby się zdarzyć. Nikt nie chce się teraz zatrzymać. Czy nasze życie nie byłoby o wiele prostsze, gdyby Młodszy Brat nie nienawidził tak bardzo Włochów?

Twój Kemper

70

(Miami/Blessington, czerwiec — listopad 1961)

**W**Taxi-Tygrys wisiała duża tarcza do rzutek. Kierowcy wieszali portrety Fidela Castro i dziurkowali je na confetti.

Pete miał swoje prywatne cele. Na przykład Ward Littell. Obecnie chłopak Carlosa Marcello — związany z mafią i nietykalny. Na przykład Howard Hughes — jego *były* szef i dobroczyńca. Bo Hughes wylał go. Lenny Sands mówił, że zmusili go mormoni. Przyczyniła się do tego porażka w *Cicho sza!*

Boyd był wtedy w szpitalu, na morfinie. Nie mógł zadzwonić do Lenny'ego i powiedzieć: „Wstrzymaj ten numer”. Lenny zaś był całkowicie pochłonięty jakimś chłopaczkiem. Nie wiedział, że inwazja nie wypaliła.

Drakula kochał swoich mormonów. Szef mormonów, Duane Spurgeon, miał jakieś narkotykowe konszachty. Drakula mógł latać teraz Narko Airlines bez biletu Pete'a Bonduranta.

Dobra wiadomość: Spurgeon miał raka. Zła wiadomość: Hughes utopił *Cicho sza!*

Artykuł o Zatoce Świń i zatrutych narkotykach wpadł w ogień krytyki. Hughes wciąż trzymał Lenny'ego na liście płac, żeby pisał mu *prywatnie* obelżywe artykuły. Artykuły te zawierałyby zbyt wiele obelg, żeby podawać je do wiadomości publicznej. Miałyby być czytane wyłącznie przez dwie osoby: Drakulę i J. Edgara Hoovera.

Drakula płacił Lenny'emu pięć stów tygodniowo. Dzwonił do niego co wieczór. Lenny miał dość Drakuli i jego fantazji: „Chcę do Las Vegas!”.

Hughes i Littell na jego tarczy rzutek to była przykrywka. Główny cel to prezydent John F. Kennedy.

Który: wahał się, wykręcał, wił, spieprzył sprawę i wycofał z Zatoki Świń.

Który: płaszczył się, pełzał, sikał po nogach, płakał jak wystraszone dziecko i pozwolił Kubie pozostać państwem komunistycznym.

Który: nie mógł się zdecydować, trząsał się i bał, podczas gdy zarzynano jedenaście ludzi z Blessington.

To *on* powiadomił Jacka o brudnej pożyczce Hughes/Nixon. *On* podpisał temu skurwysynowi kredyt na Biały Dom. Układ o dochodach z kasyn Boyda i Bonduranta — prawie tak samo *au courant* jak Śliski Dick Nixon.

Agencja klonowała uchodźców-twardzieli. Ślizgacze wciąż dopływały do wybrzeży Kuby. Ale to wszystko było jak pierdnięcie dziecka wobec huraganu.

Jack mówił, że ponowna inwazja jest „całkiem możliwa”. Ale nie poda konkretnej daty ani nie wyjdzie poza mglistą retorykę.

Jack to pieprzony tchórz. Jack to dupa wołowa.

Blessington wciąż było w stanie gotowości. Narkotykowy interes Kadry wciąż kwitł. Fulo przekupił świadków postrzelenia Boyda — czterdziestu ludzi dostało tłuste dniówki.

Néstor uratował Boyda. Néstor nie znał strachu. Néstor raz na tydzień pojawiał się w Hawanie, licząc na to, że natknie się na Brodacza.

Wilfredo Delsol prowadził postój. Zachowywał się teraz porządnie. Jego tańiec w roli zwolennika Castro był niczym więcej jak dwuminutowym taniem. Jimmy Hoffa co jakiś czas wpadał na postój. Był przeciwnikiem Kennedy'ego numer jeden — z jednej cholernej przyczyny. Bobby K, kazał Jimmy'emu tańczyć do melodii starego, nudnego sądowego bluesa. Jimmy'emu grunt palił się pod nogami — co objawiało się nostalgicznym wspomnianiem szantażu z Darleen Shoftel. Dlatego powiedział:

— Możemy to zrobić jeszcze raz. Mógłbym zneutralizować Bobby'ego, dobierając się do Jacka. Przecież Jack wciąż lubi dziwki.

Jimmy wytrwale poruszał ten temat. Jak echo grzmiał nienawiścią podzielną przez całą mafię.

Sam G, rzekł na to: — Przeklinam dzień, w którym kupiłem Jackowi Illinois.

A Heshie Ryskind dodał: — Kemper Boyd lubił Jacka, więc myśleliśmy, że musi być koszerny.

Boyd był teraz potrójnym albo poczwórnym agentem. Boyd mówił, że cierpi na bezsenność. Boyd twierdził, że wymyślanie kłamstw nie daje mu w nocy spać. Boyd był łącznikiem Kubańskiej Grupy Analityków. Boyd dostał urlop z Kadry — miało mu to uprościć życie. Boyd karmił Bobby'ego urobionymi informacjami na temat CIA. Boyd karmił CIA tajemnicami Grupy Analitycznej. Boyd naciskał na Bobby'ego i Jacka. Boyd nalegał, żeby zamordować Castro i zarządzić ponowną inwazję. Bracia nie zgodzili się. Boyd mówił, że Bobby jest większym zwolennikiem Sprawy niż Jack — ale tylko do pewnej niejasnej granicy.

Jack powiedział: „Żadnej ponownej inwazji”. Jack odmówił wydania zgody na załatwienie Brodacza. Grupa Analityczna wymyśliła alternatywę o nazwie Operacja Mangusta. Było to miłe dla ucha, niezobowiązująca terminologia. Przejmijmy Kubę jeszcze w tym stuleciu. Oto 50 milionów rocznie — brać, CIA, brać!

Mangusta dała początek „JM/Fala”. Była to zaszyfrowana nazwa sześciu budynków w kampusie uniwersyteckim Miami. „JM/Fala” oznaczała eleganckie pokoje i najnowsze warsztaty pracy śledczej. „JM/Fala” była szkółką dla dziwaków.

Brać, CIA, brać. Monitorujcie grupy uchodźców, ale nie działajcie zbyt zdecydowanie — mogłoby to popsuć notowania Jacka Fryzury w badaniach opinii publicznej.

Boyd wciąż uwielbiał Jacka. Za bardzo, żeby go przejrzeć. Boyd mówił, że kocha swoją pracę z Murzynami — bo nie było tam żadnych podstępów. Boyd

miał problemy ze snem. To błogosławieństwo, Kemper — nie chciałbyś przeżywać moich klaustrofobicznych koszmarów.

## 71

(Waszyngton, D.C., czerwiec — listopad 1961)

Uwielbiał swoje biuro. Kupił mu je Carlos Marcello. Był to przestronny trzypokojowy apartament w budynku bardzo blisko Białego Domu. Urządził je profesjonalista. Dębowe ściany i zielona skóra wyglądały niemal jak w gabinecie Julesa Schiffrina.

Nie miał recepcjonistki ani sekretarki. Carlos nie wierzył w dzielenie się tajemnicami.

Dzięki Carlosowi zatoczył pełne koło. Byłe Widmo z Chicago było teraz prawnikiem mafii. Wszystko do siebie pasowało. Powierzył swój los człowiekowi, z którym dzielił nienawiść. Kemper pomógł temu związkowi. Wiedział, że będzie z tego chleb.

Dzięki Johnowi F. Kennedy'emu Kemper również zatoczył pełne koło. Obaj byli czarującymi, nieskomplikowanymi mężczyznami, którzy nigdy nie dorośli. Kennedy wysłał opryszków do obcego kraju i zdradził ich, kiedy zorientował się, jak cała sprawa wygląda. Kemper bronił jednych Murzynów, a innym sprzedawał heroinę.

Carlos Marcello grał w tę samą grę. Wykorzystywał ludzi i pilnował, by grali według jego zasad. Carlos wiedział, że zapłaci za swoje życie wiecznym potępieniem.

Przeszli razem setki kilometrów. Chodzili na msze w miasteczkach w dżungli i dawali niebotycznie wysokie ofiary. Szli sami. Bez żadnych ochroniarzy i sługusów. Jedli w gospodach. Kupowali lunch całym wioskom. Przy posiłkach pisał odwołania od deportacji i przekazywał je telefonicznie do Nowego Jorku.

Chuck Rogers przewiózł ich do Meksyku. Carlos powiedział:

— Ufam ci, Ward. Jeśli powiesz „ujawnij się”, zrobię to.

Wypełnił obietnicę. Trzech sędziów zbadało dowody i wypuściło Marcelła za kaucją. Podziwiano błyskotliwe odwołania Littella. Wdzięczny Carlos umówił go z Jamesem Riddle'em Hoffą. Jimmy był przyjaźnie usposobiony — Carlos oddał

mu księgi Funduszu i opisał okoliczności temu towarzyszące. Hoffa stał się jego drugim klientem. Robert Kennedy pozostawał jedynym adwersarzem.

Pisał wytyczne dla oficjalnych adwokatów Hoffy. Efekty potwierdziły jego kunszt.

Lipiec 1961: odrzucono drugi wyrok skazujący w sprawie Słonecznej Doliny. Wytyczne Littella wykazały, że ława przysięgłych została wybrana w niewłaściwy sposób.

Sierpień 1961: ława przysięgłych sądu w Południowej Florydzie została powalona na kolana. Wytyczne Littella wykazały, że dowody zostały uzyskane podstępem.

Zatoczył pełne koło.

Przestał pić. Wynajął piękne mieszkanie w Georgetown i w końcu złamał szyfr ksiąg funduszu. Liczby i litery zamieniały się w słowa. Słowa zamieniały się w nazwiska — wszystkie można było znaleźć w policyjnych aktach, książkach telefonicznych i publicznych wykazach finansowych.

Tropił je dokładnie cztery miesiące. Śledził nazwiska sławnych ludzi, polityków, kryminalistów i takie, które nic mu nie mówiły. Szukał w nekrologach i kartotekach policyjnych. Do znużenia sprawdzał nazwiska, daty i liczby i zestawiał wszystkie adekwatne dane.

Śledził nazwiska łączące się z liczbami, które z kolei odnajdywały się w publicznych sprawozdaniach akcjonariuszy. Spisywał nazwiska i liczby w prywatnej kartotece — i zgromadził zawrotną tajną historię finansowych matactw.

Wśród pożyczkobiorców Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych Teamsters znajdowało się: dwudziestu czterech senatorów, dziewięciu gubernatorów, 114 kongresmanów, Allen Dulles, Rafael Trujillo, Fulgencio Batista, Anastasio Somoza, Juan Perón, laureaci Nagrody Nobla, uzależnione od narkotyków gwiazdy filmowe, lichwiarze, właściciele plajtujących fabryk, osoby z Palm Beach, artyści kabaretowi, francuscy prawnicy fanatycy z licznymi powiązaniem z Algierią i sześćdziesiąt siedem nieboszczyków — przypuszczalnie śmiertelnych ofiar Funduszu.

Głównym pożyczkodawcą był niejaki Joseph P. Kennedy senior.

Jules Schiffrin zmarł nagle. Mógł przeczuwać cichy potencjał Funduszu — machinacje poza zasięgiem pospolitych gangsterów.

On mógł uzupełnić wiedzę Schiffrina. Mógł włożyć w tę sprawę całą siłę woli.

Pięć miesięcy absolutnej trzeźwości nauczyło go jednego: możesz osiągnąć wszystko.



## CZEŚĆ IV

# HEROINA

Grudzień 1961 - Wrzesień 1963

72

(Miami, 20 grudnia 1961)

Chłopaki z Agencji nazywali to miejsce „Opalonym Uniwerkiem”. Dziewczyny w krótkich spodenkach i topach na ramiączkach pięć dni przed Bożym Narodzeniem — bez kitu.

Wielki Pete chce kobiety. Doświadczenie w szantażowaniu preferowane, ale nieko...

Boyd spytał: — Słuchasz mnie?

— Słucham i obserwuję. Fajna wycieczka, ale większe wrażenie robią na mnie studentki niż ta „JM/Fala”.

Przeszli między budynkami. Placówka operacyjna sąsiadowała z klubem sportowym dla kobiet.

— Pete, czy ty...?

— Mówiłeś, że Fulo i Néstor mogliby sami prowadzić interesy Kadry. Mówiłeś, że Lockhart złamał zasady kontraktu, żeby zorganizować swój własny Klan w Missisipi i kapować dla federalnych. Chuck zajął jego miejsce w Blessington, a *moja* nowa fucha polega na przemycaniu broni dla Guya Banistera w Nowym Orleanie. Lockhart ma pewne powiązania w handlu bronią, z których mogę skorzystać, a Guy nagabuje faceta nazwiskiem Joe Milteer, który zna pewnych ludzi w Towarzystwie Johna Bircha i pośród członków Pospolitego Ruszenia. Mają *beaucoup* pieprzonych spluw na zbyciu i Milteer będzie odpalał trochę postojowi.

Doszli do zacienionej alejki i usiedli na ławce. Pete wyciągnął nu, i obserwował salę gimnastyczną.

— To dobre miejsce dla znużonego słuchacza.

Pete ziewnął. — „JM/Fala” i Mangusta to nuda. Potyczki na wybrzeżu, handel bronią i monitorowanie grup uchodźców też prawie mnie usypiają.

Boyd usiadł okrakiem na ławce. Dzieciaki z college'u i kubańscy twardziele bratali się dwie ławki dalej.

— Opisz idealny twoim zdaniem tok zdarzeń.

Pete zapalił papierosa.

— Powinniśmy załatwić Fidela. Ja jestem za, ty jesteś za i tylko two; kumple Jack i Bobby są przeciw.

Boyd uśmiechnął się.

— Zaczynam myśleć, że powinniśmy to zrobić. Gdybyśmy znaleźli trajera, którego można by w to wrobić, prawdopodobnie nikt by nigdy nie wyszedł, że to ktoś z Agencji albo my.

— Jack i Bobby pomyśleliby tylko, że mają szczęście. Boyd skinął głową.

— Powiniennem powiedzieć o tym Santo.

— Już mu to powiedziałem.

— Spodobał mu się ten pomysł?

— Tak. Przekazał go Johnny'emu Rossellemu i Samowi G, i obaj oznajmili, że w to wchodzi.

Boyd potarł obojczyk.

— Tak zwyczajnie uzyskałeś ich zgodę?

— Nie całkiem. Pomysł spodobał im się, ale wygląda na to, że trzeuc ich jeszcze trochę przekonać.

— Może powinniśmy wynająć Warda Littella, żeby wysmażył parę wytycznych. W tej chwili jest najbardziej przekonującym facetem.

— To znaczy, że podoba ci się, jak oczarował Carlosa i Jimmy'ego.

— A tobie nie?

Pete wydmuchiwał kółka z dymu.

— Doceniam dobry powrót tak samo jak każdy, ale postawiłem kreskę na Littellu. A ty uśmiechasz się, bo twój zasmarkany braciszek w końcu zaczął zachowywać się jak kompetentny człowiek.

Przeszły obok dziewczyny z college'u. Wielki Pete chce...

Boyd odezwał się: — Pamiętasz, że on jest teraz po twojej stronie?

— Pamiętam. I pamiętam, że twój przyjaciel Jack też kiedyś był.

— Wciąż jest. I słucha Bobby'ego jak nikogo na świecie, a Bobby staje się zwolennikiem Sprawy.

Pete wydmuchiwał równiutkie kółka.

— Dobrze wiedzieć. Może to znaczy, że dostaniemy nasze pieniądze z kasyn mniej więcej wtedy, gdy pieprzony Bobby sam zostanie prezydentem.

Boyd wyglądał na rozkojarzonego. Mogły to być skutki uboczne postrzału — czasami uraz psychiczny dawał o sobie znać dopiero po jakimś czasie.

— Kemper, czy ty mnie słu...

Boyd przerwał mu:

— Przez cały czas byłeś nastawiony przeciwko Kennedym. Gotów byłeś atakować prezydenta, mimo że to on może zapewnić nam najlepsze dojście do pieniędzy z kasyn i mimo że główną przyczyną katastrofy w Zatoce Świń był brak przygotowania CIA, a nie tchórzostwo Kennedy'ego.

Pete zaśmiał się i klepnął ławkę.

— Powiniennem wiedzieć, że nie należy wyśmiewać się z twoich chłopców.

— „Chłopca”, w liczbie pojedynczej.

— Przepraszam, kurwa, chociaż ciągle nie widzę, co jest tak cholernie podniecającego w podlizywaniu się prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Boyd uśmiechnął się.

— Chodzi o miejsca, do których możesz dotrzeć.

— Jak Meridian w Missisipi, gdzie bronisz Murzynów?

— Mam teraz trochę murzyńskiej krwi. Ta, którą podali mi podczas transfuzji w szpitalu Świętego Augustyna, pochodziła od kolorowego.

Pete zaśmiał się.

— To, co masz, nazywa się kompleksem Wielkiego Białego Bwany.

Masz swoich kubańców i czarnych i uważasz się za arystokratycznego zbawcę południa.

Boyd spytał: — Skończyłeś?

Pete mrugnął do wysokiej brunetki.

— Tak, skończyłem.

— Jesteś w stanie porozmawiać sensownie o Fidelu? Pete wyrzucił niedopałek.

— Jedyne sensowny komentarz brzmi: „Niech to zrobi Néstor”.

— Myślałem o Néstorze i dwóch dodatkowych snajperach.

— Gdzie ich znajdziemy?

— Rozejrzemy się. Ty wybierzesz dwa dwuosobowe zespoły, ja jeden. Néstor dostanie finalistów.

— To do roboty — odparł Peter.

Dougie Frank Lockhart postawił na nogi całe prawicowe Południe. Ci, którzy chcieli pozbyć się broni, wiedzieli, do kogo się zwrócić: do ryżego Dougie'ego w Puckett, Missisipi.

Santo i Carlos podrzucili pięćdziesiąt tysięcy. Pete wziął kasę i ruszył kupować oręż. Dougie Frank brał 5% od każdej transakcji. Dostarczał używane A-1, jeszcze ciepłe po zamieszkach wywołanych nienawiścią rasową.

Lockhart znał się na swojej robocie. Lockhart wiedział, że południowa prawica kalkulowała swoje zapotrzebowanie na broń. Groźba komunizmu wyznaczała priorytety. Karabiny maszynowe, moździerz i granaty były do wzięcia. Czerwone Widmo przesłoniły teraz buńczuczne czarnuchy — a z tymi lepiej było się rozprawić z pomocą broni mniejszego kalibru.

Głębokie południe było jednym wielkim pomyłonym targiem. Pete zamieniał główniane pistolety na prawie nowe działa. Kupował sprawne thompsony po pięćdziesiąt doliców za sztukę. Dostarczył sześciu obozom pół miliona serii amunicji.

Pospolite Ruszenie, Partia Praw Narodowych Stanów, Partia Narodowego Odrodzenia, Rycerze Chwały Ku-Klux-Klanu, Królewscy Rycerze Ku-Klux-Klanu, Imperialni Rycerze Ku-Klux-Klanu i Koalicja Klanu dla Nowej Konfederacji dostarczały mu broń. On zaopatrywał sześć obozów uchodźców pełnych potencjalnych zabójców.

Pete spędził trzy tygodnie na kupowaniu broni. Pięć razy powtórzył trasę Miami — Nowy Orlean. Pięćdziesiąt kawalków rozeszło się. Heshie Ryskind dorzucił dodatkowe dwadzieścia. Heshie bał się — lekarze rozpoznali u niego raka płuc.

Heshie odwiedził obóz, żeby odwrócić myśli od kulejącego zdrowia. Przywiózł Jacka Ruby'ego i jego striptizerki oraz Dicka Cortino z akordeonem.

Striptizerki rozbierały się i baraszkowały z uchodźcami. Heshie zafundował całemu obozowi obciążanie drutów. Dick Contino sześć tysięcy razy odegrał „Lady of Spain”.

Jimmy Hoffa pokazał się podczas wieczoru w Lake Pontchartrain. Bez przerwy narzekał, przeklinał i wrzeszczał na Kennedych.

Joe Milteer przyłączył się do nich pod Mobile, w Alabamie. Z własnej inicjatywy zostawił dziesięć tysięcy na broń. Guy Banister mówił, że Stary Joe jest „nieszkodliwy”. Lockhart twierdził, że staruszek uwielbia podpalać murzyńskie kościoły.

Pete odbywał rozmowy z kandydatami na strzelców pomocniczych w zamachu na Fidela. Oparł swoje kryteria na dwóch prostych pytaniach.

Czy jesteś doświadczonym strzelcem wyborowym?

Czy jesteś gotów zginąć, osłaniając śmiertelny strzał Néstora Chasco?  
Przesłuchał ze stu Kubańczyków. Czterech przeszło eliminacje.

CHINO CROMAJOR:

Ocalał z Zatoki Świń. Chce wysadzić Castro bombą umieszczoną we własnym odbycie.

RAFAEL HERNANDEZ-BROWN:

Producent cygar / zna się na broni. Chce podsunąć Brodaczowi zatrute cygaro i zginąć razem z tym, który zagarnął jego pola tytoniu.

CÉSAR RAMOS:

Były kucharz kubańskiej armii. Chce upitrasić eksplodujące prosię i umrzeć podczas ostatniej wieczerzy Castro.

WALTER „JUANITA” CHACÓN:

Sadystyczny transwestyta. Chce wydupczyć Fidela i umrzeć podczas orgazmu w krzyżowym ogniu.

Notatka do Kempera Boyda:

Znajdź snajperów lepszych od moich — jeśli potrafisz.

## 73

(Meridian, 11 stycznia 1962)

Kemper wciągnął mieszankę hery z koką. Szesnasty raz sięgnął po narkotyki. Dwunasty, odkąd lekarz przestał przepisywać mu morfinę. Dawalo to średnią 1,3 raza na miesiąc — to jeszcze *nie jest* uzależnienie.

Kręciło mu się w głowie. Huczało w mózgu. Obskurny pokój w motelu Seminole wyglądał prawie ładnie.

Pamiętać:

Iść do tego kolorowego kaznodziei. Tworzy grupę ludzi skarżących się na łamanie praw wyborczych.

Pamiętać:

Zobaczyć się z Dougie'em Frankiem Lockhartem. Ma dwóch kandydatów do przesłuchania.

Narkotyki zawładnęły nim całkowicie. Obojczyk przestał boleć. Nity go spinające przestały zawadzać. Kemper wytarł nos. Portret nad biurkiem załśnił.

Przedstawiał Jacka Kennedy'ego sfotografowanego przed wydarzeniami w Zatoce Świń. Dedykację napisał po: „Dla Kempera Boyda., Chyba obaj złapaliśmy ostatnio parę kul”.

Jego szesnasty raz nieźle kopał. Uśmiech Jacka też był niezły — doktor Dobry Humor dał mu co trzeba przed sesją fotograficzną. Na zdjęciu Jack był młody i niepokonany. Ostatnie dziewięć miesięcy odebrały mu trochę z tych cech. Sprawiała to klęska w Zatoce Świń. Jack przeszedł przez powodziową falę potępienia.

Jack winił siebie — i Agencję. Wylał Allena Dullesa i Dicka Bissella. Powiedział: „Rozwalę CIA na tysiąc kawałków”. Jack nienawidzi CIA. Bobby przeciwnie. Bobby nienawidzi teraz Fidela Castro tak, jak kiedyś nienawidził Hoffy i mafii.

Analiza przyczyn niepowodzenia inwazji przedłużała się boleśnie. Kemper działał teraz jako anioł stróż na dwóch frontach. Pokazał Bobby'emu wyczyszczone akta uchodźców — niezwiązanych z przestępczością typów, których podejście mu Langley.

Grupa Analityczna opisała inwazję jako „niedozbrojoną donkiszoterię opartą na niedokładnych informacjach”.

On się zgadzał. Langley nie. Langley uważało, że Kemper broni Kennedy'ego. CIA uważało go za politycznie ryzykownego. John Stanton mu to powiedział. Po cichu zgadzał się z ich oceną.

Głośno powiedział: „Tak, JM/Fala okaże się skuteczna”.

W duchu myślał co innego. Naciskał na Bobby'ego w sprawie zabójstwa Fidela Castro. Bobby nie zgadzał się. Mówił, że byłoby to zbyt gangsterskie i niezgodne z polityką Kennedych. Bobby był brutalą osobą o silnych zasadach moralnych. Często trudno było wyczuć, czym się kierował.

Brutal Bobby zorganizował nielegalne oddziały w dziesięciu dużych miastach. Ich jedynym zajęciem było rekrutowanie informatorów z mafii. To posunięcie rozwścieczyło pana Hoovera. Niezależni pogromcy mafii mogli osłabić „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”.

Brutal Bobby nienawidził brutala J. Edgara Hoovera. Brutal J. Edgar Hoover odpłacał tym samym. Była to nienawiść na niespotykaną skalę — cały Departament Sprawiedliwości był nią przesiąknięty.

Hoover umyślnie spowolniał bieg zdarzeń. Bobby zniszczył autonomię FBI. Guy Banister powiedział, że Hoover zakładał nielegalne podsłuchy w lokalach mafii od Pacyfiku po Atlantyck.

Bobby nie miał o tym zielonego pojęcia. Pan Hoover wiedział, jak skrywać tajemnice.

Podobnie jak Ward Littell. Największym sekretem Warda były „oszustwa finansowe” Joe Kennedy'ego w Teamsters.

Joe miał prawie śmiertelny udar pod koniec ubiegłego roku. Claire powiedziała, że to „załamało” Laurę. Próbowwała skontaktować się ze swoim ojcem. Bobby uniemożliwił jej to. Trzymilionowy czek był wciąż aktualny i zobowiązujący.

Claire skończyła Tulane *magna cum laude*. Przyjęto ją na Wydział Prawa Uniwersytetu Nowojorskiego. Przeprowadziła się do Nowego Jorku i wynajęła mieszkanie niedaleko Laury.

Laura rzadko wspominała o nim. Claire powiedziała jej, że został „przypadkowo ranny” w strzelaninie w Miami. Laura odpowiedziała: „Kemper i przypadek? *Nieemożliwe*”.

Claire wierzyła w jego pokrętną wersję wydarzeń. Przyjechała do Świętego Augustyna zaraz po telefonie od lekarzy. Mówiła, że Laura ma nowego faceta. Mówiła, że jest miły. Mówiła, że poznała „dobrego przyjaciela” Laury, Lenny'ego Sandsa.

Lenny zignorował jego polecenie i odnowił kontakt z Laurą. Lenny zawsze rozgrywał sprawy krętacko — artykuł o Zatoce Świń w *Cicho sza!* pełen był nie-domówień.

Nie obchodziło go to. Już dawno wyrzucił Lenny'ego ze swojego życia. Lenny wyszukiwał teraz brudy dla Howarda Hughesa. Niektóre sekrety rozgłaszał, inne ukrywał. Lenny miał pośrednie dowody na to, jak bardzo Kemper spieprzył sprawę w kwietniu 1961 roku.

Kemper wciągnął nosem następną działkę. Serce zaczęło mu szybko bić. Nie czuł obojczyka. Przypomniał sobie, jak mają zrekompensować mu kwiecień.

Bobby polecił mu śledzenie Jeźdźców Wolności. Powiedział: „Po prostu obserwuj i dzwoń po pomoc, jeśli ludzie z Klanu albo ktokolwiek inny zacznie podskakiwać. Pamiętaj, wciąż wracasz do zdrowia”.

Obserwował. Dotarł bliżej niż reporterzy i operatorzy kamer.

Widział, jak bojownicy o prawa obywatelskie wsiadają do autobusów. Śledził ich. Z szeroko otwartych okien dochodziły ich religijne śpiewy. Jacyś palanci jechali za autobusami. Radia w ich samochodach grały nowoorleański jazz. Pokazując odznakę, przegonił paru rzucających kamieniami, rękę z pistoletem wciąż mając na temblaku.

Zatrzymał się w Anniston. Jacyś wieśniacy przebili mu opony. Biały motłoch przypuścił szturm na dworzec i obrzucając kamieniami Autobus Wolności, przepędził go z miasta.

Wynajął starego szewroleta i bawił się w śledztwo. Wyjechał na autostradę nr 78 i zobaczył scenę linczu. Autobus podpalono. Gliniarze, Jeźdźcy Wolności i wieśniacy kotłowali się na poboczu.

Zobaczył murzyńską dziewczynkę gaszącą podpalone końce warkoczy. Zobaczył, jak podpalacz ściąga gumę. Zgonił go z drogi i pistoletem stłukł do nieprzytomności.

Biorę działkę tylko raz na jakiś czas. To po prostu pomaga mi ustawiać wszystko po kolei.

...**A** najlepszą rzeczą, jaką mogę wam zaproponować, jest to, że nie musicie zeznawać w sądzie. Sędziowie federalni przeczytają wasze zeznania i moje oświadczenia. Jeśli ktokolwiek z was będzie wezwany do sądu, to będzie to posiedzenie zamknięte, bez dziennikarzy, przeciwników politycznych czy policji.

Ładny kościółek był wypełniony do ostatniego miejsca. Kaznodzieja zgromadził sześćdziesiąt parę osób.

Kemper rzekł: — Czy są pytania?

Jakiś mężczyzna wrzasnął: — Skąd jesteś?

Kobieta: — A co z ochroną?

Kemper pochylił się nad pulpitem.

— Jestem z Nashville, Tennessee. Może pamiętacie, że mieliśmy tam parę bojkotów i pikiet w 1960 roku i zrobiliśmy duży krok w kierunku integracji przy minimalnym rozlewie krwi. Zdaję sobie sprawę, że Missisipi jest dużo mniej cywilizowane niż mój rodzimy stan, a jeśli chodzi o ochronę, mogę tylko powiedzieć, że gdy pójdziecie się zarejestrować do wyborów, liczby będą po waszej stronie. Im więcej osób złoży oświadczenia, tym lepiej. Im więcej osób zarejestruje się i odda głos, tym lepiej. Nie twierdzę, że wszyscy pozytywnie zareagują na wasze głosowanie, ale im więcej z was będzie głosować, tym większa szansa, że wybieriecie lokalne władze, które waszych przeciwników będą trzymać krótko.

Odezwał się mężczyzna:

— Mamy tu ładny cmentarz. Chodzi tylko o to, że nikt z nas nie chce się tam na razie przemieszczać.

Jakaś kobieta stwierdziła:

— Nie możemy oczekiwać, że nagle prawo będzie po naszej stronie.

Kemper uśmiechnął się. Dwie działki i dwa martini na lunch sprawiły, że kościół mienił się barwami.

— Jeśli chodzi o cmentarze, to wasz jest jednym z najładniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem, ale nikt z nas nie wybiera się tam wcześniej niż około roku 2000, a jeśli chodzi o ochronę, mogę tylko powiedzieć, że prezydent Kennedy zrobił dobrą robotę, chroniąc Jeźdźców Wolności w zeszłym roku, i jeśli wspomniane już białe chuligaństwo i wieśniaczy element będzie usiłował odebrać dane wam od Boga prawa obywatelskie, wtedy rząd federalny zareaguje na



to z jeszcze większą siłą, ponieważ nie można zniszczyć waszego pragnienia wolności, jako że jest ono dobre, prawdziwe i właściwe, a po waszej stronie stoi siła życzliwości, przyzwoitości i niezachwianej prawości.

Kongregacja wstała i zaczęła klaskać.

... **T**o się właśnie nazywa korzystną umową. Ja mam swoich Królewskich Rycerzy, którzy zasadniczo są prawie filią FBI, i muszę tylko mieć otwarte uszy na poważniejsze matactwa Rycerzy Chwały i Imperialnych Rycerzy, bo tak naprawdę tylko to w Klanie obchodzi pana Hoovera. Mam swoich informatorów w obu grupach i płacę im z mojego stypendium FBI, co pomaga skonsolidować siłę mojej własnej grupy.

Rudera śmierdziała brudnymi skarpetkami i dymem papierosowym. Dougie Frank miał na sobie szatę Klanu i lewisy.

Kemper zabił muchę, która usiadła na jego krześle.

— A co z tymi strzelcami, o których wspominałeś?

— Są tutaj. Mieszkają ze mną, bo tutejsze motele nie rozróżniają Kubańczyków i Murzynów. Ty oczywiście próbujesz to wszystko zmienić.

— Gdzie teraz są?

— Niedaleko, na strzelnicy, z paroma Rycerzami. Chcesz piwo?

— A masz wytrawne martini?

— Tego w tych stronach nie dostaniesz. I każdy, kto o nie poprosi, dostanie etykietkę federalnego agitatora.

Kemper uśmiechnął się.

— Barman w Skyline Lounge jest po mojej stronie.

— Musi być Żydem albo pedałem.

Kemper zaczął mówić z południowym akcentem.

— Synku, tracę cierpliwość.

Lockhart wzdrygnął się.

— No... cholera, powinieneś chyba wiedzieć, że Pete znalazł czterech chłopaków. Guy Banister mówi, że i tak brakuje dwóch, co mnie nie dziwi, biorąc pod uwagę całą twoją robotę na rzecz integracji.

— Opowiedz mi o tych snajperach. Ogranicz niepotrzebne komentarze i do rzeczy.

Lockhart odwrócił krzesło. Kemper przysunął bliżej swoje.

— No, cóż, hm, Banister przysłał ich do mnie. Ukradli na Kubie ślizgacza i przybili nim do wybrzeża Alabamy. Obrabowali parę stacji benzynowych i sklepów monopolowych i odnowili starą znajomość z tym Francuzem, Laurentem Guérym, który powiedział im, żeby zadzwonili do Guya w sprawie roboty przeciwko Fidelowi.

— I?

— I Guy stwierdził, że jak na jego gust są zbyt szaleni, co oznacza, że są zbyt szaleni. Przysłał ich do mnie, ale mam z nich tyle pożytku, co pies ze stada pcheł.

Kemper przysunął się bliżej. Lockhart wpadł z krzesłem na ścianę.

— Człowieku, naciskasz na mnie bardziej, niż ktokolwiek inny.

— Opowiedz mi o tych Kubańczykach.

— Jezu, myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

— Jesteśmy. A teraz opowiedz mi o Kubańczykach.

Lockhart przesunął krzesło w bok.

— Nazywają się Flash Elorde i Juan Canestel. „Flash” nie jest prawdziwym imieniem Elorde. Przyjął je, bo jest jakiś sławny kubański bokser, który nazywa się tak jak on i nosi pseudonim „Flash”.

— I?

— I obaj są zajebistymi strzelcami i nienawidzą Fidela. Flash handlował prostytutkami w Hawanie, a Juan jest tym gwałcicielem, którego wykastrowała tajna policja Castro, bo między 1959 a 1961 zgwałcił coś około trzystu kobiet.

— I są gotowi umrzeć za wolną Kubę?

— Kurde, tak. Flash mówi, że patrząc na to, co robił w życiu, dziwi się, gdy budzi się żywy.

Kemper uśmiechnął się.

— Ty też powinieneś zacząć tak się dziwić, Dougie.

— To znaczy?

— To znaczy, że pod Meridian jest miły murzyński kościółek baptystów pod wezwaniem Zesłania Ducha Świętego, a obok znajduje się piękny zarośnięty mchem cmentarz.

Lockhart wysmarkał się na podłogę. — I co, kurwa, z tego? Kim ty jesteś, koneserem murzyńskich kościołów? Kemper znów mówił z akcentem.

— Powiedz swoim chłopakom, żeby nie ważyli się go tknąć.

— Kurwa, facet, i co ma na to odpowiedzieć szanujący się biały człowiek?

— Ma powiedzieć: „Tak jest, panie Boyd”.

Lockhart prawie eksplodował. Kemper zanucił melodię „Zwyciężymy”. Lockhart odpowiedział:

— Tak jest, panie Boyd.

Flash miał fryzurę na Irokeza. Juan wkładał zwinięte chusteczki w miejsce, gdzie kiedyś miał jądra.

Strzelnica zajmowała puste miejsce sąsiadujące z parkingiem dla przyczep. Ludzie z Klanu w swych tradycyjnych strojach strzelali do metalowych puszek, pijąc piwo i Jacka Daniel'sa. Trafiali w jedną puszkę na cztery z odległości trzydziestu metrów. Flash i Juan trafiali we wszystkie z podwójnej odległości, posługiwali się starymi M-1 w świetle późnego popołudnia. Lepsza broń z lunetą sprawi, że będą niepokonani.

Dougie Frank krąży wśród swoich ludzi. Kemper obserwował trenujących Kubańczyków. Flash i Juan rozebrali się do pasa i odganiaли koszulami komary. Obaj od bioder w górę mieli blizny po torturach.

Kemper gwizdnął i dał sygnał Lockhartowi: przyślij ich. Dougie Frank zgarmał facetów. Kemper oparł się o starego półtonowego forda. Bagażnik wypełniały butelki alkoholu i broń.

Podeszli. Kemper powitał ich grzecznie i z szacunkiem. Uśmiechy i ukłony. Uściski dłoni. Flash i Juan założyli koszule — na znak szacunku wobec Wielkiego Bwany. Kemper przerwał uprzejmości.

— Nazywam się Boyd. Mam dla was pewną misję.

Flash odezwał się: — *Si, trabajo. Quién el...*

Juan uciszył go: — Jaką misję?

Kemper spróbował po hiszpańsku:

— *Trabajo muy importante. Para matar el grande puto Fidel Castro.* Flash podskakiwał. Juan złapał go i unieruchomił.

— Czy to nie żart, panie Boyd? Kemper wyjął portfel.

— Ile potrzeba, żeby was przekonać?

Podeszli bliżej. Kemper wyjął banknoty studolarowe.

— Nienawidzę Fidela Castro tak samo jak każdy kubański patriota. Spytajcie o mnie pana Banistera albo waszego przyjaciela Laurenta Guéry'ego. Będę płacił wam z własnej kieszeni, dopóki nie dostaniemy pieniędzy od naszych przyjaciół, a jeśli uda nam się i załatwimy Castro, gwarantuję wam duże premie.

Gotówka zahipnotyzowała ich. Kemper zmierzał do finału. Dał setkę Flashowi i setkę Juanowi. Jedną Flashowi, jedną Juanowi... Canestel zacisnął dłoń.

— Wierzymy ci.

Kemper wyjął z samochodu butelkę. Flash zaczął wybijać rytm mambo na karoserii. Jakiś facet z Klanu wrzasnął:

— Zostawcie trochę dla nas, białych!

Kemper wziął łyk. Flash wziął łyk. Juan wlał sobie do gardła pół butelki.

Wspólne picie zapoczątkowało okres zapoznawczy. Kemper kupił Flashowi i Juanowi trochę ubrań. Zabrali swoje rzeczy z rudery Lockharta. Kemper zadzwonił do swojego maklera w Nowym Jorku. Powiedział:

— Sprzedaj trochę akcji i przyslij mi pięć tysięcy dolarów.

Tamten spytał: — Po co?

Kemper odpowiedział: — Zatrudniam paru podwładnych.

Flash i Juan potrzebowali lokum. Kemper objął serdecznie zaprzyjaźnionego recepcjonistę i poprosił go, żeby zrewidował nieco swoją politykę TYLKO DLA BIAŁYCH. Mężczyzna zgodził się. Flash i Juan wprowadzili się do motelu Seminole.

Kemper zadzwonił do Pete'a w Nowym Jorku. Powiedział:

— Przeprowadźmy kwalifikacje w sprawie załatwienia Fidela.

Zaczęli analizować. Kemper oszacował budżet na pięćdziesiąt tysięcy na strzelca i dwieście tysięcy na całą operację. Pete zasugerował odprawę — dziesięć kawałków dla każdego odrzuconego strzelca. Kemper zgodził się. Pete powiedział:

— Załatwmy to w Blessington. Santo może umieścić Sama G, i Johnny'ego w motelu Breakers.

Kemper zgodził się. Pete rzekł:

— Potrzebujemy kubańskiego frajera, który się podłoży — niezwiązanego ani z CIA, ani z Kadrą.

Kemper odparł: — Znajdziemy kogoś. Pete: — Moi ludzie są odważniejsi od twoich. Kemper: — Nie, nieprawda.

Flash i Juan mieli ochotę sobie pochlać. Kemper zabrał ich do Skyline Lounge. Barman stwierdził:

— Oni nie są biali.

Kemper wcisnął mu dwadzieścia dolarów. Barman powiedział:

— Teraz są.

Kemper pił martini. Juan pił I. W. Harper. Flash pił rum Myers's z colą. Flash mówił po hiszpańsku. Juan tłumaczył. Kemper uczył się podstaw niewolniczej prostytucji. Flash porywał dziewczyny. Laurent Guéry faszerował je algijską herą. Juan deflorował dziewice i namawiał do przypadkowego seksu.

Kemper słuchał. Obrzydlistwa odpływały w dal, skategoryzowane jako niemające zastosowania. Juan mówił, że brakuje mu jaj. Wciąż miał erekcje i mógł się pieprzyć, ale tęsknił za doświadczeniem wytrysku.

Flash wściekał się na Fidela. Kemper myślał: „A ja go wcale nie nienawidzę”.

Cała szóstka miała wykrochmalone plamiaki i wysmarowane na czarno twarze. To był pomysł Pete'a: niech nasi kandydaci wyglądają groźnie.

Néstor zbudował strzelnicę za parkingiem Breakers. Kemper nazwał ją majstersztykiem prowizorki. Były tam tarcze na wysięgnikach i krzesła ze zdemolowanego baru. Broń pochodziła z CIA: M-1, różne pistolety, także o dużym zasięgu.

Teo Paez zrobił kukły Fidela. Były naturalnej wielkości i wyglądały realistycznie — miały nawet brody i cygara.

Przyłączył się do nich Laurent Guéry. Teo mówił, że musiał wiać z Francji *râpidamente*. Néstor twierdził, że próbował załatwić Charlesa de Gaulle'a.

Sędziowie siedzieli pod parasolem. S. Trafficante, J. Rosselli i S. Giancana — wyposażeni w drinki i lornetki. Pete grał ogniowego. Kemper mistrza ceremonii.

— Mamy dla was sześciu mężczyzn do wyboru, panowie. Będziecie finansować tę operację i wiem, że chcecie mieć ostatnie słowo. Pete i ja proponujemy trzyosobowe zespoły z Néstorem Chasco, którego już znacie, w każdym z nich. Nim zaczniemy, chcę podkreślić, że ci mężczyźni są lojalni, nieustraszeni i w pełni zdają sobie sprawę z ryzyka. W razie aresztowania prędzej popęnią samobójstwo, niż wyjawią, kto to zorganizował.

Giancana popukał w zegarek.

— Już jestem spóźniony. Czy możemy zacząć to przedstawienie?

Trafficante popukał w swój.

— Do dzieła, Kemper. Muszę jeszcze wrócić do Tampa.

Kemper skinął głową. Pete ustawił Fidela nr 1 w odległości pięćdziesięciu metrów. Mężczyźni załadowali rewolwery i przyjęli pozycję.

Pete krzyknął: — Ognia!

Chino Cromajor odstrzelił Fidelowi kapelusz. Rafael Hernandez-Brown pozabawił go cygara. César Ramos uszkodził oboje uszu.

Echo strzałów wybrzmiało. Kemper obserwował reakcje. Santo wyglądał na znudzonego. Sam na niespokojnego. Johnny na lekko zaskoczonego

Juanita Chacon wycelował na wysokość krocza i wypalił. Fidel nr 1 stracił męskość.

Flash i Juan strzelali dwukrotnie. Fidel stracił obie ręce i nogi.

Laurent Guéry bił brawo. Giancana patrzył na zegarek.

Pete postawił Fidela nr 2 w odległości stu metrów. Snajperzy wzięli staromodne M-1. Sędziowie podnieśli do oczu lornetki.

Pete krzyknął: — Ognia!

Cromajor przestrzelił Fidelowi oczy. Hernandez-Brown odstrzelił mu kciuki. Ramos trafił w cygaro. Juanita wykastrował go. Flash przestrzelił mu kolana. Juan trafił prosto w serce. Pete krzyknął:

— Wstrzymać ogień!

Snajperzy opuścili broń i odmaszerowali.

Giancana powiedział: — Robi wrażenie, ale nie możemy popełnić falstartu w tak wielkiej sprawie.

Trafficante rzekł: — Muszę się porozumieć z Mo.

Rosselli dodał: — Musicie dać nam trochę czasu na zastanowienie.

Kemperowi zrobiło się słabo. Jazda na koce zaczęła być koszmarem.

Pete dygotał.

## 74

(Waszyngton D.C., 24 stycznia 1962)

Littell ulokował pieniądze w sejfie w biurku. Miesięczne honorarium — 6000 \$ w gotówce. Hoffa odezwał się:

— Nie przeliczyłeś.

— Ufam ci.

— Mogłem się pomylić.

Littell odchylił się na krześle i spojrzał na niego.

— Mało prawdopodobne. Zwłaszcza że sam je tu przyniosłeś.

— Wolałbyś sam się przespacerować do mnie w tym cholernym zimnie?

— Mogłem poczekać do pierwszego.

Hoffa usadowił się na krawędzi biurka. Płaszcz nasiąkł mu topniejącym śniegiem. Littell przesunął jakieś teczki. Hoffa podniósł jego kryształowy przycisk do papieru.

— Przyszedłeś na pogawędkę, Jimmy?

— Nie. Ale jeśli chcesz mi coś powiedzieć, zamieniam się w słuch.

— Co powiesz na to. Ty zwyciężysz, a Bobby przegra. To będzie długa i bolesna wojna, a ty wygrasz, bo będą mieli cię zwyczajnie dość.

Jimmy ścisnął przycisk. — Pomyślałem, że Kemper Boyd mógłby przemycić kopię moich akt z Departamentu Sprawiedliwości.

Littell pokręcił głową. — Nie zrobi tego, a ja go o to nie poproszę. Układa sobie Kennedych, Kubę i Bóg wie co jeszcze w małych szufladkach, których logikę zna tylko on sam. Są granice, których nie przekroczy, a ty i Bobby Kennedy stoicie po dwóch stronach jednej z nich.

Hoffa odpowiedział:

— Układy się zmieniają. A jeśli chodzi o Kubę, to sędzę, że z całej mafii tylko Carlosowi jeszcze na tym zależy. Zdaje się, że Santo, Mo i inni są znudzeni i wkurzeni całą sprawą tej przeklętej wyspy.

Littell poprawił krawat.

— To dobrze. Ponieważ *ja* jestem znudzony wszystkim oprócz utrzymywania przewagi twojej i Carlosa nad Bobbym Kennedym.

Hoffa uśmiechnął się.

— Kiedyś lubiłeś Bobby'ego. Słyszałem, że naprawdę go podziwiałeś.

— Układy się zmieniają, Jimmy. Sam to powiedziałeś.

Hoffa położył przycisk.

— To prawda. Prawdą, kurwa, jest też, że muszę zagiąć Bobby'ego.

A *ty* maczałeś palce w podsłuchu Kennedych, który rozpracowywał dla mnie Pete Bondurant w 1958 roku.

Littell zmusił się do uśmiechu.

— Nie wiedziałem, że to wiesz.

— To jasne. I powinno być, kurwa, jasne, że ci wybaczyłem.

— I że chcesz spróbować jeszcze raz...

— Tak.

— Zadzwoń do Pete'a, Jimmy. Nie czuję do niego wielkiego sentymentu, ale jest najlepszym na świecie specem od szantażu.

Hoffa nachylił się nad biurkiem. Nogawki spodni podniosły się i widać było tanie białe skarpetki.

— Chcę, żebyś ty też był w to zaangażowany.

## 75

(Los Angeles, 4 lutego 1962)

Pete potarł kark. Cały zdrętwiał — w samolocie siedział w fotelu przeznaczonym dla karła.

— Jimmy, skaczę, kiedy mówisz „skacz”, ale podróż z wybrzeża na wybrzeże dla kawy i ciastek, to już lekka przesada.

— Myślę, że najlepiej załatwić to w L.A.

— Co załatwić?

Hoffa starł krem ptysiowy z krawata.

— Wkrótce się dowiesz.

Pete usłyszał w kuchni hałasy.

— Kto się tam tak rozbija?

— Ward Littell. Pete, usiądź. Denerwujesz mnie.

Pete postawił torbę z ubraniami. Dom śmierdział cygarami — Hoffa pozwalał Teamsters urządzać tu ich męskie wieczorki.

— Cholera, Littell. Tylko tego mi potrzeba.

— Przestań. To już przeszłość.

Wcale nie: *twój* prawnik ukradł księgi *twojego* Funduszu...

Wszedł Littell. Hoffa podniósł do góry dłonie jak rozjemca.

— Chłopcy, bądźcie grzeczni. Nie sprowadziłbym was w jedno miejsce, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

Pete potarł oczy.

— Jestem zajęty człowiekiem, a całą noc leciałem na to śmieszne śniadanko. Podajcie mi jeden sensowny powód, dla którego powinienem brać na siebie jeszcze jedno cholerne zadanie, albo wracam na lotnisko.

Hoffa odezwał się: — Powiedz mu, Ward.

Littell grzał sobie ręce kubkiem z kawą.

— Bobby Kennedy strasznie czepia się Jimmy'ego. Chcemy, żebyś zdobył uwłaczające dowody podsłuchowe na Jacka i użył ich do zmuszenia go, żeby odwołał Bobby'ego. Gdybym się nie wtrącał, operacja z Shoftel mogłaby się udać. Myślę, że powinniśmy to powtórzyć i sądzę, że trzeba znaleźć kobietę na tyle interesującą, żeby Jack chciał nawiązać z nią romans.

Pete przewrócił oczami.

— Chcecie szantażować prezydenta Stanów Zjednoczonych?

— Tak.

— Ty, ja i Jimmy?

— Ty, ja, Fred Turentine i ta kobieta.

— I mówisz o tym tak, jakbyś wierzył, że będziemy sobie nawzajem ufać.

Littell uśmiechnął się.

— Obaj nienawidzimy Jacka Kennedy'ego. I wiemy chyba o sobie tyle brzydkich rzeczy, że możemy zawrzeć pakt o nieagresji.

Pete otrzepał ubranie.



— Nie możemy wspomnieć o tym Kemperowi. Wyda nas po sekundzie.

— Zgadzam się. Kemper tym razem musi pozostać z boku.

Hoffa beknął.

— Patrzę na was, jak się tak na siebie gagicie, i zaczynam się czuć, jakbym ja też był z boku, mimo że *to ja* to wszystko finansuję.

Littell rzucił: — Jest Lenny Sands.

Hoffa pluł okruchami eklera.

— A co, kurwa, Żydek Lenny ma do tego wszystkiego?

Pete spojrzął na Littella. Littell popatrzył na Pete'a. Ich fale mózgowe spotkały się gdzieś nad paterą z ciastkami. Hoffa wyglądał na śmiertelnie zagubionego. Wzrok miał błędny, jakby spadł z księżycy. Pete wyprowadził Littella do kuchni i zamknął drzwi.

— Chodzi ci o to, że Lenny jest w samym środku Hollywood. Na pewno zna kilka kobiet, których moglibyśmy użyć jako przynęty...

— Zgadza się. A nawet jeśli nie da się w to wciągnąć, to przynajmniej jesteśmy w Los Angeles.

— Które jest zagłębiem kobiet zajmujących się szantażem.

Littell pił kawę.

— No właśnie. A Lenny był kiedyś moim informatorem. Mam na niego haka i jeśli nie będzie chciał współpracować, zniszczę go.

Pete wyłamywał palce. — Jest pedałem. Załatwił tego nadzianego faceta w alejce za jakimś barem.

— Lenny ci to powiedział?

— Nie patrz z takim wyrzutem. Ludzie mają tendencję do mówienia mi rzeczy, których potem żałują.

Littell wrzucił kubek do zlewu. Hoffa chodził za drzwiami.

Pete powiedział: — Lenny zna Kempera. I myślę, że jest blisko z tą Hughes, z którą Kemper miał romans.

— Z Lennym nie ma problemu. Jeśli sprawa okaże się trudniejsza, możemy go przycisnąć kwestią Tony'ego Iannone'a.

Pete pocierał kark.

— Kto jeszcze wie, że to planujemy?

— Nikt. Dlaczego pytasz?

— Zastanawiałem się, czy wiedzą o tym wszyscy w mafii.

Littell pokręcił głową.

— Ty, ja i Jimmy. To wszystko.

Pete powiedział:

— I niech tak zostanie. Lenny jest blisko Sama G., a Sam jest znany z wybuchów wściekłości, gdy ktoś robi krzywdę jego ludziom.

Littell oparł się o piec.

— Zgoda. Ja nie powiem Carlosowi, ty nie powiesz Trafficante i innym chłopakom z Mafii, z którymi ty i Kemper robicie interesy. Niech to zostanie między nami.

— Załatwione. Kilku z nich zostawiło mnie i Kempera na lodzie z pewną sprawą kilka tygodni temu, więc nie mam zamiaru im się zwierzać..

Littell wzruszył ramionami.

— W końcu i tak się dowiedzą i będą zadowoleni z rezultatów. Im też Bobby dobierał się do skóry i myślę, że możemy spokojnie założyć, że Giancana uzna to, co ewentualnie będziemy musieli zrobić Lenny'emu, za uzasadnione.

Pete powiedział:

— Lubię Lenny'ego. Littell odparł:

— Ja też, ale biznes jest biznes. Pete wyczuł forsę nosem.

— O jakich pieniądzach mówimy? Littell odpowiedział:

— Dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie, w tym twoje wydatki i honorarium Freda Turentine'a. Wiem, że będziesz musiał podróżować w związku z robotą dla CIA, ale ani Jimmy'emu, ani mnie to nie przeszkadza. Sam zakładałem podsłuchy dla Biura i myślę, że w trójkę z Turentine'em będziemy w stanie wszystko obstarwić.

Hoffa walił w drzwi.

— Dlaczego nie wyjdziecie i nie porozmawiacie ze mną? To słodkie *tête-à-tête* zaczyna mnie wkurzać!

Pete popchnął Littella dalej, do pralni.

— Brzmi nieźle. Znajdziemy kobietę, założymy podsłuch w paru miejscach i zerzniemy Jacka Kennedy'ego do bólu.

Littell uwolnił ramię.

— Musimy sprawdzić artykuły Lenny'ego w *Cicho sza!*. W ten sposób możemy trafić na ślad odpowiedniej kobiety.

— *Ja* to zrobię. Dam chyba radę przejrzeć artykuły, które Howard Hughes trzyma u siebie w biurze.

— Zrób to dzisiaj. Dopóki nie ustalimy wszystkiego, będę mieszkał w Ambasadzie.

Drzwi całe chodziły. Jimmy mało się nie wściekł. Littell powiedział nagle:

— Chcę w to wciągnąć pana Hoovera.

— *Zwariowałeś?*

Littell uśmiechnął się z wyższością, jakby chciał powiedzieć: „Pocałuj mnie w dupę”.

— Nienawidzi Kennedych tak samo jak ty i ja. Chcę odnowić z nim kontakt, dać mu dostęp do paru podsłuchów i mieć go po swojej stronie, tak żeby pomógł Jimmy'emu i Carlosowi.

Nie *do końca* zwariował...

— Wiesz, że to zboczony podglądacz, Pete. Wiesz, co by dał, żeby usłyszeć pieprzonego się prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Hoffa wtargnął do kuchni. Koszulę miał poplamioną nadzieniem z pączków. Pete mrugnął.

— Przestają już tak bardzo cię nienawidzić, Ward.

**B**iura Hughesa były teraz oznaczone tablicami STREFA OGRANICZONEGO DOSTĘPU. Mormońscy ochroniarze stali przy drzwiach i sprawdzali dokumenty dziwnym urządzeniem skanującym.

Pete tracił czas przy bramie parkingu. Ochroniarz głądził mu do ucha.

— My, niemormoni, nazywamy to miejsce Zamkiem Drakuli. Pan Hughes to Hrabia, a Duane Spurgeon — szef mormonów — to Frankenstein, ponieważ umiera na raka i wygląda, jakby już był trupem. Pamiętam czasy, kiedy w tym budynku nie roilo się od nawiedzonych wieśniaków, pan Hughes przyjmował gości osobiście, nie miał fobii na punkcie bakterii ani szalonych planów, żeby wykupić Las Vegas, i nie robił sobie transfuzji jak Bela Lugosi...

— Larry...

— ...i nawet rozmawiał z ludźmi, wiesz? Teraz rozmawia tylko z mormonami, a poza tym z panem J. Edgarem Hooverem i Lennym, tym gościem z *Cicho sza!*. Wiesz, czemu tak dużo mówię? Bo pracuję cały dzień przy tej bramie, słyszę różne plotki, a jedyni niemormoni, jakich widzę, to ten filipiński konserwator i japońska telefonistka. Ale słyszałem, że pan Hughes wciąż robi interesy. Podobno podniósł cenę TWA, żeby jak tylko dostanie pieniądze, mógł przelać jakiś bilion dolarów na konto tego swojego funduszu „Wykupić Las Vegas”...

Larry musiał zaczerpnąć powietrza. Pete dał mu banknot studolarowy.

— Trzymają pisaninę Lenny'ego w archiwum, prawda?

— Zgadza się.

— Dostaniesz jeszcze dziewięć takich banknotów, jeśli mnie tam wprowadzisz.

Larry pokręcił głową.

— To niemożliwe, Pete. Tu dosłownie wszędzie są mormoni. Niektórzy są mormonami i byliymi członkami FBI, a pan J. Edgar Hoover wybierał ich osobiście.

Pete spytał: — Lenny jest teraz cały czas w L.A., prawda?

— Tak. Porzucił Chicago. Słyszałem, że pisze do *Cicho sza!*, które te; raz jest jak nielegalna bibuła odbijana na powielaczu.

Pete dał mu następną setkę.

— Znajdź mi jego adres.

Larry sprawdził w kartotece i wyjął kartkę.

— North Kilkea 831, to niedaleko stąd.

Przyjechała karetka. Pete spytał:

— Co to?

Larry zniżył głos: — Świeża krew dla Hrabiego. Z mormońskim certyfikatem jakości.

**N**owa robota była niezła, ale zdecydowanie drugoplanowa. Pierwszoplanową było ZAŁATWIENIE FIDELA. Santo i spółka olali sprawę. Udawali znużonych, jakby Kuba była dla nich nic niewartym gównem.

DLACZEGO?

Zwolnił swoich strzelców. Kemper zabrał swoich chłopaków z powrotem do Missisipi. Pojechał z nimi Laurent Guéry. Kemper naruszył swój własny fundusz akcji, żeby mieć na to gotówkę. Zachowywał się ostatnio niezwykle konsekwentnie.

Pete skręcił w Kilkea. Pod numerem 831 stał typowy dla Zachodniego Hollywood dom mieszczący cztery mieszkania. Standardowy dwupiętrowy budynek w hiszpańskim stylu. Standardowe dwa mieszkania na każdym piętrze. Standardowe przeszlone drzwi frontowe, uwielbiane przez standardowych włamywaczy.

Z tyłu nie było garażu — lokatorzy musieli parkować przy krawężniku. Nigdzie nie było widać packarda Lenny'ego.

Pete zatrzymał samochód i podszedł do ganku. Zamki u wszystkich czworga drzwi wyglądały słabo. Na ulicy nie było żywej duszy.

Na skrzynce na listy mieszkania na parterze po lewej było napisane „L. Sands”.

Pete otworzył zamek scyzorykiem. Od razu oślepiło go światło. Lenny planował wrócić do domu po zmierzchu. Miał więc całe cztery godziny na przeszukiwanie mieszkania. Zamknął się od środka. Było tu w sumie może pięć pomieszczeń. Sprawdził kuchnię, jadalnię i sypialnię. Mieszkanie było przytulne i zadbane — Lenny nie sprowadzał do domu żadnych przypadkowych osobników. Z

sypialnią połączono gabinet. Był wielkości sporej wnęki — biurko i regały zajmowały niemal całą powierzchnię.

Pete sprawdził górną szufladę. Jeden wielki bałagan — Lenny wrzucał tu pękatę teczkę. Zawierały one 100% amerykańskich brudów. Publikowanych w *Cicho sza!* i niepublikowanych nigdzie. Gromadzonych od początku 1959 roku — skandaliczna lista przebojów wszech czasów. Skandale dotyczące pijaków, ćpunów i pedałów. Lesbijki, ninfomanki, rasowe mezalianse także. Kazirodztwo i molestowanie dzieci. A wszystkie opisywane tu osoby były światu dobrze znane.

Pete znalazł też coś odmiennego: raport z 12.09.1960. Do kartki dołączona była notatka od wydawcy.

*Lenny,*

*Nie sądzę, żeby nadawało się to na główny artykuł ani cokolwiek innego. Gdyby poszło do działu „aresztowania i procesy”, to świetnie, ale tak się nie stało. Cała sprawa jest dla mnie śliska. Poza tym ta dziewczyna jest nikim.*

Pete przeczytał raport. Śliskie? — bez kitu. To cały Lenny „Skandalista” Sands:

*Dowiedziałem się, że wspaniała rudowłosa piosenkarka i tancerka Barb Jahelka (główna atrakcja „Swingującej Rewii” swojego byłego męża Joeya Jahelki) została 26 sierpnia aresztowana w związku ze sprawą szantażu wymierzonego przeciw Rockowi Hudsonowi.*

*Poszło o fotki. Hudson i Barb byli w łóżku w domu Rocka w Beverly Hills, kiedy do środka wślizgnął się mężczyzna i zdołał zrobić serię zdjęć aparatem na podczerwień. Kilka dni później Barb zażądała od Hudsona 10 000 \$, w przeciwnym razie zdjęcia miały ukazać się wszędzie.*

*Rock skontaktował się z detektywem Fredem Otashem. Otash powiadomił policję w Beverly Hills i Barb Jahelka została aresztowana. Hudsonowi zmiękło wtedy serce i odmówił składania obciążających zeznań. Chciałbym umieścić to w numerze z 24.06.1960. Rock jest teraz gorącym tematem, a Barb apetycznym kąskiem. (Mam jej zdjęcia w bikini, które możemy wykorzystać.) Dajcie mi znać, to napiszę artykuł.*

Śliskie? — bez kitu, Sherlocku.

Rock Hudson był pedziem, a nie dziwkarczem. A Fred Otash był byłym gliną i hollywoodzkim łapsem. Numer Freddy'ego nagryzmołono na raporcie. Pete wziął telefon i zadzwonił. Odebrał mężczyznę.

— Otash.

— Tu Pete Bondurant, Freddy.

Otash zagwizdał.

— Ale numer. Nie pamiętam, kiedy ostatnio dzwoniłeś, żeby pogadać.

— Nie chodzi o pogawędkę.  
— To znaczy, że rozmawiamy o pieniądzach. Jeśli chodzi o twoje pieniądze za mój czas, to słucham.

Pete spojrział w raport.

— W sierpniu 1960 podobno wyciągnąłeś Rocka Hudsona z opałów. Zdaje się, że to wszystko było ustawione. Dam ci tysiąc dolarów, jeśli opowiesz mi całą historię.

Otash rzekł: — Dwa tysiące i niczego ode mnie nie słyszałeś.

Pete: — Dwa tysiące. A jak przyjdzie co do czego, powiem, że mam te informacje skąd indziej.

Pojawiły się zabawne odgłosy. Pete zidentyfikował je: Freddy stukął ołówkiem w zęby.

— W porządku, Francuzie.

— A więc?

— Masz rację. Chodziło o to, że Rock nie chciał, żeby ludzie dowiedzieli się, że jest pedałem, więc wszedł w układ z Lennym. Lenny zaangażował Barb Jahelkę i jej byłego męża Joeya. Barb i Rock trafili do łóżka. Joey udawał, że się włamał, Barb udawała, że żąda pieniędzy, a Rock udawał, że radzi się mnie.

— A ty udawałeś, że skontaktowałeś się z policją w Beverly Hills.

— Zgadza się. Zaaresztowali Barb za próbę wymuszenia, wtedy Rock zaczął udawać sentymentalnego i wycofał oskarżenia. Lenny opisał to dla *Cicho sza!*, ale z jakiegoś powodu nigdy tego nie opublikowali. Lenny próbował przemycić tę historię do prasy, ale nikt nie chciał jej wziąć, bo połowa tego pieprzonego kraju wie, że Rock jest homo.

Pete westchnął.

— Wszystko poszło na marne.

Otash westchnął.

— Tak. Rock zapłacił Barb i Joeyowi dwa kawałki, a teraz ty płacisz mi dwa za samo opowiedzenie tej smutnej historii.

Pete zaśmiał się.

— Skoro już przy tym jesteśmy, to opowiedz mi o Barb Jahelce.

— Dobrze. Uważam, że Barb się marnuje, chociaż sama o tym nie wie. Jest sprytna, atrakcyjna, ale kariery wielkiej to już nie robi. Wydaje mi się, że pochodzi z jakiejś miejsciny w Wisconsin i że cztery czy pięć lat temu odsiedziała pół roku za posiadanie marihuany. Miała też romans z Peterem Lawfordem... Szwagrem Jacka...

— Traktuje swojego byłego męża Joeya, który jest kupą gówna, dokładnie tak, jak powinien być traktowany. Muszę przyznać, że lubi mocne wrażenia i

pewnie powiedziałyby ci, że lubi niebezpieczeństwo, ale moim zdaniem nigdy nie miała okazji go zakosztować. Jeśli chcesz ją znaleźć, spróbuj w Reef Club w Ventura. Z tego, co słyszałem, Joey Jahelka wystawia tam jakiś show. Pete powiedział:

- Lecisz na nią, Freddy. Jesteś jak otwarta księga.
- Ty też. A skoro jesteśmy szczerzy, pozwól mi gorąco zarekomendować ci tę dziewczynę do każdego szantażu, jaki masz zamiar przeprowadzić.

**R**eef Club cały był wyłożony lichym drewnem. I sztucznymi skorupiakami. Klientela składała się głównie ze smarkaczy z college'u i tanich dziwek. Pete zajął stolik tuż przy parkiecie. „Swingująca Rewia” Joeya zaczynała występ za dziesięć minut.

Z głośników na ścianach płynęła muzyka. Tańczący twista zderzali się tyłkami. Stolik Pete'a wibrował, a piana na piwie opadła.

Przed wyjazdem z L.A, zadzwonił do Karen Hiltcher. W kartotece szeryfa znalazły się akta niejakiej Barbary Jane (Lindscott) Jahelki. Urodziła się 18.11.1931 w Tunnel City, Wisconsin. Miała ważne prawo jazdy wydane w Kalifornii. W lipcu 1957 zatrzymana za posiadanie marihuany. Odsiedziała sześć miesięcy. Była podejrzana o atak na jakąś lesbijkę w sądowym areszcie. Od 3.08.1954 do 24.01.1958 była żoną Josepha Dominica Jahelki, urodzonego 16.01.1923 w Nowym Jorku, skazanego za gwałt, kradzież, fałszowanie recept na morfinę.

Joey Jahelka był prawdopodobnie żalonym ćpunem. Pewnie poślini się na widok morfy, którą Pete mu przywiózł.

Pete popijał piwo. Hi-fi grało beznadziejną muzykę. Nagle głośnik zagrział:

— Panie i panowie, Reef Club ma zaszczyt zaprezentować, ku waszej niezmiernej rozkoszy — Joey Jahelka i jego Swingująca Rewia!!!

Nikt nie zagwizdał. Nikt nie zaklaskał. Nikt nie przestał tańczyć. Na scenę wyskoczyło trio. Mieli na sobie murzyńskie spódniczki z trawy i niepasujące do nich fraki. Z ich instrumentów zwisały kwity lombardowe.

Zaczęli. Tańczący i siedzący przy stolikach goście nie zwracali na nich uwagi. Muzyka z szafy grającej złała się z ich wstępem. Dzieciak z liceum grał na saksofonie tenorowym. Perkusista wyglądał na boksera wagi koguciej. Gitarzysta pasował do rysopisu Joeya. Ten mały, brudny lump był półprzytomny. Rozciągnięte skarpetki zjechały mu poniżej kostek. Grali głośną, gównianą muzykę.

Pete czuł, że zaraz popękają mu bębenki.

Barb Jahelka prześlizgnęła się do mikrofonu. Emanowała zdrową urodą. Nie była podrzędną ćpunką z show biznesu. Wysoka. Szczupła. Tapirowane błyszczące rude włosy na pewno nie były farbowane. Do tego obcisła sukienka z dużym dekoltem. I obcasy, w których miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Barb śpiewała. Miała słaby głos. Orkiestra zagłuszała ją za każdym razem, gdy próbowała wyciągnąć wysoki ton.

Pete przyglądał się. Barb śpiewała. I TAŃCZYŁA— *Cicho sza!* nazwałoby to GOR-R-ĄCYM PŁASEM.

Kilku mężczyzn na parkiecie przestało twistować, żeby popatrzeć na tę rudą. Jakaś dziewczyna szturchnęła swojego partnera — „Przestań się na nią gapić!”.

Barb śpiewała cienko i monotonna. Za to wirowała w wyjątkowym tempie. Zrzuciła buty. Poruszała energicznie biodrami.

Pete patrzył jej w oczy. Poklepał kopertę, którą miał w kieszeni.

Przeczyta jego liścik. Pieniądze przyciągną ją jak magnes. Da pewnie Joeyowi prochy i każe się ulotnić.

Pete odpałał papierosa od papierosa. Pierś Barb wychyliła się z dekoltu; schowała ją, nim ktokolwiek zauważył. I zaraz błogo uśmiechnęła się... Kurczę! Oszalamiająca...

Pete dał kelnerce kopertę. Dwadzieścia dolarów zagwarantowało doręczenie.

Barb tańczyła. A Pete powtarzał w myślach jak modlitwę: „Proszę, porozmawiaj ze mną”.

**W**iedział, że się spóźni. Wiedział, że najpierw zamknie klub, a jemu każe się podenerwować. Wiedział, że zadzwoni do Freddy'ego O., żeby czegoś się o nim dowiedzieć.

Pete czekał w całonocnej kafejce. Bolały go płuca — czekając na Barb wypalił dwie paczki papierosów. Godzinę wcześniej zadzwonił do Littella. Powiedział: „Spotkajmy się u Lenny'ego o 3.00. Myślę, że znalazłem naszą kobietę”.

Była 1.10. Być może pospieszył się z tym telefonem. Pete pił kawę i co parę sekund zerkał na zegarek. Barb Jahelka weszła i zobaczyła go. Jej spódnica i bluzka wyglądały niemal elegancko. Brak makijażu dodawał jej urody. Usiadła naprzeciw niego.

Pete odezwał się:

- Mam nadzieję, że dzwoniłaś do Freddy'ego.
- Owszem.
- Co ci powiedział?



— Że nigdy by z tobą nie zadzierał. I że twoje współpracownicy zawsze zarabiają.  
— To wszystko?  
— Powiedział, że znasz Lenny'ego Sandsa. Dzwoniłam do Lenny'ego, ale nie było go w domu.

Pete odsunął kawę.

— Chciałaś zabić tę lezbę, którą dźgnęłaś nożem?

Barb uśmiechnęła się.

— Nie. Chciałam, żeby przestała mnie macać, a *nie* chciałam, żeby kosztowało mnie to resztę mojego życia.

Pete uśmiechnął się.

— Nie pytasz, o co mi chodzi.

— Freddy już mi zdradził swoje domysły, a ty zapłaciłeś pięćset dolarów za tę pogawędkę. Tak przy okazji, Joey dziękuje za działkę.

Pojawiła się kelnerka. Pete odesłał ją ruchem ręki.

— Czemu z nim jesteś?

— Bo nie zawsze był uzależniony. Bo załatwił paru facetów, którzy skrzywdzili moją siostrę.

— Dobre powody.

Barb zapaliła papierosa.

— Główną przyczyną jest to, że uwielbiam mamę Joeya. Jest stuknięta i sądzi, że wciąż jesteśmy małżeństwem. Myśli, że siostrzeńcy Joeya to nasze dzieci.

Pete roześmiał się.

— A gdy umrze?

— To dzień jej pogrzebu będzie dniem naszego pożegnania. Joey będzie musiał znaleźć nową piosenkarkę i nowego kierowcę, który będzie go woził do lekarza.

— Założę się, że złamie mu to serce.

Barb wydmuchiwała kóleczkę z dymu.

— Koniec to koniec. To pojęcie, którego ćpuni nie rozumieją.

— Ale ty rozumiesz.

— Tak. A ty uważasz, że to dziwne, jak na kobietę.

— Niekoniecznie.

Barb zgaszyła papierosa.

— O co chodzi?

— Nie teraz.

— A kiedy?

— Wkrótce. Najpierw opowiedz mi o sobie i Peterze Lawfordzie.

Barb bawiła się popielniczką.

— To było krótkie i brzydkie, skończyłam z nim, kiedy zaczął mnie dręczyć, żebym poszła do łóżka z Frankiem Sinatra.

— Na co nie miałaś ochoty.

— Zgadza się.

— Czy Lawford przedstawił cię Jackowi Kennedy'emu?

— Nie.

— Sądzisz, że opowiadał mu o tobie?

— Może.

— Słyszałaś o Kennedym i kobietach?

— Pewnie. Peter mówił, że jest „nienasycony”, a pewna dziewczyna z Vegas opowiedziała mi parę historii.

Pete czuł zapach olejku do opalania. Te rude włosy i ostre światła jupiterów...

Barb spytała:

— Do czego zmierzasz?

Pete odparł: — Zobaczymy się jutro wieczorem w klubie i powiem ci.

Littell czekał na niego przed domem Lenny'ego. Nocny marek Lenny miał zapalone światła o 3.20 w nocy. Pete orzekł:

— Babka jest świetna. Potrzebujemy tylko Lenny'ego, żeby wprowadził ją w sprawę.

— Chcę się z nią spotkać.

— Spotkasz się. Czy on jest sam?

Littell skinął głową. — Przyszedł do domu z poderwanym chłopaczkiem. Koleś właśnie wyszedł.

Pete ziewnął; nie spał ponad dobę.

— Weźmy się za niego.

— Dobry i zły gliniarz?

— Tak. Na zmianę, żeby wyprowadzić go z równowagi.

Weszli na ganek. Pete zadzwonił. Littell zmarszczył się paskudnie.

Lenny otworzył. — Nie mów mi, że zapomniałeś...

Pete wepchnął go do środka. Littell zatrzasnął drzwi i zamknął na zasuwkę. Elegancik Lenny zakrył się szlafrokiem. Artysta Lenny odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

— Ward, myślałam, że z nami koniec. I zdawało mi się, że rządysz w Chicago.

Littell odpowiedział:

— Potrzebujemy pomocy. Musisz tylko przedstawić pewnemu mężczyźnie pewną kobietę i trzymać język za zębami.

— A jeśli tego nie zrobię?

— To ujawnimy, że zabiłeś Tony'ego Iannone'a.

Pete westchnął. — Załatwmy to jak cywilizowani ludzie.

Littell odparł:

— Po co? Mamy do czynienia z małym sadystycznym pedałem, który zabił człowieka i włos mu z głowy za to nie spadł.

Lenny westchnął.

— Już miałem do czynienia z dwoma gliniarzami na raz. Znam tę technikę.

Littell powiedział: — Spróbujemy ją nieco urozmaicić. Pete rzekł: — Lenny, pięć kawałków. Musisz tylko przedstawić Barb Jahelkę jednemu z twoich przyjaciół.

Littell wyłamywał palce. Lenny powiedział:

— Ward, daj sobie spokój. Maniery twardzieli nie są w twoim stylu.

Littell dał mu po gębie. Lenny mu oddał. Pete stanął między nimi. Wyglądali komicznie — dwóch pseudoważniaków z krwawiącymi nosami.

— No już, przestańcie. Załatwmy to w cywilizowany sposób.

Lenny wytarł nos.

— Jakoś inaczej wyglądasz, Ward. Pasują do ciebie te blizny.

Littell wytarł nos.

— Nie wyglądałeś na zdziwionego, kiedy Pete wspomniał Barb Jahelkę.

Lenny zaśmiał się.

— Bo byłem już w szoku, widząc was razem.

Littell: — To nie jest szczerza odpowiedź.

Lenny wzruszył ramionami.

— To co powiecie na to: Barb jest z branży, a w tej branży wszyscy znają wszystkich.

Pete zmienił temat: — Wymień kilka hoteli, do których Jack Kennedy zabiera kobiety.

Lenny skrzywił się. Pete wyłamał kciuki dwa razy głośniejsze niż zwykle. Littell powtórzył:

— Wymień kilka hoteli.

Pedałek Lenny zapiszczał:

— Ale śmieszne! Hej, zadzwońmy do Kempera i zrobmy to w czwórkę!

Littell uderzył go w twarz. Lenny uronił kilka łez — *adieu*, pedalska odwago. Pete powiedział:

— Wymień kilka hoteli. Nie zmuszaj *mnie*, żebyś zagrał twardziela.

Lenny wyszeptał:

— El Encanto w Santa Barbara, Ambassador-East w Chicago i Carlyle w Nowym Jorku.

Littell wypchnął Pete'a na korytarz — z dala od uszu Lenny'ego.

— Hoover założył podsłuch w El Encanto i Ambassadorze. Kierownik daje te apartamenty wszystkim, których wskaże Hoover.

Pete szeptał: — Złożył to sobie w całość. Wie, czego chcemy, więc kończmy sprawę.

Przeszli z powrotem do salonu. Lenny popijał bacardi. Littell prawie się ślinił. Hoffa mówił, że nie pił od dziesięciu miesięcy. Barek Lenny'ego był kuszący — rum, szkocka i mnóstwo innej dobrej wody. Lenny podał im drinki.

Pete powiedział: — „Jack, to jest Barb. Barb, to jest Jack.”

Lenny wytarł usta.

— Teraz będę musiał do niego mówić „panie prezydencie”.

Littell spytał: — Kiedy ostatnio go widziałeś?

Lenny zakaszłał.

— Parę miesięcy temu. W domu przy plaży Petera Lawforda.

— Czy zawsze odwiedza Lawforda, będąc w L.A.?

— Tak. Peter wydaje wspaniałe przyjęcia.

— Czy zaprasza *wolne* kobiety? Lenny zachichotał: — *Zawsze.*

— Zaprasza ciebie?

— Zazwyczaj, mój drogi. Prezydent lubi się śmiać i zawsze dostaje to, co lubi.

Wtrącił się Pete: — Kto jeszcze przychodzi na te przyjęcia? Sinatra i ci faceci ze „Szczurzej Paczki”?

Lenny dolał sobie do pełna. Littell oblizał się i zakręcił butelkę. Pete spytał:

— *Kto jeszcze przychodzi na te przyjęcia?* Lenny wzruszył ramionami.

— Rozrywkowi ludzie. Kiedyś przychodził Frank, ale Bobby namówił Jacka, żeby *go* nie zapraszać.

Littell wtrącił:

— Czytałem, że Kennedy przyjeżdża do Los Angeles 18 lutego.

— To prawda, skarbie. I zgadnij, kto dziewiętnastego wydaje przyjęcie.

— Czy jesteś zaproszony, Lenny?

— Tak.

— Czy ochrona rewiduje gości albo sprawdza ich wykrywaczem metali?

Lenny sięgnął po butelkę. Pete złapał ją pierwszy.

- Odpowiedz na pytanie pana Littella.  
Lenny pokręcił głową.
- Nie. Ochrona je, pije i rozmawia o niepohamowanym popędzie seksualnym Jacka.
- Pete powtórzył: — „Barb, to jest Jack. Jack, to jest Barb.”  
Lenny westchnął.
- Nie jestem imbecylem.  
Pete uśmiechnął się.
- Podwyższamy twoje honorarium do dziesięciu tysięcy, bo wiemy, że jesteś zbyt mądry, żeby komukolwiek o tym powiedzieć.  
Littell odsunął barek z zasięgu wzroku.
- Szczególnie dotyczy to Sama Giancany i innych twoich przyjaciół z mafii, Laury Hughes, Claire Boyd i Kempera Boyda, nawet biorąc pod uwagę znikome prawdopodobieństwo, że ich spotkasz.  
Lenny zaśmiał się.
- Kemper o tym nie wie? Co za szkoda — z *nim* chętnie bym się znowu starł.
- Pete powiedział: — To nie są żarty.  
Littell dodał: — Nie myśl, że Sam puści ci płazem morderstwo Tony'ego.
- Pete: — Nie łudź się, że Sam wciąż lubi Jacka albo że ruszy palcem, żeby mu pomóc. Sam kupił Jackowi Zachodnią Wirginię i Illinois, ale to było dawno temu, a od tamtej pory Bobby nie traktuje mafii po przyjacielsku.
- Lenny zatoczył się na barek. Littell podtrzymał go. Lenny go odepchnął.
- Sam i Bobby muszą coś razem knuć, bo Sam mówił, że mafia wykonuje pewną robotę, żeby pomóc Bobby'emu z Kubą, ale Bobby o tym nie wie i Sam stwierdził, że „Chyba trzeba mu powiedzieć”.
- Pete przypomniał sobie: egzamin do „Załatwić Fidela”. Trzy grube ryby mafii, znudzone i nieprzystępne.
- Littell powiedział: — Lenny, jesteś pijany. Wygadujesz jakieś... Pete przerwał mu:
- Co jeszcze Giancana mówił o Bobbym Kennedym i Kubie?  
Lenny oparł się o drzwi.
- Nic. Po prostu słyszałem dwie sekundy z jego rozmowy z Butchem Montrose'em.
- Kiedy?  
— W zeszłym tygodniu. Pojechałem do Chicago na spotkanie Teamsters.

Littell powiedział: — Zapomnij o Kubie.

Lenny zatoczył się i pokazał symbol zwycięstwa.

— *Viva Fidel!* Precz z imperialistycznym insektem Ameryki! Pete uderzył go. Littell rzekł:

— „Barb, to jest Jack.” I pamiętaj, co zrobimy, jeśli nas zdradzisz. Lenny wypluł złotą koronkę.

Zespół mocno fałszował. Pete domyślił się, że są nafaszerowani jego morfą. Reef Club drżał w posadach. Przez miłośników twista.

Barb tańczyła zupełnie bezpłciowo jak na jej możliwości. Pete domyślił się, że rozpraszała ją potencjalna robota. Littell zajął stolik w boksie. Barb pomachała, kiedy zobaczyła, że wchodzi. Pete pił piwo. Littell mineralną. Stolikiem wstrząsały dźwięki ze wzmacniacza.

Pete ziewnął. Miał pokój w Statlerze, w którym przespał cały dzień i pół wieczoru. Hoffa przesłał Fredowi Otashowi dwa patole. Littell napisał kartkę do Hoovera i przesłał ją przez łączników Jimmy'ego z FBI. Na kartce było napisane: „Chcemy zainstalować podsłuch. Chcemy przypieprzyć JEDNEMU Z PAŃSKICH GŁÓWNYCH WROGÓW”. Hoffa zatrudnił Freddy'ego Turentine'a. Freddy miał zakładać podsłuchy telefoniczne i pluskwy we wskazanych miejscach.

Pete ziewnął. Kołatały mu się po głowie słowa Lenny'ego o Bobbym i Kubie. Littell trącił go łokciem.

— Ładna jest.

— I ma styl.

— Mądra?

— Dużo mądrzejsza niż moja ostatnia partnerka od szantaży.

Barb zakończyła „Frisco Twist” *crescendo*. Jej zaćpany zespół grał tak, jakby w ogóle jej tam nie było. Zeszła ze sceny. Tańczący twista przepchnęli ją przez parkiet. Jakiś napalony frajer wpatrywał się w jej dekolt. Pete pomachał. Barb wślizgnęła się do boks obok niego.

Pete przedstawił ich sobie: — Panna Lindscott, pan Littell.

Barb zapaliła papierosa.

— Oficjalnie „Jahelka”. Kiedy umrze moja teściowa, wrócę do „Lindscott”.

Littell powiedział: — Podoba mi się „Lindscott”.

Barb odpowiedziała: — Wiem. Bardziej do mnie pasuje.

— Pracowałaś kiedyś jako aktorka?

— Nie.

— A ten cyrk z Lennym Sandsem i Rockiem Hudsonem?

— Musiałam tylko wykiwać policję i spędzić noc w więzieniu.

- Czy za dwa tysiące dolarów warto było ryzykować?
- Barb zaśmiała się.
- Porównaj do tego czterysta dolarów za trzy przedstawienia co wieczór, sześć dni w tygodniu.
- Pete odsunął piwo i precelki.
- Z nami zarobisz dużo więcej niż dwa tysiące.
- Co robiąc? Oczywiście nie licząc przespania się z jakimś ważnym mężczyzną...
- Littell pochylił się w jej stronę.
- Ryzykując, ale tylko chwilowo.
- Więc? Robota *tutaj* też jest chwilowa. A do tego nudna.
- Littell uśmiechnął się.
- Co zrobiłabyś, gdybyś spotkała prezydenta Kennedy'ego i chciała zrobić na nim wrażenie?
- Barb wydmuchała trzy idealne kółka.
- Zachowywałabym się bezpruderyjnie i zabawnie.
- Co byś założyła?
- Płaskie obcasy.
- Dlaczego?
- Mężczyźni lubią patrzeć na kobiety z góry.
- Littell parsknął śmiechem.
- Co zrobiłabyś z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów?
- Barb roześmiała się.
- Rzuciłabym „Swingującą Rewię”.
- A gdyby ktoś cię wydał?
- Pomyślałabym, że jesteście gorsi niż ci, których szantażujemy, i trzymałabym głowę na kłódkę.
- Pete powiedział: — Do tego nie dojdzie.
- Barb spytała: — Do *czego* nie dojdzie?
- Pete walczył z chęcią dotknięcia jej.
- Będiesz bezpieczna. To będzie jedna z tych spraw o wysokim stopniu ryzyka, które dobrze się kończą.
- Barb nachyliła się w jego stronę.
- Powiedz, o *co* chodzi. Ja wiem, ale chcę to usłyszeć od *ciebie*.
- Otarła się o jego nogę. Ten kontakt sprawił, że zadrżał na całym ciele.
- Powiedział:
- Chodzi o ciebie i Jacka Kennedy'ego. Za dwa tygodnie spotkasz go na przyjęciu u Petera Lawforda. Będziesz miała przy sobie mikrofon i jeśli jesteś tak dobra, jak nam się wydaje, to będzie dopiero początek.

Barb wzięła ich za ręce i uściśniła. Jej spojrzenie mówiło: „Uszczypnijcie mnie, bo chyba śnię”.

— Czy zostałam właśnie maskotką Partii Republikańskiej? Pete roześmiał się. Littell śmiał się głośniej.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.02.1962. Dosłowny stenogram FBI rozmowy telefonicznej:

„NAGRANE NA PROŚBĘ DYREKTORA”/„TYLKO DO WIADOMOŚCI DYREKTORA”

Rozmawiają: dyrektor J. Edgar Hoover, Ward J. Littell.

JEH: Pan Littell?

WJL: Tak, sir.

JEH: Pański list był dość śmiały.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Nie miałem pojęcia, że zatrudniają pana panowie Hoffa i Marcello.

WJL: Od zeszłego roku, proszę paria.

JEH: Nie skomentuję tej przewrotności losu.

WJL: Powiedziałbym, że jest ona dość oczywista, sir.

JEH: Właśnie. Czy mam rację, że wszechobecny i wielce przepracowany Kemper Boyd załatwił panu tę robotę?

WJL: Tak jest. Ma pan rację.

JEH: Nie mam też nic przeciwko panu Marcello i panu Hoffie. Postrzegąłem krucjatę Czarnego Króla przeciwko nim jako źle pomyślaną od samego początku.

WJL: Wiedzą o tym, sir.

JEH: Czy mam zakładać, że celem waszej operacji jest rozwiązy Król Jack?

WJL: Zgadza się, proszę pana.

JEH: A pańskim partnerem jest straszliwy Pete Bondurant?

WJL: Tak jest.

JEH: Nie skomentuję także tej przewrotności losu.

WJL: Czy możemy liczyć na *pańską aprobatę*?

JEH: Tak. A pan osobiście doprawdy mnie zadziwia.

WJL: Dziękuję, sir.

JEH: Czy aparatura jest na miejscu?

WJL: Tak jest. Dotychczas byliśmy w stanie założyć podsłuch jedynie w Carlyle, a dopóki nasza wtyczka nie nawiąże kontaktu z celem i nie rozpoczną romansu, trudno przewidzieć, gdzie będą się spotykać.

JEH: O ile w ogóle będą się spotykać.

WJL: Tak jest.



JEH: Pański list wspominał o pewnych hotelach.

WJL: Tak, o El Encanto i Ambassadorze-East. Wiem, że nasz cel lubi zabierać kobiety do tych hoteli, i wiem, że Biuro utrzymuje podsłuch w obu tych miejscach.

JEH: Tak, z tym że Czarny Król baraszkuje teraz wyłącznie w prezydenckich apartamentach.

WJL: Nie pomyślałem o tym, sir.

JEH: Każę zaufanym pracownikom Biura zainstalować w nich aparaturę i monitorować ją. I będę używał wam swoich taśm, o ile *wy* będziecie przekazywać mi taśmy z Carlyle.

WJL: Oczywiście, sir.

JEH: Czy braliście pod uwagę założenie podsłuchu w letnim domu pierwszego szwagra?

WJL: To niemożliwe, sir. Fred Turentine nie może się tam dostać, żeby założyć mikrofony.

JEH: Kiedy wasza wtyczka ma spotkać Czarnego Króla?

WJL: Jutro wieczorem. W letnim domu, o którym pan wspominał.

JEH: Czy jest atrakcyjna?

WJL: Jest.

JEH: Mam nadzieję, że ma silną wolę i będzie odporna na urok tego chłopca.

WJL: Myślę, że wykona dobrą robotę.

JEH: Ciekaw jestem usłyszeć ją na taśmie.

WJL: Prześlę tylko najlepsze nagrania.

JEH: Składam wyrazy uznania. Kemper Boyd dobrze pana wyszkolił.

WJL: Pan również.

JEH: Nie skomentuję i tej przewrotności losu.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Wiem, że za jakiś czas zaczniesz mnie pan prosić o przysługi. Ufam, że będzie mi pan przysyłał nagrania na bieżąco i prosił o przysługi w granicach rozsądku.

WJL: Tak jest, sir.

JEH: Nie doceniałem pana i cieszę się, że znów razem pracujemy.

WJL: Ja również.

JEH: Miłego dnia, panie Littell.

WJL: Miłego dnia, sir.

(Meridian, 18 lutego 1962)

Obudziły go strzały. Wrzaski rebeliantów sprawiły, że sięgnął po broń. Kemper wstał z łóżka. Na autostradzie słyhać było pisk hamulców — ludzie z Klanu, ale nie od Lockharta, uciekali.

Już wyszło na jaw. W mieście jest federalny miłośnik czarnuchów. Motel Seminole jest pełen jego kubańskich i francuskich wasali.

Strzały przerażały go. Koszmar, który przerwały, jeszcze bardziej.

Jack i Bobby trzymali go teraz krótko. Powiedzieli: „Basta! Wiemy, że od 1959 masz powiązania z mafią i CIA”.

Koszmar był wyraźny, niemal namacalny. Jego przyczyną stał się zeszlotygodniowy telefon Pete'a. Pete mówił o kwalifikacjach do „Załatwić Fidela”. Powiedział, że ma pewną teorię na temat tego, dlaczego mafia olała sprawę. Powiedział, że Sam G, być może ma zamiar wyjawić Bobby'emu tajemnicę: Prokuratorze generalny — mafia od trzech lat jest sojusznikiem sprawy kubańskiej. Pete odkrył coś, co stanowczo to potwierdza. Uważa, że Sam może powiedzieć prawdę całkiem niedługo. Sam chce wprawić Bobby'ego w zakłopotanie i zmusić tym do zawieszenia broni w wojnie z mafią. Pete powiedział, że się tym zajmie.

Kemper połknął bez popijania trzy tabletki amfetaminy. Teoria Pete'a szumiała w głowie i zaczęła dotyczyć jego osobie.

Bobby chce, żebym *ja* pokazał mu wkrótce „JM/Falę”. Myśli, że moje związki z CIA zaczęły się od maja 1961. W „JM/Fali” jest pełno moich byłych współpracowników sprzed Zatoki Świń — i kubańskich uchodźców dobrze znających niektóre osoby ze świata przestępczości zorganizowanej.

Kemper ogolił się i ubrał. Amfa szybko działała. W pokoju obok słyszał postękiwanie — Laurent Guéry robił swoje poranne pompki.

John Stanton pociągał za sznurki. Laurent, Flash i Juan otrzymali zielone karty. Néstor Chasco przeniósł się do Meridian i dołączył do grupy. Motel Seminolee był teraz kwaterą Kadry.

Kemper zamienił na gotówkę akcje warte dwadzieścia tysięcy dolarów. Guy Banister również dał pewne środki. Oddział „Załatwić Castro” był teraz samowystarczalny i w pełni niezależny.

Za dnia zbierał raporty dotyczące przestrzegania praw wyborczych. Nocą przygotowywał się z innymi do zabicia Fidela. Przekonał do siebie sporo

miejscowych Murzynów. Kościół Baptistów był jego w 84%. Jacyś wieśniacy napadli na pastora. Znalazł ich i pałką połamał im nogi.

Dougie Frank oddał im swoją strzelnicę. Kadra trenowała siedem nocy w tygodniu. Strzelali do stacjonarnych i ruchomych celów. Chodzili na rekonesans do lasu. Wkrótce miała się zacząć infiltracja Kuby.

Juan i Flash nauczyli go hiszpańskiego, tak że mówił prawie płynnie. Mógł ufarbować sobie włosy, wysmarować twarz i jechać na Kubę jako Latynos. Mógł znaleźć się blisko centrum wydarzeń. Mógł strzelać.

Wszyscy uwielbiali rozmawiać. Po treningu pili bimber i gadali przez pół nocy. Opracowali mieszankę trzech języków. Opowiadali sobie pieprzne męskie dowcipy i ciągnęli z butelki. Juan opisał swoją kastrację. Chasco opowiadał o morderstwach na zlecenie Batisty. Flash z bliska widział Playa Girón. Laurent był świadkiem zatuszowanego ludobójstwa w Paryżu — w październiku zeszłego roku żandarmi zatłukli na śmierć dwustu Algierczyków i wrzucili ich do Sekwany.

Mógł znaleźć się blisko. Mógł strzelać. Anglosas o jasnej cerze mógł stać się Kubańczykiem.

Amfetamina działała już w pełni. Zimna kawa stanowiła miły dodatek. Spojrzał na datę na swoim Roleksie. Wszystkiego dobrego w dniu urodzin — masz czterdzieści sześć lat i nie wyglądasz na tyle.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.02.1962. Częściowy stenogram podsłuchu.

Spisany przez Freddy'ego Turentine'a.

Taśmy/pisemne kopie do: P. Bondurant, W. Littell.

21.14., 19 lutego 1962. L. Sands i B. Jahelka wchodzą do domu (cel i osoby towarzyszące przybyli o 20.03). Hałasy uliczne na Pacific Coast Highway powodują zakłócenia sygnału i przerwy. Wizyta B. Jahelki zsynchronizowana z czasem nagrania i monitorowana na żywo.

Symbole:

BJ — Barb Jahelka, LS — Lenny Sands, PL — Peter Lawford, NM1 — Nieznany mężczyzna nr 1, NM2 — Nieznany mężczyzna nr 2, NK 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7: Nieznane kobiety nry 1-7, JFK — John F. Kennedy. RFK — Robert F. Kennedy. (Uwaga: domniemywam, że NM 1 i NM 2 są agentami służby bezpieczeństwa.)

21.14 — 21.22: zakłócenia.

21.23 — 21.26: przenikające się głosy. Przebija się głos BJ, głównie konwencjonalne powitania. (Myszę, że była przedstawiana NK 1-7. Uwaga na wysoki śmiech na kopiach taśmy.)

21.27 — 21.39: BJ i PL

PL (w trakcie rozmowy): Wyróżniasz się w tym tłumie, Barb.

BJ: Urodą czy wzrostem?

PL: I jednym, i drugim.

BJ: Bzdury gadasz.

NK 3: Cześć, Peter.

BJ: Cześć, laleczko.

NK 6: Peter, fryzura prezydenta jest po prostu boska.

PL: Pogłaszcz go. Nie ugryzie cię.

NK 3, NK 6: śmiech.

BJ: To artystki czy dziwki?

PL: Ta utleniona blondynka jest barmanką w Sip n' Surf w Malibu. Inne pracują w Dunes. Widzisz tę brunetkę, która ma czym oddychać?

BJ: Tak.

PL: Gra na flecie w dziewczęcym zespole Franka Sinatry.

BJ: Bardzo śmieszne.

PL: Nie tak bardzo, bo Bobby zmusił Jacka do pozbycia się Franka. Frank urządził lotnisko dla helikopterów w Palm Springs, żeby Jack mógł go odwiedzić, ale ten nawiedzony dupek Bobby zmusił Jacka, żeby pozbył się Franka tylko dlatego, że zna paru gangsterów. Spójrz na niego. Czy nie wygląda jak wredny mały gnojek?

BJ: Ma końskie zęby.

PL: Które nigdy nie dotknęły kobiety.

BJ: Twierdzisz, że jest pedałem?

PL: Mam dowody na to, że pieprzy się tylko ze swoją żoną, nie ma z tego żadnej przyjemności i robi to wyłącznie w celach prokreacyjnych. Czy nie wygląda jak wredny mały gnojek?

NK 2: Peter! Właśnie spotkałam prezydenta na plaży!

PL: To miło. Obciągnęłaś mu?

NK 2: Świnia.

PL: Kwi, kwi!

BJ: Chyba potrzebuję drinka.

PL: Chyba potrzebujesz *lobotomii*. Naprawdę, Barb. Chciałem tylko, żebyś raz przespała się z Frankiem.

BJ: Nie jest w moim typie.

PL.: Mógłby ci pomóc. Wykopałby z twojego życia tego gnojka Joeya.

BJ: Joeya i mnie łączy wspólna historia. Pozbędę się go, kiedy nadejdzie właściwa pora.

PL: Mnie też pozbyłaś się zbyt szybko. Frank był w tobie nieźle zadurzony, laleczko. Przeczuwał, że coś ukrywasz, i wiem z pewnych źródeł, że wynajął prywatnego detektywa, żeby się dowiedział, co to jest.

BJ: Powiedział ci, co odkrył?

PL: Ani słowa, laleczko. Ani sło...

NK 1: O Boże, Peter, właśnie poznałam prezydenta Kennedy'ego!

PL: Jak miło. Obciągnęłaś mu?

BJ, NK 1, NK 2: zakłócenia.

PL: Kwi, Kwi! Jestem prezydenckim prosiaczkiem!

21.40 – 22.22 – zakłócenia. Wskaźniki pokazały, że pracownicy tajnych służb zainstalowali prywatne linie i z nich dzwonili.

22.23 – 22.35: zakłócenia. BJ (stojąca blisko zestawu hi-fi) rozmawia z NK 1, 3 i 7. (Powinno się ją ostrzec, żeby unikała hałaśliwych urządzeń i gramofonów.)

22.36 – 22.41: BJ jest w łazience (wskazują na to odgłosy umywalki i toalety).

22.42 – 22.49: zakłócenia.

22.50 – 23.04: BJ i RFK.

BJ (w trakcie rozmowy): To tylko moda i trzeba łapać hity, nim się zestarzeją, a potem zejść ze sceny, żeby nie wyjść na przegraną.

RFK: Więc pewnie można powiedzieć, że twist jest jak polityka.

BJ: Można. Oportunizm jest tu niewątpliwie wspólnym mianownikiem.

RFK: Brzmi to banalnie, ale nie wyglądasz mi na byłą dziewczynę z show biznesu.

BJ: Dużo ich pan poznał?

RFK: Tak, sporo.

BJ: Podczas przesłuchań gangsterów?

RFK: Nie, kiedy mój brat mi je przedstawiał.

BJ: Czy miały wspólną cechę?

RFK: Tak. Dostępność.

BJ: Muszę się z tym zgodzić.

RFK: Spotykasz się z Lennym Sandsem?

BJ: Nie chodzimy na randki. Po prostu przyprowadził mnie na przyjęcie.

RFK: Jak zareklamował to zgromadzenie?

BJ: Nie powiedział: „Chodź i dołącz do haremu”, jeśli o to panu chodzi.

RFK: Więc zauważyłaś wysoki odsetek kobiet w stosunku do mężczyzn...

BJ: Wie pan, że tak, panie Kennedy.

RFK: Mów mi Bob.

BJ: Dobrze, Bob.

RFK: Zakładam, że skoro znasz Petera i Lenny'ego, to wiesz, jak się mają pewne sprawy.

BJ: Myślę, że tak.

RFK: Wiem, że tak. Wspominam o tym, bo znam Lenny'ego od dawna i dzisiaj wydaje mi się smutny i zdenerwowany; nigdy go takim nie widziałem. Mam nadzieję, że Peter nie kazał mu...

BJ: Nie lubię Petera. Kilka lat temu mieliśmy romans, ale zerwałam z nim, kiedy zrozumiałam, że to przydupas i alfons, nic więcej. Przyszłam na to przyjęcie, bo Lenny potrzebował towarzystwa, i pomyślałam, że miło będzie spędzić chłodny zimowy wieczór na plaży i może spotkać prokuratora generalnego i prezydenta USA...

RFK: Wybacz, nie chciałem cię obrazić.

BJ: Nie obraziłeś.

RFK: Kiedy dam się namówić na takie przyjęcie, łapię się na tym, że sprawdzam anomalie pod kątem bezpieczeństwa. Kiedy tą anomalią jest kobieta, cóż, sama widzisz, co mam na myśli.

BJ: Patrząc na inne kobiety tutaj, dobrze się czuję w roli anomalii.

RFK: Nudzę się i wypilem dwa drinki za dużo. Zazwyczaj nie rozmawiam na osobiste tematy z dopiero co poznanymi ludźmi.

BJ: Chcesz usłyszeć dobry numer?

RFK: Pewnie.

BJ: Co Pat Nixon powiedziała o swoim mężu?

RFK: Nie wiem.

BJ: Richard był dziwny na długo, zanim zajął się polityką.

RFK (śmieje się): Jezu, ale tekst. Będę musiał to opowiedzieć...

Zakłócenia (samolot przelatujący nieopodal). Końcówka rozmowy BJ — RFK zakłócona.

23.05 — 23.12: Odgłosy hi-fi i samochodów wskazują na to, że BJ chodzi po domu, a ludzie wychodzą z przyjęcia.

23.13 — 23.19: BJ mówi teraz prosto do mikrofonu. (Powiedzieć, żeby więcej tego nie robiła. Niebezpieczne.)

BJ: Jestem na tarasie wychodzącym na plażę. Jestem sama i szepczę tak, żeby ludzie nie słyszeli, że coś mówię, i żeby nie pomyśleli, że oszalałam. Jeszcze nie poznałam Wielkiego Człowieka, ale zauważyłam, że mnie dostrzegł i trącił łokciem Petera tak, jakby pytał „Kim jest ta ruda?”. Jest zimno, ale wyjęłam z garderoby futro z norek i jest mi teraz ciepło i przyjemnie. Lenny jest pijany, ale wydaje mi się, że chce się dobrze bawić. Podrywa teraz Deana Martina. Wielki Człowiek jest w sypialni Petera z dwiema blondynkami. Kilka minut temu widziałam Bobby'ego. Wyjadał z lodówki, jakby go ktoś głodził. Ludzie ze służb specjalnych przeglądają stos numerów *Playboya*. Po gębach widać, co myślą: „Kurde, jak to dobrze, że nie wybrali starego Dicka Nixona”. Na plaży ktoś pali

trawę, a ja zastanawiam się, jak to rozegrać. Myślę, że on mnie znajdzie. Słyszałam, jak Bobby mówił jednemu człowiekowi ze służb specjalnych, że Wielki Człowiek nie wyjdzie przed pierwszą. To daje mi trochę czasu. Lenny mówił, że Peter pokazywał mu moją niesławną rozkładówkę z magazynu *Nugget* z listopada 1956. On ma mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, więc jak mam płaskie obcasy, to jest ode mnie o kilka centymetrów wyższy. Muszę przyznać, że nie licząc hollywoodzkich brudów, przeżywam jedną z tych chwil, które młode dziewczyny opisują w pamiętnikach. Poza tym odmówiłam trzem zaproszeniom do twista, bo bałam się, że może to uszkodzić mikrofon. Słyszycie to? Drzwi sypialni za mną stuknęły i te dwie blondynki wyszły, chichocząc. Teraz już się zamknę.

23.20 – 23.27: cisza (odgłos fal wskazuje, że BJ została na tarasie).

23.28 – 23.40: BJ i JFK.

JFK: Cześć.

BJ: Jezu.

JFK: Nie całkiem, ale dzięki.

BJ: To może: cześć, panie prezydencie?

JFK: To może: cześć, Jack?

BJ: Cześć, Jack.

JFK: Jak się nazywasz?

BJ: Barb Jahelka.

JFK: Nie wyglądasz na Jahelkę.

BJ: Właściwie Lindscott. Pracuję z moim byłym mężem, więc zachowałam jego nazwisko.

JFK: Czy Lindscott to irlandzkie nazwisko?

BJ: To anglogermańskie skundlenie.

JFK: Wszyscy Irlandczycy to kundle. Bękarty, szaleńcy i pijacy.

BJ: Mogę to cytować?

JFK: Jeśli mnie powtórnie wybiorą. Zapisz sobie w notesie: „John F. Kennedy”, a obok: „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie”.

BJ: A mogę o coś spytać?

JFK: Pewnie.

BJ: Czy bycie prezydentem Stanów Zjednoczonych to jedna wielka pieprzona impreza?

JFK (przeciągły śmiech): Dokładnie tak. A towarzystwo na nim zebrane warte jest ceny wejściówki.

BJ: Na przykład?

JFK: Ten prostak Lyndon Johnson. Charles de Gaulle, który od 1910 jest sztywny jak kij. Ten kryjący się pedzio J. Edgar Hoover. Ci szaleni uchodźcy

kubańscy, z którymi ma do czynienia mój brat, a którzy w 80% są kryminalistami. Harold Macmillan, który definiuje słowo...

NM 2: Przepraszam, panie prezydencie.

JFK: Tak?

NM 1: Telefon do pana.

JFK: Powiedzcie, że jestem zajęty.

NM 2: Dzwoni gubernator Brown.

JFK: Powiedzcie, że oddzwonię.

NM1: Tak jest.

JFK: No, jak tam, Barb, czy głosowałaś na mnie?

BJ: Byłam w trasie, więc nie miałam okazji.

JFK: Mogłaś przesłać głos pocztą.

BJ: Nie pomyślałam o tym.

JFK: Co jest ważniejsze, twój czy moja kariera?

BJ: Twój.

JFK (przeciągły śmiech): Gdy się zadaje głupie pytania...

BJ: Raczej bezpośrednio. I bezpośrednia jest odpowiedź.

JFK: To prawda. Wiesz, mój brat uważa, że jesteś zbyt mądra na to przyjęcie.

BJ: Tak jakby on tu najbardziej pasował.

JFK: Spostrzegawcza jesteś.

BJ: Twój brat jest bardzo *naiwny*.

JFK: I jest to jedną z jego mocnych stron. Co stanie się, kiedy skończy się twoja głupia kariera tancerki?

BJ: Zaoszczędziłam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby ustawić moją siostrę w Tunnel City w Wisconsin.

JFK: Wygrałam w Wisconsin.

BJ: Wiem. Moja siostra głosowała na ciebie.

JFK: A twoi rodzice?

BJ: Ojciec nie żyje. Moja matka nienawidzi katolików, więc głosowała na Nixona.

JFK: Jeden głos w rodzinie to i tak niezły wynik. Ładne norki.

BJ: Pożyczyłam od Petera.

JFK: Więc to jedno z sześciu tysięcy futer, które mój ojciec kupuje moim siostrom.

BJ: Czytałam o chorobie twojego ojca. Zrobiło mi się przykro.

JFK: Niepotrzebnie. Złego licha nie bierze. Atak przy okazji, podróżujesz z tą rewią, o której opowiadał mi Peter?

BJ: Bez przerwy. Prawdę mówiąc, wyjeżdżam na wschodnie wybrzeże dwudziestego siódmego.



JFK: Czy mogłabyś zostawić swój plan podróży w sekretariacie Białego Domu? Pomyślałem, że moglibyśmy pójść na kolację, jeśli terminy będą nam pasowały.

BJ: Chętnie. Zadzwoń.

JFK: Proszę. I weź ze sobą norki. Wyglądają na tobie tak, jak na mojej siostrze nigdy by nie wyglądały.

BJ: Nie mogę.

JFK: Nalegam. Naprawdę, nie zauważy braku.

BJ: W takim razie w porządku.

JFK: Zazwyczaj nie ograbiam ludziom garderoby, ale chciałbym, żeby to futro należało do ciebie.

BJ: Dziękuję, Jack.

JFK: Cała przyjemność po mojej stronie. Niestety, muszę wykonać kilka telefonów...

BJ: W takim razie do zobaczenia.

JFK: Tak. Do zobaczenia.

NM 1: Panie prezydencie?

JFK: Już idę.

23.41—00.03: cisza, (odgłosy fal wskazują, że BJ pozostała na tarasie)

00.10: BJ i LS wychodzą z przyjęcia. Koniec podsłuchu: 00.11, 20 lutego 1962.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.03.1962. Stenogram podsłuchu z sypialni w hotelu Carlyle.

Spisywał: Fred Turentine.

Taśma i kopie pisemne do: P. Bondurant, W. Littell.

BJ zatelefonowała do punktu podsłuchowego z informacją, że spotyka się z celem na „kolację”. Została poinstruowana, żeby dwukrotnie otworzyć i zamknąć drzwi sypialni w celu aktywacji mikrofonu. Aktywny sygnał od 20.09. Symbole: BJ — Barb Jahelka. JFK — John F. Kennedy.

20.09 — 20.20: stosunek płciowy. (Patrz: taśma. Wysoka jakość dźwięku. Głosy rozpoznawalne.)

JFK: O, Boże.

BJ: Hmmm.

JFK: Przesuń się kawałek. Chcę trochę odciążyć kręgosłup.

BJ: Jak teraz?

JFK: Lepiej.

BJ: Zrobić ci masaż?

JFK: Nie. Wszystko, co mogłaś, już zrobiłaś.

BJ: Dzięki. Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś.

JFK: Co musiałaś dla mnie porzucić?

BJ: Dwa przedstawienia w Rumpus Room w Passaic w New Jersey.  
JFK: O, Boże.  
BJ: Zapytaj mnie lepiej o coś...  
JFK: Dobrze. Co zrobiłaś z futrem z norek, które ci dałem?  
BJ: Mój były mąż je sprzedał.  
JFK: Pozwoliłaś mu?  
BJ: To taka nasza gra.  
JFK: Co masz na myśli?  
BJ: Wie, że wkrótce go zostawię. Jestem u niego zadłużona, więc odbija sobie, kiedy tylko może.  
JFK: Czy to duży dług?  
BJ: Bardzo duży.  
JFK: Zainteresowałaś mnie. Opowiedz o tym.  
BJ: To zaczęło się w Tunnel City w Wisconsin około 1948 roku.  
JFK: Lubię Wisconsin.  
BJ: Wiem. Wygrałeś tam.  
JFK (śmiejąc się): Zabawna jesteś. Teraz ty mnie wypytaj...  
BJ: Kto jest największym kutasem w amerykańskiej polityce?  
JFK (śmiejąc się): Skryta ciota J. Edgar Hoover, który przechodzi na emeryturę 1 stycznia 1965.  
BJ: Nic o tym nie słyszałam.  
JFK: Usłyszysz.  
BJ: Rozumiem. Najpierw muszą cię powtórnie wybrać.  
JFK: Szybko się uczysz. A teraz opowiedz mi coś o tym Tunnel City w Wisconsin, rok 1948.  
BJ: Nie teraz.  
JFK: Dlaczego?  
BJ: Dobrze ci ze mną, więc nie musimy się spieszyć.  
JFK (śmiejąc się): Znasz się na mężczyznach.  
BJ: Owszem.  
JFK: Kto cię tego nauczył? Pytam o sam początek.  
BJ: Cała męska populacja nastolatków w Tunnel City, Wisconsin. Nie patrz tak na mnie. Było ich w sumie jedenastu.  
JFK: Mów dalej.  
BJ: Nie.  
JFK: Dlaczego?  
BJ: Dwie sekundy po tym, jak skończyliśmy się kochać, spojrzałeś na zegarek. Wygląda na to, że jedyny sposób na zatrzymanie cię w łóżku to przeciąganie mojej autobiografii.

JFK (śmiejąc się): Mogłabyś napisać część *mojej* biografii. Wyznać, że John F. Kennedy uwodził kobiety w hotelowym pokoju przy pomocy drinków i koreczków.

BJ: To był całkiem spory korek...

JFK\*(śmiejąc się): Jesteś zabawna i okrutna.

BJ: No to zadaj mi pytanie.

JFK: Nie. Teraz ty.

BJ: Opowiedz mi o Bobbym.

JFK: Dlaczego?

BJ: Podejrzliwie mnie traktował na przyjęciu u Pete'a.

JFK: Ogólnie jest podejrzliwy, bo wpadł w ślepy zaulek z Jimmym Hoffą i mafią i zaczyna go to wkurzać. To coś w rodzaju choroby zawodowej policjanta. Jednego dnia chodzi o Jimmy'ego Hoffę i nielegalną sprzedaż ziemi na Florydzie. Następnego dnia chodzi o deportację Carlosa Marcello. Teraz chodzi o Hoffę i sprawę taksówek z Tennessee i nie pytaj, co to znaczy, bo nie jestem prawnikiem i nie podzielam zacięcia Bobby'ego do ścigania i tępienia.

BJ: Jest twardszy niż ty, prawda?

JFK: Tak. I tak jak powiedziałem pewnej dziewczynie wiele lat temu, potrafi być naprawdę oddany i szczodry.

BJ: Znowu patrzysz na zegarek.

JFK: Muszę iść. Mam spotkanie.

BJ: Powodzenia.

JFK: Nie będę go potrzebował. Zgromadzenie Generalne to sami idioci. Powtórzmy to, Barb. Dobrze się bawiłem.

BJ: Ja też. I dzięki za koreczki.

JFK (śmiejąc się): Zostało ich jeszcze sporo.

Trzaśnięcie drzwi unieruchamia mikrofon.

Koniec zapisu: 20.34, 3 marca 1962.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 9.04.1962. Stenogram podsłuchu z sypialni w hotelu Carlyle.

Spisywał: Fred Turentine.

Taśma i kopie pisemne do: P. Bondurant, W. Littell.

BJ zatelefonowała do punktu podsłuchowego o 16.20. Powiedziała, że spotyka się z celem na „obiad” o 17.30. Podsłuch od 18.12. Symbole: BJ — Barb Jahelka. JFK — John F. Kennedy.

18.13 — 18.25: stosunek płciowy. (Patrz: taśma. Wysoka jakość dźwięku. Głosy rozpoznawalne.)

18.14 — 18.32: rozmowa.

BJ: O, Boże.

JFK: Ostatnim razem ja to powiedziałem.

BJ: Teraz było jeszcze lepiej.

JFK (śmiejąc się): Też tak sądzę. Chociaż zdawało mi się, że koreczkowi za-  
brakło trochę wigoru.

BJ: Zadaj mi lepiej jakieś pytanie.

JFK: Co zdarzyło się w Tunnel City w Wisconsin w 1948?

BJ: Jestem zdumiona, że pamiętasz.

JFK: To było zaledwie miesiąc temu.

BJ: Wiem. Ale to była zwykła uwaga.

JFK: Ale dająca do myślenia.

BJ: Dzięki.

JFK: Barb...

BJ: No dobrze. 9 maja rzuciłam Billy'ego Kreugera. Billy zmówił się z Tomem McCandlessem, Fritzie'em Schottem i Johnnym Coatesem. Postanowili dać mi nauczkę. Ale nie było mnie w mieście. Moi rodzice zabrali mnie na spotkanie w kościele w Racine. Moja siostra Margaret została w domu. Była buntowniczką i nie zdawała sobie sprawy, że takie spotkania są świetną okazją do poznawania chłopców.

JFK: Mów dalej.

BJ: Ciąg dalszy nastąpi.

JFK: O, Boże. Nienawidzę nierozwiązanych zagadek.

BJ: Następnym razem.

JFK (śmiejąc się): Skąd wiesz, że będzie następny raz?

BJ (śmiejąc się): Wiem, jak podtrzymać twoje zainteresowanie.

JFK: Jesteś dobra, Barb. Jesteś cholernie dobra.

BJ: Chcę sprawdzić, czy można poznać mężczyznę w godzinnych comiesięcznych odcinkach.

JFK: Nigdy nie zażadasz ode mnie niczego niestosownego, dobrze?

BJ: Dobrze.

JFK: Niech cię Bóg błogosławi.

BJ: Wierzysz w Boga?

JFK: Tylko podczas publicznych wystąpień. Teraz ty zadaj mi pytanie.

BJ: Masz kogoś, kto szuka ci kobiet?

JFK (śmiejąc się): Niezupełnie. Najbliżej byłby Kemper Boyd, ale przy nim czuję się trochę niezręcznie, więc tak naprawdę od zaprzysiężenia nie korzystałem z jego usług.

BJ: Kim jest Kemper Boyd?

JFK: Prawnikiem w Departamencie Sprawiedliwości. Podobałby ci się. Szalenie przystojny i dość niebezpieczny.

BJ: Jesteś zazdrosny? Dlatego czujesz się przy nim niezręcznie?

JFK: Czuję się niezręcznie, ponieważ jest jednym wielkim żalem, że nie jest z Kennedych, przez co trudno go szanować. Miał do czynienia z wieloma kryminalistami z Kuby i myślę, że w pewnych aspektach nie jest od nich wiele lepszy. Po prostu skończył Wydział Prawa Yale, przypiął się do mnie i pokazał, że może być pożyteczny.

BJ: Słabeusze lubią się wkradać w łaski władzy. Spójrz na Petera.

JFK: Kemper to nie Peter Lawford, to mu muszę przyznać. Peter nie ma duszy, którą mógłby sprzedać, a Kemper sprzedał swoją za niezłą cenę, nawet o tym nie wiedząc.

BJ: Jak to?

JFK: Nie mogę wdawać się w szczegóły, ale porzucił kobietę, z którą był, żeby zaskarbić sobie łaski moje i mojej rodziny. Widzisz, wychował się w bogactwie, ale jego ojciec wszystko stracił i popełnił samobójstwo. Niezdrowo fantazjuje na mój temat i od momentu, kiedy sobie to uświadomiłem, ciężko mi go znosić.

BJ: Porozmawiajmy o czymś innym.

JFK: Może o Tunnel City, Wisconsin, rok 1948?

BJ: Ciąg dalszy nastąpi.

JFK: Cholera.

BJ: Lubię wiszących nad przepaścią.

JFK: A ja nie. W dzieciństwie nienawidziłem seriali.

BJ: Powinieneś powiesić tu zegar ścienny. Wtedy nie będziesz musiał ukradkiem spoglądać na zegarek.

JFK: Zabawna jesteś. Możesz mi podać spodnie?

BJ: Proszę.

Trzaśnięcie drzwiami wyłącza mikrofon.

Koniec zapisu: 18.33, 8 kwietnia 1962.

77

(Miami, 15 kwietnia 1962)

Gliniarz spóźnił się. Pete zabijał czas, bazgrząc po kartkach w dyspozytorni. Rysował serca i strzały. Pisał słowa, które usłyszał od Lenny'ego i Barb, i podkreślał je. Słowa były mocne.

Zgiełk postoju otoczył go jak cholerna cisza.

Słowa Lenny'ego układały się w pewną teorię. Chłopaki z mafii chcą, żeby Bobby K, wiedział, że pomagali w sprawie Kuby. Bobby'emu jak dotąd nikt o tym nie powiedział. Gdyby wiedział, mógłby dołożyć Kemperowi. Gdyby wiedział, mógłby przeciąć wszelkie więzy między mafią a CIA. Mafia wie, że Bobby nie chce zabójstwa Fidela. Odmówili sfinansowania zespołu strzelców tylko z tego powodu.

Jego teoria wykluwała się przez kilka tygodni. Przewoził broń do obozów uchodźców, a Kemper działał na swoich dwóch frontach w Missisipi. Kemper bardzo chciał skubnąć Brodę — raczej nie przeszkadzał mu brak akceptacji mafii. Barb natomiast strzygła Jacka Fryzurę.

Gliniarz spóźniał się. Pete coraz więcej myślał o Barb. Zbierało się coraz więcej jej słów — na taśmie i na papierze. Najlepsze zapamiętał.

Fred Turentine prowadził punkt podsłuchowy Carlyle — w mieszkaniu na rogu Siedemdziesiątej Szóstej i Madison. Taśmy i transkrypcje pod tytułem „Barb pieprzy Jacka” były w opracowaniu. Littellowi udało się przekonać Hoovera. Federalni założyli podsłuch w prezydenckich apartamentach w El Encanto i Ambassador-East. Pan Hoover był ich partnerem w szantażu. Federalni sprawdzali apartament w Carlyle co tydzień — mikrofony w sypialni były niewidoczne.

Jackowi K, wystarczało w łóżku sześć minut. Jack K, dużo mówił, mało robił. Nazywał kubańskich uchodźców „kryminalistami”. Mówił o Kemperze Boydzie, że w żaloszny sposób wspina się po drabinie społecznej.

Gliniarz spóźniał się. Pete rysował coraz więcej serc i strzał. Miał nową teorię. Wyobraźmy sobie: Barb rozmawia z Jackiem i ze MNA.

Barb mówi, że nie zostawi Joeya Jahelki — „bo zajął się kilkoma facetami, którzy skrzywdzili moją siostrę”. Barb nie opowiedziała Jackowi całej historii. Jej wzmianki wskazywały, że ta intryga sięgała roku 1948. Wiedziała, że ON będzie słuchał taśm i czytał transkrypcje. Chciała, żeby ON uzupełnił brakujące elementy. Jack nie będzie zbyt mocno nalegał — była jedną z trzech milionów kobiet, z którymi się pieprzył. Barb wie, że ON jest byłym gliniarzem. Wie, że ON może odkryć prawdę.

Zadzwoił do policji stanowej w Wisconsin. Guy Banister zainicjował działania federalnych. Cała sprawa zajęła mu czterdzieści osiem godzin.

11.05.1948: Margaret Lynn Lindscott pada ofiarą zbiorowego gwałtu w Tunnel City, Wisconsin. Identyfikuje sprawców: William Kreuger, Thomas McCandless, Fritz Schott i John Coates. Oskarżenie nie zostaje sformułowane. Cała czwórka ma niepodważalne alibi.

14.01.1952: William Kreuger zostaje zastrzelony w Milwaukee. Sprawcy nie wykryto.

4.07.1952: Thomas McCandless zostaje zastrzelony w Chicago. Sprawcy nie wykryto.

23.01.1954: Znika Fritz Schott. Niedaleko Des Moines zostaje znalezione rozkładające się ciało — jego albo nie jego. Nieopodal policja znajduje trzy łuski od nabojów. Sprawcy nie wykryto.

John Coates żyje i ma się dobrze. Jest gliniarzem w Norman, Oklahoma.

Pete otworzył biurko i wyciągnął magazyn. Na rozkładówce Barb — oszałamiająca Miss Nugget. Barb uwiodła związanego z mafią Joeya Jahelkę. Sprawiała, że znalazł ludzi, którzy zabili gwałcicieli jej siostry.

John Coates wciąż żył. Mafia nie zabija glin z byle powodu.

Wdzięczna Barb wyszła za Joeya. Wdzięczna Barb jest mu dłużna.

Gliniarz spóźniał się. Pete oglądał rozkładówkę milionowy raz. Wyretuszowali jej piersi. Przypudrowali piegi. Zdjęcie nie oddawało jej inteligencji i tego „czegoś”.

Pete odłożył magazyn. Zabazgrał kolejną kartkę. Dzwonił do Barb raz w tygodniu. Próbował ją wyczuć — tak *naprawdę* nie pieprzysz się z Jackiem, prawda?

Nie. Podobał się jej — ale stanowił tylko sześciominutową erekcję i kilka chichotów.

Szantaż trwał. Turentine poleciał do L.A, i sprawdził Lenny'ego Sandsa. Stwierdził, że Lenny jest w porządku i że nigdy nie wydałby całej sprawy.

Wciąż przesłuchiwał taśmy Barb. Prawie równie często przypominał sobie bełkot Lenny'ego. Trzech głównych sponsorów z mafii zrezygnowało ze wspomagania sprawy kubańskiej. Littell powiedział, że Carlos Marcello jest jedynym facetem, którego to obchodzi.

Dlaczego? Domyślał się, że chodzi o PIENIĄDZE. Pete od dwóch miesięcy węszył. Jego teoria nabierała sensu. Bawił się hipotezami. Łączył ze sobą ludzi związanych ze sprawą kubańską i mafią. W zeszłym tygodniu zrobił wielki teoretyczny skok.

Listopad 1960. Wilfredo Olmos Delsol jest widziany podczas rozmowy ze zwolennikami Castro. *Niedawno* Wilfredo Olmos Delsol był widziany: w nowym samochodzie, w nowych ciuchach, z nowymi kobietami.

Zatrudnił gliniarza z Miami, żeby śledził Delsola. Dostał raport. Delsol przez sześć nocy z rzędu spotykał się z Kubańczykami. Mieli fałszywe tablice rejestracyjne. Gliniarz śledził ich aż do mieszkań. Były wynajęte na fałszywe nazwiska. Kubańczycy byli zwolennikami Castro, utrzymującymi się z niewiadomych źródeł. Gliniarz wszedł w układ z pracownikiem telekomunikacji. Zapłacił mu pięćset dolarów i kazał ukraść ostatnie rachunki telefoniczne Delsola. Zawiadomił

Pete'a, że się udało. Spóźniał się teraz z ich dostarczeniem.

Pete bazgrał. Bez końca rysował serca i strzały.

Sierżant Carl Lennertz przyszedł całą godzinę później. Pete wyprowadził go na parking. Wymienili koperty. Transakcja zajęła im dwie sekundy. Lennertz odjechał. Pete otworzył kopertę i wyjął dwie kartki.

Delsol od czterech miesięcy wykonywał podejrzone telefony. Dzwonił do Santo i Sama G, na zastrzeżone numery. Dzwonił w sumie dwadzieścia dziewięć razy do sześciu grup zwolenników Castro.

Pete czuł, że puls mu przyspiesza.

Pojechał do domu Delsola. Nowa impala tego skurwysyna była zaparkowana na trawniku od frontu. Zastawił ją swoim samochodem. Poprzecinał opony scyzorykiem. Krzesłem z ganku zablokował drzwi frontowe. Urwał kabel od wentylatora i owinał nim pięść.

Wewnątrz słychać było szum wody i muzykę. Obszedł dom dookoła. Drzwi kuchenne były uchylone. Delsol zmywał naczynia. Jelop przesuwiał zmywak w rytmie mambo.

Pete pomachał. Delsol machnął rękami w pianie: wejdz. Na krawędzi zlewu stało małe radio. Perez Prado skrzeczał „Cherry Pink and Blossom White”. Pete wszedł.

Delsol rzucił: — *Hola, Pedro.*

Pete uderzył go. Delsol zgiął się w pół. Pete wrzucił radio do zlewu. Woda zaszczala. Pete kopnął Delsola w tyłek i wsadził mu ręce aż po łokcie do wrzątku. Dupek wrzasnął. Wyrwał się z tym paskudnym kwikiem. Para wypełniała kuchnię. Pete wepchnął mu zmywak do ust. Ręce Delsola były poparzone do czerwoności i pozbawione włosów.

— Dzwoniłeś do Trafficante, Giancany i paru zwolenników Castro. Widziano cię z pewnymi lewicowymi Kubańczykami i wydawałeś ostatnio sporo pieniędzy.

Delsol odepchnął go. Czerwonym palcem pokazał mu, że ma się pieprzyć.

— Myślę, że większość mafii odpuściła sobie sprawę Kuby i chcę wiedzieć, dlaczego. Wyjaśnij mi to albo wsadzę ci gębę do wody.

Delsol wypluł szmatkę. Pete związał mu ręce kablem od wentylatora i włożył głowę w mydliny. Delsol pluł na boki. Woda chlapała dookoła. Wrzeszczał i wyrzywał się.

Pete dowłókł go do lodówki i włożył mu ręce do pojemnika z lodem.

Ochłoń, skurwielu, żebyś nie dostał szoku.



Pete wrzucił kostki do miski. Delsol odwiązał kabel zębami i oswobodził ręce. Woda w zlewie bulgotała i syczała. Pete zapalił papierosa, żeby zabić zapach sparzonego ciała.

Delsol opadł na krzesło. Skurwysyn miał niezłą odporność. Pete spytał:

— No co?

Delsol trzymał miskę kolanami. Kostki lodu wysypywały się i spadały na podłogę. Pete powtórzył:

— No co?

— To, że zabiłeś mojego kuzyna. Wydawało ci się, że zawsze będę lojalny?

Jego głos podobny był do skamlenia. Kubańczycy świetnie znosili ból.

— To nie jest odpowiedź, jakiej oczekiwałem.

— Myślałem, że to niezła odpowiedź dla człowieka, który przez pomyłkę zabił własnego brata.

Pete wziął nóż kuchenny.

— Powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

Delsol uchylił się. Dwa wytknięte środkowe palce oblażyły ze skóry. Pete wbił nóż w krzesło. Ostrze przebiło tkaninę spodni centymetr od jąder Delsola. Ten wyciągnął nóż i rzucił go na podłogę. Pete spytał:

— I co?

— No, chyba muszę ci powiedzieć.

— Mów. Nie zmuszaj mnie do ciężkiej pracy.

Delsol uśmiechnął się. Prezentował sobą pieprzony heroizm *macho*.

— Miałeś rację, Pedro. Giancana i pan Santo porzucili Sprawę.

— A Carlos Marcello?

— Nie. Nie zgadza się z nimi. Wciąż jest entuzjastą.

— A Heshie Ryskind?

— Też się z nimi nie zgadza. Słyszałem, że jest ciężko chory.

— Santo wciąż utrzymuje Kadre.

Delsol skrzywił się. Na rękach zaczęły mu wyskakiwać pęcherze.

— Myślę, że wkrótce wstrzyma darowizny. Jestem przekonany, że tak będzie.

Pete palił jednego papierosa za drugim.

— Kto jeszcze zdradził Kadre?

— Nie uważam tego, co zrobiłem, za zdradę. Człowiek, którym kiedyś byłeś, też by tak tego nie nazwał.

Pete wrzucił niedopałek do zlewu.

— Po prostu odpowiedz na moje pytanie. Nie chcę słuchać twoich zbędnych komentarzy.

Delsol powiedział: — W porządku. Tylko ja w tym jestem.

— W „tym”?

Delsol zadygotał. Duży pęcherz na karku pękł i trysnął krwią.

— Tak. Dokładnie w tym, o czym myślałeś.

— No to mi wytłumacz. Delsol patrzył na ręce.

— Chodzi o to, że pan Santo i inni przeszli na stronę Fidela. Tylko udają entuzjazm dla Sprawy, żeby zrobić wrażenie na Robercie Kennedym i innych urzędasach. Mają nadzieję, że Kennedy wiedząc o ich poparciu, nie będzie ich niszczył. Raúl Castro sprzedaje im bardzo tanio heroinę. W zamian dostarczają mu informacji o ruchu uchodźców.

Heroina oznaczała PIENIĄDZE. Jego teoria potwierdzała się co do joty

— Mów dalej. Wiem, że wiesz więcej.

Delsol zrobił minę, jakby nie miał o niczym pojęcia. Pete patrzył na niego. Patrzył, patrzył, patrzył... Delsol zamrugał.

— Tak, wiem. Raúl próbuje przekonać Fidela, żeby pozwolił panu Santo i innym ponownie otworzyć kasyna w Hawanie. Pan Santo i pan Sam obiecali Raúlowi, że będą go informować o „JM/Fala” i spróbują ostrzec o ewentualnych próbach zamachu na Fidela.

Wszystko się potwierdzało. Mogły być kłopoty. Santo i Sam mogliby zmusić Boyda, żeby rozwiązał swój oddział.

Delsol oglądał swoje ręce. Poparzone tatuaże tworzyły dziwne smugi. Pete powiedział:

— Jest coś jeszcze...

— Nie. Nie ma.

Pete westchnął.

— Twoja rola. Zostałeś wybrany, bo zwolennicy Castro wiedzieli, że Kadra zabiła twójego kuzyna, i stwierdzili, że będziesz podatny. Masz w tym swój udział i ma to coś wspólnego z heroiną, a jeśli mi tego nie powiesz, znowu zadam ci ból.

— Pedro...

Pete kucnął przed krzesłem. Wycedził:

— *Heroina. Opowiedz mi o niej.*

Delsol przeżegnał się. Miska z kostkami lodu ześlizgnęła się na podłogę i rozbiła.

— Duży kubański ładunek będzie przewieziony ślizgaczem. Sto kilogramów, nieporcjowane. Mają go pilnować jacyś zwolennicy Castro. Mam to przekazać panu Santo.

— Kiedy?

- Nocą 4 maja.
- Gdzie?
- Wybrzeże Zatoki Meksykańskiej w Alabamie. Miejsce zwane Orange Beach.

Pete'a przeszedł dreszcz. Delsol momentalnie wyczuł jego strach.

- Pedro, musimy udawać, że to się nigdy nie zdarzyło. Ty sam musisz udawać, że tak naprawdę nigdy nie wierzyłeś w Sprawę. Nie możemy zadzierać z ludźmi, którzy mają dużo większą władzę niż my.

**B**oyd nie przejął się. Pete wrzeszczał w budce telefonicznej, aż szyby zaszczyły parą.

- Wciąż możemy zrobić interes z kasynami. Możemy wysłać twój zespół, niech załatwią Castro i zrobią bajzel. Albo się uda i Santo uzna nasz układ, albo się nie uda. Kurwa, w najgorszym przypadku zrobimy chociaż porządek z Fidellem.

Boyd odpowiedział:

- Nie. Układ jest nieważny, a Kadra skończona, wysłanie moich ludzi niewątpliwie skończyłoby się ich śmiercią.

Pete kopniakiem wyrwał drzwi z zawiasów...

- Co masz na myśli mówiąc „NIE”?
- Powinniśmy nadrobić straty. Powinniśmy zarobić trochę kasy, zanim ktoś powie Bobby'emu o mafii i Agencji.

Drzwi runęły w poprzek chodnika. Przechodnie obchodzili je dookoła. Jakiś dzieciak skoczył i rozbił szkło na dwa kawałki.

- Ta heroina, tak?

Boyd był spokojny.

- To sto kilo, Pete. Przechowamy ją przez pięć lat i sprzedamy za granicą. Ty, ja i Néstor. Zarobimy co najmniej po trzy miliony dolarów.

Pete'owi zakręciło się w głowie. Te 9,9 w skali Richtera to tylko wstrząsy wewnętrzne.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.04.1962. Stenogram podsłuchu z sypialni w hotelu Carlyle.

Spisywał: Fred Turentine.

Taśma i kopie pisemne do: P. Bondurant, W. Littell.

BJ zatelefonowała do punktu podsłuchowego o 15.08. Powiedziała, że jest umówiona z celem „na obiad” o 17.00. Została poinstruowana, żeby dwa razy otworzyła i zamknęła drzwi w celu aktywacji mikrofonu. Podsłuch od 17.23. Symbole: BJ — Barb Jahelka, JFK — John F. Kennedy.

17.24 — 17.33: stosunek płciowy (Patrz: taśma. Wysoka jakość dźwięku. Głosy rozpoznawalne.)

17.34 — 17.41: rozmowa.

JFK: Cholera, mój dysk.

BJ: Daj, pomasuję.

JFK: Nie, już w porządku.

BJ: Przestań patrzeć na zegarek. Dopiero skończyliśmy.

JFK (śmiejąc się): Naprawdę powinienem powiesić zegar na ścianie.

BJ: I powiedzieć szefowi kuchni, żeby się pilnował. Dzisiejszy koreczek był kiepski.

JFK: Tak. Indyk był wyschnięty, a bekon rozmiękły.

BJ: Jesteś daleko myślami, Jack.

JFK: Bystra dziewczynka.

BJ: Sprawy światowej wagi?

JFK: Nie, mój brat. Nie podobają mu się moi przyjaciele i kobiety, z którymi się spotykam, i zachowuje się jak gigantyczny kolec w dupie

BJ: To znaczy?

JFK: Poluje na czarownice. Frank Sinatra zna paru gangsterów, więc Frank musi odejść. Kobiety, z którymi umawia mnie Peter, są dziwkami przenoszącymi trypra, a ty jesteś zbyt błyskotliwa i świadoma swoich wdzięków, żeby być zwykłym twistującym króliczkiem, więc również jesteś podejrzana.

BJ (śmiejąc się): Co będzie dalej? Czy ludzie z FBI będą mnie śledzić?

JFK (śmiejąc się): Wątpię. Bobby i Hoover zbyt się nienawidzą, żeby współpracować w tak delikatnej sprawie. Bobby jest przepracowany, więc jest rozdrażniony, a Hoover jest rozdrażniony, bo jest faszystowskim pedałem, który nienawidzi wszystkich mężczyzn o normalnych apetytach. Bobby rządzi Departamentem Sprawiedliwości, ściga gangsterów i stara się przekonać ludzi do mojej polityki względem Kuby. Jest po szyję zagrzebany w sprawach różnych psychopatów, a Hoover zwalcza go w kwestiach formalnych. Zaś ja jestem jedynym człowiekiem, na którym może wyładować swoją frustrację. Słuchaj, może zamienimy się miejscami? Ty będziesz prezydentem Stanów Zjednoczonych, a ja będę tańczył twista w... jak się nazywa to miejsce?

BJ: Del's Den w Stamford, Connecticut.

JFK: Właśnie. Co ty na to, Barb? Zamieniamy się?

BJ: Stoi. A kiedy przejmę władzę, wywalę J. Edgara Hoovera i każę Bobby'emu iść na urlop.

JFK: Teraz myślisz jak Kennedy.

BJ: Jak to?

JFK: Mam zamiar pozwolić Bobby'emu wyrzucić Hoovera.

BJ: Przestań patrzeć na zegarek.

JFK: Powinnaś mi go schować następnym razem.

BJ: Tak zrobię.

JFK: Muszę iść. Możesz dać mi spodnie?

BJ: Pogniotły się.

JFK: To twoja wina.

Zamknięcie drzwi wyłącza mikrofon.

Koniec zapisu: 17.42, 24 kwietnia 1962.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.04.1962, 26.04.1962, 1.05.1962. Fragmenty pod-słuchu programu „PRZESTĘPCZOŚCI STOP”: Los Angeles, Chicago i Newark. Oznaczenie: POUFNE / ŚCIŚLE TAJNE / TYLKO DO WIADOMOŚCI DYREK-TORA.

Los Angeles, 25.04.1962. Miejsce: Automat telefoniczny w restauracji Rick-Rack. Wybrany numer: MA2-4691 (Automat telefoniczny w restauracji Mike'a Lymana) Telefonuje: Steven „Steve Skeev” De Santis. (Patrz akta nr 814.5, Biu-ro Los Angeles). Odbiorca: nieznany mężczyzna („Billy”). Sześć minut i cztery sekundy nieistotnej rozmowy poprzedzającej, co następuje:

SDS: I Frank zaczął pierdolić mi głupoty, a Mo mu uwierzył. „Jack tańczy, jak mu zagram” i takie tam bzdury. Żydek Lenny powiedział mi, że napelnił połowę tych pieprzonych urn wyborczych w hrabstwie Cook.

NM: Mówisz o Franku, jakbyś znalazł go osobiście.

SDS: Bo go znam, ty jęlopie. Poznałem go kiedyś za kulisami w hotelu Du-nes.

NM: Sinatra to frajer. Bez przerwy zadaje się z mafią i o niej gada, ale tak naprawdę jest ciołkiem z Hoboken w New Jersey.

SDS: Jest ciołkiem, który powinien zapłacić, Billy.

NM: Powinien. Za każdym razem, kiedy ten kutas Bobby dobiera się do ma-fii, Frankie powinien dostać strzał w jaja. Powinien podwójnie zapłacić za to, co ten fiut Bobby robi Jimmy'emu i Teamsters. I potrójnie za ten spacer, który musiał odbyć po Gwatemali wujek Carlos.

SDS: Kennedy też powinni zapłacić.

NM: Powinni, jak pragnę zdrowia.

SDS: Nie mają, kurwa, krztyny poczucia wdzięczności.

NM: Nie mają. A przecież Joe Kennedy i Raymond Patriarca znają się bar-dzo długo.

SDS: Zero poczucia wdzięczności.

NM: Zero, kurwa, zero.

Dalej: nieistotna rozmowa.

Chicago, 26.04.1962. Miejsce: Automat telefoniczny w klubie North Side Elks. Wybrany numer: BL4 — 0808 (Automat telefoniczny w restauracji Saporito's Trattoria). Telefonujący: Dewey „Kaczor” Di Pasquale. (Patrz akta „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” nr 709.9, Biuro w Chicago.) Odbiorca: Pietro „Pete Sap” Saporito. Cztery minuty i dwadzieścia dziewięć sekund nieistotnej rozmowy poprzedzającej, co następuje:

DDP: Kennedy są gorsi od trypra i syfa. Próbuja przemielic mafie na kacze gównu. Oddziały Bobby'ego są w całym kraju. To skurwiele, których nie da się przekupić miłością ani pieniędzmi.

PS: Jack Kennedy jadł kiedyś w mojej restauracji. Trzeba było go otruć.

DDP: Kwa, kwa. Trzeba było.

PS: Nie zaczynaj mi tu kwakać, ty debilu.

DDP: Powinieneś zaprosić do siebie Jacka, Bobby'ego i jego oddziały i otruć ich wszystkich.

PS: Powinienem. Hej, znasz moją kelnerkę Deeleen?

DDP: Pewnie, słyszałem, że najlepiej gra na cielesnym klawierze.

PS: Owszem. I pieprzyła Jacka Kennedy'ego. Powiedziała, że ma śmiesznie małego kutasa.

DDP: Irlandczykom wiele nie zwisa. To dobrze znany fakt.

PS: Włosi mają największe.

DDP: I są najlepsi.

PS: Słyszałem, że Mo zwisa jak mułowi.

DDP: Kto ci powiedział?

PS: Sam Mo.

Dalej: nieistotna rozmowa.

Newark, 1.05.1962. Miejsce: Automat telefoniczny w Lou's Lucky Lounge. Wybrany numer: MU6-9441. (Automat telefoniczny w Reuben's Delicatessen. Nowy Jork). Telefonujący: Herschel „Heshie” Ryskind (patrz akta „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” nr 887.8, Biuro w Chicago.) Odbiorca: Morris Milton Weinschank (patrz akta „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” nr 400.5, biuro w Nowym Jorku). Trzy minuty i jedna sekunda nieistotnej rozmowy poprzedzającej, co następuje:

MMW: Bardzo nam wszystkim przykro z powodu twojej choroby, Hesh. Trzymamy kciuki i modlimy się za ciebie.

HR: Chcę żyć tak długo, żeby zobaczyć, jak Sam G, kopie Sinatrę w jego chudą dupę stąd do Palermo. Sinatra i paru skurczybyków z CIA przekonali Sama i Santo, że Jack K, jest w porządku. Użyj swojej makowy i pomyśl, Morris. Pomyśl o Ike'u, Harrym Trumanie i Roosevelcie. Czy oni dawali nam tak w dupę?

MMW: Nie.

HR: Wiem, że wszystkimu winien jest Bobby, nie Jack. Bo Jack zna zasady. Jack wie, że nie szczuje się psami ludzi, którzy ci pomagają.

MMW: Sam myślał, że Frank potrafi manipulować braćmi. Myślał, że uda mu się namówić Jacka na odwołanie Bobby'ego.

HR: Frankowi chyba się to śniło. Jedyną rzeczą, jaką Frank jest w stanie manipulować, jest jego własny kutas. Frank i ten facet z CIA, Boyd, chcą tylko ssać Kennedy'emu.

MMW: Jack i Bobby mają ładne włosy.

HR: Zazdrościsz? Kup sobie, kurwa, perukę.

Dalej: nieistotna rozmowa.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.05.1962. Prywatny list:

Howard Hughes do J. Edgara Hoovera.

Drogi Edgarze,

Duane Spurgeon, mój główny asystent i doradca prawny, jest śmiertelnie chory. Potrzebuję natychmiast jego następcy. Oczywiście preferowałbym moralnie czystego prawnika ze stażem w FBI. Czy mógłbyś mi kogoś polecić?

Wszystkiego dobrego, Howard

# 78

(Waszyngton D.C., 2 maja 1962)

Siedzieli na ławce naprzeciwko Lincoln Memorial. Dokoła przechadzały się nianie z małymi dziećmi. Hoover powiedział:

- Ta kobieta jest niezła.
- Dziękuję, sir.
- Zastawia na Króla Jacka niebezpieczne pułapki.

Littell uśmiechnął się.

- Tak, sir. To prawda.
- Król Jack dwukrotnie wspomniał, że zmusi mnie do przejścia na emeryturę. Czy powiedział pan tej kobiecie, by drażyła w tym kierunku?

- Tak, sir.
  - Dlaczego?
  - Chciałem, żeby bardziej panu zależało na tej operacji.
- Hoover wygładził zagięcie na spodniach.
- Rozumiem. I nie mogę zakwestionować pańskiej logiki.

Littell powiedział:

— Chcemy przekonać tego człowieka, żeby zmusił swojego brata do złagodzenia ataków na moich klientów i ich przyjaciół, a jeśli będą uważać, że pan ma kopie taśm, to znacznie łatwiej będzie ich przekonać, żeby pana zatrzymali.

Hoover kiwnął głową.

- Nie mogę zakwestionować pańskiej logiki.
- Raczej nie ujawniałbym tych taśm. Wolałbym, żeby to się rozegrało za kulisami.

Hoover poklepał teczkę.

- Czy to dlatego poprosił mnie pan o zwrot moich kopii?
- Tak jest.
- Nie ufa pan, że będę je przechowywał w bezpiecznym miejscu?

Littell uśmiechnął się.

— Chcę, żeby pan mógł wszystkiemu zaprzeczyć, w razie gdyby Robert Kennedy zatrudnił detektywów. Chcę trzymać wszystkie taśmy w jednym miejscu, żeby można je było zniszczyć w razie potrzeby.

Hoover uśmiechnął się.

— I gdyby doszło do najgorszego, żeby Pete Bondurant i Fred Turentine okazali się jedynymi sprawcami tej intrygi?

Littell odpowiedział: — Tak jest. Hoover odgonił ptaka.

- Kto to finansuje? Pan Hoffa czy pan Marcello?
- Wolałbym tego nie mówić.
- Rozumiem. I nie mogę mieć za złe pańskiej dyskrecji.
- Dziękuję, sir.
- Załóżmy, że niezbędne będzie ujawnienie?
- Wtedy sam z tym wyjdę pod koniec października, tuż przed wyborami do kongresu.

- Tak. To będzie najlepsza pora.
  - Tak, sir. Ale jak mówiłem, wolałbym...
  - Nie musi pan powtarzać. Jestem przy zdrowych zmysłach.
- Słońce przebiło się przez chmury. Littell spocił się lekko.
- Tak jest.
  - Nienawidzi ich pan, prawda?



— Owszem.  
— Nie jest pan sam. „PRZESTĘPCZOŚCI STOP” zainstalował niezależne podsłuchy w czternastu lokalach mafii. Odbieramy ogromne dozy wrogości wobec Kennedych. Nie informowałem o tym braci i nie mam zamiaru.

— Nie dziwi mnie to.  
— Zgromadziłem najbardziej obelżywe fragmenty. Są zabawnie kolokwialne i wulgarne.

— Tak, sir.

Hoover uśmiechnął się.

— Proszę powiedzieć, co pan sądzi.

Littell uśmiechnął się.

— Że pan mi ufa. Że pan mi ufa, ponieważ nienawidzę ich tak samo jak pan.

Hoover powiedział:

— Ma pan rację. Mój Boże, czy Kemperowi nie byłoby przykro, gdyby posłuchał, co o nim sądzi Król Jack?

Minęła ich dziewczynka ze skakanką. Hoover uśmiechnął się i pomachał jej.

— Howard Hughes potrzebuje nowej prawej ręki. Poprosił mnie o znalezienie kogoś z pańskimi kwalifikacjami i poleciłem mu pana.

Littell chwycił się ławki.

— Jestem zaszczycony.

— Powinien pan być. Powinien pan również wiedzieć, że Howard Hughes jest bardzo zmęczonym człowiekiem nacechowanym dość luźnym kontaktem z rzeczywistością. Komunikuje się tylko przez telefon i listy i myślę, że istnieje duża szansa, że nigdy pan go nie spotka twarzą w twarz.

Ławka zakółsała się. Littell obejmował dłońmi kolano.

— Czy powinienem do niego zadzwonić?

— On to zrobi i radzę przyjąć jego propozycję. Ten człowiek nosi się od paru lat z głupim, o ile w ogóle wykonalnym planem wykupienia hoteli i kasyn w Las Vegas, i uważam, że ten pomysł zapewni nam możliwości gromadzenia informacji. Wyjawilem Howardowi nazwiska pańskich pozostałych klientów i był pod sporym wrażeniem. Myślę, że to propozycja w sam raz dla pana.

Littell odparł: — Na pewno ją przyjmę. Hoover rzekł:

— Oczywiście, że tak. Przez całe życie był pan głodny, a teraz w końcu pogodził pan swoje pragnienia ze swoim sumieniem.

(Orange Beach, 4 maja 1962)

Przy pracy o 3.00 nad ranem świecił im księżyc. Było to poniekąd przekleństwo — zupełna ciemność pozwoliłaby na ZASKOCZENIE.

Pete zjechał z asfaltu. Zobaczył przed sobą piaszczyste wydmy — wielkie i wysokie. Néstor położył nogi na Wilfredo Delsoli. Wilfredo-mumia leżał owinięty od stóp do głów taśmą, wciśnięty pomiędzy przednie a tylne siedzenia. Boyd trzymał pistolet maszynowy. Delsol sapał przez nos. Porwali go z jego mieszkania po drodze z Miami.

Pete przełączył napęd na cztery koła. Mumia przechyliła się i uderzyła o nogi Néstora. Dżip kołysał się między wydmami. Boyd sprawdził urządzenie zacieraające ich ślady — doczepione do zderzaka grabie. Néstor zakaszał.

— Plaża jest jakieś siedemset metrów stąd. Byłem tu dwa razy.

Pete zahamował i wyłączył silnik. Słyszać było głośny szum fal.

Odezwał się Boyd: — Posłuchajcie tego. Jeśli będziemy mieli szczęście, nie usłyszą nas.

Wysiedli. Néstor wykopał dziurę i zasypał Delsola aż po nos. Pete okrył dżipa plandeką. Była jasnobrązowa i wtapiała się w wydmy. Néstor wziął grabie. Boyd sprawdzał sprzęt. Mieli czterdziestki piątki z tłumikami i pistolety maszynowe. Mieli pilę łańcuchową, bombę z opóźnionym zapłonem i kilogram materiału wybuchowego. Pomalowali się czarną farbą. Zapakowali plecaki. Ruszyli. Néstor ciągnął grabie. Ślady opon i stóp znikaly.

Szli tak drogą równoległą do plaży jakieś pół kilometra. Pas piachu od drogi do linii fal miał około dwustu metrów szerokości.

Odezwał się Néstor: — Policja stanowa nigdy tu nie patroluje.

Pete podniósł noktowizor. Zauważył oddalone o trzysta metrów niewielkie bryły.

Boyd powiedział: — Chodźmy bliżej.

Pete przeciągnął się — kamizelka kuloodporna była za ciasna.

— Tuż przy zachodnim krańcu plaży znajduje się dziewięciu albo dziesięciu ludzi. Powinniśmy podejść wzdłuż brzegu i mieć nadzieję, że szum fal nas zagłuszy.

Néstor przeżegnał się. Boyd zajął mu ręce i usta — dwiema czterdziestkami piątkami i nożem myśliwskim. Pete czuł w głowie trzęsienie ziemi — 9.999 w

skali Richtera. Zeszli na mokry piasek. Położyli się i czołgali.

Pete'owi krążyła po głowie szalona myśl: JESTEM JEDYNYM, KTÓRY WIE, O CO TU CHODZI. Boyd prowadził. Bryły nabierały kształtów. Fale bijące o brzeg zagłuszały ich. Kształty okazały się śpiącymi ludźmi. Jeden, cierpiący na bezsenność, siedział — widać było ognik papierosa.

Podeszli bliżej. Jeszcze bliżej. Bardzo blisko. Pete usłyszał chrapanie. Jakiś facet bełkotał przez sen po hiszpańsku.

Zaczęli strzelać. Boyd zastrzelił tego z papierosem. Błysk pocisku oświetlił rząd śpiworów. Pete wystrzelił. Néstor wystrzelił. Głuche odgłosy tłumików zlewały się. Mieli teraz dobre światło — odbłask prochu z czterech pistoletów. Wybuchł granat. Krzyki zmieniły w charkot.

Néstor zapalił latarkę. Pete zobaczył dziewięć śpiworów armii amerykańskiej, podartych i przesiąkniętych krwią. Boyd założył nowy magazynek i strzelał prosto w twarz. Krew trysnęła na latarkę Néstora i światło stało się jasnoczerwone. Pete ciężko oddychał. Do gardła wleciało mu zakrwawione pierze. Boyd uklęknął i podrzynał gardła. Ciął głęboko i nisko — trzeszczały tchawice i kręgi. Néstor odciągał ciała na bok. Pete przewracał śpiwory na lewą stronę i wsypywał do środka piasek. Boyd uklepywał z nich kształty. Dobra symulacja — ludzie z łodzi będą widzieć śpiących mężczyzn. Néstor wrzucał ciała do wody. Boyd przyniósł piłę łańcuchową. Pete uruchomił ją. Boyd rozciągał trupy.

Księżyc zszedł nisko. Néstor zapewniał dodatkowe światło. Pete ciął kucając. Zęby piły od razu wbiły się w kość udową. Néstor naciągnął stopy. Piła weszła jak w masło. Pete ciął ramiona. Piła wciąż wpadała w piasek. Skóra i chrząstki strzelały mu w twarz. Ćwiartował trupy. Boyd nożem odcinał im głowy. Jeden zamach i jedno pociągnięcie za włosy wystarczały.

Nikt się nie odzywał.

Pete'a bolały ramiona; silnik zatykał się kawałkami kości. Trzęsły mu się ręce. Zęby piły trafiły w żołądek trupa. Pete poczuł żółć. Upuścił piłę i zaczął wymiotować. Boyd sięgnął po porzucone narzędzie. Néstor nosił kawałki ciał na brzeg. Rekiny tłoczyły się, żeby coś złapać.

Pete przeszedł kawałek. Ręce trzęsły mu się tak, że zapalenie papierosa zajęło mu wieki. Dym przyjemnie smakował. Zabijał smród. CZY ONI NIE WIEDZĄ, CO TO OZNACZA...

Piła stanęła. W głuchej ciszy słychać było szalone bicie jego serca. Pete wrócił na brzeg. Rekiny do połowy wyskakiwały z wody.

Néstor ładował pistolety maszynowe. Boyd kręcił się nerwowo — bardzo nerwowo jak na niego. Przycupnęli za wydumą. Nikt nie rozmawiał. Pete myślał o Barb.

Słońce weszło po 5.30. Plaża była spokojna. Krew na śpiworach wyglądała jak zanieczyszczenia naniesione przez wodę. Néstor trzymał przy oczach lornetkę. O 6.12 zobaczył coś.

— Widzę łódź. Jest około dwustu metrów od brzegu.

Boyd zakaszłał i splunął.

— Delsol powiedział, że na pokładzie będzie sześciu ludzi. Większość z nich musi zejść z łodzi, zanim zaczniemy strzelać.

Pete usłyszał szum silnika.

— Zbliżają się. Néstor, ruszaj.

Néstor pobiegł i kucnął przy śpiworach. Szum zmienił się w ryk. Motorówka skakała po falach i kierowała się do brzegu. To była stara dwusilnikowa motorówka. Néstor pomachał. Krzyknął:

— *Bienvenidos! Viva Fidel!*

Z łodzi wyskoczyło trzech mężczyzn. Trzech zostało na pokładzie. Pete zasygnalizował Kemperowi: *ŁÓDŹ* dla ciebie — *RESZTA* moja.

Boyd wypalił serię w motorówkę. Szyba rozbiła się i zepchnęła mężczyzn w stronę silników. Pete załatwił swoich jedną serią. Néstor podszedł do nich. Napłuł im w twarz i dobił strzałami w usta. Pete pobiegł i wskoczył do łodzi. Boyd okrążył tych przy silnikach i dobił.

Heroina była szczelnie zapakowana w worki marynarskie. Sam ich ciężar zdumiewał. Néstor wsunął do łodzi materiał wybuchowy. Zegar bomby był ustawiony na 7.15. Pete wyładował heroinę. Néstor wrzucił śpiwory i trupy na pokład. Boyd oskalpował je. Néstor powiedział:

— To za Playa Girón.

Pete związał liną ster i odwrócił łódź. Łódź nie zboczy z kursu — oprze się wiatrowi i falom przyływu. Boyd zapalił silniki. Oba ruszyły od razu. Wyskoczyły z łodzi i patrzyli, jak odpływa. Eksploduje po odpłynięciu daleko w morze.

Pete trząsał się. Boyd przywiązał skalpy do swojego plecaka. Orange Beach wyglądała, jakby się nic nie stało.

**S**anto junior zadzwoni. Powie: „Delsol orznął mnie w interesach. Pete, znajdź tego skurczybyka”. Santo nie będzie mówił o szczegółach. Nie powie, że związał interesy z komunistami i zwyczajnie zdradził Kadre.

Pete czekał na ten telefon w Taxi-Tygrys. Przejął dyspozytornię — Delsol nie pojawił się w pracy. Taksówkarze wciąż pytali: „Gdzie Wilfredo?”. Ukrywa się w melinie. Néstor go pilnuje. Mają przy sobie pół kilo hery. Boyd zawiózł resztę narkotyku do Missisipi. Cienko wyglądał — tak jakby przekroczył jakąś granicę w zabijaniu. Pete znał tę *prawdziwą* granicę. **NIE WIECIE, KOGO ORZŃĘLIŚMY?**

Śledzili Delsola od dwóch tygodni. Nie zdradził ich. Randki z heroiną zostałyby odwołane, gdyby to zrobił. Jest w swojej niby kryjówce. Jest ćpunem — Néstor regularnie daje mu w żyłę.

Wciąż czekał na ten przekłęty telefon. Była 16.30. Opuścili Orange Beach aziewieć i pół godziny temu.

Dzwonili klienci. Co kilka sekund. Brakowało im samochodów — Pete miał ochotę krzyczeć albo przystawić sobie lufę do głowy.

Teo Paez odezwał się przez interkom.

— Druga linia, Pete. Pan Santo.

Pete wziął powoli słuchawkę.

— Cześć, szefie.

Santo wypowiedział *te* słowa. Santo odezwał się, jak tylko odebrał.

— Wilfredo Delsol oszukał mnie. Gdzieś się ukrywa i chcę go znaleźć.

— Co zrobił?

— *Nie zadawaj pytań. Po prostu znajdź go i załatw to od razu.*

Néstor wpuścił go. Zamienił salon w narkomański chlew. Strzykawki na wierzchu. Batoniki czekoladowe wdeptane w dywan. Biały proszek rozsypany na każdej równej powierzchni. Wilfredo Olmos Delsol: zaćpany na pluszowej kanapie. Pete strzelił mu w głowę. Néstor obciął mu trzy palce i wrzucił do popielniczki.

Była 17.20. Santo nie kupi historyjki o godzinnym poszukiwaniu i cudownym odnalezieniu. Mieli czas na uwiarygodnienie kłamstwa. Néstor wyszedł — Boyd miał dla niego robotę w Missisipi. Pete uspokoił nerwy za pomocą głębokich oddechów i tuzina papierosów.

Wyobraził to sobie. Poukładał szczegóły. Założył rękawiczki i wziął się do roboty. Przewrócił lodówkę. Pociął kanapę, aż było widać sprężyny. Pociął tapetę w salonie tak, jakby w szale szukał narkotyków. Poprzypalał łyżki. Uformował heroinę w rządki gotowe do wdychania na stoliku ze szklanym blatem. Znalazł używaną szminkę i wysmarował nią część petów. Pociął Delsola kuchennym nożem. Przypalił mu jaja wypalarką do drewna, którą znalazł w łazience. Umoczył ręce we krwi Delsola i napisał „Zdrajca” na ścianie salonu.

Była 20.40. Pete zszedł na dół do budki telefonicznej. Prawdziwy strach pomógł mu w tym przedstawieniu. Delsol nie żyje — torturowali go — dostałem cynk o jego kryjówce — był zaćpany — wszędzie prochy — ktoś zdemolował mieszkanie — myślę, że zadawał się z jakimiś dziwkami — Santo, powiedz, o co tu, kurwa, chodzi?

(Waszyngton, D.C., 7 maja 1962)

Littell wykonywał służbowe telefony. Pan Hoover dał mu dla pewności urządzenie wykrywające podsłuch. Zadzwoił do Jimmy'ego Hoffy z budki. Jimmy miał wyjątkową fobię podsłuchową. Rozmawiali o taksówkowym kancie Test Fleet. Jimmy zaproponował, żeby przekupić ławę przysięgłych. Jimmy spytał:

— A co z szantażem?

Littell odparł: — WSZYSTKO GRA.

Mały Jimmy rzekł: — Dobierzmy się do Jacka teraz!

Littell odpowiedział: — Cierpliwości. Dobierzmy się do niego we właściwym czasie.

Jimmy pożegnał się. Littell zadzwonił do Carlosa Marcello w Nowym Orleanie. Rozmawiali o jego procesie deportacyjnym. Littell podkreślał potrzebę gry na zwłokę.

— Pobijesz rząd federalny ich własną frustracją. Wykończysz ich i sprawisz, że będą zmieniać prawników zajmujących się tą sprawą. Wystawisz na próbę ich cierpliwość i zgotujesz im piekło.

Carlos zrozumiał. Na do widzenia zadał naprawdę głupie pytanie.

— Czy mogę liczyć na ulgę podatkową z tytułu wspierania sprawy kubańskiej?

Littell odpowiedział: — Niestety, nie.

Carlos pożegnał się. Littell zadzwonił do Pete'a w Miami. Odebrał po pierwszym dzwonku.

— Bondurant, słucham.

— Pete, to ja.

— Tak, Ward. Słucham.

— Coś nie tak? Jesteś zdenerwowany.

— Nic się nie stało. Czy coś nie tak z naszym układem?

— Nie. Myślałem jednak o Lennym i wydaje mi się, że trzyma się zbyt blisko Sama.

— Myślisz, że wygada się Samowi?

— Nie to. Myślę, że...

Pete przerwał mu:

— Nie mów mi, co myślisz. To ty reżyserujesz to przedstawienie, więc powiedz, czego chcesz.

Littell powiedział: — Zadzwoń do Turentine'a. Niech poleci do L.A, i założy podsłuch na telefon Lenny'ego jako dodatkowe zabezpieczenie. Barb też tam jest. Występuje w lokalu w Hollywood zwanym Rabbit's Foot Club. Niech Freddy sprawdzi ją i zobaczy, jak się trzyma.

Pete odparł: — Brzmi sensownie. Oprócz tego są jeszcze pewne sprawy i nie chciałbym, żeby Sam zmusił do nich Lenny'ego.

— O czym mówisz?

— O Kubie. Nie zainteresowałoby cię to.

Littell spojrział w kalendarz. Zobaczył terminy składania pism procesowych rozpisane aż do czerwca.

— Zadzwoń do Freddy'ego, Pete. Nie przeciągajmy tego.

— Może spotkam się z nim w L.A. Dobrze by mi zrobiła zmiana dekoracji.

— Zrób to. I poinformuj mnie, kiedy podsłuch będzie zainstalowany.

— Dobrze. Do zobaczenia, Ward.

Littell odłożył słuchawkę. Wykrywacz zamigotał i sprowadził jego myśli na inny tor.

Hoover już go zaakceptował. Jego dworskie maniery już poszły w odstawkę. Hoover wrócił do swojego oschłego stylu. Oczekiwał błagań. Proszę, niech Helen Agee pozostanie w Szkole Prawniczej. Proszę, niech pan wypuści mojego lewicowego przyjaciela z więzienia.

Nigdy nie będzie prosił.

Pete denerwował się. Miał przecucie, że Kemper Boyd zmusi Pete'a do robienia rzeczy, których nie będzie w stanie kontrolować. Boyd gromadził wasali. Boyd czuł się dobrze z kubańskimi mordercami i murzyńską biedotą. Uwiódł Pete'a swoją klasą. Kubańskie zamieszanie popchnęło ich na obszary, o których wcześniej nie mieli pojęcia.

Carlos mówił, że poszli na układ z Santo Trafficante. Potencjalny dochód rozśmieszył go. Powiedział, że Santo nigdy nie wypłaci im tak wielkiej sumy. Carlosowi spodobało się kubańskie zamieszanie. Mówił, że Sam i Santo chcą przy jego okazji zminimalizować straty.

Czysta strata. Czysty zysk. Potencjalny dochód. Miał księgi Funduszu. Potrzebował trochę czasu, żeby stworzyć strategię ich wykorzystania.

Littell przekręcił krzesło i wyjrzał przez okno. Kwiaty wiśni dotykały szyby — na wyciągnięcie ręki.

Zadzwoił telefon.

Littell włączył głośnik. — Tak?

Odezwał się męski głos: — Tu Howard Hughes.

Littell prawie zachichotał. Pete opowiadał te śmieszne historyjki o Drakuli...

— Tu Ward Littell, panie Hughes. Bardzo się cieszę, że mogę z panem rozmawiać.

Hughes powiedział:

— Powinien pan się cieszyć. Pan Hoover powiedział mi o pańskich nienaganych referencjach i mam zamiar zaproponować panu dwieście tysięcy dolarów rocznie za przywilej dołączenia do moich pracowników.

Nie wymagam przeprowadzki do Los Angeles, będziemy porozumiewać się telefonicznie i listownie. Pańskie obowiązki będą obejmować pisanie odwołań w sprawie TWA i pomoc w wykupieniu przynoszących zyski hoteli i kasyn w Las Vegas. W tej sprawie nieocenione mogą się okazać pańskie włoskie powiązania i oczekuję, że pomoże mi pan opracować politykę utrzymania hoteli bez Murzynów i...

Littell słuchał. Hughes kontynuował. Littell nawet nie próbował odpowiadać.

## 81

(Los Angeles, 10 maja 1962)

Pete trzymał latarkę. Freddy wymieniał izolację kabla. Byli tak zdenerwowani, że niemal obgryzali paznokcie, a robota szła powoli. Freddy grzebał się z kilkoma luźnymi drutami.

— Nienawidzę telefonów Pacific Bell. Nienawidzę pracy w nocy i pracy w ciemności. Nienawidzę przedłużeń do sypialni, bo te pieprzone kable płączą się pod pieprzonym łóżkiem.

— Nie marudź, tylko działaj.

— Śrubokręt wciąż mi gdzieś utyka. Jesteś *pevien*, że Littell chce, żebyśmy założyli podsłuch na *obu* przedłużeniach?

— *Po prostu zrób to*. Dwa przedłużenia i skrzynka na zewnątrz. Ukryjemy ją w tych krzakach przy podjeździe. Jak przestanieś zrzedzić, za dwadzieścia minut nas tu nie będzie.

Freddy skaleczył się w kciuk.

— Kurwa. Nienawidzę telefonów Pacific Bell. A Lenny nie musi używać domowego telefonu, żeby na nas donieść. Może zakapować osobiście albo z budki.



Pete opuścił latarkę. Światło skakało po ścianie.

— Przestań, kurwa, jęczeć albo wsadzę ci to w dupę.

Freddy cofnął się i uderzył w półkę. Segregator z *Cicho sza!* pofrunął na podłogę.

— Dobrze, już dobrze. Jesteś drażliwy, odkąd wysiadłeś z samolotu, więc powiem to tylko raz. *Telefony Pacific Bell to gówno*. Jak zakładasz podsłuch, połowa dzwoniących słyszy stukoty na linii. Tego, kurwa, nie da się uniknąć. I kto będzie monitorował skrzynkę?

Pete potarł oczy. Odkąd zabił Wilfredo Delsola, męczyły go ciągle migreny.

— Littell może wziąć paru federalnych do pilnowania skrzynki. Nam wystarczy tylko sprawdzać ją co parę dni.

Freddy postawił obok telefonu lampę.

— Idź pilnować drzwi. Nie mogę pracować, gdy tak nade mną stoisz.

Pete poszedł do salonu. Ból kłuł go w oczy. Połknął dwie aspiryny. Popił koniakiem Lenny'ego prosto z butelki. Poszły bez trudu. Popił jeszcze trochę. Ból minął. Żyły nad oczami przestały pulsować.

Santo dotychczas kupował ten cyrk. Santo nigdy nie powiedział: *jak* Delsol go orznął. Mówił, że Sama też oszukano. Nie wspominał o porwaniu heroiny i piętnastu trupach. Nie powiedział, że parę grubych ryb z mafii zbliżyło się do Fidela Castro. Powiedział, że musi rozwiązać Kadreę.

— Tylko na razie, Pete. Słyszałem, że mają być naciski ze strony federalnych. Chcę na chwilę wycofać się z narkotyków.

Facet importował sto kilo Wielkiej „H”. A teraz spokojnie mówił, że się wycofa.

Santo pokazał mu raport policyjny. Miami uwierzyło w tę komedię. Uznali całą sprawę za makabryczne morderstwo z powodu narkotyków — przypuszczalnie dokonane przez kubańskich uchodźców. Boyd i Néstor wrócili do Missisipi. Prochy leżały ukryte w czterdziestu sejfach.

Wznowili treningi „Załatwić Castro”. Nie przejmowali się, że mafia skumała się teraz z Fidelem. Jak gdyby nie wiedzieli, że istnieją ludzie, którzy byliby w stanie ich powstrzymać. Nie bali się. On tak. Nie wiedzieli, że nie można oszukać mafii. On wiedział. Zawsze był posłuszny ludziom mającym PRAWDZIwą władzę. Nigdy nie łamał zasad, które ustanawiali. Musiał robić to, co robił — ale nie wiedział DLACZEGO.

Santo przysięgał zemstę. Santo mówił, że znajdzie złodziei heroiny — bez względu na koszty. Boyd myślał, że będą mogli sprzedać herę. Boyd się mylił. Boyd mówił, że *mógłby* ujawnić powiązania mafii z Agencją. Boyd mówił, że *mógłby* złagodzić gniew Bobby'ego. Nie zrobiłby tego. Nie *mógłby* tego zrobić.

Nigdy nie zaryzykowałby utraty swojego wizerunku w oczach Kennedych.

Pete wziął następny łyk. Trzy opróżniły trzecią część butelki. Freddy wynosił już narzędzia.

- Chodźmy. Odwiozę cię do motelu.
- Jedź sam. Chcę się przejść.
- Dokąd?
- Nie wiem.

Rabbit's Foot Club był duszną norą — w czterech ścianach królował dym i stęchłe powietrze. Nieletni tancerze rządzili parkietem — wszyscy łamali przepisy związane ze sprzedażą alkoholu. Joey i chłopaki grali na pół gwizdka. Barb nuciła jakąś słodką melodyjkę. Przy barze siedział jeden smutas.

Barb zauważyła go. Uśmiechnęła się i pomiędzy pomruki wrzuciła kawałek tekstu.

Jedyny osłonięty stolik był zajęty. Dwóch marines i dwie uczennice — na giganicie. Pete powiedział, żeby się wynieśli. Zmierzyli go wzrokiem i posłuchali. Dziewczyny zostawiły na stoliku swój owocowy rum.

Pete usiadł i napił się. Ból głowy znów narastał. Barb zakończyła słabą wersję „Twilight Time”. Paru tancerzy klaskało. Zespół zniknął za kulisami. Barb zeszła ze sceny i dołączyła do niego. Pete przysunął się do niej. Barb rzuciła:

- Zaskoczyłeś mnie. Ward mówił, że jesteś w Miami.
- Pomyślałem, że przyjadę i zobaczę, jak się sprawy mają.
- To znaczy, że chciałeś mnie sprawdzić? Pete pokręcił głową.
- Wszyscy twierdzą, że jesteś w porządku. Freddy Turentine i ja sprawdzamy Lenny'ego.

Barb powiedziała: — Lenny jest w Nowym Jorku. Z wizytą u przyjaciółki.

- U Laury Hughes?
  - Chyba tak. To jakaś bogata babka z mieszkaniem na Piątej Alei.
- Pete bawił się zapalniczką.

— Laura Hughes jest przyrodnią siostrą Jacka Kennedy'ego. Była poważnie zaangażowana w związek z Kemperem Boydem, o którym opowiadał ci Jack. Boyd szkolił w FBI Littella. Moja była dziewczyna, Gail Hendee, spała z Jackiem podczas jego miesiąca miodowego. Lenny uczył Jacka poprawnej wymowy w 1946,

Barb wzięła od Pete'a papierosa.

— Mówisz, że świat jest mały.  
Pete podał jej ogień.  
— Sam już nie wiem...  
Barb odgarnęła do tyłu włosy.  
— Czy Gail Hendee pracowała razem z tobą?  
— Tak.  
— Szantaże rozwodowe?  
— Zgadza się.  
— Była tak dobra jak ja?  
— Nie.  
— Byłeś zazdrosny o to, że spała z Jackiem Kennedym?  
— Nie, dopóki Jack nie przerznął *mnie*.  
— O czym ty mówisz?  
— O tym, że miałem osobisty udział w Zatoce Świń.  
Barb uśmiechnęła się. Światła baru zamigotały jej we włosach.  
— Jesteś zazdrosny o Jacka i o mnie?  
— Gdybym nie słyszał nagrań, pewnie bym był.  
— O czym znowu mówisz?  
— Że nie dajesz mu niczego prawdziwego. Barb roześmiała się.  
— Jeden miły człowiek ze Służb Specjalnych zawsze odwozi mnie do do-  
mu. Ostatnim razem zatrzymaliśmy się na pizzę.  
— Mówisz, że *to* było prawdziwe?  
— Tylko w porównaniu z godziną z Jackiem.  
Szafa grająca zawyła. Pete wyciągnął rękę i wyszarpnął wtyczkę z gniazodka.  
Barb powiedziała: — Zmusiłeś Lenny'ego, żeby to zrobił.  
— Jest do tego przyzwyczajony.  
— Jesteś zdenerwowany. Trącasz stół kolanem i nawet o tym nie wiesz.  
Pete przestał. Dla odmiany zaczęła mu się trząść pieprzona stopa.  
Barb spytała: — Boisz się tej sprawy?  
Pete unieruchomił kolana.  
— To coś innego.  
— Czasem myślę, że zabijecie mnie, kiedy będzie po wszystkim.  
— Nie zabijamy kobiet.  
— Już raz zabiłeś kobietę. Lenny mi mówił.  
Pete wzdrygnął się.  
— A ty przykleiłaś się do Joeya, żeby zapłacił zabójcom ludzi, którzy zgwał-  
cili twoją siostrę.

Nawet nie drgnęła. Nie ruszyła się. Nie pokazała ani krzty strachu.

— Powinam wiedzieć, że akurat ciebie będzie to obchodzić.

— O czym mówisz?

— Że chciałam się przekonać, czy Jacka obchodzi to na tyle, żeby sprawdzić, tak jak ty.

Pete wzruszył ramionami.

— Jack jest zajęty.

— Podobnie jak ty.

— Czy boli cię, że Johnny Coates wciąż żyje?

— Tylko kiedy myślę o Margaret. Tylko kiedy pomyślę, że nigdy nie pozwoli się dotknąć mężczyźnie.

Pete poczuł, że podłoga się pod nim zapada.

Barb powiedziała: — Powiedz, czego chcesz.

Pete odpowiedział: — Ciebie.

Wynajęli pokój w Hollywood-Roosevelt. Przez okno migotał neon Grauman's Chinese. Pete zdjął spodnie. Barb zrzuciła sukienkę. Naszywane koraliki spadły na podłogę — Pete na nie nadepnął. Barb wkopała jego kaburę pod łóżko. Pete zdjął narzutę. Od starego zapachu perfum na prześcieradle kręciło mu się w głowie. Podniosła ramiona i odpięła naszyjnik. Widział białe od talku miejsca pod wygolonymi pachami.

Przycisnął jej nadgarstki do ściany. Zobaczyła, czego chce, i pozwoliła mu się tam posmakować. Smak był mocny. Wygięła ramiona, żeby mu ułatwić. Dotykał jej sutków. Czuł zapach potu spływającego jej z ramion. Wypięła piersi w jego stronę. Nigdy nie widział takich żył i piegów. Całował je, gryzł i ustami dopchnął ją do ściany.

Dyszała jak szalona. Czuł na ustach jej puls. Przesunął ręce wzdłuż jej nóg i zagłębił palec. Odepchnęła go. Przeszła do łóżka i położyła się w poprzek. Rozłożył jej nogi i ukląkł między nimi. Dotykał jej brzucha, ramion, stóp. W każdym miejscu, które musnął, czuł puls. Wszędzie widać było żyły, tętniące między piegami i rudymi włosami.

Przycisnął biodra do materaca. Przy tym ruchu jego penis stwardniał tak, że aż zabolął. Smakował jej włosy. Dotykał skóry pod nimi. Doprowadzał jej puls do szaleństwa drobnymi muśnięciami i kęsami.

Oddawała mu pieśzcoty i ugryzienia. Wydawała zabawne odgłosy.

Doszedł, choć ona nawet go nie dotknęła. Trząsał się i jęczał, i wciąż ją smakował.

Wyprężyła się gwałtownie. Gryzła prześcieradło. Wila się i prężyła tak długo. Aż w końcu wygięła plecy w łuk i opadła na materac.

Nie chciał, żeby to się skończyło. Nie chciał stracić jej smaku.

(Meridian, 12 maja 1962)

W klimatyzatorze nastąpiło spięcie i wysiadł. Kemper obudził się cały spocyny. Połknął cztery amfetaminy. Od razu zaczął wymyślać kłamstwa.

Nie powiedziałem o powiązaniach, ponieważ:

Sam nie wiedziałem. Nie chciałem, żeby Jackowi stała się krzywda. Odkryłem to dopiero niedawno i pomyślałem, że najlepiej zostawić sprawy własnemu biegowi. Mafia i CIA? — to był szok, kiedy się dowiedziałem.

Kłamstwa były kulawe. Bobby zacznie dociekać i badać własne dane wstecz aż do 1959. Bobby zadzwonił wczoraj wieczorem. Powiedział:

— Spotkajmy się jutro w Miami. Chcę, żebyś pokazał mi „JM/Falę”.

Pete zadzwonił z L.A, kilka minut później. W tle słychać było kobietę nucającą twista. Powiedział, że właśnie rozmawiał z Santo. Santo kazał mu znaleźć źródła heroiny.

— Kemper, on powiedział: *znajdź ich*. Powiedział: *w żadnym wypadku nie zabijaj ich*. Nie wydawał się bardzo przejmować faktem, że mogę się dowiedzieć, iż to Castro finansował całą imprezę.

Kemper kazał mu uknuć kolejną farsę z dowodami. Pete odparł:

— Polecę do Nowego Orleanu i zacznę. Zadzwoni do mnie do hotelu Olivier House albo do biura Guya Banistera.

Kemper przygotował spida i wciągnął przez nos. Koka podążyła za amfą prosto do głowy. Na zewnątrz słyszał równe odliczanie. Laurent co dzień rano fundował Kubańczykom zaprawę. Flash i Juan sięgali mu do piersi. Néstor mógł schować się do jego plecaka.

Néstor dźgnął wczoraj wieśniaka. Tylko za to, że tamten zarysował mu zdeznak. Néstor zwiął. Wieśniak przeżył. Flash powiedział, że Néstor ukradł motorówkę i popłynął na Kubę. Zostawił list. Pisał: „Zachowajcie moją działkę. Wróćcie, jak Castro będzie trupem”.

Kemper wziął prysznic i ogolił się. Lekki haj wprawiał w drzenie rękę z żyłką.

Kłamstwa nie przychodziły.

Bobby miał ciemne okulary i kapelusz. Kemper przekonał go, żeby odwiedził „JM/Falę” incognito. Prokurator generalny w kapeluszu z szerokim rondem. Prokurator generalny jak wyrzutek ze „Szczurzej Paczki”.

Szli przez obóz. Wygląd Bobby'ego prowokował dziwne spojrzenia. Zatrudnieni tu ludzie podchodzili i witali się.

Kłamstwa nie przychodziły.

Chodzili w spacerowym tempie. Bobby zniżył swój słynny głos do szeptu. Kilku Kubańczyków rozpoznało go, ale podłapali grę. Kemper popisywał się Sekcją Propagandy. Oficer dyżurny sypał danymi. Nikt nie mówił „Jack Kennedy to ciota”. Nikt nie wspominał nazwisk z mafii. Nikt nie zdradzał, że znał Kempera Boyda jeszcze przed inwazją w Zatoce Świń.

Bobby'emu podobały się plany rekonesansów lotniczych. Sala łączności zrobiła na nim wrażenie.

Kłamstwa nie przychodziły. Szczegóły, jakie krążyły mu po głowie, nie były w najmniejszym stopniu prawdopodobne.

Chodzili po Sekcji Topograficznej. Podszedł do nich Chuck Rogers. Najwyraźniej miał ochotę pogadać. Kemper go wyminął.

Bobby skorzystał z męskiej toalety i wybuchnął gniewem. Ktoś wyskrobał nad pisuarem napisy obraźliwe dla Kennedych.

Przeszli do uniwersyteckiej kawiarenki. Bobby kupił im kawę i słodkie bułki. Dzieciaki z college'u przechodziły obok z tacami. Kemper starał się opanować nerwowe tiki — amfetamina wyjątkowo na niego podziałała. Bobby odchrząknął.

— Powiedz, co o tym myślisz.

— *Co?*

— Powiedz, że ataki na wybrzeże i gromadzenie informacji nie wystarczą. Powiedz po raz trzeci, że musimy zamordować Fidela Castro. Wyrzucić to z siebie wreszcie.

Kemper uśmiechnął się.

— Musimy zamordować Fidela Castro. I zapamiętam twoją odpowiedź, więc nie będziesz musiał jej powtarzać.

Bobby powiedział:

— Znasz moją odpowiedź. Nie cierpię dużo gadać i nie cierpię tego kapelusza. Jak sobie z tym radzi Sinatra?

— On jest Włochem.

Bobby wskazał kilka studentek w strojach kąpielowych.

— Czy tutaj nie wymaga się stosownego stroju?

— Wymaga się jak najmniej.

— Powiniennem powiedzieć Jackowi. Mógłby zbliżyć się do braci studenckiej.

Kemper zaśmiał się.

— Cieszę się, że stajesz się coraz bardziej tolerancyjny.

— Raczej coraz bardziej spostrzegawczy.

— I stanowczo nie podobają ci się pewne sprawy?

— Dokładnie tak.

Kemper pił kawę.

— Z kim on się teraz spotyka?

— Z jakąś dziwaczką. Tancerką, którą przedstawił mu Lenny Sands.

— Dlaczego dziwaczką?

— Powiedzmy, że jest za bystra na tancerkę w podrzędnym lokalu.

— Poznałeś ją?

Bobby skinął głową.

— Lenny przyprowadził ją do domu Petera Lawforda w Los Angeles.

Miałem wrażenie, że intelektualnie przerasta tam obecnych, a Jack zawsze dzwoni do mnie z Carlyle, żeby powiedzieć, jaka jest mądra, co nie należy do jego zwykłych komentarzy.

Lenny, tancerka, L.A. — zagadkowa kombinacja.

— Jak się nazywa?

— Barb Jahelka. Jack rozmawiał z nią przez telefon dziś rano. Powiedział, że zadzwonił do niej o 5.00 czasu w L.A, i nawet wtedy była w stanie odzywać się błyskotliwie i dowcipnie.

Pete dzwonił wieczorem z L.A. Jakaś kobieta nuciła „Let's Twist Again”.

— Co ci się w niej nie podoba?

— Chyba to, że nie zachowuje się jak większość panienek Jacka.

Pete zajmował się szantażami. Lenny był w samym centrum show biznesu Los Angeles.

— Myślisz, że jest w jakiś sposób niebezpieczna?

— Nie. Jestem podejrzliwy, bo jestem prokuratorem generalnym Stanów Zjednoczonych i podejrzliwość stanowi podstawę mojej pracy. Czemu cię to interesuje? Poświęciliśmy tej kobiecie o dwie minuty więcej, niż na to zasługuje.

Kemper zgniótł papierowy kubek.

— Po prostu nie chciałem rozmawiać o Fidelu.

Bobby roześmiał się.

— Dobrze. I nie dobrze, bo ty i twoi przyjaciele uchodźcy nie możecie go zabić.

Kemper wstał.

— Chcesz się jeszcze rozejrzeć?

— Nie. Przyjeżdża po mnie samochód. Podwieźć cię na lotnisko?

— Nie. Muszę jeszcze zadzwonić.

Bobby zdjął okulary. Jakaś studentka poznała go i zapiszczała.

Kemper zajął jeden z pustych pokoi „JM/Fala”. Telefonistka połączyła go bezpośrednio z Wydziałem Policji Los Angeles. Odebrał jakiś mężczyzna.

- Dział Informacji. Oficer Graham.
- Poproszę z Dennisem Payne'em. Mówi Kemper Boyd, międzymiastowa.
- Proszę czekać.

Kemper bazgrał w notatniku. Payne niespiesznie podszedł do telefonu.

- Jak się pan miewa, panie Boyd?
- Dziękuję, dobrze. A pan, sierzancie?
- Nie najgorzej. Założę się, że dzwoni pan z prośbą.
- Tak. Chcę sprawdzić kartotekę kobiety o nazwisku Barb Jahelka, pisownia prawdopodobnie J-A-H-E-L-K-A. Ma od dwudziestu dwóch do trzydziestu dwóch lat i myślę, że mieszka w Los Angeles. Chcę również sprawdzić zarezerwowany numer telefonu. Nazwisko Lenny Sands albo Leonard J. Seidelwitz, prawdopodobnie w Zachodnim Hollywood.

Payne odpowiedział:

- Zanotowałem. Proszę poczekać, dobrze? To może potrwać kilka minut.

Kemper czekał. Prochy powodowały lekkie palpitacje. Pete nie wspominał o robocie w L.A. Lenny był podatny na nacisk i łapówki. Payne odezwał się:

- Pan Boyd? Mamy obie sprawy. Kemper wziął długopis.
- Proszę mówić.
- Numer Sandsa to OL5-3980. Dziewczyna była skazana za nielegalne posiadanie marihuany. Jest jedyną Barbarą Jahelka w naszych aktach, jej data urodzenia pasuje do tego, co pan mówił.
- Jakież szczegóły?
- Aresztowana w lipcu 1957. Odsiedziała sześć miesięcy i przez dwa lata była pod kuratelą sądową.

Nie wyjaśniało to wszystkiego.

- Mógłby pan sprawdzić, czy nie ma czegoś nowszego? Aresztowań, które nie zakończyły się oskarżeniami?

Payne powiedział:

- Dobrze. Sprawdzę w biurze szeryfa i miejskim. Jeśli ta dziewczyna miała kłopoty po 1957, będziemy o tym wiedzieli.
- Wielkie dzięki, sierzancie. Jestem wdzięczny za pomoc.
- Proszę dać mi godzinę, panie Boyd. Do tego czasu powinienem coś mieć.



Kemper rozłączył się. Centrala połączyła go z numerem Lenny'ego. Telefon zadzwonił trzy razy. Kemper usłyszał cichy stukot podsłuchu i rozłączył się.

Pete zajmował się szantażami. Pete zajmował się też podsłuchem. Jego partnerem był sławny Fred Turentine. Brat Freddy'ego miał zakład naprawy telewizorów. Freddy pracował tam między zakładaniem podsłuchów.

Kemper zadzwonił do informacji Los Angeles. Telefonistka podała mu numer. Połączył się z nim. Linia syczała i trzeszczała. Jakiś facet odebrał po pierwszym dzwonku.

— Telewizory Turentine. Dzień dobry.

Kemper zaczął mówić z robotniczym akcentem: — Jest Freddy? Mówi Ed. Jestem kumplem Freddy'ego i Pete'a Bonduranta.

Tamten zakaszłał.

— Freddy jest w Nowym Jorku. Był tu kilka dni temu, ale już pojechał.

— Cholera. Muszę mu coś przekazać. Zostawił adres?

— Tak. Moment... gdzie to jest... Siedemdziesiąta Szósta Wschodnia 94, Nowy Jork. Telefon MU6-0197.

Kemper odpowiedział: — Dzięki. Bardzo mi pan pomógł.

Facet zakaszłał.

— Niech pan pozdrowi Freddy'ego. I niech pan mu powie, że jego starszy brat każe mu się trzymać z dala od kłopotów.

Kemper odłożył słuchawkę. Pokój wirował mu w oczach. Turentine mieszkał w pobliżu Siedemdziesiątej Szóstej i Madison. Hotel Carlyle był tuż za rogiem. Kemper połączył się z centralą i ponownie dał telefonistce numer Lenny'ego. Połączyła go. Usłyszał trzy dzwonki i trzy ciche stuknięcia.

Potem odebrała kobieta: — Mieszkanie pana Sandsa.

— Czy to pokójówka pana Sandsa?

— Tak, proszę pana. Pan Sands jest w Nowym Jorku. Można się z nim kontaktować pod numerem MU6-2433.

Numer Laury. Kemper rozłączył się i ponownie połączył z telefonistką. Dziewczyna odezwała się:

— Tak, panie Boyd.

— Proszę Nowy Jork. Numer MU6-2433.

— Proszę czekać. Wszystkie linie są zajęte, połączę pana za chwilę.

Kemper pochylił się nad telefonem. Fragmenty pasowały do siebie — dzięki przypadkowi, intuicji... Zadzwonił telefon. Chwycił słuchawkę.

— Tak?

— Co ma znaczyć „tak”? Telefonistka połączyła *pańską* rozmowę z *moim* numerem.

Kemper otarł pot z czoła.

— Zgadza się. Czy to Fred Turentine?

— Owszem.

— Mówi Kemper Boyd. Pracuję z Pete'em Bondurantem.

Cisza trwała zbyt długo.

— Więc szukasz Pete'a?

— Zgadza się.

— Cóż... Pete jest w Nowym Orleanie.

— Racja. Zapomniałem.

— A... dlaczego wydaje ci się, że powinien być tutaj?

— Tak mi się zdawało.

— Zdawało ci się, akurat. Pete mówił, że nie daje nikomu tego numeru.

— Dał mi go twój brat.

— Cholera... on nie...

— Dzięki, Fred. Zadzwońię do Pete'a do Nowego Orleanu...

Połączenie urwało się. Fred odłożył słuchawkę ogłupiony i przerażony.

Kemper patrzył, jak wskazówka sekundowa okrążyła tarczę zegarka. Rękawy koszuli miał zupełnie mokre od potu.

Pete zrobiłby to. Pete nie zrobiłby tego. Pete był od dawna jego partnerem, co stanowiło dowód na... Co niczego nie dowodziło. Biznes to biznes. Stał między nimi Jack. Można by to nazwać Naciąganiem Trójkątem: Jack, Pete i Barb jakaś tam.

Kemper wywołał centralę. Telefonistka jeszcze raz wybrała numer Wydziału Policji Los Angeles. Odebrał Payne.

— Dział Informacji.

— Tu Kemper Boyd, sierżancie.

Payne zaśmiał się. — Dokładnie co do sekundy.

— Czy coś pan znalazł?

— Owszem. Policja w Beverly Hills aresztowała tę Jahelkę za próbę szantażu w sierpniu 1960.

Dobry Boże...

— Jakieś szczegóły?

— Ta dziewczyna razem ze swoim byłym mężem próbowała szantażować Rocka Hudsona jakimiś zdjęciami.

— Hudsona i jej?

— Dokładnie. Żądali pieniędzy, ale Hudson poszedł na policję. Gdy dziewczyna i jej były zostali aresztowani, Hudson wycofał skargę.

Kemper powiedział: — Coś mi tu śmierdzi. Payne odrzekł:

— I to bardzo. Mój kumpel z policji w Beverly Hills mówił, że to było coś w rodzaju spisku mającego pokazać, że Hudson jest pies na baby, podczas gay naprawdę jest homo. Słyszał plotkę, że stało za tym *Cicho sza!*.

Kemper odłożył słuchawkę. Palpitacje prawie uniemożliwiały mu oddech. LENNY...

Złapał samolot o 13.45 na La Guardia. Łyknął cztery amfetaminy i popił je dwoma martini. Lot trwał trzy i pół godziny. Kemper darł na strzępy papierowe serwetki i co parę minut zerkał na zegarek. Wylądowali o czasie. Kemper złapał taksówkę. Kazał kierowcy przejechać obok Carlyle i zatrzymać się na rogu Sześćdziesiątej Czwartej i Piątej. Była godzina szczytu. Dotarcie do Carlyle zabrało prawie godzinę. Siedemdziesiąta Szósta Wschodnia 94 znajdowała się pięćdziesiąt metrów od hotelu. Idealna lokalizacja punktu podsłuchowego.

Taksówkarz skręcił na południe i wysadził go przed mieszkaniem Laury. Portier był zajęty rozmową z lokatorem. Kemper wbiegł do holu. Starsza pani poczekała na niego z windą. Nacisnął „12”. Starsza pani cofnęła się. Zobaczył, że w dłoni trzyma pistolet i próbował sobie przypomnieć, kiedy go wyjął. Włożył go za pasek. Staruszka zasłoniła się torbą. Winda jechała całą wieczność. Drzwi otworzyły się. Laura zmieniła wystrój foyer — teraz była to podróbka francuskiej prowincji. Kemper przeszedł korytarzem. Winda za jego plecami ruszyła. Usłyszał śmiechy na tarasie. Pobiegł w tym kierunku. Pod stopami zwiły mu się dywaniki. Sprintem wbiegł w ostatni korytarz, przewracając dwie lampy i stolik.

Stali. W rękach trzymali drinki i papierosy. Wyglądali tak, jakby wstrzymali oddech. Laura, Lenny i Claire. Wyglądali śmiesznie. Wyglądali, jakby go nie poznawali.

Zobaczył wyjęty pistolet. Zobaczył wciśnięty do połowy spust. Powiedział coś o szantażowaniu Jacka Kennedy'ego. Claire rzekła:

— Tato? — jakby nie była pewna, czy to on.

Wycelował w Lenny'ego. Claire powiedziała:

— Tato, proszę.

Laura upuściła papierosa. Lenny rzucił w niego niedopałkiem i uśmiechnął się. Ognik oparzył mu twarz. Popiół osypał się na garnitur. Wycelował ponownie i nacisnął spust. Pistolet się zaciął. Lenny uśmiechał się. Laura wrzeszczała.

Wygonił go stamtąd krzyk Claire.

(Nowy Orlean, 12 maja 1962)

Obaj wygadywali bzdury. Biuro Banistera tonęło w prawicowych sloganach. Guy mówił, że Klan podłożył bomby pod kilka kościołów. Pete — że Heshie Ryskind ma raka.

Ekipa Boyda „Załatwić Castro” była elitą wszech czasów. Dougie Frank Lockhart był elitarnym strzelcem.

Pete powiedział, że Wilfredo Delsol oszukał Santo juniora w interesie narkotykowym. Skurwysyna orznął potem jakiś inny nieznaną skurwysyn albo grupa skurwysynów.

Banister pił bourbona. Pete zmyślał dalej. Powiedz, Guy, co *ty* wiesz o całej sprawie? Guy mówił, że nie słyszał niczego specjalnego. Pieprzysz, Sherlocku — ta twoja gadka to kupa gówna. Pete rozwalił się w fotelu i zabawił dużym Jackiem Daniels’em. Brał małe lecznicze lyczki, żeby ulżyć migrenie.

W Nowym Orleanie było gorąco. Biuro było nagrzone do niemożliwości. Guy siedział za biurkiem i zbierał pot z czoła nożem sprężynowym. Pete wracał myślami do Barb. Nie umiał nie myśleć o niej dłużej niż przez sześć sekund.

Zadzwoił telefon. Banister przekopał się przez bałagan na biurku i znalazł go.

— Tak?... Tak, jest tutaj. Chwileczkę.

Pete wstał i chwycił słuchawkę.

— Kto mówi?

— Fred. I uważaj, kurwa, co ci teraz powiem.

— Uspokój się najpierw.

— Jak mam się, kurwa, uspokoić, jak mam wstrząs mózgu? Nie mogę się uspokoić...

Pete przeszedł z telefonem na drugi koniec biura. Kabel aż się napiął.

— Freddy, uspokój się. Powiedz mi po prostu, co się stało.

Freddy złapał oddech.

— No już. Kemper Boyd zadzwonił dziś rano do punktu podsłuchowego. Mówił, że szuka ciebie, ale wiem, że kłamał. Godzinę temu... przyszedł... tu. Walił w drzwi jak szaleniec. Nie wpuściłem go i widziałem, jak prawie wyrzucił staruszkę z taksówki i sam do niej wsiadł.

Kabel niemal się urywał. Pete cofnął się i poluzował go.

— I to wszystko?

— Kurwa, nie!

— Freddy, o co ci...

— Parę minut później przyszedł Lenny Sands. Wpuściłem go, bo pomyślałem, że może wie, co Boyd chce zrobić. Walnął mnie krzesłem i przeszukał lokal. Ukradł wszystkie taśmy i stenogramy i wyszedł. Ocknąłem się po, cholera... nie wiem, może po półgodzinie. Przechodziłem obok Carlyle i zobaczyłem policyjne wozy. Pete, Pete, Pete...

Nogi się pod nim ugięły. Oparł się o ścianę.

— Pete, to był Lenny. Wyważył drzwi i zdemolował apartament Kennedy'ego. Wyrwał mikrofony i uciekł, kurwa, wyjściem ewakuacyjnym. Pete, Pete, Pete...

— Pete, jesteśmy załatwieni...

— Pete, to musiał być Lenny...

— Pete, zwinąłem punkt i cały sprzęt, i...

Połączenie zostało przerwane — Pete wyrwał kabel z gniazdka.

**B**oyd wiedział, że jest w Nowym Orleanie. Boyd złapie pierwszy samolot i przyleci. Robota była spalona. Boyd i Lenny jakoś na siebie wpadli i sieprzylili sprawę.

Federalni już pewnie wiedzą. Służby specjalne też. Boyd nie pójdzie się tłumaczyć do Bobby'ego — skompromitowałyby go powiązania z mafią.

Boyd przyjedzie tutaj. Boyd wie, że Pete mieszka w hotelu po drugiej stronie ulicy.

Pete pił bourbona i słuchał twistów z szafy grającej. Kelnerka regularnie dolewała mu do szklanki.

Przyjedzie taksówka. Wsiądzie Boyd. Przekupi recepcjonistę i wejdzie do pokoju 614. Znajdzie list. Postąpi zgodnie z instrukcjami. Przyniesie magnetofon tutaj, do Ray Becker's Tropics.

Pete obserwował drzwi. Każdy twist przywodził mu na myśl Barb. Dwie godziny temu zadzwonił do niej do L.A. Powiedział, że robota przepadła. Kazał jej pojechać do Ensenady i ukryć się w Playa Rosanda. Powiedziała, że tak zrobi. Dodała:

— *My* się jeszcze liczymy, prawda?

Odpowiedział: — Tak.

W barze było gorąco. Nowy Orlean miał patent na upał. Burze nadchodziły i mijaly, nim zdążyło się mrugnąć okiem.

Wszedł Boyd. Pete dokreślił tłumik do swojego magnum i położył broń obok na krześle. Boyd niósł magnetofon w walizce. Przy nodze miał czterdziestkę

piątkę. Podeszedł. Usiadł naprzeciw Pete'a, walizkę stawiając na podłodze. Pete wskazał na nią.

— Wyjmij sprzęt. Jest na baterie, taśma jest w środku, więc wystarczy go tylko włączyć.

Boyd pokręcił głową.

— Połóż pistolet na stole.

Pete posłuchał.

Boyd powiedział: — Teraz go rozładuj.

Pete posłuchał.

Boyd wyjął magazynek ze swojego pistoletu i zawiązał oba w obrus. Miał zakurzoną i zmęczoną twarz. Nieogolony Kemper Boyd — widział go takim po raz pierwszy. Pete wyciągnął zza paska trzydziestkę ósemkę.

— Oddzielmy to od reszty, Kemper. To nie ma nic wspólnego z naszymi pozostałymi fuchami.

— Nie obchodzi mnie to.

— Zacznie, kiedy posłuchasz taśmy.

Mieli dla siebie cały rząd osłoniętych stolików. Gdyby coś poszło nie tak, mógłby go zabić i uciec tylnymi drzwiami.

— Przekroczyłeś granicę, Pete. Wiedziałeś, gdzie leży, i przekroczyłeś ją.

Pete wzruszył ramionami.

— Nie zrobiliśmy krzywdy Jackowi, a Bobby jest zbyt sprytny, żeby mieszać do tego prawo. Możemy stąd wyjść i zająć się swoimi sprawami.

— I dalej sobie ufać?

— Czemu nie. Tylko Jack nas dzieli.

— Naprawdę uważasz, że to takie proste?

— Możesz sprawić, żeby takie było.

Boyd otworzył walizkę. Pete postawił magnetofon na stole i nacisnął *play*. Zwiększył głośność, żeby zagłuszyć szafę grającą.

Jack Kennedy powiedział: „Najbliżej byłby Kemper Boyd, ale przy nim czuję się trochę niezręcznie”.

Barb Jahelka spytała: „Kim jest Kemper Boyd?”

Jack: „Prawnikiem w Departamencie Sprawiedliwości”.

Jack: „Jest jednym wielkim żalem, że nie jest z Kennedych”.

Jack: „Skończył Wydział Prawa Yale, przypiął się do mnie i...”

Boyd trząsał się. Boyd tracił panowanie nad sobą, wręcz popadał w obłęd.

Jack: „Porzucił kobietę, z którą był, żeby zaskarbić sobie łaski moje i mojej rodziny”.

Jack: „Fantazjuje na mój temat...”

Boyd gołą pięścią uderzył w magnetofon. Szpule z taśmą pękły i rozpadły się. Pete patrzył spokojnie, jak jego pięści pokrywają się krwią

## 84

(Meridian, 13 maja 1962)

Samolot wylądował. Kemper trzymał się siedzenia przed sobą. Bolała go głowa. Bolały go ręce. Nie spał od trzydziestu paru godzin. Drugi pilot wyłączył silniki i otworzył drzwi pasażerskie. Do środka wdarło się słońce i gorące powietrze. Kemper wysiadł z samolotu i poszedł do samochodu. Przez bandażę na rękach sączyła mu się krew.

Pete wybił mu z głowy zemstę. Powiedział, że to Ward Littell wymyślił ten szantaż od podstaw.

Pojechał do motelu. Jazdę utrudniało mu trzydzieści parę godzin na alkoholu i amfetaminie. Parking był pełen. Stał obok szewroleta Flasha Elorde. Słońce świeciło dwa razy bardziej gorąco niż zwykle. Claire wciąż mówiła: „Tato, proszę”.

Wszedł do swojego pokoju. Drzwi otworzyły się, gdy tylko ich dotknął. Ktoś wciągnął go do środka. Ktoś podciął mu nogi. Ktoś przewrócił go twarzą do podłogi i skuł kajdankami.

Ktoś powiedział: — Znaleźliśmy tu narkotyki.

Ktoś powiedział: — I nielegalną broń.

Ktoś powiedział: — Lenny Sands zabił się wczoraj w nocy w Nowym Jorku. Wynajął pokój w tanim hotelu, podciął sobie żyły i napisał krwią na ścianie nad łóżkiem: „Jestem homoseksualistą”. Umywalka i sedes były pełne spalonych fragmentów taśmy, niewątpliwie zabranych z podsłuchu zainstalowanego w apartamencie rodziny Kennedych w hotelu Carlyle.

Kemper próbował się rzucać. Mężczyzna nadepnął mu na twarz i tak stał.

Ktoś powiedział: — Zauważono, jak Sands włamuje się do apartamentu. Policja nowojorska zlokalizowała punkt podsłuchowy w sąsiedztwie. Był wyczyszczony ze sprzętu i oczywiście wynajęty na fałszywe nazwisko, ale zostawiono tam duże ilości czystej taśmy.

Ktoś powiedział: — To ty prowadziłeś ten szantaż.

Ktoś powiedział: — Mamy twoich Kubańczyków i tego Francuza, Guéry'ego. Nie chcą zeznawać, ale i tak będą oskarżeni o nielegalne posiadanie broni.

Ktoś powiedział: — Wystarczy.

Ktoś: prokurator generalny Robert F. Kennedy.

Ktoś popchnął go na krzesło. Ktoś rozkuł go i przykuł ponownie do łóżka. Pokój był pełen federalnych kumpli Bobby'ego — sześciu czy siedmiu mężczyzn w tanich letnich garniturach.

W końcu wyszli i zatrzasnęli za sobą drzwi. A Bobby usiadł na skraju łóżka.

— Niech cię diabli, Kemper. Niech cię diabli za to, co chciałeś zrobić mojemu bratu.

Kemper zakaszał. Widział niewyraźnie. Widział dwa łóżka i dwóch Bobbych.

— Nic nie zrobiłem. Próbowałem przerwać tę operację.

— Nie wierzę ci. Nie wierzę, że twój wybuch w mieszkaniu Laury był czymś innym niż przyznaniem się do winy.

Kemper wzdrygnął się. Kajdanki wrzynały mu się w nadgarstki, które zaczęły krwawić.

— Wierz, w co chcesz, ty bezpłciowy kawałku psiego gówna. I powiedz swojemu bratu, że nikt nigdy tak bardzo go nie kochał, dostając tak niewiele w zamian.

Bobby przysunął się bliżej.

— Twoja córka Claire doniosła na ciebie. Powiedziała, że od ponad trzech lat jesteś agentem kontraktowym CIA. Powiedziała, że Agencja instruowała cię szczegółowo, jak przemycać propagandę przeciwników Castro mojemu bratu. Powiedziała, że wie od Lenny'ego Sandsa, jak namawiałeś wielkie ryby przestępczości zorganizowanej do uczestniczenia w tajnej działalności CIA. Wziąłem to wszystko pod uwagę i doszedłem do wniosku, że pewne moje wcześniejsze podejrzenia były słuszne. Myślę, że pan Hoover przysłał cię tu, żebyś szpiegował moją rodzinę, i mam zamiar skonfrontować to z nim, jak tylko mój brat zmusi go do rezygnacji.

Kemper zacisnął pięści. Zatrzeszczały kości. Bobby siedział na odległość splunięcia.

— Zamierzam przeciąć wszelkie więzy między mafią a CIA. Zamierzam powstrzymać udział przestępczości zorganizowanej w projekcie kubańskim. Zamierzam wyrzucić cię z Departamentu Sprawiedliwości i CIA, pozbawić cię



możliwości pracy w zawodzie prawnika i oskarżyć ciebie i twoich francusko - kubańskich przyjaciół o nielegalne posiadanie broni i narkotyków.

Kemper zwilżył usta i powiedział:

— Jeśli będziesz zadzierał z moimi ludźmi albo spróbujesz mnie oskarżyć, ujawnię wszystko, co wiem o twojej zepsutej rodzinie. Obsmaruję nazwisko Kennedych brudem, na który mam dowody, tak że pozostanie ono na zawsze skalane.

Bobby uderzył go. Kemper plunął mu w twarz.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.05.1962. Dosłowny stenogram FBI rozmowy telefonicznej:

„NAGRANE NA POLECENIE DYREKTORA”/„TYLKO DO WIADOMOŚCI DYREKTORA”.

Rozmawiają: dyrektor J. Edgar Hoover, Ward J. Littell.

WJL: Dzień dobry, sir.

JEH: Dzień dobry. Nie musi mnie pan pytać, czy słyszałem, ponieważ śmiem twierdzić, że znam tę historię lepiej niż pan.

WJL: Tak, sir.

JEH: Mam nadzieję, że Kemper zaoszczędził trochę pieniędzy. Wykluczenie z palestry może być kosztowne i wątpię, żeby człowiek o jego gustach mógł żyć wygodnie z emerytury FBI.

WJL: Jestem pewien, że Młodszy Brat nie wniesie oskarżenia.

JEH: Oczywiście, że nie.

WJL: Kemper więc jednak upadł...

JEH: Nie skomentuję tej przewrotności losu.

WJL: Tak, sir.

JEH: Rozmawiał pan z nim?

WJL: Nie, sir.

JEH: Jestem ciekaw, co robi. Myśl o Kemperze C. Boydzie nie zatrudnionym w policji jest zdumiewająca.

WJL: Myślę, że pan Marcello znajdzie mu pracę.

JEH: Tak? Mafijnego włazidupka?

WJL: Kubańskiego prowokatora, sir. Pan Marcello wciąż jest wierny Sprawie.

JEH: W takim razie jest głupcem. Fidel Castro musi zostać. Moje źródła donoszą, że Czarny Król będzie najprawdopodobniej chciał poprawić swoje z nim stosunki.

WJL: Czarny Król to mięczak, sir.

JEH: Niech pan nie próbuje mi się podlizywać. Mógł pan przejść wewnętrzną przemianę, jeśli chodzi o braci, ale pańskie polityczne przekonania są wciąż podejrzanane.

WJL: Tak czy inaczej, sir, ja się nie poddam. Zamierzam obmyślić coś innego. Nie zrezygnowałem z Króla.

JEH: Jak pan chce. Ale proszę zapamiętać, że nie życzę sobie być informowanym o pańskich planach.

WJL: Tak jest.

JEH: Czy panna Jahelka wróciła do swego zwykłego trybu życia?

WJL: Ma zamiar. W tej chwili jest na wakacjach w Meksyku z naszym francusko-kanadyjskim przyjacielem.

JEH: Mam nadzieję, że nie posuną się do prokreacji. Wydaliby na świat moralnie upośledzone potomstwo.

WJL: Tak jest.

JEH: Miłego dnia, panie Littell.

WJL: Miłego dnia, sir.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: Fragmenty podsłuchu FBI w porządku chronologicznym.

Oznaczenie: „ŚCIŚLE TAJNE / POUFNE / TYLKO DO WIADOMOŚCI DYREKTORA” i „NIE UJAWNIAĆ PERSONELOWI DEPARTAMENTU SPRAW WIEDLIWOŚCI”.

Chicago, 10.06.1962. BL4-8869 (Zakład Krawiecki Celano) do AX8-9600 (dom Johna Rossellego) (akta nr 902.5, Biuro w Chicago). Rozmawiają: John Rosselli, Sam „Mo”, „Momo”, „Mooney” Giancana (akta nr 480.2) Rozmowa trwa od dziewięciu minut.

SG: Więc pieprzony Bobby sam się o tym dowiedział.

JR: Szczerze mówiąc, nie dziwi mnie to.

SG: Pomagaliśmy mu, Johnny. Pewnie, że niewiele. Ale, kurwa, prawda jest taka, że pomagaliśmy jemu i jego bratu.

JR: Byliśmy dla nich dobrzy, Mo. Byliśmy mili. A oni wciąż nas pieprzyli, pieprzyli i pieprzyli.

SG: Jakiś pieprzony szantaż był kata... kata... jak to leci?

JR: Chodzi ci chyba o katalizator, Mo.

SG: Tak. Jakiś kurewski szantaż podziałał jak katalizator i Bobby dowiedział się za wcześnie. Mówią, że Jimmy i Francuz Pete są w to zamieszani. Ktoś z czymś nawalił i Żydek Lenny się zabił.

JR: Nie można winić Jimmy'ego i Pete'a za to, że próbowali orżnąć Kennedych.

SG: Nie, nie można.

JR: I okazało się, że Lenny był pedziem. Dajesz wiarę?

SG: Kto by w to uwierzył?

JR: Mo, on był Żydem. W rasie żydowskiej jest większy odsetek homoseksualistów niż wśród normalnych białych ludzi.

SG: To prawda. Ale Heshie Ryskind nie jest ciotą. Miał coś koło sześćdziesięciu tysięcy minet.

JR: Heshie jest chory, Mo. Poważnie chory.

SG: Szkoda, że Kennedy się od niego nie zarazili. Oni i Sinatra.

JR: Sinatra sprzedał nam stek kłamstw. Mówił, że ma wpływ na braci.

SG: Nie ma z niego pożytku. Fryzura wykopał jego dupę z listy gości Białego Domu. Nie ma sensu prosić Franka, żeby się za nami wstawił.

Następuje nieistotna rozmowa.

Cleveland, 4.08.1962. BR1-8771 (Sal's River Lounge) do BR4-0811 (Automat telefoniczny w restauracji Bartolo's). Rozmawiają: John Michael D'Allesio (akta nr 180.4, Biuro w Cleveland), Daniel „Osioł Dan” Versace (akta nr 206.9, Biuro w Chicago). Rozmowa trwa od szesnastu minut.

DV: Plotki są tylko plotkami. Musisz dojść do źródła i tam zasięgnąć języka.

JMD: Danny, lubisz plotki?

DV: Wiesz, że tak. Wiesz, że uwielbiam dobrą plotkę tak samo jak każdy i nie obchodzi mnie szczególnie, czy jest prawdziwa, czy nie.

JMD: Danny, słyszałem świeżą plotkę.

DV: To mów. Nie daj się prosić.

JMD: Plotka głosi, że J. Edgar Hoover i Bobby Kennedy nienawidzą się.

DV: To ma być plotka?

JMD: Jest jeszcze coś.

DV: Mam nadzieję. Hoover-Bobby to stara śpiewka.

JMD: Plotka głosi, że ludzie z tych oddziałów Bobby'ego wynajdują kapuściów. Plotka głosi, że Bobby nie dopuści Hoovera do swoich wtyczek. Słyszałem też, że pieprzona Komisja McClellana ma znów zebrać się na sesji. Przygotowują się do ponownego czyszczenia mafii. Bobby pracuje nad swoim głównym kapusiem. Kiedy zaczną się sesje komisji, ten facet wystąpi jak jakaś gwiazda.

DV: Słyszałem już lepsze plotki, Johnny.

JMD: Pieprz się.

DV: Wolę plotki z podtekstem seksualnym. Nie słyszałeś nic takiego?

JMD: Pieprz się.

Następuje nieistotny ciąg dalszy.

Nowy Orlean, 10.10.1962. KL4-0909. (Automat telefoniczny w barze Habana) do CR8-8107. (Automat telefoniczny w motelu Town & Country)-

Uwaga: Carlos Marcello (nieobecny w aktach) jest właścicielem Town & Country. Rozmawiają: Leon Broussard (akta nr 88.6, Biuro w Nowym Orleanie) i niezidentyfikowany (prawdopodobnie narodowości kubańskiej) mężczyzna. Rozmowa trwa od dwudziestu jeden minut.

LB: I nie powinienęś tracić nadziei. Nie wszystko stracone, przyjacielu.

NM: Ale na to wygląda.

LB: To nieprawda. Wiem na pewno, że wujek Carlos wciąż w to wierzy.

NM: W takim razie jest sam. Kilka lat temu wielu jego kompanów było tak hojnych, jak on teraz. Przykro patrzeć, jak wpływowi przyjaciele opuszczają Sprawę.

LB: Na przykład John F-jak-fiut Kennedy.

NM: Tak. Jego zdrada to najgorszy przykład. Wciąż nie zezwala na ponowną inwazję.

LB: Więc tego skurwiela to nie obchodzi. Ale powiem ci coś, przyjacielu. Wujka Carlosa obchodzi.

NM: Mam nadzieję, że masz rację.

LB: Wiem, że mam. Wiem z bardzo dobrych źródeł, że wujek Carlos finansuje operację, która mogłaby całą Kubę wyrzucić do góry nogami.

NM: Obyś miał rację.

LB: Sponsoruje pewnych ludzi, którzy chcą uderzyć na Castro. Trzech Kubańczyków i były francuski spadochroniarz. Ich szef jest byłym agentem FBI i CIA. Wujek Carlos mówi, że sam poświęciłby się dla tej sprawy.

NM: Mam nadzieję, że to prawda. Widzisz, Sprawa rozmieniła się na drobne. Istnieją teraz setki grup uchodźców. Niektóre z nich popiera CIA. Przykro mi to mówić, ale w wielu grupach jest pełno prostaków i kryminalistów. Myślę, że potrzebna jest bezpośrednia akcja, co trudno będzie osiągnąć z wieloma frakcjami pracującymi w sprzecznych celach.

LB: Pierwsza rzecz, jaką należałoby zrobić, to obciąć Kennedy'm jaja. Mafia była bardzo hojna dla Sprawy, dopóki Bobby Kennedy się nie wściekł i odciął wszystkie pieprzone powiązania.

NM: I jak tu teraz być optymistą. Jak nie czuć się impotentem.

Tampa, 16.10.1962. (dom Roberta „Grubego Boba” Paolucciego) (akta nr 19.3, Biuro w Miami) do GL1-8041 (dom Thomasa Richarda Scavone) (akta nr 80.0, Biuro w Miami). Rozmawiają: Paolucci i Scavone. Rozmowa trwa od trzydziestu ośmiu minut.

RP: Wiem, że znasz prawie całą historię.

TS: Wiesz, jak jest. Tu usłyszysz jakiś fragment, tam inny. Co wiem na pewno, to że Mo i Santo nie rozmawiali ze swoimi kontaktami z Castro od tamtej masakry.

RP: To faktycznie była masakra. Jakies piętnaście pieprzonych trupów. Santo mówił, że ci rzeźnicy skierowali łódź w morze i wysadzili ją. Sto kilo, Tommy. Wyobrażasz sobie wartość sprzedaży?

TS: W pale się nie mieści, Bobby. W pale się nie mieści.

RP: I wciąż nie wiemy, gdzie to jest.

TS: Właśnie o tym pomyślałem.

RP: Sto kilo. I ktoś to ma.

TS: Słyszałem, że Santo nie odpuści.

RP: To prawda. Pete Francuz załatwił tego Delsola, ale to był dopiero czubek góry lodowej. Słyszałem, że Santo wysłał Pete'a, żeby powęszył, wiesz, tak nieformalnie. Obaj uważają, że tę masakrę urządzili jacyś szaleni Kubańczycy i Pete Żabojad ich szuka.

TS: Poznałem paru uchodźców.

RP: Ja też. Wszyscy są, kurwa, stuknięci.

TS: Wiesz, czego w nich nienawidzę?

RP: Czego?

TS: Tego, że uważają się za tak białych jak Włosi.

Następuje nieistotny ciąg dalszy.

Nowy Orlean, 19.10.1962. BR8-3408 (dom Leona Broussarda) (akta nr 88.6 Biuro w Nowym Orleanie) do apartamentu 1411 w hotelu Adolphus w Dallas, Texas. (Dokumenty hotelowe wskazują, że apartament był wynajęty przez Herschela Mevera Rvskinda) (akta nr 887.8, Biuro w Dallas). Rozmowa trwa od trzech minut.

LB: Zawsze lubiłeś hotelowe apartamenty, Hesh. Apartament i minetka to była twoja koncepcja nieba.

HR: Nie mów o niebie, Leon. Boli mnie od tego prostatata.

LB: Rozumiem. Jesteś chory, więc nie chcesz myśleć o tym, co cię czeka potem.

HR: Chodzi o to, co mnie czeka teraz, Leon. I masz rację. Zadzwoiłem do ciebie, bo zawsze lubiłeś wtykać nos w nie swoje sprawy, i myślałem, że słyszałeś jakieś plotki o ludziach, którzy mają gorsze kłopoty, i mnie pocieszysz.

LB: Spróbuję, Hesh. Carlos cię pozdrawia.

HR: Zacznijmy od niego. W co się teraz wpakował ten szaleniaczek?

LB: Ostatnio w nic. Ta sprawa deportacji wisi mu nad głową i doprowadza do obłądki.

HR: Dzięki Bogu, że ma prawnika.

LB: Tak, Littella. Ten gość pracuje też dla Jimmy'ego Hoffy. Wujek Carlos mówi, że tak bardzo nienawidzi Kennedych, że pewnie pracowałby nawet za darmo.

HR: Słyszałem, że facet gra na zwłokę. Wciąż się odwołuje, odwołuje i odwołuje.

LB: Masz całkowitą rację. Wujek Carlos mówi, że jego sprawa w Urzędzie Imigracyjnym prawdopodobnie będzie rozpatrywana dopiero pod koniec przyszłego roku. Littell wykańcza tych prawników z Departamentu Sprawiedliwości.

HR: Zatem Carlos jest optymistą?

LB: Absolutnym. Podobnie Jimmy, z tego co słyszałem. Kłopot z problemami Jimmy'ego jest taki, że ściga go, kurwa, jakieś osiemdziesiąt sześć tysięcy sądów. Myślę, że prędzej czy później ktoś *go* skaże. Bez względu na to, jak dobrym prawnikiem jest ten Littell.

HR: To mnie pocieszyłeś. Jimmy Hoffa ma prawie takie problemy jak ja. Wyobraź sobie tylko: jedziesz do Leavenworth i dostajesz kopa w dupę od jakiegoś szwarca?

LB: To niezbyt miła perspektywa.

HR: Podobnie jak rak, ty gojowski dupku.

LB: Trzymamy za ciebie kciuki, Hesh. Modlimy się za ciebie.

HR: Pieprzę wasze modlitwy. Opowiedz mi trochę plotek. Wiesz, że po to zadzwoniłem.

LB: Cóż.

HR: Co znaczy „cóż”? Leon, jesteś mi winien pieniądze. Wiesz, że umrę, za nim mije oddasz. Daj umierającemu satysfakcję usłyszenia paru ciekawych plotek.

LB: No dobrze, słyszałem parę.

HR: Jakich?

LB: Takich, że ten prawnik Littell pracuje dla Howarda Hughesa. Podobno Hughes chce wykupić wszystkie hotele w Las Vegas i słyszałem — naprawdę przez przypadek, Hesh — że Sam G, oddałby wszystko za jakiś procencik z tego interesu.

HR: O czym nie wie Littell?

LB: Zgadza się.

HR: Uwielbiam to nasze pieprzone życie. Człowiek się, kurwa, nigdy nie nudzi.

LB: Masz absolutną rację. Pomyśl o tych smakowitych kąskach, które po drodze zbieramy.

HR: Leon, ja nie chcę umierać. To całe gówno jest zbyt wspaniałe, żeby z niego zrezygnować.

Następuje nieistotny ciąg dalszy.

Chicago, 19.11.1962. BL4-8869 (Zakład Krawiecki Celano) do AX8-9600 (dom Johna Rossellego) (akta nr 902.5, Biuro w Chicago). Rozmawiają: John Rosselli, Sam „Mo”, „Momo”, „Mooney” Giancana (akta nr 480.2). Rozmowa trwa od dwóch minut.

JR: Sinatra jest nic niewart.

SG: Mniej niż nic.

JR: Kennedy nawet nie odbierają jego telefonów.

SG: Nikt nie nienawidzi tych irlandzkich skurczybyków bardziej niż ja.

JR: Chyba że Carlos i jego prawnik. Carlos jak gdyby się domyślał, że prędzej czy później, ale go deportują. Tak jakby widział się już z powrotem w El Salvador, jak wyjmuje sobie z tyłka kolce kaktusa.

SG: Carlos ma swoje problemy, ja mam swoje. Ludzie z oddziałów Bobby'ego walczących z przestępczością przyczepili mi się do tyłka bardziej niż kiedykolwiek federalni. Mam ochotę wziąć młotek i go zatłuc.

JR: I jego brata.

SG: *Zwłaszcza* jego brata. To tylko zdrajca w przebraniu bohatera. Komunistyczny prowokator w owczej skórce.

JR: Zmusił Chruszczowa do wycofania się, Mo. Trzeba mu to oddać. Chruszczow powstrzymał te przeklęte pociski dalekiego zasięgu.

SG: Pierdoły. To tylko polityka ustępstw w słodkiej polewie. Mój znajomy z CIA powiedział mi, że Kennedy zawarł na boku układ z Chruszczowem. W porządku, powstrzymał pociski, ale Kennedy obiecał mu nigdy więcej nie atakować Kuby. Pomyśl o tym, Johnny. Pomyśl o naszych kasynach i pomachaj im na pożegnanie.

JR: W grudniu Kennedy ma rozmawiać z ocalałymi z Zatoki Świń. Pomyśl o kłamstwach, które im wciśnie.

SG: Jakiś kubański patriota powinien go sprzątnąć. Jakiś kubański patriota niezbyt ceniący swoje życie.

JR: Słyszałem, że Kemper Boyd szkoli takich ludzi, żeby kropnęli Castro.

SG: Kemper Boyd to pajac. Ma na oku zły cel. Castro to zwykły zjadacz *taco*, co dobrze umie wciskać kit. Kennedy jest dużo gorszy.

Następuje nieistotny ciąg dalszy.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.11.1962. Podtytuł *Des Moines Register*.  
HOFFA NIE PRZYZNAJE SIĘ DO OSKARŻEŃ O ŁAPÓWKARSTWO

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 17.12.1962 Nagłówek w *Cleveland Plain Dealer*:  
**HOFFA UNIEWINNIONY W SPRAWIE TEST FLEET**

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.01.1963. Podtytuł w *Los Angeles Times*:  
HOFFA PRZESŁUCHIWANY W SPRAWIE PRZEKUPIENIA ŁAWY PRZYSIĘ-  
SIĘGLYCH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.05.1963. Nagłówek i podtytuł w *Dallas Morning News*:

**HOFFA SKAZANY**

SZEF TEAMSTERS OSKARŻONY O PRZEKUPYWANIE ŁAWY PRZYSIĘ-  
GLYCH

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.06.1963. Nagłówek i podtytuł w *Chicago Sun-Times*:

**HOFFA POD OBSTRZAŁEM**

SZEF TEAMSTERS ARESZTOWANY W CHICAGO POD ZARZUTEM  
OSZUSTWA

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.07.1963. Fragmenty taśm FBI.

Oznaczenie: „ŚCIŚLE TAJNE / POUFNE / TYLKO DO WIADOMOŚCI DY-  
REKTORA” i „NIE UJAWNIAĆ PERSONELOWI DEPARTAMENTU SPRA-  
WIEDLIWOŚCI.

Chicago, 28.07.1963. BL4-8869 (Zakład Krawiecki Celano) do AX8-9600 (dom Johna Rossellego) (akta nr 902.5, Biuro w Chicago). Rozmawiają: John Rosselli, Sam „Mo”, „Momo”, „Mooney” Giancana (akta nr 480.2). Rozmowa trwa od siedemnastu minut.

SG: Jestem już tym kurewsko zmęczony.

JR: Rozumiem cię, Sam.

SG: FBI obserwuje mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bobby wszedł Hooverowi na głowę, żeby to osiągnąć. Jestem na tym kurewskim polu golfowym i widzę dookoła pieprzonych gliniarzy i założę się, że zapluskwili całą murawę.

JR: Rozumiem cię, Mo.



SG: Jestem już tym kurewsko zmęczony. Tak jak Jimmy i Carlos. Tak jak każdy, z kim rozmawiam.

JR: Jimmy się kończy. To zły omen. Poza tym słyszałem, że Bobby wytrzymał skądś jakiś superkapusia. Nie znam szczegółów, ale...

SG: Ja znam. To Joe Valachi. Był żołnierzem Vito Genovese'a. Siedział w Atlancie, coś koło dziesięciu lat za narkotyki.

JR: Chyba go kiedyś poznałem.

SG: W mafii każdy kogoś kiedyś poznał.

JR: Też prawda.

SG: I jak mówiłem, zanim mi przerwał, Valachi siedział w Atlancie. Odbiło mu i zabił innego więźnia, bo myślał, że nasłał go Vito. Mylił się, ale Vito faktycznie podpisał potem na niego wyrok, bo tamten facet był jego przyjacielem.

JR: Ten Valachi to jakiś palant.

SG: Na dodatek wystraszony palant. Błagał o opiekę federalnych i Bobby dogadał się z Hooverem. Valachi dostał dożywotnią ochronę za donoszenie o mafii *en masse*. Mówią, że Bobby chce go postawić przed tą pieprzoną Komisją McClellana we wrześniu albo coś koło tego.

JR: O kurwa. Mo, to nie jest dobrze.

SG: Gorzej niż źle. To prawdopodobnie najgorsze, co kiedykolwiek zdarzyło się mafii. Valachi siedział w tym od czterdziestu lat. Wyobrażasz sobie, ile wie?

JR: O kurwa.

SG: Przestań mówić „o kurwa”, ty durny kutasie.

Następuje nieistotny ciąg dalszy.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 10.09.1963. Prywatny list:

Ward J. Littell do Howarda Hughesa.

Szanowny Panie Hughes,

Proszę uznać to za oficjalną prośbę służbową składaną w wyjątkowych okolicznościach. Mam nadzieję, że pięć miesięcy pracy dla Pana przekonało Go, że nigdy nie zwróciłbym się z taką prośbą, jeśli nie uznawałbym jej za niezbędną dla dobra Pańskich interesów.

Potrzebuję 250 000 \$. Pieniądze te będą przeznaczone na wszczęcie urzędowych procedur i zagwarantują, że pan J. Edgar Hoover pozostanie na stanowisku dyrektora FBI.

Uważam dalsze sprawowanie przez niego tej funkcji za niezbędne do przeprowadzenia Pańskich planów w Las Vegas. Proszę o poinformowanie mnie o

swojej decyzji w jak najkrótszym czasie i proszę o zachowanie dyskrecji.  
Z wyrazami szacunku, Ward J. Littell

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.09.1963. Prywatny list:

Howard Hughes do Warda J. Littella.

Drogi Wardzie,

Twoje plany, aczkolwiek mgliste, zrobiły na mnie wrażenie. Otrzymasz wymienioną sumę. Proszę o jak najszybsze skalkulowanie wydatków.

Twój HH.

# CZEŚĆ V

## KONTRAKT

Wrzesień – listopad 1963

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 13.09.1963. Notatka służbowa Departamentu Sprawiedliwości:

prokurator generalny Robert F. Kennedy do dyrektora FBI J. Edgara Hoovera.

Szanowny Panie Hoover,

Prezydent Kennedy dąży do unormowania stosunków z komunistyczną Kubą i jest zaalarmowany rozmachem sabotażu dokonywanego przez uchodźców i aktów agresji na wybrzeżu kubańskim, szczególnie zaś pełnymi przemocy akcjami podejmowanymi przez sponsorowane ze źródeł innych niż CIA grupy uchodźców ulokowane na Florydzie i wzdłuż wybrzeża Zatoki Meksykańskiej.

Te akcje muszą zostać niezwłocznie wstrzymane.

Prezydent pragnie, żeby zostało to wykonane natychmiast i uznane za główny priorytet Departamentu Sprawiedliwości i FBI.

Agenci na Florydzie i wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej powinni rozpocząć kontrole wszystkich obozów uchodźców, szczególnie tych niesponsorowanych przez CIA i nieusankcjonowanych przez wytyczne polityki zagranicznej.

Kontrole muszą rozpocząć się natychmiast. Proszę o spotkanie dziś o 15.00 w celu przedyskutowania szczegółów i omówienia listy celów.

Z poważaniem, Robert F. Kennedy

(Miami, 15 września 1963)

Dyspozytornia już nie istniała. Pomarańczowo-czarna tapeta była podarta na pamiątkowe paski. *Adios, Taxi-Tygrys*. CIA zbyła swoją połowę udziałów. Jimmy Hoffa swoją połowę przeznaczył na podatki. Kazał Pete'owi sprzedać taksówki i zrobić coś z tym wszystkim.

Pete pilnował wyprzedaży na parkingu. Telewizory mające zachęcić klientów stały na każdym bagażniku w tygrysie pasy. Pete podłączył je do przenośnego generatora. Dwa tuziny ekranów pokazywały wiadomości: godzinę temu podłożono bombę pod murzyński kościół w Birmingham.

Wyparowały cztery woreczki towaru. Uważaj, Kemperze Boydzie.

Szperacze kręcili się po parkingu. Pete chował do kieszeni gotówkę i podpisywał zwolnienia z pracy. Żegnaj, Taxi-Tygrys. Dzięki za miłe wspomnienia. Cięcia Agencji zmusiły ich do wyprzedaży. „JM/Fala” miała zostać, ale ze zredukowanym personelem. Kadra rozproszyła się. Santo powiedział, że wycofuje się z narkotyków — jego odwieczne kłamstwo. Oficjalny rozkaz przyszedł w grudniu zeszłego roku. Wesołych Świąt — wasz elitarny narkotykowy szwadron jest kaput.

Teo Paez prowadził burdel w Pensacoli. Fulo Machado gdzieś się włóczył. Ramón Gutiérrez siał wymierzoną przeciwko Castro propagandę w okolicach Nowego Orleanu. Chuck Rogers został zwolniony z kontraktu. Néstor Chasco żył albo nie na Kubie. Kemper Boyd wciąż miał swój oddział „Załatwić Castro”. W Missisipi zrobiło się dla niego za gorąco. Żal o nieprzestrzeganie praw obywatelskich narastał i coraz bardziej oddalał od siebie walczące strony.

Boyd przeprowadził swój oddział do Słonecznej Doliny na Florydzie. Przejęli opuszczone domy z prefabrykatów. Stary kurort Teamsters w końcu miał mieszkańców. Urządzili tam strzelnicę i boisko treningowe. Nadal koncentrowali się na problemie ZAŁATWIĆ FIDELA. Dziewięć razy infiltrowali Kubę — biali, włączając w to Boyda i Guéry'ego. Zdobyli setkę komunistycznych skalpów. Nigdy nie spotkali Néstora. Nigdy nie zbliżyli się do Castro.

Narkotyki wciąż były ukryte w Missisipi. „Poszukiwania” złodziei wciąż powoli szły naprzód. Pete ciągle chwycił się fałszywych śladów. Czasem bardzo się bał. *W połowie* przekonał Santo i Sama, że złodzieje uciekli na Kubę. Santo

i Sam wciąż coś podejrzewali. Pytali: „Gdzie ten Chasco?” — opuścił uchodźców w cholernym pośpiechu.

Chwytał się fałszywych śladów. Dostosowywał swe dochodzenie do tras Barb. Langley wysłało go na handel bronią. Zapewniało mu to dobrą przykrywkę.

Czasem bardzo się bał. Wróciły bóle głowy. Łykał końskie dawki środków nasennych, żeby nie bać się koszmarów. W marcu zeszłego roku wpadł w panikę. Był uziemiony w Tuscaloosa w Alabamie — a Barb odwołano duży występ. Burze zalały drogi, zamknięto lotnisko. Wpadł do baru przyjaznego uchodźcom i zalewał ból głowy bourbonem. Przysiadło się do niego dwóch Kubańczyków. Zaczęli zbyt głośno rozmawiać o heroinie. Ocenił ich jako dilerów sprzedających działki drobnym ćpunom. Zobaczył drogę wyzwalającą go raz na zawsze z tego strachu.

Śledził ich do narkotykowej meliny. Było to w Hophead Central: Kubańczycy rozwaleni na materacach, na haju, rozrzucający brudne strzykawki po podłodze. Zabił ich wszystkich. Z tłumika zostały wióry, gdy mordował ćpunów z zimną krwią. Zaaranzował całą scenierię tak, żeby wyglądało na kubańskie porachunki narkotykowe.

Zadzwoił do Santo z gardłem zdławionym strachem. Powiedział, że był świadkiem morderstwa. Powiedział, że umierający przyznał mu się do kradzieży. Powiedział:

— Czytaj lokalne gazety, to będzie jutrzejsza główna wiadomość.

Polecał na następny występ Barb. Wieści o masakrze nie doszły do gazet ani telewizji. Santo powiedział: — Szukaj dalej.

Ćpuni umarli na darmo. Chuck powiedział, że Heshie Ryskind też umiera — wielka „H” pomagała mu odejść lekko i bezboleśnie.

Bobby Kennedy rok wcześniej zrobił generalne porządki. Zainicjował całą serię wcale nie bezbolesnych cięć. Ludzie na kontraktach zostali wszyscy wyrzuceni. Bobby wylał wszystkich podejrzanych o jakiegokolwiek powiązania z mafią. Nie wyrzucił Pete'a Bonduranta.

Notatka służbowa do Bobby'ego Wielkiego K.:

Proszę, wyrzuć mnie. Proszę, wyrwij mnie z tego kręgu uchodźców. Proszę, zwolnij mnie z tej okropnej misji poszukiwawczej.

Mógłby się tak stać. Santo mógłby powiedzieć: „Odpocznij. Bez powiązań z CIA nie jesteś nic wart”. Santo mógłby powiedzieć: „Pracuj dla mnie”. Santo mógłby powiedzieć: „Popatrz na Boyda — Carlos wciąż go zatrudnia”.

Mógłby się wykręcić. Mógłby powiedzieć: „Nie nienawidzę Castro tak, jak kiedyś”. Mógłby powiedzieć: „Nie mam tej nienawiści co Boyd — bo nie upadłem tak jak on”. Nie zdradziła mnie własna córka. Człowiek, którego czciłem,

nie wyśmiał mnie. Nie przeniosłem mojej nienawiści do niego na jakiegoś gadaliwego Kubańczyka z brodą.

Boyd tkwi w tym głęboko. Ja spoglądam z dystansu. W tym jesteśmy podobni Jackowi i Bobby'emu.

Bobby mówi: „Idźcie, uchodźcy” i faktycznie tak myśli. Jack odmawia zapalenia zielonego światła dla drugiej inwazji. Jack po cichu ubił interes z Chruszczowem. Wycofuje się z wojny z Castro w niezbyt prowokacyjnym stylu. Chce być ponownie wybrany. Langley sądzi, że zupełnie odpuści sobie tę wojnę na początku swojej drugiej kadencji.

Jack uważa, że Fidel jest niezwykły. Nie jest w tym sam. Nawet Santo i Sam G, przestraszyli się przez chwilę tego skurwiela. Carlos mówił, że kradzież heroiny zepsuła ich komunistyczną przygodę. Teraz bracia Castro, Sam i Santo byli w trwałej separacji.

Nikt nie dostał heroiny. Wszyscy zostali wykiwani.

Po parkingu waleśali się szperacze. Starszy facet kopał opony. Nastolatki wyśmiewały się z dziwaczkich malunków w tygrysie pasy. Pete przesunął krzesło w cień. Jacyś kłowni z Teamsters rozdawali za darmo piwo i drinki. W ciągu pięciu godzin sprzedali cztery samochody — ani dobrze, ani źle.

Pete próbował się zdrzemnąć. W głowie znów zaczęło mu łupać.

Dwóch tajniaków przeszło przez parking i kierowało się w jego stronę. Połowa tłumu wyczuła kłopoty i ruszyła na Flagler. Telewizory były kradzione. Sama wyprzedaż była prawdopodobnie nielegalna.

Pete wstał.

Mężczyźni zagroźli mu drogę i pomachali legitymacjami FBI.

Odezwał się wyższy:

— Jesteś aresztowany. To nielegalne miejsce spotkań Kubańczyków, a ty jesteś znanym tutejszym bywalcem.

Pete uśmiechnął się.

— To już nieaktualne. Jestem tu jako kontraktowy pracownik CIA.

Niższy federalny rozpiął kajdanki.

— To nie był pomysł pana Hoovera. Powiedzmy, że musiał zastosować się do wytycznych. To zwyczajny, dotyczący wszystkich rozkaz i nie wydaje mi się, żebyś długo miał siedzieć w areszcie.

Pete wyciągnął ręce. Kajdanki nie chciały się dopiąć wokół nadgarstków. Reszta szperaczy znikła. Jakiś dzieciak złapał telewizor i uciekł.

Pete powiedział: — Będę spokojny.

**W** kryminale siedziało trzy razy więcej osób, niż powinno się tu zmieścić. Pete dzielił podłogę z setką wkurzonych Kubańczyków. Byli stłoczeni na

śmierdzącej powierzchni dziewięć na dziewięć metrów. Żadnych krzeseł ani ławek — tylko betonowe ściany, a wokół nich rynna do sikania.

Kubańczycy bełkotali po angielsku i hiszpańsku. Ten dwujęzyczny zgiełk sprowadzał się do jednego: Jack Fryzura nasłał federalnych na Sprawę. Wczoraj wtargnęli do sześciu obozów. Zatrzymano broń. Masowo aresztowano kubańskich żołnierzy. A to był dopiero początek. Jack chciał pozbyć się wszystkich niepodległych CIA uchodźców.

On należał do CIA. *Jemu* tak czy inaczej się dostało. Federalni wymyślili plan, ale nie dopracowali go do końca.

Pete oparł się o ścianę i zamknął oczy. Mignęła mu Barb. Z nią za każdym razem było dobrze. Za każdym razem inaczej. Każde miejsce było inne — dwoje ludzi wciąż w podróży spotykających się w dziwnych miejscach. Bobby nigdy jej nie ścigał. Barb podejrzewała, że to jeszcze było przed nią. Mówiła, że nie tęskni za dwuminutowym Jackiem. Honorarium za szantaż przekazała siostrze. Margaret Lynn Lindscott była teraz właścicielką baru.

Spotykali się w Seattle, Pittsburgu i Tampa. Spotykali się w L.A., Frisco i Portland. On handlował bronią. Ona tańczyła w taniej rewii. On ścigał nieistniejących złodziei heroiny/morderców.

Mówiła, że twist już się kończy. On mówił, że podobnie kubańska gorączka. Mówiła: „Martwię mnie twoje lęki”. Odpowiadał, że spróbuje je uciszyć. Mówiła: „Nie — dzięki nim nie jesteś tak straszny”. Powiedział jej, że zrobił coś bardzo głupiego. Powiedział, że nie wie, dlaczego. Odpowiedziała: „Chcesz na siłę wycofać się z tego wszystkiego”. Nie mógł zaprzeczyć.

Barb miała pracowitą jesień. Długie kontrakty w Des Moines i Sioux City i wielkie tournée po Teksasie aż do Święta Dziękczynienia. Do swojego porządku dnia dodała występy w porze lunchu. Kończyła się moda na twista — Joey chciał wycisnąć z niej, co się dało.

W Milwaukee poznał Margaret. Była potulna i bała się dosłownie wszystkiego. Zaproponował, że zabije tamtego gliniarza, który ją zgwałcił. Barb powiedziała: „Nie”. Spytał: „Dlaczego?”. Barb odpowiedziała: „Bo *naprawdę* tego nie chcesz”. Nie mógł zaprzeczyć.

Miał Barb. Boyd miał swoją nienawiść: Jacka K, i Brodacza połączonych w jedną, perwersyjną całość. Littell miał potężnych przyjaciół. Na przykład Hoovera. Na przykład Hughesa. Na przykład Hoffę i Marcella. Ward nienawidził Jacka w podobnym stopniu jak Kemper. Bobby oszukał ich obu — ale odpuścili go sobie, żeby nienawidzić Starszego Brata.

Littell był nowym feldmarszałkiem Drakuli. Hrabia chciał wykupić Las Vegas i oczyścić je z robactwa.

W oczach Littella można było czytać. Mam przyjaciół. Mam plany. Nauczyłem się na pamięć ksiąg Funduszu.

Kryminal śmierdział. Kryminal promieniował nienawiścią do Johna F. Kennedy'ego. Strażnik otworzył drzwi i wywoływał ludzi, żeby mogli zadzwonić. Wrzeszczał: „Acosta, Aguilar, Arredondo...”

Pete przygotował się. Za dziesięć cenciaków pogada z Littellem w D.C. Littell mógł skołować zwolnienie z aresztu. Littell mógł powiadomić Kempera o aresztowaniach w obozach.

Strażnik wrzasnął: „Bondurant!”. Pete wyszedł. Strażnik poprowadził go korytarzem do telefonu. Cekał tam Guy Banister. Trzymał długopis i dokument świadczący o pomyłkowym aresztowaniu. Strażnik wrócił do aresztu. Pete podpisał trzy razy.

— Mogę iść?

Banister wyglądał na uszczęśliwionego. — Jasne. Oficer dyżurny nie wiedział, że jesteś z CIA, więc mu to powiedziałem.

— Kto ci powiedział, że tu jestem?

— Byłem w Słonecznej Dolinie. Kemper dał mi list dla ciebie, więc pojechałem na postój, żeby ci go przekazać. Jacyś smarkacze okradali samochody. Powiedzieli mi, że wielki gringo został aresztowany.

Pete przetarł oczy. Zaczynał czuć ból głowy domagający się czterech aspiryn.

Banister podał mu kopertę. — Nie otwierałem. A Kemper wyglądał na zdenerwowanego, kiedy mi to dawał.

Pete wziął przesyłkę. — Dobrze, że kiedyś byłeś w Biurze, Guy. Mógłbym tu trochę posiedzieć.

— Spoko, stary. Mam przecucie, że to całe gówno z Kennedyami już się kończy.

**P**ete złapał taksówkę na postój. Wandale rozebrali samochody na części. Przeczytał list. Boyd od razu przechodził do sedna.

*Néstor wrócił. Chodzą słuchy, że w Coral Gables zebrze o pieniądze na broń. Moje źródła mówią, że melinuje się na rogu Czterdziestej Szóstej i Collins. (Różowa suterena na południowo-zachodnim rogu.)*

Taki list oznaczał ZABIJ GO. Nie pozwól, żeby Santo zrobił to pierwszy.

Wziął aspirynę i popił bourbonem. Wziął magnum i tłumik. Wziął trochę prokubańskich ulotek, żeby rozrzucić je wokół ciała. Pojechał na róg Czterdziestej Szóstej i Collins. Przyszedł mu do głowy dziwny pomysł: niech Néstor spróbuje ci to wyperswadować.



Różowa suterena była w miejscu opisanym przez Kempera. Szewrolet rocznik 1958 przy krawężniku wyglądał na samochód Néstora. Pete zaparkował. Czuł, jak żołądek wywraca mu się ze strachu. No dalej, zrób to — zabiłeś co najmniej trzysta osób. Wysiadł i zapukał do drzwi. Nikt nie otwierał. Zapukał znowu. Nasłuchiwał kroków i szeptów. Nic nie słyszał. Otworzył zamek scyzorykiem i wszedł.

Szczęknęła broń. Jakaś jej część odbiła światło słoneczne.

Néstor przywiązany był do krzesła. Z boku dwóch tłustych żołnierzy z łomami w rękach. I Santo Trafficante ze szpikulcem do lodu.

## 86

(Nowy Orlean, 15 września 1963)

Littell otworzył teczkę. Wypadły zvitki banknotów.

Marcello spytał: — Ile?

Littell odpowiedział: — Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Skąd tyle masz?

— Od klienta.

Carlos zrobił miejsce na biurku. Jego gabinet był zagracony włoskimi bibelotami.

— Mówisz, że to dla mnie?

— Mówię, że to dla ciebie, żebyś zrobił, co trzeba.

— Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

Littell wysypał pieniądze na biurko.

— Powiem, że jako prawnik mogę zrobić tylko tyle. Z Johnem Kennedym u władzy, Bobby dosięgnie cię prędzej czy później. Powiem również, że zlikwidowanie Bobby'ego nic nie da, bo Jack od razu będzie wiedział, kto to zrobił, i zemści się.

Pieniądze śmierdziały. Hughes wykopał skądś stare banknoty.

— Ale Lyndon Johnson też nie lubi Bobby'ego. Chce dać temu pieprzone-mu gówniarzowi nauczkę.

— Zgadza się. Johnson nienawidzi Bobby'ego tak samo jak pan Hoover. I podobnie jak pan Hoover, nie czuje urazy do ciebie ani naszych przyjaciół.

Marcello roześmiał się.

— Johnson pożyczył kiedyś trochę pieniędzy od Teamsters. Jest znany jako rozsądny facet.

— Tak jak pan Hoover. Panu Hooverowi również nie podobają się plany Bobby'ego pokazania Joe Valachiego w telewizji. Bardzo obawia się, że rewelacje ujawnione przez Valachiego mocno nadszarpną jego prestiż i zniszczą do słownie wszystko, co stworzyłeś razem ze swoimi przyjaciółmi.

Carlos ułożył z banknotów stos. Sterty innych już stały. Littell przewrócił je.

— Sądzę, że pan Hoover chce, żeby do tego doszło. Myślę, że to przeczuwa.

— Wszyscy o tym myślimy. Nie zdarza się, żeby w pokoju, gdzie jest kilku naszych, nie rozmawiało się o tym.

— Można to zorganizować. I można zrobić to tak, żeby wyglądało, iż nie mamy z tym nic wspólnego.

— Więc mówisz...

— Mówię, że jest to tak duża i karkołomna sprawa, że najprawdopodobniej nikt nas o to nie będzie podejrzewał. A jeśli nawet, to władze nie będą mogły tego przekonująco udowodnić. Będziemy wspólnie zaprzeczać. Ludzie będą chcieli pamiętać tego człowieka jako kogoś, kim nigdy nie był. Zaproponujemy im jakieś wytłumaczenie, a władze będą wołały je od prawdy, nawet jeśli będą ją znały.

Marcello rzekł:

— Zrób to. Zorganizuj.

## 87

(Słoneczna Dolina, 18 września 1963)

Oddział dzielił teren z aligatorami i pchłami. Kemper nazywał to miejsce „Rajem Utraconym Hoffy”. Flash ustawiał tarcze. Laurent ćwiczył z betonową belką. Juan Canestel poszedł na samowolkę — o 8.00 rano nie stawił się na trening strzelecki. Nikt nie słyszał, żeby odjeżdżał. Juan ostatnio miał tendencję do dziwnych spacerów.

Kemper patrzył na ćwiczenia Laurenta Guéry'ego. Ten człowiek mógł wycisnąć sto pięćdziesiąt kilo i nawet się nie spocić.

Nad główną drogą unosiły się tumany kurzu. Teamsters Boulevard był teraz strzelnicą. Flash włączył radio tranzystorowe. Zaskrzeczały złe wieści. Nikogo nie aresztowano w związku z podłożeniem bomby pod kościół w Birmingham. Reaktywowana Komisja McClellana miała pokazać się w telewizji. W okolicach Lake Weir znaleziono kobietę uduszoną apaszką. Policja nie znalazła żadnych śladów i prosi o pomoc.

Juana nie było już od godziny. Pete'a od trzech dni. Cztery dni temu Kemper dostał przez telefon informację o Néstorze. Informatorem był strzelec niezwiązany z żadnym obozem uchodźców. Kemper dał Guyowi Banisterowi list dla Pete'a. Guy zadzwonił i powiedział, że go doręczył. Powiedział, że znalazł Pete'a w areszcie federalnym. Sugerował, że mają nastąpić kolejne aresztowania.

Dwa dni temu burza zniszczyła ich linię telefoniczną. Pete nie mógł zadzwonić do Słonecznej Doliny. Zeszłej nocy Kemper pojechał do budki na autostradzie. Sześć razy dzwonił do mieszkania Pete'a i nikt nie odbierał.

Wiadomość o śmierci Néstora Chasco nie pojawiła się w mediach. Pete zostawiłby ciało we właściwym miejscu. Pete zostawiłby ślady wskazujące na zwoleńników Castro. Pete dopilnowałby, żeby Trafficante się o tym dowiedział.

Uderzyła mu do głowy poranna dawka amfetaminy. Wziął dziesięć tabletek na początek dnia — wyrobił w sobie dużą tolerancję.

Juana i Pete'a nie było. Juan ostatnio włączył się z Guyem Banisterem — co drugi dzień wycieczka do Lake Weir na małą popijawę. Sprawa z Pete'em, nie wyglądała dobrze. Sprawa z Juanem wyglądała trochę podejrzanie.

Amfetamina mówiła mu: „Zrób coś”.

**J**uan jeździł cukierkowoczerwonym thunderbirdem. Flash nazywał go gwałtobusem. Kemper pojechał do Lake Weir. Miasteczko było nieduże, a ulice rozplanowane symetrycznie — łatwo byłoby zauważyć „gwałtobus”.

Sprawdzał w bocznych ulicach i dojazdach do autostrady. Sprawdził Komis Samochodowy „U Karła” i wszystkie parkingi po drodze. Nie zauważył Juana. Nie zauważył jego przybajerzonego thunderbirda. Juan mógł poczekać. Pilniejsza była sprawa Pete'a.

Kemper pojechał do Miami. Tabletki wykazały swe uboczne działanie — wciąż ziewał i przysypiał za kierownicą. Zatrzymał się na rogu Czterdziestej Szóstej i Collins. Różowa suterena była tam, gdzie skierował go informator.

Podszedł gliniarz z drogówki. Kemper zauważył zakaz postoju na rogu. Otworzył okno. Krawężnik przytknął mu do twarzy śmierdzącą szmatę.

Czuł się tak, jakby w jego wnętrzu toczyła się wojna chemiczna. Opary walczyły z tabletkami pobudzającymi. Mógł to być chloroform albo formalina do balsamowania. Zapach mógł oznaczać, że umarł.

Puls mówił mu „NIE — żyjesz”.

Palily go usta. Palił nos. Czuł w ustach krew o smaku chloroformu. Spróbował splunąć. Usta nie chciały się rozdzielić. Wysmarkał krew nosem. Rozciągnął usta. Coś go ciągnęło w policzki. Być może odlepiająca się taśma. Wciągnął powietrze. Spróbował poruszyć rękami i nogami. Spróbował wstać. Powstrzymał go jakiś ciężar.

Kręcił się. Nogi krzesła rysowały podłogę. Chciał wyciągnąć ramiona i poczuł palący ból w miejscach więzów. Kemper otworzył oczy. Jakiś mężczyzna roześmiał się. Jakaś ręka podniosła zdjęcia z polaroidu przyklepione do brystolu. Zobaczył Teo Paeza, poćwiartowanego, z wnętrznościami na wierzchu. Zobaczył Fulo Machado z wylupionymi oczami. Zobaczył Ramona Gutiérreza z podziurawioną kulami głową. Zdjęcia znikły. Ręka przekręciła mu kark. Kemper złapał perspektywę 180 stopni.

Zobaczył niechlujny pokój i dwóch grubasów przy drzwiach. Zobaczył Néstora Chasco — przybitego do przeciwległej ściany szpikulcami do lodu wbitymi w dłonie i kostki.

Kemper zamknął oczy. Ręka wymierzyła mu policzek. Wielki ciężki pierścień przeciął mu usta. Kemper otworzył oczy. Ręce przekręciły jego krzesło o 360 stopni.

Skuli Pete'a. Założyli mu podwójne kajdanki i przykuli do krzesła. Krzesło przykręcili do podłogi.

Poczuł na twarzy szmatę. Z własnej woli wciągnął jej zapach.

Słyszał opowieści filtrowane dalekim echem. Rozróżniał trzy głosy.

Néstor dwa razy był blisko Castro. Musisz mu to oddać.

Taki twardeł — szkoda, że trzeba go było wykończyć.

Néstor mówił, że przekupił jakiegoś asystenta Castro. Powiedział, że Castro rozważa zamach na Kennedy'ego. Spytał: „Co jest z tym Kennedym? Najpierw nas atakuje, potem się wycofuje — jak baba, która sama nie wie, czego chce”.

Fidel to baba. Ten asystent powiedział Chasco, że nigdy więcej nie będzie współpracował z mafią. Uważa, że Santo orznął go na heroinie. Nie wiedział, że to Néstor i ci tutaj chłopcy.

Bondurant złał się w gacie. Patrz jakie plamy.

Santo i Mo nie byli delikatni. I muszę przyznać, że Néstor był odważny. Nudzi mnie to. Muszę wam powiedzieć, że to czekanie mnie męczy. Zaraz wrócą. Będą chcieli zrobić coś tym dwóm tutaj. Kemper poczuł, że pęcherz mu nie wytrzymuje. Wziął głęboki oddech i zmusił się do utraty przytomności.

Śniło mu się, że się rusza. Śniło mu się, że ktoś go umył i zmienił mu ubranie. Śniło mu się, że słyszy szlochanie okrutnego Pete'a Bonduranta. Śniło mu się, że może oddychać. Śniło mu się, że może mówić. Przeklina Jacka i Claire za ich zdradę.

Obudził się na łóżku. Rozpoznał swój apartament w Fontainebleau albo jego dokładną replikę. Miał na sobie czyste ubranie. Ktoś zdjął mu brudne bokserki.

Czuł na nadgarstkach rany od więzów. Czuł fragmenty przyklejonej do twarzy taśmy. W sąsiednim pokoju słyszał głosy — Pete'a i Warda Littella. Spróbował wstać. Nogi nie chciały go słuchać. Usiadł na łóżku i wykaszliwał płuća. Wszedł Littell. Wyglądał jak waźniak — gabardynowy garnitur dodawał mu wielkości. Kemper odezwał się:

— Za to musi być jakaś cena.

Littell skinął głową.

— Zgadza się. Ustaliłem ją z Carlosem i Samem.

— Ward...

— Santo też się zgodził. A ty i Pete zatrzymacie to, co ukradliście.

Kemper wstał. Ward podtrzymał go.

— Co mamy zrobić?

— Zabić Johna Kennedy'ego — odpowiedział Littell.

## 88

(Miami, 23 września 1963)

Rok 1933 i 1963. Trzydzieści lat różnicy i podobne sytuacje.

Miami, 1933. Giuseppe Zangara próbuje zastrzelić prezydenta-elekta Franklina D. Roosevelta. Nie trafia — i zabija burmistrza Chicago, Antona Cermaka.

Miami, 1963. Zamach na Kennedy'ego jest zaplanowany na 16 listopada.

Littell wolno jechał przez Biscayne Boulevard. Każdy centymetr ziemi coś mu mówił. Carlos opowiedział mu w zeszłym tygodniu historię Zangary.

„Giuseppe był pieprzonym szaleńcem. Chłopaki z Chicago zapłacili mu, żeby załatwił Cermaka i przyznał się do tego. On cholernie chciał umrzeć i spełniło mu się to życzenie. Po egzekucji jego rodziną opiekował się Frank Nitti”.

Spotkał się z Carlosem, Samem i Santo. Ręczył za Pete'a i Kempera. Szczegółowo dyskutowali kwestię kozła ofiarnego. Carlos chciał lewicowca. Uważał, że lewicowy zamachowiec pobudzi przeciwników Castro. Trafficante i Giancana sprzeciwili się. Dorzucili do puli od Howarda Hughesa takie same kwoty. Dodali jeden warunek: chcemy frajera z prawicy. Wciąż chcieli przypodobać się Fidelowi. Chcieli odbudować narkotykowy magazyn Raúla Castro i doprowadzić do pojednania. Chcieli powiedzieć: „Finansujemy ten zamach — więc czy możesz oddać nam kasyna?”.

To było zbyt skomplikowane. To było politycznie naiwne. To było minimalizowanie strat. Zamach może się udać. Planujący go i strzelcy mogą wygrać. Można będzie powstrzymać antymafijną krucjatę Bobby'ego. Ale wszystkie inne skutki są nieprzewidywalne i prawdopodobnie okażą się politycznie dwuznaczne.

Littell jechał śródmieściem Miami. Notował w pamięci możliwe trasy przejazdu — szerokie ulice z dobrą widocznością. Widział wysokie budynki i parkingi z tyłu. Widział tabliczki: „Biura do wynajęcia”. Niemal widział przejeżdżającą kawalkadę. Niemal widział eksplodującą głowę tego człowieka.

**S**potkali się w Fontainebleau. Pete obmacał wszystkie ściany w poszukiwaniu podsłuchu, zanim cokolwiek powiedział. Kemper zrobił drinki. Usiedli przy stoliku. Littell wyłożył plan.

— Przed pierwszym październikiem przywieziemy straceńca do Miami. Wynajmie tani dom na obrzeżach miasta, blisko zapowiadanej albo przypuszczalnej trasy kawalkady *i* — kiedy już będziemy znali tę trasę — biuro bezpośrednio przy niej. Dziś rano przejechałem wszystkie główne ulice prowadzące z lotniska do śródmieścia. Myślę, że będziemy mieli sporo lokali do wyboru.

Pete i Kemper nie odzywali się. Wciąż wyglądali na zszokowanych.

— Jeden z nas będzie trzymał się blisko frajera od momentu przywiezienia go tutaj aż do dnia przejazdu. Blisko jego biura lub domu będzie sklep z bronią,

jeden z was włamie się do niego i ukradnie kilkanaście pistoletów, i strzelb. W domu umieścimy literaturę propagandową wymierzoną przeciwko Kennedym i inne gadżety, nasz człowiek będzie musiał ich dotknąć, żeby pozostawić odciski palców. Pete odezwał się:

— Przejdź do zamachu.

Littell wyobrażał sobie tę chwilę: trzech mężczyzn przy stole i cisza jak makiem zasiał. Powiedział:

— Dzień kawalkady. Trzymamy naszego człowieka jak zakładnika w biurze przy trasie przejazdu. Ma przy sobie strzelbę z okradzionego sklepu, z odciskami palców na lufie i kolbie. Przejeżdża samochód z Kennedym. Nasi dwaj prawdziwi snajperzy strzelają z dwóch różnych dachów i zabijają go. Człowiek pilnujący naszego zakładnika strzela do samochodu Kennedy'ego i nie trafia, upuszcza strzelbę i zabija zakładnika kradzionym rewolwerem. Ucieka i wrzuca rewolwer do kratki ściekowej. Policja znajduje strzelbę i porównuje ją z raportem z włamania. Uznają to za dowód i dochodzą do wniosku, że mają do czynienia ze spiskiem, który jakimś cudem się powiódł i w ostatniej chwili został rozwiązany. Identyfikują zastrzelonego faceta i próbują zmontować sprawę przeciw jego znanym współpracownikom.

Pete zapalił papierosa i odkaslnął.

— Powiedziałeś „ucieka”, jakbyś wierzył, że ucieczka to pestka.

Littell mówił wolno:

— Od każdej ulicy, którą uznałem za potencjalną trasę przejazdu, odchodzą prostopadłe uliczki. Do wszystkich można dojechać w ciągu dwóch minut. Nasi snajperzy będą strzelać od tyłu. *Oddadzą tylko dwa strzały* — które będą brzmiały jak samochód bez tłumika albo petardy. Ochrona nie będzie dokładnie wiedziała, skąd pochodzą. Wciąż nie będą tego wiedzieć, kiedy rozlegną się *wielokrotne strzały* — naszego fałszywego strzelca i pilnującego go człowieka. Wbiegną do budynku i znajdą martwego mężczyznę. Będą zdezorientowani i zamarudzą minutę albo dwie. Wszyscy nasi będą mieli czas, żeby wsiąść do samochodów i odjechać.

— Brzmi pięknie — stwierdził Kemper.

Pete potarł oczy.

— Nie podoba mi się sprawa prawicowego szaleńca. Skoro zabrnęliśmy już tak daleko, to czemu nie zrobimy czegoś, co pomoże Sprawie?

Littell uderzył w stół.

— Nie. Trafficante i Giancana chcą prawicowca. Uważają, że mogą pójść z Castro na kompromis, i jeśli faktycznie tego chcą, musimy się na to zgodzić. I pamiętajcie, to oni uratowali wam życie.

Kemper dolał sobie drinka. Oczywiście wciąż miał zaczerwienione od chloroformu.

— Chcę, żeby to moi ludzie strzelali. Mają w sobie wystarczająco nienawiści i są świetnymi snajperami.

Pete odpowiedział: — Zgodna.

Littell skinął głową.

— Zapłacimy im po 25 000 \$, resztę przeznaczymy na wydatki, a to, co zostanie, podzielimy na trzy.

Kemper uśmiechnął się.

— Moi ludzie są mocno na prawo. Powinniśmy ukryć przed nimi fakt, że podstawiamy, jako kozła ofiarnego ich pravicowego kumpla.

Pete zmieszał koktajl: dwie aspiryny i Wild Turkey.

— Musimy mieć wgląd w trasę przejazdu.

Littell rzekł: — To twoja robota. Masz najlepsze kontakty z policją w Miami.

— Wezmę się za to. Kiedy się czegoś dowiem, zacznę pracować nad poważną strategią.

Kemper zakaszłał.

— Kluczowa sprawa to ten frajer. Jak już go znajdziemy, to jesteśmy w domu.

Littell pokręcił głową.

— Nie. Kluczowa sprawa to zapobiec wielkiemu śledztwu FBI.

Pete i Kemper wyglądali na zaskoczonych. O tym jeszcze nie pomyśleli. Littell mówił bardzo powoli:

— Myślę, że pan Hoover spodziewa się tego. Ma prywatne podsłuchy zainstalowane w Bóg wie ilu lokalach mafii i mówił mi, że odbiera dzięki nim wiele głosów nienawiści skierowanej w Kennedy'ego. Nie poinformował ochrony prezydenckiej, bo wtedy nie planowaliby przejazdu przez miasto tej jesieni.

Kemper potaknął.

— Hoover chce, żeby do tego doszło. A gdy już będzie po wszystkim, będzie zadowolony, ale wciąż to on będzie miał prowadzić śledztwo. Potrzebujemy frajera, którego śmierć zagmatwa i przerwie dochodzenie.

Pete kiwnął głową.

— Potrzebujemy straceńca związanego z FBI.

Kemper rzekł: — Frank Dougie Lockhart.



## 89

(Miami, 27 września 1963)

Lubił pobyc z tym sam. Boyd mówił, że robi to samo.

Pete nalał sobie bourbona i popił nim aspirynę. Otworzył okno i przewietrzył salon. Poradził sobie z bólem głowy i dumał o szansach. Szansach na to, że zabiją Jacka Fryzurę. Szansach na to, że Santo zabije jego i Kempera bez względu na umowę.

Rozmyślenia nie prowadziły do żadnych wniosków. Lekarstwa sprawiły, że salon wyglądał dość kiepsko.

Littell zachwyił się przeszłością Dougie'ego Franka. Ten skurczybyk był ultraprawowcem i miał powiązania z FBI. Littell stwierdził:

— Jest idealny. Jeśli pan Hoover będzie musiał prowadzić dochodzenie, od razu da sobie spokój z Lockhartem i jego znanymi współpracownikami. Jeśli nie, zaryzykuje ujawnienie rasistowskiej polityki Biura.

Lockhart melinował się w Puckett, Missisipi. Littell powiedział:

— Jedź tam i przywieź go.

Zeszłej nocy przeszedł się po głównym komisariacie policji w Miami. Zobaczył trzy potencjalne trasy przejazdu. Wisiały na korkowej tablicy. Zapamiętał je. Wszystkie trzy bieły obok ich sklepu z bronią i lokali „Do wynajęcia”.

Boyd mówił, że czuje więcej lęku niż nienawiści. Pete odparł:

— Wiem, o co ci chodzi.

Nie powiedział: „Kocham tę kobietę. Jeśli zginę, wszystko to na nic...”

## 90

(Miami, 27 września 1963)

Ktoś postawił mu na stoliku magnetofon. Ktoś położył obok zaklejona kopertę. Littell zamknął drzwi i zaczął myśleć.

Pete i Kemper wiedzą, że tu jesteś. Jimmy i Carlos wiedzą, że zawsze zatrzymujesz się w Fontainebleau. Zszedłeś do kawiarni na śniadanie i nie było cię nie dłużej niż pół godziny.

Littell otworzył kopertę i wyciągnął kartkę. Wyraźne pismo pana Hoovera wyjaśniało to niespodziewane wtargnięcie.

*Jules Schiffrin zmarł jednocześnie z pańskim odejściem ze służby jesienią 1960 roku. Włamano się wtedy do jego posiadłości i skradziono pewne księgi finansowe.*

*Joseph Valachi w bardzo dużym stopniu pomagał Funduszowi Emerytalnemu. Obecnie jest przesłuchiwany przez jednego z moich zaufanych współpracowników. Robert Kennedy nie wie, że ma to miejsce.*

*Dolączona taśma zawiera informacje, których pan Valachi nie będzie chciał wyjawiać panu Kennedy'emu, Komisji McClellana ani nikomu innemu. Wierzę w dyskrecję pana Valachiego. Uświadomiono mu, że zależą od tego warunki i czas trwania jego aresztu.*

*Proszę o zniszczenie tego listu. Proszę przesłuchać taśmę i przechowywać ją w bezpiecznym miejscu. Zdaję sobie sprawę, że ma ona niewyobrażalny potencjał strategiczny. Powinna zostać ujawniona Robertowi Kennedy'emu tylko jako suplement do aktu wielkiej śmiałości.*

Littell włączył magnetofon i włożył taśmę. Miał śliskie od potu ręce — taśma wysuwała się z nich. Nacisnął play. Taśma zasyczała.

— *Jeszcze raz, Joe. Tak jak ci mówiłem, wolno i wyraźnie.*

— *Dobra, wolno i wyraźnie. I po raz szesnasty, kurwa...*

— *Joe, spokojnie.*

— *Dobra. Wolno i wyraźnie dla idiotów w ławie przysięgłych. Joseph P. Kennedy senior był głównym źródłem gotówki Funduszu Emerytalnego Stanów Środkowych Teamsters, który udzielał pożyczek wszelakim ciemnym typkom i niewielu dobrym ludziom na bardzo wysoki procent. Dużo dla nich pracowałem. Czasami dostarczałem gotówkę do sejfów klientów.*

— *Masz na myśli to, że pozwalali ci otwierać swoje sejfy?*

— *Zgadza się. Regularnie odwiedzałem bank Joe Kennedy'ego. To Security-First National w Bostonie. Numer rachunku 811512404. Jest tam coś koło dziewięćdziesięciu czy stu skrytek depozytowych pełnych gotówki. Raymond Patriarca uważa, że jest w nich prawie sto milionów dolarów, a Raymond powinien się orientować, bo on i Joe Irlandczyk mają sporo ze sobą wspólnego. Muszę powiedzieć, że śmieszy mnie Bob Kennedy wcielający się w rolę bojownika z przestępczością. Chyba rzeczywiście jabłko padło daleko od jabłoni, bo pieniądze Joe Kennedy'ego finansowały cholernie dużo mafijnych interesów. Muszę też powiedzieć, że stary Joe jest jedynym z Kennedy'ch, który*

wie o tych pieniądzach. Nie mówi się ludziom: „Mam odłożone sto milionów w gotówce, o czym nie wiedzą moi synowie: prezydent i prokurator generalny”. Teraz Joe miał ten atak i może nie myśli zbyt jasno. Chciałoby się, żeby te pieniądze czemuś posłużyły, a nie tylko leżały zapomniane, co może się zdarzyć, jeśli stary Joe wyciągnie kopyta albo straci rozum i zapomni o nich. Powinieniem też wspomnieć, że wszyscy w mafii wiedzą, jaki Joe jest, ale nie mogą szantażować tym Bobby'ego, bo to by było jak włożenie jaj w wyżymaczkę.

Nagranie skończyło się. Littell nacisnął stop i siedział bez ruchu. Myślał intensywnie. Wyobraził sobie punkt widzenia Hoovera i wypowiadał jego myśli głośno w pierwszej osobie.

Jestem blisko Howarda Hughesa. Ustawiłem przy nim Warda Littella. Littell poprosił Hughesa o pieniądze, żeby pomóc ugruntować moją władzę w FBI. Jack Kennedy zamierza mnie wyrzucić. Zainstalowałem prywatne podsłuchy w miejscach spotkań mafii. Odebrałem wiele głosów nienawiści skierowanej do Kennedy'ego.

Littell zmienił punkt widzenia na własny.

Hoover posiada niekompletne dane. Te dane nie doprowadziłyby go do przewidzenia zbliżającego się zamachu. Powiedziałem Pete'owi i Kemperowi: „Pan Hoover spodziewa się tego”. Nie myślałem tak dosłownie. Ale taśma i list oznaczały konkrety. Hoover nazwał tę taśmę „suplementem do aktu wielkiej śmiałości”.

Mówił: WIEM.

Taśma była środkiem do upokorzenia i uciszenia Bobby'ego i należałoby mu ją ujawnić przed śmiercią Jacka. Wówczas po jego śmierci Bobby nie szukałby dowodów na konspiracyjną działalność zamachowców. Bobby wiedziałby, że to na zawsze skalałoby nazwisko Kennedych. Bobby uznałby, że człowiek, który dostarczy mu tego upokorzenia, wiedział wcześniej o zamachu na jego brata. Bobby byłby bezsilny.

Littell powrócił do perspektywy Hoovera.

Bobby Kennedy złamał Littellowi serce. Połączyła nas nienawiść do Kennedych. Littell nie oprze się chęci skrzywdzenia Bobby'ego. Littell będzie chciał, żeby Bobby wiedział, że to on pomógł zaplanować morderstwo jego brata.

Takie było złożone, mściwe i psychologicznie tępe myślenie Hoovera. Brakowało jednego logicznego wątku.

Ty się nie wygadałeś. Ci, którzy cię finansują, też raczej nie. Kemper i Pete — nie. Kemper jeszcze nie powiedział o planie swoim zamachowcom. Hoover *przeczuwa*, że szykujecie się do ataku. Taśma jest „suplementem” — *jeśli będziecie tam pierwsi*.

Jest drugi spiszek. Pan Hoover o nim nie wie. Littell siedział bez ruchu. Hotełowe hałasy nasilały się. Nie mógł dojść do żadnego wniosku. Nie mógł uznać tego za nic pewniejszego niż przecucie.

Pan Hoover znał go — jak nikt dotychczas. Poczul paskudną falę miłości do tego człowieka.

## 91

(Puckett, 28 września 1963)

Frajer miał na sobie szatę Klanu z monogramem. Pete poił go bourbonem i kłamstwami.

— To twoja robota, Dougie. Buczymi literami napisali na niej „ty”.

Lockhart beknął. — Wiedziałem, że nie przyjeżdżałbyś tu o pierwszej w nocy tylko po to, żeby wypić ze mną flaszkę.

Rudera śmierdziała jak kociarnia. Dougie śmierdział olejkiem Wildroot Cream. Pete stał w drzwiach — tu dało się jakoś wytrzymać.

— To trzysta dolarów tygodniowo. To oficjalna praca na rzecz Agencji, więc nie musisz się obawiać aresztowań ze strony federalnych.

Lockhart kołysał się w fotelu.

— Te aresztowania nie omijały nikogo. Słyszałem, że kilku chłopaków z Agencji też się tam zaplątało.

Pete wyłamywał palce,

— Potrzebujemy cię, żebyś przewodził grupie członków Klanu. Agencja chce stworzyć sieć placówek w Południowej Florydzie i potrzebujemy do tego białego człowieka.

Lockhart skrzywił się.

— To brzmi jak drugie Blessington. To brzmi jak następna pieprzona próba czegoś, co znowu skończy się klapą, tak jak pewna inwazja, którą obaj pamiętamy.

Pete napił się z butelki.

— Dougie, nie możesz wciąż tworzyć historii. Czasem najlepsze, co możesz zrobić, to zarobić trochę pieniędzy.

Dougie uderzył się w pierś.

— Ja już stworzyłem historię.

— To prawda?

— Prawda. Toja podłożyłem bombę pod kościół baptystów na Szesnastej w Birmingham w Alabamie. A te wywołane przez komuchów lamenty? Cóż, muszę powiedzieć, że ja ich zainspirowałem.

Ściany rudery były wyłożone folią aluminiową. Na jednej wisiał plakat z Martinem Lutherem Bambusem.

— Będziesz zarabiał czterysta tygodniowo plus wydatki aż do połowy listopada. Dostaniesz dom i biuro. Jeśli pojedziesz ze mną teraz, dostaniesz premię.

Lockhart odparł: — Wchodzę.

Pete powiedział: — Umyj się. Wyglądasz jak czarnuch.

**W**racali powoli. Burze zmieniły autostradę w wielki korek. Dougie Frank chrapał przez sen. Pete łapał w radiu wiadomości i twista. Spiker podniecał się Joe Valachim. Valachi mówił o mafijnym „La Cosa Nostra”.

Valachi stał się wielkim telewizyjnym przebojem. Prezenter wiadomości nazwał jego wyznania „nieziemskimi”. Valachi kapował na bandziorów na Wschodnim Wybrzeżu. Reporter rozmawiał z Heshie'em Ryskindem — na jakimś oddziale onkologicznym w Phoenix. Hesh nazwał La Cosa Nostra „gojowską fantazją”.

Program twistowy rwał się. Barb śpiewała w głowie Pete'a i zagłuszała Chubby'ego Checkera. Nim wyjechał z Miami, rozmawiali przez telefon. Barb spytała:

— O co chodzi? Znowu się czegoś boisz.

Odpowiedział: — Nie mogę ci powiedzieć. Będziesz wiedziała, kiedy o tym usłyszysz.

— Czy to nam zaszkodzi?

— Nie.

— Kłamiesz.

Nie mógł zaprzeczyć.

Za kilka dni miała lecieć do Teksasu. Joey załatwił ośmiodziesięciodniową trasę po całym stanie. On miał przylatywać na weekendy. Miał grać chłopca z garderoby aż do 18 listopada.

**D**ojechali do Miami o północy. Lockhart leczył kaca pączkami w lukrze i kawą. Jeździli po śródmieściu. Dougie wskazywał na tabliczki „Do wynajęcia”. Pete krążył. Poszukiwania domu i biura sprawiły, że Dougie zaczął ziewać.

Pete zawęził wybór do trzech biur i trzech domów. Powiedział:

— Dougie, wybieraj.

Dougie wybrał szybko. Dougie chciał się jeszcze trochę przespać. Wybrał dom przy ulicy dojazdowej do Biscayne. Wybrał biuro przy Biscayne — w samym środku wszystkich trzech tras przejazdu. Obaj właściciele zażądali depozytów. Dougie wysupłał banknoty z rolki na wydatki i zapłacił im za trzy miesiące z góry.

Pete nie pokazywał się. Właściciele nigdy go nie widzieli. Patrzył, jak Dougie wnosi do domu bagaże — rudowłosy dureń, którego wkrótce pozna cały świat.

## 92

(Miami 29 września - 20 października 1963)

**N**auczył się na pamięć listu Hoovera. Schował taśmę. Przez trzy tygodnie dzień w dzień po kilkanaście razy przejeżdżał wszystkie trzy trasy. Nie powiedział Pete'owi i Kemperowi, że można by zaplanować zamach gdzieś indziej. Prasa podawała trasę jesiennych podróży prezydenta. Szczególnie dużo pisano o przejazdach przez Nowy Jork, Miami i Teksas.

Littell wysłał do Bobby'ego list. Przyznawał się do znajomości z Jamesem Riddle'em Hoffą i prosił o dziesięciminutowe spotkanie. Prawie miesiąc wcześniej zaczął rozważać konsekwencje tego czynu. Spacer do skrzynki pocztowej był prawie jak włamanie do domu Julesa Schiffrina — zastanawiał się nad nim tysiące razy.

Littell jechał po Biscayne Boulevard. Stoperem mierzył każde zatrzymanie się na światłach.

Kemper włamał się do sklepu z bronią tydzień temu. Ukradł trzy karabiny z lunetami i dwa rewolwery. Nosił pozostawiające wyraźne ślady rękawiczki — zwinięte Dougie'emu Frankowi Lockhartowi. Kemper sprawdził nazajutrz sklep. Detektywi przesłuchiwali potencjalnych świadków, a technicy zdejmowali odciski palców. Rękawice Dougie'ego były teraz materiałem dowodowym. Pozostały też ślady na wszystkich powierzchniach w domu i biurze Lockharta.

Pete dał mu obejrzeć broń. Odciski ję palców znalazły się na kolbie i lufie.

Kemper ukradł w Południowej Karolinie trzy samochody. Dał je do przemalowania i zaopatrzył w fałszywe tablice rejestracyjne. Dwa miały być dla snajperów. Trzeci był dla zabójcy Dougie'ego.

Pete wprowadził czwartego człowieka. Chuck Rogers miał być sobowtórem straceńca. Rogers i Lockhart byli podobnie zbudowani i mieli podobne rysy twarzy. Najbardziej charakterystycznym atrybutem Dougie'ego były jaskrawo-rude włosy. Chuck przefarbował się.

Rogers w całym Miami siał nienawiść do Kennedy'ego. Gadał jak najęty w barach i klubach bilardowych. Można go było usłyszeć na torze wrotkowym, strzelnicy i w wielu sklepach monopolowych. Zapłacono mu, żeby nawijał tak aż do 15 listopada.

Littell przejechał obok biura Dougie'ego. Każde kółko dostarczało mu nowych przemyśleń. Powinien na trasie ustawić hałaśliwe dzieciaki. Powinien dać im petardy i kazać je odpalać. To być może zmyli ochronę. Uodporni ich na odgłosy podobne do strzałów z karabinu.

Kemper pracował nad pewnymi cechami Dougie'ego Franka, które miały zostać zapamiętane. Psychopatologia Lockharta zostanie szczegółowo zobrazowana. Kemper niszczył zdjęcia JFK i wycinał swastyki na laleczkach przedstawiających Jacka i Jackie. Usmarował kałem stertę czasopism traktujących o Kennedym.

Detektywi znajdują to wszystko w szafie w sypialni Dougie'ego.

Aktualnie powstawał polityczny pamiętnik Dougie'ego Franka Lockharta. Był dobrze podrobiony, z ręcznymi poprawkami. Napastliwy, rasistowski tekst był naprawdę przerażający. Pamiętnik był pomysłem Pete'a. Dougie przyznał, że podłożył bombę pod kościół baptystów przy Szesnastej — ta sprawa wciąż pozostawała nierozwiązana. Pete chciał połączyć zamach na Kennedy'ego i śmierć czworga murzyńskich dzieci. Dougie opowiedział Pete'owi całą historię podłożenia bomby. Ważniejsze szczegóły Pete opisał w pamiętniku. Nie wspominali o tym fakcie Kemperowi. Kemper wykazywał dziwną sympatię do kolorowych.

Pete trzymał Dougie'ego odizolowanego w domu. Karmił go pizzą na wynos, marihuaną i alkoholem. Lockhartowi to pasowało. Pete mówił mu, że jego robota dla Agencji na razie trochę się odwleka. Wcisnął mu kit o tym, jak ważne jest trzymanie się w cieniu.

Kemper przewiózł swoich ludzi do Blessington. FBI nachodziło obozy nie firmowane przez Agencję — trzymanie ekipy w Słonecznej Dolinie stało się ryzykowne. Mężczyźni nocowali w motelu Breakers. Całymi dniami testowali broń. Karabiny były identyczne jak te, które ukradł Kemper. Snajperzy nie wiedzieli o zamachu. Kemper miał ich poinformować sześć dni wcześniej — tak, żeby mieli czas na próbę generalną w Miami.

Littell przejechał obok domu Dougie'ego. Pete mówił, że zawsze wchodzi od tyłu; tak, żeby sąsiedzi go nie widzieli.

Powinni schować w domu trochę narkotyków. Powinni rozszerzyć portret psychologiczny Dougie'ego o cechy zabójcy/terrorysty/narkomana.

Kemper poprzedniego dnia spotkał się przy drinku z oficerem policji w Miami. Od dawna znali się z Biura — spotkanie, można powiedzieć, przebiegło normalnie. Oficer nazwał przejazd przez miasto „kolcem w dupie”. Mówił, że Kennedy'ego „ciężko upilnować”. Powiedział, że ochrona pozwala tłumom za bardzo się zbliżać. Kemper wtedy spytał:

— Nie było żadnych gróźb? Żadnych sięjących grozę szaleńców?

Oficer odpowiedział: — Nie.

Ich ryzykowny blef trwał. Ale nikt nie wspominał o gadatliwym świrze o pseudonimie Dougie.

Littell pojechał z powrotem do Fontainebleau. Zastanawiał się, o ile Pete i Kemper przeżyją JFK.

## 93

(Blessington, 21 października 1963)

Oficerowie szkoleniowi utworzyli kordon tuż przy głównej bramie. Na twarzach mieli maski, a w rękach karabiny naładowane solą. Szukający schronienia forsowali płot. Droga dojazdowa była zatłoczona gruchotami i pozbawionymi wszystkiego Kubańczykami.

Kemper obserwował rozwój wypadków. John Stanton zadzwonił do niego z ostrzeżeniem, że w sprawie aresztowań było źle, ale jest jeszcze gorzej. Wczoraj FBI uderzyło na czternaście obozów uchodźców. Połowa Kubańczyków na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej szukała azylu w CIA.

Płot chwiał się. Oficerowie unieśli broń. W środku było dwudziestu mężczyzn, sześćdziesięciu na zewnątrz. Dzieliły ich tylko łańcuchy i trochę drutu kolczastego.

Jakiś Kubańczyk wspiał się na ogrodzenie i zaczął o drut. Oficer strzelił do niego — jedna seria solą odczepiła go i pocięła skórę. Kubańczycy chwyтали kamienie i kawałki drewna. Ludzie przyjmowali obronne pozy. Podniósł się dwujęzyczny zgilek.



Littell spóźniał się. Pete również — to zamieszanie prawdopodobnie wstrzymało ruch. Kemper zszedł do przystani. Jego ludzie strzelali do boi pływających trzydzieści metrów od brzegu. W uszach mieli zatyczki, żeby nie słyszeć hałasów przy bramie. Wyglądali jak idealnie zdyscyplinowani najemnicy.

Wprowadził ich do obozu w ostatniej chwili. Mogli się swobodnie poruszać po terenie — John Stanton użył swoich wpływów przez wzgląd na dawne czasy.

Łuski spadały na pomost. Laurent i Flash trafiali w sam środek celu. Juan strzelał w fale.

Zeszłej nocy powiedział im o zamachu. Zelektryzowała ich sama brawura tego posunięcia. Nie mógł sobie tego odmówić. Chciał zobaczyć zapał na ich twarzach. Laurent i Flash wyglądali na szczęśliwych. Juan na zmieszanego. Coś ukrywał. Od trzech nocy z rzędu chodził na samowolki.

Radio doniosło o kolejnej zamordowanej kobiecie. Pobito ją do nieprzytomności i uduszono apaszką. Lokalni gliniarze nie wiedzieli, co robić. Ofiarę nr 1 znaleziono niedaleko Słonecznej Doliny. Ofiarę nr 2 niedaleko Blessington.

Hałasy przy bramie podwoiły się i potroiły. Buchnęły strzały solą. Kemper włożył do uszu zatyczki i obserwował swoich ludzi. Juan Castenel obserwował jego. Flash wycelował tak, że boja podskoczyła. Laurent uspokoił ją kolejnym strzałem. Juan nie trafił trzy razy pod rząd.

Coś było z nim nie tak.

**P**olicja Stanowa przepędziła Kubańczyków. Radiowozy eskortowały ich do autostrady. Kemper jechał za konwojem liczącym pięćdziesiąt samochodów. Strzały z soli powybiły przednie szyby i pocięły podnoszone dachy. To było krótkowzroczne rozwiązanie. John Stanton przewidywał chaos wśród uchodźców — albo coś jeszcze gorszego.

Pete i Ward zadzwonili z informacją, że się spóźnią.

Powiedział: — W porządku, muszę jeszcze zrobić rundkę.

Umówili się o 14.30 w Breakers. Przekaze im nowiny Stantona. Podkreśli, że to wyłącznie spekulacje.

Samochody wlokły się — oba pasy były całkowicie zapchane. Radiowozy jechały na początku i końcu kolumny, żeby mieć Kubańczyków pod kontrolą. Kemper zjechał w bok. To był jedyny skrót do Blessington — prosto, zakurzonymi drogami. Jadąc wzbijał tumany pyłu. Mżawka zamieniała je w błoto. „Gwałtobus” przemknął obok, ledwo trzymając się zakrętu. Kemper włączył wycieraczki. Przetarł szybę. W oddali zobaczył dym z rury wydechowej — i ani śladu „gwałtobusu”.

*Juan jest rozkojarzony. Nie poznał mojego samochodu.*

Kemper wjechał do Blessington. Minał Breakers, Al's Dixie Diner i wszystkie inne knajpy, w których gromadzili się uchodźcy po obu stronach autostrady. Ani śladu. Przeczesywał przecznice zgodnie ze schematem — trzy kwartały w lewo, trzy w prawo. Siedem, jedenaście — gdzie ten cukierkowoczerwony thunderbird?

Tam...

„Gwałtobus” stał przed motelem Larkhaven. Kemper poznał dwa samochody zaparkowane obok. Buick Guya Banistera. Lincoln Carlosa Marcello.

**M**otel Breakers stał tuż przy autostradzie. Okno Kempera wychodziło na posterunek policji stanowej. Zobaczył gliniarzy kierujących samochody na zjazd. Zobaczył, jak zmuszają Latynosów do udania się w stronę posterunku. Gliniarze sprawdzali dokumenty tożsamości i papiery Urzędu Imigracyjnego. Rekwirowali samochody i hurtowo aresztowali latynoskich mężczyzn. Kemper obserwował tak przez godzinę. Stanowi zatrzymali trzydziestu dziewięciu chłopca. Wepchnęli mężczyzn do więźniarek. Skonfiskowaną broń zrzucili na stos.

Godzinę wcześniej przeszukał pokój Juana. Nie znalazł apaszki. Nie znalazł żadnych podejrzanych przedmiotów. Nie znalazł nic, co wskazywałoby na popełnienie zbrodni.

Ktoś oparł się o dzwonek. Kemper otworzył szybko, żeby przerwać hałas. Wszedł Pete.

— Widziałeś, co tam się dzieje?

Kemper kiwnął głową.

— Kilka godzin temu próbowali wejść do obozu. Szef szkolenia wezwał stanowych.

Pete wyrzwał przez okno.

— Jacyś wściekli ci Kubańczycy.

Kemper zaciągnął zasłony.

— Gdzie Ward?

— Jedzie. I mam nadzieję, że nie wezwałeś nas tutaj, żeby pokazać jakąś gównianą blokadę na drodze.

Kemper podszedł do baru i nalał Pete'owi małego bourbona.

— Dzwonił do mnie John Stanton. Powiedział, że Jack Kennedy kazał Hooverowi podkręcić temperaturę. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin FBI wtargnęło do dwudziestu dziewięciu obozów niekontrolowanych przez Agencję. Wszyscy aresztowani uchodźcy chcą dostać azyl polityczny.

Pete wychylił szklanę. Kemper dołał mu.

— Stanton mówił, że Carlos ustanowił fundusz na kaucje. Guy Banister próbował wykupić niektórych swoich ulubieńców, ale Urząd Imigracyjny nakazał deportować wszystkich aresztowanych narodowości kubańskiej..

Pete rzucił szklaną o ścianę. Kemper zakorkował butelkę.

— Stanton mówił, że cała społeczność uchodźców szaleje. Ponoć ludzie sporo gadają o zamachu na Kennedy'ego. Podobno mówią *konkretnie* o przejeździe przez Miami.

Pete uderzył pięścią w ścianę. Przebił się do gołej płyty. Kemper odsunął się i mówił wolno i wyraźnie.

— Nikt w naszej ekipie nie zdradził się z planami, więc to nie mogło być źródłem plotek. A Stanton powiedział, że nie poinformował ochrony prezydenckiej, co oznacza, że nie ma nic przeciwko zobaczeniu Jacka martwym.

Pete zranił sobie rękę aż do kości. Walnął w ścianę lewym sierpowym — poleciały fragmenty gipsu. Kemper stał w *znacznej* odległości.

— Ward mówił, że Hoover to przeczuwa. Miał rację, bo Hoover powstrzymałby aresztowania i wysłał ostrzeżenia do starych znajomych tylko po to, żeby wkurzyć Bobby'ego — chyba że chciał podsycić nienawiść do Jacka.

Pete chwycił butelkę. Opłukał dłonie i wytarł je w zasłony. Materiał zmienił kolor z beżowego na czerwony. Ściana była zdewastowana.

— Pete, posłuchaj. Zawsze możemy...

Pete przycisnął go do okna.

— Nie. Od tego nie ma odwrotu. Albo go zabijemy, albo nie, a oni prawdopodobnie i tak zabiją *nas*.

Kemper wyslizgnął się. Pete odsunął zasłony. Uchodźcy skakali przez barierki autostrady. Gliniarze gonili ich z elektrycznymi pałkami.

— Spójrz na to, Kemper. Spójrz i powiedz, że możemy spokojnie na to patrzeć.

Littell przeszedł pod oknem. Pete otworzył drzwi i wciągnął go do środka. Nie zareagował. Miał szklany wzrok i wyglądał, jakby ktoś go *skrzywdził*. Kemper zamknął drzwi.

— Ward, co się stało?

Littell przyciskał do siebie teczkę. Nawet nie spojrzał na zdemolowane ściany.

— Rozmawiałem z Samem. Powiedział, że możemy zapomnieć o zamachu w Miami, bo jego łącznik z Castro mówi mu, że Castro już nigdy nie będzie rozmawiał z nikim z mafii, pod żadnym pozorem. Porzucili pomysł pojednania.

Zawsze uważałem, że to nierealne, a teraz najwyraźniej Sam i Santo zgodzili się z moją opinią.

— To jakieś szaleństwo — stwierdził Pete.

Kemper odczytał na twarzy Littella: NIE ODBIERAJCIE MI TEGO.

— Czy *my* wciąż się tym zajmujemy?

Littell odparł: — Chyba tak. Rozmawiałem też z Guyem Banisterem i coś wynioskowałem.

Pete wyglądał, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

— Więc powiedz nam, Ward. Wiemy, że jesteś najmądrzejszy i najsilniejszy, więc powiedz nam, co o tym sądzisz.

Littell rozluźnił krawat.

— Banister widział kopię prezydenckiej notatki służbowej. Przesła od Jacka przez Bobby'ego do pana Hoovera, później do oficera w Nowym Orleanie, który powiedział o niej Guyowi. Była tam mowa, że prezydent wysła osobistego emisariusza na rozmowy z Castro w listopadzie i mają nastąpić kolejne cięcia „JM/Fala”.

Pete ścierał krew z rąk.

— Nie rozumiem, co ma do tego Banister.

Littell położył teczkę na łóżku.

— To był przypadek. Guy i Carlos blisko się trzymają, a Guy sam jest sfrustrowanym prawnikiem. Od czasu do czasu rozmawiamy ze sobą i mimochodem wspomniiał o tej notatce. Mam wrażenie, że pan Hoover przeczuwa, że planowany jest zamach. Ponieważ nikt z nas się nie wygadał, myślę, że — *być może* — ktoś inny również coś planuje. Sądzę też, że Banister mógłby o tym wiedzieć — i dlatego Hoover przekazał notatkę w tę stronę.

Kemper wskazał na okno.

— Widziałeś posterunek?

— Jasne.

Kemper powiedział:

— To znowu Hoover. To on pozwala na aresztowania, żeby podsycić nienawiść do Jacka. Ward, dzwonił do mnie John Stanton. Może istnieć dziesięć, dwadzieścia albo trzydzieści pieprzonych spisków, tak jakby pieprzona idea zamachu była tak wszechobecna...

Pete uderzył go w twarz. Kemper wyjął broń. Pete wyjął swoją.

Littell BARDZO CICHO powiedział: — Nie.

Pete rzucił pistolet na łóżko.

Kemper rzucił swój.

Littell BARDZO CICHO powiedział: — Wystarczy.

W pokoju iskrzyło od napięcia. Littell rozładował pistolety i zamknął je w teczce. Pete mówił niemal szeptem:

— W zeszłym miesiącu Banister zwolnił mnie z aresztu za kaucją. Rzekł: „To gównu Kennedy’ego już się kończy”, tak jakby coś przewidywał.

Kemper mówił równie cicho:

— Juan Canestel ostatnio dziwnie się zachowywał. Śledziłem go kilka godzin temu i zauważyłem jego samochód zaparkowany obok aut Banistera i Carlosa Marcello. To było po drodze tutaj, pod innym motelem.

Littell spytał: — Pod Larkhaven?

— Zgadza się.

Pete zlizywał krew z dłoni.

— Skąd to wiesz, Ward? A jeśli Carlos planuje drugi zamach, to czy Santo i Mo odwołają nasz?

Littell pokręcił głową. — Myślę, że wciąż jest to aktualne.

— A co z Banisterem?

— To coś nowego, ale pasuje. Wszystko, co wiem na pewno to to, że spotykam się z Carlosem o piątej w Larkhaven. Powiedział mi, że Santo i Mo przekazali mu całą sprawę z dwoma nowymi warunkami.

Kemper pocierał podbródek. Od uderzenia miał czerwoną twarz.

— To znaczy?

— Że wycofujemy się z Miami i potrzebujemy lewicowego frajera. Nie ma szans na układ z Castro, więc chcą, żeby zabójca był *zwoleńnikiem* Fidela.

Pete kopnął ścianę. Obraz spadł na podłogę. Kemper połknął wybity ząb. Pete wskazał na autostradę. Gliniarze poszli na całość. Przeprowadzali osobiste rewizje pod gołym niebem.

Kemper odezwał się: — Patrz na to. To wszystko to gra pana Hoovera.

Pete odpowiedział: — Zwariowałeś. On nie jest aż *tak* dobry.

Littell zaśmiał mu się w twarz.

## 94

(Blessington, 21 października 1963)

Carlos ustawił alkohol i szkło na tacce. Ciekawe zestawienie — markowy koniak Hennessy i motelowe szklanki owinięte w papier. Littell usiadł na

twardym krześle. Carlos zajął fotel. Tacka stała na stoliku między nimi.

— Twoja ekipa nie jest potrzebna, Ward. Bierzemy kogoś innego. Planował to przez całe lato, dzięki czemu ma lepiej opracowane szczegóły.

Littell spytał: — Guy Banister?

— Skąd wiesz? Jakiś mały ptaszek o tym zaćwierkał?

— Jego samochód stoi na zewnątrz. Poza tym są sprawy, o których po prostu się wie.

— Dobrze to znosisz.

— Nie mam wyboru.

Carlos bawił się cygarem.

— Właśnie się o tym dowiedziałem. Już od jakiegoś czasu pracują nad tym, co moim zdaniem zwiększa szanse powodzenia.

— Gdzie?

— W Dallas, w przyszłym miesiącu. Guy ma jakiegoś bogatego prawicowca, który go finansuje. Ma straceńca z długim wyrokiem, snajpera i jednego Kubańczyka.

— Juana Canestela?

Carlos roześmiał się. — Jesteś bardzo sprytnym facetem, który „po prostu wie” o pewnych sprawach.

Littell założył nogę na nogę.

— Kemper się domyślił. A moim zdaniem nie powinieneś ufać psychopatom jeżdżącym jaskrawoczerwonymi sportowymi samochodami.

Carlos odgryzł czubek cygara.

— Guy to zdolny facet. Ma straceńca, typ komunisty, na jednej z tras przejazdu, dwóch prawdziwych snajperów i kilku gliniarzy do zabicia frajera. Ward, nie możesz winić człowieka za to, że niezależnie od ciebie wymyślił taki sam plan.

Odczuwał spokój. Carlos nie złamie go. Wciąż ma szansę zaleźć za skórę Bobby'emu.

— Chciałbym, żebyś to był ty, Ward. Wiem, że masz osobiste powody, dla których chciałbyś widzieć tego człowieka martwym.

Czuł się bezpiecznie. Nie czuł się związany z Pete'em ani z Kemperem.

— Nie byłem uszczęśliwiony, że Mo i Santo spiknęli się z Castro. Ward, powinieneś mnie widzieć, kiedy się o tym dowiedziałem...

Littell wyjął zapalniczkę. Była ze szczerego złota — prezent od Jimmy'ego Hoffy

— Zmierzasz do czegoś, Carlos. Jesteś bliski powiedzenia: „Ward, jesteś zbyt cenny, żeby cię stracić” i zaproponowania mi drinka, mimo że od dwóch lat nie tknąłem alkoholu.

Marcello pochylił się w jego stronę. Littell zapalił cygaro.

— Nie jesteś na tyle cenny, żeby szkoda cię było stracić, ale jesteś zbyt wartościowy, żeby cię karać. Wszyscy się w tym ze mną zgadzają i wszyscy zgadzają się, że Boyd i Bondurant tworzą diabelską spółkę.

— Ale wciąż nie chcę drinka.

— A czemu miałbyś chcieć? Nie ukradłeś stu kilogramów heroiny i nie orzynałeś na całego swoich partnerów. Brałeś udział w szantażu, o którym powinienś być nas poinformować, ale to nie więcej niż niewielkie wykroczenie.

Littell odrzekł: — Jednak wciąż nie chcę drinka. I byłbym wdzięczny, gdybyś powiedział mi dokładnie, co mam robić od tego momentu aż do zamachu w Dallas.

Carlos strzepnął popiół z kamizelki.

— Chcę, żebyś ty, Pete i Kemper nie wtrącali się do planów Guya ani nie próbowali go powstrzymać. Chcę, żebyś puścił wolno tego Lockharta i wysłał go z powrotem do Missisipi. Chcę, żeby Pete i Kemper zwrócili to, co ukradli.

Littell ścisnął swoją złotą zapalniczkę.

— A co się stanie z nimi?

— Nie wiem. Nie mnie o tym, kurwa, decydować.

Cygaro cuchnęło. Klimatyzator dmuchał dymem prosto w twarz.

— To się mogło udać, Carlos. Zrobilibyśmy wszystko, żeby się udało.

Marcello mrugnął.

— Zawsze po swojemu rozumiałeś interesy. Nie ma co żałować, kiedy sprawy idą nie po twojej myśli.

— Nie mogę go zabić. Tego naprawdę żałuję.

— Przeżyjesz to jakoś. A twój plan pomógł Guyowi opracować pewną dywersję.

— Jaką dywersję?

Carlos postawił sobie popielniczkę na brzuchu.

— Banister powiedział jakiemuś szaleńcowi nazwiskiem Milteer o robocie w Miami, nie wymieniając nazwisk. Guy wie, że Milteer to gaduła, którą śledzi kapuś policji w Miami. Miał nadzieję, że wygada się kapusiowi, który przekaże to wyżej, w jakiś sposób odwołają przejazd w Miami i odwrócą uwagę wszystkich od Dallas.

Littell uśmiechnął się.

— Trochę za bardzo wydumane. Jak z filmu dla dzieci.

Carlos uśmiechnął się.

— Tak jak twoja historia o księgach Teamsters. Tak jak twoja wiara w to, że nie wiedziałem, co się dzieje od samego początku.

Jakiś mężczyzna wyszedł z łazienki. Trzymał wycelowany rewolwer. Littell zamknął oczy. Carlos powiedział:

— Wiedzą wszyscy oprócz Jimmy'ego. Nasi detektywi śledzili cię od tego momentu, kiedy przeprowadziłeś mnie przez granicę. Wiedzą wszystko o twoich zaszyfowanych księgach i badaniach w Bibliotece Kongresu. Wiem, że masz plany dotyczące tych ksiąg i, mój chłopcze, teraz masz partnerów.

Littell otworzył oczy. Mężczyzna owinął rewolwer poduszką. Carlos nalał dwa drinki.

— Masz nas ustawić z Howardem Hughesem. Mamy zamiar sprzedać mu Las Vegas i dobrać się do jego zysków. Pomożesz nam zamienić to, co jest w księgach Funduszu na bardziej legalne pieniądze, o jakich nawet nie marzył Jules Schiffrin.

Czuł się zawieszony w próżni. Próbował odmówić „Zdrowaś Mario”, ale nie pamiętał słów. Carlos podniósł szklankę.

— Za Las Vegas i nasze nowe układy.

Littell zmusił się do wypicia. Palenie w gardle sprawiło, że łyż pojawiły się same.

## 95

(Meridian, 4 listopada 1963)

Paczki heroiny przeciążały bagażnik i sprawiały, że tylne koła się ślizgały. Zwykła kontrola drogowa mogła kosztować go trzydzieści lat w więzieniu Parchman. Wyciągnął wszystko z bankowej skrytki depozytowej. Trochę proszku wysypało się na podłogę — ilość wystarczająca, żeby uspić wiejskie okolice Missisipi na parę tygodni.

Santo chciał dostać narkotyki z powrotem. Santo zmienił układ. Pozostawił cię w niepewności. Mógł cię zabić, mógł pozwolić ci żyć — mógł drażnić cię zawieszeniem na jakiś czas twojej egzekucji.

Kemper zatrzymał się na światłach. Jakiś kolorowy pomachał do niego. Kemper odmachął. Był to pastor z kościoła zielonoświątkowców — bardzo sceptycznie nastawiony do Johna F. Kennedy'ego. Zawsze mówił: „Nie ufam temu



facetowi”. Światło zmieniło się. Kemper ruszył. Cierpliwości, pastorze, „Temu facetowi” zostało osiemnaście dni życia.

Jego ekipy już nie było. Była drużyna Banistera. Juan Canestel i Chuck Rogers przeszli do zespołu Guya. Przełożono zamach na 22 listopada w Dallas. Juan i jakiś Korsykanin mieli strzelać z dwóch różnych miejsc. Chuck i dwóch gliniarzy z Dallas mieli zabić straceńca. Był to udoskonalony plan Littella. Ilustrował wszechobecną metafizykę „Zabijmy Jacka”.

Littell rozwiązał ekipę. Lockhart wrócił do swojej roboty w Klanie. Pete poleciał prosto do Teksasu, żeby być ze swoją kobietą. „Swingująca Rewia” miała wystąpić w Dallas w dniu zamachu.

Littell zostawił mu wolną rękę. Jakiś domowy instynkt przywiódł go z powrotem do Meridian. Sporo miejscowych pamiętało go. Sporo kolorowych witało go ciepło. Równie sporo białych kmiotków patrzyło na niego bykiem i rzucało niewybredne żarty.

Wynajął pokój w motelu. Na wpół oczekiwał morderców mafii pukających do drzwi. Trzy razy dziennie jadał w restauracji i jeździł po okolicy.

Zmierzchało się. Kemper wjechał do Puckett. Zobaczył komiczny znak przyczepiony do latarni: Martin Luther King na komunistycznym szkoleniu. Zdjęcie było pomazane. Ktoś dorysował wielebniemu diabelskie rogi. Kemper skręcił na wschód. Pojechał skrótami prowadzącym do starej strzelnicy Dougie'ego Lockharta. Polne drogi doprowadziły go do celu. Pod oponami chrzęściły łuski.

Zgasił światła i wysiadł. Panowała błogosławiona cisza — żadnych strzałów ani wrzasków rebeliantów. Wyjął broń. Niebo było smoliście czarne — nie widział sylwetek na tarczach. Łuski trzeszczały i chrzęściły. Kemper usłyszał kroki.

— Kto to? Kto wtargnął na moją posiadłość?

Kemper włączył światła. Ogarnęły w całości Dougie'ego Lockharta.

— To Kemper Boyd, synku.

Lockhart wyszedł z kręgu światła.

— Kemper Boyd z akcentem tym słodszy, im dalej na południe. Jesteś jak kameleon, Kemper. Czy ktoś ci to powiedział?

Kemper włączył długie. Oświetliły całą strzelnicę.

Dougie, upierz swoje szmaty. Wyglądasz okropnie.

Lockhart drwił:

— Szeffie, czy to przesłuchanie?! Już się przyznaję — to ja podłożyłem bombę pod murzyński kościół w Birmingham!

Miał zepsute zęby i pryszcze. Na dobre dziesięć metrów czuć było od niego bimber.

Kemper spytał: — Naprawdę to zrobiłeś?

— Jak tu stoję w twoim świetle, szefie. Jak ci Murzyni...

Kemper strzelił mu w usta. Całą serią odstrzelił mu głowę.

## 96

(Waszyngton, D.C., 19 listopada 1963)

**B**obby kazał mu czekać. Littell siedział przed jego gabinetem. List Bobby'ego podkreślał potrzebę pośpiechu i kończył się formułką: „Każdemu prawnikowi Hoffy poświęcę najwyżej dziesięć minut”.

Przybył punktualnie. Bobby był zajęty. Dzieliły ich drzwi. Littell czekał. Był niesamowicie spokojny. Marcello nie zламаł go. Bobby był przy nim jak dziecko. Marcello zmiękł, jak tylko przyjął jego drinka.

Korytarz biura był obszerny i wyłożony boazerią. Znajdował się bardzo blisko gabinetu pana Hoovera. Sekretarka ignorowała go. Odliczał w myśli.

6.11.1963: Kemper oddaje narkotyki. Trafficante odmawia mu podania ręki.

6.11.1963: Dzwoni Carlos Marcello. Mówi: „Santo ma dla ciebie robotę”, ale nie dodaje nic więcej.

7.11.1963: Dzwoni Sam Giancana. Mówi: „Myślę, że możemy znaleźć Pete'owi pracę. Pan Hughes nienawidzi czarnuchów, a Pete jest dobry w narkotykach”.

7.11.1963: Przekazuje wiadomość Pete'owi. Pete rozumie przez to, że darowali mu życie.

*Jeśli* będziesz dla nas pracował. *Jeśli* przeniesiesz się do Vegas. *Jeśli* będziesz sprzedawał miejscowym czarnuchom heroinę.

8.11.1963: Dzwoni Jimmy Hoffa, rozradowany. Nie dba o to, że ma bardzo poważne problemy z prawem. Sam powiedział mu o zamachu. Jimmy przekazał Heshie'emu Ryskindowi. Heshie zarezerwował sobie najlepszy hotel w Dallas — żeby z bliska cieszyć się tym wydarzeniem. Heshie przywiózł swoją świtę: Dicka Contino, pielęgniarki i dziwki. Pete dwa razy dziennie podaje mu prochy. Świta Heshie'go nie rozumie, o co chodzi. Po co przenosić się do Dallas, kiedy śmierć jest tak blisko?

8.11.1963: Carlos przesyła mu wycinek z gazety. Piszą tam: „Zamordowany przywódca Klanu — Ponura zagadka Południa!”. Gliny podejrzewają rywali z Klanu. On podejrzewa Kempera Boyda. Carlos dołącza list. Pisze, że proces w sprawie deportacji idzie całkiem nieźle.

8.11.1963: Pan Hughes przysłała mu list. Zdziecinniały Howard pragnie Las Vegas, tak jak większość dzieci pragnie nowych zabawek. Odpisał mu. Obiecał odwiedzić Newadę i do świąt zgromadzić dane.

9.11.1963: Dzwoni pan Hoover. Mówi, że jego prywatny podsłuch zarejestrował gorącą nienawiść — popis Joe Valachiego przeraża gangsterów od wybrzeża do wybrzeża. Źródła Hoovera w Departamencie Sprawiedliwości mówią, że Bobby osobiście przesłuchuje Valachiego. Valachi odmawia rozmowy na temat Funduszu. Bobby jest wściekły.

10.11.1963: Dzwoni Kemper. Mówi, że „wydumany” plan Guya Banistera jednak się powiódł: odwołano przejazd przez Miami.

12.11.1963: Dzwoni Pete. Donosi o kolejnych aresztowaniach w obozach i plotkach o zamachu.

15.11.1963: Jack paraduje w Nowym Jorku. Nastolatki i matrony w średnim wieku osaczają jego samochód.

16.11.1963: Gazety w Dallas zapowiadają trasę przejazdu. Barb Jahelka będzie blisko sceny wydarzeń — występuje w południe w klubie na Commerce Street.

Zabrzącał interkom. Przez zakłócenia przebił się głos Bobby'ego:

— Proszę pana Littella.

Sekretarka otworzyła drzwi. Littell wniósł magnetofon. Bobby stał za biurkiem. Ręce trzymał w kieszeniach i nie ruszał się — prawnikom mafii nie przysługiwała uprzejmość. Gabinet był ładnie urządzony. Garnitur Bobby'ego wyglądał na tanią masówkę.

— Pańskie nazwisko brzmi znajomo, panie Littell. Czy już się kiedyś spotkaliśmy?

BYŁEM TWOIM WIDMEM. ZROBIŁBYM WTEDY WIELE, ŻEBY STAĆ SIĘ CZĘŚCIĄ TWOJEJ WIZJI.

— Nie, panie Kennedy.

— Widzę, że przyniósł pan magnetofon.

Littell postawił go na podłodze.

— Owszem.

— Czy Jimmy uciekł się do swoich szatańskich sposobów? Czy przyniósł mi pan może jakieś zeznania?

— W pewnym sensie. Czy chciałby pan posłuchać?

Bobby spojrział na zegarek.

— Jestem do pańskiej dyspozycji jeszcze przez dziewięć minut.

Littell podłączył sprzęt do gniazdka. Bobby bawił się monetami w kieszeni. Littell nacisnął *play*. Rozległ się głos Joe Valachiego. Bobby oparł się o ścianę za biurkiem. Littell stał przed biurkiem. Bobby gapił się na niego. Stali tak w bezruchu, nawet bez mrugnięcia okiem. Joe Valachi składał zeznania. Bobby miał czarno na białym. Nie zamknął oczu, nie widać było po nim żadnej reakcji. Littell spocił się. Głupie zawody w gapieniu się na siebie trwały.

Taśma skończyła się. Bobby wziął słuchawkę telefonu.

— Połącz mnie z agentem specjalnym Conroyem w Bostonie. Niech pójdzie do głównego oddziału Security-First National Bank i dowie się, do kogo należy konto o numerze 811512404. Niech sprawdzi sejfy i natychmiast do mnie odzwoni. Powiedz mu, że jest to sprawa pierwszorzędnej wagi i nie łącz mnie z nikim, dopóki nie zadzwoni.

Głos nawet mu nie drżał. Był mocny jak żelazo albo stal. Odłożył słuchawkę. Pojedynek na spojrzenia trwał. Ten, kto mrugnie pierwszy, jest tchórzem. Littell prawie chichotał. Mężczyźni u władzy są jak dzieci.

Czas mijał. Littell odliczał minuty uderzeniami własnego serca. Okulary zaczęły mu zjeżdżać z nosa.

Telefon zadzwonił. Bobby odebrał i słuchał. Littell stał bez żadnego ruchu i odliczył czterdzieści jeden sekund. Bobby cisnął telefonem w ścianę. I mrugnął. I wzdrygnął się. I otarł z oczu łzy.

— Niech cię szlag trafi za ból, który *mnie* sprawiłeś — powiedział Littell.

## 77

(Dallas, 20 listopada 1963)

Będzie wiedziała. Usłyszy wiadomości i zobaczy twoją twarz, i będzie wiedziała, że byłeś tego częścią. Cofnie się myślami do szantażu. Nie mogłeś go skompromitować, więc go zabiłeś. Będzie wiedziała, że to zamach mafii. Wie, jak ci ludzie przecinają niebezpieczne więzy. Będzie cię winiła za to, że sprowadziłeś ją tak blisko czegoś tak przytłaczającego.

Pete patrzył na śpiącą Barb. Ich łóżko pachniało olejkiem do opalania i potem.

Jechał do Las Vegas. Wracał do Howarda „Drakuli” Hughesa. Ward Littell był ich nowym pośrednikiem. Miał się zająć wymuszeniami i narkotykami. To była zamiana wyroku: śmierć na dożywocie.

Skopała z siebie koldrę. Zauważył nowe piegi na jej nogach. Spodoba się jej. Vegas. Wyrzuci z jej życia Joeya i załatwi jej stałą pracę. Będzie z nim. Będzie blisko jego miejsca pracy. Wyrobiła sobie reputację kobiety, która umie dostrzymywać tajemnic.

Barb wtuliła się w poduszki. Żyłki na piersiach rozciągnęły się zabawnie. Obudził ją. Otworzyła szeroko oczy, jak zawsze.

Pete spytał: — Wyjdiesz za mnie?

— Pewnie — odpowiedziała.

**P**ięćdziesięciodolarowa łapówka załatwiła badania krwi. Stowa rozwiązała problem braku metryki urodzenia. Pete pożyczył smoking. W największym rozmiarze. Barb wyniosła z Cascade Klub białą sukienkę estradową. W książce telefonicznej znaleźli księdza. Pete umówił świadków: Jacka Ruby’ego i Dicka Contino.

Dick mówił, że wujek Heshie potrzebuje zastrzyku. I dziwi się, czym to Pete tak się ekscytuje? W oczach umierającego na pewno wyglądał na niezdrowo podnieconego.

Pete podjechał do hotelu Adolphus. Wstrzyknął Heshowi pełną dawkę heroiny i zostawił mu kilka batoników do przegryzania. Heshie uznał jego smoking za najśmieszniejszą rzecz, jaką w życiu widział. Śmiał się tak bardzo, że prawie wyrwał rurkę z tchawicy.

Dick wykosztował się na prezent ślubny: apartament dla nowożeńców w Adolphus na weekend. Pete i Barb przenieśli swoje rzeczy godzinę przed uroczystością. Z walizki wypadła broń Pete’a. Chłopiec hotelowy ze strachu prawie się posikał. Barb dała mu pięćdziesięciodolarowy napiwek. Dzieciak chyłkiem wyszedł z pokoju. Hotelowa limuzyna zawiozła ich do kaplicy.

Ksiądz był pijaczną. Ruby przyprowadził swoje hałaśliwe jamniki. Dick grał na akordeonie jakieś ślubne kawałki.

Wypowiedzieli przysięgę w hałasie dobiegającym ze Stemmons Freeway. Barb płakała. Pete trzymał ją za rękę tak mocno, że się krzywiła.

Ksiądz dał im tombakowe obrączki. Obrączka Pete’a nie pasowała na serdeczny palec. Ksiądz powiedział, że zamówi dla niego znacznie większą — te pochodziły z domu wysyłkowego w Des Moines.

Pete wsunął zbyt małą obrączkę do kieszeni. Przy słowach „i że cię nie opuszczę aż do śmierci” zmiękły mu kolana.

Dotarli do hotelu. Barb powtarzała jak refren: Barbara Jane Lindscott Jahelka Bondurant. Heshie przysłał im szampana i gigantyczny kosz prezentów. Dzieciak z obsługi był podniecony — w piątek przyjeżdża prezydent!

Potem kochali się. Łóżko było całe w różowych falbankach i ogromne. Barb zasnęła. Pete kazał obsłudze zadzwonić o 20.00 — jego żona miała występ o 21.00.

Sam nie mógł zasnąć. Nie tknął szampana — alkohol zaczynał dla niego oznaczać słabość. Zadzwonił telefon. Wstał i odebrał w saloniku.

— Tak?

— Toja, Pete.

— Ward, o Jezu. Skąd masz ten... Littell odpowiedział:

— Właśnie dzwonił Banister. Mówił, że Juana Canestela nie ma w Dallas. Wysłałem do ciebie Kempera i chcę, żebyście go znaleźli i zrobili wszystko, co trzeba, żeby piątek przebiegł według planu.

## 98

(Dallas, 20 listopada 1963)

Samolot już kołował. Pilot przez całą drogę z Meridian leciał z wiatrem i podróż zajęła im niecałe dwie godziny. Littell załatwił prywatny czarter. Kazał pilotowi dać z siebie wszystko. Mały dwuosobowy samolot trząsł się cały — Kemper też.

Była 23.48. Za trzydzieści sześć godzin miało się ZACZAĆ.

Zamrugwały światła samochodu — sygnał Pete'a. Kemper odpiął pas. Pilot wyłączył silniki i otworzył drzwi. Kemper wyskoczył. Podmuchał omal go nie przewrócił.

Samochód podjechał. Kemper wsiadł. Pete ruszył pasem startowym dla małych samolotów. Nad ich głowami przeleciał odrzutowiec. Love Field wyglądało jak z innego świata.

Pete spytał: — Co powiedział ci Ward?

— Że nie ma Juana. I że Guy boi się, że Carlos i inni pomyślą, że spieprzył.

— Mnie mówił to samo. Odpowiedziałem mu, że nie podoba mi się związane z tym ryzyko, chyba że ktoś wspomni Carlosowi, że pomogliśmy mu i uratowaliśmy Banistera od spejprzenia całości.

Kemper otworzył okno. Cholernie bolały go uszy.

— Co na to Ward?

— Powie Carlosowi po zamachu. *Jeśli* znajdziemy Canestela i uratujemy ten pieprzony dzień.

Odezwało się radio. Pete wyłączył je.

— To samochód służbowy J.D. Tippita. On i Rogers ostro szukają i jeśli zauważą Juana, *my* wkraczamy. Tippit nie może zostawić swojego sektora patrolowego, a Chuck nie może zrobić nic, co wyeliminowałoby go z zamachu.

Lawirowali między wózkami bagażowymi. Kemper wychylił się przez okno i połknął trzy amfetaminy bez popijania.

— Gdzie Banister?

— Przyleci później z Nowego Orleanu. Uważa, że Juan jest najlepszy, a jeśli coś się stanie i stracą go, przesunie na jego miejsce Rogersa i pójdzie razem z nimi.

Wiedzieli, że Juan bywa agresywny. Ale nie kazali go sprzątnąć jako potencjalnego zabójcę na tle seksualnym. Robota była paskudna, pełna niewiadomych i zalatywała amatorszczyzną.

— Gdzie jedziemy?

— Do klubu Jacka Ruby'ego. Rogers mówił, że Juan lubi tam rznąć dziwki. Ty wejdiesz do środka — Ruby cię nie zna.

Kemper zaśmiał się.

— Ward mówił Carlosowi, żeby nie ufał psychopatom z czerwonymi sportowymi samochodami.

Pete odrzekł:

— Ty zaufałeś.

— Od tamtej pory trochę się nauczyłem.

— Mówisz, że jest coś, co powinienem wiedzieć o Juanie?

— Mówię, że przestałem nienawidzić Jacka. I naprawdę mnie nie obchodzi, czy go zabijają, czy nie.

**W** klubie Carousel było sennie, jak to w środku tygodnia. Striptizerka rozbierała się na estradzie. Dwóch tajniaków i kilka prostytutek siedziało przy stolikach. Kemper usiadł blisko tylnego wyjścia. Wykręcił żarówkę lampy na stoliku — cień zakrywał go od pasa w górę. Mógł obserwować tylne i przednie drzwi. Mógł obserwować estradę i stoliki tuż przy niej. Cienie sprawiały, że był niemal niewidzialny.

Pete siedział na zewnątrz w samochodzie. Nie chciał, żeby widział go Jack Ruby.

Striptizerka rozbierała się twarzą do André Kostelanetza. Muzyka grała na pół gwizdka. Ruby siedział z gliniarzami i nalewał im drinki. Kemper pił szkocką. Jej działanie nakładało się na amfetaminę. Przyzwyczajał się do nowej myśli: masz szansę pobawić się zamachem.

Na estradę wbiegł pies. Striptizerka odpędziła go kopniakiem. Wtedy to Juan Canestel stanął we frontowych drzwiach. Był sam. Miał na sobie skórzaną kurtkę i błękitne dżinsy. Podszedł prosto do stolika dziwek. Hostessa wskazała mu miejsce.

Powiększył swoje sztuczne jądra. W lewej kieszeni na biodrze miał nóż. W szlufkach zamiast paska miał apaszkę.

Postawił wszystkim drinki. Ruby przywitał się z nim. Striptizerka przysunęła się w jego stronę. Gliniarze lustrowali go. Wyglądali na wrednych i nienawidzących nie-Anglosasów.

Juan zawsze nosił spluwę. To mu może zaszkodzić. Mogą go aresztować za nielegalne posiadanie broni. Mogą go spałować. Mógłby wtedy zdradzić Baniстера. Ochrona mogłaby odwołać przejazd.

Juan kochał pić. Mógł przyjść na miejsce zamachu na kacu. Mógł trącić spust i strzelić na milę od Jacka. Juan kochał też mówić. Mógł wzbudzić podejrzenia między chwilą obecną a piątkowym południem.

Apaszka zastępowała mu pasek. Juan *jest* zabójcą na tle seksualnym. Juan zabija przez te swoje sztuczne jaja.

Juan gawędził z dziwkami. Gliniarze nie przestawali mu się przyglądać.

Striptizerka ukloniła się i zeszła ze sceny. Ruby ogłosił ostatnią kolejkę. Juan przykleił się do seksownej brunetki.

Wyjdą przez frontowe drzwi. Pete nie zobaczy ich. Ich starcie może wpłynąć na zachowanie Juana podczas zamachu.

Kemper wyjął kule ze swojego rewolweru i upuścił na podłogę. Zostawił jeden nabój w komorze — zabawmy się trochę tym zamachem.

Brunetka podniosła się. Juan wstał. Obserwowali ich szepczący gliniarze. Jeden kręcił głową. Dziewczyna podeszła do wyjścia na parking. Juan za nią. Parking kończył się uliczką. Przy niej mieściły się drzwi hotelowych pokoi wynajmowanych na godziny.

Pete był na zewnątrz. Juan i dziewczyna wyszli. Kemper policzył do dwudziestu. Sprzątac zaczął przecierać stoły szmatą.

Kemper wyszedł. Lekka mgła zasnęła mu oczy.

Pete sikał za śmietnikiem. Juan i dziwka szli dróżką. Kierowali się do drugich drzwi po lewej.



Pete zobaczył go. Zakaszał. Spytał:

— Kemper, co ty...?

Urwał. I powiedział:

— Kurwa... to Juan...

Pete pognął uliczką. Drugie drzwi po lewej otworzyły się i zamknęły. Kemper też ruszył. Pełnym sprintem dopadli drzwi. Główny korytarz biegł na wprost. Wszystkie drzwi po obu stronach były zamknięte. Nie było windy — hotel miał tylko jedno piętro. Kemper policzył drzwi — dziesięć. Usłyszał gdzieś stłumiony pisk.

Pete zaczął kolejno wyważać drzwi. Przerzucał wagę ciała na lewo i prawo — uderzenia wyrwały drzwi z zawiasów. Podłoga zadrżała. Zapaliły się światła. Smutni starzy menele kulili się ze strachu.

Sześcioro wyważonych drzwi. Kemper ramieniem wyważył drzwi numer siedem. Jasne światło spod sufitu oświetliło twarz.

Juan miał nóż. Dziwka miała nóż. Juan miał sztuczny członek przyczepiony do rozporka. Kemper wycelował mu w głowę. Jedyna kula poszła bokiem.

Pete odepchnął go. Wycelował nisko i strzelił. Dwa pociski z magnum odstrzeliły Juanowi kolana. Oparł się o poręcz łóżka. Jego lewa noga oderwała się od kolana.

Dziwka chichotała. Spojrzała na Pete'a. Coś błysnęło między nimi.

Pete odsunął Kempera. Pozwolił dziwce poderżnąć Juanowi gardło.

**P**ojechali do kiosku z pączkami i napili się kawy. Kemper czuł, że w Dallas porusza się w zwolnionym tempie.

Zostawili tam Juana. Poszli do samochodu. Odjechali z przepisową prędkością.

Nie rozmawiali. Pete nie wspominał o jego zabawie z losem.

Ta dziwaczna adrenalina sprawiała, że wszystko działo się w zwolnionym tempie.

Pete poszedł do budki telefonicznej.

Kemper patrzył, jak wkłada monety do automatu: dzwoni do Carlosa w Nowym Orleanie, błaga o twoje życie.

Pete odwrócił się tyłem i nachylił nad telefonem.

Teraz mówi, że Banister spieprzył sprawę. Mówi, że Boyd zabił tego żołnierza, któremu nie należało ufać. Prosi o wytyczne. Mówi: „Pozwól Boydowi wziąć w tym udział — wiesz, że się nadaje”. Błaga o miłosierdzie.

Kemper popijał kawę. Pete odłożył słuchawkę i wrócił do stolika.

— Do kogo dzwoniłeś?

— Do żony. Chciałem powiedzieć, że wrócę późno.

Kemper uśmiechnął się.

— Telefon do hotelu nie kosztuje aż tyle.

Pete odpowiedział: — Dallas jest drogie. Wszystko w dzisiejszych czasach drożeje.

Kemper odpowiedział z południowym akcentem: — Jasne. Pete zgniótł swój kubek.

— Podwieź cię gdzieś?

— Wezmę taksówkę na lotnisko. Littell kazał pilotowi czekać na mnie.

— Z powrotem do Missisipi?

— Nie ma jak w domu, synu. Pete mrugnął.

— Trzymaj się, Kemper. I dzięki za wszystko.

Patio wychodziło na zbocza pagórków. Widok był zabójczo ładny, jak na taki tani hotel. Poprosił o pokój z oknami na południe. Wynajęli mu domek z dala od głównego budynku.

Lot powrotny był piękny. Niebo o świcie wyglądało cudownie. Zasnął i obudził się w południe. W radiu podali, że Jack przyjechał do Teksasu.

Zadzwoił do Białego Domu i Departamentu Sprawiedliwości. Drugorzędny asystent nie chciał z nim rozmawiać. Jego nazwisko znajdowało się na jakiejś liście. Przerwali połączenie, nim zdążył do końca się przedstawić.

Zadzwoił do szefa FBI w Dallas. Nie chciał z nim rozmawiać.

Zadzwoił do ochrony. Oficer odłożył słuchawkę.

Przestał się dręczyć. Siedział na patio i jeszcze raz w myślach przeżywał wszystko. Cienie zmieniły kolor pagórków na ciemnozielony. Odtwarzanie przebiegało w zwolnionym tempie.

Usłyszał kroki. Wszedł Ward Littell. Miał na sobie zupełnie nowy markowy płaszcz. Kemper rzekł:

— Myślałem, że będziesz w Dallas.

Littell pokręcił głową. — Nie muszę tego oglądać. Za to w L.A. jest coś, co chcę koniecznie zobaczyć.

— Podoba mi się twój strój, synku. Miło cię widzieć tak dobrze ubranym.

Littell zrzucił płaszcz. Kemper zobaczył broń i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Littell strzelił do niego. Siła strzału zrzuciła go z krzesła. Drugi strzał był jak „ŚPIJ JUŻ”. Kemper umarł, myśląc o Jacku.

## 99

(Beverly Hills, 22 listopada 1963)

Chłopiec hotelowy wręczył mu klucz i wskazał na bungalow. Littell dał mu tysiąc dolarów. Chłopak był zdumiony. Wciąż powtarzał: — Po prostu chce go pan zobaczyć?

CHCĘ ZOBACZYĆ SWOJĄ CENĘ.

Stali przy budynku gospodarczym. Chłopak wciąż się oglądał. Mówił:

— I niech pan wyjdzie, zanim ci mormoni wrócą ze śniadania.

Littell ruszył. Głowa pracowała mu według teksańskiego czasu: dwie godziny do przodu. Bungalow był łososiowo-różowo-zielony. Kluczem otworzył trzy zamki. Wszedł. Pierwszy pokój był wypełniony medycznymi zamrażarkami i sprzętem do kroplówek. Powietrze śmierdziało oczarem wirgińskim i sprayem owadobójczym. Usłyszał wrzaski dzieci. Rozpoznał odgłosy: program w telewizji.

Szedł dalej korytarzem w kierunku dźwięków. Zegar ścienny wskazywał 8.09 — 10.09 czasu w Dallas. Wrzaski zmieniły się w reklamę karmy dla psów. Littell przyłgnął do ściany i zerknął zza drzwi.

Kroplówka karmiła go krwią. On sam karmił się strzykawką jednorazową. Leżał nagi jak trup w szpitalnym łóżku na sprężynach. Nie trafił w żyłę na biodrze. Dziabnął się w penisa i wcisnął tłok. Włosy sięgały mu pleców. Paznokcie miał długie na pół dłoni. Pokój śmierdział moczem. W pełnym wiadrze pływały robaki.

Hughes wyjął strzykawkę. Łóżko ugięło się pod ciężarem tuzina rozebranych na części automatów na monety.

## 100

(Dallas, 22 listopada 1963)

Dawka uderzyła mu do głowy. Heshie rozluźnił się i próbował uśmiechnąć. Pete wytarł strzykawkę.

— Teraz są jakieś sześć przecznic stąd. Podjedź do okna około 12.15. Zobaczysz przejeżdżające samochody.

Heshie kaszłał w chusteczkę higieniczną. Po brodzie spływała mu krew. Pete podał mu pilota.

— Włącz wtedy telewizor. Przerwą, cokolwiek będzie w programie, żeby pokazać najnowsze wiadomości.

Heshie próbował coś powiedzieć. Pete dał mu trochę wody.

— Heshie, nie wyciągaj kopyt. Takiego przedstawienia nie ogląda się codziennie.

Commerce Street była wypełniona tłumem od krawężnika do sklepowych witryn. Transparenty domowej roboty miały po trzy metry wysokości.

Pete szedł do klubu. Musiał przedzierać się i rozpychać w tłumie widzów, walcząc o każdy cal chodnika.

Wielbiciele Jacka okupowali teren. Gliniarze wciąż przepędzali kogoś z jezdni na chodnik. Dzieci siedziały ojcom na barana. Trzepotały miliony malutkich chorągiewek.

Dotarł na miejsce. Barb zarezerwowała mu stolik przy estradzie. Drętwy tłumek oglądał show — w sumie może tuzin pijaczyn. Zespół zagrał szybszą melodię. Barb przesłała mu całusa. Pete usiadł i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Zaśpiewaj mi coś ładnego”.

Przez tłum przeszedł ryk: — JEDZIE! JEDZIE! JEDZIE!

Zespół zagrał fałszywie *crescendo*. Joey i chłopaki wyglądali jak nawiedzeni. Barb zaczęła „Unchained Melody”. Wszyscy goście, barman i obsługa kuchni pobiegli do drzwi.

Ryk rósł. Hałas wzmagały silniki — limuzyn i harleyów-davidsonów.

Zostawili otwarte drzwi. Miał Barb tylko dla siebie, a nie słyszał ani jednego jej słowa. Wpatrywał się w nią. Tworzył własny tekst piosenki. Przykuła go do miejsca swoim wzrokiem i śpiewem.

Ryk powoli opadał. Przygotował się na przyjęcie tego wielkiego pieprzonego wrzasku.